



This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

### **Usage guidelines**

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

- + *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.
- + *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.
- + *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.
- + *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

### **About Google Book Search**

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at <http://books.google.com/>



Jest to cyfrowa wersja książki, która przez pokolenia przechowywana była na bibliotecznych półkach, zanim została troskliwie zeskanowana przez Google w ramach projektu światowej biblioteki sieciowej.

Prawa autorskie do niej zdały już wygasnąć i książka stała się częścią powszechnego dziedzictwa. Książka należąca do powszechnego dziedzictwa to książka nigdy nie objęta prawami autorskimi lub do której prawa te wygasły. Zaliczenie książki do powszechnego dziedzictwa zależy od kraju. Książki należące do powszechnego dziedzictwa to nasze wrota do przeszłości. Stanowią nieoceniony dorobek historyczny i kulturowy oraz źródło cennej wiedzy.

Uwagi, notatki i inne zapisy na marginesach, obecne w oryginalnym wolumenie, znajdują się również w tym pliku – przypominając długą podróż tej książki od wydawcy do biblioteki, a wreszcie do Ciebie.

### **Zasady użytkowania**

Google szczeni się współpracą z bibliotekami w ramach projektu digitalizacji materiałów będących powszechnym dziedzictwem oraz ich upubliczniania. Książki będące takim dziedzictwem stanowią własność publiczną, a my po prostu staramy się je zachować dla przyszłych pokoleń. Niemniej jednak, prace takie są kosztowne. W związku z tym, aby nadal móc dostarczać te materiały, podjęliśmy środki, takie jak np. ograniczenia techniczne zapobiegające automatyzacji zapytań po to, aby zapobiegać nadużyciom ze strony podmiotów komercyjnych.

Prosimy również o:

- Wykorzystywanie tych plików jedynie w celach niekomercyjnych  
Google Book Search to usługa przeznaczona dla osób prywatnych, prosimy o korzystanie z tych plików jedynie w niekomercyjnych celach prywatnych.
- Nieautomatyzowanie zapytań  
Prosimy o niewysyłanie zautomatyzowanych zapytań jakiegokolwiek rodzaju do systemu Google. W przypadku prowadzenia badań nad tłumaczeniami maszynowymi, optycznym rozpoznawaniem znaków lub innymi dziedzinami, w których przydatny jest dostęp do dużych ilości tekstu, prosimy o kontakt z nami. Zachęcamy do korzystania z materiałów będących powszechnym dziedzictwem do takich celów. Możemy być w tym pomocni.
- Zachowywanie przypisań  
Znak wodny "Google" w każdym pliku jest niezbędny do informowania o tym projekcie i ułatwiania znajdowania dodatkowych materiałów za pośrednictwem Google Book Search. Prosimy go nie usuwać.
- Przestrzeganie prawa  
W każdym przypadku użytkownik ponosi odpowiedzialność za zgodność swoich działań z prawem. Nie wolno przyjmować, że skoro dana książka została uznana za część powszechnego dziedzictwa w Stanach Zjednoczonych, to dzieło to jest w ten sam sposób traktowane w innych krajach. Ochrona praw autorskich do danej książki zależy od przepisów poszczególnych krajów, a my nie możemy ręczyć, czy dany sposób użytkowania którejkolwiek książki jest dozwolony. Prosimy nie przyjmować, że dostępność jakiegokolwiek książki w Google Book Search oznacza, że można jej używać w dowolny sposób, w każdym miejscu świata. Kary za naruszenie praw autorskich mogą być bardzo dotkliwe.

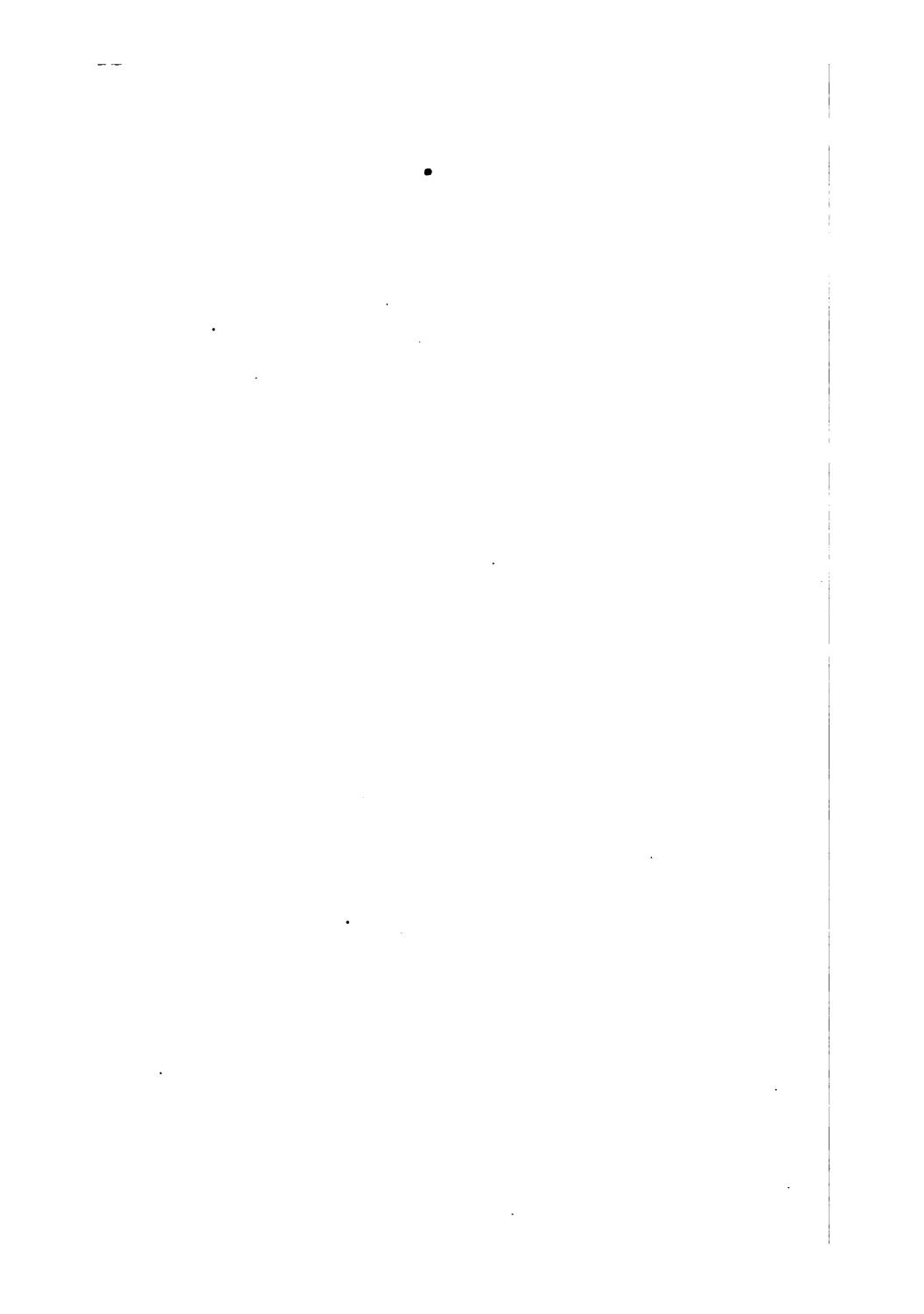
### **Informacje o usłudze Google Book Search**

Misją Google jest uporządkowanie światowych zasobów informacji, aby stały się powszechnie dostępne i użyteczne. Google Book Search ułatwia czytelnikom znajdowanie książek z całego świata, a autorom i wydawcom dotarcie do nowych czytelników. Cały tekst tej książki można przeszukiwać w internecie pod adresem <http://books.google.com/>









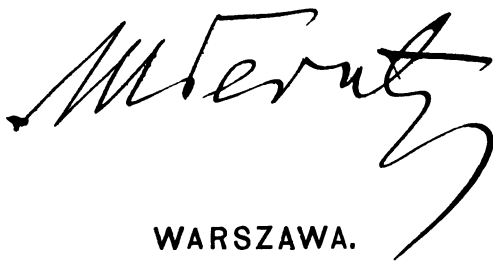
MARYAN GAWALEWICZ.



# MECHESY.

POWIEŚĆ.

II.

A large, stylized handwritten signature in black ink, appearing to read 'M. Teruty'.

WARSZAWA.

NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA

1894.

PG 7158  
Q 38 M 4  
1894  
v. 2

ДОВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ.

Варшава, 22 Февраля 1894 года.



*Łiotrowi Chmielowskiemu*

*Autogr.*



## A.

Akcyjne towarzystwo „Postęp,” założone przez dwóch przemysłowców fabrycznych Seligera i Blatta do spółki z grubym kapitalistą Klappermanem, należało od pewnego czasu do firm najbardziej reklamowanych; posiadało własną kopalnię węgla i rudy żelaznej, w jego Radzie zarządzającej zasiadał jeden książę, jeden hrabia i jeden baron.

Książę wprawdzie miał tylko tytuł bez majątku, hrabia zaś i tytuł, i majątek, oba bardzo stare, więc trochę zdefektowane, ale baron za to należał z większą pewnością do kapitalistów, aniżeli do baronów, bo za żonę wziął przeszło pół miliona posagu, o czem wiedziano na pewno, a co do baronstwa, mogły zachodzić pewne wątpliwości; to zresztą było kwestyą... tylko dla heraldyków, nie zaś dla pana Józefa Seligera, który sakramentalnie przy każdej sposobności zwykł był o swoim zięciu mówić z namaszczonej powagą:

— Mój zięć, baron Lipa de Lipecki...

Szumny ten tytuł przyrósł mu niejako do języka, co mogło wydawać się trochę śmiesznem i zatraca-

ło próżnością, z której pobłaźliwie uśmiechał się jeszcze zawsze przyjaciel i współnik w interesach Seligera, p. Jakób Blatt, mówiący o swoim zięciu krótko i węzłowato, jakby dla kontrastu z pewną obojętnością, tak sobie od niechcienia tylko:

— Książę...

Świat przecież powinien był to wiedzieć dobrze, że pół roku temu panna Iza Blattówna zaślubiła w Paryżu ks. Janusza Oczkę, bardzo dystyngowanego młodzieńca, wychowanego we Francyi, potomka w prostej linii jasnie oświeconego rodu na Okach i Łykach, któremu niestety! po możnych przaszczurach pozostało tylko piękne nazwisko, herb z mitrą książęcą i familijna łysina, będąca dziedzicznym znamieniem wszystkich Oczków z pokolenia w pokolenie.

Ks. Janusz w dwudziestym siódmym roku był łysy, jak prorok Eliasz, co przy jego gładkiej, młodzieńczej twarzy, nadawało mu fizyognomię dziecka, któremu z figlów nalepiono podkreśone w górę wąsiki i rzadkie bokobrody płowego koloru.

Nadzwyczaj ugrzeeczniomy i zawsze uprzejmie uśmiechnięty, stanowił pod każdym względem kontrast z kolegą zięciem, Wilhelmem br. Lipą de Lipeckim, smagłym brunetem, o rysach ostrych, pochmurnem spojrzeniu, ustach zaciętych, mowie krótkiej, szorstkiej i ruchach nerwowych.

O ile pierwszy zdawał się być pogodzony z całym światem i spoglądać na niego z dystyngowaną miną arystokraty, siedzącego w łoży na zabawnej komedyi, o tyle drugi zdawał się mieć zawsze coś temu światu do zarzucenia, marszczył się i namy-

ślał nad każdą drobnostką, przeżuwał ją w milczeniu i przybierał minę zaciętego opozycjonisty, który się przygotowuje do wybuchu.

Ale nie wybuchał; miał zwyczaj zbywać wszystko krótkimi wyrazami i zostawiać każdego w oczekiwaniu czegoś, co nie następowało nigdy. Z temi pozorami tłumionej energii, ciągłego krytycyzmu, głębokiej rozwagi i szybkiej stanowczości, imponował najbardziej swojemu teściowi, który po swoim zięciu, baronie Lipie de Lipeckim spodziewał się rzeczy nadzwyczajnych.

Pan baron uchodził za specjalistę, kończył bowiem wydział technologiczny w Zurychu i pod tym względem miał wyższość nad kolegą zięciem № 1-szy, który z pensjonatu w Paryżu dostał się przez protekcję do jakiejś dużej instytucji finansowej i przy książęcym tytule z 1,200 franków rocznej pensji żyć musiał do czasu, gdy nadspodziewanie został mężem anemicznej panny Izabelli Błatówny.

Co do trzeciej znakomitości arystokratycznej, dodającej blasku „Postępowi“ swoją firmą i dającej na zewnątrz rękojmię, że pod takim zarządem interesa przedsiębiorstwa muszą rozkwitać, jak lilie, a wyrastać, jak cedry libańskie, dość było wymienić tylko nazwisko hr. Strusia Wydźzewskiego, osobistości popularnej w całym high-lifie, znanej we wszystkich salonach, klubach, w towarzystwach sportowych zarówno, jak w przemyślo-wo-finansowych.

Pan hrabia należał do ludzi czynnych, którzy nie mogli wprawdzie wykazać rezultatów swej pra-

cy i rozlicznych zajęć, ale którzy publicznie dźwigali ciężar przeróżnych mandatów i godności, używani byli do wszystkiego i stanowili jeśli nie filary, podtrzymujące sklepienia rozmaitych instytucyi, to ozdobne pilastry, rysujące się okazańie na ich frontonie.

Świetną karyatydą w swoim rodzaju był Struś Wydzzewski ze swoim nazwiskiem znanem we wszystkich sferach, ze swemi licznemi stosunkami, nawet ze swą powierzchownością, rzucającą się w oczy; niski, gruby, otyły, barczysty, z karkiem spastego wołu, obrośnięty, jak małpa, włosem dobrze już szpakowatym, który pokrywał mu niemal całą twarz, pozostawiając zaledwie kępki skóry niezarośłej na niskiem czole i policzkach.

Fizyognomia pana hrabiego nie przypominała niczem arystokraty w tem wydelikaconem pojęciu salonowców; wszystko było na nim jakieś zgrubiałe, od rysów począwszy do całej figury, wyciosanej, jak z kłoca, na wałkowatych, słoniowych nogach, do głosu niskiego i chrapliwego, który dudnił głucho z tej żywej beczki, wtaczanej wszędzie z wielką powagą i ostentacją.

Ten człowiek-bryła samą ciężkością swoją sprawiał wrażenie... wielkiej wagi.

W instytucjach i komitetach, w których zasiadał, przechowywano dla niego osobnych rozmiarów fotele, aby miał na czem wygodnie pomieścić swoją godność; zwyczajne stołki i kanapy jęczały pod nim i skrzypiały ze strachu, żeby ich nie zgniółł swoim ciężarem, a on sam sapał, jak wieloryb, gdy

mu przychodziło wstępować wyżej, niż na pierwsze piętro po wschodach.

Papiery i akta rozlatywały się po zielonym stole, jak świstki na wietrze i świece w lichtarzach gasły, jeśli się panu hrabiemu udało kiedy kichnąć lub zaczerpnąć głębiej powietrza na posiedzeniach.

Służba stawiała przed nim zawsze syfon wody sodowej i szklankę z grubego szkła, aby miał czem gasić pragnienie i odwilżać gardło podczas rozpraw, którym przysłuchiwał się z wielką na pozór uwagą, jak gdyby go każdy najdrobniejszy szczegół nadzwyczajnie zajmował; wszystko to wszelako nie przeszkadzało wcale, że na końcu każdej sesji nie wiedział dobrze, jakie właściwie zapadały uchwały i za czem należało mu głosować.

Miał pod tym względem swoją właściwą metodę zachowywania sobie ostatniego głosu, powtarzając zwykle stereotypowe zdanie:

— Szanowni panowie wiecie, że w każdej ważniejszej kwestyi mam zwyczaj oryentować się poprzednio.

Oryentowanie się polegało na tem, że pan hrabia przyłączał się do zdania pewnych upatrzonych grup lub osobistości, które wyjątkowo zaszczycał swoim zupełnem zaufaniem, a które jedynie rozstrzygały dlań kwestyę tej lub owej sprawy, chociażby jej poprzednio nie znał wcale.

W „Postępie“ taką wyrocznią dla Wydźzewskiego był prezes Rady zarządzającej i główny uczestnik przedsiębiorstwa akcyjnego, bankier Felix Klappermann, który z Seligerem i Blattem stanowił właściwie ową trójkę wszechwiedzącą i wszech-

możną, kierującą całą skomplikowaną machiną interesów.

Tryumwirat ten decydował o wszystkim; porozumiewał się między sobą, przygotowywał projekta, obmyślał środki ich wykonania i w danych warunkach zapewniał sobie poparcie większości.

„Postęp,“ który w początkach wbrew swojej firmie, jakoś żadną miarą naprzód ruszyć nie mógł, a nawet groził, że się cofać zacznie wbrew nadziejom i oczekiwaniom akcyonaryuszów, od pewnego czasu jakby pchnięty zdwojoną siłą pary, zrobił nagle skok nieprzewidziany i wtoczył się na tor takiego powodzenia, że niemal z dnia na dzień poprawiał coraz świetniej interesa przedsiębiorstwa.

Zaszła potrzeba powiększenia fabryk towarzystwa, wybudowania nowej giserni i dwóch pieców hutniczych.

Korzystny ten zwrot przypisywano powszechnie energicznej pomysłowości Klappermanna, który był duszą całego przedsiębiorstwa.

Mężczyzna w sile wieku, wyglądający jednak starzej, niż na lat czterdzieści kilka, które liczył, należał do tego typu ludzi, którzy całą karierę zawdzięczali tylko sobie, swojej własnej pracy i przemysłowi, sprytnym obrotom i szczęśliwym chwilom, wyzyskiwanym w lot, choćby bez wyboru środków.

Mówiono o nim:

— Klappermann ma dwie cudowne zalety: nie zepsuje żadnego dobrego interesu i naprawi każdy zły interes, jeśli się do niego zabierze. Ale jeżeli



interes jest bardzo zły, to on nawet nie plunie na niego.

Finansista z taką opinią miał drogę otwartą szeroko przed sobą i nic dziwnego, że odkąd w swoje ręce pochwycił ster „Postępu,” zabłysnęła nad nim od razu jaśniejsza gwiazda, jakkolwiek byli tacy, którzy z pewnem niedowierzaniem kręcili głowami, powtarzając:

— No, trochę za dużo tego szczęścia... „Postępowi“ karta się zmieniła, to prawda, zaczyna wygrywać raz po raz, to także prawda; Klappermann wziął całą talię w rękę, ale kto to wie, czy to szczęście, czy tylko — kuglarskie sztuczki.

— To się pokaże, — powiadali inni, skłonniejsi do dowierzenia szczęściu Klappermanna i jego sprytowi w interesach.

Każde powodzenie zyskuje zarówno stronników, jak przeciwników; kiedy jedni pod niebiosa wynosili „Postęp,” drudzy z oburzeniem wzruszali ramionami i wołali:

— Żydowski Geschaeft, nie innego!... same Żydy...

— Jakto Żydy?... przecież Klappermann dawno ochrzczony.

— No, nie tak bardzo; żyją jeszcze tacy, którzy go pamiętają, jako małego szajgeca.

— Ale zawsze już nie Żyd. Seliger miał już ojca katolika.

— Katolicyka, — poprawiali niby-dowcipnisie.

— A Blatt to niewiadomo, czy z Żydów, czy z Niemców, ale także chrzczony; zresztą całe konsorcjum nasze.

- Nie nasze, tylko „z naszych.“
- Czegoż chcecie więcej?... a ks. Oczko?
- Zięc Blatta.
- A br. Lipecki?...
- Zięc Seligera.
- No, a hr. Wydźzewski?... ten przecież nie jest niezym zięciem.

— No, ten jeden; ale za to przybrali sobie teraz młodego Sandsteina do kompletu. Ładna paczka!...

Młody Sandstein, syn bogatego finansisty, od niedawna prowadzący interesu na swoją rękę, przystąpił z udziałem dość znacznym do przedsiębiorstwa „Postępu“ i jako młoda, intelligentna siła, wszedł do Zarządu. W mieście znano go przede wszystkim, jako „pięknego Bernarda,“ na którego rzucały od lat kilku czułe spojrzenie panny na wydaniu i mężatki do wzięcia, uważając go za zdobywcę interesującą, godną flirtu i haczyków kokieteryi, zwłaszcza od czasu, gdy po niezbyt szczęśliwym małżeństwie, które trwało wszystkiego dwa lata, rozstał się z żoną i wrócił niejako do stanu kawalerskiego.

Historję tego małżeństwa z licznymi komentarzami powtarzano sobie dość głośno w sferach arystokracji, z której pochodziła hrabianka Tola, niefortunnie wydana za młodego bankierowicza, i w sferach plutokracji, w której Sandsteinowie jedno z poważniejszych miejsc już zajmowali.

Opinia publiczna jednak w większej części stawała po stronie męża w tem rozerwanem stadle, podnosząc jego pełne taktu zachowywanie się wobec żony i jej rodziny, która zachorowała nagle

na gorący antisemityzm z chwilą, gdy przypadkowo odziedziczyła po zmarłym hr. Zabięłowskiem majątek i odzyskała niezależność swoją; wtedy jednym szarpnięciem oderwała się od Sandsteinów, którym tak skwapliwie podsuwała swojego czasu wychowanicę na synowę.

Nie wiedziano tylko na pewno, kto właściwie pierwszy dał powód do zerwania, mąż, czy też żona, bo młoda pani Sandstein z dzieckiem bawiła od lat kilku na wsi, a Bernard odosobniony długi czas od towarzystwa i od świata, umiał tak zręcznie omijać drażliwy temat swojej małżeńskiej przeprawy, że z jego ust niepodobna było dowiedzieć się prawdy.

Od czasu do czasu zadawano sobie tylko pytanie:

— Nie wiecie, czy młodzi Sandsteinowie mają już rozwód?... Ale i na to nie umiał nikt odpowiedzieć dokładnie.

Powoli też przestano się zajmować całkiem tą sprawą, która swego czasu stanowiła *cause célèbre* w mieście, dopóki jej coś bardziej sensacyjnego nie zagłuszyło.

Bernard Sandstein pozostawał wszelako w dwuznacznej roli męża bez żony; nie wiadomo było, czy odzyskał swą wolność, ale korzystać z niej nie chce, czy też jest skrzepowany zawsze ślubami małżeńskimi i dlatego trzyma się umyślnie tak na uboczu, zdaleka od wszystkich pokus i sideł, jakie na niego płeć sprytna zastawiała.

Byłoby go to czyniło jeszcze bardziej interesującym, gdyby był zechciał tę tajemnicę dwuznaczno-

ści swojej pozycji wyzyskiwać; ale nie miał widocznie ochoty do tego.

Za drogo opłacił w życiu doświadczenie, które dlań było nauką i przestrogą na przyszłość...

Po raz pierwszy wystąpił znowu na szerszą widownię, gdy nabywszy udział w „Postępie,” zabrał głos na zebraniu akcyonaryuszów i kilka bardzo praktycznych wniosków, ogólniejszej natury ze względu na samo przedsiębiorstwo, jak i w interesie całego przemysłu fabrycznego, postawił na porządku dziennym.

— Patrzenie, ten młody Sandstein to dobra głowa, jak się zdaje! — powiadano sobie w sferach przemysłowych i finansowych.

— A nie wyglądał na to—dorzucali niektórzy,—widać, wyrobił się.

W Radzie zarządzającej „Postępu“ nowego członka przyjęto na pozór z wielką uprzejmością i zadowolaniem; zrobiono mu miejsce przy długim stole, przykrytym zielonem suknem, pomiędzy księciem a baronem, naprzeciw samego prezesa i pana hrabiego, który na pierwszej sesji po wyborach powitał go protekcyjonalnie i niezbyt zręcznie słowami:

— Znałem dobrze rodzinę pańskiej żony; pan Adam Zabięłowski, wuj zdaje mi się żony pańskiej, sąsiadował ze mną przed dziesięcioma laty. Cóż, ciągle wysiaduje za granicą, he?...

Bernard dał jakąś wymijającą odpowiedź, której pan hrabia już nie słuchał, sięgając po syfon z wodą; z szumem i pryskiem nalał sobie pełną szklan-

kę i pić z niej zaczął cheiwie, jak spragniony hipopotam.

Salon, w którym odbywały się sesye Rady zarządzającej „Postępu“ przylegał do biura i kantoru, zajmujących szereg pokoi parterowych od frontu; umeblowanie jego było poważne, trochę ciężkie, złożone z długiego stołu, na którym stały kałamarnice i świece w srebrnych lichtarzach, z dębowych krzesel i foteli wysłanych i krytych safianem ciemno-brązowego koloru, z szeregu szaf oszklonych po kątach, zapełnionych Encyklopedyą w kilku językach, podręcznikami fachowemi i atlasami, z małego biurka pod oknem, przy którym sam pan prezes załatwiał niekiedy odręczną korespondencyę.

Na ścianach wisiały w rzeźbionych ramach dyplomy uznania i medale, udzielone „Postępowi“ na kilku wystawach przemysłowych w kraju i za granicą, oraz fotografie gmachów fabrycznych i duży portret pierwszego prezesa i organizatora Towarzystwa.

Zawieszono go tam, pomimo protestu samego oryginału, który i tak na każdej sesyi nie tylko *in effigie*, ale i *in persona* przewodniczył obradom; członkowie Rady postanowili jednak w ten sposób odznaczyć zasługi przewodniczącego, którego zabiegom Towarzystwo zawdzięczało tak pomyślny rozwój i nadspodziewanie wysoką dywidendę.

U okien zwieszały się portyery, podtrzymywane stalowymi łańcuchami; połowę posadzki zaściełał dywan ciemnego koloru.

— Witamy pana bardzo chętnie w naszym gronie i spodziewamy się pozyskać w panu dzielnego

współpracownika do rady i czynu; proszę, niech pan zajmie swoje miejsce!...

Temi słowy powitał prezes Klappermann Bernarda Sandsteina na pierwszej sesyi, opierając rękę na brązowym dzwonku, który tylko dla tradycyi stał na stole, ale nie był nigdy używany, jako narzędzie do „przywracania porządku“ podczas burzliwych obrad.

Pomimo ujmującej grzeczności, z jaką przyjęto nowego kolegę w Radzie, znać było jednak, że obecność jego wytwarza pewną sztywność w harmonijnych dotąd stosunkach; trzeba się było wprawdzie oswoić z tym nowym nabytkiem, zapoznać bliżej, wybadać go.

Jedyny książę uśmiechał się swoim słodkim, stereotypowym uśmiechem do niego i częstował go lilipuciami papierosami ze swej szyldkretowej papierosnicy, ozdobionej ogromnym złotym monogramem, którą otrzymał w podarunku na gwiazdkę od teściowej.

Seliger, chudy, niski, z długimi aż po kolana rękoma, z dużą głową, zawsze przekrzywioną nieco na prawe ramię, z twarzą cierpiącą człowieka, który długie lata choruje na kamień, a mimo to musi zajmować się czynnie swojemi i cudzemi interesami, rzucał na Bernarda podejrzliwe spojrzenia i swoim zwyczajem szeptał nieustannie na ucho Blattowi jakies uwagi.

Ci dwaj mieli zawsze i wszędzie swoje konszachty i znani byli z tego, że stanowili nierozdzielną parę, porozumiewającą się we wszystkim szeptem i spojrzeniami.

Blatt, towarzysza swego i przyjaciela przerastał o całą głowę, skutkiem czego o wiele niższy i przygarbiony nieco Seliger, musiał najczęściej wspinać się na palcach, aby dosięgnąć ustami do jego ucha, albo podnosić się z krzesła, ilekroć chciał zwierzyć mu coś w tajemnicy.

Zdawało się, że ta para konspiratorów niema sobie nie takiego do powiedzenia, coby kiedykolwiek ktoś trzeci mógł usłyszeć.

Baron Lipecki zachmurzył się jeszcze groźniej, niż zwykle i patrzył na Bernarda takimi oczyma, jak gdyby chciał go przewiercić na wskrós i sięgnąć aż do jego wnętrzości.

— Miło mi udzielić panom bardzo pomyslniej nowiny — zagał posiedzenie Klappermann swoim donośnym, dźwięcznym głosem, — że prawdopodobnie bilans nasz tegoroczny zamkniemy jeszcze większą nadwyżką, niżeliśmy się spodziewali, a stanie się to skutkiem nowo zaprowadzonych oszczędności, które podniosą cyfrę naszych zysków.

W tem miejscu rozwinął leżący przed nim papier i zaczął odczytywać kilka pozycyi z długiego wykazu, jaki mu przed sesją dostarczono z kantoru.

Na twarzach członków Rady malowało się zadowolenie i wyraz przyjemnego zadziwienia.

— Brawo, brawo! doskonale! — tubalnym swoim głosem przerywał mu hrabia, podczas gdy Seliger w cichym uśmiechu wyszczerzał wszystkie zęby i znacząco patrzył z pod oka na Blatta, jakby go pytał:

— No, Kuba i cóż ty na to?...

Pomimo ugrzecznionej formy i pobłażliwego uśmiechu, z jakim to mówił, znać było, że wystąpienie Bernarda uważa za niestosowność, do której nie był przyzwyczajony; pod tą tyradą, bardzo płynnie utoczoną z wymownych ust pana prezesa, kryło się pierwsze ostrzeżenie dla nowicyusza:

— Na przyszłość siedź cicho i nie wtrącaj się.

Dla pokrycia jednak tej przestrogi pozorami gotowości do zadosyćczynienia życzeniu interpellanta, prezes szukając czegoś w papierach, dodał:

— Co się zaś tyczy owych oszczędności, o które szanowny pan Sandstein zapytuje, będę miał zaszczyt po wyczerpaniu porządku dziennego szczegółowo objaśnić go, a teraz, aby napróżno nie krępować panów tą dygresją i nie zabierać im drogiego czasu, pozwolę sobie przejść do drugiego punktu...

— Zdaje mi się, panie prezesie — przerwał mu niezrażony Bernard, — że kwestya, o którą potrąciłem, obchodzić może zarówno wszystkich członków Rady i że mogłaby wywołać dyskusję.

Klappermann zrobił minę już nieco zniecierpliwioną. Pierwszy raz przerywano mu w ten sposób natarczywy i próbowano wyrzucić na niego widoczny nacisk.

To mu się nie podobało.

Powiódł oczyma po zgromadzonych i zmarszczył czoło zlekka, podnosząc brew nad lewem okiem na znak, że mu się już to wszystko nudnem wydawać zaczyna.

— Wybacz szanowny pan — zwrócił słowa do Bernarda, ale głowę skierował w przeciwną stronę,



jak gdyby już godnym spojrzenia nie uważał członka Rady, który tak tępo rzeczy pojmuje,—ale kwestya, jaką szanowny pan nam narzucasz tak usilnie obchodzi raczej administracyę, aniżeli nas i dlatego też pozwalam sobie nie przykładać do niej zbyt wielkiej wagi.

W tem miejscu kolej zchmurzenia brwi przysłała na Bernarda.

Lekki rumieniec przemknął mu po twarzy, ale jakby nie chciał dać poznać po sobie, że się czuje urażonym, przetarł ręką czoło i spokojnie, ale z pewnym naciskiem odezwał się:

— Zmuszony jestem zatem wytłómaczyć się panom, dlaczego mi tyle zależało na wyspecyalizowaniu rubryki, która według zapowiedzi pana prezesa ma powiększyć zyski naszego Towarzystwa. Chciałem się mianowicie przekonać, o ile słuszne są pogłoski, jakie od pewnego czasu obiegają miasto o wyzysku, który jakoby ma się coraz bardziej praktykować w „Postępie.“

— Wyzysku?—odezwano się jednocześnie z kilku stron.

Wyraz ten wywołał ogólne poruszenie.

Na końcu stołu Seliger zaczął coś bardzo szybko szeptać na ucho Blattowi, gestykulując przytem lewą ręką poza jego plecami; książę jednym mruknięciem wyrzucił monokl z oka, Lipecki zaciął usta i spojrział w stronę Bernarda tak groźnie, jakby za chwilę miał się porwać z miejsca i wtłoczyć mu napowrót ów „wyzysk“ do gardła, a hrabia sięgnął nagle po syfon i tak gwałtownie nacisnął sprężynę, że strumień wody wytrysnął jak fontanna ze

szklanki i obryzgał tużurek Klappermanowi; on jeden tylko zachował spokój i równowagę, przynajmniej z pozoru.

— Szanowny pan — zaczął sucho i powoli — użył zdaje mi się wyrazu zanadto... jakby to powiedzieć?... zanadto krańcowego. Wyzysk, wyzysk!... mój Boże, to pojęcie bardzo względne przedewszystkiem.

— Bynajmniej — żywiej nieco i z pewnem podrażnieniem zaprzeczył Bernard, — wyzysk ma bardzo wyraźne i określone swoje znaczenie. Zwyczajem wszelako uwagę pana prezesa, że tego wyrazu nie użyłem, jako streszczenia moich własnych przekonań, tylko jako zdania pewnej części opinii publicznej, z którą mamy obowiązek się liczyć. Na mieście mówią o przeciążeniu pracą personelu urzędniczego, o zmniejszeniu gratyfikacyi, pomimo zwiększonych dochodów, o obostrzeniu regulaminu fabrycznego, który pod pozorem większego rygoru okłada robotników grzywnami, zmniejszającemi ich tygodniowy zarobek i o rozmaitych innych jeszcze rzeczach, których powtarzać szczegółowo nie myślę. Zrozumiecie panowie, że wobec takiego głosu opinii, obowiązkiem moim było, jako nowego członka Rady, zażądać objaśnienia.

— A cóż to pan właściwie opinią nazywa? — odezwał się z drugiego końca stołu głos Blatta. — Brukowe plotki, to także opinia, ale kto się z nią liczył...

Seliger niezręcznie trochę się wyrwał:

— My wiemy zresztą, kto to rozpusza, — i szepnął jakiś wyraz na ucho przyjacielowi, ale

Blatt z pod oka spojrzął znacząco na niego i rękę położył mu na kolanie, co miało znaczyć:

— Cicho, daj pokój...

Książę poczuwając się do obowiązku zabrania również głosu w takiej chwili, zaczął po francusku:

— *Calomniez, calomniez toujours!... n'est ce pas?*— i zwrócił się, jakby po aprobacie do teścia dla tych kilku słów, któremi w jego własnym mniemaniu powiedział tak dużo, że mógł już całego zdania nie dokończyć.

Lipecki schwycił arkusz papieru, wyciągnął srebrny ołówek i zaczął pisać coś bardzo szybko i z rozmachem wielkim, ale doszedłszy do połowy stronicy, jeszcze szybciej przemazał wszystko, kartkę wydarł z całego arkusza, zmiął w garści i schował do kieszeni.

Hrabiego dyskusya, wprowadzona na tak niebezpieczne manowce, zniecierpliwiła z samego początku, uważał więc za stosowne przerwać ją stanowczym głosem i odsapnąwszy głęboko, jak tryton nurkujący, zawołał:

— Za pozwoleniem!... nie widzę potrzeby, abyśmy tyle czasu tracili dla takiej kwestyi, mając ważniejsze sprawy przed sobą. Mówią?... to niech mówią!... to trudno, żeby światu nie zakneblujesz! Od czegoż ludzie mają językil... Niech sobie mówią, co mówią, a my panowie róbmy swoje i basta. Skończyłem.

Bernard z politowaniem popatrzał na pana hrabiego; ta góra mięsa porośłego włosami rodziła same myszy w jego oczach.

Klappermann ze swoim kunktatorskiem usposobieniem powstał, trzymając czarny ołówcezek w dwóch palcach, (którym zazwyczaj gestykulował w powietrzu, kreśląc rozmaite zygzaki, niby dyrektorską pałeczką, ilekroć przemawiał na sesjach), powstał i zniżając umyślnie głos, aby tem większą zciągnąć na siebie uwagę, zaczął zwrócony bokiem do Wydzzewskiego:

— Hrabia wybaczy, że znowu będę zmuszony wyrazić odmienne zdanie w tym względzie, ale jakkolwiek nie mam zwyczaju liczyć się ze wszystkimi głosami tak zwanej opinii publicznej, dla niektórych robię wyjątki. W tej chwili opinię taką reprezentuje dla mnie nasz młody kolega, szanowny pan Bernard Sandstein, którego głosu nie mogę lekceważyć na równi z ulicą. To „*on dit*,“ które krąży po mieście nie ma wprawdzie wielkiego wpływu ani znaczenia odnośnie do naszych bilansów i naszych przedsiębiorstw,—nasze żelazo przez to na opinii, ani na wadze nie straci,—ale usposobić może niewłaściwie pewną część ludzi, na których nam zależy, zbałamucić zdania akcyonaryuszów, przedostać się do prassy, chociaż ta nasza prassa! — wykrzywił usta uśmiechem i zrobił ruch lekceważący ołówkiem, jak gdyby nim przekreślał całe dziennikarstwo od góry do dołu. — Są zatem, jak panowie widzicie, pewne względy, dla których i takie „*on dit*“ mogą,—powtarzam mogą, nie muszą—wchodzić w rachubę. Otóż co do tego—tu zwrócił się nagle z ożywieniem w stronę Bernarda,—muszę panu powiedzieć, szanowny panie Sandstein, że „Postęp“ robi zbyt dobre interesa i za silną wy-

twarza od pewnego czasu konkurencyę, aby go złe języki szarpać nie próbowały. Znajdzie się zresztą zawsze grupa wiecznych malkontentów, którzy się będą uważali za wyzyskiwanych w każdym razie i tacy znajdują się również wśród naszych officialistów i robotników. Ale to trudno, jak słusznie powiada pan hrabia,—ludzie mają języki i tych im na supełek zawiązać nie można; niech mówią. Mojem zdaniem, wyzysku niema, nadużyć niema, krzywdy niczyjej niema, a że staramy się wyciągnąć jak największe zyski i powiększać dochody, to szanowny panie jesteśmy winni naszemu Towarzystwu, naszym akcyonaryuszom i naszym kapitałom, które nas również zobowiązują.

— Ja nawet sędzę, że obowiązują najbardziej—wtrącił głośno Seliger, wyszczerzając w szerokim uśmiechu wszystkie swoje wprawione zęby, z których kilka było dla niepoznaki złotem plombowanych, aby lepiej uchodziły za naturalne, nie sztuczne.

Papa Seliger bowiem przy namiętności do interesów, miał jeszcze i słabość do kobiet, zwłaszcza młodych i ładnych, bez względu na stanowisko ich towarzyskie i sferę pochodzenia.

Uwaga o zobowiązaniu względem własnego kapitału, trafiła wszystkim do przekonania.

— Winszuję ci, Felixie, tego zwrotu — wołał Blatt konfidenyonalnie, — bardzo dobre wyrażenie!... doskonałe!...

— *Superbe!* — powtarzał książę — to warto sobie zanotować.

Klappermannowi przychodziła ochota po raz pierwszy od swego prezesostwa zrobić użytek z brązowego dzwonka, aby uciszyć ten szmer pochwały i zadowolenia, objawianego mu przez szanowną Radę.

I byłby to uczynek, gdyby i tak równowaga nie została przywróconą ponownem odezwaniem się Bernarda, który spokojnym ale stanowczym tonem przemówił:

— W każdym razie upraszam pana prezosa, aby do protokołu dzisiejszego posiedzenia wniesionem zostało, iż zwracałem uwagę na potrzebę sprawdzenia, o ile pogłoski, uwłaczające naszemu Towarzystwu mają jakąś podstawę faktyczną.

Zrobiła się nagle cisza, w której słychać było tylko sapanie Strusia Wydzzewskiego, a po chwili Klappermann siadając, rzekł z uśmiechem pobłażliwym:

— Skoro szanowny pan sobie tego życzy, zostanie to w protokole uwiecznionem. A teraz możemy przejść do innych spraw, nieprawdaż?...

Dalszy przebieg sessyi nie nastęczał już przedmiotu do interpellacyi, ani bardziej ożywionych rozpraw i oprócz samego prezosa, nikt głosu nie zabierał.

Bernard słuchał jednak z uwagą wszelkich szczegółów i notował sobie cyfry, a Klappermann powoli, machinalnie zaczął się zwracać głównie ku niemu, jakby dla niego jednego w tem zebraniu miał wykład o stanie bieżących spraw i interesów.

Przeczuł w nim opozycyę, z którą liczyć się należało; próbował go też nieznacznie urabiać i

ujmować, wyróżniając niejako szczególniejszemi względami.

Po skończeniu sessyi, skorzystawszy z chwili, zbliżył się zręcznie do Sandsteina i wzięwszy go pod ramię, odprowadził na bok ku oknu.

— Radbym bardzo — rzekł, — wtajemniczyć pana we wszystkie szczegóły, jakie będą potrzebne do objęcia całości naszych interesów, a które mogą wytworzyć panu jaśniejszy pogląd na naszą działalność, krytykowaną może za parcjalnie przez ludzi, stojących zewnątrz.

Bernard skłonił się zlekka na podziękowanie, lecz odparł:

— Powołany do Rady, starałem się już o ile możności obeznać z rocznych sprawozdań o faktycznych podstawach i czynnikach „Postępu,“ — nie chciałem wchodzić tutaj, jak do lasu, więc ogólnikowe pojęcie mam o wszystkim jakie takie. Byłbym jednak panu prezesowi bardzo obowiązany za wtajemniczenie mnie w kwestye bardziej skomplikowane, w pewne punkta nie dość dla mnie zrozumiałe.

Klappermann uścisnął jego rękę i z najszczerzą na pozór gotowością ofiarował swą pomoc.

— Ależ naturalnie, naturalnie, — mówił — jest to przecież moim obowiązkiem. Zobaczysz pan, że u nas niema rzeczy, którebyśmy potrzebowali ukrywać.

— No, tego się spodziewam — wtrącił Sandstein; — Towarzystwo takie, jak „Postęp,“ jest instytucją nie tylko przemysłową i ekonomiczną, ale i społeczną w pewnym względzie.

— Rozumie się, rozumie się — przytakiwał prezes, jakby najzupełniej podzielał zdanie młodszego kolegi.— Pomówimy jeszcze o tem obszerniej przy najbliższej okazji, mam bowiem nadzieję, że nie tylko tu w Radzie, znajdziemy sposobność spotykać się teraz częściej. Byłoby mi bardzo przyjemnie, gdyby szanowny pan zechciał którego dnia... Żona moja przyjmuje we czwartki — dorzucił z uśmiechem ujmującym, dopowiadając resztę fizyognomią pełną słodyczy i ukłonem bardzo uprzejmym.

Bernard zaproszenie to przyjął dość chłodno, ale odrzekł:

— Nie omieszkam skorzystać z najbliższej sposobności.

— Bez ceremonii, bardzo proszę— zachęcał prezes; — będziemy mogli pogwarzyć o wielu jeszcze rzeczach przy cygarku, swobodnie...

— Nie palę, panie prezesie.

— Czy być może?... to i winta gotówes pan także nie grać?— zagadnął go z udaniem zdziwienia.

— A nie gram.

— O, to my tu pana z hrabią nauczymy! — zawołał, przenosząc zręcznie poufną dotąd rozmowę na szerszy teren,— nieprawdaż hrabio?...

Struś Wydźzewski stał na rozkraczonych nogach, oparty o stół rękoma i wpatrzony przed siebie w kałamarz, jakby w nim upatrywał bezdenną głębię czarnego Oceanu.

— Co takiego? — zahuczał, wyrwany ze swego zamyslenia,—co takiego?... ja jestem zupełnie twojego zdania, mój prezesie. Zupełnie!...



Podszedł do nich bliżej, przypuszczając, że rozmowa toczy się jeszcze o sprawach „Postępu,” a dowiedziawszy się, iż o winta chodzi, zapomniał nagle instyktowej urazy, jakiej nabrał podczas dzisiejszej dyskusji do Bernarda za jego zbytnią ciekawość i wścibstwo, niegodne prawdziwego członka Rady zarządzającej i zakładając ręce w tył swoim zwyczajem dla utrzymania równowagi okrągłego korpusu, ze śmiechem wołał:

— *Bene, bene, benissimo!*... zwerbujemy sobie w panu nowego wincistę. Szkoda, że pan nie należysz do klubu; tambyśmy pana wykształcili bardzo prędko.

Bernard skłonił się z uśmiechem, mówiąc:

— Zdaje mi się, że praca byłaby straconą; nie mam żadnego zmysłu do kart.

— Ho, ho, to się tak mówi, póki się do stolika nie siadłol... mnie pan możesz wierzyć. A jak się człowiek raz przyzwyczai, to potem żyć bez tego nie może. Ja sobie co wieczór powtarzam, że przestanę grać, tylko się odegram. Ale cóż z tego!... kiedy wygram, to mi żal zaprzestać, a kiedy przegram, to nie mogę słowa dotrzymać, więc gram dalej i to mnie bawi. To jest kochany panie, wielki wypoczynek dla ludzi, którzy dużo pracują głową, jak ja.

Bernard powstrzymał mimowolny uśmiech, patrząc na tę dobroną szczerość, z jaką hrabia mówił o swojej pracy umysłowej, w którą wierzył w tej chwili z najgłębszym przekonaniem.

Rozmowa się przerwała, bo Klappermanna odwołał Seliger i Blatt w drugi kąt salonu, pod po-

zorem przejrzenia jakichś kwitów, przyniesionych z kantoru przez młodego rachmistrza z miną wiele uroczystą; znać było po nim, że przekroczenie progów tego najwyższego sanctuarium, w którym zasiadały same bogi pierwszej klasy, najpoważniejsi dostojnicy „Postępu,” stanowiło dla skromnego oficjalisty chwilę wielkiej emocyi w jego urzędniczym żywocie.

Zetknięcie się z samym panem prezesem i z paniami członkami Rady zarządzającej miało widocznie dla młodego człowieka z kantoru znaczenie niepospolite; stał zgięty lekko w pasie, jak gdyby nie śmiał rozprostować swej wątłej figury z ukłonu, jaki złożył panu prezesowi i trzymał otwartą księgę dużych rozmiarów, potrzebną do skontrolowania pewnych pozycyi wątpliwych.

— Cóż tam? — zagadnął go Klappermann obojętnie, — znowu jaka kwestya?

Młody oficjalista zarumienił się po same białka, odchrząknął i pośpiesznie zaprzeczył:

— Broń Boże, panie prezesie. Pan prezes rozkazał tylko przynieść sobie dziś rano do podpisu kwity, więc przynoszę po sprawdzeniu...

— A niema znowu zmyłki?

— Uchowaj Boże, panie prezesiel...

Pan prezes niechętnem okiem rzucił na młodzieńca, potem na księgę i rzekł:

— Powinieneś się pan lepiej pilnować, panie Fleischer; pan się za mało przykładasz do swoich obowiązków. Są z pańskiej winy restancye, a to być nie powinno.

— Rzeczywiście, panie prezesie, w ostatnich czasach skutkiem wielkiego nawału pracy trudno mi było wydażyć, — usprawiedliwił się drżącym głosem z potulną miną winowajcy młodzieniec, Fleischerem nazwany.

Klappermann zmierzył go niezadowolonym spojrzeniem.

— Co to znaczy: trudno wydażyć?... nie powinno być trudno, panie Fleischer. Ja mam więcej zajęcia od pana, a robię swoje.

Najgłębiej o tem na pozór przekonany urzędnik, pokręcił głową i oniesmielony, odważył się szepnąć:

— No tak, rzeczywiście, panie prezesie, ale mogę pana prezesa upewnić, że staram się, co sił starczy; może poświadczyć pan naczelnik i wszyscy koledzy, — biorę codziennie robotę jeszcze do domu, a z biura wychodzę często po dziesiątej, aby tylko...

— Ja się pana nie pytam, o której pan wychodzi z biura — przerwał mu prezes, — pan możesz wcale nie wychodzić, a to, co do pana należy, powinno być na czas gotowe. Zrozumiałeś pan?... no, to proszę o tem na przyszłość pamiętać. Pan wiesz zresztą, że na pańską posadę jest kilku kandydatów.

— Wiem, panie prezesie, i będę się starał jeszcze więcej...

Mówiąc to, miał już biedaczysko policzki koloru dojrzałych pomidorów.

Pan prezes wziął pióro i z wprawą człowieka, przywykłego do podpisywania swego nazwiska

stereotypowo z hieroglificznym zakrętasem na końcu, szybko, z rozmachem podsygnował papiery, a zwracając je Fleischerowi zgiętemu jeszcze bardziej pod ciężarem olbrzymiej księgi i wysłuchanej bury, dodał:

— Zatem proszę sobie pamiętać o tem, co powiedziałem. Możesz pan odejść.

Młody człowiek, jakby się z ukropu wyrwał, pomknął ku drzwiom, a Klappermann nie zważając, iż Sandstein zdaleka z wielkiem zajęciem przypatrywał się tej scenie, podszedł ku Blattowi opartemu o kaflowy piec i zaczął:

— Trzeba mój drogi w tym kantorze koniecznie zaprowadzić u nas większy porządek; oni tam nie nie robią i tylko za darmo pensye biorą.

Blatt podrapał się w swoje gęste, kudłate bokobrody i uśmiechnął.

— Dajże pokój; roboty mają wyżej uszu, przecież od półtora roku nie powiększaliśmy wcale personelu, a zajęcia przybyło trzy razy tyle.

— Nie bój się — przerwał mu Klappermann, — nie przepracują się, jeśli trochę więcej fałdów przysiedzą. A ten Fleischer to mi od dawna leży na wątrobie.

— No, dlaczego? — zagadnął go Seliger zaciekawiony, — dlaczego?...

Klappermann podrapał się zlekka w nos i mruknął:

— Już ja mam z nim na pieńku. Ja wam ręczę, że te wszystkie plotki, które wychodzą z kantoru, to on wynosi. Dowiedziałem się — dodał ciszej, nachyliwszy się ku obu współnikom, — że on ma

brata reporterem w jakimś świstku brukowym. Rozumiecie teraz?... stąd to te rozmaite kaczki latają po mieście.

Seliger aż się na palcach podniósł.

— A co!... widzisz?... ja ci zaraz mówiłem — szepnął Blattowi w sam nos prawie, — widzisz?... z tymi ludźmi trzeba ostrożnie.

Blatt lekeeważąco ramionami wzruszył.

— Co to pomożel — rzekł, — teraz mamy już między sobą opozycję. Dziś przecie zdeklarowała się i w naszej Izbie lewica.

Seliger rzucił bystrem okiem w stronę Bernarda i skubnął przyjaciela ostrzegająco w łokieć.

— Ciszej.

Klappermann włożył ręce w kieszenie swej marynarki i zaczął przyglądać się swoim butom przez chwilę, jak gdyby nie chciał przez oczy zdradzić myśli, która mu od godziny już po głowie krążyła.

Uśmiechnął się wreszcie z jakąś wielką pewnością siebie i rzekł do Blatta:

— Nie takie to straszne, jak się tobie wydaje. Da się ujeździć z czasem, zobaczysz; zostawcie to mnie tylko.

Seliger z zaufaniem uściśnął go za ramię i głową pokiwał na znak, że podziela to zdanie.

---

## B.

Pani Helena Julia Klappermann, z domu Glanzstern, jeśli nie miała w herbie pawia, jako symbolu dumy i próżności, to tylko dlatego, że w ogóle jeszcze herbu żadnego nie miała, ale rzecz ta była do zrobienia; mąż jej bowiem przez stosunki swoje, przez protekcję ludzi wpływowych był na drodze do nobilitacyi.

Nie wiele brakowało, a jako prezes „Postępu“ na którejs wystawie paryskiej byłby już dostał order, tylko że w ostatniej chwili coś się tam zepsuło i to odznaczenie go ominęło.

Pani Helena omal żółtaczki nie dostała wówczas ze zmartwienia, ale mąż wyrozumiały od niej, uśmiechał się i powtarzał:

— Co się odwlekło, to nie uciekło; jeszcze i dla mnie przyjdzie moda na kokardki w butonierze.

Tymczasem nosił w niej kwiatek, który mu żona codziennie własną ręką przy śniadaniu wpinała, aby cały świat miał jeden dowód więcej, że Klappermannowie stanowią najprzykładniejsze małżeństwo pod słońcem.

Wiedziano zresztą o tem powszechnie i stawiano takie stadło za wzór, z którym mało kto mógł się porównywać, zwłaszcza w sferze, która o wiele więcej, niż każda inna, dostarczała pokuszeń.

O Seligerze np. wiedziano doskonale, że pomimo swojej pięćdziesiątki, czułym jest na lada szmer spódniczki i nie ukrywa się wcale ze swemi podbojami; przeciwnie, lubi się nawet przechwalać ze swoim szczęściem do kobiet i szuka znajomości łatwych, popularnych, aby go posądzano zawsze o coś więcej, niż było w istocie.

Na każdym przedstawieniu baletu widywano go w pierwszym rzędzie stale, choćby tylko na przeciąg jednego aktu; siadywał rozpromieniony, odmłodzony, uśmiechnięty, z nogą założoną na nogę, z lornetką przy oczach, zapatrzony w tłum koryfejek, które znał prawie wszystkie osobiście, a wśród których miał kilka szczególniejszych przyjaciółek.

Nazywano go tam krótko i poufale „papa“, ze względu na ojcowską opiekę, z jaką ofiarowywał się każdej nowej córeczce Terpsychory.

Posełano mu ze sceny wymowne spojrzenia i uśmiezki, na które on odpowiadał osobliwym grymasem, a niekiedy dyskretnym pocałunkiem, rzucanym nieznacznie od ust dwoma palcami lub lekkim oklaskiem i skinieniem głowy ku upatrzonym solistkom.

Lubił, aby mu te małe „robiły oko“, nawet, kiedy w łoży znajdował się z żoną i córką baronową. Cóż mu to przeszkadzało?... żona udawała, że nie widzi takiego oczkowania, a córka uśmiechała się

pod wachlarzem i prześladowała ojca w antrakcie złośliwemi uwagami o jego protegowanych sylfidkach.

— Mógłby też papa powiedzieć kiedy tej chudej Kałamarczyk,—szepiała mu—aby się tak nie dekoltowała, dopóki trochę nie przytyje, bo po co pokazywać to, czego niema?... Nogi, jak wykałaczkii, a ramiona!...

— Kiedy ja jej nie znam, daje ci uroczyście słowo, że jej nie znam—zapierał się umyślnie, ale z miłą zadowoloną, że go własna córka podejrzewała o stosunki w balecie.

Na każdym przedstawieniu brał w bufecie dwa pudełka czekoladek lub cukierków i jedno zanosił do łóżki żonie z obowiązku, jako haracz małżeński, a drugie przez woźnego posełał jakiej pannie Tuni lub Naci o piętro wyżej.

O tem wszystkiem szczegółowo i dokładnie wiadzą dobrze; tajemnice Seligera nie były tajemnicami dla nikogo. On sam się głośno przyznawał:

— No, co robić!... ja mam jedną słabość nieuleczalną, to jest słabość do kobiet.

Na wszystkich maskaradach i tombolach artystycznych, razem ze złotą młodzieżą uwijał się po sali z kilkoma naraz maskami, uczepionemi u jego ramion; kazał się przedstawiać artystkom, którym na drugi dzień zaraz posełał ogromne bukiety lub kosze kwiatów, zapraszał na kolacyjki do gabineatów i chociaż sam oprócz wody sodowej z kilkoma kroplami czerwonego wina nie nie pijał, bo mu to szkodziło, lubił odgrywać rolę hojnego Amfitryona w wesołym kółku.



Nie przeszkadzało mu to, aby za każdym razem z ołówkiem w ręku sprawdzał sam rachunek z garsonem i wymawiał mu, iż kuropatwy liczy po rublu, kiedy w cenniku są po 90 kop.

— Mój kochany — mówił zwykle w takich wypadkach—tu nie chodzi o tych parę groszy, tylko o słuszną. Za to, że sam naciągasz, dostaniesz tylko pół rubla, a byłbyś dostał o wiele więcej na piwo.

Blatt również nie należał do świętych, miał także swoje awanturki, ale w lepszym stylu; ten znów prowadził całe romanse, kochał się w przyjaciółkach swojej żony, w żonach swoich przyjaciół, miewał napady istnej melancholii, w chwilach wolnych od interessów i wizyt na giełdzie; chciał się nawet dwa razy na seryo rozwodzić z żoną, tylko ze względów na jakieś warunki interecyzy porzucał ten zamiar, obliczywszy sobie, że takie rozłączenie za drogoby go kosztowało.

Od czasu, gdy wydał córkę za księcia, ustatkował się niby, choć powiadano sobie w zaufaniu, że stary Blatt robi czułe oczy do baronowej Lipeckiej, Seligerówny z domu, która tylko o półtora roku była starszą od jego jedynaczki.

To pewna, że jej asystował wszędzie i w każdym salonie prowadził z nią na uboczu ciche rozmowy, zakrywając sobie usta szapoklakiem, podczas, gdy ona odpowiadała mu tak samo z pod wachlarza.

Umyślnie czy przypadkowo spotykali się z sobą jednak zawsze na obiadach, na rautach i wieczorach, a składało się tak, że prawie o jednej i tej samej godzinie młoda baronowa i ojciec jej przyja-

ciółki księżny, schodzili się w salonach i wychodzili z nich razem; w przedpokoju zwykle Blatt pędzej od męża podawał okrycie pani Lipeckiej i wyprzedzał go w ofiarowaniu ramienia zalotnej i powabnej mężateczce, którą sprowadzał po schodach aż do powozu.

— Ta Lipecka odziedziczyła krew po ojcu — mawiano o niej, — a Blattówna limfatyczność po matce. Jedna zjada mężczyzn oczyma, druga wygląda, jak gdyby nawet swego własnego księcia nie skosztowała....

Wszystko wiedząca plotka, która kosztem Seligerów i Blattów żywiła się nieustannie, nie miała jednak pod tym względem nic do zwietrzenia o Klappermannach, choć swój wyżli nos zwracała ciągle ku nim.

Opinia Heleny Julii z Glanzsternów była nietykalną; wystarczyło spojrzeć na tę postać zdjętą jakby z Rubensowskiego obrazu, pełną, różową, obfitą w kształtach, ale ociążałą, spokojną, obojętną na wszystko, a zapatrzoną jakby tylko w siebie samą, aby dojść do przekonania, że ta kobieta jest czemś w rodzaju ogromnych gipsowych figur, odlanych na zimno, stężonych niby na twardy kamień, z którego wszelako żadnej iskry wykrzesać by się nie udało.

Jej bujne jasne blond włosy uczesane były i upięte zawsze z taką staranością, jakby w nich ręka fryzjera czy panny służącej usymbolizować chciała systematyczność i ład tej dużej, okrągłej głowy, na której wyrastały; jej pełna twarz, pokryta niby złotawym meszkiem, przypominała świeżą brzo-

skwinię, z tych okazowych, które w owocarniach kładą za szybą na widoku dla reklamy. Duże, wypukłe nieco oczy, pod łukowatą brwią, o długich rzęsach, miały kolor nieokreślony, matowy, zimny, i spoglądały zawsze z wyrazem dumy, jak gdyby bliżej niż na trzy kroki nie dozwalały nikomu przystąpić do tego majestatu kształtów, któremi Helena Julia na prawdę mogła imponować każdemu.

Heine byłby ją mógł przyrównać do swego „białego słonia,“ ze względu na wzrost i budowę, płec i postawę wspaniałej Junony.

Wszystko to razem sprawiało jednak wrażenie kształtnie i gładko odlanej masy gipsu, która zdaleka już sprawiała wrażenie chłodu i suchości.

— To dziwna. jak w tej kobiecie zwietrzała krew semicka,— mówili ci, którzy znali ją z czasów panieńskich i pamiętali starego Henryka Glanzsterna, którego ojciec po prostu nazywał się jeszcze Hersch Glanzstern i był handlarzem drzewa; syn wszelako nie poszedł śladami ojca, ale wspiął się już wyżej w hierarchii społecznej, bo ukończywszy studia zagranicą, został adwokatem i czas jakiś praktykował w Wiedniu, zanim z rodziną przeniósł się do kraju.

Przybył tu już ochrzczony, z majątkiem, z wyrobioną firmą, z ogładą wielkoświatową, również z pewnem uprzedzeniem do społeczeństwa, które w porównaniu z kulturą europejską uważał za bardzo zacofane.

Dla stosunków jednak i interesów rodzinnych musiał zrobić to poświęcenie, ale nie miał zamiaru długo pozostawać na miejscu; jakoż po wydaniu

najstarszej córki za Klappermanna, zwinął dom i przeniósł się napowrót za granicę.

Helena Julia idąc za mąż, nie robiła partyi zbyt świetnej w swoim mniemaniu, ale działało się to jeszcze w czasach, gdy tak wielkiego wyboru dla zubożonej wnuczki jakiegoś Herszka Glanzsterna nie było w tych sferach, do których przez ojca dopiero wchodziła.

Klappermann ze swoim pół milionem w gotówce i przedsiębiorstwach, ze swą szczęśliwą ręką i sprytem finansowym, stanowił w danych warunkach kandydaturę bardzo poważną dla panny na wydaniu, która umiała liczyć się z przyszłością.

Był po prostu dobrym interesem, który mógł się świetnie wyrobić.

I wyrobił się rzeczywiście.

W obec żony wszelako czuł się zawsze jakby niezupełnie swobodny i wyzwolony; przerastała go bowiem w kulturze o jedno pokolenie i nie pozwalała mu zapominać, że wprawdzie dziad jego chodził jeszcze w hałacie i był pospolitym Herszkiem to jednak ojciec już należał do inteligencji i miał w adwokaturze znane nazwisko, gdy tymczasem Klappermann bezpośrednio miał tuż poza sobą całą generację hałaciarzy i jako *homo novus* tylko sobie i swojemu szczęściu zawdzięczał stanowisko, jakie, zajmował, i fortunę, jaką mu się zdobyć udało.

Między mężem a żoną, ten jeden szczebel, choć niewidzialny na pozór, stanowił jednak ważną różnicę.

Tem tłómaczyła się owa atencya, z jaką Klappermann, syn niezamożnego kupca Nathana, tra-

ktował zawsze Helenę Julię z Glanzsternów, córkę Henryka Glanzsterna, Klappermannową, swoją szanowną małżonkę i matkę trzech córek, oraz syna jedynaka, liczącego dopiero lat dziewięć.

Wobec świata drugie pokolenie Klappermannów reprezentowane było widomie tylko przez najstarszą córkę Kamille, dziewczynę tak podobną do matki, jakby była pomniejszoną kopia Julii Heleny, która w tym siedemnastoletnim sobowtórze mogła widzieć swoje własne odbicie.

Dla mniej wtajemniczonych w rodzinne sprawy państwa prezesowstwa, panna Kamilla uchodziła za jedynaczkę, odkąd „weszła w świat“ i na czwartkowych zebraniach mamy, nie zupełnie ukończony jeszcze edukację, ale już w długiej sukni, zaczęła występować w charakterze panny, o którą mogła się zacząć starać młodzież dobrze urodzona; innej bowiem nie dopuszczano do Kamei przez przeczność rodzicielską, aby dziewczyna nie wróciła sobie głowy kimś takim, coby nie był wart przynajmniej pół miliona posagu na początek.

Dwie młodsze siostry najstarszej panny Klappermannówny chowały się w ukryciu, uważane jeszcze za dzieci, pod opieką bon i guwernantek i miały pozostać niewidzialne do czasu, aż pierworodna latorośl państwa prezesowstwa obdarzy sobą i swym posagiem jakiego wybranego szczęśliwca z pomiędzy wielu powołanych.

Na jour-fixach co czwartek tak zwany *tout le monde* przewalał się przez wspaniałe salony Julii Heleny, o której mawiano, że na swoich zebraniach towarzyskich „celebruje“ z taką powagą i godno-

ścią uroczystą, jak gdyby była arcykapłanką bożka Miliona, przez jej praojców czczonego niegdyś w postaci złotego cielca.

Przy powitaniu nowego gościa wyraz jej twarzy i całej fizygnomii zdawał się mówić:

— Jest mi to wcale przyjemnie, żeś pan przyjął ten zaszczyt złożenia nam swego uszanowania.

Jak każda wyniosłość, która na razie teroryzuje ludzi, zanim się nie połapią i z pierwszego wrażenia nie otrząsną, imponowała też i owa mina Julii Heleny, zwłaszcza tym wszystkim, którzy do jej salonu wchodzili znęcani blaskiem złota, zapachem wytwornej kuchni lub nadzieją zrobienia dobrego interesu.

Dużo pracy, zachodów, poświęceń i kombinacji przez cały szereg lat kosztował Klappermannów ten tryumf, że mogli nareszcie z pewnym, wielce znaczącym naciskiem mówić:

— Nasz salon!...

Nasz salon, — to miało znaczyć nasze stosunki, nasze towarzystwo, nasza sfera, nasz przyjaciel książę X., nasza przyjaciółka hrabina Q., nasza młodzież z klubu, nasz kochany redaktor Y., nasza gwiazda literacka, nasz radca, nasz dyrektor, — jednym słowem wszystko nasze, co u nas bywa, na czem mamy prawo się oprzeć, pochwalić, co możemy światu w naszym najbliższym otoczeniu pokazać i czem w danym razie możemy się posługiwać.

Nie przyszło do tego łatwo.

Julia Helena pamiętała dobrze to pierwsze upokorzenie, jakie dotknęło ją do głębi i zmieło jej próżność, niby gąbkę ściśniętą w silnej dłoni, gdy

po zaokrągleniu pierwszego miliona, postanowiła nawiązać stosunki ze sferą arystokratyczną.

Zdawało jej się wówczas, że złota tarcza z taką okrągłą cyfrą zamiast herbu ma wartość heraldyczną i że jej blask sam powinien na rozścież otwierać drzwi hrabskich i książęcych salonów, skoro przed nimi stanie — z Głanzsternów Klappermannowa.

Ale buta miliona zmierzyła się zbyt śmiało z butą rodową.

Kiedy Julia Helena po jakimś balu, na którym była gospodynią, wybrała się pierwsza z wizytą do hr. Granieckiej, — kuzynki Strusia Wydźzewskiego, tego samego, co dzisiaj należał do najbliższych przyjaciół jej domu, a w owym czasie jeszcze nie mógł nigdy dobrze spamiętać nazwiska „pana Klappermanna,“ — musiała na własne uszy usłyszeć z przedpokoju słowa dumnej arystokratki, wyrzeczone w salonie do meldującego lokaja:

— Powiedzieć tej pani, że mnie niema w domu!...

Pierwszy szturm do drzwi wyższej sfery został tedy odparty z miejsca, energicznie, stanowczo, i był ciosem, po którym kto inny byłby się wyrzekł raz na zawsze zdobywczych planów i inwazyi do owego świata zamkniętego, na trzy zamki: kastowych przesądów, rodowych tradycyi i arystokratycznej dumy.

Ale gąbka próżności napeęzniała znowu zaraz na wolnem powietrzu, w tej samej chwili, gdy ze łzami w oczach Julia Helena wsiadała do swojej karety, odprawiona tak szorstko ode drzwi pierwszej hrabiny, którą sobie zdobyć obiecywała.

Wracając do domu z tej nieudanej wyprawy, z wypiekami na policzkach, z goryczą w sercu, z drżącymi od gniewu wargami, powtarzała z uporem i zaciekłością jakąś sama do siebie:

— A jednak ja tam wejść muszę,— muszę i wejść!...

Klappermann aż się przeląkł tej zmiany, jaką zauważył w fizyognomii żony po jej powrocie.

— Czyś ty zachorowała na wizycie? — wypytywać ją zaczął troskliwie, zaniepokojony,— co ci się stało?... masz gorączkę moja droga. Może posłać po doktora?...

Zbyła go krótkim:

— Nie trzeba!—i rzuciwszy się na fotel w swym gabinecie, zaczęła głośno szlochać, jakby ją spotkało wielkie nieszczęście; powstrzymywane przez całą drogę łzy wylały się potokiem.

Kiedy wreszcie mąż dowiedział się o ich przyczynie, z początku zmarszczył brwi bardzo groźnie i zamyslił się, jakby nad pomszczeniem tej obrazę, potem wszelako zaczął spokojniej przechadzać się po gabinecie, a w końcu z uśmiechem już zbliżył się do żony i całując ją w rękę, rzekł:

— Nie bądź dzieckiem i nie płacz. Nie dziś, to jutro ja ci kupię jeszcze pół tuzina takich hrabiów, jak Granieccy; bądź tylko cierpliwą, na wszystko przyjdzie czas, zobaczysz!...

I rzeczywiście, dotrzymał słowa.

W rok później już pierwszym arystokratą, wprowadzonym do salonu państwa Klappermannów był hr. Strus Wydzzewski, a stało się to niby przypadkiem, nieznacznie, bez wielkiej ostentacyi, z o-



kazyi jakiejś ważnej narady w sprawie zebrania kapitału udziałowego na eksploatacyę nowej kopalni węgla, którą Klappermann zamierzał wziąć w dzierżawę od rządu na lat kilkadziesiąt.

Wielką pomocą w nawiązaniu stosunków z tą sferą niedostępną dotychczas, był daleki kuzyn hrabiego, niejaki Kocio Nahalski, figura niezbyt ciekawa, zrujnowany obywatel, który trzymając się pańskich klamek, przez swoje stosunki rodzinne, wyrobił sobie pozycyę w świecie i przyjmowany był we wszystkich towarzystwach.

Pomimo lat pięćdziesięciu i szpakowatych włosów, nazywano go powszechnie Kociem i traktowano poufale, z pewnym odcieniem tej płytkiej sympatyi, jaką pozyskują ludzie, umiejący zręcznie i gładko wciskać się w cudze zaufanie, korzystając z chwili, pochlebiać cudzym słabostkom i wyzykiwać je na swoją korzyść.

Nie wiadomo nigdy dobrze z czego żył, z czego się utrzymywał, co robił, ale przyzwyczajono się widywać go w salonach, ubranego zawsze we frak od godziny piątej po południu, z plastronem niepokalanej białości, z szapoklakiem pod pachą, wyswieżonego, wyelegantowanego, śpieszącego z obiadu na wieczór, z wieczoru na bal, z balu do Klubu lub Resursy.

Zdawać się mogło niekiedy, iż Kocio Nahalski znajduje się w kilku egzemplarzach, bo wszędzie można go było zastać o rozmaitych porach dnia i nocy.

Wszystkich znał, o wszystkim wiedział, wszystkimi się troszczył i zawsze miał pełną torbę nowi

nek, ploteczek, wiadomości, anegdotek, które roznosił po świecie od domu do domu.

Pod pozorem czasowego jedynie pobytu w mieście, nie miał urządzonego mieszkania własnego i dlatego od wielu lat zajmował pokój w „Chambres garnies,” gdzie przebywał tylko tyle, ile potrzeba było na to, aby się wyspać, zmienić ubranie i odpisać na listy z zaproszeniami, które odbierał codziennie od swoich kuzynów, przyjaciół i znajomych.

Po całych dniach biegał z wizytami, wszędzie było go pełno, rozbijał się po mieście w cudzych powozach, w teatrze siadywał „na przyprzążkę” w cudzych łóżach; towarzyszył damom na przechadzkach, mężczyznom na wyścigach, urządził śniadania i kolacyjki po gabinetach na rachunek dobrych przyjaciół, jeździł na polowania, imieniny, wesela w najodleglejsze okolice i prowadził żywot swobodny, wesoły, bez troski i bez — wydatków.

— Ten Kocio ma zapewnioną wyzerkę na sto lat,—podrwiwali z niego bliżsi przyjaciele, traktując go otwarcie, jak pieczeniara, ale pieczeniara mającego swoje przywileje.

— Dajcie mu pokój—bronili inni—przecież on ma serwituty na wszystkich salonach, kuchniach i piwnicach.

Nahalski śmiał się razem z tymi, którzy go brali na fundusz i pomagał im sam dowcipkować z siebie, nie tracąc nigdy dobrego humoru i dystyngowanej miny; umiał nieraz połknąć nawet gorzką pigułkę z najśłodszyim uśmiechem.

Klappermann z początku tańczył około niego póty, dopóki nie pozyskał go sobie i nie zwerbował na towarzyskiego agenta i pośrednika w nawiązywaniu stosunków z wyższą sferą.

Pewnego razu po śniadaniu wziął go do swego gabinetu i usiadłszy przy biurku, wyjął książeczkę z czekami a wypisawszy na niej jakąś cyfrę, pokazał ją Nahalskiemu i zapytał z uśmiechem:

— Co to jest?... zobaczno.

Kocio włożył na nos szyldkretowe binokle, nachylił się i spojrzawszy na cyfrę, odrzekł:

— To?... to jest czek na tysiąc rubli.

— A wiesz dla kogo?

— Nie wiem.

Klappermann wydarł kartkę z książeczki i trzymając ją przez chwilę w powietrzu, prawie przed samym nosem Nahalskiego, jakby od niechcienia dodał:

— Dla ciebie.

Nahalski otworzył szeroko oczy i śmiechem wybuchnął.

— Żartuj zdrów!—zawołał.—Tysiąc rubli?... dla mnie?... a to za co?

— Za co?... dowiesz się natychmiast.

Kocio wyciągnął rękę i przebierając palcami w powietrzu, rzekł:

— Wszystko mi jedno zresztą za co, tylko niechaj wpierw poczuję ten świstek w swoim pugilaresie. Szatanie nie kuś nadarmo!

— Cóż ty myślisz, że to łapówka?—zagadnął go Klappermann.

— Fi! brzydki wyraz, niechlujny,— skrzywił się Kocio;—co najwyżej przypuszczałem, że to pożyczka.

— Nie, to ani łapówka, ani pożyczka, tylko...

— Tylko co?... możesz ty mi być co dłużny kiedy?

— Być, nie byłem jeszcze, ale będę, jeżeli zechcesz.

— O zechcę!... zechcę z pewnością,—żywo podchwycił Nahalski.

Klappermann podsunął mu fotel i bawiąc się wydartym czekiem na tysiąc rubli z taką obojętnością, jakgdyby to był kawałek zwyczajnej bibuły, zaczął:

— To, widzisz, jest procent od dużego interesu, który możemy zrobić przy twojej pomocy. Potrzebuję do kopalni węgla solidnego konsoreyum, w którego gronie chciałbym zobaczyć twojego kuzyna hr. Wydźzewskiego. Pomów z nim, namów go, wytlómacz i sprowadź do mnie, a ten czek z tego biurka—o patrz, z tej szuflady, przejdzie do twojej kieszeni.

Mówiąc to, otworzył biurko i świstek papieru wypuścił do niego z palców.

Nahalski oczy zmrużył, brwi zciągnął, usta zagryzł i przegarniając swoje faworyty, wiszące mu, jak dwa kotlety z włosów, koloru palonej kawy, po chwili namysłu odparł:

— Poczekajno, poczekaj, niechno ja tylko wpierw dobrze skombinuję, o co ci właściwie chodzi. Jeżeli o wspólnika do interesu, to ci moje pośrednictwo nie koniecznie jest potrzebne; znalazł-

byś sam drogę do niego. Jeżeli o kapitał, znalazł-  
byś sobie kogoś bogatszego w swojej sferze. O głó-  
wę chyba nie, bo nie tęga. Chociaż to mój kuzyn,  
ale Simplicyusz wielki. Więc o co?... aha!.. mam!..  
potrzebujesz firmy. Hrabiał.. ol.. to dobrze brzmi,  
hrabia Struś Wydźzewski, piękne nazwisko, szum-  
ne i znane, prawda?... Trzeba było mi od razu to  
powiedzieć. Po co się bawić w szarady?... No  
tak, teraz rozumiem wszystko, ale co z tego!.. sprawa  
trudna, orzech twardy do zgryzienia nawet na  
moje zęby.

— E, spróbuj tylko,—wtrącił zachęcająco Klap-  
permann.

— Tak, spróbuj; łatwo ci mówić.

— Hrabia przecież lubi cię podobno passyami.

— Przepada za mną, bośmy się chowali razem.

— A widzisz; wytłómacz mu, że to dla niego in-  
teres świątynny,—nie potrzebuje nawet wiele zaryzy-  
kować. O pieniądze mi tak bardzo nie chodzi,  
wystarczyłoby ich z mojej własnej kasy na całe  
przedsięwzięcie, ale ja mam w tem jeszcze inny  
cel—dodał znacząco.

Kocio z pod oka spojrzął na niego i głowę po-  
kręcił.

— Jak cię szanuję, Felixie, ciężkie zadanie.

— No, tak, ale i tysiąc rubli to okrągła sumka  
i warto się dla niej pofatygować.

— Prawda, prawda, nie przeczę, zwłaszcza  
w tych czasach; jednak sam nie wiem, jak się za-  
brać do tego, aby ci mojego Strusia obłaskawić.

Westchnął, nawet z pewną szczerością i głowę  
zwiesił a oczy utkwiał w otwartej szufladzie, w któ-

rej na samym wierzchu leżał opuszczony przez Klappermanna czek na tysiąc rubli.

Tego samego dnia nad wieczorem poszedł jednak do swego kuzyna z powierzoną sobie missyą; zastał go na swoje szczęście w doskonałym usposobieniu, siedzącego przy obiedzie.

Hrabia, który szczególniej smakował w prostych potrawach i pochłaniał całe półmiski kaszy ze śmietaną, pierogów z serem, prażuchy ze skwarkami, kołdunów i t. p. przysmaków, przekładając je nad wszelkie frykasy, zapychał sobie właśnie gardło kujawskimi kluskami, które srebrną łyżką jadł wprost z rondla, przyniesionego mu z kuchni.

Wąsy i broda świeciły mu się od tłustości, którą ocierał serwetą, poplamioną już śladami barszczu i sosów, sapał i mlaskał językiem z apetytem na znak zadowolenia.

— A, Kocio!... jak się masz?... — zawołał na powitanie kuzyna, wchodzącego bez wszelkiej ceremonii do stołowego pokoju; — późność przyszedł. *Tarde venientibus ossa.* A żałuj, co za kluski!... delicye!... o masz, skosztuj przynajmniej.

Wyciągnął do niego łyżkę z kluskami, zamiast ręki na powitanie.

Kocio otworzył usta, wysunął język i pozwolił sobie na skosztowanie włożyć resztkę pańskich przysmaków do gęby.

— Wybornel... doskonałel... paradnel... ostatni raz jadłem takie u Chabrowiczów na Kujawach; rozkosz, nie kluski! — chwalił z miną wytrawnego smakosza. — Należno mi wina, — zwrócił się do lo-

kaja i po kilku jeszcze obojętnych zapytaniach, zagadnął wprost po francusku hrabiego kuzyna:

— Czy ty wiesz, po co ja do ciebie przychodzę? anibyś się domyślił.

Hrabia kawałkiem chleba wymaczywał tłuszcz z rondelka.

— Anibym się domyślił, — powtórzył machinalnie.

— Założę się, że nie zgadniesz.

— Nie zgadnę.

— A widzisz; przyszedłem, abys mi pożyczył tysiąc rubli.

Struś głowę przekrzywił i wpatrzył się w niego ze zdziwieniem.

— No, tegobym nie był zgadł z pewnością — rzekł głosem jak z pod ziemi. — Ani klusek, ani tysiąca rubli już więcej nie dostaniesz. Chyba czarnej kawy i to bez likieru, bo mi już zabrakło, a nowej butelki szkoda dla ciebie jednego rozpozczynać.

Kocio śmiać się zaczął.

— No to każ przynieść tego starego koniaku, cośmy pili w niedzielę przy śniadaniu; ale co do rzeczonego tysiąca, całkiem seryo robię ci tę prozycyę.

Hrabia wysunął nogi i rozpiął kamizelkę na brzuchu.

— Proszę cię, nie irytuj mnie po obiedzie.

— Nie dasz?

— Nie dasz.

— Stanowczo?

— Stanowczo.

— No, to nie trzeba; da za ciebie kto inny.

— Ciekawy jestem kto taki?

— Klappermann.

— Co za Klappermann?... bankier?

— Jest tylko jeden.

— Żyd?

— Cóż znowu!... skądżeby żyd?... zapomniał dawno kiedy był żydem.

— Chce ci pożyczyć?... to głupi.

— Chce dać.

— Za darmo?

— Nie, faktornego.

— Co takiego?

Struś Wydźzewski wytrzeszczył oczy, jakby zrozumieć nie mógł kuzyna.

— Faktornego?... tobie?... a to za co?... może ty mu majątek jaki stręczysz?

Kocio ruchem głowy zaprzeczył.

— Nie, jeszcze do tego nie doszło; ja mu stręcę ciebie.

— Mnie?

— A tak, ciębie; i wiesz na co?... na dygnitarza. Musisz kopać węgiel.

Hrabia jeszcze większe oczy zrobił.

— Co ty znów gadasz?... zwaryowałeś, czy co?

— Wcale nie zwaryowałem; musisz kopać węgiel — powtórzył, — i robić miliony.

— Jakim sposobem?

— Ha, tego to już ja nie wiem, ale to ci wytłómaczy szczegółowo sam Klappermann, a on się zna na tem, ho-hol...



I zaczął ogólnikowo opowiadać kuzynowi o zamierzonym przedsięwzięciu, w którym ofiarowano mu udział.

Hrabia słuchał, dłubiąc w zębach wykałaczką i rozmyślał.

Kocio poznawszy po jego minie, że jest zajęty samą sprawą, zapalił się, rozwodził coraz szerzej nad przedmiotem, o którym sam nie wiele miał pojęcia, improwizował i wysilał się na argumenta najrozmaitsze, aby kuzyna przekonać ostatecznie, że powinien przynajmniej skorzystać z okazji poznania interesu na tak wielką skalę.

— Mój drogi — mówił do niego, — ludzie tacy, jak ty, z takim nazwiskiem, z takim majątkiem, nie powinni siedzieć za piecem, tylko stawać na widowni. Zresztą, powiem ci po prostu prawdę, chcesz wiedzieć?... jak tacy Wydźzewscy usuwać się będą, to tacy Klappermannowie i stokroć gorsi od nich chwycą wszystko w swoje ręce, a wtedy co?...

Zarzykował, stawiając takie pytanie hrabiemu, ale wiedział, że go na próżność weźmie.

— Zresztą, mój kochany, kupić nie kupić, portargować można — ciągnął dalej, — cóż ci to szkodzi?... przekonasz się, że warto, to dasz swoją firmę, weźmiesz udział i przyczynisz się, jak na Wydźzewskiego przystało do przedsięwzięcia, które ma poważne ekonomiczne znaczenie.

Hrabia zaczął oczy mróżyć; spać mu się po obiedzie zachciewało — głowę ciężko zwiesił, brodę oparł prawie na piersiach i młynkując palcami na

brzuchu, patrzył na Nahalskiego z miną najedzonego sybaryty.

— Tobie ten tysiączek rubli pachnie — zauważył ze śmiechem.

Kocio nie skonfundowany wcale temi słowy, z całą otwartością przyznał się szybko:

— A rozumie się, że pachnie; interes czysty, ciekawy jestem, czemu nie miałbym zarobić?... od ciebie ich nie wyciągnę, prawda?

— O, nie!...

— A widzisz; żeby rzecz nie warta była grosza, Klappermann nie dawałby takiej summy. Zresztą o co chodzi?... o to, abys się z nim rozmówił osobiście. Korona ci przecież z głowy nie spadnie, jeśli pójdziesz do niego.

Wydżzewski się ocknął i podrzucił ramionami.

— Cóż to, ja mam jeszcze chodzić do niego?...

— No, nie, tylko jak ci złoży wizytę i poprosi na sessję, trzeba przecież pójść.

— Ani myślę; moja noga u żadnego żyda nie powstała dotychczas.

— Żyd co innego, a interes co innego — przekładał Kocio, — co tobie tak ten żyd do głowy zajechał!... Klappermannowie nie żydzi, powtarzam ci, a miliony nie mają żadnego wyznania.

— To niech on mnie szuka a nie ja jego, — z uporem i butą przerwał mu hrabia.

— Rozumie się, że tak zrobi — podchwycił szybko Kocio, — o tem przecież mowy nie było, 'abyś ty pierwszy...

— No, chyba... spodziewam się! Do mnie tu nie tacy przychodzą.

Nahalski tryumfował w połowie.

— I tak być powinno — zauważył z miną pochlebey,— tylko potem będziesz musiał go rewizytować.

Hrabia się zachnął.

— Ani myślę.

— Jakto?... nie poszedłbyś do niego?

— Z wizytą?...

— A któż mówi o wizyciel!... w interesie. Przecież nie pójdziesz sam jeden. Chociaż dają ci słowo, dom wart widzenia. A jakiego mają kucharza!... fiu, fiu!... twój mógłby pójść do niego jeszcze na praktykę.

— No, no!... nie przesadzaj — ujął się Wydźzewski, który swego Tomasza uważał za mistrza w sztuce kulinarnej.

— Nie wierzysz?—zwrócił się z miną ważną do niego Kocio,—nie wierzysz?... no, to się przekonaj. Takiego indyka z kasztanami, jakiego podają u Klappermannów, albo na co indyka!... zrazy, proste zrazy zapiekane w chlebie, dam sto rubli na ubogich, jeśli ci gdzieindziej coś takiego zrobić potrafią.

Wydźzewskiemu oczy się zaświeciły; ciekawość smakosza się w nim zbudziła.

— A ty jadłeś kiedy u mnie zrazy zawijane z kaszą? — spytał urażony pochwałą oddawaną czyjejs tam kuchni;—nie jadłeś?... no to przyjdź jutro, zobaczysz.

— Przyjść mogę, czemu nie!... tylko czekaj-no, czy ja nie mam jakiego obiadu na jutro?... piątek, piątek... a, mam, u Palczyńskich; ale tam z postem,

to wołę u ciebie. *Bene*, masz mnie jutro przy zrazach, ale z góry wiem, że się ani umyją do tamtych.

— Głupiś! — z niechęcią bąknął hrabia i zadzwonił na lokaja.

— Przyszlesz mi tu Tomasza z kuchni, tak, jak jest, przy fartuchu, byle prędzej — rozkazał, zajęty już jedną tylko rzeczą, godną jego uwagi, ową wyższością zrazów u jakiegoś tam pana Klappermanna.

Poruszony był w tej chwili i kto wie, czy ta kwestya tak zręcznie wpleciona przez Nahalskiego w układy o nawiązanie stosunku z przyszłym prezesem „Postępu,” nie rozstrzygnęła sprawy.

W dwa dni później Klappermann był z wizytą u Strusia-Wydzzewskiego, a w tydzień odbyła się pierwsza narada nad złożeniem konsorcjum do eksploatacyi kopalni węgla „Puszcza,” z kapitałem udziałowym pod firmą hrabiego i spółki.

Interes, co prawda, nie doszedł do skutku, ale właściwy cel Klappermanna został osiągnięty; do domu jego wszedł w charakterze gościa pierwszy hrabia i rozjaśnił sobą salony Julii Heleny.

Indyk z kasztanami i zrazy zapiekane w chlebie zrobiły swoje; co rozpoczął tak dyplomatycznie kuzynek Kocio, to dokończył kucharz finansisty.

Hrabia musiał przyznać, że jego kuchnia aczkolwiek wyborna, nie stała jednak pod względem subtelności rozmaitych smaków na równi z kuchnią Klappermannów a już co do win, likierów i cygar hawańskich, nie było co kusić się o konkurencyę.

Powoli, jedna gruba ryba złowiona sprytnie na wędkę, stała się wabikiem dla innych; za Wydzze-

wskim, który sam nie wiedział jak i kiedy dał się wciągnąć w towarzyskie stosunki z Klappermannami, poszedł ten i ów, a nareszcie i sama Graniecka, pomimo tego, że się najdłużej opierała i walczyła ze swoją dumą arystokratyczną, dała się w końcu namówić, aby na jakiś wieczór u siebie zaprosiła „z finansów“ po raz pierwszy kolegę swego kuzyna Wydzzewskiego, z żoną.

Julia Helena zapomniawszy, że ją odprawiono niegdyś bez ceremonii od tych samych drzwi, przez które teraz wejść miała zaproszona, z tryumfującą miną ukazała się w salonie Granieckiej, zabawiła w nim jednak bardzo krótko pod pozorem, że ma jeszcze drugi wieczór u innych hrabiów, na który wcześniej obecność swoją przyrzekła.

Uważano to nawet za pewien dowód taktu z jej strony i nie zrozumiano właściwej jej intencji.

A jednak w każdym słowie, w każdym spojrzeniu Julii Heleny wyrażała się ta myśl:

— Przyszłam, aby tu być; wychodzę, aby was przekonać, że w innym salonie także mnie przyjmują i oczekują.

Z latami, po przełamaniu pierwszych lodów, stosunki z domem Klappermannów wiązały się w coraz szerszą sieć, rosły, zagarniały coraz dalsze sfery; bale, rauty, obiady gromadziły wszystko, co błyszczało choćby tylko chwilowym blaskiem. Julia Helena rozwinęła istny talent w grupowaniu sobie towarzystwa; była w swoim rodzaju kolekcjonistką w układaniu bukietu, w którym tylko *fine fleur* mógł znaleźć pomieszczenie.

Na czwartkach wrzało w jej salonie, jak w ulu.

Kiedy po kilkakrotnych przypomnieniach Bernard Sandstein zdecydował się wreszcie złożyć swoje uszanowanie pani prezesowej i wybrał się na jeden z jej jour-fixów, został przyjęty z nadzwyczajną uprzejmością przez samego gospodarza domu, który u drzwi wziął go pod ramię i przez trzy salony oświetlone i urządzone z przepychem zaprowadził aż do budoaru swojej małżonki, aby go jej osobiście przedstawić i polecić szczególniejszym względem.

— O, myśmy się tu pana już przez kilka czwartków spodziewali—rzekła mu Julia Helena z uśmiechem bardzo łaskawym i ujmującym, który nader rzadko zjawiał się na jej ustach.

Skłonił się grzecznie i zajmując wskazane sobie miejsce obok niej, odparł:

— Żałuję, że się tak bardzo spóźniłem, ale miemam wieczorami tyle zajęć, a nadto odwykłem tak od życia towarzyskiego, że...

— Zrobił się pan za wielkim domatorem, — przerwała mu, — to za wcześnie, jak na wiek pański. Świat ma swoje prawa, których mu zaprzeczać niepodobna.

— Jakie?—spytał spokojnie, patrząc jej w oczy.

— Ma prawo wymagać, aby ludzie mili, przyjemni, pożyteczni, jak pan, od czasu do czasu przynajmniej z nim się komunikowali.

Bernard na ten komplement niespodziewany odpowiedział uśmiechem i skłonił głowę przed gospodynią, wyróżniającą go tak łaskawą opinią.

— Pozwoli pani, że żadnego z tych przymiotni-

ków nie wezmę do siebie — rzekł, — bo do żadnego z nich się nie poczuwam.

Klappermannowa zciągnęła zlekka brwi; nie podobąło się jej to odrzucenie pochwały, którą zbyt hojnie obdarzyła gościa, zaleconego jej szczególnie przez męża.

— Zbytek skromności — powiedziała już tonem suchym i dodała:

— Mąż mój wiele pochlebnych rzeczy opowiada nam o panu po każdej sessyi w „Postępie.“

— W takim razie zbytek łaski ze strony pana prezesa — odezwał się Bernard, — bo na każdej sessyi toczymy ze sobą formalne spory i w wielu kwestyach różnimy się biegunowo.

— Czy tak?... w sprawach fachowych zapewne muszą zachodzić różnice zdań, ale poza niemi...

Przerwała sobie, dając wachlarzem znak pulchnej blondynce, która w tej chwili stanęła we drzwiach od salonu.

— *Maman?* — spytała, podchodząc do matki i nachylając się ku niej.

— *Monsieur Sandstein* — *ma fille*, — zaprezentowała ceremonialnie gościa i córkę, dodając:

— Kamciu, zabaw tu pana, ja zobaczę, co się dzieje w salonie.

Bernard powstał z ukłonem i spojrział dość obojętnie na pannę Kamillę Klappermann, która po francusku zaczęła rozmawiać z nim w tym szablonowym stylu salonowych dyalogów, złożonym z wielu słów bez treści.

— Zdaje mi się, że nie miałam dotąd przyjemności spotkać pana ani u nas, ani nigdzie w towarzy-

stwie? — mówiła jednym ciągiem, nie czekając odpowiedzi na swoje zapytania, — pan zapewne od niedawna w Warszawie?... porobił pan już dużo znajomości?... U nas czwartki bywają zwykle bardzo liczne, dzisiejszy zapowiada się równie dobrze. Spotka pan tutaj cały świat; będzie kilka pań bardzo ładnych. Czy pan nie zna pani Kaliskiej z Poznańskiego?... młoda mężatka, bardzo bogata i z bardzo dobrej rodziny. To nasza dobra przyjaciółka, a właściwie mamy; poznały się zeszłej zimy w Nizy. Pan zapewne zna Nizzę?... przesłizna miejscowość, prawda?... Ja tam byłam po raz pierwszy, ale przyrzekłam sobie, że będę jeździła każdej zimy, rozumie się z mamą. Czy może być coś nieznośniejszego, jak siedzieć tu w kraju podczas mrozów, albo na wiosnę. Co za błoto, co za pogoda!... okropność!

Mówiła to, jak nakręcona pozytywka, bez zająknienia, machinalnie, wodząc oczyma po buduarze i zaglądając do sali, w której przesuwwały się strojne damy i panowie we frakach, służba roznosząca na dużych srebrnych tacach herbatę, a wśród tego lawirowała, jak łabędź, jej matka, czyniąc honory domu.

Bernard nie domyślał się, że przeszedłszy tylko przez salony państwa prezesowstwa, zwrócił już uwagę na siebie; zaczęto o nim mówić, szeptać, interesować się jego obecnością.

Blatt, który z baronową Lipecką swoim zwyczajem siedział w kącie salonu i rozmawiał, uśmiechnął się bardzo znacząco, zobaczywszy z jaką uprzej-



mą miną Klappermann swego antagonistę z Zarządu wprowadzał do salonu.

— Zna pani młodego Sandsteina?— spytał swej towarzyszki.

— Pięknego Bernarda?... a którażby go z nas nie znała!

— Jest tutaj dziś.

— A to jakim cudem?... gdzież on?... pokaż go pan?...

Ożywiła się i przykładając do oczu lornetkę na długiej ręczce szyldkretowej, zaczęła się rozglądać po sali.

Blatt wskazał głową w kierunku buduaru.

— O teraz przechodzi właśnie obok pani męża.

— Trzeba go będzie poznać nareszcie— rzekła— słyszałam o nim dotychczas tyle, a nie mogłam spotkać go nigdzie. Żyje podobno, jak odludek, od czasu rozejścia się z żoną, chociaż jej nie kochał.

— Za to w nim kocha się na zabój śliczna dziewczyna.

— Któż taki?

— Sammetówna Malcia, córka współnika jego ojca.

— Ach, ta ogromna?... karyatyda!... no i cóż?... bez skutku?

Blatt nachylił się bliżej ku niej i z jakimś śmieśznie melancholijnym grymasem na ustach szepnął jej prawie w ucho:

— Jak ja.

Przegrodziła się od niego wachlarzem i cofnęła, ostrzegając:

— Dajże pan pokój, patrzą na nas, — a w tej samej chwili, zwróciwszy się do księcia Janusza, który przez monokl trzymany z gracyą w dwóch palcach szukał swej żony na sali, zawołała z uśmiechem:

— Zabierz pan swego teścia ode mnie, bo mi tu uszy wiedznią od jego rozmowy!...

Księżę zbliżył się ruchem dystyngowanym do młodej mężatki i po francusku zaczął:

— Papa ma swój styl, pani wie o tem, ale podobno tylko dla panien niezrozumiały.

Blatt pół-żartem a pół-seryo odsunął go zlekka od baronowej i rzekł:

— Dajno pokój, nie przeszkadzaj nam flirtować; idź sobie do swojej żony.

Księżę z pod oka spojrział na teścia i skłoniwszy się przed Lipecką z uśmiechem salonowca, pożegnał ją słowami:

— Madame! papa robi nam konkurencyę na każdym polu.

Nieopodał w gronie kilku młodych ludzi Seliger, wspinając się na palcach i mrugając oczyma z niezwykłym zadowoleniem, opowiadał im, dlaczego się spóźnił na wieczór; wracał z teatru, odprowadzał jakąś cudowną kobietę, w butonierze miał kwiatek, na który spoglądał raz po raz z miną tajemniczą, mówiąc:

— Żebyście wiedzieli, od kogo go dostałem!... nie zgadniecie, daję wam uroczyste słowo honoru, — a potem zwracając się do jakiegoś blondyna z baczkami, w kołnierzyku tak wysokim, że mu

wykrochmalone końce brodę przedziurawiały, rzekł z zachwytem:

— Jak ta pańska Janka dziś wyglądała! — marzenie!... aż mi się oczy do niej przylepiły.

W innych grupach mówiono o Sandsteinie.

Kobiety były ciekawe poznać go osobiście; nazywano go „interesującym.“ Dziwiono się, że go tu na czwartku spotykano; pytano, co to znaczyć może?... przecież on nigdzie nie bywa, nawet na zebraniach u swoich rodziców. Zerwał ze światem zupełnie.

A szkoda!... taki przystojny z tą bladą cerą i czarnymi włosami. Spoważniał tylko zanadto, odkąd zapuścił tę brodę, zresztą zawsze śliczny, jak za swoich kawalerskich czasów.

Ale czemu z tego buodaru nie wychodzi?... zasiedział się z prezesówną i pozwala się nudzić jej ćwierkaniem. Kamcia przecież nie może być wcale zabawną ani zajmującą dla takiego człowieka, który porzucił hrabiankę Tolę Zabiełowską; bo to on ją porzucił, a właściwie rozszedł się z nią, przekonawszy się, że szczęśliwi z sobą być nie mogą.

Postąpił jednak, jak gentleman, zwrócił jej dziecko.

Czy też oni się z sobą widują kiedy?... może piśnią do siebie. Ona siedzi na wsi, ale mu dziecko przysłała podobno kilka razy do roku. O tem opowiadają różnie; możnaby się najlepiej dowiedzieć tylko od niego samego.

Stanowczo, interesujący mężczyzna; a gdyby dostał rozwód mógłby się jeszcze ożenić. Czemu

nie?... chociaż na co miałby po raz drugi próbować! Gdyby tylko zechciał, to i tak...

W tym tonie prowadzono o nim rozmowę, podczas gdy on sam nie ruszał się z budoaru, chociaż panna prezesówna dawno już go opuściła, wyczerpawszy cały zapas komunałów, jakimi tego wieczoru rozporządzała.

Miejsce jej zastąpił ojciec; znać było, że się wyjątkowo zajmuje swoim gościem i daje mu to do poznania nieustannie.

W chwili, kiedy po raz dziesiąty robił Bernardowi propozycję, czyby nie zechciał przejść do salonu, zbliżył się do niego lokaj z miną zmieszaną i szepnął mu coś dyskretnie po cichu.

Klappermann poczerwieniał, zmarszczył brwi i usta zaciął; wiadomość musiała być ważną i nieprzyjemną.

— Przepraszam pana — zwrócił się do Bernarda, powstając, a lokaja spytał żywo, starając się pokryć wrażenie, jakie na nim sprawiła usłyszana nowina:

— Jakto?... w kantorze, na dole?

— Tak, proszę pana prezesa.

— Może omdlał tylko?

— Ale gdzie tam, umarł, ze wszystkim umarł,— powtórzył służący, wystraszonemi oczyma spoglądając na swego pana.

— Cicho bądź, ani słowa nikomu, ja tam zaraz zejde.

I za lokajem wyszedł bocznemi drzwiami z budoaru.

Wiadomość, którą mu przyniósł służący, dotyczyła smutnego wypadku w kantorze; około północy zachorował tam młody rachmistrz, pracujący nad sprawdzaniem rozmaitych pozycji przy obliczaniu zysków i strat w transportach węgla i surowca według zmienionej taryfy przewozowej.

Polecono mu przed tygodniem wykonanie tej roboty bardzo drobiazgowo, z zastrzeżeniem, aby się starał uniknąć pomyłek i niezadowolonia pana prezesa.

Blatt, który zajmował w kantorze stanowisko naczelnego kierownika, od czasu rozmowy z Klappermannem, zwrócił szczególniejszą uwagę na Fleischera; posądzenie, jakoby przez niego dostawały się na zewnątrz rozmaite tajemnice przedsiębiorstwa, zaciążyło fatalnie nad młodym, potulnym pracownikiem kantoru.

Coraz dotkliwiej musiał to odczuwać, że jest źle widzianym w Zarządzie i że lada chwila może „wylecieć“ z posady, która dawała utrzymanie jemu, matce, wdowie po agencie giełdowym i siostrze nieletniej.

— Panie Fleischer, pilnuj się pan! — powtarzał mu codziennie pan dyrektor Blatt, — bo będzie źle.

To „pilnuj się“ było jakby ostrzeżeniem i pogroźką zarazem.

Koledzy biurowi zauważyli, że tego biedaka Fleischera „piłują“ od pewnego czasu i wsadzają mu szpilki przy każdej sposobności, a im więcej starał się być uległym, im gorliwiej spełniał swe obowiązki, tem bardziej zdawała się zwiększać niechęć i uprzedzenie panów naczelników do niego.

— Fleischer, postaw się, pokaż rogi! — radzili mu niektórzy śmielsi z officyalistów „Postępu,“ — nie bądź niuńką, bo cię zagryzą, zobaczysz! — ale młody człowiek w obawie, aby nie stracić kawałka chleba, o który mu tak bardzo chodziło, nie mógł się zdobyć na odwagę zadarcia z Zarządem.

— Niech tam, — odpowiadał zrezygnowany, — jeszcze wytrzymam, ale jak mi tak dłużej dopiekać będą, to jak Boga kocham...

Nie kończył, bo dobrze nie wiedział sam, co zrobi, doprowadzony do ostateczności; siadał do swego biurka i tonął w lawinie aktów, cyfr i rachunkowych kombinacji.

Z jakimś rozpaczliwym wytężeniem szkapy furmańskiej śmiganej batem, starającej się pociągnąć przeladowaną brykę, zabierał się do pracy, aby ostatecznie przekonać uprzedzonych swych chlebobodawców, że mu na najlepszych chęciach nie braknie.

Od tygodnia męczył się do godziny drugiej i trzeciej po północy, wysiadując sam jeden w kantorze, aby zmuśnią i pogmatwaną robotę ukończyć na czas.

W oczach mu się émiło, chwilami omdlewał prawie nad biurkiem; kolumny cyfr rozłaziły się po papierze i jak rozgrzebane mrowisko roiły się przed jego zmęczonemi oczyma. Przymykał powieki, aby na chwilę wzrok wypoczął i strudzona myśl wróciła do równowagi; co najgorsza, że skutkiem przemęczania uwagi mylił się w pośpiechu i doszedł do takiego stanu rozdrażnienia, że łamał o-

łówki z rozpacz i złości na samego siebie, nie mogąc pogodzić z sobą obliczanych pozycyi.

Owego fatalnego czwartku, w którym postanowił sobie — „żeby tam nie wiem co“ — skończyć wreszcie swoją robotę, czuł się chwilami tak wyczerpanym i znużonym, że mu głowa opadała bezwładnie na księgi.

Cucił się mocną herbatą, którą sobie zaparzał w zaimprovizowanej maszynie nad gazem i zapalał jednego papierosa po drugim, podniecając nerwy.

Kilka razy musiał wstawać od biurka i zlewać sobie głowę wodą w umywalni, w której zwykle urzędnicy kantoru myli sobie ręce po godzinach biurowych; na ciemieniu bowiem uczuwał taki ucisk, jak gdyby jakaś niewidzialna dłoń próbowała zgnieść mu czaszkę i dostać się do mózgu.

Zdawało mu się, że go kołnierzyk od koszuli dusi, jak żelazna obroża i krawat zaciska szyję tak, iż oddychać nie daje; zdjął tużurek, odpiął mankiety i po ciemnych pokojach kantoru przechadzał się, jedną ręką rozcierając czoło, a drugą tył głowy.

Wśród nocnej ciszy dochodziły go zgłuszone odgłosy rozmów i dźwięki fortepianu z salonu państwa prezesowstwa na pierwszym piętrze. Niekiedy turkot karety, zajeżdżającej w bramę, wydawał mu się grzmotem, huczącym w jego rozpalonych skroniach.

Zatykał wtedy uszy, bo mu to fizyczny ból sprawiało.

Około wpół do pierwszej rozbudził woźnego i kazał sobie przynieść zimnej wody z podwórza,

a sam, aby się przemódz, usiadł na swoim zydelku i próbował rachować dalej, choć mu przed oczyma wirowały czarne punkciki i raz po raz krew uderzała do głowy.

— Coś mi się dziwnego robi — rzekł do woźnego, który mu podawał karafkę z wodą,— co to jest?... mój Mikołaju, mnie się zdaje, że...

W tej chwili głowa mu zwisała, poezerwieniał, jakby ukropem zlany, wargi mu posiniały, powieki zadrgały i usunął się z zydelka na podłogę.

Przestraszony woźny bryznął mu wodą w twarz, rozpiął mu koszulę na piersiach i począł go cucić, przemawiając z współczuciem:

— Panie Fleischer, dajże pan pokój!... panu się słabo zrobiło?... może pana odprowadzić do domu? panie Fleischer, słyszy pan?... wstańże pan z tej podłogi, to pana na kanapkę przeprowadzę. No, widzicie ludzie, co się z tym biedakiem robi, ol... ol... jak mu to coś tam w gardle bulkocze. Jezus, Marya, panie Fleischer, co panu jest?

Ale pan Fleischer nie słyszał już niczyjego głosu, bo fala krwi zalewająca mu mózg, zgłuszyła swym szumem wszystko raz na zawsze dokoła niego.

W chwili, gdy sprowadzony z góry Klappermann, wchodził do kantoru, śmierć związała już skrzydła nad swoją ofiarą.

Na podłodze, rozebrany do połowy, w kałuży wody, którą wylał mu na głowę przy cuceniu Mikołaj, wyciągnięty na wznak leżał już Fleischer bez ruchu, bez czucia, bez znaku życia.



— Ani zipnął, proszę pana prezesa — objaśniał woźny, łamiąc ręce, ze łzami w oczach, przejęty do głębi tym wypadkiem, — ino się pochylił i fajt z koziołka na ziemię. Ja tu do niego mówię: panie Fleischer, co pan najlepszego robisz? — a ten nic, tylko oczy w słup i już po nim. Wylałem mu całą karafkę wody zaraz na głowę, trząśłem nim i tak, i tak, ale to już się na nic nie zdało. Zasnął, jak kurczątka, proszę pana prezesa, nawet nie miał biedaczek czasu zawołać: Jezus, Marya!... Ot, takie życie ludzkie!... szkoda człowieka, sprawiedliwie mówiąc... Ale to ani zipnął, ani zipnął!

Klappermann nachylił się nad ciałem swego officyalisty z pewnym instynktowym lękiem, ale nie śmiał dotknąć go i zbliżyć się zanadto; śmierć budziła w nim odrazę.

— Pójdźno na górę i poprosz tu doktora Cieszyńskiego, jeżeli jeszcze nie wyszedł — zwrócił się do lokaja — sprowadź także pana Blatta; tylko nie rozgadywać tam zaraz, co się stało.

Mikołaj kraciatą chustką od nosa ocierał zmęczoną twarz i włosy nieboszczyka, powtarzając jedne i te same szczegóły i biadając nad marnością ludzkiego żywota.

Pan prezes stał blady i zmieszany, nie przemówiwszy ani słowa; rozmyślał nad wypadkiem, który go tak nagle a tak niepotrzebnie zaskoczył. Najbardziej go to dotknęło, że ta śmierć wydarzyła się w miejscu tak niestosownem, jak kantor. Rozważał wszystkie konsekwencye, jakie to za sobą pociągnąć może i widać było, że jest bardzo niezadowolony; wyglądał tak, jak gdyby miał pre-

tensyę do nieboszczyka, że nie umarł sobie w domu, albo gdziekolwiekindziej, byle nie tutaj.

Wreszcie wzrok jego padł na rozłożone księgi na biurku i dostrzegł czarną plamę atramentu, który sączył się z przewróconego kałamarza na papier; upadając, rażony apopleksyą, potracił widocznie Fleischer sam ten kałamarz, i wylał go na niepokończone rachunki.

Klappermann skrzywił się niechętnie, emoknął ustami, podszedł do biurka i wyrwawszy arkusz czerwonej bibuły z podkładki do pisania, zaczął starannie zcierać nią atrament.

Poplamione księgi odwróciły jego uwagę od trupa, leżącego u stóp jego na podłodze; gdyby był nieboszczyk ożył, byłby zapewne usłyszał przedewszystkiem wyrzut z ust pana prezesa:

— Panie Fleischer, jak można być tak nieostrożnym!... poplamiałeś pan atramentem księgę główną, cóż teraz będzie?...

Pierwszy i ostatni raz jednak pan Fleischer nie sobie nie robił z niezadowolonej miny pana prezesa.

## C.

W kantorze „Postępu“ na drugi dzień wrzało, jak w kotle.

Od samego rana mówiono przy wszystkich biurkach tylko o wypadku, jaki się wydarzył ubiegłej nocy.

Koledzy nieboszczyka przejęci byli do głębi jego śmiercią; za życia cieszył się ogólną życzliwością i sympatją.

Mikołaj, jako świadek ostatnich chwil Fleischera, musiał po raz setny opowiadać wszystkie szczegóły.

— Doktor powiedział; że go krew zalała,—mówił stary woźny—a ja to pierwszy poznałem, proszę panów, bo zczerniał nie przymierzając, jak święta ziemia. Wylałem mu cały dzbanek wody na głowę, ale gdzie tam!... ani zipnął.

Po mieście rozniosła się przed południem wiadomość o wypadku; popołudniowe dzienniki podały ją, jako fakt bieżący bez wszelkich na razie komentarzy.

Dnia tego nie widziano w kantorze nikogo z członków Zarządu. Klappermann nie schodził wcale do biura, a Blatt posłał tylko po głównego buchhaltera Zarewicza i miał z nim u siebie poufną konferencję.

— Nie wie pan, co o tem na mieście mówią? — zagadnął go niby obojętnie.

Zarewicz, jeden z najstarszych oficyalistów „Postępu,” mruk, na pozór przykry i nieprzystępny, wzruszył tylko ramionami i odparł:

— Nic nie wiem.

— A w kantorze?

— Także nie wiem.

— Jak to być może?... niepodobna, żebyś pan nie słyszał, co mówią, — nalegająco trochę badał dalej pan dyrektor.

— Cóż mają mówić!... mówią to, co prawda, — zdecydował się wreszcie odpowiedzieć stary buchalter.

— Cóż takiego?... hm?

— Mówią, że się chłopak zapracował ze zbytku gorliwości.

Blatt ramionami wzruszył.

— Zapracował, zapracował!... któż mu winien, że był takiej kompleksy?... widziałeś pan przecie, że był zawsze czerwony, jak rak. Chłopak krwisty, musiał się nie szanować, Bóg wie, co mu tam zaszkodziło!... Nie łatwiejszego, jak zrobić z tego plotkę. My przecież naszych ludzi nie zamęczamy; pan wiesz o tem panie Zarewicz. Całe nie-szczęście, że się to stało w kantorze.

— Gdzie indziej możeby się było nie stało, — mruknął stary weredyk — niema czego obwijać teraz w bawełnę, panie dyrektorze.

Blatt spojrział na niego z pod oka.

— Mówisz pan to tak, jakbyś podzielał zdanie swoich kolegów, a przecież pan tyle lat u nas pracujesz i jakoś żyjesz. Bogu dzięki i wielu innych także. Śmieję się pan z tego, żeby dziś ludzie umierali z przepracowania albo z głodu. To się tylko tak mówi. W każdym razie wypadek ten bardzo przykry.

Zarewicz głową skinął.

— Rozumie się, że przykry; straciliśmy dobrego pracownika. Została matka, siostra, brat, którym pomagał. Tam bieda, panie dyrektorze.

Blatt udał, że tej uwagi nie dosłyszał.

— Czy on miał u nas jakie zaliczenie? — spytał po chwili.

— Nie wielkie, jakieś dwadzieścia pięć rubli...

— A nie wiesz pan, czy pensję za ten miesiąc wybrał?

— Nie całą, należy mu się jeszcze trochę.

— To wypłacić, nie strącając za ostatni tydzień.

Zarewicz głowę odwrócił; zimna krew pana dyrektora irytowała go widocznie.

— Z nieboszczykami trudno prowadzić tak skrupulatne rachunki, panie dyrektorze, — zrobił śmiałą uwagę; — to, co mu się należy i tak na pogrzeb nie wystarczy.

— Przecież go z muzyką chować nie będą, — odparł Blatt, a po chwili namysłu spytał znowu:

— Czy masz pan kogo upatrzonego na miejsce Fleischera?... trzeba go będzie zastąpić od jutra; roboty się nabierało dość a nieboszczyk zapewne nie pokończył wszystkich wykazów mimo to, że się nad nimi... zapracował.

Zarewicz poprawił okulary i z poza nich popatrzał na pana dyrektora jakoś dziwnie, jakgdyby z urazą za tę przymówkę.

— Sądziłbym, że należałoby — rzekł — posunąć którego z młodszych praktykantów naszych na tę posadę. Jest np. taki Bzowski, albo Łopaczyński, obaj zdolni i wyrobieni ludzie a od półtora roku czekają na awans.

Blatt wydał usta z grymasem.

— Mogą jeszcze poczekać, — odparł; — mojem zdaniem możnaby robotę tymczasowo rozdzielić na kilka rąk a do pomocy przyjąć jednego aplikanta więcej. Pan Seliger wspominał mi, że ma jakiegoś młodego człowieka z ukończoną szkołą handlową i chciałby go pomieścić u nas w kantorze. Kandydatów nie zabraknie.

Zarewicz pogładził się po swojej wygolonej twarzy ruchem ręki niecierpliwym i bąknął:

— Zapewnel... hm!... zapewne, ale brać na posadę odpowiedzialną znowu bezpłatnego aplikanta, to nie wiem... nie wiem, czy to dobrze. Mamy ich już kilku w kantorze.

— Będzie zatem o jednego więcej — spokojnie ale stanowczo wtrącił pan dyrektor, — w każdym razie niech się pan zastосуje do dyspozycyi mojej tymczasowo; później zobaczymy.

Na tem skończyła się rozmowa starego buchaltera z przełożonym.

Nad wieczorem raz jeszcze został wszelako zawezwany do Blatta, który dowiedziawszy się, że koledzy Fleischera zbierają między sobą składkę na pogrzeb dla nieboszczyka i zapomogę dla rodziny, zrobił mu wyrzut, iż nie uważał za stosowne uwiadomić nikogo o tem z Zarządu.

— Dlaczego mi pan o tem nic nie powiedziałeś? — spytał z widoczną irytacją, — zdaje mi się, że powinienem wiedzieć o tem. Co to za składki?... na co?... po co?... To manifestacja przeciwko Zarządowi!... nie potrzeba żadnych składek... Zarząd go pochowa... Proszę pana zająć się pogrzebem na nasz koszt.

Buchalter oczy otworzył szeroko, nie mogąc uwierzyć własnym uszom.

Nie wiedział, iż od Klappermanna przed godziną przyszedł bilecik z doniesieniem, iż w kantorze robią jakieś konszachty i zbierają pieniądze, a po mieście z tego powodu krążą znowu bardzo niekorzystne pogłoski.

— A jaką kwotę pan dyrektor przeznacza na pogrzeb? — spytał Zarewicz.

Pan dyrektor podrapał się srebrnym ołówkiem w głowę i odrzekł:

— Dać tyle, ile będzie potrzeba, tylko...

Zaciął się, jakby się spostrzegł, że za daleko posunął swoją hojność w imieniu Zarządu.

— Tylko co?...

— Tylko niech pan to zrobi bez ostentacyi — dokończył, — pochować porządnie, ale oszczędnie,

oszczędnie, rozumiesz pan? — powtórzył z naciskiem.

Zarewicz głową pokiwał jakoś dwuznacznie, jakby potwierdzał i jakby się litował zarazem.

W dniu pogrzebu Bernard Sandstein odwiedził Klappermanna i wystąpił z propozycją, aby pozostałej rodzinie po młodym rachmistrzu przyznać jaką znaczniejszą zapomogę.

Prezes przyjął ten wniosek z nietajonym wyrazem zdziwienia.

— Znaczniejszą zapomogę? — rzekł, — z jakiego tytułu?... pan zdaje się zapominać, panie Sandstein, że „Postęp“ nie jest Towarzystwem Dobroczyńności. My nie mamy prawa rozporządzać się funduszami naszych akcyonaryuszów. Przyznaję, że wypadek bardzo smutny, żal mi nawet tego biedaka Fleischera, ale cóż my jesteśmy winni, że go to spotkało?... pracował u nas, płaciliśmy mu pensję, na Nowy rok dostał nawet gratyfikację, chociaż nie powiem, aby należał do wzorowych pracowników, dostał zaliczkę przed dwoma miesiącami, teraz chowamy go własnym kosztem, — sędzę, że to wszystko, cośmy zrobić byli powinni dla naszego urzędnika.

Bernard motając swój czarny wąs na palcu, słuchał z uwagą, ale znać po nim było, że nie podziela zdania pana prezesa.

— Ja zaś sędzę — odezwał się po chwili, — że ze względu na wypadek tak wyjątkowy, który wywołać może mnóstwo najrozmaitszych komentarzy, ze względu nadto na opinię publiczną i na sprawiedliwość, poświęcenie pewnej sumy dla poratowa-



nia matki i siostry nieboszczyka, które pozostały podobno bez wszelkiego utrzymania, byłoby czynem nie tylko humanitarnym, ale i praktycznym.

Klappermann zadarł głowę i w sufit patrzył.

— Szanowny pan zawsze ma na ustach tę opinię publiczną! — rzekł z grymasem, — gdybym ja, albo pan, albo ktokolwiek z nas skończył nagłą śmiercią przy biurku, opinia ta nie litowałaby się z pewnością nad nami i nie oburzała na Towarzystwo, że nas przeciążało pracą. Po co z tego robić zaraz wielkie historye!... zostawmy to naszym przeciwnikom i konkurentom, którzy nie zaniedbają zrobić z tego wypadku użytek, aby nam zaszkodzić.

— Właśnie mi o to także chodzi — przerwał Sandstein, — w dziennikach czytałem już pewnie przejrzyste aluzje do naszej gospodarki i sposobu traktowania naszych pracowników.

Klappermann wziął z pod stosu papierów numer dziennika z artykułem, zakreślonym niebieskim ołówkiem i podając go Bernardowi, spytał:

— Mówisz pan o tem, prawda?... zrobili tu z tego biednego Fleischera „męczennika pracy.“ Widzisz pan, że czytałem już ten świstek i nie sobie z niego nie robię. Wiem, z jakiego źródła to wyszło; z tego samego, z którego wszystkie kalumnie od pewnego czasu tendencyjnie przeciw nam były rozsiewane. Ale bądź pan spokojny, więcej się to nie powtórzy. Dziś właśnie wezwałem do siebie redaktora tej szmaty i — otworzyłem mu kredyt do wysokości 3,000. Spodziewam się, że za tę przysługę będzie... ostrożniejszym w przyjmowaniu

plotek od swoich reporterów, bez sprawdzania ich bezpośrednio w moim biurze.

Bernard ze wstrętem odsunął dziennik i strzepnął palcami, jakby je sobie powalał samem dotknięciem tej bibuły.

— Uważasz pan, że to jest godziwy środek zabezpieczania opinii i interesów naszego towarzystwa? — spytał.

Klappermann spojrzał na niego z uśmiechem prawie politowania i rzekł:

— Godziwy czy nie godziwy, to mnie mało obchodzi, ja wiem tylko, że to jest na razie środek najpraktyczniejszy.

— Ale demoralizujący, — wtrącił Bernard.

— Być może, ale cóż robić?... Musimy się bronić przed napaścią. Wolałbyś pan, aby nas szarpali ze wszystkich stron?

— Wolałbym, aby nas szarpać nie mieli za co.

— O, drogi panie, widać zaraz, że pan jesteś jeszcze młody i idealista, skoro przypuszczasz, że tego w naszych warunkach uniknąć można. Choćbyśmy byli bez wszelkiego zarzutu, zawsze się znajdą tacy, którzy jakąś łatkę nam przypną. Masz pan najlepszy dowód w ostatnim wypadku z tym biedakiem Fleischerem. Robią nas za jego śmierć odpowiedzialnymi, wmawiają, żeśmy go pracą zabili, a pan chcesz, abyśmy się niejako w poczuciu tej winy przyznawali do obowiązku jakiejś rehabilitacji i zajmowali jego pozostałą rodziną. Wybacz pan, uważam to za bardzo szlachetne i humanitarne, ale i za bardzo niepraktyczne.

Sandstein wstał, nie ukrywając już dłużej swego zniecierpliwienia.

— W takim razie — rzekł, — uczynmy prywatnie coś dla starej Fleischerowej, złożmy się z własnych funduszków na jaką zapomogę dla niej.

Klappermann skrzywił się niechętnie, przyłapany w ten sposób.

— Owszem — odezwał się po chwili, odwracając głowę ku oknu i sięgając powoli do pugilaresu, — jeżeli się pan zechce zająć zbieraniem składek; mogę z mojej strony ofiarować natychmiast dziesięć, piętnaście rubli...

Bernard patrzył na niego z wyrazem przykrego rozczarowania i przerwał mu słowami:

— Pozwól pan prezes w takim razie, że jako inicjator rozpocznę składkę we własnym imieniu stoma rublami.

Klappermann uśmiechnął się kwaśno i z lekkim odcieniem złośliwości powiedział:

— Wedle stawu grobla... Wolno każdemu być dobroczynnym na swój sposób. Będziemy zatem mieli na początek sto piętnaście rubli — dodał z mimo i obojętnie, jak gdyby go wcale nie dotknęła nauuczka Sandsteina. — Zdaje mi się, że dzięki panu dozberamy się dwustu rubli. Jak na otarcie pierwszych łez, to dosyć.

Bernard wziął za kapelusz i żegnając prezesa, dodał:

— Na walnym zgromadzeniu naszym, które niebawem nastąpi, mam nadzieję uzyskać więcej od akcyonaryuszów, gdy im mój wniosek przedstawię co do wyznaczenia zapomogi dla rodziny officjali-

sty, który padł jak żołnierz na swoim stanowisku.

Klappermann zatrzymał jego rękę w swojej i spytał:

— I zamierzałbyś pan na seryo wystąpić z takim wnioskiem?

— Nie inaczej — brzmiała odpowiedź krótka ale stanowcza, — między innymi, wystąpię i z tym także, chociaż zapewne narażę się na opozycję pana prezesa i całej Rady.

— Będziemy zatem polemizowali z sobą?

— Trudna rada, będziemy polemizowali.

Ostatnie te słowa, jakkolwiek wyrzeczone z uśmiechem, brzmiały jednak jak pogrożka i zapowiedź walki.

Prezes odprowadził go uprzejmie do drzwi i zadzwonił na służącego, aby podał palto gościowi w przedpokoju, a wracając do biurka, szepnął między zębami:

— Zobaczymy, zobaczymy, kto mocniejszy.

W tydzień później wszelako z funduszów Towarzystwa postanowiono na posiedzeniu Rady zarządzającej przeznaczyć półtora tysiąca rubli dla rodziny ś. p. Fleischera; zwrot ten w usposobieniu pana prezesa nastąpił po głębszej rozwadze pod naciskiem opinii publicznej, która coraz głośniej szemrać zaczynała.

Do Zarządu nadeszło kilka listów anonimowych, z wyrzutami; kilku ważniejszych akcyonaryuszów przychodziło osobiście do biura dowiadywać się o ile prawdziwe są pogłoski o zamęczeniu urzędników „Postępu“ zbytkiem zajęć i pracy.

Klappermann i Blatt oskarżani byli, że postępowaniem swoim bezwzględnie wywołują zniechęcenie i niezadowolenie wśród personelu urzędniczego.

W jednym z dzienników ukazał się widocznie inspirowany artykuł o hojnej ofercie Zarządu dla opuszczonej matki i siostry zmarłego oficjalisty, który wprawdzie—„jak nas zapewniano“ — utrzymywał bezstronny organ opinii publicznej, umarł skutkiem dziedzicznej wady serca, co nawet miało być przy sekcyi stwierdzonem, jednak ze względu na gorliwość w pełnieniu swych obowiązków umiał sobie pozyskać tyle uznania ze strony swoich zwierzchników, iż ci dobrowolnie uważali za stosowne zaopiekować się pozostałą po nim rodziną.

„Budujący ten przykład stosunku pracodawców do pracowników w jednej z najpomyślniej rozwijających się dziś instytucji przemysłowych u nas, godnym jest naśladowania.“

Temi słowy kończyła się wzmianka o „hojnej ofercie“ w tym samym dzienniku, który przed dwoma tygodniami gorące wyrazy współczucia poświęcił „męczennikowi pracy...“

Jedna z najpomyślniej rozwijających się instytucji mogła rzeczywiście poszczycić się nie tyle humanitarnością swego Zarządu, ile świetnym kursem swoich akcji na giełdzie.

Od pewnego czasu szły one nieustannie w górę, jak gdyby rosły na drożdżach.

Seliger codziennie z giełdy zajeżdżał do Blatta i od progu już z rozpromienioną twarzą machał rękoma, jak wiatrak, szepecząc swoim zwyczajem:

— Świetnie!... doskonale!... piramidalnie!... poszliśmy dziś na dwieście siedmnaście i pół. Jutro przejdziemy ośmnaście, założę się z tobą. Muszę powinszować Felixowi.

Blatt się uśmiechał znacząco i małym srebrnym grzebykiem przeczesywał swe gęste bokobrody.

— To nic, to wszystko nic; tylko poczekaj—powtarzał,— zobaczysz niewidziane rzeczy. Haussa na całej linii.

Siadali potem na kozetce safianowej wcisniętej w kąt gabinetu i szeptali z sobą tak cicho, że się sami zaledwie dosłyszeć mogli; Seliger głową kiwał, jak chiński pagoda, ręką gładził swe kościste, wypukłe kolano i uśmiechał się, strojąc swoje zabawne grymasy na znak wielkiego zadowolenia.

A kursa „Postępu“ podskakiwały coraz bardziej, im bardziej zbliżało się walne zgromadzenie akcyonaryuszów, na którym Klappermann miał wystąpić z całym szeregiem nowych projektów, zapewniających Towarzystwu jeszcze większe dochody i coraz szerszy rozwój interesów.

Jedynym niedowiarkiem, który na te niezwykle uśmiechy Fortuny spoglądał jakoś nieufnie i podejrzliwie, był Bernard Sandstein; pewnego dnia spotkał się z ojcem swoim na giełdzie i miał z nim krótką, ale bardzo charakterystyczną rozmowę.

Stary Sandstein prowadził interesy finansowe na swoją rękę i od czasu fatalnego rozejścia się syna z żoną żywił do niego jakby cichą urazę, która zmąciła rodzinną harmonię pomiędzy nimi.

Widywali się rzadko, witali oziębło i stanowili

jakby dwa odmienne żywioły, które się z sobą zetknąć i zespolić więcej nie mogły.

— Mój syn ma swoją głowę i swój własny rozum — mówił ojciec Bernarda, — ja się do niego nie wtrącam. Niech robi, co mu się podoba; zobaczymy, jak daleko zajdzie. Jemu się chce świat reformować; niech próbuje.

Wiedział jednak o wszystkim, co dotyczyło interesów syna i jego działalności; uważał go wszelako za przewróconą głowę. Od czasu do czasu nie mógł się powstrzymać, aby mu nie zrobić jakiej uwagi i nie odrzucać rady doświadczonego specjalisty, który w sztuce robienia majątku tylu innych przewyższył.

Otóż któregoś dnia spotkawszy na giełdzie syna, zagadnął go zdziwiony:

— A ty co tutaj robisz?... przyszedłeś się przekończyć, jak wasz „Postęp“ piruety wykręca?... No, no, wasze akcje idą w górę, jak balon. Żeby tylko nie klapnęły tak szybko, jak szybko się podniosły. Macie prezesa, co się nieszczęśliwie nazywa. Ten Klappermann to odważny człowiek, ale ty wiesz, że śmiałków psy gryzą. Czy ty nie myślisz sprzedać swoich akcji?... co?...

— Po cobym miał sprzedawać? — odparł Bernard.

Star. Sandstein zmrózzył oczy i obrzucił syna badawczym spojrzeniem.

— Po co?... po to, aby zarobić na haussie, jak twoi koledzy.

— Jacy?

— Jakto jacy?... to ty nie wiesz?...

— Cóż mam wiedzieć?

— Nie wiesz, po co Blatt wyjechał przedwczoraj do Berlina?

Bernarda ta wiadomość zaskoczyła całkiem niespodzianie; w kantorze mu powiedziano, że pan dyrektor wyjechał na dni kilka na wieś do pana Seligera.

— Skądże ojciec wie o tem? — spytał zaciekawiony.

— Skąd wiem, to wiem; ja wiem wszystko. Od czegoż ja mam nos?... A ty nie wiesz, że Blatt siedzi w Berlinie?... przecież on drugi raz już w tym miesiącu wyjeżdża. Hh, hml... to z ciebie dobry członek Rady.

Powiedział to jakby z ironią.

— Ja ci powiem, Bernard, kiedyś tam włązł, to miej oczy tu i tu — ciągnął dalej, pokazując palcem z przodu i z tyłu głowy; — patrz dobrze na około siebie i ucz się robić interesa od swoich kolegów. Blatt to tęgi macher; ja go znam trzydzieści lat. Po nim nigdy nie poznasz, co myśli i co robi. On nawet jak udaje, że się kocha, to oblicza, ile można zyskać na tranzakcyach.

— Więc cóż ojciec przypuszcza? — spytał Bernard, usiłując odgadnąć ukrytą myśl starego.

— Ja nic jeszcze nie przypuszczam; ja tylko widzę, że Blatt za często teraz wyjeżdża do Berlina, a wasze akcye za wysoko lecą do góry. Ja ci radzę, zrób jak Blatt, sprzedaj teraz i korzystaj z kursu.

— Alboż on sprzedaje?



— Phil... głupiby był, żeby nie sprzedawał. Ja tego jeszcze na pewno nie wiem, ale gdybym ja był na jego miejscu, zrobiłbym to z pewnością. Czy ja wiem, co oni teraz robią?... Ja tylko swoim nosem wącham, że coś robią. To zresztą wyjdzie na wierzch, jak oliwa. Blatt jest macher, pamiętaj sobie. Radzę ci — sprzedaj, jeśli chcesz zarobić.

— Zapomina ojciec, że jako członek Zarządu, nie mogę tego uczynić — odparł Bernard, — nie mogę się przecież pozbywać tego, co mi daje jedyny mandat zasiadania w Radzie i zajmowania się sprawami instytucji.

Stary spojrzął na syna z politowaniem.

— Żebyś ty tak te prawa u innych kontrował jak u siebie, toby może lepiej było, — powiedział i kiwając głową, odszedł bez pożegnania.

Informacje starego, choć nie wyraźne, dały Bernardowi wiele do myślenia, naprowadziły go na ślad jakichś tajemnych operacji, które w skrytości trójca Klappermann, Blatt i Seliger prowadziła na własną rękę.

Postanowił śledzić i czekać.

Niekorzystne wrażenie, jakie sprawiła śmierć Fleischera, nie dało się tak rychło zatrzeć, ani kosztami pogrzebu, które przyjął na siebie Zarząd „Postępu,” ani ową hojną zapomogą dla rodziny, ani reklamą w pismach; mówiono o tem, rozprawiano z tego powodu, dodawano rozmaite komentarze, a wszystko wiedząca, wszędy obecna plotka, strzępiła ten temat nieustannie i wyciągała z niego coraz dłuższe i coraz cieńsze nitki.

W miesiąc jakoś po owym wypadku w kantorze, zastał Bernard pewnego dnia u siebie kartę wizytową, na której wyczytał ołówkiem niedbale i dość nieczytelnie wypisane nazwisko: Psański.

— Ten pan był tutaj już dwa razy dzisiaj — objaśnił służący.

— Nie mówił w jakim interesie?

— Nie, tylko się irytował, że przychodzi na darmo i zastać pana w domu nie może. Chciał zaczekać w salonie, ale kiedy go poprosiłem, żeby wpieryw zdjął palto i kalosze, rozgniewał się na mnie jeszcze bardziej, nawymyślał mi od fagasów, napomstował i wyszedł.

Bernard uśmiechnął się; poznał po tem dawnego kolegę z ławy szkolnej, trochę oryginała, trochę dziwaka, z którym swojego czasu prowadził wojny zaciekle na temat rozmaitych kwestyi społecznych, kiedy razem bawili za granicą w Berlinie i w Lipsku na studyach.

Od kilku lat stracił go zupełnie z oczu; spotykał tylko niekiedy artykuły z jego podpisem w dziennikach i kilka broszur, w których z dużym rozmachem traktował sprawy ekonomiczne i socyologiczne, głosząc z dobrą wiarą, ale z chaotyczną erudycją rozmaite poglądy i zasady na zagadnienia chwili bieżącej.

Miał lat trzydzieści kilka, gęstą czuprynę, bystre niespokojne oczy, twarz kościstą, nos cienki i chudy, brodę śpiczastą i rzadki zarost na twarzy.

Nosił się zawsze trochę zaniedbany, jakby z umysłu dla okazania, że sobie lekceważy wszelkie formy.

Niewiadomo z czego żył i czem się właściwie zajmował; cały dzień Boży włóczył się po redakcyjach, zachodził do znajomych, których miał bez liku, szlifował bruki bez celu i ciągle układał jakieś plany, projekta, zbierał materyały do dzieł, nigdy nie ogłaszanych, wysiadywał godzinami po cukierniach, prowadząc z byle kim dysputy o wszystkim i niczem, i szukał nieustannie zajęcia, nie mogąc się nagiąć do żadnej systematycznej pracy dla chleba.

Natura namiętna, krewka, zapalna, pełna uprzedzeń i drażliwości, ale w gruncie uczciwa i nie pozabawiona szlachetniejszych instynktów; inteligentna wsparta wykształceniem i odczytaniem, ale w nieporządnej rozwinięta kulturze.

Psański stanowił w swoim rodzaju jeden z owych typów zmarnowanego człowieka, który sobie gruntu znaleźć nie umiał.

Miał manię mówienia ludziom prawdy w oczyszczeniu i bezwzględnie, narażając sobie nawet tych, którzy go cenili dla prawości charakteru i lubili dla pewnych zalet serca, ukrytych pod chropawatą powłoką.

Zdawało się, że jest owym zapalonym weredykiem nie przez miłość dla prawdy, ale dla przyjemności wykalania nią oczu swoim bliźnim.

Odwiedziny takiego oryginalnego gościa zaintrygowały Bernarda; nie domyślał się nawet, czemu mógłby zawdzięczać tę wizytę po kilku latach i prawie zupełnem zerwaniu dawnych stosunków, nawiązanych jeszcze na szkolnej ławie.

Na wyjaśnienie nie potrzebował wszelako długo wyczekać.

Zaledwie zdążył się rozebrać i zasiąść przy biurku do czytania wieczorowych gazet, kilkakrotnie szarpnięty dzwonek w przedpokoju obwieścił niezwykłego gościa.

— Cóż?... pan twój wrócił nareszcie? — dało się słyszeć zapytanie głosem podniesionym, — no, przecież!... spytajże, czy ma dla mnie wolną chwilę?... Powiedz, że Psański przyszedł; Psański, rozumiesz?

Służący zameldował oryginalnego przybysza, ale znać było po jego minie, że byłby go chętniej ze schodów zrzucił, niż do pokoju wpuścić.

— Ależ tu do was trudno się dostać! — zaczął Psański, stając we drzwiach, usłyszawszy z przedpokoju głos Bernarda. — Trzeci raz zachodzę. Jak się macie, kolego?...

Ku wielkiemu zgorzeniu lokaja, w paltocie i kaloszach wszedł prosto do gabinetu, bez ceremonii, jakgdyby bywał tu codziennym gościem i nie dalej, jak wczoraj rozstał się z gospodarzem.

— Jak się macie?—cóż, dziwi was, że przychodzę tak obcesowo?—zaczął, rozsiadając się od razu z kapeluszem w jednej a laską w drugiej ręce; — ale mnie znacie, że nie lubię długich wstępów i konwenansów. Sprawa publiczna, więc nie potrzebuję się krępować, prawda?...

Bernard pobłaźliwie uśmiechnął się na widok oryginała, z którym weszło do niego wspomnienie lat młodzieńczych i minionej przeszłości.

— Jak się macie?—powitał go przyjaźnie i ośmie-

lająco. — Ależ to nie widzieliśmy się, nie widzieli wiek cały!

— A pociosmy się mieli widywać? — przerwał Psański — dlaczego?... ja sobie swoją drogą, wy swoją; nie mogliśmy się spotkać. Dziś co innego. Potrzebuję od was informacyi, więc walę prosto, jak w dym. Myśleliście, że przychodzę po wasze miliony, albo protekcyę, co?... cha, cha!... Przyznajcie się. Ale nie z tego. Nie potrzeba mi was. Takim sobie pan dobry dla siebie, jak wy dla siebie. Twój milion, a mój grosz,—wystarczy dla każdego z nas. Otóż uważacie, rzecz się tak ma: piszę historycę przemysłu ostatnich lat. Monumentalna rzecz! Historia milionów, przewrót ekonomiczny, postęp kapitalizmu; potrzebuję materyału z pierwszej ręki. Chcesz wody, idź do źródła; przyszedłem do źródła. Dawajże wody źródło, ale czystej, jak kryształ, bo innej nie potrzebuję. Co to to ten wasz „Postęp“?... gadają o nim rozmaicie, i źle, i dobrze, nawet więcej źle, niż dobrze. Was znam, porządny z was człowiek, wam mogę zaufać, więc do was walę wprost. Dacie informacye, czy nie dacie?.. powiedzcie otwarcie. Dacie—dobrze, nie dacie, pal was sześć!... obejdzie się. Pójdę gdzie indziej. Tam u was przed miesiącem zabili człowieka?... słyszałem. Zabili pracą, zamęczyli?... A może to plotka?... Dyabli was wiedzą! Chrystusa żydzi zamęczyli, czemużby nie mieli zamęczyć jakiegoś chudzinę oficyalistę z kantoru. A tam u was tych żydów nie brak w „Postępie.“ Nie gniewajcie się tylko, że tak gębę rozpuszczam, ale mnie znacie nie od wczoraj. Jeżeli bym był antisemita

kwadratowym przed dziesięciu laty, pamiętacie?— tom teraz kubiczny. Z was człowiek rozsądny, z wami można dyskutować w tej kwestyi, boście chyba nie zgłupieli od owych czasów, kiedyśmy z sobą po nocach pyskowali na ten temat. Pamiętacie?...

Mówił to wszystko jednym tchem prawie, przyglądając się Bernardowi, jakby w nim szukał zmian, zaszłych w ciągu ostatnich lat kilku.

— No, i cóż wy na to?... — zaczął po krótkiej chwili—przecież się nie gniewacie za moje słowa?.. a możecie i wy przeszli na naszą stronę?... powiedźcie prawdę. Znacie ten dowcip: co to jest antisemita?... Musieliście słyszeć, bo to on z waszych przecie sfer wyszedł. Antisemita, to taki, co żydów więcej nienawidzi, niż konieczność sama tego wymaga. Pyszne, prawda?... Ale co tam o tem! przystąpmy do „Postępu.“ Otóż uważacie, za miesiąc zacznym drukować szereg artykułów o rozroście przemysłu. Naturalnie, taka flanka, jak wasz „Postęp,“ to przecież najlepszy okaz kultury ekonomiczno-finansowej. Od niej myślę zacząć. Cóż wy na to?.. Mówili mi, że jedyny porządny człowiek w Zarządzie, to Sandstein. Widzicie, jak was znają!.., reszta ma podłą markę. Świat wie, co o was sądzić. Powiadają, żeście tam wleźli, jak bocian na błota. A co?... i to ludzie wiedzą. Od was tedy można prawdy zaczępnąć, więc ja do was z całym zaufaniem. No, gadajcież, będzie co z tego, czy nie będzie?..

Bernard słuchał w milczeniu; bawiła go ta oryginalna obcesowość i ten weredyzm dawnego kole-

gi, który mu przynosił szorstkie odgłosy opinii, z którą bezpośrednio nie miał sposobności stykać się w taki sposób.

— Nie napiłbyś się kolega herbaty ze mną? — spytał wymijająco Psańskiego.

— Nie — odciął się krótko, — ja tu nie na traktament przyszedłem.

Bernard zadzwonił na służącego.

Psański rozwiązał szalik na szyi i wyjął z kieszeni starą, skórzaną papierośnicę.

— Palić tu u was wolno? — spytał.

— I owszem, proszę — odparł Bernard, podsuwając mu pudełko z papierosami, stojące zawsze na biurku dla gości.

— Dziękuję wam, mam swoje, — pewnie gorsze, niż wasze, ale przywykłem do własnych.

Sięgnął po zapalnik i zapaliwszy papierosa, mówił dalej:

— Bo to widzicie, mnie ta kwestya żydowska, jak piasek w bucie, jak szpilka za kołnierzem, jak drzazga w palcu spokoju nie daje. Z tem trzeba raz skończyć. Myślałem nad tem i myślałem i doszedłem do jednego tylko na końcu.

Bernard spojrział na niego z ożywionem zajęciem.

— No, ciekawy jestem.

— Doszedłem do tego przekonania, że tak dalej być nie może!...

— Ah, tak? — wyrwało się z ust Bernardowi; spodziewał się czegoś innego po tym stanowczym tonie i wstępie tyle obiecującym.

— Trzeba raz ludziom oczy otworzyć — zaczął Psański na nowo, — ja to zrobię. Niech tylko opracuję moją książkę i wydám, to zobaczycie. Wykażę w niej, uważacie, cały historyczny przebieg wytwarzania się żydostwa, wszystkie czynniki, które się składały, aby tę rasę zrobić taką, jaką jest dzisiaj, od zburzenia Jerozolimy i niewoli babilońskiej do naszych czasów. Pokażę, jak się to rozwijało, psuło, demoralizowało, jak i dlaczego wytwarzały się w żydach wszystkie te wady i paskudztwa, które nas dzisiaj rażą i dla których musiał ich świat znienawidzić.

— Szeroki temat — wtrącił Sandstein, — owszem, zróbcie to, będą wam przedewszystkiem wdzięczni sami Żydzi.

Psański rzucił się na krzesło.

— Jakto?... za co mi mają być wdzięczni? — za to, że ich osmaruję?

— Za to, że ich weźmiecie w obronę.

— W obronę?... nie rozumiem. Ja ich wcale bronić nie myślę; jeszcze czego!

Bernard uśmiechnął się i objąwszy rękoma kolaną, rzekł:

— Rzecz prosta; konkluzya sama z siebie wyniknie, jeśli przedstawię fakta bezstronnie z historyą w ręku. Materyału nie zabraknie, dostarczy go wam starożytność i wieki średnie, a motto będziecie mogli wziąć nawet z Szekspira, przytoczywszy słowa Schylloka.

Psański się z miejsca porwał i z żywą gestykulacją zbliżył się do Bernarda:



— Kiedyż, uważacie, ja to wszystko zrobię, aby dojść do jednego wniosku na końcu i udowodnić, że z tego drzewa nie można się spodziewać zdrowych owoców, bo to drzewo wypaczone, chore, zatrute. Niema co się łudzić, że go przesadzić, zaklimatyzować, uszlachetnić można!... Soki, soki zepsute!... po co my mamy wmawiać w siebie, że nowa kultura co pomoże?... dajcie pokój, to dobrowolne ogłupianie. Trzeba raz oczy otworzyć; najwyższy czas po temu.

Bernard drgnął, brwi schmurzył, usta zaciął i z jakimś gorzkim smutkiem popatrzył na swego gościa; przez chwilę milczał, jakby zgnębiony słowami Psańskiego, potem podniósł powoli głowę i spokojnie zapytał:

— Po cóż zatem przyszliście do mnie, skoro macie już takie niezłomne przekonanie?

Pytanie to zmieszało go na razie.

— Cóż wy — zaczął, — wy jednostka, wy-to nie ogół. Z was człowiek osobliwy, wyrodziliście się, a zresztą prawdę mówiąc, dyabeł wie, co w was na samem dnie siedzi. Znałem was dawniej, żeście uczciwe homo, i nie gniewajcie się, alem się zawsze dziwił, skąd się wziął w tem pokoleniu taki odrodek. To rzeczywiście niepojęte dla mnie. Was znam i wyłączam dlatego, ale reszta ho—ho!...

— A gdyby jednak znalazło się takich więcej?

— To i cóż?... jam nie Jehowa, abym dla dzieściciu sprawiedliwych miał Sodomę i Gomorę ukaskawiać. Niech was siarczysty deszcz spali, co mi tam!... Możecie mi zapewnić, że przekabacie resztę na inną modłę?... A widzicie!... Dajcie pokój.

Zresztą z was już inny człowiek przez oświatę, przez naukę, przekonania, przez wyznanie. Dajcie pokój!... Nie myślcie, że wam pochlebiam, aby zatuszować to, co powiedziałem o waszej rassic i o waszych dawnych współwyznawcach. Znacie mnie, słów w bawełnę nie obwijam i rznę prosto z mostu. *Placeam, displaceam, palę verba veritatis* i nie dbam o nikogo. Nie przyszedłem was prosić ani o pożyczkę, ani o protekcyę, ani o sinekurę, więc cobym miał wam basować! Chcecie, to wam jeszcze coś powiem, tylko się nie obrażajcie...

— Słucham, słucham.

Psański zmrucił oczy i wpatrując się w Bernarda przez chwilę, rzekł:

— Ja wam powiem, co mi się zdaje; mnie się zdaje, że jeżeli wy jesteście inni od tamtych wszystkich, to także nie przez instynkt, nie przez jakąś drugą naturę, nie przez to, żeby w was całkiem rasa zwietrzała...

— A przez co?

— Przez wyrozumowanie... ol!... przez silną wolę i dobre chęci, dla teoryi, co?... nie?

Bernard uśmiechnął się pobłaźliwie i westchnął.

— Tak sądzicie? — spytał.

— A tak; to niepodobna, żeby się w was nie odzywały instynkta, narowy, krew waszych przodków, tylko staracie się nad tem panować. Trzymacie się przez rozum.

— A przez dobrą wiarę nie?

Psański usta wyduł i ramionami podrzucił.

— Czy ja wiem! kto tam może wleźć człowiekowi aż do wnętrzości?... macie dobrą wiarę, to

z was jeszcze ciekawsze curiosum. Ale co ja tam będę z wami dyskutował!... Przyszedłem po co innego. No, jakże będzie z temi materyałami do „Postępu?...”

Sandstein głowę zwieszoną podniósł nagle, jakby się przemocą wyrywał z zadumy i załamawszy ręce, aż mu we wszystkich palcach trzasło, rzekł:

— Macie słuszność, nie mamy o czem dyskutować; w takiej sprawie nie słowa, lecz uczynki rozstrzygają. Zostawmy to czasowi, chociaż...

Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale się rozmyślił, rzuciwszy okiem na Psiańskiego, który stał przed nim na rozkraczonych nogach, z rękoma opartemi na lasce, z głową naprzód wyciągniętą i czekał.

— Co do „Postępu“ mogę wam służyć tem, co mam pod ręką, całą paczką sprawozdań i cyrkularzy,— zaczął, nie dokończywszy urwanego zdania,— co do innych informacyi, nie wiem, o jakie wam chodzi. Niezadługo odbędzie się walne zgromadzenie akcyonaryuszów, mogę wystarać się dla was o bilet wejścia,— przyjdźcie i posłuchajcie. Innym materyałem służyć nie mogę. Zresztą, po tem, co od was usłyszałem, sądzę, że dla samej konsekwencyi, nie moglibyście mnie uważać za źródło wiarogodne, a zwłaszcza bezstronne.

— No?... dlaczego?

— Dlatego, że jako potomek znieawidzonej i potępionej przez was rassy, nie powinienem wzbudzać w was należytego zaufania; a powtóre, jako członek Zarządu, nie mam prawa zdradzać wewnętrznych spraw instytucyi, które zdaje mi się, najwięcej was zajmować mogą.

Psański z jednej strony wás zagryzać zaczął; nie podobała mu się ta odpowiedź.

— Hm! — mruknał, — jak uważam, zraziłem was sobie. Co?... Nie podobała wam się moja otwartość, prawda?... Ot, widzicie, jak z was natura waszych ojców wyłazi. Drażliwość semicka!... no, nie zapierajcie się, tknąłem was, ale obrazić nie chciałem; daję wam na to moje słowo. Po dawnej znajomości, mówiłem, co myślałem, bom już taka bestya, że co na myśli, to na języku, ale impertynencyi nikomu nie gadam.

Bernard oparł się ręką o biurko i słuchał cierpliwie, w milczeniu, jakgdyby myślał o czem innem.

Psański, nie odbierając żadnej odpowiedzi i nie zachęcany do dalszej rozmowy, tracił rezon; stał i bujał się na nogach, zły był, że go dalej za język nie ciągną; powtarzał tylko:

— Hm, hm!... szkoda, szkoda!... szkoda, żeśmy się nie porozumieli; — wreszcie wyjął z pod pachy swój zmięty, filcowy kapelusz bez wstążki i podszewki, wyprostował go, trzepnął nim o kolano i odezwał się:

— No, to bywajcie zdrowi; przyszedłem z niczem, pójdę z niczem. Nie chcecie dać materiału, obejdzie się, znajduę gdzieindziej. A tak bardzo do serca słów moich nie bierzcie; powtarzam, że was uważam mimo wszystko za porządnego człowieka, za wyjątek, ale pamiętajcie: jedna jaskółka i t. d. Bywajcie zdrowi i róbcie dalej swoje, chociaż wierzcie mi, to się nie na wiele przyda, jak was poważam.

Bernard wyprostował się i jakimś zmienionym głosem odparł:

— Bądźcie spokojni, i bez waszej aprobaty będę to robił, co do mnie należy, — i nie dla waszego uznania, — dodał ze złośliwym uśmiechem.

Psański głową mu skinął i już we drzwiach nałożywszy kapelusz na głowę, wyszedł, mrużąc do siebie pod nosem:

— Jednak żydowska natura z niego wylazła; co tu gadać!...

Po wyjściu oryginalnego gościa, Sandstein odechnął głęboko, jakby się oswobodził z dusznej atmosfery i zaczął przechadzać się po swoim gabinecie; rozmowa, którą prowadził przed chwilą, wykoleiła go z równowagi, hamował się jednak, aby nie wybuchnąć i nie ubliżyć obowiązkowi gościnności.

Wiedział zresztą, że przekonywać Psańskiego, byłoby daremnym trudem; znał jego usposobienie i przekonania do maniactwa posunięte.

Jednak słowa jego gryzły go i wracały na myśl nieustannie.

Poszedł do biurka, głowę oparł na rękę i zadumał się; blada jego twarz przeciągnęła się wyrazem smutku i przykrego jakiegoś grymasu, który mu na ustach osiadł.

— Rassa... rassa!... — szeptał po cichu, trąc czoło dłonią, a od czasu do czasu pojedyncze wyrazy, pozornie bez związku i ładu wysuwały się z ust jego.

— Kłątwa wieków... zepsute soki... daremnie... ha!... Jedna jaskółka wiosny nie czyni.

Otrząsnął się nagle, jakby zbudzony własnym szeptem i westchnąwszy z rezygnacją, zabrał się do przeglądania listów, które spostrzegł na biurku.

Pomiędzy niemi znalazł pismo, zapraszające go na członka protektora przytułków dla dzieci po zubożałych rzemieślnikach i list jakiejś ubogiej wdowy, która upraszała go o zapomogę dla syna, kształcącego się na muzyka w Konserwatorium.

Wziął w rękę obie korespondencye i odczytałszy je powtórnie, na pierwszej umieścił niebieskim ołówkiem cyfrę: sto, na drugiej: pięćdziesiąt.

Wyraz smutku nie ustępował z jego twarzy.

---

## D.

Przewidywania starego Sandsteina okazały się całkiem słuszne; owe częste wyjazdy Blatta do Berlina i konszachty potajemne z Seligerem miały na celu wyzyskanie sytuacji i zrobienie dobrego interesu, jaki wyśrubowany, wysoko kurs akcji „Postępowych“ nastęczał.

Na parę tygodni przed zwołaniem walnego zgromadzenia rozeszła się wiadomość, zaczerpnięta z gazet zagranicznych, iż w ostatnich czasach na giełdzie berlińskiej robiono znaczne transakcje papierów znanego przedsiębiorstwa przemysłowego, którego świetny rozwój zapewnia doskonałą lokację kapitałów i daje rękojmię coraz większych zysków.

W grupie akcyonaryuszów miejscowych „Postępu“ zaczęło się objawiać wszelako wyraźne zaniepokojenie; mówiono o wtargnięciu obcych żywiółów z zagranicy, o wprowadzeniu kapitalistów niemieckich ze znacznym udziałem do Towarzystwa, które dotychczas rządziło się samo i na własnym gruncie obracało swojemi funduszami.

Klappermann zapytywany o to, czy w istocie pewna część akcyi dostała się Niemcom, nie umiał dać stanowczej odpowiedzi, wykręcał się i zbywał ciekawych wzruszeniem ramion, powtarzając:

— Być może; to się pokaże przy rewizyi głosów. Czekajmy walnego zgromadzenia.

— Więc przypuszczasz pan jednak, że nam grozi inwazyja?—pytano go coraz natarczywiej.

— Nic nie przypuszczam przed czasem,— odpowiadał,— nic nie wiem. Trudno mi szperać po cudzych kieszeniach. Wysoki kurs mógł skusić niejednego do pozbycia się papieru, na którym dało się zarobić grubo. Dziś o gotówkę ludziom chodzi i nie możnaby się dziwić, gdyby ten i ów skorzystał ze sposobności spieniężenia akcyi swoich; przecież nikt z akcyą ślubu nie bierze. Dziś się taki towar kupuje, jutro go się sprzedaje. Na tem polegają spekulacye finansowe, od tego są giełdy. Zobaczymy, zobaczymy, czy wszystkie te pogłoski nie są przesadzone, jak to zwykle bywa.

Jeden Struś Wydźzewski zaprzeczał na prawo i na lewo, zapytywany czy to prawda, że kilku członków Zarządu złakomiło się na zyski, jakie im wyżka kursów zapewniała i pozbyło się swoich udziałów, ulokowanych w papierach „Postępu.“

— Mogę was solennie zapewnić, panowie—mówił w klubie,— że to są brednie. My wiemy, kto rozpusza takie plotki. To wszystko manewr naszych konkurentów, to sprawka Majenfelda et consortes, którzy nas chcą narazić w opinii i kompromitować.



Powtarzał jak papuga, bez namysłu, słowa Seligera, odwracającego do ostatniej chwili podejrzenia w innym zupełnie kierunku.

— Przecież mnie możecie wierzyć, a potem — dodawał z miną ważną i zarozumiałą, — wiedziało by się o tem. Człowiek nie jest malowaną figurą i od tego zasiada w Zarządzie, aby patrzeć i widział, co się dokoła niego dzieje. Powiadam wam, to manewr Majenfelda, który Klappermanna nosi na wątrobie, od Bóg wie jak dawna, i nogę mu podstawia dla tego, że mu z przed nosa zabierał od lat tyłu co najlepsze interesa. *Jalousie de me-tier, rien que ça!*

Nazwisko bogatego finansisty coraz częściej mieszczone było teraz do sprawy „Postępu,” jakkolwiek znany bogacz od kilku miesięcy bawił zagranicą, więcej zajęty stanem swego żołądka teraz, aniżeli sprawami własnej kieszeni.

Lekarze trzymali go na południu i nie pozwalali oddawać się za wiele interesom, wymagającym umysłowego nateżenia i ruchliwego trybu życia; kazano mu wypoczywać przez czas jakiś bezwzględnie, zapomnieć całkiem o milionach i pracować jedynie nad uregulowaniem swoich spraw najwewnętrzniejszych, bo dotyczących organów trawienia i odżywiania całego organizmu.

Leon, Symeon Majenfeld miał opinię finansowego potentata, którego firma znaną była w kraju i zagranicą, którego podpis miał znaczenie gotówki nawet na największą sumę i mógł wydawać dźwięk przesypanych w całe worki dukatów loudorów czy imperyałów.

Należał on do rzędu ludzi, którzy umieli uchwycić koło Fortuny obiema rękoma i zmusić ją niemal do sypnięcia mu części swoich skarbów z otwartymi oczyma, podczas gdy innych obdarzała zwykle na ślepo.

Majątek, jaki zebrał, był dziełem jego energii, sprytu, żelaznej woli i pracy.

O Klappermannie i innych mówiono, że trafiało im się szczęście; o Majenfeldzie można było powiedzieć, że sobie szczęście sam stwarzał, powodzenie zdobywał przemocą, siłą jakichś genialnych niemal instynktów i ryzyka, które go nigdy nie zawodziło.

Przez lat trzydzieści kilka pracował nad gromadzeniem olbrzymiego majątku i nad ugruntowaniem firmy, która miała prawo poszczycić się więcej chyba niezachwianą wiarą i kredytem, jaki zdobyła, aniżeli zasobami materyalnemi, jakimi rozporządzała.

L. S. Majenfeld mógł być z dumą powiedzieć o sobie:

— Majątek mój nie w tych milionach, które posiadam, ale w tych, które mi w każdej chwili zaufają inni, gdy zażądam.

I tak było w istocie; nie zapomniano mu tego, że kiedy w początkach swojej kariery zachwiał się i omal nie przewrócił koziołka, pociągając za sobą innych, pierwszym staraniem jego było, odzyskawszy później równowagę a z nią nową energię do działania, pospłacać wszystkich, nawet najdrobniejszych swych wierzycieli i z nowych zysków wyrównać dawne zaległości.

Stary Sandstein, który go znał od pierwszej młodości i patrzył na jego wzrost, mawiał o nim z podziwem i miną niemal uroczystą:

— Żeby ten człowiek miał to wszystko, co mógł być zarobić, gdyby był chciał korzystać ze wszystkiego, miałby trzy razy więcej milionów, niż ma dzisiaj.

— Ale o połowę mniej kredytu, — dodawali ci, co znali historię jego fortuny i wiedzieli, że nic jej zarzucić nie można było.

We wszystkich ważniejszych instytucjach i przedsiębiorstwach na wielką skalę, które łączyły się z interesem szerszym pod względem przemysłowym i ekonomicznym, nazwisko Majenfelda stało w pierwszym rzędzie; udział jego dawał rękojmię pożytku i powodzenia.

Wciążany jednak swego czasu do „Postępu“, nie chciał się zgodzić na żadną proponowaną mu kombinację; zapytywany o powód, dawał odpowiedzi wymijające.

— Klappermann sobie poradzi bezemnie, — mówił— a ja nie potrafiłbym z nim razem gospodarować. My choć jesteśmy jednej rassy, ale nie jednej miary, namby w jednym zaprzęgu trudno było wytrzymać.

I ani jednej akcyi nie nabył nigdy na własność.

Z tego powodu w „Postępie“ panowało rozgoryczenie przeciw niemu i cicha niechęć, która od czasu do czasu zdradzała się, szczególnie przez usta Seligera.

Klappermann jeden umiał dyplomatycznie milczeć.

Ilekróć Seliger na uwagi czynione co do krążących pogłosek o działalności Zarządu lub wewnętrznych spraw „Postępu,” odpowiadał ze znaczącym uśmiechem:

— O, my wiemy dobrze, z jakiego źródła to pochodzi! — tyle razy miał na myśli Majenfelda lub któregoś z jego stronników.

Wmawiał w siebie i w drugich, że nikt inny, tylko Majenfeld podkopuje tendencyjnie ich opinię, ich interesa, ich projekta, że im podstępnie szkodzić wszędzie i zawsze usiłuje, że wytopiłby wszystkich z Klappermannem na czele w łyżce wody, i choćby mu z tego nie wiele przyszło, czyniłby to tylko przez samą złość i zawiść.

W istocie zaś wszystko było na odwrót; Majenfeld właśnie był solą w oku Klappermanna, Seligera i Blatta, nie dlatego tylko, że był od nich bogatszym, miał większy wpływ i większe znaczenie na rynku pieniężnym i na polu przemysłowym, ale i dlatego, że wyraźnie dawał im to do poznania, iż z umysłu unika zetknięcia z nimi, nie szuka zbliżenia i stosunków, nie dopuszcza do siebie, jak gdyby nie uważał ich za dość solidnych współników.

Drażniło to ambicję wszystkich trzech finansistów i usposabiało ich coraz gorzej względem takiego rywala.

Ta głucha zawiść i uraza nurtowały ich skrycie, głęboko, ale nieustannie.

Stary Majenfeld nie wiele dbał o to, zdawał się zupełnie nie wiedzieć o uczuciach, jakie wzbudzał w filarach „Postępu;” przynajmniej nigdy tego nie okazywał.

Przy spotkaniu z Klappermannem, witał go u-przejmie ale chłodno, rozmawiał bardzo rzadko i to o rzeczach całkiem obojętnych, nie dotykając nigdy prawie interesów.

Julia Helena nadymała się, jak indyczka, ilekroć w jej obecności wspomiano Majenfelda; nie mogła mu wybaczyć, że ani razu nie odwiedził jej salonów i nawet zwyczajnych stosunków towarzyskich z nimi unikał.

Drażniło ją to, że Majenfeldowa pomimo kilkakrotnej sposobności, nie skorzystała z tego ani razu, ażeby się z nią poznać osobiście; o tyle bogatsza od niej, prowadziła stosunkowo do swego majątku życie prawie skromne, weale niewystawne, na uboczu, w domowym zaciszu, zamknięta niejako zawsze w swoim pałacyku, w dosyć odludnej dzielnicy miasta, otoczona tylko rodziną najbliższą i nie lubiącą pokazywać się światu.

Czuła, że przy zestawieniu z nią, jej jaskrawy przepych obok tej szarej prawie skromności wydawać się musi rażąco.

Kocio Nahalski, który przy całej swej naturze powierzchownej pieczeniarka i paserzyta, posiadał dużo znajomości ludzi i na słabostkach ich spekulował, aby się przypodobać „kochanej prezesowej“ napisał pewnego razu złośliwą bajkę p. t. „Paw i kokosza,“ zakończoną dwuwierszem:

Gdy zalety kokoszy wychwalano śmiało,  
Paw roztoczył swój ogon i nakrył ją całą.

Miała w tem być aluzya do towarzyskiej i światowej przewagi Klappermannowej nad niepokazną

Majenfeldową, która — jak powiadano złośliwie, — boi się wchodzić do salonu, aby się nie pośliznęła na woskowanej posadzce.

— Jest to wszelako absolutne niepodobieństwo — dodawał Nahalski, — bo wiadomo przecież, że Majenfeldowa dla oszczędności chodzi po domu cały dzień w berlaczach i to własnej roboty.

Od kilku miesięcy, w tym właśnie czasie, gdy w „Postępie“ udział Bernarda Sandsteina, zaznaczył się duchem opozycji, nieznaney do tej chwili w Radzie zarządzającej, Majenfeld przebywał za granicą i jeszcze mniej, niż kiedykolwiek, troszczył się o działalność Klappermanna i obu jego współpracowników.

Mimo to, Seliger uparcie powtarzał, a za Seligerem Struś Wydzzewski, że na mieście i na giełdzie intrygi Majenfelda ruszyły się znowu.

Na trzy tygodnie przed walnem zebraniem akcyonaryuszów „Postępu“ ukazała się nagle wzmianka w jednym z dzienników, o przybyciu z Berlina dwóch kapitalistów, pp. Blumbergera i Schönwalda, którzy zjechali jako reprezentanci nowej grupy akcyonaryuszów zagranicznych w celu powiadomienia się osobiście, na miejscu, o stanie interesów Towarzystwa.

Pogłoska zaprzeczana tylokrotnie o wprowadzeniu obcego żywiołu do „Postępu“, nabrała teraz pewności.

— Zdrada! — wołano z różnych stron, — zdrada!... sprowadzili nam Niemców, sprzedali nas w obce ręce!... to nieuczciwie!... to podle!...

— Któż to śmiał zrobić?

— Któżby, jeśli nie te mechesyl... przecież żydzi z Niemcami trzymają.

— To niepodobna—mówili jeszcze optymiści,— Klappermann jest za sprytny, aby to zrobił. Gdzieżby się chciał w ten sposób własną ręką... am podkopywać!

— To też nie Klappermann, tylko kto inny.

— Ale kto?... chyba i nie Seliger?...

Rozprawiano o tem, spierano się, śledzono, badano, aż w końcu ktoś natrafił na prawdę, przypadkowo wykrytą:

— Blatt sprzedał dwie trzecie swoich akcyi, oraz udział swego zięcia, barona Lipeckiego na giełdzie berlińskiej!... Seliger namówiony przez niego, zrobił to samo.

— Judasz! — wołali jedni.

— Handełesyl! — krzyczeli drudzy, a wszyscy powstawali przeciw samemu faktowi, roznamiętniając się tem więcej, im mniej sami byli interesowani w tej sprawie.

Ludzie, którzy nigdy jednego kuponu w kieszeni swojej nie mieli, którzy na akcyach, różnicach kursu, spekulacyach giełdowych, zniżkach i wyższych znali się tyle, co „żółw na krawacie,“— jak powiadał Kocio Nahalski; — prowadzili dyskusyje na ten temat i oburzali się, rozumiejąc tylko to jedno, że chciwość dwóch plutokratów naraziła „Postęp“ na wtargnięcie obcego żywiołu, który nabywał prawa głosu w kierownictwie i gospodarce Towarzystwa, a powodowany jedynie chęcią jak największych zysków, nie będzie obliczał się z żadnymi względami i całe przedsiębiorstwo pehnać gotów

na drogę bezgranicznej i niesumiennej eksploatacyi. Nie brakło jaknajbardziej pesymistycznych wypowiedni w tym kierunku.

— Zobaczcie—mówili niektórzy,—jak tu Niemcy się do nas zaborą. Niech tylko się wśrubują dobrze i rozpatrzą, to powoli zagarną wszystko na swoją własność i cały postęp wezmą w swoje łapy.

— Co za głupota, własną ręką otwierać im drzwi do swojego domu!

— Głupota?... to podłość!—wołali inni—to brak poczucia swoich obowiązków względem takiej instytucyi. Ale czegoście chcieli od takich Blattów i Seligerów!... im przecież wszystko jedno, byle tylko miliony robili, mniejsza o to z kim i na czym.

Krzyk wzrastał, oburzenie się wzmagало, czekało z największym zajęciem owego pierwszego zgromadzenia z udziałem zagranicznych akcyonaryuszów, sprowadzonych tak lekkomyślnie przez samych członków Zarządu.

Po wypadku z Fleischerem ten drugi fakt, ogólniejszego już znaczenia, wywołał głośną wrzawę przeciw „Postępowi.“

Bernard od chwili stwierdzenia pogłoski o złakomieniu się Blatta i Seligera na wysoki kurs akcyi, wyśrubowany sztucznie tak wysoko, doznał dziwnego uczucia; zgnębiła go wiadomość o wprowadzeniu Niemców do Towarzystwa i kompromitacyi, jaka z tego powodu spadła na całą Radę Zarządzającą, ale jednocześnie drgnęła w nim żyłka opozycjonisty i agitatora.

Poczuł się w tej chwili podwójnie człowiekiem czynu, powołanym do działania.



Ta sytuacja otwierała przed nim szerokie pole.

— Teraz pokaż, co możesz — mówił sobie, — masz sposobność po temu. Naprawiaj złe, które zrobili inni i stań do walki!...

Zdawało mu się, że dopiero teraz czuje się w swoim żywiole, odkąd powziął energiczną myśl ratowania „Postępu“ i wyrugowania z niego znowu obcych żywiołów.

Rozpoczął od tego, że wystosował do Klappermanna list następującej treści:

— „Panie Prezesie! powody, z których wytlómaczę się na walnem zebraniu akcyonaryuszów „Postępu“, zmuszają mnie do usunięcia się z Rady zarządzającej Towarzystwa, o czem mam zaszczyt uwiadomić pana i moich dotychczasowych kolegów.“

Lakoniczne to oświadczenie sprawiło efekt kamienia rzuconego w szybę na posiedzeniu Zarządu.

Klappermannu usta zesnurował, brwi zehmurzył i rzuciwszy na Blatta spojrzenie znaczące, po chwilowym namyśle wśród ogólnego milczenia, wyrzekł tylko:

— Ha, trudno.

Seliger głowę pochylił tak nisko, że ją prawie pod stołem trzymał, Blatt usta wydał i z jakimś szyderczym uśmiechem bębnił palcami po papierach; zięć jego br. Lipa de Lipecki z rozmachem wysunął swój ogromny ołówek srebrny, jakby miał zamiar nadziać na niego nieobecnego Sandsteina, hrabia sapał głośno i z pod oka patrzył na Klappermanna, nie mogąc się na razie zorientować,

a książkę pokręcając swoje spiczaste wąsiki, potarzał:

— *Tiens, tiens!...*

Konsternacya była widoczną, chociaż się do niej nie przyznawano.

Struś Wydźzewski oparty łokciami o stół, wodził oczyma po wszystkich, i nie mogąc doczekać się, aby ktoś pierwszy przemówił, swoim niskim tubalnym głosem rzekł z rezygnacją:

— Będzie nas zatem o jednego mniej; możemy przejść do porządku dziennego, bo ja mam jeszcze dwa posiedzenia dzisiaj; — potem uderzywszy o dzwonek, na którego głos stanął we drzwiach stary, otyły woźny z miną wyczekującą, zawołał prawie z gniewem:

— Co za porządki u was?... gdzie syfon dla mnie?... a podnóżka już drugi raz nie stawiają mi pod stołem!...

Te dwa braki były dla niego w owej chwili więcej uwagi godne od dymisy Bernarda.

W dniu, w którym po dziennikach urzędownie zwoływano walne zgromadzenie akcyonaryszów „Postępu,” znalazła się w kronice wypadków bieżących wzmianka o wystąpieniu Sandsteina z Rady zarządzającej.

To przypadkowe zestawienie dało nowy powód do domysłów i do dyskusyi w kołach opinii publicznej, zajmującej się sprawami Towarzystwa, zagrożonego niemiecką inwazyą.

Umysł Bernarda w tym samym czasie pracował z wytężeniem nad całym planem kampanii, jaką przeprowadzić postanowił.

Po całych dniach siedział teraz w swym gabinecie, przy biurku, zajęty wertowaniem materyałów, rachunków, sprawozdań, które mu posłużyć miały do elaboratu, jaki zamierzał przedstawić gronu akcyonaryuszów, przejętych razem z nim duchem „sanacyi Towarzystwa.“

Właśnie, kiedy miał pracę swą prawie na ukończeniu i głowę najbardziej zajętą, spadła nań ujniespodzianiej wizyta, która za każdym razem głębokie sprawiała na nim wrażenie.

Któregoś dnia o południu do gabinetu jego wszedł służący i oznajmił:

— Proszę pana, z Grzędów przyjechali.

— Kto taki?

— Bona z dzieckiem.

Błada zwyczajnie twarz Bernarda pociemniała jakby przez chwilę.

Porwał się od stolika i śpiesznie poszedł ku drzwiom, w których stanęła nie młoda już kobieta, prowadząca przed sobą chłopczyka około pięcioletniego w granatowym ubranku pluszowym, w lakierowanych bucikach i ogromnym kapeluszu Rembrandtowskim.

Szeroki, biały kołnierzyk koronkowy sięgał mu aż na ramiona, a z niego na chudej szyjce wystawała mała, czarna, kędzierzawa główka o oczkach ciemnych, smutnych i jakby zamglonych.

Z pod matowej, białej, delikatnej skóry na skroniach przeglądały niebieskawe żyłki, jak u dzieci wątłych i delikatnych.

Drobna twarzyczka miała rysy kształtne, ale nacechowane dość wyraźnie typem semickim.

Malec niósł w obu rękach duży bukiet fiołków, związanych zieloną wstążką i uśmiechał się blade, melancholijnie, spoglądając na ojca nieśmiało, z tem zakłopotaniem dzieci, nie przywykłych do towarzystwa osób starszych.

— *Da sind wir zu Ihrem Geburtstag!* — zaczęła bona szwajcarka po niemiecku, a posuwając malca przed sobą, zachęcała go, aby papie złożył *einen schönen Handkuss* i oddał bukiet na wiazanie.

Bernard, nie czekając tego, podniósł dziecko z ziemi i gorąco ucałował w oczki i czółko.

— Jak się masz, Sewerku, jak się masz?...—mówił do niego czule, sadzając go sobie na kolanach, —przyjechałeś odwiedzić tatusia?... przywiozłeś tatusiowi kwiatki na urodziny?... A tatuś byłby o nich zupełnie zapomniał dzisiaj, tyle ma na głowie.

Chłopczyk spojrzął na ojca i rączką przesunął po jego kruczych włosach; przypatrywał mu się, jakby człowiekowi obcemu, z którym się wpierv nieco oswoić musiał.

Widował go zaledwie kilka razy do roku według umowy, jaka między rozłączonymi małżonkami stanęła.

— Cóż tam u was na wsi słyhać? — pytał Bernard dalej, osmielając dziecko pieszczotami, — zdrów jesteś?... główka nie boli więcej?... jakiś mi bladey jesteś biedaku.

Sewerek patrzył tylko i trzymał w ręku kwiaty, nie mogąc się jeszcze zdobyć na odwagę i przemówić cokolwiek.

— Dlaczego nie mówisz, czemu nie odpowiadasz? — pytał go Bernard, próbując z dziecka wydobyć choć jedno słowo, ale usiłowania jego nie na wiele się przydawały.

Chłopak ciągle miał usta zamknięte, ciągle się czuł onieśmielony na kolanach ojca, który był dla niego tym obcym panem, widywanym za rzadko, aby się z nim mógł oswoić i spoufalić.

Nie wrywał się, nie opierał jego pieczętom i uściskom, ale spoglądał raz po raz na bonę, jakby się obawiał, aby go nie odeszła i nie zostawiła samego.

W tem niemem spojrzeniu dziecka było zakłopotanie, które zdawało się mówić:

— Czemu ten pan tak mnie ściska i całuje?... ja już mam dość tego. Powiedz mu, żeby przestał i weź mnie z jego objęć. Jaby wolał już wrócić do domu, do mamy, do ciebie od tego tatusia.

Sercem ojcowskiem odgadywał to Bernard i przykro mu było, że tak obcym musi być dla swego własnego dziecka, które między nim a każdym innym nie może odczuć jeszcze różnicy.

Fatalność małżeńskiej rozłąki najdotkliwiej w tym wypadku dawała mu się we znaki.

To dziecko onieśmielone, zakłopotane, mileżące, przyjmujące obojętnie i zimno, jakby z przymusem, jakby pod nakazem, według instrukcyi, jego uściski, pieczęty, pocałunki, sprawiało mu bezwiednie ból i zasępiało jego czoło.

Wiedział, że za każdym razem musi z początku tak długo zjednywać sobie swojego syna, zanim tę oporną naturę dziecięcą przyciągnie i rozgrzeje.

— Zdejmij pani Sewerkowi kapelusz i rękawiczki,—rzekł do bony, spuszcżając chłopaka z kolan.

Sewerek z kwiatami pobiegł do swojej Madame i oddał jej bukiet.

— Bądź-żeż grzeczny—upominała go,—pocałuj papę i oddajże bukiet. Zapomniałeś, co masz powiedzieć?... masz powiedzieć, że... no, że co?... nie chowajże się, przecież papa ci nic złego nie zrobi. A pamiętasz tego konika i bębenek, i czekoladki, które dostałeś ostatnią razą?... Skoro będziesz taki dziki i nieposłuszny, to nie nie dostaniesz teraz, prawda?...

Wspomnienie zabawek i słodyczy przemówiło widocznie lepiej do przekonania malca; namysłał się jeszcze chwilę, potem z rączkami wyciągniętymi podszedł znowu do ojca i ożywiwszy się nieco, spytał, podając mu bukiet:

— A gdzie ten koń?... ja wolę konia, wolę dwa konie...

Bernard wziął fiołki z rąk dziecka i uśmiechnął się; dziecięca interesowność w takiej chwili stawała się wygodniejszą pośredniczką pomiędzy nim a Sewerkiem.

— Dostaniesz, dostaniesz dwa konie i cukierki, i co tylko zechcesz, tylko pocałuj ojca,—mówił.

Chłopak nastawił mu obojętnie błady, delikatny policzek i patrzył w inną stronę.

— Ale ty ojca pocałuj choć raz, sam, uściskaj, o tak,—rączkami weź za szyję, mocno. Nie umiesz tego?—przemawiał do niego Bernard.

Dziecko namysłało się niezdecydowane, marszczyło czołko widocznie ze złego przyzwyczajenia, na które nie dosyć zwracano uwagi w domu i po chwili spytało:

— A kiedy mi pan da te cukierki?...

— Nie mówi się pan, tylko papa—upomniała go bona.

— A kiedy mi papa da cukierków? — poprawił się i jakoś śmieiej już oparł o kolana ojcowskie, — zaraz czy aż jutro?—dopytywał się dalej ozywiony słodką obietnicą.

— Pfuil... któż to widział być tak interesownym — z wielkiem zgorszeniem przerwała mu Niemka; — z papą nie trzeba się targować, trzeba być grzecznem dzieckiem. Ja będzie powiedziała mamie, że Sewerek nie był grzeczna dziecka, to mama nie pozwoli więcej przyjechać tutaj.

— To i cóż?

— To Sewerek nie będzie widział Herrn Papa. A Sewerek przecie kocha Herrn Papa.

— Cóż, kochasz ojca? — spytał go Bernard, ale malec nie miał ochoty odpowiadać; odwrócił się, główkę pochylił i zaczął sobie wykręcać paluszki u lewej ręki.

— No powiedz-że, czy kochasz ojca?— nalegał, jakby mu na tej odpowiedzi bardzo dużo zależało.

— Ja nikogo nie kocham—odrzekł nareszcie po chwili dzieciak z minką zadaną i odszedł powoli w drugą stronę pokoju, aby go więcej nie męczyli takimi pytaniami, na które nie umiał jeszcze odpowiadać z własnej głowy.

Skąd on mógł wiedzieć, czy kocha tego pana, którego kazano mu nazywać papą i do którego przywożono go raz na kilka miesięcy!...

Bernard uśmiechem wprawdzie pokrył przykre uczucie, jakie ta naiwna szczerłość jego dziecka w nim zbudziła, ale mimo to był dotkniętym.

W kilka godzin później Sewerek nakarmiony czekoladą i biszkoptami odzyskał swoją swobodę, rozgościł się w ojcowskim domu, zaczął sobie przypominać rozmaite szczegóły ze swych poprzednich odwiedzin, biegał po salonie, z dziecięcą ciekawością zaglądał we wszystkie kąty i wbrew swemu zapewnieniu, że nikogo nie kocha, przychodził sam do ojca, wspinał mu się na kolana i rozpoczynał z nim rozmowy o wszystkim, co jego uwagę zwróciło.

Dnia tego Bernard nie wychodził wcale z domu; chciał się nacieszyć swoim synem, cały czas wyłącznie poświęcił jemu, jakby mu na tem tylko zależało, by zaprzyjaźnić się i spoufalić jak najbardziej z tem dzieckiem, wrazić mu się głęboko w pamięć, wkraść do serca i pozostać tam na dłużej, przynajmniej do następnej wizyty.

Przez delikatność unikał umyślnie rozmowy z boną o żonie i o Grzędach; nie wypadało mu dowiadywać się szczegółowo o tem, co bliżej zajmować go mogło, pomimo zerwanych związków małżeńskich z kobietą, która przestała być wprawdzie jego żoną, ale nie przestawała być matką i opiekunką jego dziecka.



Ten żywy łącznik istniał jednak pomiędzy nimi, jako ostatnie nie pęknięte ogniwo, które zapomniać im nie pozwalało, że należeli w życiu do siebie.

Wieczorem, kiedy ułożono Sewerka do snu na dużej otomanie, otulonego poduszkami, obstawionego krzesłami, aby z tego łóżka zbyt obszernego nie stoczył się w nocy na ziemię, Bernard powrócił do przerwanej pracy i kilka godzin jeszcze przesiedział przy biurku nad papierami.

Nie miał jednak myśli swobodnej, jak przedtem; obecność dziecka pod jego dachem budziła w sercu uczucia i refleksye, które nie licowały ze sprawą tak odmienną natury.

Przychodziły mu na myśl kwestye, nad którymi nie lubił się zastanawiać, kwestye czysto osobiste; przypominał sobie wtedy, że jest młodym, że miałby tyle jeszcze praw do życia i do szczęścia, że życia tego przecież nie można wypełnić jedynie tem tylko, czem się dotąd zajmował.

I zapytywał się z jakąś smutną goryczą, dlaczego mu się tak dziwnie to życie złożyło, dlaczego los wytwarzał mu kolizye, w których poświęcać musiał to, co mu się prawnie należało od świata?...

Połączono go z kobietą, która go nie pokochała, chociaż się o to starał i choć mu nic nie miała do zarzucenia; musiał się wyrzec miłości innej kobiety, z którą wzrastał od dziecka, a której umyślnie unikał teraz, odkąd z jej własnych ust dowiedział się o uczuciu, którego mu nie wolno było przyjąć i podzielić.

Zresztą i ta miłość nie byłaby go dzisiaj uszczęśliwiła.

Powtarzali to wszyscy dokoła niego, że piękna jak Judyta, a jak Kleopatra zmysłowa Malcia Sammetówna, której ojciec po raz drugi był współnikiem starego Sandsteina i w ciężkiej kolizyi dopomógł mu swojemi kapitałami,— kocha się w nim zapamiętałe i otwarcie przyznaje się do tego; ta miłość młodej dziewczyny od lat kilku była publiczną tajemnicą i budziła u jednych współczucie, u drugich szydercze uśmiechy.

Byli tacy, którzy próbowali nawet na jej koszt robić plotki i mówili:

— Podobno młody Sandstein romansuje po ciachu z Sammetówną.

— Zkądżeby znowu!— protestowali inni,— przecież woleliby się pobrać otwarcie.

— Ba, kiedy nie mogą.

— A to dlaczego?...

— No dlatego, że Bernard nie ma rozwodu, tylko separację.

— A dlaczegoż się o rozwód nie stara?

— Kto go tam wie!

Przyznać jednak musiano, że niczem a niczem młody Sandstein nawet najłżejszego nie dawał pozorów, któryby uprawniał do jakichkolwiek podejrzeń w stosunku do Sammetówny; nie widywano go nigdzie przy niej, nie słyszano, aby bywał w domu jej ojca,— przeciwnie, unikał w ogóle towarzystw, a owej płomiennookiej Malci przed innymi.

Nie wiedziano o tem, że miał tę uczciwość powiedzieć jej wprost, otwarcie, iż poza przyjaźnią

i wielką życzliwością, niczego więcej ofiarować jej nie może.

Usłyszała z jego ust słowa:

— Jestem skrupowany, — mam dziecko, którego poświęcać nie mogę, a dopóki żona moja sama odesunie rozvodu nie zażąda, póty pierwszy z tą propozycją nie wystąpię.

Nie tłumaczył się jaśniej, ale powiedział to tak stanowczo, że wszelką replikę przeciął od razu.

Mimo to nie zdołał zatłumić uczucia w sercu dziewczyny, która słuchając go, patrzyła przed siebie w pustą przestrzeń przez łzy i zdawała się nie rozumieć jego słów.

— To ja czekać będę jeszcze dłużej, — powtarzała sobie w myślach z tym uporem serca, mającego niekiedy natręctwo dziecka w miłości, a wiarę fanatyka w przyszłość.

I czekała, oświadczywszy ojcu, że choćby się sam Rothschild o nią starał, za mąż nie pójdzie.

Stary Sammet uważał ją za dziwaczkę i narzekał na córkę.

— Ty waryatka jesteś!... ty zostaniesz starą panną i co wtedy zrobisz?... Czemu tobie się zachciało tego jednego Bernarda, jak gdyby już inni mężczyźni to nie byli zdadni na mężów, czy co ty myślisz? A jak ty takie będziesz miała grymasy, to ja tobie na złość, wezmę i sam się jeszcze ożenię, — odgrażał się, ale go córka pogardliwym jakimś zmierzyla spojrzeniem i w tym tonie dziewczyny wychowanej bez matki i przywykłej do szorstkich odpowiedzi, rzekła lekceważąco:

— To się ożeń, jeśli się taka jeszcze znajdzie.

— Dlaczego by się nie miała znaleźć? — oburzył się Sammet, — co ty sobie myślisz, Malcia?... że-  
bym ja tylko miał trochę więcej czasu, a mniej in-  
teresów na głowie, jabym tobie zaraz pokazał.

— Ty zapominasz, żeś się ochrzcił? — zagadnęła  
go córka.

— No to co z tego?

— Co z tego?... a to, że żydówka za ciebie nie  
pójdzie, a katoliczka nie zechce, chyba taka, któ-  
rejby się nasze pieniądze podobały.

Sammet spluwał i krzywił się, ile razy mu przy-  
pominano, że zmienił wiarę swego czasu, aby na  
złość zrobić Sandsteinowi, gdy się rozeszli po  
pierwszej spółce.

— Człowiek się złapał! — szeptał sobie w duchu  
z niechęcią i przerywał zwykle rozmowę na tym  
drażliwym punkcie.

Do młodego Sandsteina żywił urazę, pomimo te-  
go, że się pogodził z jego ojcem i dalej z nim spe-  
kulował; nie mógł zrozumieć, dlaczego po rozej-  
ściu się z żoną nie chciał powtórnie się ożenić  
z dziewczyną taką ładną, zdrową, tęgą, no i boga-  
tą, bo jedynaczką przecież.

Że nie była hrabianką i przez ojcowską przyzoro-  
ność była jeszcze żydówką, to i cóż?... Sandsteiny  
także nie wywodzili się z żadnych książąt, a zmie-  
nić wyznanie, czy to co tak trudnego?... przecież to  
żadna chirurgiczna operacya, to ani boli, ani pie-  
cze, ani dolega, człowiek nawet tego nie czuje i nie  
wie, że przeszedł z jednej wiary na drugą.

Gdyby mu tego inni nie przypominali, zapomnieliby może o tem przy tylu kłopotach i interesach między giełdą, kantorem i komorą.

Wszystkiego i tak niepodobna zmieścić na jednej głowie.

On to wiedział z własnego doświadczenia, a rozumował, jak człowiek praktyczny, jak oportunistą z natury, który zawsze i wszędzie „potrzebował się naginać do sytuacji“ od swoich lat najmłodszych.

Kiedy Bernard wmieszał się w sprawę „Postępu,“ Sammet zaczął pilnie śledzić jego działalność i słuchać, co o niej mówią; niegdyś tak samo podglądał i podsłuchiwał starego Sandsteina, ale teraz czynił to przez ciekawość innego rodzaju.

Było w tem coś z instynktów handelesa, który krąży około domu, czekając, czy się nie nadarzy sposobność kupienia w nim czego. Kto to mógł wiedzieć?...

W ostatnich dniach dochodziły go słuchy, że Bernard przygotowuje zaciekłą walkę z żywiołem niemieckim w „Postępie“ i że zamierza go napowrót wyrugować z Towarzystwa akcyonaryuszów.

No, to był interes do zrobienia; tylko co można było zarobić na tym interesie, tego jakoś Sammet nie mógł sobie wytłómaczyć.

Czy to nie wszystko jedno, w czyich rękach są akcje, jeżeli tylko przedsiębiorstwo dobrze idzie i daje dywidendę?... po co ten Bernard robi jakieś opozycje i awantury, o których po całym mieście gadają i nawet po gazetach piszą?

Wzruszał ramionami, głowę przechylał z boku na bok i uśmiechał się ironicznie, ale jednak intrygowała go ta cała akcja Bernarda Sandsteina, chociaż nie rozumiał dobrze powodów jej ze strony swego niedoszłego zięcia.

Od chwili, kiedy sprzedaż akcyi przez Blatta i Seligera przestała być już tajemnicą, a wystąpienie Bernarda z Rady Zarządzającej narobiło nowego hałasu, Sandstein senior zwrócił również uwagę na syna. Dziwiło go tylko, że nie przychodzi do niego zasięgać informacyi, ani zwierzać się ze swemi planami.

— Co to jest, co to znaczy?... — myślał, — dlaczego on mnie teraz unika, jakby się bał zdradzić przedemną?... czyżby do własnego ojca nie miał zaufania?... czy chce to wszystko zrobić na swoją rękę?... gdzie on sobie sam poradził... najpierw nie ma takiej forsy, aby wykupił wszystkie akcyje z rąk berlińczyków, a potem to nie łatwa historia połapać znowu te wszystkie ryby, które się z sieci wydostały. On jest ciężko głupi, że się takimi rzeczami zajmuje. Co jemu z tego!... zrobi tyle tylko, że „Postęp“ spadnie na giełdzie... a dywidendę dyabli wziąć mogą. On jest taki do interesów, jak Sammet do baletu.

Pragnął się rozmówić z synem, ale nie chciał go nachodzić, urażony był, że Bernard sam się nie zgłasza. Dopiero przybycie wnuczka ze wsi podało mu pretekst do odwiedzenia syna; poszedł do niego, aby zobaczyć Sewerka i przy tej sposobności dowiedzieć się cokolwiek o planach i szczegó-

łach owej kampanii sanacyjnej, na której czele opinia publiczna stawiała Bernarda.

Z wnuczkim przywitanie trwało krótko; dziadzio przyniósł mu cukierków miętowych w ozdobnym pudełeczku, którego chłopak wziąć nie chciał, tuląc się do bony, bo się bał, że go Sandstein całować zacznie.

— A dziadzio kole wąsami—mówił, zasłaniając sobie twarzyczkę.

Ten dziadzio był dla dziecka jeszcze bardziej obcym panem, niż ojciec.

Kiedy obaj Sandsteinowie zostali sami w gabinecie, stary badawczo przyglądając się synowi, zagadnął go nareszcie:

— No i cóż ty takiego przygotowujesz na to walne zebranie?... hm?... będziesz wyrzucał Niemców z „Postępn“?... jakże ty to chcesz zrobić?

Bernard pochylił głowę i milczał; nie miał ochoty widocznie rozpocząć w tej kwestyi rozmowy z ojcem.

— To nie tak łatwo, jak ci się zdaje — ciągnął dalej stary,— to trzeba chwycić w obie garście mocno, o, tak! — pokazał mu, zaciskając obie pięście i potrząsając nimi.

— Wiem o tem.

— A zresztą, nie rozumiem dobrze, co ci na tem zależy. Po co ta cała kampania!... to ryzykowne.

Bernard westchnął zlekka i szepnął po raz drugi:

— Wiem o tem.

— No, to po co zaczynać?...

— Po to, żeby przynajmniej spróbować naprawy tego, co inni zepsuli. Dzisiaj już to rzecz po-

stanowiona, plan gotowy. Pracujemy już nad tem.

— Jakto: pracujemy?—spytał stary z zajęciem,— ty i kto więcej?...

Bernard zawahał się przez chwilę.

— Ja i grono ludzi dobrej woli, którzy moją ideę podzielają. Utworzyło się stronnictwo akcyonaryuszów, którzy spróbują wysadzić Niemców.

— Któż do tego należy? z naszych chyba nikt, bo nie słyszałem o tem.

— Nie wiem, co ojciec pod „naszymi“ rozumie— rzekł Bernard,— jeżeli chodzi o bankierów i finansistów z zawodu, to rzeczywiście niema w tej grupie ani jednego. Nie próbowałem ich nawet wciągać do tej sprawy.

Stary otworzył oczy szeroko.

— Do finansowego interesu nie próbowałeś wciągnąć finansistów? — spytał,— a o kogoż tobie chodziło?

— Chodziło mi nie tylko o pieniądze, ale i o ludzi — odrzekł mu syn;— tu jest do załatwienia nie tylko interes, ale i sprawa o wiele poważniejsza, sprawa pewnych przekonań.

Ojciec podrapał się wielkim palcem w brodę i zrobił grymas niezadowolenia.

— Mój kochany — rzekł,— po co ty wchodzisz w takie subtelności?... pieniąż służy tylko do jednego celu i ma tylko jedno znaczenie praktyczne. On powinien być, jak... jak drożdże, powinien ciągle rosnać i rosnać, inaczej to on jest, jak... jak, czy ja wiem co?... jak drzewo zcięte, co ani rośnie, ani kwitnie, ani owoców dawać już nie może, tylko sobie leży i leży, ot — kłoda. Ty masz mój Bernar-



dzie za dużo tych rozmaitych fanaberyi, tobie się przywidziało, że ty coś wielkiego zrobić potrafisz; tyś powinien być zostać artystą, bo ty masz takie ambicje wysokie i chcesz, aby tobie klaskali publicznie. A ja tobie powiadam, że to nic nie warte. Masz swój majątek, to się staraj na nim robić dobre interesa, staraj się go podwoić, potroić, pomnożyć pięć, dziesięć, sto razy, jeżeli ci się uda i nie pytaj wiele, gdzie się to uda. Widzisz, ludzie różnych przekonań, różnych wymagań, różnej rasy czy narodowości, czy co takiego, to się z sobą nie zawsze zgodzą; ale pieniądze wszystkich krajów, ruble, franki, marki, guldeny, sterlingi i co chcesz, w jednej kieszeni zgodzą się zawsze, choćby ich było jak najwięcej, a czem więcej ich tam jest, tem lepiej. Więc co tobie to ma szkodzić, że „Postęp“ połknął trochę niemieckich kapitałów, byle to mu na zdrowie wyszło?...

— Jakto, co to może szkodzić?...— przerwał mu Bernard,— przecież szkoda instytucyi, szkoda zysków, któremi trzeba będzie się dzielić z Niemcami, szkoda pieniędzy naszych, które wyjdą za granicę, a potem szkoda tej samodzielności, którą Towarzystwo miało dotychczas. Czyż ojciec nie słyszał, iż ci panowie z Berlina już się odgrają, że będą musieli zrobić u nas porządek, bo im się ta polnische Wirthschaft nie podoba?... wymieniają swoich kandydatów, których chcą do Rady Zarządzającej wprowadzić, mówią o reformach koniecznych w ich duchu i przekonaniu, uważają, że dotychczasowa dywidenda jeszcze nie jest dostateczna i że trzeba postarać się o jej podniesienie.

Tylko chwycili trochę akcyi w swoje ręce, już się chcą rządzić, jak na własnych śmieciach!.. Dla nich jest to zwyczajną spekulacją, poza którą nie innego nie istnieje — a w tem właśnie widzę złe i dopatruję się niebezpieczeństwa na przyszłość.

Sandstein słuchał, kiwając zlekka głową i przypatrywał się synowi, jakby z politowaniem.

— A ty myślisz, że Blatt i Seliger o tem wszystkim nie wiedzieli — spytał,— kiedy swoje papiery sprzedawali na giełdzie w Berlinie?

— Przypuszczam, że o tem nie pomyśleli w danej chwili.

— Tak przypuszczasz?... no, to ja cię mogę zapewnić, że wiedzieli, ale co ich to mogło obchodzić!... to był dobry interes do zrobienia, więc go zrobili na razie i mieli skusność. Czemu nie mieli zrobić?... Każdy powinien przedewszystkiem dbać o siebie, bo o niego drugi dbać nie będzie. No, ale z tobą szkoda czasu mówić o takich rzeczach; ty jesteś marzyciel, mój Bernardziel — dodał, wzdychając smutnie; — wiesz, co jabym tobie poradził?... jabym tobie poradził, abyś ty nie zajmował się żadnymi interesami. Ty nie masz do tego głowy.

— Czy dlatego, że chciałbym własne zyski z cudzą korzyścią połączyć?—spytał syn.

— Dlaczego, to już ja wiem—zbył go niechętnie stary Sandstein i stękając, jakby mu coś na barkach ciążyło, zgarbił się i pochylił głowę, zaparty w podłogę.

Widać było, że go postępowanie syna martwiło; on już to dawno uważał, że ten Bernard mu się nie

udał, wyrodził się, to nie był prawdziwy Sandstein z krwi i kości.

— I kogóżes ty sobie do kompanii znalazł? — zagadnął go po chwili.

— Jest nas dopiero kilku, ale mamy nadzieję, że przyciągniemy większość na naszą stronę. Mamy już zapewniony udział hr. Płonickiego, traktujemy z ks. Gołońskim, wciągnęliśmy dwóch obywateli ziemskich i mamy pozyskać bogatsze mieszczaństwo...

Sandstein z pod oka spojrzął na syna i uśmiechnął się.

— I ty myślisz, że to wszystko razem z jednej miski jeść będzie?...

— Co ojciec przez to rozumie?

— Ty myślisz, że oni się zgodzą na jedno, hrabia, książę, obywatel i fabrykant czy kupiec?...

— Dlaczegożby się zgodzić nie mieli?

— Dlaczego?... dlatego, że się nigdy razem dopasować nie mogli. No, no!... próbuj, próbuj!.. jak się raz na gorącym sparzysz, to może będziesz potem i na zimne dmuchał.

Wstał i ustami cmokał, podszedł do kalendaryka wiszącego na ścianie i zobaczywszy, że była na nim jeszcze data z przed dni kilku, zdarł parę kartek, mówiąc:

— Ot, to także charakterystyczne, jak na kogoś, co interesa robi. U ciebie jeszcze wtorek, a na całym świecie już piątek. Trzeba iść z kalendarem w zgodzie mój kochany i z swoim czasem krok w krok; to moja rada.

Bernard uśmiechnął się i sięgnawszy ręką do kalendarzyka zdarł jeszcze jedną kartkę a na pozostałej podkreślił datę czerwonym ołówkiem:

— Bardzo słusznie—rzekł,—widzi ojciec, że ja nawet o jeden dzień mój czas wyprzedzam.

— To także niepotrzebne — zauważył stary Sandstein, który był dzisiaj bardzo poważnie nastrojony,—nie wrywaj ty się naprzód i nie pozostawaj w tyle; to będzie najlepiej... Po coś ty tę sobotę podkreślił?...

— Bo to ważny dzień dla nas „postępowych;“ jutro mamy pierwsze zebranie w sprawie Berlińczyków.

— U ciebie?

— Nie, u hr. Płonickiego.

— No, to jest nadzieja przynajmniej, że wszyscy przyjdą—z przekąsem odezwał się stary—u hrabiów to się takie sessye z początku udają zawsze, u'kogo innego nie bardzo. No, bądź zdrow i miej lepszy rozum.

Podał mu rękę i wyszedł pożegnać się z wnukiem do drugiego pokoju.

---

## E.

Owa pierwsza sessya wspólna u pana hrabiego odbyła się wprawdzie w zapowiedzianym komplecie, nawet z udziałem ks. Gołńskiego, którego udało się zciągnąć na to zebranie, jednak pozytywnych wyników nie przyniosła.

Płonicki, magnat, arystokrata, człowiek mający już około lat pięćdziesięciu, ale wybornie zakonserwowany, mieszkający na przemian w kraju i zagranicą, zapalony sportsman i członek rozmaitych klubów, należał do tych okazowych hrabiów, których nazwisko wymawia się zwykle z jakimś szczególniejszym akcentem:

— A, Płonickil... sam Płonickil... pan hrabia Płonickil... nawet Płonickil... i t. d.

Zdawało się, że w nazwisku tem mieści się cała hypoteka publicznego zaufania.

W gruncie rzeczy zaś hrabia zbierał tylko plon wielkiej popularności i opinii, jaką sobie wyrobił swego czasu jego ojciec, człowiek ruchliwy, energiczny i czynny, typ prawdziwie wielkiego pana,

który umiał wyznawać i stwierdzać zasadę, że nazwisko i majątek duży zobowiązują.

Syn pamiętał o tem i z wielką czcią wspominał o swoim zmarłym ojcu, któremu — jak chętnie powtarzał — do kolan nie dorastał.

Uważał jednak, że należało mu koniecznie podtrzymywać czemkolwiek ów urok i znaczenie nazwiska rodowego, uświetnionego działalnością ojcowską i od czasu do czasu składać dowody przynajmniej dobrych chęci, jeżeli nie faktycznych czynów.

Bawiąc przez większą część roku w Paryżu lub Wiedniu, zjeżdżał co jakiś czas do Warszawy „dla załatwienia interesów,“ dla zobaczenia, co się w domu dzieje i śpieszył znowu z powrotem, bo go zawsze czekały tam gdzieś jakieś ważne zajęcia, z którymi nie mógł się nigdy uporać.

Zdawało się, że pan hrabia ma rzeczywiście na głowie tyle ważnych spraw i interesów, które mu nie pozwalają dłużej usiedzieć na miejscu; minę miał zawsze człowieka trochę roztargnionego, zapracowanego, umęczonego i wzdychającego do wypoczynku.

Wmawiał to w siebie tak długo i tak dobrze, że nareszcie sam uwierzył, iż niema czasu zjeść obiadu lub wypać się porządnie, bo ciągle czekają na niego nowe zajęcia i obowiązki, od których Płockiemu wymówić się niepodobna.

Nie przeszkadzało to wszelako, że jadł dobrze i w swoim zawsze czasie, sypiał długo i smacznie, składał wizyty, jeździł na polowania, grywał w klubie, nie opuszczał ani jednego dnia wyści-

gów i był gotów najpoważniejszą sprawę porzucić, aby pojechać do Nizy na corso kwiatowe, albo na wystawę rybacką do Wiednia, albo polować na łosie w najdalsze okolice.

— Jestem tak znużony — tłumaczył się wówczas, — że muszę sobie koniecznie pozwolić na taką rekreację, bo inaczej damę słowo, czuję, że byłbym gotów się poważnie rochorować.

Obiecywał zwykle powrócić jak najrychlej, skoro tylko wyrwać się zdoła i zabrać się znów do roboty, bo tylko przy niej czuje się prawdziwie w swoim żywiole.

Nie było człowieka chętniejszego do wszystkich projektów, do każdej myśli poddawanej mu z boku.

— Doskonale, wybornie! — wołał od razu z zapałem — to mi się podoba, to śliczny pomysł!... Ależ naturalnie, zrobimy to, musimy zrobić. Liczcie panowie na mnie w tej sprawie zupełnie; co tylko będzie w mojej możności i moich słabych siłach, uczynię niezawodnie.

I przyrzekał jak najszczerzej z najlepszą wiarą, że dotrzyma, z najlepszą chęcią wykonania swego zamiaru.

Zabierał się nawet z początku z energią i gorliwością nadzwyczajną do każdej nowej rzeczy, ale po jakimś czasie niespodzianie ta sprężystość ustawała nagle. Pan hrabia czuł się znużonym, wyczerpanym, potrzebującym wypoczynku i zniknął, pozostawiając drugim miejsce opróżnione i niespełnione obowiązki.

Pod tym względem przypominał owe zepsute zegarki, które pozornie dają się nakręcać do pewne-

go punktu, ale zawsze przy ostatnim obrocie kluczyka, pęknięta sprężyna wymyka się i kółka stają nieruchome.

— Jestem w rozpacz, jestem niepokieszony — mawiał wówczas z takim szczerem zafrasowaniem, że litość brała patrzeć na niego — ale muszę wyjechać na parę tygodni; interesa mnie wzywają, te nieszczęsne interesa, które mnie zamęczają. Za dużo mam na głowie, stanowczo za dużo, ale trudno!.. niepodobna się wymawiać, kiedy się jest Płonicim i po swoim ojcu wzięło taką spuściznę!.. *Noblesse oblige*, to święte, od tego uchylać się nie wolno.

Gdy mu przedstawiono sprawę „Postępu“ i wezwano go, aby się przyłączył do kampanii przeciw najazdowi niemieckiemu na tak poważną placówkę przemysłową, wykrzyknął od razu:

— Ależ naturalnie!.. jestem z wami, moi panowie; najzupełniej podzielam wasze zamiary. To ślicznie, to doskonale!.. trzeba im pludry skroić i wyekspedyować jak najrychlej *nach Draussen*. Zrobimy to, rozumie się, musimy zrobić. Ależ to byłby wstyd, to hańba, żebyśmy ich wpuszczali do „Postępu!..“ Proszę na mnie liczyć bezwzględnie. Wszystko, co każecie—uczynię. Jestem do waszej dyspozycji.

Kłaniał się, za ręce ścisnął, na fotelach sadzał, cygarami hawańskimi częstował, notatki robił, informacyi się domagał i przejęty się zdawał do głębi projektem, jaki mu przedstawiono, powtarzając nieustannie:



— Ależ tak, ależ naturalnie!... to się rozumiel... doskonale, prześlicznie!...

Sam zobowiązał się pozyskać ks. Gołońskiego, jak powiadał „dla firmy.“

— Musimy mieć po swojej stronie same tuzy — mówił—księżę nam koniecznie potrzebny; bez niego nie!... on to zrobi dla mnie, już ja go przekonam, bądźcie spokojni.

I pojechał rzeczywiście w pierwszym zapędzie do księcia, aby go zciągnąć do siebie na naradę.

— Księżę nie możesz odmówić swego udziału — wmawiał w niego, — ja się za pana zobowiązałem; to sprawa publiczna. Musimy wyrugować żywiół germański, odeprzeć najazd, uratować „Postęp.“ To nasz obowiązek. Samo nazwisko księcia w naszym obozie, to już połowa zwycięstwa.

— A kto tam do tego należy? — spytał księżę przezornie z właściwą sobie powagą i spokojem, które były jego wybitną cechą.

Płonicki wymienił kilka nazwisk, a między niemi Bernarda Sandsteina.

— Sandstein?... cóż to takiego?... to trąci trochę żydem,— zauważył księżę, a jego wygolona twarz z krótkimi bączkami przeciągnęła się bardzo; przymknął oczy, głowę podniósł w górę i zdawał się przypominać sobie coś, co miało związek z usłyszanem nazwiskiem.

— Jakiś Sandstein ożeniony był z siostrzenicą hr. Adama—rzekł;— coś mi mówiono kiedyś o tym maryażu.

Płonicki się zaciął; uwaga księcia zbudziła w nim refleksyę, że się może nazbyt pohopnie zawikłał

w sprawę, w której jakiś Sandstein, co „żydem trąci“ bierze udział tak znaczny; przecież to z jego inicjatywy całą tę kampanię rozpoczęto.

Książę zawsze z tym samym spokojem, który nieruchomej twarzy jego nadawał wyraz maski woskowej, mówił dalej tonem miarowym, jednostajnym, cedząc słowo po słowie:

— Na czele tego „Postępu“ stoi Klappermann, prawda?

— A tak.

— O ile wiem, to Izrael panuje tam w dużej części.

— No, niezupełnie; w Radzie Zarządzającej jest Struś Wydźzewski.

Książę westchnął i ręką zlekka machnął w powietrzu.

— Gdzieżby tego nie było!...

— Jest Baron Lipecki, jest Januszek Oczko...

Książę swój ruch lekceważący powtórzył po raz drugi.

— To nie wiele, to nie wiele, — mówił z zamkniętymi oczyma.

Hrabia ostudzony przez chwilę z zapału, wrócił do dawnej temperatury i rezonu.

— Tak, ale tu nie chodzi o osobistości, tylko o instytucję, która stoi rzec można na czele naszego żelaznego przemysłu—zaczął,—o Towarzystwo, w którym ma udział znaczna liczba obywateli, co swoje kapitały zaangażowała w przedsiębiorstwo na tak szeroką skalę rozwinięte. Niech książę tę sprawę z tej strony raczy rozważyć.

I korzystając z tego, że Gołowski w milczeniu cierpliwie słuchał, zdobywał się na wymowę i argumentację tak gorącą, jak gdyby do szpiku kości przejęty był uczuciami, które wzbudzić pragnął w starym księciu.

— Musimy do tego ręki przyłożyć — zakończył energicznie swoją przemowę, — nie możemy się uchylać, skoro nas wzywają do pomocy w takiej sprawie. Ani ja, ani książę nie możemy odmówić przynajmniej dobrej rady i udziału w akcji. Ci panowie zwrócili się do nas, to trudno, — obowiązek wzywa. To zupełnie jak na wojnę, trzeba iść!..

Gołowski bębnił palcami po poręczy fotelu i patrzył przed siebie w przestrzeń pustą; pozwalał cierpliwie wygadać się Płoniczkiemu.

— A cóż my tam właściwie robić mamy? — spytał nareszcie.

Hrabia przez chwilę zastanowił się, jakby zaskoczony tem prostem zapytaniem:

— Co mamy robić? — powtórzył — mamy działać, działać i to jak najenergiczniej!..

— W jakim kierunku?..

— W jakim kierunku?... w kierunku anti-niemieckim, tak — w kierunku anti-niemieckim. Musimy utworzyć silną większość, podeprzeć ją naszymi kapitałami i nie dopuścić berlińczyków do głosu, przeprowadzić naszych kandydatów do zarządu i utrzymać ster... Zresztą, o tem wszystkim szczegółowiej dowiesz się książę na zebraniu u mnie.

Gołowski wdychał i milczał.

— Zatem mogę liczyć na księcia? — spytał go

Płonicki po francusku—mam nadzieję, że się książkę raczysz pofatygować choćby dla samej ciekawości poznania tej sprawy bliżej. Bardzo proszę i czekam.

Książę w milczeniu podał mu rękę i nie odpowiadając ani: tak, ani: nie, odprowadził ceremonialnie gościa do samych drzwi.

Hrabia wyszedł z tej wizyty z jakimś wrażeniem niemiłym; miał uczucie, jakby mu za kołnierz wsadzono grudkę śniegu.

— To dziwne — mówił do siebie, — że mi też wcześniej do głowy nie przyszło, że ten Sandstein, ten Klappermann, ten cały „Postęp“ to trochę... nawet nie trochę, ale nawet bardzo żydem trąca!... Hm, hm!... kto wie, czy książę nie ma racyi, że się opiera.

Dobre jego chęci były już nieco zachwiane.

Wrócił do domu z myślą, która uparcie go prześladowała.

— Rzeczywiście, to zastanawiające — mówił sobie pan hrabia, — dlaczego właśnie zwrócił się ten Sandstein do mnie, skoro miał innych bliżej; mógł przecież wciągnąć w kombinację swojego ojca i rozmaitych finansistów z zawodu, ludzi właściwszych do takiego interesu. Dlaczego ja, książę i my wszyscy mamy na wezwanie pana Sandsteina ratować „Postęp,“ który i tak pozostanie w rękę Klappermanna *et consortes*? Bo co on tam gada o potrzebie reform administracyjnych i osobistych! kto mi zaręczy, że kiedy wypędzimy Niemców, to na ich miejsce nie wejdą znowu żydy?... Nie, z tem trzeba ostrożnie. Ja się w ogóle zanadto przejąłem

tą całą sprawą. To nieszczęście mieć tak zapalną naturę!... Zobaczymy zresztą, co będzie dalej i z kim będziemy mieli do czynienia. Strzeżonego Pan Bóg strzeże...

Wobec Bernarda wszelako nie zmienił na pozór swego usposobienia; zapewniał go, jak poprzednio, że wszystko to prześliczne, cudowne, doskonałe, i chwilami nawet z zapałem mówił o całej kampanii, której z góry przepowiadał zwycięstwo.

— Ależ niema mowy, żeby się nie udało! — wołał:— musi się udać! Tylko się do tego zabierzemy po naszymu, energicznie, a przedewszystkiem wytrwale,— przedewszystkiem wytrwale — powtarzał z naciskiem, — to zrobimy swoje; bądź pan spokojny.

W oznaczoną sobotę kazał ustawić stół duży na środku swego gabinetu, pozapalać kandelabry i lampy, własną ręką poukładał na stole arkusze welinowego papieru, a przy każdym ołówek do robienia notatek; ołówki przez pół godziny sam temperował.

Służba wystąpiła w liberyi.

Przygotowano herbatę, wina francuskie, cygara i papierosy dla uczestników narady wstępnej i oświetlono salon, jak na jakie ceremonialne przyjęcie.

Pan hrabia krzątał się, przejęty obowiązkami gospodarza, mającego odegrać ważną rolę; nastroszony był uroczyscie, przygotował sobie nawet mówkę na zagajenie sesyi, której spodziewał się przewodniczyć na wypadek, gdyby ksiązę skrewił i pomimo osobistego zaproszenia nie przyszedł.

Pierwsz.: stawiał się Bernard na kwadrans przed oznaczoną godziną zebrania.

— Ach, jak to dobrze, jak to dobrze, żeś się pan pośpieszył! — powitał go Płonicki z otwartymi ramiionami, — musimy przecież ułożyć porządek dzienny i sformułować najgłówniejsze punkta do dyskusyi. Porządek dzienny — to grunt!... Szkoda wielka, żeśmy nie zaprosili nikogo z prasy; ci panowie są zawsze w takich wypadkach bardzo potrzebni, bo oni urabiają opinię. Dwa, trzy słówka w dzienniku znaczą niekiedy bardzo wiele. Ja mam kilku znajomych redaktorów, żałuję, że którego nie ściągnął, ale czyż to podobna o wszystkim pamiętać! Człowiek ma jedną głowę tylko, a w niej niestety! rejewach ciągnęły, jak w bóżnicy.

Zaczął się, wymówiwszy te słowa, bo mu przyszło na myśl, że Bernard gotów je wziąć za alluzję do swego pochodzenia, więc aby jak najprędzej zatrzeć ich wrażenie, zmienił temat rozmowy i spytał:

— Pan zna osobiście ks. Gołońskiego?... nie zna pan?... ach, to szkoda!... Wielona zacność i poczciwość, a jaka powaga!... śliczny człowiek, sama prawość i obowiązek. Trochę za dużo konserwatyzmu, ale to trudno, to się trzyma pewnej sfery i pewnych rodów arystokratycznych. Wyda się panu trochę za mało przystępnym, ale nie trzeba się zrażać.

— Co do mnie, panie hrabio — odrzekł Bernard — uważam się za tak małą figurę, że mego osobistego stosunku nie biorę wcale w rachubę. Występuję jedynie w interesie instytucyi, na której bycie

i rozwoju zależy nam wszystkim jednakowoż, i mam nadzieję, że pod tym względem zgodzimy się wszyscy u jednego celu.

— A rozumie się, to całkiem naturalne!... podzielałam w zupełności pańskie zdanie. Ja wyznaję zasady mego nieboszczyka ojca, który...

W tej chwili dzwonek u drzwi przerwał rozpoczęte zdanie; Płonicki porwał się z fotelu i pobiegł ku drzwiom ze słowami:

— Może książkę...

Chciał go powitać u progu, ale we drzwiach zatrzymał się i twarz zestawiał o jeden ton uprzejmości i atencji, zobaczywszy w przedpokoju dwóch panów nieznanomych, zdejmujących okrycia.

Zegar na ścianie zaczął bić godzinę siódmą.

— To się nazywa punktualność! — zaczął hrabia, witając gości, — panowie pozwolą do mego gabinetu. Bardzo mi miło...

Starszy z przybyłych, człowiek około sześćdziesięcioletni, z siwą czupryną, z zawieszistym podbródkiem starannie wygolonym, z wąsami zwieszonymi, jak dwa pałasze, z cerą rumianą, ogorzałą nieco, wyglądał na mieszczanina, przybranego w czarny długi surdut od święta. W rękę trzymał kapelusz i nowe rękawiczki ceglatego koloru; na atlasowym krawacie błyszczała duża ametystowa szpilka, na grubych palcach świeciły złote pierścienie i sygnet z krwawnikiem.

Skłonił się ciężko, bez gracy i układu salonowego, jak człowiek nie nazwyczajony do form światowych, ale bez uniżoności i zakłopotania, któ-

re się objawia u ludzi wchodzących po raz pierwszy w obcą dla siebie sferę.

Przyjmując wyciągniętą na powitanie rękę hrabiego, wymienił krótko swoje nazwisko:

— Łubski.

Towarzysz jego, łysy blondyn o pucełowatej twarzy, podsadkowaty, z okrągłym brzuszkiem, ubrany w nowy frak, wyciętą kamizelkę, na której złoty łańcuch od zegarka z mnóstwem breloków pobrzękiwał za każdym krokiem, miał minę dorobkowicza w balowym stroju.

— Jestem Korczalski — zaprezentował się z uśmiechem zadowolenia, ujmując oburącz wyciągniętą prawicę hrabiego, przyczem z pod pachy wypadł mu szapoklak jedwabny i potoczył się po podłodze, jak krążek.

— Bardzo mi miło, bardzo mi miło powitać pana — powtarzał hrabia, zginając się w całej seryi ukłonów, — proszę, niech się panowie rozgoszczą, bardzo proszę.

Oba nazwiska pospolite, mieszczańskie, niewiele go pouczyły, ale sama obecność ich na liście akcyonaryuszów „Postępu“ świadczyła dostatecznie za nimi i ich kieszenią.

Obaj byli reprezentantami osobnej grupy przemysłowo-handlowej, która posiadała swój udział w Towarzystwie; po pierwszym trudno było poznać, że niegdyś cieśla, dziś jest posiadaczem krociowej fortuny, zrobionej na przedsiębiorstwach budowlanych i cegielni, — po drugim, że to właściciel magazynu wyrobów żelaznych i giserskich,



mających szeroki odbyt, który mu pozwolił zebrać wcale okazały majątek w hipotekach i gotówce.

— Patrz pan, panie Hieronimie, tośmy pierwsi!— odezwał się, chrząknąwszy kilkakrotnie do swego towarzysza, jakby go dławiał zaszczyt pierwszej wizyty w domu prawdziwego hrabiego.

— A no, to i poczekamy — odparł były cieśla, odsapnąwszy głęboko,— mamy czas przecież.

Płonicki z Bernardem szeptali coś na uboczu; reprezentanci grupy przemysłowo-handlowej akcyonaryuszów rozglądali się po gabinecie hrabiego. Znać było, iż Korezalskiego każdy szczegół zajmował, jakby w Muzeum osobliwości.

— Pan hrabia ma ślicznie urządzone mieszkanie, — odważył się nawet zauważyć dla nawiązania rozmowy z gospodarzem, co dało sposobność Łubskiemu do odezwania się z pewną rubasną szczerością:

— Ba! któż będzie ślicznie mieszkał, jeśli nie pan hrabia!...

Płonicki z uśmiechem przyjął tę pochwałę profanów.

Dzwonek w przedpokoju znów obwieścił przybycie nowego gościa; do gabinetu wszedł wysoki, chudy, dystyngowanej powierzchowności jegomość, którego hrabia powitał wykrzyknikiem;

— Kochany radca!... mamy tedy i grupę obywatelską reprezentowaną. Jakże mi się radca miewasz?... cóż, zdrowieczko?... dobre?...

— *Passable, passable*,— odpowiadał radca, składając ukłon gospodarzowi i obecnym,— *je demande ardon monsieur le comte*, iż trochę później przy-

chodzę, ale miałem dziś obiad u naszego prezesa, na którym było kilku ziemian z mojej okolicy, i debatowaliśmy dużo o nowej ustawie... *Ayez la bonté de me presenter*, — zwrócił się ku Łubskiemu i Korczalskiemu, obrzucając spojrzeniem obu i podając im swe długie palce przy zawieraniu znajomości, która nie zdawała się sprawiać mu zbyteńgo zadowolenia.

Mieszając nieustannie francuzczyznę z wyrazami polskimi, zaczął opowiadać hrabiemu szczegóły z owej ciekawej poobiedniej dyskusyi, pykając przytem delikatnie dym z papierosa, którym go gospodarz poczęstował.

Dzwonek odzywał się teraz coraz częściej, i we drzwiach ukazywali się pojedynczo, lub po dwóch zaproszeni do przedwstępnej narady akcyonaryusze, wśród których hrabia uwijał się z młodzieńczą werwą, z właściwą sobie uprzejmością, witając, wprowadzając swych gości, odbierając im kapelusze i sadowiąc ich na kurulskich krzesłach, ustawionych wzdłuż ścian.

Czynił to wszystko z przejęciem się i wprawą człowieka, który zna się nie tylko na obowiązkach gościnnego gospodarza, ale i na sztuce zdobywania sobie popularności w najrozmaitszych sferach.

Wśród zgromadzenia, które urosło do liczby kilkunastu osób, znajdowali się reprezentanci zamóżnej inteligencji, mieszczaństwa, szlachty, przemysłu i kapitałów.

Arystokracyi przedstawicielem był dotychczas sam Płonicki.

Służba zaczęła roznosić tace z herbatą i kieliszki z winem; atmosfera zapełniła się gwarem mieszanym z głosów i dymem cygar hawańskich.

Oczekiwano ciągle jeszcze na coś i na kogoś.

— Możebyśmy zaczęli? — dopytywano się z tej i owej strony, zwłazcza w otoczeniu Bernarda, który z poważnym spokojem, pomimo głębokiego przejęcia się sytuacją, wyczekiwał również hasła do otwarcia dyskusji.

Nareszcie po raz ostatni zadzwieczał dzwonek u drzwi wchodowych, a po chwili hrabia z rozmienioną miną obwieścił zgromadzonym:

— Panowie, książę!...

W salonie uciszyło się.

Płonicki znikł za drzwiami i z wielką atencją wprowadził pod ramię dostojnego gościa, który stał się teraz dla niego najważniejszą figurą w całym zebraniu.

Książę szedł wyprostowany, sztywny, z oczyma zmrużonemi, z głową podniesioną w górę, z jakimś wyrazem przymusu na twarzy, szepejąc ledwie do słyszczanym głosem:

— Przepraszam bardzo, że tak późno przychodzę, ale nie miałem prawie nadziei, abym mógł służyć panom dzisiaj. Cały dzień czułem się tak niedysponowany, że tylko z prawdziwym wysiłkiem zwłóknę się z fotelu...

— Nieskończenie, nieskończenie jesteśmy księciu obowiązani za tę ofiarę, — zapewniał go hrabia, prowadząc wprost do stołu, na miejsce honorowe.

Humor mu się poprawił, nie czuł się już tak odo-

sobnionym w gronie swoich gości; obecność księcia dodała mu animuszu.

— Książę pozwoli sobie przedstawić. — zaczął i wymienił kilka nazwisk, niewiele dbając o to, czy wymawia je właściwie.

Znajomych, których tu spotkał, witał Gołoński uściskiem ręki lub skinieniem głowy, nieznanym typnięciem powiek i jakimś niemem poruszeniem ust, które miało zapewne znaczyć:

— Bardzo mi przyjemnie.

Na samym ostatku przyszła kolej na Bernarda.

Książę otworzył oczy i spojrzał na niego dłużej, niż na innych, a po chwili raczył odezwać się:

— A, to pan?... słyszałem wiele o pańskiej działalności i inicjatywie w tej sprawie, w której zebrałiśmy się tutaj.

Sandstein ukłonił mu się z daleka, zauważywszy niezdecydowany ruch starego arystokraty, który jakby się namyślał, czy wyciągnąć rękę ku niemu, czy poprzestać tylko na mrugnięciu i skinieniu głową.

— Zatem, skoro jesteśmy w komplecie — zaczął książę uroczyście, cedząc słowo po słowie, — możebyśmy, nie tracąc czasu na próżno, przystąpili od razu do rzeczy?...

Hrabia, złożyłszy obie dłonie na piersiach, rzekł:

— Czekaliśmy właśnie tylko na księcia, a teraz, skoro zaszczycił nas książę swoją obecnością, nie już nie stoi na przeszkodzie, abyśmy rozpoczęli dyskusję. Mam nadzieję, panowie, że przez aklamację oddamy przewodnictwo obrad w ręce ks. Gołońskiego? — dodał, zwracając się do zgromadzo-

nych, którzy podnosząc się z miejsc, na rozmaite głosy przywtórzili temu wnioskowi.

— Prosimy, prosimy! — odezwały się głosy obecnych, a ponad nimi wybił się podniesiony organ Korczalskiego:

— Przez akłamację!...

Hrabia powiódł okiem po zgromadzeniu, i stanawszy w pozie parlamentarnego mówcy, oparty o stół, zwrócił się w stronę księcia ze słowami:

— Proszę o głos.

Przewodniczący podniósł powieki, spojrzął przed siebie i jakby ze snu zbudzony, spytał:

— Kto mówi?... a, to pan?... hr. Płonicki ma głos, panowie.

Wymówił to ceremonialnym tonem, jak sakramentalną formułkę i, wsunawszy się głębiej w fotel, założył ręce na piersiach.

— Panowie!—zaczął hrabia po chwili wyczekiwania i jakby namysłu. — Przedewszystkiem pozwólcie mi wyrazić sobie najgłębszą wdzięczność, iż w sprawie tak ważnej, tak żywotnej, tak zajmującej szerokie kręgi opinii publicznej, raczyliście zebrać się w moim domu, aby tu postanowić cały plan działania co do uratowania zagrożonej przez niemiecką inwazyę instytucyi, tak wysokie pod względem ekonomicznym, przemysłowym, a i społecznym mającej znaczenie. Będę się czuł szczęśliwym, jeżeli pomyślny skutek naszych dzisiejszych obrad uwieńczy to dzieło, pod moim dachem rozpoczęte. Jeszcze raz wszystkim szanownym panom dziękuję i upraszam pana Bernarda Sandsteina, jako inicjatora tego zebrania do przedstawie-

nia nam swoich uwag i poglądów na dzisiejszą sytuację „Postępu.“

Uklonił się i cofnął od stołu do krzesła pod ścianą.

Księżę siedział z zamkniętymi oczyma i czekał; w zgromadzeniu zapanowała cisza.

— Proszę o głos, — odezwał się wreszcie Bernard.

— Kto prosi o głos? — raczył zapytać przewodniczący.

— Ja, panie prezesie, — oświadczył Sandstein.

— Ach pan!... pan Sandstein ma głos, panowie! — zabrzmiały znowu uroczyste słowa przewodniczącego.

— Słuchamy! — uważał za stosowne obwieścić Korczalski.

Bernard wstał i, oparłszy się ręką o poręcz swojego krzesła, zaczął mówić.

Mówił z początku głosem trochę przyciszonym, matowym, ale w miarę, jak rozwijał swoje argumenta, pewność siebie i swada rosły; znać było, że przejmuje się własnymi słowami i wygłasza głębokie przekonania swoje, że mu zależy na tem, ażeby sobie zjednał wszystkich, aby projekt jego pozyskał aprobatę obecnych. Niektóre ustępy wyróżniały się nawet retoryczną swadą, szczególnie, gdy dowodził słuchaczom, że powinni jako akcyonariusze Towarzystwa spełnić względem niego w chwili takiej swój obowiązek i stanąć w jego obronie, zapewnić mu przyszłość narażoną nieopatrznie dla spekulacyjnych celów, i obok korzyści materialnych, pamiętać także o względach moral-

nych, jakie przemawiają za utrzymaniem „Postępu“ w rękach pewnych i czystych.

— Nie potrzebuję chyba zwracać uwagi szanownych panów — rzekł, — że los instytucji ekonomiczno-przemysłowej, obracającej kapitałem tak znacznym, dającej utrzymanie setkom pracowników, mającej widoki coraz większego rozwoju, powinien leżeć na sercu wszystkim ludziom dobrze myślącym. Żywioł niemiecki, niezaprzeczenie bardzo praktyczny w obrębie interesów, ale własnych, wprowadzony szczęśliwym trafem do naszego Towarzystwa, jako czynnik obcy, stanie się prędkiej czy później pasorzytem tego organizmu, w który zaszczerpił się jedynie w celach eksploatacyjnych. Chcę mieć to przekonanie, że argumentami moimi rozświeciłem prawie dostatecznie sytuację, że nie potrzebuję dowodzić dłużej konieczności usunięcia złego w zarodku, dlatego pozwałam sobie przystąpić do ostatniego punktu, a mianowicie do wniosków specjalnych w tej sprawie. Z cyfr, jakie miałem zaszczyt przytoczyć panom, widzicie jasno, iż jakkolwiek stan finansowy „Postępu“ przedstawia się świetnie na oko, wszelako w gruncie rzeczy opiera się na pewnych forsownie wyśrubowanych pozycjach, nie da się umotywić bez zarzutów nawet poważniejszej natury, a budzi podejrzenie o wprowadzenie czasowo umyślnych machinacji, aby za ich pomocą podnieść wysoko kurs naszych akcji i wyrobić im opinię jak najlepszą, chociaż niezupełnie usprawiedliwioną. Jaki był cel sprowadzenia tej gwałtownej i niepomiernej zwyżki,

nie chcę się w tej chwili zastanawiać, wiem tylko, że został już wyzyskany, i to niestety przez kilku członków samego Zarządu, z narażeniem interesów naszego Towarzystwa. Ci panowie nie są obowiązani prawnie tłumaczyć się przed nami; pozbyli się swoich papierów, które były ich osobistą własnością, sprzedali je na giełdzie berlińskiej, bo według swoich kombinacji na różnicy kursów mogli w danej chwili więcej zarobić. Każdy finansista, spekulujący na giełdzie, przyzna im słusność i nawet pochwali spryt w skorzystaniu z sytuacji, ale człowiek bardziej skrupulatny, może nie całkiem ideolog, rozumować gotów inaczej, jeżeli spojrzy ze stanowiska ogólniejszego. Zadziwię panów może zdaniem, które wygłoszę, że wartość kapitału uważam za względną i że mam dla niego o tyle szacunek, o ile jest potęgą żywotną, użyteczną, produktywną nie dla samej jednostki, która go szczęśliwie posiada, ale dla interesów ogólnych także. Im większą ta potęga, tem bardziej jest zobowiązana do dodatniego działania, tem mniej powinna służyć tylko celom egoistycznym. Nie chciałbym, abyście mnie panowie źle zrozumieli i posądzili o myśli, których nie mam, dlatego wytłumaczę się przez porównanie; oto pragnę, aby duży kapitał był owem kołem rozpędowem w wielkiej maszynie ekonomiczno-społecznej, poruszającej jak najwięcej innych kół i trybów, aby swą siłą oddziaływał w kierunku odśrodkowym, nie dośrodkowym wyłącznie, aby przez to miał swój charakter moralny i swą zasługę publiczną.



Powiedział to z większym naciskiem, głosem podniesionym i z przekonaniem głębokim, które go samego zapaliło.

— Bravo! — wyrwało się z ust pana radcy, przypatrującego się uważnie Bernardowi przez cały czas jego przemówienia.

— Doskonale! — dorzucił hrabia i złożył dłonie jak do oklasku, na znak swego uznania; nawet książę siedział z otwartymi oczyma, i znać było, że słucha z zajęciem, ale i z wyrazem pewnego zadziwienia.

Łubski i Korczalski ośmieleni, zaczęli klaskać, jak w teatrze.

Sandstein po chwilowej przerwie mówił dalej:

— Wielką otuchą przejmuję mnie aprobatą szanownych panów, bo utwierdza mą nadzieję, że z tej wspólności zapatrywań wypłynie poparcie czynne idei, która ma być podstawą zamierzonej naszej działalności. Pierwszym warunkiem do dopięcia naszych celów i wypowiedzenia na wstępie walki żywiołowi niemieckiemu w „Postępie,” jest przygotowanie środków obronnych. Musimy przeciwnikowi broń z ręki odebrać; musimy wytworzyć i zapewnić sobie silną większość na przyszłym walnem zgromadzeniu, musimy nawet narazić się na pewne ofiary, aby odzyskać utracone placówki. Nie wiem jeszcze, o ile na drodze ugodowej da się od panów Berlińczyków odkupić ich udziały. Byłoby do życzenia, aby stało się to wcześniej, nim nadzieja zysków i wysrubowania wysokiej dywidendy rozłakomi ich nie do ogryzania mięsa, ale do wyssania nawet szpiku z „Postępu.“ Otóż roz-

porządzalność znaczniejszym kapitałem będzie na razie ewentualnością konieczną i dlatego musimy zdecydować, czy i o ile zechcemy przyczynić się naszymi funduszami do zamierzonej kampanii, która może się stać bardzo zaciętą i gwałtowną.

Uklonił się i cofnął do swego krzesła po półgodzinnej przeszło mowie, słuchanej z natężoną uwagą przez wszystkich i z rosnącym zajęciem.

Hrabia podszedł do niego ze słowami uznania, aby mu powinszować i zapewnić go, iż najzupełniej podziela jego zdania.

Kilku innych uczyniło to samo.

Łubski i Korczalski, widząc, że i ksiązę przewodniczący skinął głową w stronę Bernarda, podnieśli się z miejsca i poszli podać rękę mówcy, który tyle zdrowych i śmiałych rozwinął projektów.

— Dobrześ pan gadał!... święte słowa!... to było murowane wszystko! — wyrażał się z rubaszną swą otwartością przedsiębiorca robót budowlanych; — niema co, trzeba będzie Szwabów przepędzić. Ja tam się nie lubię bawić w piękne słówka, ale ile będzie potrzeba i na ile mnie starczy, ryzykuję panie mocidziejul...

Korczalski mu wtórował:

— Wszyscy to zrobimy, niema co, kiedy trzeba, to trzeba; nie prawdaż, proszę pana hrabiego?...

Płonicki potwierdził swoim zwyczajem, jak najgoręcej:

— Ależ naturalnie! ależ rozumie się!..

Radca zwrócił się do swojego sąsiada i zaczął rozmawiać z nim półgłosem:

— Tak, tak... to zdaje się dobra głowa.

— Kto taki?

— A ten pan Sandstein.

— O, to widać.

— Nawet przyznam się, że mi zrobił niespodziankę.

— W jakim względzie?

— Co do poglądów swoich na kapitalizm; przecież to syn bankiera?

— A tak.

— Jednak mówi, jak gdyby nie był synem własnego ojca. Jeżeli to tylko szczerze...

— Czyżby pan radca przypuszczał, że tak nie jest?...

— Nie, broń Boże!... cóż znowu?... ja nie mówię, tylko dziwię się, bo ostatecznie przyznaj pan, że sfera, z której wyszedł — dodał ciszej, nachylając się do ucha sąsiada, — to przecież sfera mechesowska, plutokratyczna, z której się takich zasad i poglądów nie wynosi.

— Tak, to prawda, ale są i wyjątki.

— Zaczynam w to wierzyć potrosze od tej chwili.

Książę ołówkiem uderzył kilka razy o stół, aby przywrócić spokój i nawiązać dalsze obrady.

— Który z panów w tej kwestyi zamierza zabrać głos? — spytał z prezesowską powagą.

Kilku mówców jednocześnie zapisało się do głosu, a na ich czele hrabia, który zaproponował wybór ściślejszego komitetu do rozpatrzenia szczegółowo projektu Bernarda pod względem finansowym i rozpoczęcia wkładów z Niemcami.

Książę spojrział na zegarek i wydał dolną wargę: pełną już godzinę swojego drogiego czasu poświęcił dla dobra publicznego, drugiej nie miał wielkiej ochoty poświęcać, dlatego wniosek Płoniciego, skracający dyskusję, przypadł mu szczególnie do przekonania.

— Panowie — odezwał się, — proszę o spokój; pan hr. Płonicki proponuje wybór ściślejszego komitetu, któryby...

Sformułowanie wniosku szło mu jakoś niełatwo.

— Któryby rozpatrzył szczegółowo, — poddał mu hrabia.

— A tak, któryby rozpatrzył szczegółowo projekt pana Sandsteina. Kto jest za tem, zechce rękę podnieść.

Kilkanaście rąk podniosło się jednocześnie do góry, na znak zgody.

— Wniosek przyjęty — zawyrokował przewodniczący, — przystąpmy zatem do stawiania kandydatów.

— Pan hr. Płonicki! — pośpieszył się z kandydaturą gospodarza Korczalski, jakby się obawiał, że może być uprzedzony przez kogo innego.

Hrabia skłonił lekko głowę, ale podniósł się zaraz z miejsca, i nachylając do księcia, rzekł:

— Sądzę, że przedewszystkiem należałoby oznaczyć liczbę członków takiej komisji.

— A prawda; musimy wiedzieć, na ilu mamy głosować; bardzo słuszna uwaga.

— Pięciu, — odezwał się ktoś ze zgromadzonych.

— Sześciu, — poprawił ktoś drugi.

— Trzech wystarczy; musi być liczba nieparzysta.

— Dlaczego? — spytał Korczalski, któremu widocznie przyjemność to sprawiało, że może brać udział w dyskusyi.

Ta drobna kwestya zabrała kilkanaście minut czasu, nim postanowiono, iż komisya z trzech członków złożona będzie dostateczną do przejrzania wszystkich punktów i zdania sprawy na najbliższem powtórnem zebraniu.

Księżę wymówił się stanem zdrowia od przyjęcia w niej udziału, polecając na swoje miejsce hrabiego. Wybór uchwalony został przez akłamację, a Płonicki przyjął go z poddaniem się człowiekowi, skazanego od kolebki na dźwiganie obowiązków *pro bono publico*.

Porządek dzienny nadspodziewanie szybko został w ten sposób wyczerpany.

Zgromadzenie wyraziło jeszcze gorące podziękowanie księciu za trudy przewodniczenia obradom; przyjął to z wielką powagą, która nastroiła go jeszcze bardziej uroczyście, wyprostował się i rzekł:

— Panowie, szczęśliwym się czuję, ilekroć mogę być pożytecznym w sprawach ogólniejszego znaczenia.

Przejęty był na seryo poczuciem swojej godności; zdawało mu się, że dokonał czegoś ważnego, rozdając głosy i przyjmując uchwały, a zwłaszcza uświetniając obecnością swoją to zebranie.

Na wychodnem, odprowadzony przez gospodarza aż do przedpokoju, zatrzymał się przez chwilę w otwartych drzwiach, jak gdyby się namyślał

nad czemś i ująwszy hrabiego lekko pod ramię, zaczął po francusku:

— A jednak, szczerze mówiąc — wolałbym, aby ta cała sprawa... no, ale zresztą, zostawmy to na później,— przerwał sam sobie, nie chcąc dokończyć swjej myśli,— zobaczymy, zobaczymy. Zrobiłem to głównie dla pana, że przyszedłem, lecz nie mogę się zobowiązywać na przyszłość, dlatego o sprawozdaniu komisji zechciej mnie hrabia uwiadomić przy sposobności. Uznaję szlachetne zamiary pana Sandsteina, jednak... jednak... jednak...

Zrobił minę, jak gdyby nie dowierzał ich uskutecznienu.

— To będą rzeczy bardzo trudne do przeprowadzenia, bardzo trudne — powtórzył z westchnieniem;— no, ale próbujcie, próbujcie, może się wam uda.

Hrabiemu twarz się przeciągnęła, jak po owej pierwszej rozmowie z księciem.

To „próbujcie“ brzmiało bardzo dziwnie w jego ustach; zapowiadało wyraźnie, iż na solidarność i wspólne działanie w tej sprawie niema co wiele liczyć.

— Możemy jednak mieć nadzieję, że nam ksiązę swej światłej rady i pomocy nadal nie odmówi? — spytał skwapliwie, przytrzymując zlekka rękę Gołńskiego, który ociągając się, odparł:

— Nie odmawiam, nie odmawiam, kochany hrabio, ale i nie przyrzekam. Nie mogę się zobowiązywać do niczego, muszę rozważyć... *Vous comprenez*, że na mojem stanowisku trzeba się obliczać z wieloma względami.

Gdyby to nie było na samym progu, Płonicki byłby się chętnie wdał w dyskusję z księciem, ale nie wypadało mu takiego gościa trzymać zbyt długo we drzwiach; musiał przerwać dalszą rozmowę i wrócić do pokoju.

Baczniejszy obserwator byłby jednak zauważył zmianę, jaka zaszła w jego fizyguomii i usposobieniu; słowa księcia podziały na niego po raz wtóry oziębiallyco, i to w wyższym stopniu, niż poprzednio...

Po wyjściu od hrabiego, Bernard — jak gdyby instynktownie przeczuwał tę zmianę, rozmyślał długo nad przebiegiem owej pierwszej narady i nie był z niej zadowolony. Spodziewał się czegoś innego, czegoś, coby nie było tylko takim formalnym załatwieniem sprawy.

Dlaczego ci ludzie wezwani przezeń do wspólnego działania, pomimo pozorów zjednoczenia się jedną myślą, jakoś nie przyłgnęli do siebie? dlaczego on sam czuł się jakby odosobnionym w tem zebraniu? dlaczego mu się zdawało, że jest pomiędzy nimi obcym intruzem, który narzuca im siebie, swoje projekta, swoje dążności, swoje przekonania?...

— To dziwna — mówił sobie, — mam ciągle to wrażenie, jak gdyby oni mnie nie ufali i jak gdybym ja im zaufać i uwierzyć nie mógł. Przecież występowałem nie w moim własnym interesie, ale w interesie wspólnym instytucji, której trzeba bronić. Słuchano moich słów, kiwano głowami, kłaskano, ściskano mnie za ręce, a jednak jakies zwątpienie mam na dnie duszy. Co to jest?... coby to znaczy?... czyżbyśmy się nie mogli porozumieć

szczerze, nie mogli przeniknąć się do głębi?... Co to jest, co jak niewidzialna przeszkoda stoi pomiędzy nami?...

Zwiesił głowę i szedł tak aż do samego domu, znużony i smutny.

Służący powitał go wiadomością, że Sewerek, który po parodniowej wizycie u ojca miał już następnego dnia powrócić na wieś, położył się wieczorem jakiś rozgorączkowany; płakał, grymasił, uskarżał się na ból głowy i ledwie dał się utulić.

— Bona już chciała posłać po doktora — mówił, — bo dziecko było rozpalone, jak głownia.

— A cóż teraz robi?

— Usnęło na chwilę, ale się budzi raz po raz i stęka przez sen. Żeby tylko nie było z tego jakiego kramu!

— Możecie mu co zjeść dali?

Poszedł do pokoju, gdzie dziecko jego leżało na posłaniu z główką związaną, z wypiekami na twarzy, a przy niem siedziała bona i trzymała jego rączkę rozpaloną w swych dłoniach.

— Sewerek dostał gorączki — zaczęła szeptem — ja nie wiem, co to może znaczyć. On nie jest skłonny do gorączki, na wsi bywa zawsze zdrowym. Może za dużo zjadł czekoladek. Przecież pilnowałam, jak oka w głowie.

Bernard nachylił się nad dzieckiem zaniepokojony; odezwało się w nim serce ojcowskie, zapomniał w jednej chwili o wszystkim, co go dotychczas zajmowało.

Sewerek otworzył oczy i roziskrzzone źrenice skierował na ojca, ale zdawał się go nie poznawać.



— Co tobie? co cię boli?... powiedz ojcu, powiedz kochanku.

Dziecko wpatrywało się w niego ostro i oddychało szybko, z wysiłkiem, zaciskając piąstki i podnosząc je machinalnie ku głowie rozpalonej.

— Poznajesz tatusia?... odezwij się, Sewerku, przemów co...

Malec skrzywił się, odwrócił ku ścianie i płakać zaczął.

Nie było wątpliwości, że rozpoczynał się okres jakiejś niezdecydowanej jeszcze choroby, którą należało zbadać natychmiast.

Bernard przeszedł do swego gabinetu, napisał bilet i posłał służącego po doktora, a sam wrócił do dziecka, usiadł przy niem i położył mu rękę na gorącym czole.

Chłopak wił się niespokojnie i rzucał na posłaniu.

Sprowadzony doktor, stary praktyk do chorób dziecięcych, obejrzał swego małego pacyenta, zbadał puls, zmierzył gorączkę i spytał przedewszystkiem, czy dziecko miało szczepioną ospę, na co Bernard nie umiał odpowiedzieć i dopiero u bony zasięgnąć musiał informacji; na odpowiedź potakującą Niemki, lekarz raz jeszcze rozpiął Sewerkowi koszulkę i zbadał jego wątle, wąskie i płaskie, jak deseczka, piersi.

— Nie tęgi ten młody kawaler,—wyrzekł, jakby z politowaniem.— Czy matka go sama karmiła?— zwrócił się znowu do Bernarda, nie przypuszczając, iż dotyka przedmiotu nader drażliwego i przypomina mu najprzykrejsze chwile małżeńskiego po-

życia z żoną, dla której ów senicki typ w dziecku był powodem formalnej odrazy, jaką początkowo uczuwała dla Sewerka; później, po rozejściu się z mężem, natura matki i poczucie obowiązku zmieniły jej usposobienie. Przywiązała się do niego, odkąd musiała częściej zajmować się nim sama; zamknięta na wsi, ograniczona była prawie jedynie do obcowania z tą małą, wątłą, nierozwiniętą istotą, która zastępowała jej cały świat i całą rodzinę, była częścią jej krwi i ciała, należała do niej prawem natury.

To proste i bardzo zwyczajne zapytanie lekarza podziało jednak w danych okolicznościach na Bernarda, jak cierń, kolący zabliźnioną ranę; mimowoli, instynktownie poruszył się i odparł:

— Nie chciała.

— Nie chciała? — z wyrazem zadziwienia i nieukrywanego zgorzzenia powtórzył doktor.

— To jest, nie mogła właściwie, — spostrzegłszy się, poprawił Bernard.

— A! nie mogła, to co innego; tak, tak... dzisiejsze pokolenie matek nie dorosło do swoich obowiązków. Macierzyństwo przeciąża ich siły, wyczerpuje je przedwcześnie, nadwęża organizm. Anemia i nerwy!... tak, tak, to nieszczęście. Jeżeli tak dalej pójdzie, będziemy musieli wynaleźć inkubatory dla dzieci, jak dla kurcząt sztucznie wylęganych.

Pokiwał głową, westchnął i po chwilowym namyśle dodał:

— Co do tego młodego paniczka, to zobaczymy dopiero jutro, jaki nam kłopot sprawi, aż się

choroba zdecyduje; tymczasem weźmiemy za kark gorączkę, aby się z nim zanadto nie termosila i nie przeszkadzała mu usnąć. Ja tu przepiszę miksturkę, a jutro przed południem wpadnę odwiedzić pacyenta.

— Czy nie znajduje jednak konsyliarz czego niebezpiecznego? — spytał troskliwie Bernard.

— Niebezpiecznego?... na razie jest tylko gorączka, a z tą panią nigdy niczego nie można być pewnym. To jak na maskaradzie,— intryguje pana, a nim ją poznasz i zagłędziesz pod maskę, nie wiesz dobrze, z kim masz do czynienia, i musisz dopiero zgadywać, co za licho w tem dominie się kryje. Nie uprzedzajmy jednak wypadków i czekajmy z konieczności.

Zasiadając do pisania recepty, spytał:

— Kto będzie czuwał przy dziecku dzisiajjszej nocy?... przecież nie pan?... Czy pani niema w domu?...

— Bawi na wsi.

— Ahm!... na wsi; to szkoda. Chore dzieci należą do matek, nie do ojców. No, ale jest bona, jak widzę; dobre i to.

Nocy tej Bernard nie kładł się wcale do łóżka, nie chciał opuszczać Sewerka, pomimo zapewnień Niemki, że może być o niego całkiem spokojny; własną ręką nakrywał go i utulał, dawał lekarstwo i przy blasku nocnej lampy wpatrywał się w twarzyczkę swego jedynaka, jak gdyby badał w niej postęp choroby i ślady gorączki.

Jedna myśl wracała mu uparcie do głowy:

— Co zrobić, jeżeli się Sewerkowi nie polepszy?... czy uwiadomić żonę, czy czekać do czasu, aż się choroba przesili?...

Nie wiedział sam, co począć i jak postąpić.

Miałże po kilku latach rozłąki i niewidzenia Toli spotkać się z nią po raz pierwszy przy łóżku chorego dziecka?... Pomimo sytuacji tak wyjątkowej, nie był zresztą pewny, czy zechciałaby przybyć do domu, który opuściła, czy zgodziłaby się zobaczyć go...

Tyle rzeczy sprzecznych gmatwało się z sobą w tej sprawie nieprzewidzianej, którą los jakby z umysłu, jakby przez złośliwą ironię stawiał teraz między nimi, i to właśnie w chwili, gdy mu potrzeba było najswobodniejszej głowy i niezachwianej równowagi.

— Fatalne położenie! — myślał i, licząc godziny, czekał tego jutra, które miało zadecydować o chorobie dziecka.

Sewerek stawał się rozdrażniony coraz bardziej, a w rozdrażnieniu swoim odsuwał obcą rękę, odwracał się od ojca, tak mało znanego, nie chciał przyjmować od niego lekarstwa i płakał, ilekroć Bernard, nie zaś bona, pośpieszał mu z jakąkolwiek usługą.

— Nie chcę... ja ciebie nie chcę! — powtarzał rozkapryszony, układając usteczka w podkówkę, i tuląc się do poduszki, zpod oka, surowem spojrzeniem patrzył na ojca.

Nie pomagały perswazyje i pieszczoty najczulsze; dziecko rozgorączkowane nie mogło przyzwyczaić się do swego otoczenia, brakowało mu jego co-

dziennych wrażeń, jego własnego łóżeczka, pokoi-ku, zabawek, które miał w Grzędach, wreszcie twarzą, które tam tylko widywał.

— Ja chcę do domu — odpowiadał na zapytania ojca i bony: — ja chcę do mamy!... Gdzie jest mamusia?... *Madame, ich will Mama!... ich artig sein... ich will nicht hier bleiben,* — mówił po niemiecku, jak gdyby się spodziewał większego skutku, prosząc w tym języku, którym zwykle porozumiewał się z boną.

Tak przeszła noc, i dopiero nad ranem, znużony i wyczerpany dzieciak, mającąc o mamusi i Grzędach, zmrużył powieki zsiniałe i opuchłe i pozwolił usnąć ojcu, nie ruszającemu się z fotelu.

Doktor, który o południu według zapowiedzi przyszedł odwiedzić małego pacyenta, po zbadaniu go powtórnem, zawyrokował z jakąś pogodniejszą twarzą:

— No, tylko odra; a myślałem, że będzie z tego co gorszego.

---

## F.

Narada u Płonickiego pod przewodnictwem samego księcia nie pozostała tajemnicą; mówiono o niej ze szczegółami.

Klappermann miał jeszcze tego samego wieczoru dokładną relację, którą mu późno przyniósł z klubu Struś Wydźzewski, zaproszony do prezesostwa na winta w bardzo poufnem kółeczku.

— Cóż, słyszałeś prezesie?— zaczął już od progu, — konspirują na nas, leją bomby, chcą nas wysadzić w powietrze z całym Zarządem!... dzisiaj, przed godziną, odbyła się pierwsza rada wojenna. I zgadnijcie, kogo schwycili?... tego poczciwego Gołńskiego! Zasłonią się nim, jak statua Komandora.

— Księżę dał się im wciągnąć? — z zajęciem podchwycił Klappermann i przygryzł wąsa z jednej strony. — Skąd hrabia masz tę wiadomość?... czy to tylko autentyczne?

Wydźzewski się zachnął, dotknięty tem niedowierzaniem.

— Skąd mam, to mam, ale pewna; ja nigdy na wiatr nic nie gadam. Mają księcia, mają tego waryata Płonickiego, no, to niewiele — mają kilku łyków miejskich i kilku obywateli. Wszystko to niby przeciw Berlińczykom, ale my się rozumiemy na tych manewrach. Daję moje gardło, że przeciw nam głównie spiskują. Płonicki nosi mnie na wątrobie od lat dwudziestu; Sandstein od razu ciebie, prezesie, nie mógł strawić; pocziwemu księciu zawrócili głowę sprawą publiczną... Dobrze, dobrze, niech próbują, czy im się uda. Na Seligera i Blatta formalną urządzili naganke; pokazać się nigdzie nie mogą. Ale, ale... czy to prawda, że Seliger chory, a Blatt wyjechał do Hamburga?...

— Prawda, — potwierdził prezes, lecz znać było po nim, że zajęty jest innemi myślami.

Przyzwyczajony do pokrywania zawsze maską obojętności i spokoju tego, co w nim na samem dnie spoczywało, nie dał poznać po sobie, że wiadomość o agitacyi Bernarda i tworzeniu się tak silnej opozycyi sprawiła na nim głębsze wrażenie.

— Ha! trudno — rzekł jakby do siebie; — jeżeli się tym panom zdaje, że poprowadzić potrafią lepiej interesa akcyonaryuszów „Postępu,“ niech spróbują. Nic łatwiejszego, niż krytykować. Zrobiono z tego wielką zbrodnię, zdradę, apostazję, że część naszych akcyi dostała się za granicę. W gruncie rzeczy ja nie widzę w tem nic tak bardzo złego. W sprawach przemysłowych i ekonomicznych szowinizm jest śmiesznością; najwyższy czas, abyśmy się z tego raz wyleczyli. Trzeba nabrać rozumu i, praktycznie patrząc na życie i sto-

sunki. Żal mi tego Sandsteina, bo zdawało mi się, że to trzeźwa głowa, a przekonuję się, że siedzi w nim zapaleniec, ideolog, człowiek nie naszej epoki, marzyciel, który się obałamucił jakąś teorią, nie mającą realnej podstawy. Tacy ludzie bywają tem bardziej szkodliwi, im więcej mają dobrej wiary w siebie, a przypuszczam, że on ją ma; wprowadzają zamieszanie pojęć i stosunków, a u nas i tak tego nigdy nie braknie.

Zaczął, jak z katedry, rozwódzić się na ten temat, dobierając argumentów, którymi niewiadomo kogo właściwie chciał przekonywać, bo hrabia go dził się z nim we wszystkim, nie próbując zaprzeczać, a żona jego, córka i tych kilku gości, zebranych dokoła stolika z zastawą do herbaty, nie zdawało się wiele troszczyć kwestyami tak specjalnemi.

— Chciałbym już raz załatwić się ze sprawą „Postępu,” bo mam na głowie projekt, który mi spać nie daje,— zakończył, robiąc nagły zwrot od przedmiotu.

— Cóż to takiego? — zagadnął go Wydźzewski.

Klappermann zrobił minę tajemniczą i uśmiechnął się melancholijnie.

— Nim mnie ukamienują — rzekł,— chciałbym stworzyć jeszcze instytucję społeczno-filantropijną, zakład wychowawczy dla młodzieży, pepiniery dla dzieci robotników i oficyalistów fabrycznych na wielką skalę, w którejby kosztem fundacyi kształcono młodych ludzi na dobrych specjalistów w zawodach praktycznych, zdolniejszym udzielano stypendyów na podróż za granicę i uzupełnianie



studyów w Gandawie, Leodyum lub Zurychu. Noszę się z tą myślą oddawna i mam na nią odłożoną bagatelkę w kwocie jakich kilkadziesiąt, a choćby stu tysięcy, byle tylko znaleźć resztę u innych.

Mówił to niby od niechcenia, przypadkowo, obojętnie, jakby o rzeczy zwykłej, postanowionej przez niego i obmyślanej szczegółowo, bez widocznego nacisku; ale mówił z ukrytą chęcią rozpowszechnienia tego zamiaru i skokietowania nim opinii, której co pewien czas rzucał takie przynęty.

Ilekróć potrzeba mu było skierować na siebie uwagę szerszą, a raczej odwrócić ją od czegoś, co mu było nie na rękę, umiał w porę wystąpić z jakimś projektem śmiałym, dużym, mającym pozory wielkiej użyteczności publicznej a najlepszych chęci i obywatelskich uczuć samego wnioskodawcy.

Oświadczał się z gotowością wielkich ofiar i poświęcenia dla celów, o których wszelako z góry wiedział, że nie dadzą się tak łatwo osiągnąć; zapowiadał wówczas, że nosi się z myślą wielką, którą musi przeprowadzić nie dla własnej sławy i uznania, o które nie dba, ale dla siebie samego, dla swoich zasad, dla celu, który w przyszłości dopiero wyda owoce.

Miało to być bezinteresownym dowodem jego prawdziwych przekonań i dążeń, zadającym kłam potwarzom, którzy go o materyalizm i egoizm pomawiali.

Wiedział dobrze, iż takie szmermele, co czas jakiś puszcza się w świat, sprawiają dobre wrażenie i bałamucają opinię publiczną, która potem po-

łapać się w swych sądach nie może; wiedział też, że nic na tem nie traci, bo zawsze na nieprzychylnie warunki, na okoliczności nieprzyjemne będzie mógł w danym razie złożyć winę niedojścia do skutku swoich pięknych zamiarów i projektów, odkładanych *ad feliciora tempora*.

Tanim kosztem dobrych chęci robił sobie w ten sposób szeroką reklamę.

W chwili, gdy opozycya w łonie „Postępu“ zagrażała mu coraz bardziej i podburzała przeciw niemu opinię, uciekł się do swego doświadczonego środka zmylenia jej tropów i powstrzymania ataku.

Uśmiechnął się sam w duszy, gdy mu nagle owa improwizacya na temat wychowawczego zakładu dla dzieci robotników i oficyalistów prywatnych przyszła do głowy; wiedział dobrze, iż Wydzzewski pierwszy zaraz następnego dnia opowiadać zacznie po mieście z miną najpoważniejszą:

— No, Klappermann zakłada fundacyę filantropijno-społeczną, na którą przeznaczą sto tysięcy z własnej kieszeni! Zobaczycie, co to będzie!... plany już gotowe, wszystko obmyślane, pieniądze są, czekamy tylko zatwierdzenia.

W takich razach hrabia lubił solidaryzować się z projektami swego przyjaciela prezesa.

Julia Helena, usłyszawszy o nowej idei męża, która mu „spać nie dawała,“ spojrzała na niego spod oka; zrozumiała jednak szybko ten dyplomatyczny manewr i pośpieszyła mu z pomocą.

Niby z wyrzutem na poły, a na poły z przekąsem odezwała się do niego głośno:

— Ty jesteś niepoprawny z tą swoją manią narzucania się ogółowi ze swymi projektami i fundacyami. Tyle razy cię zrażano, a mimo to ciągle wracasz do dawnego. Pozwól, niech inni robią za ciebie, zamiast krytykować twoją działalność; nieprawdaż, hrabio?...

Wydzzewski zamruczał, jak niedźwiedź zbudzony ze snu.

— Pozwól mu pani robić; niech pokaże, co może, na złość całemu światu!... Niech się gryzą i gniewają na niego; to nic nie szkodzi. Ja tak samo robię swoje i nie pytam o nic więcej. Drwię sobie ze wszystkiego. No, może siądziemy do partyjki? Szkoda czasu; nie lubię bezczynności.

Julia Helena przymuszała się do dobrego humoru i swobody; od południa była dziś rozdrażnioną wypadkiem, drobnym na pozór, ale dla niej nader irytującym.

Oto po ostatniej recepcyi, na której miała osób więcej, niż zwykle, lokaj zamiatając posadzkę w salonie, znalazł pod ścianą brylant wielkości dużego grochu.

Z miną wielce uradowaną przyniósł go pani swojej i w dowód uczciwości złożył do jej rąk drogocenny kamień, który widocznie wypadł z oprawy kosztownej bransolety lub koleczyka jednej z dam, uświetniających sobą ostatnie zebranie u państwa prezesowstwa.

W pierwszej chwili Julia Helena była zdumioną uczciwością swego służącego i aż wykrzyknęła z radości.

— Kto to mógł zgubić?...

Przypominała sobie wszystkie klejnoty, które błyszcząły w jej salonie, nie mogąc wpaść na ślad właścicielki takiego solitera; kazała sobie pokazać miejsce, gdzie kamień leżał, badała całą służbę i wraz z mężem i córką przypominała wszystkie osoby, które tu stały lub siedziały w ciągu wieczoru.

— To jednak dziwne, że dotąd nikt nie zapytywał o swoją zgubę.— zauważył prezes: — takimi kamieniami nie brukuje się ulic.

Julia Helena przypatrywała się brylantowi, trzymając go pod światło w dwóch palcach.

— To prawda, to słuszna uwaga -- rzekła z zastanowieniem, — może się nie spostrzegli; trzeba będzie zapytać wszystkich naszych gości. Któżby mógł mieć z naszych znajomych tak kosztowne biżuterie?... może Wolfsonowie, może baronowa, może Annetta?... doprawdy, nie mam pojęcia.

— Poczekajmy jeszcze do jutra.

Poczekano jeszcze dzień jeden z tym samym skutkiem.

Kilka osób zapytanych odpowiedziało, że nie uroniło żadnego klejnotu.

Stary Tomasz chodził po wszystkich znajomych lokajach i badał, czy nie wiedzą czego o zgubionym brylancie; należało mu się przecież w dowód uznania, jako sumiennemu znalazcy, wynagrodzenie. Pilnie przerzucał Kuryery, szukając ogłoszenia; nie było go wszelako nigdzie, w żadnym piśmie.

Historia z brylantem stawała się coraz bardziej zagadkową.

Nareszcie pani prezesowa, nie chcąc tak długo zatrzymywać u siebie cudzej własności, postanowiła zapytać swojego jubilera, który znał mniej więcej wszystkie klejnoty dam z jej towarzystwa, czy nie pozna, czyjąby była tak kosztowna zguba.

Jubiler wziął w rękę kamień, błysnął nim w słońcu, uśmiechnął się i rzekł:

— To imitacja.

Julia Helena spoważniała.

— Pan się myli — szepnęła zmieszana, — to być nie może.

Złotnik zaprzeczył ruchem głowy.

— Upewniam panią prezesową, że nie; kamień ten jest sztuczny, podobny do brylantu, ale jest imitacją. Mogę na przekonanie rozłuc go w obecności pani prezesowej i udowodnić, że to szkło.

Pani prezesowa oniemiała z oburzenia.

Jakto, w jej salonie mogła się znaleźć dama, nosząca fałszywe brylanty?... ależ to skandal, to kompromitacja, to rzecz niesłychana!...

Zarumieniła się, jak gdyby ją samą na kradzieży tego klejnotu przyłapano.

Imitacja?... szkiełko?... cóż za nikiżemność!... wchodzić do jej salonu z imitacją w bransoletce lub w koleczykach!... do jej salonu!...

Musiała użyć całej siły, aby zapanować nad sobą i nie wybuchnąć. A zatem salon jej został zhańbiony, zatem zakradła się do niego jakaś niegodna, samozwańcza osobistość, która nie ma na prawdziwe brylanty i ośmiela się nosić fałszywe!

Tegoby tylko brakowało, aby ten skandal dostał się na miasto!...

Julia Helena dreszczów dostała.

Powróciła do domu z planem ułożonym w głowie przez drogę; przywołała starego Tomasza i wręczając mu banknot dwudziestopięcio-rublowy, rzekła:

— Ma Tomasz znaleźnego za oddanie brylantu; to bardzo drogi kamień. Trzeba przy zmiataaniu zawsze uważać, czy nie leży co na posadzce.

— Czy mogę wiedzieć, proszę jaśnie pani, kto go zgubił? — spytał lokaj.

Pani prezesowa się zawahała.

— To... to naszemu panu wypadł ze szpilki od krawatu,— odrzekła wymijająco, kłamiąc umyślnie, aby się nie zaplątać w objaśnieniach.

Staremu lokajowi trochę się to dziwnem wydało, że jaśnie państwo dopiero po kilku dniach poszukiwania zauważyli własną zgubę, i że znaleziony brylant mógł wypaść ze szpilki od krawatu, którego pan prezes nie miał na sobie owego wieczoru, gdy byli goście, bo był we fraku; ale szeleszczący banknot przekonał go, iż zdarzają się rzeczy w salonach i przedpokojach, o których się lokajom nie śniło.

Opinia została uratowaną, a o to jedynie chodziło pani prezesowej.

Humor jednak miała zepsuty i do zwykłej partyjki po herbacie siadła bez owego zajęcia, z jakim brała do rąk karty, gdy przy zielonym stoliku miała choć jednego hrabiego.

— *Que ce qu'il-y-a de nouveau dans le monde?* — zagadnęła Wydźzewskiego z miną arystokratki od dziesięciu pokoleń.

— Dwa pik! — zahuczał hrabia przedewszystkiem, rozglądając się w swoich kartach, zanim się zdobył na odpowiedź. — *Dans le monde?* — dodał po chwili, — *dans le monde* niema jakoś nic nowego od kilku dni. Cóż pan powiada? — mówił do prezesa: — ja dwa pik.

— A ja pas.

— I ja pas, — odezwała się Julia Helena.

Czwarty partner, którym był młody człowiek z miną sztywnego manekina, ubranego w nowiutki garnitur wizytowy według ostatniej mody, chrząknął, zaczerwienił się i szepnął:

— Trzy pik.

Musiał uważać to sobie za niezwykły zaszczyt, że przy jednym stoliku z samą panią prezesową, prezesem i hrabią posadzono go do winta.

— Owszem, jest nowina i to sensacyjna — rzekł, nachylając się ku Klappermannowej z uśmiechem, który ulukrował jego okrągłe oblicze, — pojedynek br. Lipeckiego.

— Pojedynek?... barona?... z kimże, o co?... — żywo zagadnęła go Julia Helena, co wielkiem niezadowoleniem przejęło hrabiego.

— Ależ pan psujesz nam licytację! — zagrzemiał zgorszony: — ktoś widział opowiadać w ciągu gry!... będzie dość na to czasu przy rozdawaniu kart. To sprawia tylko dystrakcję. Powiedziałeś pan trzy pik?... prawda?...

Młody człowiek zgromiony w ten sposób poczerwieniał, jak piwonia, poprawił się na krzesle, chrząknął dwa razy i zmieszany wyszeptał:

— Trzy coeur.

— Co znowu?... trzy pik, powiedziałeś pan przed chwilą.

— Trzy pik?...

— Przecież słyzałem.

— Zatem trzy pik.

— No to co innego; trzeba uważać!... Bez atout!

— Pas.

— Pas.

— Trzy coeur.

— Znowu?... co pan z wciąż z temi coeurami?... będziemy leżeli przez pana. Cztery pik.

Młody człowiek nie wiedział, co ma zrobić z sobą. Hrabia sapał i dyszał, krzesło pod nim trzeszczało i stolik się ugiął pod jego łokciami.

— *Pardon, cher comte*, — wdała się w rozmowę Klappermannowa. — Pan Bazański mnie bardzo zaintrygował tym pojedyńkiem. Mój hrabio, chwileczkę tylko, zaraz będziemy grali. Więc mówisz pan, że baron ma pojedynek? — spytała, zwracając się do swego sąsiada.

Wydzewski w tył się podał i karty na stół złożył, a swego partnera obrzucił wzrokiem podrażnionego niedźwiedzia.

— Jak pani sobie życzy — rzekł głosem głuchym, który dudnił niby strażacka beczka po bruku.

Bazański wystraszony, nie śmiał spojrzeć więcej na niego; czując jednak za sobą prezesowę, odważył się przemówić:

— Pojedynek co prawda jeszcze nie całkiem formalnie postanowiony, ale dzisiaj miał się ostatecznie rozstrzygnąć.

— I o cóż, o cóż?...



— O żonę.

— O żonę?... czy podobna?... czyżby zazdrość?...

— Nie, broń Boże!... poszło o walca. Wczoraj na balu u państwa Lichońskich kilku młodych ludzi prosiło panią baronową do tańca, ale im odmówiła raz, potem drugi i trzeci, tłumacząc się, że jest zmęczoną. W chwilę potem wszelako, gdy się zbliżył hr. Starczewski, wstała i zrobiła z nim kilka tourów po sali. Wtedy jeden z tych młodych, syn podobno jakiegoś fabrykanta czy przemysłowca, wiem tylko, że coś z miasta—z burżuazji, przystąpił do niej i miał jej powiedzieć: „Spodziewam się, że teraz pani już wypoczęła?” — na co baronowa bardzo dowcipnie, ale złośliwie odrzekła mu podobno: „O przeciwnie, mój panie, jestem zmęczoną na cały wieczór.“ To było dość jasne, że nie ma zamiaru tańczyć z nim, ani z nikim z jego sfery. Ten pan zrozumiał odprawę, ale uważał się nią dotknięty, i skłoniwszy się, miał z naciskiem rzeknąć do baronowej: „Pozwoli pani, że tę wiadomość zaniosę jej mężowi.“ Niewiadomo co chciał przez to powiedzieć, zakrawało to jednak na jakąś niewłaściwą pogrózkę, której baronowa uważała za stosowne nie zrozumieć, i w pięć minut potem tańczyła jakby naumyślnie walca z Toniem Bawoleckim, tym z Kutnowskiego, który się żeni z hrabianką Kotońską. Ci panowie z burżuazji urządzili potem formalną blokadę około baronowej i każdemu, co się zbliżał, aby ją zaangażować do tańca, powtarzali: „Pani nie tańczy, bo jest zmęczoną na cały wieczór.“ Z tego właśnie powodu miało przyjść do jakichś wyjaśnień między nimi

a baronem i do nieparlamentarnych wyrażień, czemu trudno mi uwierzyć, gdyż o ile mam przyjemność znać br. Lipeckiego, nie przypuszczam, aby...

— I to było wczoraj na balu u Lichońskich? — przerwała mu prezesowa.

— Tak mówią.

— Pan byłeś także proszony?

— O nie, ja nie bywam w tym domu.

Klappermannowa wzruszyła ramionami, i spojrzawszy na zamysłonego męża, który zdawał się nie słuchać tej całej historii, rzekła:

— Widzisz, jak to dobrze, żeśmy tam bywać przestali. U tych Lichońskich zbiera się zawsze tak mieszane towarzystwo, że nikt nie może być pewnym, czy tam nie spotka swojego krawca, albo swej dawnej guwernantki. Mają zwyczaj zapraszać na swoje wieczory cały świat, aby tylko mówiono, iż mieli przepełnione salony.

— O tak! — nabrawszy rezonu, potwierdził żywo Bazański z miną, wyrażającą wielkie zgorzelenie; — słyszałem właśnie o tem i przestrzegano mnie, aby tam przypadkiem nie dać się wciągnąć. Nie gorszego, jak ta mieszanina szychu i złota, brylantów i imitacyi!...

Prezesowa aż drgnęła na to porównanie, które przypadkowo przypomniało jej tajemnicę własnego jej salonu.

Hrabia zniecierpliwiony zaczął palcami bębnić po stoliku i z zamkniętymi oczyma czekał zakończenia owego intermezza, które mu zepsuło partyę na samym początku.

— Zatem powiedziałeś pan trzy coeur, a ja cztery pik? — odezwał się, nie mogąc dłużej już wytrzymać; — mam nadzieję, że tego robra rozegramy już bez żadnej sensacyjnej nowinki, — dodał, zbierając swoje karty ze stołu.

— Gramy, gramy dalej kochany hrabio — pośpieszyła z wielką uprzejmością uspokoić go prezesowa i swą różową pulchną rękę położyła na jego grubej włochatej łapie: — przepraszamy najmocniej; ciekawość moja jest zaspokojoną zupełnie, więc mogę do końca partyi milczeć, jak... jak mój pan małżonek, który oniemiał nagle przy nas.

Klappermann na tę przymówkę odpowiedział uśmiechem tylko, a Wydźzewski rzekł:

— Bo pani mąż jest we wszystkim człowiekiem solidnym; nawet kiedy gra winta, przejmuje się tem z namaszczeniem i powagą. Zatem proszę uważać; zaczynamy brać lewy. Panie Bażański, trzymaj się pan, abyśmy nie leżeli!

— Będę się trzymał, panie hrabio, z całej mocy.

Pomimo tego zapewnienia obaj niedobrani partnerzy „wpadli bez jednego,“ co hrabiego zirytoowało okrutnie, młodego człowieka zaś przygnębiło tak, że miał minę studenta, który się obciął przy egzaminie. Powtarzał ciągle z jakimś grymasem na ustach:

— Poprawimy się, poprawimy, panie hrabio...

— Z pieca na łeb, — zabulkotało w ustach hrabiemu, który nie lubiał przegrywać i miał zawsze o to pretensję do swoich partnerów, zarzucając im nieuwagę.

Klappermann milczał przez cały czas, machinalnie przerabiał talię, rozdawał karty i odzywał się tyle tylko, ile przy licytacji wypadało; rozmyślał zupełnie nad czem innym.

Wiadomość o rozpoczętej akcji przeciw stronnictwu, dotąd panującemu w „Postępie,” o utworzeniu się całego obozu za sprawą Bernarda Sandsteina i wciągnięciu do niego ludzi wpływowych, jak ks. Gołoiński i popularnych, jak hr. Płonicki, zajmowała jego całą uwagę.

Rozmyślał nad środkami obrony i odparcia ataku.

Jakkolwiek publicznie bronił współników swoich, Seligera i Blatta, w głębi duszy miał do nich urazę i zarzucał im niezręczność; mogli byli przecież wybrać inną porę do przeprowadzenia swoich spekulacji, a przynajmniej porozumieć się z nim w tej sprawie.

Uczynili to bez jego wiedzy, w tajemnicy, jak gdyby się obawiali zdradzić przed nim ze swoich zamiarów i z chęci zrobienia dobrego interesu.

Teraz nawarzyli mu piwa, które musiał sam wypić.

Seliger udawał chorego i niby to z domu nie wychodził; usprawiedliwiał się, że lekarze zalecili mu przeprowadzić kurację bardzo staranną, która miała zająć dużo czasu.

Szło zaś o to, aby wobec wzburzenia opinii publicznej i przewidywanej burzy na walnem zgromadzeniu akcyonaryuszów, uniknąć niemiłego obowiązku tłumaczenia się osobiście i słuchania przy-

krych wyrzutów i prawd, które miały się posypać na głowę jego i Blatta.

— Po co ja się mam irytować?— mówił sobie,— toby mi na prawdę zaszkodzić mogło. Niech oni się wygadają beze mnie. Skoro nie będę tego słyszał, to tak, jakby nie gadali.

Siedział w domu i nie przyjmował nikogo.

Blatt wynalazł sobie bardzo ważny interes zagranicą i wyjechał do Hamburga, ułożywszy się z baronową, że namówi męża, aby na kilka tygodni wysłał ją do Nizy. Mieli się tam spotkać właśnie w czasie, gdy wypadło walne zebranie „Postępu.“

Tranzakcje berlińskie wyładowały złotem kasy obu przyjaciół; należało się im przecież wypocząć i wychnąć po trudach tak świetnie przeprowadzonej spekulacji.

Gdyby nie zajście na balu u Lichońskich, baronowa byłaby wyjechała znacznie dawniej na Rivierę, ale niepewność sytuacji wstrzymywała ją jeszcze.

Ojciec, dowiedziawszy się o całym wypadku, przywołał ją do siebie na śledztwo.

Dla nadania sobie większego pozoru pacyenta, chodził po całych dniach w szlafroku i pantoflach aksamitnych; z kieszonki na piersiach wystawał mu koniuszek jedwabnej wyperfumowanej chustki do nosa, a w pętelce od guzika miał wpiętą codziennie świeżą tuberozę.

Nie mógł się rozstać z przyzwyczajeniami starego eleganta.

Rozłożony na szezlongu, przybierał rozmaite pozy i przyglądał się w lustrze; uważał się pomimo wieku za bardzo przystojnego mężczyznę i chciał to dobre o sobie mniemanie podtrzymywać jak najdłużej, aby szczęścia do kobiet nie tracić.

Nie uważał tego wcale, aby był chuderławy, źle zbudowany i niekształtny; przeciwnie, im brzydsze stroił grymasy i im komiczniej się wykrzywił, tem więcej był z siebie zadowolony.

Dla zabicia czasu czytywał francuskie romanse, o ile można najpieprzniejsze i najtłustsze; codziennie wysyłał po kilka bilecików do swoich przyjaciółek z baletu i półświatka z dodatkiem bukietów, bombonierek i prezencików, za które odbierał często naiwne a rzadko ortograficzne podziękowania, które wprawiały go w doskonały humor na cały dzień.

Baronowa zastała go z jakąś pornograficzną książką w ręku, ilustrowaną przez któregoś z artystów francuskich.

— Papa chciał ze mną pomówić? — spytała od progu, nie witając się z ojcem.

— Ach, to ty?... poczekaj-no, tylko doczytam do rozdziału, bo jestem w najciekawszem miejscu... Siadaj sobie, moja droga... ja zaraz skończę.

— Co papa czyta?...

Uśmiechnął się, jak smakosz przy nowej potrawie.

— Coś okropnego!...

— Można zobaczyć tytuł?

— Tytuł bardzo niewinny: „Panna z pensjonatu.“

— Ach, to?...

Ojciec spojrział na nią pytająco.

— Znasz to już może?

Wzruszyła lekceważąco ramionami i wyduła usta:

— Nie czytam takich głupstw.

Zapierała się, ale znać po niej było, że treść książki nie jest jej obcą; uprawiała przecież potajemnie także podobną lekturę dla ciekawości, aby miała o czym rozmawiać ze swemi przyjaciółkami, które chciały wiedzieć wszystko, co ich mężowie wiedzieli i rozumieć wszystkie dwuznaczniki, przynoszone z budoarów kokotek do przyzwoitych salonów.

— Żałuj, że nie jesteś mężczyzną i że nie możesz tego czytać!... jeszcze tylko kilka wierszy,— przepraszam cię, moja droga. Zaraz skończę.

Mówił to, pochłaniając wyrazy z książki i uśmiechając się z grymasem starego lubieżnika.

— No, jestem gotów—rzekł, zaginając kartkę,— mogę z tobą poróżmawiać teraz poważnie.

Usiadła na poręczu fotelu, i spostrzegłszy, że się jej odpiął guziczek u trzewika, podniosła nóżkę w jedwabnej czarnej pończosze, i opierając ją o szezlong, na którym leżał ojciec, odezwała się:

— Może mi papa odda kawalerską przysługę i zapnie bucik.

Seliger podniósł się trochę, oparł na łokciu i przyglądając się z uwagą nóżce swej córki, spytał:

— Gdzie ty sobie każesz robić teraz trzewiki?

— Dłaczego?

— Potrzeba mi dobrego szewca damskiego.

— Ahm!... rozumiem.

Wybuchnęła śmiechem, spoglądając na ojca z miną rozweseloną. — Jakaś nowa ofiara?... prawda?... Kiedyż się też papa raz ustatkuje?...

— Moja droga, nie bądź tylko zanadto domyślną! — bronił się ojciec, — ja się ciebie pytam o twego szewca, a ty zaraz co innego masz w głowie. To Pilisch?...

— Nie, to paryskie; przywiozłam je sobie tej zimy.

— A widzisz, ja zaraz poznałem, że to nie tutejsze. To całkiem co innego!

Ujął jej nóżkę w obie ręce i przyglądał się z upodobaniem, ale po chwili, jak gdyby sobie przypomniał coś ważniejszego, usiadł na szezlongu i zaczął zmienionym tonem:

— Moja droga, coś ty znów narobiła temu biednemu baronowi?... ja chciałem właśnie z tobą o tem pogadać na seryo. Jakże można było na balu w obcym domu...

Baronowa cofnęła nogę szybko z szezlongu i podniosła się.

— Ach, dajże mi papa pokój z tą głupią sprawą!... już mam pełne uszy wyrzutów z tego powodu.

— Bo przepraszam cię, ale to było niewłaściwe.

— Dlaczego miało być niewłaściwe?... ja nie jestem przecież obowiązana tańczyć z każdym, któremu się podoba wziąć mnie w pól i obracać po salil...

— Zapewne, ale to nie wypada, abyś jednym odmawiała, a tańczyła tylko z samymi hrabiami.



— Dlaczego nie wypada?... dlaczego nie wypada?... skoro mi się tak podoba, ciekawa jestem, kto mi to może zabronić?... trzymam się swojej sfery i tańczę z tymi, którzy mi są równi.

Powiedziała to z taką dumą i pewnością siebie, że aż ojciec spojrzął na nią z podziwem; zaimponowała mu.

— No tak,— wtrącił z perswazyą,— ale mogłabyś robić wyjątki od czasu do czasu, aby ludzi nie obrażać. Przecież samych baronów i hrabiów nie ma na świecie, a w tańcu nie chodzi o tytuł, tylko o dobrego dansera.

— Niekoniecznie; chodzi i o to, aby się z lada kim nie poufalić.

Rzuciła się na fotel i nogi wyciągnęła przed siebie niedbale.

Seliger znowu zaczął przyglądać się jej zgrabnym bucikom, które zdawały się zajmować go więcej w tej chwili od ewentualnego pojedynku zięcia.

— No, ale co będzie dalej? — spytał.

— Co ma być?... nic nie będzie.

— A jak twojego męża wyzwą za każdym razem?

— To się będzie bił,— odrzekła obojętnie.

Seliger spojrzął na nią z wyrzutem.

— Ty to tak mówisz, jakby cię to nic nie obchodziło. Pojedynek to zawsze rzecz ryzykowna. Człowiek strzela, Pan Bóg kule nosi. Nie można nigdy przewidzieć, kto kogo trafi.

Baronowa uśmiechnęła się połową ust i z politowaniem spojrzała na ojca.

— Czy to się zawsze trafia? — spytała: — zawsze się tylko strzela, ale najczęściej na wiatr.

Ojciec wyciągnął szybkim ruchem jedwabną swą chusteczkę i strzepnął z niej w powietrze trochę woni, potem przyłożył ją do nosa i namyślał się.

— Tak, to prawda, ale po co doprowadzać zaraz do awantury?... Cóż twój mąż na to wszystko?...

— Mój mąż?... mój mąż zrobił mi scenę w domu.

Zciągnęła brwi na wspomnienie męża i z szyderczym jakimś śmiechem zaczęła ojcu opowiadać.

— Niech papa sobie wyobrazi, czego on ode mnie żąda!... chce, abym dała satysfakcję tym chłystkom. Słyszane to rzeczy?... powiada, że się o takie rzeczy strzelać nie myśli, i że ja powinnam ostentacyjnie na najbliższym wieczorze u Lichoczkich tańczyć z każdym z nich bez wyjątku. Cóż papa na to?... sfiksował chyba! Przecież na taką kompromitację ja nie mogę pozwolić!...

Seliger wytrzeszczył oczy i nie wiedział co powiedzieć.

— Jakto, on się nie chce strzelać? — zawołał nareszcie.

— A nie chce.

— I powiedział ci to wyraźnie?

— A powiedział.

— To on tchórzy, on się boi!...

— Prawdopodobnie.

Sytuacja stała się kłopotliwą dla teścia pana barona. Nie wiedział, co mu wypada zrobić, czy oburzyć się, czy przyznać słusność zięciowi.

Byłby dał dużo za to, żeby się baron pojedynkował, a jeszcze więcej, gdyby mógł mieć pewność,

że z tego pojedynku wyjdzie bez szkody, cały i nienaruszony.

Grała w nim ambicya teścia, który chciał mieć nie tylko za zięcia barona, prawdziwego barona Lipę de Lipeckiego, ale w dodatku i takiego zucha, który się strzela, a nawet trafia.

Broń Boże, aby zabijał, jednak niechby tylko drasnął, postrzelił, naznaczył...

Mówionoby o tem w całym mieście, musianoby mówić głośno, dużo, z uznaniem osobistej odwagi i dzielności takiego człowieka, któryby urosł na bohatera chwili.

Wiedzianoby, że skoro przyjmuje wyzwania i staje na placu, to w danym wypadku potrafiłby i sam wyzwąć, zażądać satysfakcyi i naznaczyć śmiałka, nie znającego uszanowania dla Lipeckich lub Seligerów.

Ach, żeby ten baron się strzelał, zwłaszcza teraz, zwłaszcza w takiej chwili, kiedy pierwszy lepszy poważa się z powodu sprawy „Postępu“ nosić na końcu języka jego teścia; żeby się strzelał, żeby stanął — mniejsza o to, że o taką drobnostkę, jak nietaktowność żony, której duma nie pozwala walcować z kimś zwyczajnie urodzonym!...

Huk pistoletu zagłuszyłyby wszystkie szmery i wymyślenia krzykaczy, którzy się ośmielają wtrącać w sprawy finansowe ludzi, stojących na wyżynie swojego miliona ponad głowami tłumu i opinii publicznej.

Z drugiej strony, papa Seliger czuł, że ma za słabe zdrowie i za wątłe nerwy, aby mógł sam takiego huku wysłuchać; on nie znosił żadnej puka-

niny, miał wrodzoną odrazę do strzałów, które wstrząsały go nawet w teatrze, gdzie przecież ślepych nabojuw tylko używają.

Pomiędzy tymi dwoma krańcami wisiał, jak wahadło u zegaru, i nie wiedział, ku której stronie bardziej się przechylić.

Nie wypadało mu własnego zięcia namawiać i zachęcać do pojedynku, ale na rozgłosie pojedynkowym dużo mu zależało.

— I on ci to w oczy powiedział, że się bić nie będzie? — spytał powtórnie córki z takim zdziwieniem, jak gdyby czemuś podobnemu uwierzyć nie mógł.

Jakto?... jego zięć baron Lipa de Lipecki do tego stopnia lekceważy sobie opinię i obowiązki honoru, już nie swojego tylko, ale rodzinnego, honoru Seligerów, żeby nie chciał nastawić piersi pod lufę przeciwnika, który uważa, że baronowa Lipa de Lipecka, z domu Seligerówna, powinna tańczyć z każdym, co ją do walca zaprosi?... nie, to niepodobna.

— A cóżes ty jemu na to odpowiedziała? — zagadnął córkę po chwili zamyślenia.

— Ja?... a cóż ja mu mogłam odpowiedzieć?... ja mu się roześmiałam w oczy i poszłam do mojego pokoju; zamknęłam się, i od tej pory nie rozmawiamy z sobą.

— Dobrześ zrobiła,— pochwalił ją ojciec półgłosem, ale czoło miał pofałdowane i wyraz niezadowolenia na twarzy.

Przekrzywił głowę i aby na czemkolwiek wzrok oprzeć, wpatrywał się w swoją tuberozę przy szla-

froku i wąchał ją, jak gdyby wonią narkotyczną kwiatu chciał zatłumić zapach prochu, który mu się nasuwał na wspomnienie zakwestyonowanego pojedynku zięcia.

— No, no — mruczał pod nosem, — tegobym się nigdy po baronie nie spodziewał... a wygląda tak srogo, jak gdyby chciał zabijać ludzi na gładkiej drodze. W tem coś jest, czego ja nie rozumiem.

Podszedł do córki, pogłaskał ją po twarzy z jakimś ubolewaniem i rzekł:

— Wiesz, co ci powiem? — twój mąż zaczyna mi się nie podobać.

Baronowa skrzywiła usta bardzo dwuznacznym uśmiechem.

— Nie, bo widzisz — zaczął się jaśniej tłumaczyć, — gdyby on sam chciał wyzywać, albo gdyby się koniecznie napierał do jakiego pojedynku, to jabym pierwszy go reflektował i odradzał, — jabym mu może nawet surowo tego zabraniał; ale skoro nie chce sam stawać, to przepraszam cię, to zupełnie co innego!... Ty rozumiesz, co ja chcę przez to powiedzieć. Przecież pojedynek to znowu nic tak strasznego, żeby się tego obawiać!... tyłu ludzi strzelało się nawet na amerykański sposób i nic sobie nie zrobiło... — Czy on nie czuje tego, że nas kompromituje? — spytał nagle, przybierając ton obrażonej godności osobistej, co wszelako nie sprawiło należytego wrażenia na córce, bo zmrużywszy oczy, popatrzała z jakimś ironicznym wyrazem na ojca, poprawiającego szlafrok na sobie, i zagadnęła go:

— A papa biłby się w takim wypadku?...

Seliger, zaskoczony tem niespodziewanem zapytaniem, skurczył się nagle i jakby z dwóch nóg spadł na czworaki, spojrzął na córkę, szukając odpowiedzi.

— Ja?... ja... jabym się naturalnie bił, gdybym... był młodszy i... i gdybym był twoim mężem, a nie twoim ojcem, — odparł, znalazłszy dobrą wymówkę;—kiedy człowiek dochodzi do siwych włosów...

— To ich nie farbuj, papeczko!—przerwała mu ze śmiechem i zbyt poufale, jak na córkę, poklepała go niby z pieśczołą po obu policzkach.—Ale mniejsza o to; co sobie mamy psuć nadarmo humor takimi rzeczami.. chciałam cię spytać, czy nie potrzebujesz czego z za granicy, bo za kilka dni wyjadę.

!Ojciec zmienił wyraz twarzy i przerzucając się z jednego tematu w drugi, zdawał się zapominać w jednej chwili o poprzedniej rozmowie.

— Wyjedziesz?... ach, szczęśliwa jesteś! — zaczął z westchnieniem: — jabym pojechał z tobą.

— To niech się papa wybierze; pojedziemy pohulać trochę. Tu albo nudy, albo przykrości.

— Oj, to, to!... masz słuszność, albo nudy, albo przykrości — powtórzył.— Nie, nie mogę myśleć teraz o wyjeździe; powiedzieliby, że się zląkł i uciekł. Muszę zostać, przecież wiesz, jak na mnie ujadają!... Moja kochana, gdybyś była w Paryżu, to mi załatw jeden sprawunek. Ja ci przyszlę miarę, a ty u swojego szewca każesz zrobić...

Zawahał się, widząc, że baronowa zaczyna dusić się od śmiechu.

— Nie, bo ty znów masz na myśli jakieś głupstwa — zaczął, sam się śmiejąc razem z nią, — a to interes całkiem seryo; proszono mnie, abym załatwił taki komis... no, daję ci słowo, że to nie to, co przypuszczasz.

— Oj, papo, papo, stary grzesznik z papy! — wołała baronowa, grożąc mu paluszkami, — przecież to czas już ustatkować się; a te siwe włosy co na to?...

— Nie, bo... kiedy... kiedy nie można z tobą na seryo rozmawiać!...

Bronił się, ale te podejrzenia własnej córki zdawały się pochlebiać mu i w dobry humor go wprowadzały; zapomniał o zięciu, o pojedynkach, o przykrych rzeczach i zaczął rozmawiać z baronową o lżejszych i przyjemniejszych dla obojga tematach; traktował ją, jak dobrego koleżkę, z którym się ma wspólne wspomnienia i tajemnice.

Wychodząc, zabrała ojeu „Pannę z pensjonatu“ do przejrzenia, jak mówiła, aby zobaczyć, co się mu tak bardzo w niej podobało.

Niby to jej odbierał, niby nie pozwalał, ale ostatecznie zgodził się, bo go przekonała argumentem, że jest już przecie dojrzałą mężatką, nie pensyonarką, i że jej książka — choćby najgorsza, już nie zepsuje.

— Wszystko jedno, moja droga, ale nie mów przynajmniej, żeś ją ode mnie dostała, — zastrzegł przez wzgląd na swą ojcowską powagę, całując córkę patryarchalnie w czoło przy pożegnaniu.

Po jej odejściu zaczął się przechadzać po swoim gabinecie i pogwizdywał jakąś wesołą aryjkę, od

czasu do czasu fałszywym, listułowym głosem przyśpiewując sobie zakończenie francuskiego kupletu i strojąc śmieszne grymasy przy słowach:

— *Aime moi tout petit peu!... tout petit peu!... tout petit peu!...*

Rozmowa z córką wprowadziła go w doskonały humor; "czuł się jakiś podniecony, lekki, wesoły, odmłodzony o lat dziesięć; miał wielką ochotę ubrać się i wyjechać na miasto.

Od tygodnia nie był już u tej małej Finy, którą nazywano „peretką baletu,“ mimo to, że miała głowę rudą, jak miedziany rondel i zezowała trochę na lewe oko. Wchodziła w modę, odkąd ją po raz pierwszy z trzeciej maskarady zabrał na kolację i w podarunku ofiarował pół tuzina jedwabnych trykotów, o czym nie zaniedbał sam rozpowiadać w kółku swoich znajomych, mrugając z zadowolenia oczyma i szepcząc każdemu do ucha:

— Ona już bierze; to dobrzel...

Lubił się przechwalać swojemi zdobyczami, zachowując tę najniedyskretniejszą dyskrecyę tuzinkowych Lowellasów.

Właśnie zastanawiał się nad tem, czy nie dobrze by było na jeden wieczór przerwać ową komedię udawania chorego i pojechać do Finy; należało tylko uwiadomić ją bilecikiem, posłać parę butelek szampana i coś dobrego do zjedzenia z restauracyi, jak to się zwykle w takich razach praktykowało, kazać jej sprowadzić parę koleżanek z „nareczonymi“ — i byłaby bibka gotowa.

Możnaby było zabawić się wesoło, nasłuchać



nowinek, ploteczek zakulisowych, dowcipów i anegdotek, za któremi przepadał.

— Et, co tam, pojedę! — mówił sobie, ulegając własnym pokuszeniom i uśmiechając się na samą myśl spędzenia kilku godzin w przyjemnym towarzystwie, i już miał się zabrać do pisania biletu, kiedy służący zameldował Klappermanna.

Seliger kłapał kilka razy wstawionemi szczękami i skrzywił się, jakby muchę połknął.

Wizyta była mu w tej chwili nie na rękę.

— Nie mogłeś powiedzieć, że ja śpię, — rzekł z wyrzutem do służącego, — albo że jestem w kąpieli, albo co takiego!...

— Nie wiedziałem.

— A co ty wiesz kiedy!... no prosz już, prosz.

Odwrócił się z niechęcią i położył na szezlongu.

Trudnoby było poznać go, tak szybko zmienił się i przejął rolę chorego; twarz mu się przeciągnęła, dolna warga obwisła, oczy przymknęły, na ustach osiadł wyraz niesmaku i apatyi.

Sprawiał wrażenie Łazarza, umęczonego dziesięciu naraz dolegliwościami.

Klappermann wszedł nachmurzony.

— Jak się masz? — przywitał go krótko, — cóż ci jest?...

— Chory jestem, — słabym głosem wyszeptał Seliger.

— Ale cóż ci takiego?

— Cały jestem chory.

— No, to w porę się wybrałeś chorować teraz!..

— Człowiek sobie choroby nie wybiera; ona sama przychodzi.

Stęknął i przewrócił się na bok.

Klappermann usiadł na fotelu i przypatrywał się jakiś czas w milczeniu Seligerowi.

— Ładnieście mnie wykierowali! — zaczął po chwili; — ty chorujesz, Blatt wyjechał, a ja muszę za was głowę sobie łamać i pleców nastawiać. Ładna spółka!... Cóż teraz będzie?

Seliger spojrział na niego omdlewającym wzrokiem, jak gdyby nie domyślał się o co chodzi.

— Z czem? — zapytał niemal najwinnie.

— Jak to z czem?... z „Postępem.“ Przez was narobił się hałas, rewolucya pomiędzy akcyonaryuszami; na walnem zgromadzeniu będzie sądny dzień. Cały zarząd gotów wylecieć w powietrze. Cóż to, nie słyszałeś, co się święci?... nie wiesz o agitacyach Sandsteina?... Mają napaść na nas za to, żeście sprowadzili Niemców. Już to co do tego, to pozwól sobie powiedzieć, żeście ze mną postąpili nieuczciwie. Tak się nie robił... należało mnie uprzedzić, że sprzedajecie swoje akcye w Berlinie.

Seliger popatrzał na niego z udaniem zdziwieniem.

— To Blatt ci nic nie mówił? — spytał dobrodusznie; — ja myślałem, żeś ty wiedział o wszystkim.

— Nic nie wiedziałem; prowadziliście konszachty za moimi plecami, — dopiero kiedy oliwa na wierzch wyszła, dowiedziałem się po niewczasie. Teraz wyście zrobili świetny interes, a ja za was ciągi biorę.

Seliger się poruszył.

— Co za cięgil... pokrzyczą trochę i przestaną. Nie przesadzaj. Zresztą, ja nic nie wiem; to Blatt wszystko przeprowadził, a ja się tylko przyłączyłem. Ja nie mam teraz głowy do niczego, dajcie mi pokój.

Z kolei Klappermann się zachnął i z niezwykłą opryskliwością wybuchnął:

— Tak, to najłatwiejszel... tobie dać pokój, Blattowi dać pokój, a co ja mam zrobić?..

— Ty sobie dasz radę.

— Tak sądzisz?... to pochlebne dla mnie, ale nie przypuszczaj, że was bronić teraz będę. Cofacie się, uciekacie z placu, za co ja mam się dla was poświęcać?... ja nic nie zarobiłem na waszym interesie. Niech was żywcem ukamieniają, mnie to także nic nie obchodzi. Nie, mój kochany Seliger, tak się nie robił... Przez tyle lat szliśmy wspólnie ręką w rękę, należało iść aż do końca, a wyście mnie zdradzili i opuścili. Tak jest, wyście mnie zdradzili... ja „Postęp“ prowadziłem, ja postawiłem go na nogi, a wyście moją pracę wyzyskali. Czy to szlachetnie, czy to uczciwie?... I wam się teraz zdaje, że ja was bronić będę?... to się mylicie. Ja muszę najpierw bronić siebie i swoich interesów.

Seliger się skrzywił jeszcze bardziej i głowę dłońmi ścisnął, udając, że go boli nie do wytrzymania.

— Daj mi pokój, daj mi święty pokój!—jęczał— czy ja ciebie proszę, żebyś mnie bronił?... czy mi co na tem zależy?... mnie zależy na tem, żebym był zdrow.

— Nie zależy ci? — podniesionym głosem przerwał mu Klappermann, — no to wylecisz z „Postępu“ jak z procy.

— To wylecę, — z apatyczną rezygnacją odparł Seliger. — Nic mi dziś i na tem nie zależy.

— A opinia?...

— Daj mi pokój!...

— A dywidenda?... czy znajdziesz dziś lepszą lokację dla swoich kapitałów?... Ty nie udawaj, że ci na „Postępie“ nie zależy, boś przy nim podwoił swój majątek. Przecież ja znam dobrze twoje interesa.

Seliger odwrócił się do ściany.

— Daj mi pokój, proszę cię — złamanym głosem szeptał, — ja nie mam głowy do niczego. Nie ma na świecie interesów wiecznych. „Postęp“ był dobry i jest jeszcze dobry, ale to się kiedyś skończy. Wyciągnąłeś w nim wszystkie żyły, jak struny, teraz zaczną pękać. Zobaczysz, jak akcje wazsze spadną lada dzień.

Klappermann z miejsca się porwał i tracąc do reszty zimną krew, krzyknął:

— Naturalnie, że spaść muszą, ale przez kogo?... przez was, boście do tego ręki przyłożyli. To nikczemnie z waszej strony!

Wzburzony stał nad Seligerem i trzął się z gniewu, on, który umiał zwykle panować tak nad sobą.

Teraz oko w oko, wśród czterech ścian, kiedy nie potrzebował się maskować, odsłonił całą naturę chciwego egoisty i pinił się ze złości.

Seliger nie śmiał spojrzeć na niego.

— Czego ty się tak rzucasz? — spytał płaczliwie, — gadaj sobie z Blattem, nie ze mną. Co ja jestem winien?... Czy wasze akcje spadną, czy pójdą w górę, to mnie nie obchodzi, ja i tę resztę, która mi została, sprzedam dziś, jutro. Ja ręce umyвам od wszystkiego; na co mi taki kłopot!

Klappermann pochylony nad nim w samo ucho prawie mu syczał, jak podrażniona gadzina:

— Właśnie, właśnie to jest proste łajdaństwo z waszej strony, żeście wiedzieli, czym się to skończy, a nie ostrzeżliście mnie. Zrobiliście doskonały interes na kursie, sprzedając swoje akcje, ale ja ich nie sprzedałem, ja je mam i na nich muszę stracić przez waszą podłą spekulację!... Ty wiesz, co to znaczy, jak one spadać zaczęły. Niech się tylko krzyk zrobi, a zrobi się — zrobi i to wielki! — to co będzie z moimi pieniędzmi?... jak ja będę wyglądał z moim udziałem?... Okradliście mnie obaj. Ja milczałem dotychczas, bo mi nie wypadało przyznawać się, że się dałem przez was tak podle podejść i oszukać, ale ja teraz milczeć dłużej nie będę; ja wam także sadła gorącego zaleję za skórę, poczekajcie!

Seliger milczał i nie ruszał się; leżał z zamkniętymi oczyma i czekał, aż ta burza nad jego głową przeciągnie. Przed pół-godziną gorszył się brakiem cywilnej odwagi u swego zięcia, który nie chciał się strzelać w pojedynku, a teraz jak mysz pod miotłą skulony pozwalał sobie wymyślać od łajdaków i nikczemników.

Nie poznawał Klappermanna; gdzie się podziela jego układność, miara, spokój, ten uprzejmy uśmiech pana prezesa i ta umiejętność panowania nad sobą w każdej sytuacji,—co się z tem wszystkim stało?...

Inny człowiek, nawet z fizyognomii nie podobny do tamtego, którego znał świat, chodził teraz po gabinecie, jak pantera po klatce żelaznej, i miotał się, odgrażał, pienił ze złości.

Seliger uczuwał coś, jakby lęk, jakby przestrach przed dzikiem zwierzęciem i instynktownie udawał ciało martwe, trupa, padlinę, aby nie podrażnić ruchem, głosem, znakiem życia swojego napastnika; pozwolił mu chodzić, wymyślać, krzyżeć, byłby się może pozwolił nawet uderzyć, udając, że nie uważa tego, byle tylko Klappermann skończył i poszedł sobie do stu tysięcy dyabłów ze swemi pretensjami.

Ale temu wcale nie było pilno; ta cierpliwość wyrozumowana i milczenie Seligera wręcz przeciwny wywoływały skutek.

Wolałby był, aby odpowiedział cokolwiek, aby się bronił, tłómaczył, kłócił, ząb za ząb odgryzał, aby mu do oczu skakał, zamiast leżeć tak odwrócony do ściany, skulony, obojętny na wszystko, spokojny i pewny siebie.

Julia Helena, gdyby była w tej chwili zobaczyła męża, wyprowadzonego do tego stopnia z równowagi, byłaby obrzuciła go od stóp do głowy surowem spojrzeniem i powiedziała wyniośle:

— *Fi donc!*... jak mi ten człowiek przypomina

żyda, który przepadł przy licytacji i ujada się ze swymi współnikami o stracone korzyści...

Krew Klappermannów, od dwudziestu pokoleń płynąca w żyłach tego potomka kupców, handlarzy, spekulantów i czcicieli złotego cielca z czasów samego Mojżesza, odezwała się i zakipiała w nim na samą myśl pominięcia dobrego interesu, a co gorsza, na samo przypuszczenie strat materyalnych, które go ewentualnie czekały.

Im dłużej mówił, tem bardziej unosił się, tem więcej przejmował się własnymi słowami i własną argumentacją, dowodząc Seligerowi, jaką podłość popełnili względem niego do spółki z Blatttem i jak haniebnie narazili go teraz wobec spodziewanej zniżki kursów i komplikacji stosunków wewnętrznych w Zarządzie i wśród akcyonaryuszów „Postępu.“

— Czy ty wiesz, ile ja przez was stracić mogę?... wiesz ty? — wołał, nałożywszy już kapelusz na głowę i wracając po raz trzeci ode drzwi. — Przecież ty, razem z Blatttem i z waszymi dwoma zięciami, i z waszemi córkami nie jesteście tego warte, co mnie ta historia kosztować może! Ale poczekajcie, ja wam pokażę wy mnie popamiętacie!... nie dziś, to jutro, nie jutro, to za miesiąc, za rok, za dziesięć lat mnie popamiętacie. Ja wam tego nie daruję. Zobaczyciel!... co mówisz?...

Przesłyszało mu się, że Seliger jakieś słowo narzeczcie z siebie wydobył, ale było to tylko złudzenie.

Seliger milczał, jak skamieniały.

„Chciej mi pan wybaczyć, kochany hrabio, ten wstęp, w którym pragnąłem jedynie położyć silniejszy nacisk na to, iż decyzję moją uważam za ostatnie słowo, wypowiedziane z mej strony w sprawie poniżej poruszonej.

„Oto niniejszem mam zaszczyt uwiadomić pana, iż po dłuższej rozwadze nie mogę należeć do kampanii, rozpoczętej z inicjatywy p. Sandsteina (Bernarda, jeśli mnie pamięć nie zwodzi), jakkolwiek jego projekt pozyskał poparcie osób tak zaufanych i godnych szacunku, jak pan, kochany hrabio, i kilku innych pańskich stronników.

„A należeć nie mogę: 1-mo, z powodów czysto osobistych, które mi nie pozwalają obecnie zajmować się goręcej żadną sprawą publiczną, wymagającą dłuższego czasu i wyteżenia sił. Czuję się bardzo niedysponowanym i jestem w przededniu rozpoczęcia systematycznej kuracji, której całkowicie oddać się muszę.

„2-do. Jakkolwiek nie lekceważę sprawy „Postępu,“ zajmującego w naszych stosunkach bardzo ważne stanowisko przemysłowo-ekonomiczne, uważam wszelako, że nie moją i ludzi mnie podobnych jest rzeczą traktować ją w taki sposób, w jakiby traktowaną być powinna. Szczerze mówiąc, jest mi ta sprawa obcą, i musiałbym dopiero zapoznawać się z nią dłużej i szczegółowiej, na co mi czasu i sił brak w obecnej chwili.

„3-io. Jakkolwiek poczytuję sobie za obowiązek służyć każdej sprawie publicznej, do której mnie głos ogółu powołuje, a od czego się nigdy nie uchylam, (dowodem tego udział mój w tyłu instytu-



cyach i przedsięwzięciach poważniejszej natury), lubię wszelako pracować solidarnie tylko z ludźmi bliżej mi znanymi i doświadczonymi wraz ze mną w sferze wspólnych interesów. W danym wypadku oprócz pana, kochany hrabio, i dwóch czy trzech osób, nie mam przyjemności znać nikogo więcej w tej grupie akcyonaryuszów, która utworzyła stronnictwo zaczepno-odporne „Postępu“ przeciw inwazji niemieckiej. Czuję się zatem jakby intruzem w tym obozie, którego sztandar tak śmiało i odważnie podnosi p. Bernard Sandstein et consortes.

„4-to. Dotychczasowe moje obowiązki przeciążają mnie już do tego stopnia, iż byłoby lekkomyślnością z mojej strony przyjmować nowe na stare barki, nie mając możności uczynienia im zadość.

„Nareszcie pro 5-to, znalazłyby się może pewne zasadnicze względy, nadające się wszelako do szerszej dyskusyi, które stanowią kwestyę osobistych moich poglądów, nakazujące mi zastanawiać się zawsze nad tem, co mam uczynić, ale tych nie śmiałbym nikomu narzucać, więc i panu, kochany hrabio, nie chcę zajmować nimi drogiego czasu i cierpliwości.

„Jedno z drugim zsumowawszy, muszę w końcu dojść do wniosku, że nazwiska mego nie mogę angażować w sprawę, której właściwie służyłbym nie potrafił moją osobą i moim wpływem.

„Chciej mnie pan przeto, kochany hrabio, mieć za wytlómaczonego i przyjmij zapewnienie mego szczerzego szacunku i sympatyi, z jaką dla pana zawsze pozostaję etc., etc.“

Płonicki z rozmaitych stron odczytywał list księcia i w tym gładkim, ostrożnym, dyplomatycznym stylu doszukiwał się ukrytych myśli, których całkiem otwarcie stary arystokrata nie wyrażał, ale które z jego układnych zwrotów i dyskretnych półsłówek wyzierały.

Jedno było jasnym dostatecznie i całkowicie zrozumiałem; to mianowicie, że księżę cofa się, unikając zetknięcia z ludźmi, których nie zna i którzy mu nie smakują.

Przejrzyście wzmianki o Sandsteinie dawały wiele w tym względzie do myślenia.

Hrabia w głowę się podrapał.

— To widoczne — mówił sobie, — że księżę nie uważa tej sfery za właściwą, a sprawy za dość poważną dla siebie. Wymawia się, wymyka, wykręca, a nawet robi mi niejako przymówki. Tak, to przecież widać!... Czy ja się tylko nie zagalopowałem zanadto?... „Postęp“ — „Postępem“, ale moja opinia także coś znaczy. To prawda, że ten Sandstein, jako chorąży w obozie zaczepno-odpornym, w którymby ks. Gołowski i hr. Płonicki i inni mieli walczyć, nie jest wcale taką firmą zaszczytną, chociaż...

Cmoknął ustami i poprawił się na fotelu.

— Nie, stanowczo trzeba się nad tem poważniej zastanowić. Potem jeszcze powiedzą, że ja, jak Wydźzewski wynajmuję się mechesom i ciągnę wodę na ich młyn; dziękuję pięknie. Ani mi się śni być pośmiewiskiem! Ten Sandstein sztuka sprytna; ani się spostrzegłem, jak mnie wziął... Wziął mnie, dalibóg — wziął mnie!...

Wstał i zaczął chodzić po swoim gabinecie, potwarzając:

— Wziął mnie!... no, patrzcie państwo, wziął mnie!... Jak się to trzeba mieć na ostrożność! Potrzeba mu było zasłonić się kilku dobrymi firmami i wziął mnie. Gdyby nie książkę, byłbym się dał złapać.

W chwili gdy po raz dziesiąty brał do rąk list księcia, służący stanął we drzwiach i zameldował Kocia Nahalskiego.

— Nahalski?... u mnie?... co za gość! — pomyślał hrabia i pokręcił głową ze zdziwieniem.

— Prosić, — rzekł lokajowi, ale Kocio nie czekał odpowiedzi, sam już wchodził we drzwi i ze śmiechem wyciągał rękę ku hrabiemu.

— Spadam z deszczem, co?... jak się masz, hrabio!... gość niespodziany ze mnie, prawda?...

— Powitać, powitać! — zawołał Płonicki; — zapomniałeś o mnie zupełnie. Co się z tobą działo?... Siadajże; może cygarko?...

Nahalski okiem znawcy spojrzał na podane sobie pudełko z firmą Boeka i mlasnął językiem.

— Pyszności!... hrabia jesteś smakoszem - we wszystkim. Takie delicje powinno dwóch co najmniej palić; jeden mógłby się zaciągać, a drugi dym wachać.

Wziął cygaro i zapalił z powagą, lubując się jego aromatem.

— Cudowności!... — chwalił z przesadą, — w niebie każdą takimi hawanosami.

Rozpiął tużurek, odrzucił połę i rozsiadł się w fotelu.

— Nie wychodzisz hrabia nigdzie?... psia pogoda na dworze,— zaczął.— Może jesteś zajęty, co?... powiedz prawdę, mam czas... zaczekam. Nie lubię przeszkadzać.

— Broń Boże; mam cały wieczór wolny.

— A to doskonale; pogawędzimy trochę *de omnibus rebus*. Nazbierało się tematu. Od tygodnia uszy mi puchną: Płonicki, Płonicki i Płonicki... nic, tylko Płonicki.

— Mówią o mnie?

— Ba!... ale jak!...

Wyrzucił wielki kłęb dymu i roześmiał się.

— Mówią: Płonicki et Comp.

— Czy być może?... cóż to za spółka?...

— Nie udawałbys hrabia. Płonicki i Sandstein!... Wiemy, wiemy, żeście się związali, jak bracia syamscy.

Hrabia skrzywił się i poruszył na fotelu

Nahalski, zauważywszy to, uśmiechnął się z zadowoleniem; wiedział już, czego się trzymać.

— Tak, tak — mówił dalej swobodnym tonem,— gdzie uszy puścić, wszędzie wymieniają was, jak dwóch Ajaxów. Krąży nawet z tego powodu doskonały dowcip.

Hrabia się zarumienił.

— I jakiż to? — spytał, siląc się na wymuszony uśmiech, którym chciał zamaskować swe pomieszanie.

— Powiadają, że „Postęp“ dopiero teraz stanie się prawdziwym postępem, odkąd w obronie jego interesów walczy prawdziwy hrabia w spółce...

Płoniccki wstał, jakby go szpilka ukłuła, i nie pozwalając skończyć Nahalskiemu, przerwał:

— To głupi dowcip!... przepraszam cię, ale taka złośliwość mnie oburza. To doprawdy odstręcza od wszelkiej publicznej pracy. Nie rozumiem, dla czego moją osobę pozwala sobie ktoś tam wystawiać na cel pocisków dla doweipnisiów ulicznych. Pochlebiam sobie, że jestem za poważny na to.

Nahalski się spostrzegł, że za szybko użył tak ostrej broni.

— Ależ mój kochany hrabio, to tylko żarty...

— Tem gorzej.

— To trudno, nie można być popularnym bez narażenia się na ludzkie języki. Dlaczego o mnie nie mówią?... bom sobie *simplex servus Dei* i siedzę w kącie. Gdybym stał na świeczniku, ostrzyliby sobie i na mnie zęby. Trzeba być na takie rzeczy przygotowanym i wyrozumiałym. Zresztą, to czyni człowieka jeszcze bardziej popularnym.

— A dziękuję za taką popularność!...

— Ha, zapobiedz temu niema rady, kiedy się raz weszło na drogę *pro bono publico*. Widziałeś hrabia ostatni numer „Bąka?“ — spytał z udaną dobrodusznnością, — nie jeszcze?... jest tam cała epopeja humorystyczna na temat waszych wojennych przygotowań. To, co prawda, trochę niesmacznie wypadło, ale „Bąk,“ jak hrabiemu wiadomo, jest pismem anti-semickiem i widocznie więcej mu zależało na tem, aby przypiąć łatkę Sandsteinowi, niż dotknąć hrabiego; pomieścił was na jednym rydwaniu, jako Rzymian, w bojowym rynsztunku. Hrabia jesteście łudzaco podobny, Sandstein także,

tylko z pod szyszaka, z kogutem zamiast orła na wierzchu, wiszą mu dwa długie pejsy. Nie, to już trochę za daleko posunięta karykatura, prawda?... to nie uchodzi.

Płonicki pokrasniał, jak mak.

— Wyrysowali mnie w „Bąku?“ — spytał z niedowierzaniem: — to niepodobna!

— Ale tak, ze wszelką pewnością. Myślałem, żeś hrabia miał już ten numer w ręce.

— Ja nie czytam humorystycznych świstków; muszę natychmiast posłać do kiosku...

Nahalski wstrzymał go i nie pozwolił mu zadzwonić.

— Dajże hrabia pokój — rzekł przezornie, — po cóż posyłać służącego, aby się dowiedział, że jego pana na śmieszność wystawiają!... Przejrzy numer i zaraz spostrzeże, bo karykatura wasza jest na samym froncie. Nie potrzeba... ja zresztą mam egzemplarz kupiony w paltocie. Mogę go hrabiemu pokazać...

Wyszedł śpiesznie do przedpokoju i po chwili powrócił z numerem „Bąka,“ który rozłożył na biurku, z miną niby wielce zgorzowaną.

— Nie, to doprawdy, za głupi pomysł — mówił, — takich rzeczy się nie robi. Niechby tam sobie skubał swoich żydków i wysmiewał, ile mu się podoba, ale powinien szanować ludzi poważnych. Cóż to ostatecznie za dowcip?... prosta szykana, powiedziałbym nawet paszkwil. Na honor, że natarłbym uszu takiemu pismakowi, gdyby mnie to kiedykolwiek spotkało, ale hrabiemu nie wypada nawet przyznać się, żeś zauważył...

Hrabia wpatrywał się w rysunek na pierwszej stronie i twarz mu się mieniła, brwi zciagały i rozsuwały, otworzył usta i chciał przemówić, ale czuł się tak zaskoczonym tym wypadkiem, że nie wiedział co począć; był jakiś zawstydzony przed samym sobą, i przed Nahalskim, i przed całym światem.

Przypomniał sobie księcia, który prawdopodobnie musiał widzieć ten numer, i to go może skłoniło ostatecznie do napisania listu, z obawy przed podobnem ośmieszeniem.

Na twarzy hrabiego malował się nie gniew, nie złość i oburzenie, ale jakby smutek jakiś i żal; jakiś wyraz przykrości, głęboko odczutej, wykrzywił mu usta, — skubał wąż z jednej strony i patrzył na własną karykaturę, jak gdyby litował się nad samym sobą.

— Przyznam się, że to bardzo nie... nie... nie... — zaczął po chwili, zacinając się i nie umiejąc znaleźć odpowiedniego określenia.

— Niemądre, — poddał mu Nahalski.

— Niemądre i nieuczciwe — dodał, — bardzo nieuczciwe, bo ostatecznie... zdaje mi się, że... że...

Znowu mu zabrakło wyrazu; zdetonowany był i słowa mu się rwały na ustach.

— Przecież nie można nieczylich dobrych chęci wyszydzać i piętnować za to, że się próbuje coś zrobić nie dla własnego interesu. Zwłaszcza kiedy się nosi nazwisko tak szanowane i nietykalne, to zdaje mi się, że miałyby się pewne prawa do... do powagi, a nie żeby pierwszy lepszy gryziopiórko śmiał czyimś kosztem bawić swoich prenumerato-

rów. To tylko dowód niedowarzenia!... lekkomyślności!... brak dojrzałych poglądów!...

Wracała mu powoli swada i równowaga w miarę, jak się oswajał z wrażeniem, które na nim złośliwa karykatura wywarła.

Kocio dogadywał mu, stając z przesadną gorliwością po jego stronie i potakując wszystkiemu, ale dyplomatycznie wtrącał raz po raz pojedyncze słówka, zdania, uwagi, któremi z ukrytą dążnością starał się zrazić hrabiego do owego związku z Sandsteinem, drażniąc jego ambicję i zlekka dotykając miłości własnej.

— Już to, pozwól sobie hrabia powiedzieć prawdę — rzekł w stosownej chwili, — że to nie bardzo było potrzebne kłaść zdrową głowę pod Ewangelię i mieszać się w te awantury „Postępowe,“ i to z kim?... no, ostatecznie z nikim sobie równym, tylko z jakimś tam młodzikiem, który przy pomocy hrabiego chciał wsiąść na konika i zrobić się popularnym. Zawsze to, co Płonicki, to Płonicki, a co Sandstein... to meches. Trudna rada, — tego mu ani z nosa, ani z nazwiska nie odjąć, więc nie dziwnego, że taka spółka...

— Ależ mój kochany — przerwał mu hrabia, jak gdyby się chciał usprawiedliwiać i tłumaczyć, — kiedy bo widzisz, trzeba znać prawdziwy stan rzeczy. Przyszedł do mnie pierwszy, zaczął przedstawiać, że to potrzeba, obowiązek, powinność, abym tę sprawę poparł moim wpływem, moją firmą, moją osobą... Cóż było zrobić?... człowiek ma to we krwi, że kiedy chodzi o kwestye tego rodzaju, to idzie na wezwanie. Nie poszedłbyś?...



Nahalski wydał usta i głowę przekrzywił, jak wyżeł.

— Toby zależało z kim,— odparł.

— No, masz słuszność, ale nie zawsze można się tak zastanawiać, a tu jak mi zaczął nałazić, po piętach deptać, w uszy kłaść a to to, a to owo, tak mnie obalamucił, zem mu się dał użyć do wszystkiego, zawsze pod tem hasłem publicznego dobra. Omal starego księcia nie wciągnąłem w tę kaszę, wyobraź sobie!...

— To księżę nie należy do was? — zagadnął go żywo Nahalski.

— Na szczęście, nie; ale mało już brakło. Potrzeba było tylko, aby go byli tak samo, jak mnie, w takim „Baku“ osmarowali!... byłby mi tego do śmierci nie wybaczył. Miałbym go być na sumieniu.

— Bo przecież przydował na jednym posiedzeniu?...

— No tak, zciągnąłem go na pierwsze posiedzenie, ale potem się wycofał.

— Miał nos!... a hrabia zostałeś.

— A zostałem, bo cóż było robić?... kiedy wisieć, to za obie nogi.

— Albo się urwać.

— To prawda, albo się urwać, — powtórzył zafrasowany z westchnieniem; — masz słuszność, urwać się to byłoby najlepsze; tylko że to teraz już za późno.

Kociowi oczy się uśmiechnęły.

— A to dlaczego?... cóż to hrabia przysięgałeś

na wierność do grobowej deski Sandsteinom?... alboście to bracia ślubni, czy co takiego?...

Wzruszył ramionami z lekceważeniem.

— Mnie się zdaje, że to nie dla Płonickiego afera. *Ma parole*, możesz mnie hrabia za drzwi wyprosić, ale powiem otwarcie, że gdyby mnie był tak ciągnął, byłbym ostrożniejszym i nie narażał mego nazwiska i mej osoby na szwank, jak to hrabia uczyniłeś... nieogłędnie, bardzo nieogłędnie.

Hrabia się zamyslił; nie potakiwał otwarcie, ale w duchu przyznawał słuszność Nahalskiemu.

— Kiedy bo widzisz — próbował się bronić, — zawsze to sprawa publiczna; chodziło o tych pludrów Szwabów, których trzeba *nach Draussen* wykurzyć z „Postępu.“

Kocio uśmiechnął się ironicznie.

— Mój hrabio, niech sobie tam Żydzi z Niemcami radzą, jak chcą; oni się porozumieją prędzej od nas, a kiedy ich sami sprowadzali, niechże ich sami wyganiają teraz. Co to nas może obchodzić?... Wartoż się narażać dla tak niepewnej rzeczy?...

— Jak to niepewnej?— spytał żywo Płonicki.

— No, rozumie się, że niepewnej, bo z Niemcami nie będzie łatwa sprawa i nie dacie im rady. Mają akcje w rękę; przecie wydzierać im gwałtem nie będziecie?... a skoro raz wleźli, oho!...

— Oho, mówisz?...

— Naturalnie.

— Może masz słuszność; to prawda, to nie tak łatwo wyrzucić, jak wpuścić.

Z dawnego optymizmu hrabiego śladu już nie

zostało; stracił do szczeru wiarę, aby kampania się udała.

Zaczynał uważać ją z góry za bezowocną i przegraną, tem więcej, że mu teraz na rękę był ten sceptycyzm.

Mógł się wycofać, więc korzystał z pozorów, jakie się nastęrczały.

— Tak, tak, masz słusność — mówił do Nahalskiego, jakby zadowolony, że znalazł doskonałą wymówkę i kogoś, co go na drogę takich wątpień naprowadził, — masz słusność. To sprawa niepewna i dyabło trudna do przeprowadzenia; ja to od razu powiedziałem, ale mnie zakrzyczano. Żeby jeszcze była nadzieja wskórania czego, no — niechby tam!... wartoby było zaryzykować, ale naprawiać to, co jakies tam mechesy zepsuły, śliczne zadanie!... Ja się nie spostrzegłem w pierwszej chwili, że właśnie musiałbym dla nich kasztany z pieca wyjmować.

— I poparzyć sobie palce, — wtrącił Kocio.

— A przynajmniej posmolić, prawda?...

— Jestem tego pewny.

Hrabia wziął do rąk „Bąka“ i znowu mu się przyglądał; odbywała się w nim widocznie jakaś ostatnia utarczka z samym sobą, ale znać było, że kapituluje, broń składa i opuszcza plac boju.

Im dłużej toczyła się rozmowa, tem lepszego humoru nabierał; zaproponował Nahalskiemu w końcu, aby u niego został na herbacie, ale Kociowi pilno było zdać ze wszystkiego sprawę Klappermannowi, który go wysłał na zwiady do przeciw-

nego obozu i dał mu dyplomatyczne zlecenie wybadania planów opozycyi.

Misya udała się lepiej, niżeli prezes mógł przypuszczać, a Kocio, jak tryumfator, wracał z wizyty u hrabiego.

List księcia i karykatura w „Baku“ zeszyły się w samą porę, aby zachwiać ostatecznie zamiary Płonickiego, które i tak nie opierały się na bardzo silnych podstawach.

Bernard ani przypuszczał, że budował cały swój plan przy pomocy hrabiego na grzązkim piasku; kiedy otrzymał bilecik, zapraszający go na poufną konferencyjkę do Płonickiego w sprawie niecierpiącej zwłoki, pomyślał, że hrabia ma mu do udzielenia jakie pomyslnie wiadomości i że się dowie od niego o wyniku gorliwych starań w celu powiększenia i wzmocnienia stronnictwa.

Płonicki przyjął go bardzo grzecznie ale zimno, miał minę zakłopotaną lecz przystąpił wprost do rzeczy.

— Wybacz pan — rzekł, — że się krótko załatwię, ale mam zaledwie kwadransik czasu. Lada chwila oczekuję telegramu, z powodu którego będę zapewne zmuszony wyjechać dziś jeszcze do Wiednia i Paryża.

Bernarda uderzył ton, w jakim to mówił i całe wzięcie hrabiego.

— Hrabia chcesz wyjechać za granicę? — spytał zdziwiony, — ale to chyba w jakimś bardzo ważnym interesie i to na krótko?

— O! w bardzo ważnym, a czy na krótko, nie wiem jeszcze, — odparł Płonicki, spoglądając na

zegarek, jak gdyby chciał zobaczyć, ile minut pozostaje mu do załatwienia drażliwej sprawy.

— Ani się pan domyślasz, kochany panie Sandstein, z jakiego powodu śmiałem pana trudzić do siebie,— zaczął szybko; — dla mnie samego zakrawa to na jakąś intrygę ze strony losu.

— O cóż idzie?...

— Fatalność, kochany paniel... muszę wyjeżdżać, a co najgorsza, muszę zaniechać wszelkich zamiarów moich co do wspólnej akcji z panami w „Postępie.“ A co?... prawda, że tej niespodzianki nie przypuszczałeś pan wcale?... ja także. Spadło to na mnie, jak grom z jasnego nieba. Widziałeś pan, że się zapaliłem do naszego celu i naszych projektów, byłbym całą duszą służył dobrej sprawie, ale cóż począć?... nie obliczyłem się z wypadkami; bo to prosty wypadek krzyżuje moje plany. Wyobraź pan sobie, mój plenipotent donosi mi, że tam się coś psuje w Banku zachodnio-europejskim, w którym mam ulokowaną część kapitałów moich, chwilowo-bezczynnych, i że trzeba ratować te sumy przed likwidacją, aby nie stracić wszystkiego. Nie wiem, co o tem myśleć, podobno obawiają się nowego krachu; mam przeto głowę tak skłopotaną i siedzę tu, jak na szpilkach.

Bernard słuchał tego opowiadania z zajęciem i dobrą wiarą, nie przypuszczając, iż cała historia z depozytem bankowym jest tylko improwizacją, wybiegiem, którego hrabia użył do upozorowania swego odwrotu.

Jedna myśl go wyłącznie w tej chwili zajmowała; wiedział, że traci sojusznika przed samem roz-

poczęciem kampanii i to sojusznika, na którego wiele liczył.

— Widzisz pan — ciągnął Płonicki dalej, doskonale odgrywając przyjętą rolę, — że wobec takich komplikacji fatalnych, muszę przedewszystkiem myśleć o własnej skórze i pomimo najlepszych, najszczerzych chęci niepodobna mi zajmować się ratowaniem instytucji publicznej przedtem, nim moich własnych nie ureguluję interesów. Bardzo, bardzo żałuję, niewymownie mi to przykro, ale cóż począć!... będziesz pan musiał wziąć wszystko na swoje barki i dźwigać o własnych siłach, jednak wyjadę spokojny o pana. Kto posiada tyle energii, tyle animuszu, tyle sprytu, co pan, ten sobie potrafi poradzić sam jeden. Moja pomoc i tak nie na wieleby się panu przydała.

Sandstein skłonił głowę i pochmurny patrzył w ziemię.

— Pan hrabia przecenia moje siły,— rzekł.

— O bynajmniej,— o ile miałem sposobność poznać pana, wierzę najzupełniej w dzielność pańską.

— Jednak tu nie chodzi o usiłowania jednostki, lecz potrzeba wspólnego, zbiorowego działania, jeśli ma być cel osiągnięty. Cóż ja sam jeden znaczyć mogę?...

— Jest przecież obok pana całe grono ludzi dobrze myślących.

— Nie wielu, panie brabio, bardzo nie wielu, a i pomiędzy tymi większość przystąpiła raczej dla pana hrabiego, niż dla mnie.

Płonicki zrobił skromną minę.

— Ach, Boże mój, za dużo mi kochany pan wpływu przypisuje. Cóż ja tu znaczyłem?... byłem tylko jednym z pionków na szachownicy, poruszanych przez pana, a że partya nawet nie rozpoczęta jeszcze, więc mój ubytek da się łatwo zastąpić.

Bernard ręką czoło potarł i usta zagryzł.

— Pan hrabia wiesz dobrze, że to rzecz trudna, zwłaszcza teraz, w ostatniej chwili, prawie w przededniu kampanii.

Płoniczki westchnął i głowę zwiesił, jakby z ubolewaniem.

— Tak, tak, ale niestety nie się już zmienić nie da; muszę wyjechać i to jak najspieszniej. Kapitały moje są znaczne, ryzykować nie mogę.

Milczeli przez chwilę obaj, jak gdyby szukając wyjścia z tej sytuacji.

— Spodziewam się wszelako — zaczął Bernard pierwszy, — że jakkolwiek ta niespodziewana konieczność zmusza pana hrabiego do wyjazdu, jednak pozwolisz nam hrabia zaliczać pana zawsze do naszego obozu. Nazwisko takie, to talizman.

Płoniczki uśmiechnął się dwuznacznie i zaskoczony tem pytaniem, zaczął chrząkać i kręcić się na swoim krześle, szukając odpowiedzi.

— Otóż w tym względzie właśnie — zaczął, — chciałem prosić pana, abys je zupełnie usunął z listy sprzymierzonych pańskiego obozu... Nie mogąc być panu w niczem a niczem użytecznym, nie chciałbym figurować, jako sztroman, i dlatego...

Bernard po raz pierwszy spojrzął mu w oczy

wzrokiem bardziej badawczym, i zdawało mu się, że hrabia unika jego spojrzenia.

— Masz pan hrabia przecież swój udział, jako akcyonaryusz „Postępu“— rzekł.

Płonicki głowę odwrócił i spojrzał znowu na zegarek.

— Cóż to za udział!... bardzo skromny, a zresztą nie wiem, czy nie będę zmuszony sprzedać go nagle, gdybym zapotrzebował większej gotówki.

Wstał i udał, że zaczyna zbierać z biurka papiery i chować do teki.

— Nie, nie, co do tego, stanowczo obstaję przy wycofaniu mego nazwiska z akcyi; proszę pana o to usilnie.

Powiedział to z takim naciskiem, że Bernardowi nagle rozwidniło się w głowie; nabrał podejrzenia, że hrabia inne ma powody do usunięcia się, że odgrywa tylko zręczną komedję, aby nie wyjawić właściwych przyczyn tej nagłej rejterady z placu boju.

Myśl ta zachmurzyła mu czoło; pod papierami na biurku dostrzegł wysunięty numer „Bąka“ z ich wspólną karykaturą i zorientował się w jednej chwili.

— Panie hrabio — zaczął głosem zlekka drżącym,— nie śmiem wątpić o prawdziwości motywów, które skłaniają pana do opuszczenia naszego wspólnego sztandaru w chwili tak ważnej, ale ta stanowczość, z jaką zastrzegasz pan hrabia sobie zerwanie wszelkiej solidarności z nami, nasuwa mi mimowoli przypuszczenie, że...



Płonicki wyprostował się i zmruczając oczy, spojrział wyczekująco na swego gościa, który na chwilę zatrzymał się w dokończeniu całego zdania.

— Że co?...— spytał hrabia.

— Że zachodzą jeszcze inne przyczyny drażliwej natury, które tak nagle zniechęciły pana hrabiego do pozostania w jednym szeregu — ze mną.

Powiedział to spokojnie, z godnością, nie spuszczać z oka hrabiego, który stawał się pomieszany i widać było, że pragnie zakończyć jak najprędzej rozmowę na ten temat.

— Czy nie jesteś pan za domyślny, panie Sandstein? — spytał z odcieniem urazy w głosie, — jakieżby były te powody według pana?

Bernard przez chwilę wytrzymał go spojrzeniem, potem wysunął z pod papierów numer „Baka“ i wskazując go ręką, rzekł:

— Oto są.

Płonicki poczerwieniał powyżej uszu, nie spodziewał się, że tak obcesowo będzie zaskoczony, i że Bernard tak łatwo odgadnie jego ukrywane przyczyny zerwania.

— Panie Sandstein — rzekł z wymuszonym uśmiechem, — to niebezpiecznie być tak bardzo domyślnym. Zdaje mi się, że właściwiej było uwierzyć moim słowom i nie wchodzić na tory drażliwych dla nas obu tematów i wyjaśnień.

— Przeciwnie, panie hrabio — żywo zaprzeczył Bernard, — zależało mi na tem, abyśmy kwestyę jasno postawili i szczerze powiedzieli sobie wszystko w oczy. Delikatność pana hrabiego chciała mi oszczędzić przykrości w nazywaniu rzeczy po imie-

niu... W innej sytuacji byłbym panu może za to obowiązany, w tym wypadku wszelako ceniłbym jedynie większą otwartość i śmiałość w przyznaniu się do własnych poglądów i zasad z pańskiej strony. Z dobrą wiarą zacząłem słuchać motywów pańskich co do porzucenia stronnictwa, które zamierza ratować instytucję, mającą znaczenie publiczne; ale ostrzegł mnie mój instynkt w porę i — wybacz mi pan, panie hrabio — przestałem wierzyć w szczerść pańskich powodów. Nie interesa majątkowe skłaniają pana do wycófania się z akcji, tylko drażliwość osobista i przesąd społeczny, które rozbudził w panu marny świstek humorystyczny swoim docinkiem. Tak, panie hrabio, spostrzegłeś się pan trochę późno, że nie wypada panu łączyć się z człowiekiem, którego nazwisko brzmi tak pospolicie, jak moje, który nie ma żadnego tytułu przy niem, bo nie jest dobrze urodzonym, i który, co najgorsza, pochodzi z Żydów!... Czyż przypuszczałeś pan, panie hrabio, że choć na chwilę mogłem zapomnieć o tem?... niestety, nie. Przypominano mi to za często i w sposób zanadto bezwzględny, abym o tej fatalności mógł kiedykolwiek zapomnieć. Tak jest, pochodzę z Żydów i należę do rasy znieawidzonej dziś w całym świecie, ale sądziłem, że kiedy potrafię oderwać się od tego zardzewiałego łańcucha, jaki się włókł za mną przez tyle pokoleń, przydam się jako nowe ogniwo gdzie indziej, że jako jednostka przynajmniej zdołam zetrzeć z siebie piętno mego pochodzenia i zrehabilitować winy moich ojców. Zawiodłem się. Za mało widocznie dałem dowodów, żem wszelkie-

mi siłami pracował nad przerodzeniem się i chciał być innym od moich przodków w chałacie, albo za silny jest przesąd i nieufność, które mi na każdym kroku drogę zastępują.

Hrabia słuchał go zmieszany i przerywać nie śmiał.

— Ależ panie Sandstein — zaczął, gdy Bernard dla nabrania tchu, zaczerpnął głębiej powietrza i czoło otarł, — upewniam pana, że osobiście mam dla pana wszelki szacunek, na jaki zasługujesz, wszelako są względy subtelnej natury, są powody...

— Które nie pozwalają panu hrabiemu zapomnieć całkowicie, że nie wypada mu kompromitować się z jakimś tam przechrztą Sandsteinem w sprawie „Postępu,” bo mu to za złe wezmą w jego sferze, a w innej znów dowcipkować i podrywać będą — dokończył Bernard z gorzkim uśmiechem na ustach. — Rozumiem to i nie dziwię się, panie hrabio.

Płonicki skubał wąs i patrzył w ziemię.

— Zdaje mi się, że pan tę sprawę traktujesz trochę za krańcowo, za namiętnie — rzekł; — tak znowu źle nie jest. Żałuję, że nie mogę z panem przeprowadzić dłuższej dyskusji w tym przedmiocie, a zwłaszcza przekonać pana, iż rzeczywiście w naszym wypadku zachodzą powody przedewszystkiem czysto prywatnej, osobistej natury. Gdyby mnie interesa nie zaskoczyły tak nagle... gdybym miał ręce wolne, mógłbym właśnie na przekór wszystkim karykaturom, uprzedzeniom, przesądom... co prawda, tylko dla pana samego...

Bernard niewiele zwracał już uwagi na słowa hrabiego; zajmowały go więcej jego własne myśli, które rozmowa z Płonickim rozpętała mu w głowie.

— Zatem stanowczo nie chcesz pan hrabia iść dalej z nami? — spytał krótko i energicznie.

Hrabia miał minę zakłopotaną człowieka, który działa jak pod przymusem; rozłożył ręce, ramiona podniósł, głowę spuścił i odrzekł:

— Nie mogę, nie mogę!... proszę mi wierzyć...

Sandstein spojrział na niego z politowaniem i westchnął.

— W takim razie i na księcia zap wne liczyć nie możemy? — rzekł.

— O, księżę chory, bardzo niedysponowany, — pośpieszył usprawiedliwić go Płonicki, — z wielkim trudem zdołałem go i tak namówić do tego, aby raz przyszedł na nasze posiedzenie. Przeciążony obowiązkami, ma tyle zajęć, urzędów, interesów własnych!...

Bernard uśmiechnął się, widząc, jak dobrodusznie hrabia udawał w dalszym ciągu, nie chcąc otwarcie przyznać się do prawdy.

— Pozostaje mi zatem tylko życzyć panu hrabiemu szczęśliwej podróży i pomyslnego załatwienia sprawy z Bankiem zachodnio-europejskim.

Wziął kapelusz i skłonił się hrabiemu.

Płonicki z miejsca się nie ruszył, oddał mu ukłon pełen uprzejmości i szacunku, ale nie odprowadził gościa do drzwi swoim zwyczajem; stał chwilę i rozmyślał, potem jakby się ocknął z przykrego snu, podniósł głowę, westchnął i szepnął z odcieniem ubolewania:

— Szkoda, że on z Żydów pochodził... ma w sobie coś... coś... bardzo sympatycznego.

Zadzwoił na lokaja i kazał pakować walizę.

— Zapewne jutro wyjedziemy do Wiednia — rzekł, postanowiwszy dla nadania większych pozorów swoim wymówkom odbyć rzeczywiście tę podróż, choć go nic faktycznego do niej nie skłaniało.

Potem wziął numer „Bąka,” podarł go starannie w drobne kawałki, i wrzuciwszy do kosza z papierami, odetchnął, jakby mu się lżej zrobiło, że w ten sposób zakończył kłopotliwą sprawę z „Postępem.”

We dwa dni później wyjechał, a na kolej, niby przypadkowo, odprowadził go Kocio Nahalski, winszując mu przy pożegnaniu, że tym wyjazdem zaprzeczył wszystkim pogłoskom o wiązaniu się z mechesami w jakieś niestosowne alianse.

Klappermann uśmiechał się tylko, gdy mu jego totumfacki opowiadał o szczegółach rozmowy z hrabią; przewidywał skutki usunięcia się Płonickiego z partyi Bernarda i nie mylił się.

Ubytek takich firm osłabiał opozycję.

— Co to jest? co to znaczy, że Płonicki ich porzucił? — pytano się ze wszęch stron.

Jedni widzieli w tem dowód, że stronnictwo zaczerpno-odporne nie poczuwało się na siłach do walki z żywiołem niemieckim; drudzy podejrzewali jakieś wewnętrzne rozterki.

— Podobno arogancya Sandsteina zniechęciła hrabiego — objaśniał ktoś niby dobrze powiadomiony, — pchał się zawsze naprzód i chciał mu imponować, a panowie tego nie lubią.

— Ależ dajcie pokój — reflektowali znów stronnicy Bernarda, — to nie prawda!... Sandstein właśnie usuwa się zawsze na drugi plan, jakby unikał tego, żeby się ludziom w oczy nie rzucał.

— O, o, o!... czyście widzieli takiego mechesa, coby się nie panoszył, nie rozpierał, nie chciał być wszędzie na wierzchu?... mało ich to znamy?...

— Dajcie pokój, dajcie pokój!... już co do Sandsteina powiedzieć tego nie można. To wyjątek pod każdym względem. Niema w nim nic żydowskiego. Porządny człowiek w całym tego słowa znaczeniu.

— El... gdzie tam kiedy Żyd z mechesa całkowicie wywietrzeje!...

— Płonicki zwinął chorągiewkę, bo on tak zwykle robi, kiedy mu się sprzykrzy siedzieć na jednym stołku, — przypominali rozważniejsi.

— W każdym razie, to zły znak, że ich opuścił. Głową niewieleby pomógł, ale ma majątek, ma mir, ma stosunki...

— To prawda; coś tam jednak zająć musiało.

Zaprzętało sobie głowę rozmaitymi domysłami, a nie natrafiono na ten najprostszy, jaki się sam nasuwał, że pan hrabia nie chciał na jednym rydwanie z „Żydem“ jechać do boju.

Stary Sandstein, usłyszawszy o zerwaniu Płonickiego, skrzywił się i roześmiał zgryźliwie.

— Ja to przepowiadałem — rzekł do żony, — drugi raz mu hrabiowie dali szcztka w nos; no, chyba trzeci raz sam się napierać nie będzie, jeśli ma rozum.

Z grupy mieszczańskiej akcyonaryuszów Korczalski najbardziej był wyjazdem Płoniczkiego zaniepokojony.

Któręś dnia wstąpił umyślnie do Łubskiego i zabrał go na flaki do Stępka; czuł potrzebę wygadania się.

— Powiadam wam, panie Łubski — zaczął zaraz po wódce z ustami pełnemi kawioru, — że mi się to wszystko okropnie nie podoba. Jeśli nas tacy opuszczają, to już *aus* kapelusznik! Niema co robić. Z początku myślałem sobie, że kiedy jest z nami taki książę, taki hrabia, to panie kochany, nie damy się. Przecież to panowie, to magnaci, arystokracjali... tacy palcem kiwną, to więcej zrobią, niż my całą ręką. Niby to się na nich wygaduje, a co to pomoże, bez nich ani rusz!... to firmy!

Łubski nożem zgartywał ziarnka kawioru z bibuły i zlizywał je z ostrza, aby się nie marnowały.

— E, e, e! dajcie-no pokój! — mitygował swego towarzysza, — wy tam macie żyłkę do tej arystokracji i myślicie, że Pana Boga za nogi chwyacie, gdy wam jaki hrabia rękę poda. Nie trzeba znowu tak bardzo im basować. A toż nas, mieszczan i przemysłowców, dziękować Bogu, trochę więcej, niż samych książąt i hrabiów. Nie damy sobie bez nich rady, czy co?...

Korczalski z urazą spojrział na Łubskiego.

— Nie potrzebujecie mi znów przymawiać, panie Łubski — odparł, — przecież mi tam znowu ten czy tamten hrabia nie taki dziwny, bo się ich znało trochę w życiu. Cóż to, nie miałem z nimi interesów, czy co?... Powiadam tylko, że dla oka, dla

świata, co hrabia to hrabia. Zawsze on ma więcej kredytu i więcej wpływów, niż taki np. Sandstein.

— To i cóż z tego?...

— A no to z tego, że jakby na naszym czele stał Płonicki, pan z panów, tobyśmy inaczej wyglądali, niż z jakimś tam przechrztą. Co to gadać!... powagi niema. Firma, panie kochany, to jest firma, i potrzebna w każdym zawodzie. Ot, macie taki porter; kiedy człowiek wie, że to angielski, to panie kochany, zaraz inaczej mu smakuje i nie żal nawet drożej zapłacić. Pijże pan, to każemy sobie dać drugą!...

Łubski wąsy sobie pianą z porteru okrył i językiem je ocierał; trunek mu smakował, ale słowa Korczalskiego widocznie mu do smaku nie przypadały.

— Et, gadasz pan ni w pięć, ni w dziewięć — burknął niechętnie; — ja tam wiem tylko, że czy z hrabiami, czy bez hrabiów, trzeba Szwabom w naszym „Postępie“ pludry przetrzepać i basta.

Korczalski się zachnął i nadział bułkę na widelec.

— Otóż to właśnie!... ale jak pan to zrobisz? z kim?... na gębę to wszystko łatwo, tylko kiedy przyjdzie co do czego, zobaczysz pan, że sami rady nie mamy. Może tam pan masz jaki milion, bo ja nie, a jak trzeba będzie forsy, to kto ją da?... dasz pan? — nie, i ja nie dam, a taki książę, taki hrabia może dać. Co to gadać!...

Łubski zajadał flaki, mlaskając głośno i głową nad talerzem kiwał.



— Nie bój się pan, jakoś to się zrobi — powtarzał,— nie bój się pan, Sandstein ma rozum, już on tam coś wykalkuluje, oho! ja mam do niego zaufanie. Niedarmo się Żydem urodził.

Korczański, gestykulując łyżką, wpadał w zapał.

— A to właśnie, widzisz pan, że z Żydów, to mi się nie podoba, i dlatego znów ja nie mam do niego zaufania. Widzisz pan, dlatego wołałbym hrabiego, bo swój. Ja tam Sandsteinowi nie mam nic do zarzucenia, oprócz tego, że meches, ale boję się, że przefajnuje. Czy pan wiesz, co powiadają?...

— No?...

— Powiadają, że jak się niezręcznie weźmie do tego i zanadto język rozpuści na walnym naszym zgromadzeniu, to może być gruba awantura, — akcye spadną i dyabli nas wezmą.

Łubski od gorących flaków i porteru nabierał koloru piwonii.

— Więc cóż ma robić? gębę stulić i nic nie gadać? — spytał opryskliwie; — musi przecież Szwabom nawymyślać i zarządowi powiedzieć prawdę w oczy, a że akcye spadną, no to i lepiej na razie, bo się Niemiaszki nastraszą i prędzej zechcą sprzedać swoje papiery.

— Ba, otóż z pana kiepski polityk! — wybuchnął Korczański,— widzisz pan, jak się nie nie znasz na tych rzeczach. Cóż z tego, że zechcą sprzedać, kiedy nie będzie komu odkupić, i wspomnisz pan moje słowa: kupi Klappermann, albo Seliger i Blatt; zamiast się ich pozbyć, będziemy musieli pójść znowu na ich podwórko.



Łubski głową kręcił, zirytowany był tą dyskusją, powtarzał tylko:

— Kto to wie? kto to wie?!...

Z przybocznego gabinetu dały się słyszeć śmiechy, oklaski, brzęk kieliszków i głosy podniesione.

— Brawo, brawo!... niech żyje Kocio!... wiwat baron!...

We drzwiach ukazała się łysa głowa z monoklem i podkręconymi wąsikami płowego koloru.

Korczański, zobaczywszy go, uniósł się do połowy z krzesła i kłaniać się zaczął z wielką uprzejmością.

— Któż to taki? — spytał go Łubski.

— To ks. Oczko, zięć Blatta, członek naszej Rady zarządzającej.

— Cóż mu pan takie pokłony wybijasz?

— Bo go znam osobiście.

— To i cóż?... furfancik jakiś; jabym mu się ukłonił, ale plecami, za jego teścia!... Gdyby nie oni, nie mielibyśmy całego tego kramu.

Korczański ręką machnął.

— Kiedy bo z panem... — zaczął i ramionami podrzucił niechętnie, — pan się nie znasz na polityce.

Przez niedomknięte drzwi w gabinecie widać było towarzystwo, złożone z kilku mężczyzn przy sto zastawionym stole; to br. Lipecki urządzał śniadanie dla swoich świadków, którzy pośredniczyli w niedoszłym pojedynku.

Po długich pertraktacjach uznano sprawę za zbyt błahą, aby doprowadzać do krwi rozlewu, szczerza wobec oświadczenia barona, iż żona je-

go nie miała wyraźnego zamiaru ani powodu obrażania panów, którzy ją do tańca prosili.

W protokóle, spisany według wszelkich formalności nadmieniono, iż jakkolwiek pan br. Lipa de Lipecki gotów jest z bronią w rękę dać satysfakcyę, jednak po uchyleniu nieporozumień i wyjaśnieniu szczegółów, pojedynek nie ma żadnej słusznej podstawy i odbyć się nie powinien.

Honorowi stało się zadość; świadkowie z obu stron położyli na akcie swoje podpisy i sprawę pokojowo załatwiono.

Baron z miną tak srogą, jak gdyby powystrzelał przynajmniej cały tuzin przeciwników, zgodził się na tę papierową satysfakcyę i ściskając ręce swoich świadków, mówił tonem niskim, grobowym:

— Nie dziękuję wam za siebie, ale za moją żonę i mego teścia, bo co do mnie, byłem gotów na dziesięć kroków i wymianę trzech kul.

Przy śniadaniu rozchmurzył się i ożywił w roli gościnnego Amfitryona, zwłaszcza przy pomocy Kucia, którego nie mogło nigdy zabraknąć w takich okazjach, gdzie strzelały... szampańskie korki i po kawalersku pałaszowano... indyka.

Sypał z rękawa cały zapas anegdotek, dowcipów i toastów, które powtarzał stale przy podobnych zebraniach, zmyślając na potęgę i blagując bez granic, podochocony dobrem winem, śmiechem słuchaczy i oznakami uznania.

Natura pieczeniara z zawodu odzywała się w nim przy brzęku kieliszków i talerzy; obejmował natychmiast z całą godnością i doświadczoną wprawą urząd marszałka dworu i mistrza ceremo-

nii, dbałego o świetne menu zarówno, jak i o doskonały humor biesiadników.

Na wiadomość o zakończeniu sprawy pojedynkowej, odrazu nastąpił się sam Lipeckiemu, mówiąc:

— Reszta do mnie należy, mój kochany. Tylko mi się teraz do niczego już nie wtrącaj; ja ci śniadanko zadysponuję, odpowiednie do okoliczności. Lekkie, bo po emocjach nieuniknionych w tym wypadku, nie należy obciążać żołądka, — pożywne, bo organizm skutkiem nerwowej agitacji bywa wyczerpany, — smaczne, bo to naprawia humor i odwraca myśli od przykrych przedmiotów. Bądź spokojny, ja już stypy sprawiałem po pojedynkach, na których menu było w żałobnych obwódkach; ma się trochę doświadczenia w takich razach. Możesz Kociowi zaufać, mój kochany baroneczku!...

I rzeczywiście dotrzymał słowa; śniadanie było doskonałe, urządzone ze znanstwem, z pewną „filozofią smakosza,“ jak się Kocio sam przechwalał, powtarzając przy każdym daniu z zachwytem:

— A co?... palce lizać!...

Jadł za trzech, a pił za dziesięciu.

— Wy myślicie, że ja tu już dzisiaj z samego rana nie byłem w kuchni, aby wiktuały obejrzeć i wydać szczegółowe dyspozycje? — mówił z miną tak ważną, jak gdyby chodziło o kwestję pierwszorzędnego znaczenia. — Pańskie oko konia tuczy; nie bierzcie tego przypadkiem za przenośnię do siebie, ale chciałem nakarmić i uraczyć was tak, aby wasze żołądki były w stanie zachwycenia; nie i są, prawda?... Baroneczku, twoje zdrowie!

Co chwila prosił o głos i wznosił toasty prozą i wierszem, udając, że improwizuje; miał jednak cały zapas okolicznościowych rymów, które w podobnych okazjach z małymi wariantami powtarzał, wstawiając tylko wedle potrzeby odpowiednie imiona Amfitryonów i współbiesiadników.

Korczański z drugiego pokoju ciekawie zaglądał do gabinetu, starając się pochwycić choć kilka słów z wesołej rozmowy, prowadzonej przy stole barona, co Łubskiego gniewało i do reszty humor mu psuło.

— Co pana tam tak koreci zaglądać do nich? — pytał: — obchodzi to pana?

— Nie, ale ciekawy jestem, co oni tak oblewają. Lipecki to przecie zięć Seligera, a książe Blatta.

— To i cóż?...

— No nic, jednak zawsze... patrzę, czy Klappermanna między nimi niema.

— A choćby był?... niech ich dunder świeśnie!... Piją za Judaszowe srebrniki.

— Niby jak to?

— A nie sprzedali to Szwabom „Postępu“?

— A prawda!... mają za co. Patrz-no pan, znowu im dwie butelki szampana niosą. Dobrze sobie żyją tacy zięciowie. Ale, ale... słyszeliście?... Klappermann zakłada jakąś ogromną szkołę dla dzieci oficyalistów i robotników swoim kosztem. Stało w dziennikach.

Łubski ręką machnął.

— Co pan wierzysz temu, co gazety piszą!

— Jakże nie mam wierzyć, kiedy podobno już plac kupił.

— Widziałeś pan?

— Nie widziałem, ale po cóżby pisali?

— Albo to papier nie cierpliwy?... Ciekawość, kto mu to będzie stawiał?... żebyś pan nie należał do opozycyi w „Postępie,” to...

— To co?

— A no, możebyście to wzięli w antreprzyę.

Łubski znowu ręką machnął i ramionami podrzucił.

— Niech go tam!... obejdę się bez niego.

Korczalski sięgnął po szklankę, dopił z niej resztki porteru jednym haustem i rzekł:

— Tak się to mówi; zawsze to byłby dobry interes, możnaby na nim grubo zarobić.

Nachylił się i zaczął Łubskiemu tłumaczyć, jaka to jednak sprytna sztuka ten prezes.

— Umie sobie bestya robić reklamę, tego mu zaprzeczyć nie można.

Mówił to takim tonem, jak gdyby w połowie należał już do stronników Klappermanna.

— Bogiem a prawdą, to z takim Klappermannem byłoby sto razy lepiej żyć w zgodzie, niż drzeć z nim koty — dodał w końcu, — no, ale skoro się raz włożyło między wrony, trzeba krakać, jak i one. Wiesz pan, jabym się nie założył teraz o to, czy on nam wszystkim jakiej fimfy nie puści i Sandsteina z nami wszystkimi w kozi róg nie zapędzi. Jeszcze gdybyśmy byli mieli księcia i hrabiego, to kto wie, ale tak... ciężka będzie sprawa;

Budziły się w nim te same wątpliwości, co w Płonicim, zaczynał i on być w swoim rodzaju pesymistą.

— Ten Sandstein za gorąco wszystko bierze i rzuca się zanadto, a my, panie, za nim idziemy, jak barany. Wziął nas!... prawda?

Łubski głową kiwnął i nosem pociągnął; po flakach i porterze zaczynał być ociężały i apatyczny, słuchał, nie odpowiadając.

— Bo co to, panie kochany, porywać się z motyką na słońce — przekładał mu Korczalski, — potem tylko kompromitacja, a my możemy wyjść jeszcze na tej sprawie, jak Zabłocki na mydle. Wiesz pan, panie Łubski, ja się na seryo namyślam, czy iść dalej z tym Sandsteinem, czy go puścić samego. To ryzyko. Taki hrabia miał nos, że się w porę wycofał, co?... prawda?...

Bernard ani przypuszczał nawet, że w łonie opozycyjnego stronnictwa przygotowywała się coraz większa opozycja, ale przeciw niemu samemu i projektom, które dwa tygodnie temu uważane były za obowiązek obywatelskiego poczucia.

Odstępstwo Płoniciego podziało demoralizującą na większość, chociaż ta większość, podobnie jak Korczalski, niewiele zdawała sobie sprawy z tego, w czym właściwie ubytek hrabiego i księcia zaszkodzić może faktycznie powodzeniu rozporządzonej kampanii.

## H.

Pomimo zapewnień lekarza, że choroba Sewerka mieć będzie lekki przebieg, odra rozwinęła się nader silnie; chłopak chwilami wyglądał, jak rozpalona cegła, wpadał w stan zupełnej apatyi i zdawał się być nieprzytomnym.

• Jakby przez sen powtarzał jeden wyraz szeptem:  
— Mama... mama...

Z polecenia Bernarda, bona codziennie posyłała biuletyny o zdrowiu dziecka do swojej pani, z właściwym Niemkom sentymentalizmem; zabarwiając styl cytatami z Schillera i Goethego, które często ni przypiąć, ni przyłatać się dawały do przedmiotu.

Pisała np.: „Bogowie wiedzą, jaki los przeznaczony tej biednej istocie, której ach! ja nieszczęsna zastępować teraz muszę szanowną jej matkę. Kto chleba swego we łzach nie spożywał, kto w płaczu długich nie przepędzał nocy, ten nie zna was, niebieskich Mocyl...”

„Co do wiktów dla mnie i dla dziecka, muszę powiedzieć, że nie można mu nic zarzucić; przynoszą go nam w manezkach codziennie od starszych pań-



stwa w takiej obfitości, że doprawdy nie wiem, jak sobie to wytłómaczyć. Nie przypuszczam, ażeby mnie uważano w tym szanownym domu za żarłoka, pochłaniającego całe barany i cielęta, zamienione w kotlety i pieczenie.

„Sewerek dostaje codziennie rosół, czasem kaszkę na bułonie i herbatę z biszkopcikiem, ale nie-szczęśliwe dziecko dzióbie tylko, jak ptaszek, to marne pożywienie.

„Szanowna babka jego, starsza pani Sandstein, regularnie odwiedza nas dwa razy dziennie, aby naocznie przekonać się o stanie zdrowia swego drogiego wnuka. Ciotka Resia, szanowna siostra pana Bernarda, była raz tylko i to zatrzymała się jedynie we drzwiach, nie wchodząc do pokoju, gdyż jak uważałam, obawia się chorób zaraźliwych, tem bardziej, iż w dzieciństwie swoim sama odry nie przechodziła.

„Ostrożność nigdy nie zawadzi.

„Ufajmy Mocom niebieskim, że nas pocieszą wkrótce i zdrowie wróca chorej dziecinie, która tęskni do Szanownej Pani niewymownie, przez sen nawet przywołując Ją do siebie!

„Co do Szanownego małżonka Szanownej Pani wyrazić winnam najwyższe moje uznanie i podziw dla obowiązków ojcowskich i czułości, z jaką troszczy się o dziecko, każdą wolną chwilę spędzając przy jego łóżku, pomimo jakichś bardzo ważnych i kłopotliwych zajęć w tym czasie, które, jak uważam, sprawiać mu muszą wiele przykrości.

„Gorączka dzisiaj 38, ból głowy i jęczyzek jednak obłożony; herbatka bez wszystkiego na

śniadanie. Doktor kazał dawać łyżeczkę wina dla wzmocnienia.“

W ten sposób pisywane były wszystkie listy, w których Madame Kraut zdawała Toli sprawę z każdego dnia przedłużającej się choroby Sewerka.

Warunki, w jakich ten niespodziewany wypadek zaskoczył rozłączone małżeństwo, wytwarzały kolidyję dla obojga nader drażliwą.

Obowiązki matki powoływały Tolę do dziecka, którego stan wymagał jej obecności, stosunek z mężem nie widzianym od lat kilku stawał wszelako na przeszkodzie temu.

Nie wiedziała co począć i jak pogodzić z sobą te sprzeczności; unikała od chwili rozejścia się z mężem spotkania z nim, a zwłaszcza z jego rodziną.

Położenie było krytyczne; żądać od Bernarda wejścia do jego domu w okolicznościach wprowadzie tak wyjątkowych nie chciała przez jakąś dziwną drażliwość, która leżała w jej naturze, on sam zaś ani jednym słowem nie ośmielał, ani zachęcał jej do tego.

Czekał, ażeby pierwsza się odezwała.

Był przekonany, że na samą wiadomość o zachorowaniu Sewerka, głos macierzyństwa zagłuszy w żonie wszelkie skrupuły i sprowadzi ją ze wsi zaniepokojoną o dziecko; byłby jej drzwi swego domu na oścież otworzył i stłumił w sobie wszelki żal i wszelkie urazy z przeszłości.

Dni jednak mijały jeden po drugim, a z Grzędów nie odzywano się do niego; korespondencja toczyła się jedynie z boną.

Na dwa dni wreszcie przed walnem zgromadzeniem akcyonaryuszów „Postępu,” w chwili największego rozgorączkowania i rozdrażnienia sprawą, w której złożył tyle dobrej woli, starań, trudów i ambicyi, a której rozstrzygnięcie stało się tak problematycznym, posłaniec z Hotelu Europejskiego przyniósł mu bilecik, zaadresowany ręką Toli.

Pisała do niego krótko:

„Jestem w Warszawie, pragnęłabym zobaczyć dziecko i zapytuję, czy i kiedy wolno mi będzie odwiedzić je jak najrychlej. Tola.“

Nad monogramem złociła się hrabiowska korona.

W pierwszej chwili instynktowym ruchem sięgnął Bernard po kapelusz i kierował się śpiesznie ku drzwiom; przyszła mu myśl, żeby osobiście zanieść odpowiedź żonie do hotelu i mimo wszystko powitać ją przez szacunek należny kobiecie i matce jego syna, ale rzuciwszy raz jeszcze okiem na bilet żony, wstrzymał się w tym pierwszym porywie.

Ten suchy, lakoniczny, oziębły ton jej listu ostudził jego dobre zamiary.

— Dumna i nieprzystępna, jak dawniej—pomyślał;—po co mam się narzucać?... wszak najwyraźniej pragnie tylko zobaczyć dziecko, nie mnie. Dla mnie nie znalazła ani jednego słowa.

Ściągnął brwi i ze smutkiem przebiegł oczyma pismo Toli, potem wrócił do swego biurka, wyjął z teki arkusik papieru listowego i skreślił na nim tych słów kilka:

„Pani, dom mój w każdej chwili jest otwarty dla...“

Zatrzymał się i szukał odpowiedniego wyrażenia; chciał, aby ono najlepiej określiło charakter, w jakim jedynie żona jego mogła po kilku latach przestąpić próg dawnego ich mieszkania.

Umoczył pióro i dopisał w dalszym ciągu: „dla matki mego chorego dziecka. Bernard.“

Przy położeniu adresu zawahał się znowu; nawsuwała mu się powtórnie jedna z tych subtelnych drażliwości, które wytwarzał ich stosunek niezdecydowany.

Zastanawiał się, jakie ma dać nazwisko kobiecie, która z nim nie żyje, ale prawnie jest dotąd jego małżonką, nie zażądawszy rozvodu do tej pory.

Rozeszli się przecież tylko za dobrowolną ugodą, nie zwróciwszy sobie całkowitej wolności, należeli zatem do siebie wobec Boga i litery prawa.

Wziął kopertę i zaadresował: „Jaśnie Wielmożnej Toli z hr. hr. Małowolskich Sandstein,“ ale ten tytuł wydał mu się zbyt pretensjonalnym i niestosownym.

Wśród chaosu myśli, które mu głowę zapełniały, myśl o żonie przeciskała się, potracając nieustannie inne, nie mające z nią żadnego związku.

— Jakże ja mam ją nazwać?— pytał sam siebie, a w przeładowanym umyśle wydawało mu się to proste pytanie zagadnieniem trudnem do rozwiązania.

Włożył swój list do świeżej koperty, zakleił ją i poszedł do pokoju Sewerka, przy którym czuwała nieodstępnie bona.

— Ciesz się, kochanku, mama przyjechała — zwrócił się do dziecka,—zaraz tu przyjdzie do cie-

bie. Trzeba, żebyś był grzecznym i wyzdrowiał szybko, ażeby mamy nie martwić.

Chłopak otworzył zmęczone oczy i skierował je na ojca.

— Mama?... — szeptał — gdzie mama?... ty kłamiesz, wy oboje z Madame kłamiecie zawsze.

— Ależ Sewerek, nie mówi się: kłamiecie,—upomniała go dbająca o przyzwoitość Madame Kraut.

Sewerek zrobił minkę zadąsaną.

— Zawsze mi pani obiecuje i obiecuje, że mama przyjedzie, a człowiek się chyba tego nigdy już nie doczeka.

Ten ton, z jakim ów mały „człowiek“ skarżył się, że go zwodzą, miał jakiś dziwny odcień powagi i komizmu.

Bernard pogłaskał dziecko po głowie i rzekł:

— Zobaczysz dzisiaj, że ojciec mówi prawdę; mama tu przyjdzie do ciebie lada chwila,—a zwracając się do bony i podając jej list w kopercie, dodał:

— Proszę to zaadresować do pani i oddać posłańcowi w przedpokoju.

Niemka popatrzała na niego zdziwiona, jakby nie rozumiała dobrze polecenia i spytała:

— *An die gnädige Frau?*...

— *Ja wohl*,— odpowiedział jej i odwrócił się do Sewerka, który usteczka w podkówkę wykrzywił i na pół płaczkliwie mówił:

— Ja nie chcę, żeby mnie ciągle zwodzili. Kiedy mama przyjechała, to gdzie jest?... no, gdzie jest?... a widzisz, że to nieprawda. Mama tu przecież nigdy nie przyjeżdża, tylko ja sam przyjeż-

dżam do ciebie... Ale ja nigdy więcej bez mamy już nie przyjadę, jak wyzdrowieję. Mnie tu smutno chorować bez mamy...

Bona wróciła z przedpokoju z uradowaną miną i po niemiecku zaczęła uspokajać swego pupila, że mama tym razem na seryo przyjechała i jest w hotelu, że ją zobaczy dziś z pewnością.

Dziecko wodziło oczyma od bony do ojca i nie wiedziało, czy ma uwierzyć ich zapewnieniom.

— A dlaczego mama tutaj wprost nie zajechała, tylko wpierw do hotelu? — spytało z tą dziecięcą logiką, która niekiedy bywa tak bardzo kłopotliwą dla starszych.

Bernard podniósł się z westchnieniem z krzesła przy łóżku i odparł:

— Dlatego, że musiała się wpierw przebrać.

Ale ta odpowiedź nie wydała się widocznie wystarczającą Sewerkowi; popatrzał na ojca z pod oka i szepnął:

— Także!... niby to tutaj nie mogła?...

Podparł swą bródkę na dłoni i siedział, oparty o poduszki, z miną zafrasowaną, odwrócony do ściany, rozmyślając nad tem, czy też ta mama na prawdę przyjechała, czy też go tylko dalej okłamują.

Ojciec jego wydał bonie jeszcze kilku poleceń, ucałował go w główkę i wyszedł do swego gabinetu, zamykając drzwi za sobą.

Spojrzał na zegarek i obliczał, w jak najkrótszym czasie będzie mogła Tola przybyć z hotelu.

Nie był zdecydowany, co ma zrobić z sobą: wyjść, czy zostać w domu?... czuł się jakimś nie-

spokojnym, rozdrażnionym, wykolejonym ze swojej zwykłej równowagi.

Ta wizyta tak nagła i niespodziewana spadała na niego, jak powódź.

Zły był na siebie, że poddaje się zanadto wrażeniu, które było silniejsze, niż przypuszczał.

— Ostatecznie—przekładał sobie,— między nami wszystko już skończone; jesteśmy dla siebie ludzie obcy, którzy rachunki swoje zamknęli i nie mają wzajem żadnych pretensyi. Przyjdzie, zabawi czas jakiś i odjedzie znowu. Przypadek nas sprrowadza, nie dobra wola. Możemy nawet nie widzieć się z sobą, i to byłoby najlepiej.

Przyszło mu jednak na myśl, że niepodobna będzie uniknąć tego spotkania ze względu na służbę, domowników, doktora, z którym zapewne Tola zechce się zobaczyć.

Po co skazywać się samoświadcząc na ludzkie języki, na domysły i komentarze?..

Żałował teraz, że kazał bonie zaadresować list; nie umiał sobie zdać dobrze sprawy z tego, dlaczego to uczynił.

Nie wiedział, jak nazwać własną żonę?... dzieciństwowol... cały świat ją przecież nazywał dotąd panią Bernardową Sandstein.

Ten drobny szczegół przekonał go tylko, że jest zmieszany, roztargnionym, że przestaje panować nad sobą.

Otrząsnął się, wyprostował, głowę podniósł do góry i próbował wrócić do normalnego stanu.

Nie przychodziło mu to jednak tak łatwo.

Stał, jak na rozżarzonych węglach, oczekując przybycia Toli i liczył sekundy za sekundą.

Dwa serca przedzielone ścianą były przyspieszonym tętnem jednakiego wyczekiwania: serce ojca i serce dziecka.

Nareszcie po upływie półgodziny odezwał się dzwonek elektryczny; stary służący, uprzedzony o przybyciu pani, stał w przedpokoju i czekał także.

Z niskim ukłonem wprowadził ją przez mały salon do pokoju, wskazując drogę i odpowiadając na pytania, które mu zadawano.

— Zdaje się, że paniczowi dziś lepiej; doktor był wczoraj nad wieczorem i ma być po siódmej... Pani Kraut jest przy dziecku, jak zwykle... Czy jaśnie pani okrycia nie zdejmie?...

Zatrzymała się w progu i szybkim ruchem zrzuciła z siebie pluszową narzutkę, podszytą ałtąsem, aby nie wchodzić do chorego dziecka z zimnem powietrzem wprost z ulicy.

— Mama! mama! — rozległ się radosny krzyk Sewerka, który odrzucił kołderkę i chciał już na powitanie wyskoczyć z pośłania; widok matki dodał mu nagle sił, ale tylko na chwilę; osłabione nóżki odmówiły posługi i załamały się pod nim, upadł na łóżko, poczerwieniał, jakby po wielkim wysiłku, i przymykając powieki, szepnął żałośnie:

— Nie mogę... nie mogę... Widzi mama, jaki ja do niczego!... to nie tak, jak w Grzędach.

Potem ujął w swoje drobne, chude dłonie jej rękę, przytulił do niej swą twarzyczkę i całując ją spieczonemi usteczkami, powtarzał:



— Dobrześ zrobiła, żeś przyjechała, mamó, do-  
brześ zrobiła!...

Uklęka przy jego łóżku i wpatrywała się w nie-  
go, szukając zmian, jakie choroba wywołała.

Serce jej tłukło się w piersiach, jak zdyszany  
ptak w klatce, głosu jeszcze dobyć nie mogła; szła  
po schodach tak szybko, że jej oddechu złapać by-  
ło trudno.

— Moje dziecko... moje dziecko—zaczęła wresz-  
cie urywanemi słowy:— jakże ty się miewasz?... co  
cię boli?... bardzo jesteś osłabiony?...

Sewerek nic nie odpowiadał, przyciskał tylko  
twarzyczkę z całych sił do ręki matczynej, jakby  
się obawiał, żeby mu jej znowu nie zabrali, i błysz-  
czącemi oczkami spoglądał na nią.

Bona zaczęła opowiadać o przebiegu choroby  
i o opinii lekarza, wyrażając radość, że pani raczy-  
ła nareszcie przybyć.

— Mnie już nic nie boli, nic... ja już zdrów je-  
stem — wmieszał się do rozmowy malec,— jak cię  
kocham, nic mnie boli, tylko sił nie mam, aby się  
podnieść, ale pan doktor powiada, że za dwa tygo-  
dnie to już będę mógł znowu wstawać i nawet na  
koniu jeździć, jeżeli potrafię. Zobaczysz, że ja po-  
trafię!... jeżeli nie na takim żywym, to na takim  
drewnianym. Ten tatuś, ten tutejszy tatuś —  
wiesz?... to mi obiecał kupić większego konia ode  
mnie, jak tylko wyzdrowieję!...

Po raz pierwszy wspomnienie o tatusiu naprowa-  
dziło myśl Toli na Bernarda; na chwilę zapomnia-  
ła była, że znajduje się w jego domu, w ich wspól-

nym niegdyś domu, w którym szczęścia nie dała ni jemu, ni sobie znaleźć go nie potrafiła.

— Cicho, cicho, Sewerku, nie mów tak dużo, zmęczysz się! — przerwała dziecku; głos jej drżał, oczyma wodziła nieśmiało po pokoju, jakby szukała kogoś więcej, oprócz bony, a przekonawszy się, że są tylko same we dwie przy dziecku, podniosła się z ziemi i usiadła na łóżku przy Sewerku.

Nie domyślała się, iż za bocznymi drzwiami, osłoniętymi kotarą, o kilka kroków tylko od niej, w gabinecie swoim stoi Bernard i łowi uchem każdy wyraz rozmowy jej z dzieckiem; nie powiedziało jej nic przeczucie ani instynkt.

Uważała jego nieobecność za objaw delikatności i uznała to za rzecz całkiem naturalną.

On zaś nie śmiał się poruszyć za drzwiami, aby się szelestem nie zdradzić.

Stał i słuchał.

Głos żony, którego od lat kilku nie słyszał, wydawał mu się jakiś miękniejszy i rzewniejszy, gdy przemawiała do Sewerka. Ciekawy był zobaczyć, czy się zmieniła i jak wygląda, ale nie śmiał ująć za klamkę i wejść do pokoju; wstrzymywało go coś i odciągało ode drzwi.

Wahał się pomiędzy dwoma uczuciami, ale nie ruszał się z miejsca.

Nasłuchiwał, czy z tej rozmowy matki z dzieckiem nie wpadnie mu w ucho choć jeden wyraz, któryby go ośmielił do otworzenia drzwi i wejścia do przyległego pokoju.

Ale wyrazu takiego nie dosłyszał.

Tola widocznie unikała jakby umyślnie wzmianki o nim w rozmowie z Sewerkiem; ośmielona nieobecnością męża, nabierała powoli coraz więcej swobody, mówiła głośniejsz i wypytywała bonę o szczegóły, dotyczące kuracyi dziecka.

— Czy doktor nie wspominał o tem, jak długo może jeszcze potrwać ta choroba? — zapytała po niemiecku panią Kraut.

— Jeżeli się nie pogorszy, powiada, że co najmniej dwa do trzech tygodni będzie musiał Sewerek pozostać w łóżku.

— Dwa do trzech tygodni?...

— Nie inaczej; a potem i tak niepodobna go od razu wywozić na wieś. Broń Boże zaziębienia...

— Ach, nie przypuszczaj nawet pani czegoś podobnego! — przerwała jej. — Sewerek musi zupełnie wyzdrowieć.

Dziecko zaczęło zcicha płakać.

Otoczyła je ramieniem, okryła kołderką i przytuliła do siebie z macierzyńską czułością.

— Czegoż ty płaczesz?... co ci jest?... boli cię co?... — pytała; — powiedz ma musi, no, powiedz!

Chłopak się jeszcze bardziej rozżalił.

— Ja... ja nie chcę tak długo w łóżku leżeć... ja chcę wstać... ja już jutro wstanę. Teraz, kiedy mama przyjechała, ja chcę być zdrów. Ja to zaraz powiem panu doktorowi, żeby mi wstać pozwolił; ja przecież jestem grzeczny, lekarstwo piję co godzina, chociaż takie nie dobre, — piję i nic nie mówię, prawda Madame?...

Zmrok zapadał.

Bernard zawsze jednako niezdecydowany stał u drzwi i rozmyślał.

Ten głos kobiety, która w jego życiu odegrała rolę tak ważną, choć całkiem bierną, która była wprawdzie matką jego dziecka, ale nie umiała być dla niego żoną, towarzyszką, współniczką jego życia, z którą rozstać się musiał, widząc na każdym kroku niesmak, zawód, poświęcenie w związku, skojarzonym bez udziału serca z jej strony, — ten głos jednak dziwne sprawiał na nim wrażenie.

Słuchał go i właśnie dlatego, że tylko słuchał, że nie widział przed sobą ani tych dumnych ust, ani tych oczu dużych, czarnych, głębokich, w których nadarmo szukał dla siebie choć błysku uczucia, ani tej całej postaci wyniosłej, zawsze nieco sztywnej i imponującej w jego obecności, właśnie dlatego samo brzmienie tego głosu pełnego, dźwięcznego o altowym nieco odcieniu, sprawiało mu pewną przyjemność; słuchał go, jak szlachetnego instrumentu, i po raz pierwszy robił nad nim w duchu uwagi, które mu dawniej na myśl nie przychodziły.

W przedpokoju dały się słyszeć kroki służącego.

Bernard, jakby się zawstydził swej dwuznacznej pozycji pode drzwiami, szybko ale na palcach cofnął się po dywanie ku biurku i udał, że stoi nad niem zamyślony.

Błask lampy rozproszył zmrok, zalegający już gabinet.

Służący spojrział na pana swego z pod oka i jakby się zdziwił, że go tu samego zastaje o szarej godzinie, pokręcił nieznacznie głową, lampę posta-

wił na stoliku i podszedł ku oknom, by pozapuszczac story.

Miał widocznie jakieś zapytanie na ustach, lecz nie wiedział, jak zacząć.

Pokręcił się po pokoju i zmierzając już ku drzwiom, zatrzymał się, podrapał w głowę i odważył się nareszcie spytać:

— Więc jakże to będzie, proszę pana?...

Bernard ocknął się i niechętny do rozmowy w tej chwili, przeszedł do ciemnego salonu; unikał tego, aby się głosem zdradzić ze swojej obecności przed Tolą.

— Z czym? — zapytał nawzajem starego sługę, który za nim podążył.

— A no, czy się pójdzie po rzeczy jaśnie pani do hotelu, czy jak?... bo nie wiem, czy przygotować który pokój na sypialnię, czy nie?

Nie przypuszczał nawet, jak niezręcznie wyrwał się z takimi pytaniami i jak nie w porę zadał je swemu panu; spostrzegł się też dopiero, że źle trafił, kiedy go Bernard prawie szorstko ofuknął, aby się do nieswoich rzeczy nie wtrącał.

— Pani nie przyjechała do nas z wizytą, tylko chciała zobaczyć dziecko i zapewne dziś jeszcze odjedzie na wieś, — dodał, jakby na usprawiedliwienie.

— To co innego, bo ja myślałem, że przecież...

— Nie trzeba myśleć o tem, co do kogo nie należy.

— No ja wiem, ale zawsze — próbował się tłumaczyć stary sługa, który pojąć nie mógł przyczyny złego humoru swego pana, znał go przecież

z kawalerskich jeszcze czasów i zdawało mu się, że tak, jak w rzeczach służby, umie wszystkie jego myśli odgadywać.

Skonfundowany wyszedł z salonu i mruzczał do siebie:

— Cóżby w tem złego było, gdyby tu nocowała?... przecież zawsze jest żona, nie co innego. Taką Szwabica może tu mieszkać, a tamta ma się po hotelach tułać?... Zresztą, co mi do tego, niech sobie robią, co zechcą.

Markotny był jednak, że mu się tak źle udało.

Sytuacja, w jakiej się znajdował, rozdrażniła Bernarda; nie wypadało mu wyjść z domu teraz, kiedy wiedział, że Tola bawi obok, nie wypadało wchodzić do pokoju Sewerka, skoro od razu tego nie uczynił, i nie wypadało przez ścianę tylko siedzieć w swoim gabinecie, nie dając znaku życia o sobie.

Chodził po salonie dużymi krokami, które głuszył dywan rozestany na całej posadzce, i czekał, nie wiedząc dobrze sam czego.

Chwile upływały, zmierzch coraz większy zapadał, na ulicach zapalano już latarnie, a przez okna salonu wpadał ich blask rudawy z zewnątrz i kładł się po suficie białym, przybranym w gipsowe sztukaterie.

W tym samym salonie przed laty kilku ostatnia toczyła się rozmowa między młodem małżeństwem, po której rozeszli się, jak przypuszczali — na zawsze.

Wówczas to on pierwszy ośmielił się jasno, otwarcie, szczerze powiedzieć jej wszystko, co miał

zamknięte w swojej duszy i nie wahał się odsłonić nagiej prawdy na określenie ich wzajemnego stosunku... Nie kochała go i nie mogła pokochać, przymuszała się do obowiązków, które jej zanadto ciążyły; odwieczny przesąd tkwił między nimi klinem, którego on całym swym postępowaniem wy dobyć nie mógł, a ona wyrozumiałością i taktem usunąć nie potrafiła.

Chociaż mu tego nigdy nie powiedziała otwarcie, małżeństwo swoje od samego początku uważała za mezalians, do którego skłoniły ją tylko okoliczności; jej nieugięta, niepodległa natura cierpiała w owym związku, wbrew starym przesądom i kastowej tradycji, zawartym dla interesu.

Arystokratka z rodu i instynktów poślubiła syna parweniusza, przechrztę, musiała wejść w sferę dla siebie obcą, w rodzinę, której wszystkie rasowe cechy pokryte i zacierane towarzyską ogładą, raziły ją jednak tem bardziej, im bardziej zacieśniać się miały zawarte z nią związki.

Była ofiarą ludzi samolubnych, którzy ją do tego małżeństwa dla własnych głównie korzyści skłonili; uległa namowom i chwili słabości, ale nie umiała poddać się dalszym konsekwencyom tego kroku, nie umiała przystosować się do sytuacji i pogodzić z losem.

Nie mogąc dobrocią i delikatnością oswoić i pozyskać tej dumnej natury, nie chciał jej Bernard ujarzmić przemocą i robić z niej niewolnicę.

Pomimo żalu, jaki miał do niej, zbudziło się w jego sprawiedliwym sercu i współczucie dla tej egzotycznej istoty, która przesadzona na inny

grunt, w inną sferę przeniesiona, nie umiała się zaaklimatyzować w niej.

Zamiast żyć obok siebie w tych głuchych męczarniach przymusu, wolał zaproponować jej sam rozstanie; chociaż nie mógł zwrócić jej całej wolności, zwrócił przynajmniej swobodę urzędzenia sobie życia tak, aby w danych warunkach najmniej jej ciążyć mogło.

Skoro nie brała w rachubę jego osobistej wartości, jako męża i człowieka, ale widziała w nim ciągle i zawsze tylko owo ogniwo, które przykuwało ją do rodziny Sandsteinów i do sfery Sandsteinów, niepodobna było spodziewać się, aby nabrała dlań miłości i tych uczuć ciepłych a głębokich, bez których żadne małżeństwo poza granicami konwenansu światowego szczęśliwem być nie może.

Wszystko to, setki razy przemyślane i rozebrane w umyśle Bernarda, przyszło mu teraz znowu do głowy, kiedy chodził po ciemnym salonie, przedzielonym tylko gabinetem od tego pokoju, w którym dwie istoty, co powinny mu były być najbliższe, najdroższe, najukochańsze w życiu, które tego życia osłodą i okrasą być miały — stały się dlań tak obce i nieprzystępne nie z jego przecież winy, że nie śmiał swobodnie przekroczyć progu, który ich z sobą rozgraniczał.

Jako ojciec, musiał się zadowalać tylko tytułem ojcowstwa i prawami do dziecka, wychowywanego odeń zdala; jako mąż, pozbył się dobrowolnie wszelkich praw, które mu przysługiwały, aby z nich przemocą nie korzystać.



I co miał za to?... czem mu życie wynagrodziło owe ustępstwa?...

Ta połowiczność stosunku, jaki zachodził między nim a jego żoną i dzieckiem, mściła się fatalnie; przystawszy na separację, rozluźnił tylko węzły, jakie małżeństwo zadzierzgnęło, ale ich nie rozwiązał.

Czekał, czy żona nie zażąda rozwodu, bo sam dla siebie go nie pragnął.

Unosił się szlachetnością i ambicyą, w której chciał ostatni jeszcze dowód swej delikatności złożyć Toli; ona zaś, czując to dobrze, ze swej strony nie chciała znowu zadać mu tak przykrego ciosu i upokorzyć go żądaniem rozwodu.

W tem wysubtylizowaniu względów, jakie jedno dla drugiego zachować pragnęło, tkwił powód najważniejszy smutnej doli, którą oboje dźwigali z osobna, wyrzekłszy się na razie wszelkiej rekompensaty szczęścia, jakieby im się w życiu należeć mogło.

On przynajmniej z pustego domu swego, w którym żył, jak samotnik po wyjeździe Toli, wyszedł na arenę publiczną i znalazł sobie cele szersze, społeczne, znalazł kierunek, który mu ułatwiał zużytkowanie energii, marnowanej dotychczas w bezczynności, wmieszał się w akcyę, w której choć część swoich idei mógł urzeczywistniać,— ale ona, ona zamknięta na wsi, odosobniona od świata, ni mężatka ni rozwódka, za dumna, aby się narażać na towarzyski ostracyzm, za uczciwa, aby szukać ukradkiem wypełnienia tej próżni, jaka powstała w jej życiu, ona podobną była do głowni, wyrzu-

conej z ogniska, która ani płomieniem zająć się nie może, ani zgasnąć całkowicie, i dlatego, wewnątrz trawiona żarem, pokrywa się tylko z wierzchu warstwą popiołu.

Za nic w świecie nie byłaby zdradziła się przed kimkolwiek z tych wszystkich wewnętrznych rozterek, które ją skrycie nurtowały, ale czuła je tem bardziej, im bardziej tłumić je w sobie musiała.

Przez owych kilka lat rozłąki z mężem, nie było prawie dnia, aby nie myślała o nim; nie kochała go nigdy, ale nie mógł zobojeźnieć dla niej tak, aby go zapomnieć mogła zupełnie.

Rozpatrując teraz swoje krótkie z nim pożycie, oddzielała go coraz więcej od tła, na którym dawniej się jej rysował; w tej odległości i perspektywie przedstawiał się jej Bernard trochę inaczej, niż Bernard Sandstein, siostrzeniec natrętnej ciotki Voss, syn spanoszonego finansisty i próżnej a sztywnej Żydówki, udającej wielką damę w swoich zbytkiem przeładowanych salonach.

Nie miała mu osobiście nic do zarzucenia,—przeciwnie, musiała tylko z uznaniem wspominać o jego delikatności aż do zaparcia posuniętej, o szacunku, który jej okazywał i takcie, którego dawał zawsze dowody.

Musiała cenić jego szczerłość i stanowczość, z jaką postawił kwestyę ich dalszego pożycia, ale w tym jedynie punkcie czuła do niego jakby cień urazy za to, że przewyższył ją swoją prawością. Uczynił to, na co ona zdobyć się nie potrafiła, jako kobieta i żona niekochanego męża: pierwszy zaproponował jej rozstanie i wypowiedział w oczy

całą nieszczęsną prawdę, która ich zbliżeniu na przeszkodzie stawała.

A mimo to, że postąpił z całą oględnością, oszczędzając o ile się dało jej drażliwość i miłość własną, pomimo tego, czuła się jak gdyby upokorzoną tem, iż słowom jego, pobudkom i argumentacyom musiała wówczas przyznać bezwzględną słusność.

Niemniej całe jego postępowanie późniejsze, zachowanie się przy regulowaniu spraw majątkowych, odesłanie jej dziecka, którego zwrotu zażądała, było nacechowane taką bezinteresownością i poczuciem honoru, że zasługiwało tylko na najwyższe uznanie i szacunek.

Bywały chwile, że chciała koniecznie doszukać się w tem wszystkim choć jednego rysu, któryby mógł ją zrazić do niego i obniżyć tę wyższość, z jaką górował nad nią, lecz daremnie.

Ilekróć stawał w jej myślach, doznawała jakby pewnego uczucia zakłopotania, na które nie chciała narazić się w rzeczywistości przy spotkaniu z nim kiedykolwiek, i dlatego unikała tego spotkania od czasu opuszczenia jego domu.

Z tej samej przyczyny namyślała się tak długo, czy ma odwiedzić chore dziecko pod dachem męża, i nie mogła powziąć stanowczego zamiaru; ale poczucie macierzyństwa i głos obowiązku przemożły wreszcie wszelkie skrupuły i drażliwości.

Pojechała i pierwsza odezwała się po latach milczenia.

Przewidywała wprawdzie kollizję, jaką jej ta wizyta w domu Bernarda zgotuje, ale liczyła na

doświadczoną tylokrotnie delikatność jego i nie zawiodła się.

Dyskretnie usunął się i pozostawił matce wolne miejsce przy łóżku chorego dziecka.

Nie przyszło mu to tak łatwo.

Chodził tam i napowrót po salonie, a im dłużej rozmyślał nad swoją sytuacją, tem bardziej czuł się rozdrażnionym i rozstrojonym; obecność żony tak długo niewidzianej działała na niego pomimo jego woli i wytrącała go z zachowywanej dotąd równowagi.

Wszedł znowu do swego gabinetu i zbliżył się do drzwi zamkniętych; za drzwiami było cicho...

Nasłuchiwał czas jakiś i nie usłyszał niczyjego głosu; żaden szelest nie odezwał się z drugiego pokoju.

— Czyżby już odeszła? — pomyślał.

Przyłożył oko do dziurki od klucza i zaglądnął ostrożnie.

Pokój wydawał mu się pustym; oświecony był tylko lampą pod zielonym abażurem.

Na chwilę przeszła mu myśl przez głowę, czy przypadkiem Tola przy pomocy bony nie wpadła na pomysł zabrania ztąd chorego dziecka i wywiezienia go do hotelu.

— Nie, to byłoby szaleństwem! — mówił sobie dla własnego uspokojenia, ale serce mu zabiło gwałtowniej i krew uderzyła do skroni.

Położył rękę na klamce i delikatnie ją nacisnął; drzwi otworzyły się cicho, bez skrzypnięcia.

Zrobił krok naprzód i stanął prawie oko w oko

z tą, której zobaczenia tak bardzo pragnął i unikał zarazem.

Przy łożku na niskim stołeczku siedziała Tola, zawsze jeszcze w kapeluszu na głowie i w rękawiczkach, gotowa w każdej chwili do wyjścia; głowę miała podpartą na jednej ręce, drugą trzymała za rączkę dziecko, które zmęczone powitaniem i rozmową z matką, po wysiłku za wielkim na jego wątki i gorączką osłabiony organizm, zapadło w drzemkę.

Chłopak w obu dłoniach trzymał rękę matki z obawy, aby nie odeszła i nie zostawiła go znowu samego; zaczerwienione od płaczu powieki miał tylko przymknięte, oddychał ciężko i płakał przez sen.

Znalazłszy się tak niespodzianie naprzeciw żony, Bernard w pierwszej chwili zrobił ruch żywszy i jakby się chciał usprawiedliwić przed nią ze swojej obecności, wymówił nieco głośniejsze słowo, które mu bez myśli na usta przyszło:

— Ach, przepraszam...

Tola podniosła głowę, spuszczoną w zamyśleniu, drgnęła, oblała się rumieńcem, ale instynktownie pozostała na miejscu; przyłożyła tylko palec do ust i szepnęła:

— Pst!... usnął przed chwilą.

Oboje w milczeniu przypatrywali się sobie, nie śmiąc przemówić przez wzgląd na śpiące-dziecko.

Sewerek przez sen westchnął z bolesnym jękiem, co odwróciło oczy Toli od męża; nachyliła się nad swoim chorem biedactwem i wyczekiwała, czy oczu nie otworzy.

Bernard po cichu wycofał się z pokoju i na palcach wszedł znowu do swego gabinetu, ale drzwi za sobą już nie zamknął; usiadł na małej kozetce, nogę założył na nogę, ręce splótł na kolanie, głowę zwiesił i myślał, rzucając z pod oka nieustannie spojrzenia na żonę, którą widzieć mógł dobrze przez drzwi niedomknięte.

Obserwował ją z zajęciem; wydawała mu się bledszą jeszcze, niż była dawniej, szczuplejszą nieco i smutną, ale spokojną, jak posąg z alabastru.

W spokoju tym wszelako nie dostrzegał jakoś tej wyniosłości, która razila go dawniej chłodem i trzymała zdaleka, onieśmiala go.

Z twarzy jej, jak z białej, niezapisanej karty nie mógł nic wyczytać; siedziała zawsze w jednej i tej samej pozycyi i wpatrywała się w dziecko, nie odwracając głowy.

Niespokojny, gorączkowy sen Sewerka zdawał się ją jedynie zajmować.

Ale pozór ten był złudny; to niespodziane wejście Bernarda, to długie spojrzenie, które po kilku latach z sobą zamienili, ta chwila milczenia, która wymowniejszą może była od wszystkiego, coby sobie w innych warunkach powiedzieć mogli, sprawiła i na niej wrażenie głębokie.

Myślała tylko o nim teraz.

Choć nie patrzała na niego, czuła jednak dobrze wzrok jego, skierowany na nią z drugiego pokoju, jakby te oczy miały własność dotykania spojrzeniem.

Instynktownie, mimowoli próbowała jak naj-

ostrożniej wysunąć swą rękę z rozpalonych dłoni dziecka i uwolnić się od niego.

Sewerek zasypiał coraz głębiej.

Powolnym ruchem człowieka, skradającego się do ucieczki, podnosiła się z siedzenia, unikając najmniejszego szelestu; wyprostowała się i jak cień po cichu, ostrożnie skierowała się ku drzwiom gabinetu.

Bernardowi serce silniej bić zaczęło.

W tej chwili dziecko przez sen zamajaczyło bolesnym głosem:

— Nie idź!...—ale oczu nie otworzyło i spało dalej.

Tola wsunęła się do gabinetu męża, dawszy znak bonie, aby miejsce jej przy łóżku zajęła.

Bernard podniósł się na jej spotkanie i szeptem spytał:

— Śpi?...

Skinęła głową potakająco i przez chwilę jakby się namyślała, czy wypada jej pierwszej to uczynić, podała mu rękę na powitanie.

Ujął ją w drżącą dłoń i uściśnął zlekka, potem niemym gestem wskazał jej fotel przy biurku.

Przeszła obok niego z głową spuszczoną i skierowała się ku ciemnemu salonowi.

Dorozumiał się, że nie chce prowadzić rozmowy w gabinecie, ażeby dziecka nie obudzić; wziął lampę ze stolika i poszedł za nią.

Pierwsza ich rozmowa przypadkowo miała się odbyć w tem samym miejscu, w którym toczyła się ostatnia.

Ta uwaga przyszła na myśl obojgu, gdy się zna-

leżli z sobą sam na sam, oko w oko po owych kilku latach rozłąki.

Tola powiodła okiem po salonie i spostrzegła, że się w nim nic a nic nie zmieniło; nawet wszystkie drobiazgi stały na tem samym miejscu, co dawniej; fortepian tylko był zamknięty i nakryty złotem przetykaną makatą, która jej przypomniała świekrę.

Od niej bowiem otrzymała ją w podarunku na gwiazdkę w pierwszym roku po zamążpójściu.

Usiadła w fotelu i odetchnęła głęboko.

Nie wiedziała od czego zacząć i czekała, czy się mąż pierwszy nie odezwie.

Upłynęła długa chwila milczenia, po której Bernard niepewnym głosem zagadnął ją:

— Jakże... jakże pani znajduje Sewerka?

— Bardzo zmieniony,— odrzekła.

— Doktor obawiał się, aby przy jego wątlej kompleksyi nie przyszło do silnego zapalenia oskrzeli. W zeszłym tygodniu stawiali bańki biedakowi.

— Pisała mi o tem pani Kraut.

— Po bańkach jednak polepszyło mu się znacznie; kaszle teraz już o wiele mniej.

— Bardzo skłonny do kaszlu, mimo to, że na wsi hartuję go, jak mogę; bona ma polecione zlewać go codziennie zimną wodą, ale...

Zdawało się, że ten przedmiot najłatwiej w danej sytuacji wypełni rozmowę między nimi, jednak oboje mieli myśli czem innem zajęte, pomimo rodzicielskiej troskliwości dla chorego dziecka.



— Sprawiałam panu duży kłopot niechący, — odezwała się znowu po chwilowej przerwie.

— Czem?

— A tą chorobą Sewerka.

Mówiła to tonem łagodniejszym, jakby się przed nim usprawiedliwić chciała.

— Przecież to wina przypadku—odrzekł,—któż się mógł tego spodziewać?

— Należało poczekać, aż się wiosna rozwinie i ociepli; musiały mu te ostatnie chłody zaszkodzić, chociaż wątpię, aby się w drodze zaziębił. Pani Kraut czuwa nad nim bardzo gorliwie i ma ode mnie szczegółowe dyspozycje zawsze, ilekroć z nim wyjeżdża.

Spuściła oczy i małym palcem wodziła po inkrustacjach hebanowego stołu, rozmawiając z mężem.

— Musiałbym na przyszłość ograniczyć się tylko do widywania Sewerka w ciągu lata — zaczął po chwili,— a i tak nie często go widuję.

— Staram się co parę miesięcy przysyłać go panu.

— Tak, ale ten czas wlecze się jednak bardzo długo i nie bez wpływów widocznych...

— Co pan chcesz przez to powiedzieć?...

Zastanowił się, jakby nie wiedział, czy ma się jaśniej wytłómaczyć.

— Dziecko odwyka ode mnie — rzekł ciszej, — staję się dla niego obcym... za każdym razem musimy poznawać się na nowo... a czas zaciera wrażenia.

Przyjęła to, jakby delikatny wyrzut dla siebie.

— Nie przypuszczasz pan chyba, abym Sewerka chowała bez... bez przypominania mu nieustannie o ojcu — odparła; — codziennie przy pacierzu modli się za pana i jest nawet tak nauczonym, że przed zaśnięciem życząc wszystkim dobrej nocy, posyła i osobne „dobranoc papie.“

Powiedziała to głosem nieco drżącym, jakby niechętnie, że musi się z tych szczegółów zwierzać.

— Nad jego łóżeczkiem wisi fotografia pańska — mówiła dalej, — aby miał na oczach rysy pańskie i nie zapominał... Cóż więcej mogę zrobić?...

Nie odrzekł jej nic na to, ale znać było, że te słowa były dla niego przyjemną niespodzianką.

— Gdy będzie starszy — zaczęła po chwili znowu, — zrozumie lepiej swój stosunek do pana, chociaż...

Zacięła się i nie dokończyła, chciała powiedzieć:

— Chociaż mu trudno będzie wytłómaczyć stosunek jego rodziców do siebie.

Ta myśl, że kiedyś przyjdzie chwila, w której się nadarzy konieczność wyjaśnienia dziecku powodów, dla których matka jego żyje w rozłące z ojcem, przychodziła jej już niejednokrotnie do głowy i zawsze tą samą głęboką brózdą fałdowała jej czoło.

Im bliższą ta chwila się stawała, tem cięższą zdawała się Toli i w tem większe wprawiała ją zakłopotanie.

Pytała sama siebie, co wówczas odpowie synowi swemu, gdy ją zagadnie:

— Matko, co uczynił mój ojciec, żeś odeszła z jego domu i żyć z nim pod jednym dachem nie mogła?...

A jeśli mu nawet nie zatai niczego i wypowiada się szczerze, czyż ów dziecięcy umysł, dojrzały już i rozumujący, przez jakąś logikę atawizmu nie stanie wówczas po stronie ojca i nie osądzi jej winną, nie spyta z żalem i goryczą:

— Jakto? i nic więcej, nic innego, tylko to, żeście byli potomkami dwóch różnych ras, dwóch różnych plemion, dwóch różnych sfer, rozdzieliło was i pozbawiło mnie, wasze jedyne dziecko, wspólnej opieki rodziców?... Mam ojca, którego nigdy nie widziałem przy tobie, którego odwiedzam tylko, jak dalekiego kuzyna, którego oboje nazwisko nosimy, a z którym nas nic więcej nie łączyło przez lat tyle dlatego tylko, że twój rodowy i kastowy przesąd stanął pomiędzy wami!... Matko, dlaczego nie pomyślałaś o tem wcześniej, nim się zgodziłaś zostać żoną mojego ojca i matką jego dziecka?...

Kiedy jej w samotnych zadumach na wsi takie myśli przychodziły do głowy, czuła się przygnębioną i nieszczęśliwą nad wyraz; zamykała się w swoim pokoju i płakała, ale przez dumę łez tych nikomu nie chciała pokazywać.

Teraz rozmowa z mężem przypomniała jej znowu tę ostateczność, która kiedyś w przyszłości była nieuniknioną.

Schmurzyła czoło i zamilkła.

Bernard jednak, jakby pod wpływem sugestyi odczuwać się zdawał ten sam temat, który ją w tej

chwili zajmował i z jakimś głębokim smutkiem odezwał się, powtarzając jej słowa:

— Gdy będzie starszy, może jeszcze mniej zrozumie swój stosunek do ojca i pomimo wszelkich starań ze strony pani, aby w nim uczucia synowskie dla mnie rozbudzić, wybierając pomiędzy nami, pójdzie... za matką.

Spuściła głowę jeszcze niżej i zmieszana spytała:

— Dlaczego pan to przypuszczasz?...

— Dlatego, że zacząłem wierzyć w moją fatalność,— odpowiedział jej z jakąś gorzką ironią, która mu na ustach osiadła; — dlaczego syn pani, przez panią wychowany, nie miałby przejąć się zasadami swej matki?...

— W tym samym stopniu jest przecież i synem pana,— szepnęła.

— Bez wątpienia, ale ta połowiczność wychowania i połowiczność wpływu na umysł dziecka musi oddziaływać jednostronnie. Zostawiłem go pani, boś tego zażądała, ale nie sądz, abym nie był świadomy ofiary, którą uczyniłem, i skutków, na jakie się narażam. Ja wiem to dobrze i przygotowuję się na to, że...

— Że co?...

— Że rozdział, jaki dziś między nami istnieje, powiększy się jeszcze bardziej i zemści się raz jeszcze na mnie, jako na ojcu Sewerka.

Drgnęła i rzuciła się w tył na fotelu, jakby dotknięta w najdrażliwszą stronę.

— Ja przecież tego rozdziału nie spowodziłam,— zastrzegła się żywo.

— I ja pani z tego zarzutu żadnego nie czynię— rzekł, — pamiętam dobrze każde słowo z naszej ostatniej rozmowy w tym samym salonie, na tem samem miejscu, jak gdybyśmy ją wczoraj dopiero prowadzili. Znając pani poczucie obowiązku, wiem dobrze, iż do tej chwili byłabyś pozostała w tym domu, ale jak w więzieniu, z którego otwartych drzwi nie byłabyś nawet skorzystała. Przodkowie pani bywali jeńcami na słowo honoru, i ta rycerskość pozostała także w naturze twojej... Umiałem to ocenić, ale nie umiałem z tego korzystać... Nie uznaję przymusu w uczuciach i dlatego musiałem się wyrzec nadziei pozyskania ich u pani, a obawiam się, abym tego samego nie musiał uczynić względem mojego dziecka... To mi nie wystarczy, aby Sewerek pamiętał tylko o czwartem przykazaniu i obowiązkach syna względem ojca, jeżeli nie potrafi mnie kochać sam, z własnego instynktu, dobrowolnie, ale gorąco, głęboko, prawdziwie, a do tego potrzebaby innych warunków jego wychowania i innych między mną a nim stosunków.

Westchnął i powstał z miejsca.

Tola siedziała zapatrzona w lampę i słuchała go na pozór spokojnie, ale powieki jej drżały nerwowo i nozdrza od czasu do czasu otwierały się szerzej, jakby chwytając powietrze.

— Jakkolwiek temat to bardzo dla nas obojga drażliwy — odezwała się po chwili namysłu, — wdzięczną jednak jestem panu, że go poruszyłeś; mamy oboje obowiązek porozumieć się z sobą na tym punkcie. Nie sądź pan, abym niebezpieczeństwa tego nie oceniała należycie i nie chciała mu

zaradzić... Owszem, jestem gotową uczynić wszystko, co trzeba będzie, abyś pan w swoich ojcowskich prawach nie był pokrzywdzony... Pamiętam o tem, upewniam pana, że syn należy do ojca i jeżeli żądałam, aby Sewerek chował się u mnie, to nie miałam zamiaru... przywłaszczać go sobie całkowicie; przez te pierwsze lata jedynie chciałam mieć go przy sobie, musiałam mieć przecież kogoś wyłącznie dla siebie, — dodała głosem cichszym i smutniejszym. — Później zmienić się to wszystko musi, wiem o tem; nie wątpiłam, że się pan o swoje prawa upomnisz, a wówczas cóż mi pozostanie innego uczynić, jak uznać je i zastosować się do nich?...

Bernard spoglądał na nią zdaleka, uderzony nie tylko treścią jej słów, ale i tonem głosu, jakim do niego przemawiała.

— Zgodziłabyś się pani zwrócić mi Sewerka? — zapytał niedowierzająco.

— Tego nie powiedziałam — zaprzeczyła szybko, — jestem przecież jego matką. Czyż chciałbyś mnie pan na to narazić, czego się dzisiaj sam obawiasz, aby serce mego dziecka odwróciło się ode mnie?...

— A widzisz pan!... — zawołał — widzisz, jak fatalnie na każdym kroku płacze się ta nieszczęsna kolizya, którą małżeństwo nasze wytworzyło. Dwoje ludzi schodzi się i rozchodzi w życiu... to tylko sprawa pomiędzy nimi; mogą się nie znać, nie spotykać nigdy więcej, zapomnieć o sobie, umrzeć dla siebie; ale kiedy między nimi jest ktoś trzeci, kie-

dy tym trzecim jest ich dziecko, a tem dzieckiem w dodatku syn, wtedy...

Przerwał sam sobie, zauważywszy na twarzy Toli bladeść wielką i wyraz jakby omdlenia.

— Przepraszam panią — wtrącił zmienionym tonem, mitygując się nagle, — słowa moje sprawiają pani widoczną przykrość... nie umiałbym się pohamować i dlatego, może lepiej będzie, że ten temat odłożymy na później... na kiedyś, gdy przyjdzie stosowniejsza chwila po temu... Mamy czas jeszcze pomówić o tem.

Słowa jego oprzytomniły ją, i jakby się wstydziała swej chwilowej słabości, siłą woli przemogła wzruszenie, które ją ogarniać zaczęło; wstrząsnęła się zlekka i rzekła:

— Bynajmniej, mylisz się pan... słucham pana spokojnie i z uwagą. Druga taka sposobność do porozumienia się naszego nieprędko znowu nadarzyć się może; im wcześniej tę sprawę wspólnie wyczerpiemy, tem lepiej będzie dla nas i dla Sewerka.

— Czyż zamierzasz pani tak rychło powrócić na wieś? — spytał.

Zawahała się z odpowiedzią.

— To będzie zależało od opinii lekarza; jeżeli znajdzie stan dziecka o tyle poprawionym, że mu wystarczy opieka pańska i bony, wtedy...

— Wyjechałabyś pani znowu?...

— Trudnoby mi było przecież pozostać; czy nie uznajesz pan sam tego?...

Musiał przyznać jej słuszność, że ta pozycya nie-zdecydowana, połowiczna, ta rola gościa w domu

własnego męża, byłaby dla niej więcej niż drażliwa.

Potażk ręką czoło, jakby pozdzierać chciał z niego choć część tych myśli, które mu tam osiadły, i szepnął:

— Fatalne położenie!...

Wrócił znowu na dawne miejsce po drugiej stronie stołu i zdawał się rozważać nad czemś trudnym do rozwiązania.

Gdyby nie obowiązki publiczne i rozpoczęta w „Postępie“ kampania, wiedziałby był, co ma uczynić; nie namyślałby się ani chwili i do zupełnego wyzdrowienia Sewerka usunąłby się z domu, aby w nim zostawić miejsce całkowite matce, jako jedyniej i najważniejszej opiekunce przy dziecku.

Byłby wyjechał niezwłocznie, oddając Toli całą swój dom do dyspozycyi,— ale o tem teraz mowy być nie mogło.

Musiał pozostać na miejscu i zgodzić się z sytuacją.

Pojutrze czekała go ciężka przeprawa, której wyniku nie był pewnym, a do której potrzebował całej przytomności umysłu, całej mocy energii i zapasu sił, tem bardziej, im więcej czuł się odosobnionym i zostawionym samemu sobie w tej sprawie, która nie była przecież jego sprawą osobistą.

W przededniu prawie tak ważnego terminu spotkanie z żoną było dla niego wypadkiem podwójnie wstrząsającym; widok jej naprowadzał mu na myśl kwestye szerszej natury, przypominał nieszczęsne konsekwencye jego położenia i roli, którą wybrał dla siebie.



Patrzył na nią i mówił sobie w duchu, że przecież ona pierwsza dała mu poznać upokorzenie i różnicę, jaka zachodzić będzie zawsze między nim a resztą tego społeczeństwa i tych warstw, do których tytularnie należał, a które choć go przyjęły, zapomnieć mu nie mogły jego dziada w chałacie, jego ojca dorobkiewicza, jego nazwiska pospolicie i z obca brzmiącego, wszystkich wiekowych uprzedzeń, wszystkich wad, śmieszności i grzechów jego przodków, za które miał pokutować; ona pierwsza otworzyła mu oczy i ostrzegła niejako przed tem, co go czeka.

A jednak, pomimo tego ostrzeżenia nie cofnął się z drogi raz obranej i szedł naprzód z tą świadomością, że będzie miał większość niechętną przeciw sobie, że mu trudno będzie przejednywać zrażonych, przekonywać uprzedzonych, szedł z jakimś uporem przebicia się przez wszystkie przeszkody, i im więcej ich natrafiał, tem większa budziła się w nim ambicya przezwyciężenia wszystkiego.

Ambicya ta powstała w nim od chwili rozstania się z żoną; jakiś głos utajony mówił mu i powtarzał nieustannie:

— Idź, idź naprzód, nie daj się zrazić, nie daj się odstręczyć, doświadczej sam siebie i pokaż jej i im wszystkim, którzy się od ciebie odwracają, żeś inny, niż ta cała potępiona masa ciemna i zdemoralizowana, żeś zdolny do odrodzenia siebie;— wywalcz, zdobądź, pozyskaj sobie zaufanie i szacunek; jako jednostka, jako człowiek, jako mąż, bądź wzorem, bądź przykładem, bądź wyjątkiem, ale nie cofaj się i próbuj dojść do swego celu!

W miarę, jak mu te myśli przechodziły teraz przez głowę, zapalały się jego oczy i twarz oblekała w jakiś wyraz pięknego wyszlachetnienia.

Tola spojrzała na niego i wzrok jej spoczął dłużej na twarzy męża.

— Domyślam się — rzekła, — że choroba Sewerka wypadła panu w najniestosowniejszą porę. O ile przypuszczam, musisz być zajęty bardzo i potrzebujesz jak najwięcej czasu dla siebie... Wiem z dzienników, że stanąłeś pan na czele akcji jakiejś, która ma ważne znaczenie dla sprawy krajowego przemysłu; piszą o panu teraz często...

— Niepotrzebnie — wtrącił; — nie powinniśmy wcale zajmować się moją osobą, bo to więcej szkody niż pożytku danej sprawie przynieść może.

— Szkody? — spytała ze zdziwieniem.

— Nie inaczej; nie zapominaj pani, że u nas opinia publiczna więcej zajmuje się tem, kto robi, aniżeli tem, co się robi. I może ma w pewnym względzie słusność, bo często sprawa — to tylko człowiek, który ją reprezentuje.

— A więc?... nie rozumiem w takim razie, dlaczego by osobistość pańska dla sprawy, zapewne słusznej i godziwej, miała być raczej przeszkodą, niż pomocą.

— Nazywam się Sandstein — odparł jej spokojnie, ale ze znaczącym naciskiem, — a to dostateczne, aby pod taką firmą najlepsza sprawa zbudziła podejrzliwość i natrafiła na opozycję. Bezkarnie nie nosi się takiego nazwiska. Pani chyba nie powinienym tego jaśniej tłumaczyć — dodał, — bo był czas, kiedy rodzina pani bardzo gorliwie zaj-

mowała się rozbieraniem tego tematu, gdyś raczyła zezwolić na nasz związek.

Zacięła usta i spuściła oczy, urażona widocznie tem przypomnieniem.

Niechący domieszał się do jego słów odcieniem ironii, który sprawił na niej wrażenie przykre; przybrała znowu ów wyraz pewnej wyniosłości i przerwała dalszą rozmowę, powstając z fotelu.

— Zdaje mi się—rzekła,— że Sewerek kaszle?... przepraszam pana, ale muszę powrócić do niego.

Skinęła mu głową i wyszła z salonu.

Z pokoju dziecka dał się rzeczywiście słyszeć kaszel suchy i gwałtowny, zmieszany z płaczem zbudzonego Sewerka; Bernard wszelako zrozumiał prawdziwy powód wyjścia żony i wiedział, że ukryta w jego słowach alluzya zmieniła ją tak nagle.

— Ukłuta ją prawda — pomyślał z westchnieniem, — ale to trudno, co pomoże obwijać kolce w bawełnę!... ja przecież cały mózg miałem nimi pokłuty.

I jakby się nagle w tym mózgu wszystkie ukłucia odezwały boleśnie, podniósł ręce i obie dłonie położył sobie na rozpalonej głowie.

---

## I.

Walne zebranie akcyonaryuszów „Postępu,” zapowiedziane przez ogłoszenia we wszystkich dziennikach, odbywało się w dużej sali, wynajmowanej na takie zgromadzenia w jednym z gmachów Re-sursowych.

Pomimo godziny dość jeszcze wczesnej, kazano pozasłaniać okna i pozapalać gazowe świeczniki.

Klappermann lubił takie zebrania urządzać z pewną wystawnością. U wszystkich drzwi stali woźni w liberyi i odkomenderowani urzędnicy z kantoru i fabryki, sprawdzający tożsamość osób i karty wejścia napływających członków „Postępu.”

W pierwszym pokoju, służącym za przedsiónek i biuro kontroli, obliczano ilość głosów reprezentowanych, rozdawano drukowane sprawozdania, porządek dzienny, bilans i kartki do głosowania.

Panował tu ruch i zamęt; około stolików tworzyły się grupy, zwiększające i zmniejszające się naprzemian. Ciągłe ktoś przechodził, zatrzymywał się, przystawał, wracał, zaczynał rozmowę i urywał ją, odwołany w przeciwną stronę.

Sprawiło to wrażenie owego chaosu i kakofonii, jaką wytwarza strojenie instrumentów w orkiestrze przed rozpoczęciem uwertury.

W głównej sali było jeszcze prawie pusto; równo, w kilkanaście rzędów poustawiane krzesła stały niezajęte. Przy długim stole nakrytym zielonym sukniem rozmawiało kilku znanych w mieście kapitalistów i przemysłowców.

Klappermann we fraku i białym krawacie, z dużą, pękatą teką, pełną papierów, pod pachą, ze swoim stereotypowym, uprzejmym uśmiechem na ustach, kręcił się pomiędzy jedną salą a drugą, witał się na prawo i na lewo, dawał polecenia jakiegoś woźnym i podwładnym swoim z personelu urzędniczego, odpowiadał pojedynczymi wyrazami na pytania po drodze i bystrem okiem rzucał na wszystkie strony, jak gdyby badał każdą fizygnomię z osobna.

Parę razy podchodził do mniejszego stołu, postawionego na uboczu w pobliżu miejsc przydzielonych, przy którym siedziało już kilku sprawozdawców dziennikarskich, nachylał się ku nim z miłą gościnnością gospodarza i troskliwie zapytywał:

— Będzie tu panom wygodnie?... macie panowie tu wszystko?... niczego nie brak?...

Odpowiadano mu potakująco z ugrzecznieniem wielkim; szczególnie młodsi członkowie prasy, spełniający dopiero obowiązki reporterów, w tem bezpośrednim zetknięciu z samym „panem prezesem,” który się raczej fatygować i pamiętać o wszystkim, oświadczając gotowość do udzielania wszelkich informacji osobiście, czuli się wido-

cznie niezwykle przejęci ważnością swego powołania; podchodzili do niego i mieli raz po raz jakieś ważne kwestye do rozjaśniania, aby tylko choć słówko zarwać od pana prezesa.

Mężczyli go swoją ciekawością, ale odpowiadał każdemu wyrozumiale i usłużnie, jak gdyby każdy ciura z tej armii opinii publicznej był dla niego przedstawicielem wielkiego mocarstwa, zwanego prasą.

Znać po nim było, że w tej przybranej układności ma dzisiaj cel szczególny i pragnie zjednać sobie wszystkich i jak najlepiej usposobić.

— Czy uważacie, jaki prezes dzisiaj grzeczny?— mówiono też przy stole dziennikarskim.

— On tu nas jeszcze cukierkami częstować gotów.

— Musi czuć burzę w powietrzu.

— Burzę swoją drogą, a gaz swoją drogą. Po jakiego licha oni z dnia noc tutaj robią?... za godzinę będzie duszno i gorąco nie do wytrzymania.

— Wiecie, to może podstęp ze strony opozycji.

— No, jakizby?...

— Może każą napuścić gazu i wysadzą Niemców w powietrze.

Przyjęto dowcip ze śmiechem i zaczęto na ten temat rozprawiać, przypatrując się zwartej grupie kilkunastu mężczyzn o fizyognomiach cudzoziemskich, którzy zajęli lewą stronę sali, starając się być jak najbliżej stołu prezydyalnego.

Skupieni razem około opasłego blondyna z kędzierzawą czupryną, o gęstych bokobrodach, z wygolonymi wąsami, w okularach złotych, w kracia-

stym garniturze marynarkowym, rozmawiali z sobą po niemiecku, nie troszcząc się widocznie wiele o swoje otoczenie.

Spasły blondyn z typową miną berlińskiego giełdowca rozparł się na krześle, ręce włożył do kieszeni, nogę założył na nogę i z wielką pewnością siebie wtrącał swoje uwagi.

Nie trudno było poznać, że jest przewodnikiem i głównym speakerem grupy nowych akcyonaryuszów, przybyłych umyślnie z nad Sprewy, dla wzięcia udziału w walnym zgromadzeniu Towarzystwa, którego udział znaczny przeszedł w ich ręce.

Grupa ta zwracała na siebie ogólną uwagę; pokazywano ją sobie, przypatrywano jej się zdaleka z ciekawością i zajęciem, okrążano ją, ale nie zbliżano się do niej wcale.

Obcy żywioł usadowił się, jak nowotwór w organizmie „Postępu;“ obawiano się go dotknąć.

— Który to jest ten Herman Haslinger?—pytano się tylko, wchodząc do sali.

— A ten, w złotych okularach na rogu w pierwszym rzędzie.

— To podobno jeden z największych krętaczy giełdowych w Berlinie?..

— Mówią, że tęga głowa.

— Pewnie, że tęga, skoro dwa razy bankrutował, a mimo to ma miliony.

— Czyście słyszeli, z jakimi to oni wnioskami przyjechali?..

— No, no?..

— Chcą podnieść dywidendę, zmniejszyć fundusz rezerwowy, zaprowadzić oszczędności i wpakować do Zarządu dwóch swoich kandydatów.

— Czy podobna?...

— Tak opowiadają tam w pierwszym pokoju.

— A cóż Sandstein na to?...

— Cóż Sandstein!... opozycya się rozbiła. Płonicki wyjechał, księżę nie chciał się w to mieszać, reszta nie ma wpływów.

— Więc cóż będzie?

— Ha, no zobaczymy. Dzisiejsze posiedzenie zapowiada się gorąco; oni nas tu chyba przed nocą nie wypuszczą.

Na ten temat toczyły się rozmowy we wszystkich kątach i framugach sali; przybycie Berlińczyków zrobiło wrażenie.

Dopytywano się o Blatta i Seligera, ale napróżno; pierwszy bawił za granicą, drugi z powodu przedłużającej się choroby, nie miał być wcale obecny na walnem zgromadzeniu.

Obu zastępowali tylko ich zięciowie.

Stąd i zowąd zwracały się na Klappermanna spojrzenia niechętne; podejrzewano go, że był w zмовie ze swymi współnikami; przygotowywano nawet ostrą interpelację w tej kwestyi, unikano go w szeregu radykalistów, ale on zdawał się nie zważać na to, nie słyszeć przymówek i docinków; ze swymi stronnikami zamieniał krótkie powitania, rzucał im pojedyncze wyrazy i krzątał się coraz gorliwiej po sali, która wypełniała się powoli.

Za stołem prezydyalnym siedział dotychczas je-



den tylko Struś-Wydzzewski i wodził okiem zaspianego bawołu po obecnych.

Małe ale charakterystyczne intermezzo przerwało przygotowania do obrad. U głównego wejścia do sali zrobił się ruch i podniesione głosy słyszeć się dały; woźny, odbierający karty wstępu, nie chciał wpuścić jakiegoś młodego człowieka z czarnymi baczkami, z impertynentką miną kantorowicza, który w kapeluszu na głowie stał zaperzony i powtarzał tylko:

— *Was?... warum?... ich nehme den Hut ab, wann es mir gefällt!*

Nie chciał zrozumieć, że do sali wchodzi się z odkrytą głową, bez kapelusza; utrzymywał, że u niego w domu — *bei ihm zu Hause* — nie zważają na takie głupstwa.

Legitymował się on, jako reprezentant firmy „Schweinfurt und Mandel“ z Wrocławia, który przybył z grupą akcyonaryuszów berlińskich i powoływał się na swoje prawo głosowania w kapeluszu na głowie, czy bez kapelusza.

Jurny młodzik, podrażniony dyskusją na ten temat, szedł na udry w imię swej germańskiej wyższości i z arogancją stawiał się wszystkim, grożąc, że zatelegrafuje o tem do dzienników berlińskich, iż w taki dziki sposób przyjmują tutaj cudzoziemców.

— To nie są europejskie zwyczaje! — powtarzał po niemiecku i byłby się upierał jeszcze Bóg wie, jak długo, gdyby mu czyjaś ręka nie była bez ceremonii kapelusza z głowy strąciła.

— Patrzenie, patrzenie, jak się Niemczyńska rozbi-  
jają! — szemrano w około, — chcą nam tu swoją  
butą imponować!...

Sprawę załagodzić musiał sam Haslinger, które-  
go sprowadzono z sali, by uśmierzył awanturniczy  
zapał reprezentanta firmy Schweinfurt und Mandel;  
wobec giełdowego potentata z Berlina, wrocławski  
delegat spokorniał i mruczając coś *von den verfluch-  
ten Polaken* między zębami, poszedł zmieszać się  
z grupą swoich rodaków.

Przy stole prezydyalnym odezwał się wreszcie  
dzwonek na znak rozpoczęcia sesyi.

Klappermann zagał posiedzenie, proponując na  
przewodniczącego obradom ks. Gołońskiego, który  
ze swoją pompatyczną, nadętą miną, z oczyma  
zamkniętymi, młynkując na brzuchu wielkimi pal-  
cami, zdawał się być tym niespodzianym wnio-  
skiem zaskoczony.

W otoczeniu jego widać było prawie wszystkich  
uczestników pamiętnej narady opozycyjnej u hra-  
biego, zwołanej przez Bernarda.

Wniosek przyjęty został *en bloc* i księżę zajął  
fotel środkowy za stołem prezydyalnym, skłoniw-  
szy głowę na znak przyjęcia wyboru i podzięko-  
wania za ten mozolny zaszczyt.

W zgromadzeniu znać było nastroj naprężony;  
na wszystkich twarzach malowało się wyczekiwa-  
nie czegoś niezwykłego.

W zapełnionej sali panowała przez chwilę cisza,  
przerywana szelestem papieru i przewracanych  
kartek sprawozdania Zarządu z zeszłorocznej dzia-  
łalności.

Pierwszy głos zabrał Klappermann po załatwieniu zwyczajnych formalności i obojętnych punktów porządku dziennego.

Wstał, jedną ręką oparł się o swoją tekę z papierami, drugą założył za klapę fraka i zwiesiwszy głowę, zdawał się porządkować myśli; szmery ustawały, z wytężoną uwagą zwracano się ku niemu.

Kiedy się całkiem uciszyło, zmrużonemi oczyma popatrzył w sufit i zaczął nagle w ten sposób:

— Panowie akcyonaryuszel... w sali tej mam zaszczyt nie po raz pierwszy przemawiać do was, ale po raz pierwszy fizyognomia jej sprawia na mnie wrażenie tak szczególne, powiem wprost oniesmielające, że zastanawiam się poważnie nad tem, czy potrafię odpowiedzieć trudnemu zadaniu wyrażenia wszystkiego, co czuję i co myślę o stanie i losach instytucyi, która pod moim kierunkiem dotychczas pozostawała. Niewątpliwie dzielicie panowie ze mną jedno spostrzeżenie, które się każdemu z dawniejszych uczestników naszych walnych zgromadzeń mimowoli nasunąć musi; oto zauważyliście zapewne dwie rzeczy, nie mające na pozór nic wspólnego z sobą, a jednak, niestety, pozostające w ścisłym i konsekwentnym z sobą związku. Uderzyć was musiały znaczne luki przy naszym stole prezydyalnym, u którego zarząd „Postępu“ zasiada dziś zdekompletowany; natomiast wśród was panowie na sali, spostrzegacie przybytek nowych osobistości, nieznanych wam dotąd wcale nawet z wyglądu, obcych z nazwisk, języka i pochodzenia. Jestem niestety w tem przykrem położeniu, że poruszyć muszę sprawę, która od pewnego

czasu w pogłoskach krążyła po całym mieście, zajmowała żywo opinię publiczną i odbiła się w prasie. Domyślcie się panowie, że chcę mówić o wypuszczeniu pewnych udziałów akcyjnych na rynki zagraniczne i o dobrowolnym pozbyciu się jednolitej, własnej, swojskiej opieki nad Towarzystwem, mającym tak poważne dla naszego przemysłu i handlu znaczenie. Chcę mówić o tem i muszę, aby uprzedzić wasze słuszne obawy i zarzuty, jakie się odezwać mogą na tem miejscu na widok zmian, które zaszły w łonie „Postępu,” a mówić będę nie tylko dla wyjaśnienia kwestyi, ale także *pro domo sua*, aby zastrzedz się najmocniej przed solidarnością z dokonanymi faktami, które bez mojej wiedzy zaszły.

W zgromadzeniu odezwały się głosy powątpiewania.

— Jakkolwiek szanowni panowie — ciągnął niezrażony tem Klappermann dalej, — wydać się wam to może nieprawdopodobnem, aby w łonie jednego i tego samego Zarządu działać się mogły rzeczy tego rodzaju, upewniam was jednak najuroczyściej, że były one dla mnie równie wielką i równie przykrą niespodzianką, jak dla was wszystkich, którzy ze zdziwieniem, z oburzeniem nawet dowiedzieliście się po niewczasie o wprowadzeniu do naszego grona żywołu całkiem obcego.

Na sali szmery powtórnie się rozpoczęły.

— Cóż to, Klappermann wyraźnie powstaje przeciw Seligerowi i Blattowi?... występuje jako oskarżyciel swoich współników!... co to znaczy?... Słuchajcie, słuchajcie!... to coś całkiem nowego!

Wrażenie to nie uszło uwagi pana prezesa; poznał po fizyognomiach swoich zdziwionych słuchaczy, że dopiął celu tą niespodzianką, którą im zgutował, przerzucając się w jednej chwili do opozycji i występując z publicznem potępieniem swoich byłych wspólników i kolegów z Zarządu.

Wiedział dobrze, co robi i obliczył sobie z góry ten strategiczny efekt, uprzedzając natarcie na Radę zarządzającą i na spekulacye w jej łonie prowadzone; poświęcał wprawdzie Seligera i Blatta, ale czyż oni troszczyli się o niego; dbając tylko o własny interes, własne zyski przy układaniu swego projektu?...

Zapowiedział Seligerowi, że się na nich zemści za to, że im odpłaci z nadwyżką i korzystał teraz ze sposobności, aby ratując siebie, pognębić ich obu.

Takim sprytnym manewrem odbierał nadto broń z ręki najniebezpieczniejszego przeciwnika swego, Bernarda Sandsteina, któremu spodziewał się pomieszać szyki swoim przemówieniem.

Nie wspomniawszy ani razu wyraźnie nazwisk nieobecnych członków Zarządu, stawiał ich pod pręgierz i oskarżał o czyn nieoględny, nieobywatecki, o chciwość i samolubstwo, o nieuczciwość prostą w zakrywaniu się jego plecami, jego firmą, która skutkiem tego najsłuszniej mogłaby być zachwianą i narażoną.

Mówił ze swoją swadą szeroką, przekonywającą, jak wytrawny mówca, który umie grać na sercach i umysłach swoich słuchaczy, wplątał nawet zręczny komplement dla Bernarda, jako dla przed-

stawiciela opozycji, ale wyraził zarazem wielkie ubolewanie, że siła tak dzielna, choć młoda jeszcze i niewyrobiona, zamiast pozostać w Zarządzie w chwili bardzo ważnej, usunęła się z niego, przerzuciła się odrazu w kierunku krańcowym, utrudniając mu jeszcze więcej i tak ciężką sytuację, zwiększając jego odpowiedzialność na stanowisku.

W tem miejscu nie zaniedbał zrobić sobie reklamy.

— Panowie — mówił z emfazą, — stojąc na czele instytucji tak poważnej, której, śmiem powiedzieć, pierwsze fundamenta niejako zakładałem, a która nad moje spodziewanie i nadzieje wzrosła do tak znacznych rozmiarów, czułem się niejako kapitanem statku ładownego własnym mojem i waszem panowie mieniem. Kapitanowi jednemu nie wolno schodzić ze stanowiska, choćby go cała załoga zdradziła i opuściła, chociażby statek tonął, rozbity o podwodne rafy; — powiedziałem to sobie i wytrwałem na miejscu!...

Przerwano mu za frazes oklaskami, które powstrzymał energicznym ruchem ręki.

— Pozwólcie panowie, nie skończyłem jeszcze!... przechodzę do najważniejszej części mojego przemówienia.

Wyjął chustkę i otarł nią spocony kark i czoło; każda kropla tego potu warta była tysiące.

Zgromadzenie, korzystając z tej przerwy, odechnęło; poprawiano się na miejscach, odchrząkiwano, ucierano nosy, szeptano sobie:

— Dobrze mówił... tęga głowa!... a to im lanie sprawił!...

Przy stole dziennikarskim rozmachały się pióra i ołówki; jeden ze sprawozdawców stenografował mowę prezesa.

Klappermann czuł się panem sytuacji; mimo to rzucał jeszcze niepewne spojrzenia w stronę Bernarda, który na uboczu siedział blady i na pozór obojętny, z ustami zaciętymi, z głową spuszczoną, i bawiąc się ołówkiem srebrnym, kiedy niekiedy robił tylko jakieś notatki na kolanie.

Pan prezes zabrał głos znowu po chwilowej przerwie.

— Wszystko to jednak, co dotąd miałem zaszczyt panom powiedzieć, nie zmienia rzeczy najważniejszej, nie zmienia sytuacji i faktów dokonanych...

Tu po raz pierwszy spojrzał na zwartą grupę Niemców, którym jakiś człowiek młody, z teką pod pachą, we fraku adwokackim, w binoklach na nosie dowcipnie zadartym, kończył właśnie z ironicznym uśmiechem tłumaczyć po cichu treść przemówienia Klappermanna.

Haslinger siedział skrzywiony i słuchając, z pod oka, jakby z urazą i zdziwieniem spoglądał na mówcę, powtarzając tylko:

— *So?... so?...*

— Praktyczność jednak, panowie, i zdrowy rozsądek — ciągnął dalej Klappermann — każą przede wszystkim obliczać się z faktami wykonanymi. Co się stało, to się stało; odrobić tego nie potrafimy, a wszelkie wysiłki byłyby tylko ryzykowną próbą, której niebezpieczeństwa obszerniej określać i rozwijać szanownym panom nie potrzebuję. Opor-

tunizm w danym wypadku, jak w wielu innych, narzuca się sam i przyjąć go należy. Nasi nowi współuczestnicy w „Postępie,” których mimo wszystko, prawo gościnności nakazuje przyjąć u-przejmie, a własny interes każe nie lekceważyć i nie drażnić niepotrzebnie, przybyli do nas z kapitałami swymi i z zaufaniem. Należałoby przeto zastanowić się dobrze nad środkami porozumienia z tą grupą, która mojem zdaniem nie będzie tak niebezpieczną, jak się to może panom, zaniepokojonym tą inwazyą, na razie zdawać mogło; przewidująca praktyczność powinna ustrzedz nas od tego, abyśmy z tych przybyszów, mających bądź co bądź swoje prawa, kupione za swą gotówkę i to znaczną, nie zrobili sobie szkodliwych wrogów i nieprzejednanych przeciwników. Nad wynalezieniem tego *modus vivendi* należałoby się uważniej zastanowić, a kto wie, czy złe spełnione nie okaże się w skutkach swoich mniejszem, niż to sobie wyobrażamy.

Tym dyplomatycznym zwrotem miał na celu odzyskać część zaufania, jaką w pierwszej połowie swego przemówienia stracił był u partyi niemieckiej; nie spuszczał bowiem z uwagi ewentualności przyszłych wyborów i swojej kandydatury, dla której chciał mieć zapewnioną większość głosów.

Haslinger, objaśniony o treści słów jego, uśmiechnął się, skinął głową i swoje tłuste ręce złożył do oklasku; podobał mu się ten zwrot i ocenił szybko jego praktyczną wartość.

Wiedział, z kim ma do czynienia; polityka oportunistu dogadzała mu w tej sytuacji.



— *Nur so weiter, nur so weiter!* — szepnął do swego otoczenia z ledwie dostrzegalnym uśmiechem na ustach, potem podniósł się z krzesła i poszedł za stół prezydyalny do Klappermanna, któremu Struś-Wydźzewski niby to na ucho, ale głosem dudniącym, jak grzmot oddalony, wyrażał swoje uznanie:

— Kapitalniel... doskonale!... z ust mi wyjąłeś słowo po słowie!... bardzo ci wieszuję, prezesie.

Nie uważał, że dwaj jego sąsiedzi z lewej strony przesywali go w tej chwili spojrzeniami i mieli miny podrażnionych indyków, które gotowe są dziobać ze złości.

Br. Lipecki i ks. Oczko przez cały czas przemówienia prezesa kręcili się na swoich stołkach, jakby na samych gwoździach siedzieli; jeden na drugiego spoglądał coraz częściej, z coraz większym zaniepokojeniem, z coraz rzadszą miną, z coraz bardziej spuszczonej na kwintę nosem, jakby się wzajemnie pytali siebie:

— Słyszysz?... słyszysz, co ten infamis wygaduje?... przecież to do naszych teściów przypija tak?... i my tego słuchać mamy, tu, wobec tej pełnej sali?... przecież to impertynencya, to skandal, to nie do wytrzymań!...

Baron robił się groźny, ponury, straszny, poruszał kolejno wszystkie przedmioty, leżące przed nim na stole, a jednocześnie znać na nim było, że nie wie, co z sobą począć.

Zerwać się, rzucić na Klappermanna, zadusić go i poszarpać na sztuki, czy skoczyć ku drzwiom, obalić obu woźnych, stojących na progu i przysłuchujących się z głupimi minami przemówieniu pa-

na prezesa z nabożeństwem parafian na kazaniu księdza proboszcza, wybiedz na schody i uciec?...

Coś zrobić przecie wypadało, kiedy się jest zięciem pana Blatta.

Księżę znów kręcił głową, jak czeczotka, głupkowaty uśmieszek z początku zamienił się w grymas, potem w nerwowe drgania ust i mruganie oczu, potem otworzył tylko usta i siedział, jak pod prysznicem gorącym, czekając, kiedy to nareszcie lać przestanie.

Czuł się „zdekonfiturowany,” jakby był powiedział, zapytany o wrażenie, które na nim mowa Klappermanna sprawiała.

— *Mais enfin... mais enfin,* — powtarzał do barona, wyczekując od niego hasła i wskazówki do jakiegoś działania, czy protestu, czy znaku oburzenia, czy czegokolwiek, bo przecież instynktownie miał to poczucie, iż kiedy się jest raz już zięciem papy Seligera, to należałoby...

Otóż to właśnie, że ani jeden ani drugi nie wiedział, co należałoby zrobić w obronie swoich teściów.

Wiedzieli tylko obaj, że ta pozycja przy stole prezydyalnym była nie do zniesienia, że byli oburzeni, że nie potrafili nadrabiać już miną i ukrywać dłużej swego zirytowania, i że ten Klappermann nie ma nie tylko czoła, ale i litości prawiąc im w oczy takie rzeczy.

Siedzieli jak na cenzurowanem, niezdecydowani, nie śmiać w końcu spojrzeć przed siebie, ani nawet na siebie; pospuszczali oczy i słuchali z rezygnacją.

Gdy prezes skończył, księżę nachylił się do barona i zaczął:

— To... to... to.

Baron schwycił go za ramię i błysnął oczyma, jakby chciał powiedzieć:

— Poczekaj!... zobaczysz!... za chwilę!...

— Ja myślę zatelegrafować, co?...

— Dokąd?

— Do Nizy.

Zdawało mu się, że najlepiej zrobi, jeżeli się teścia poradzi.

Lipeckiemu ten projekt poddał myśl stanowczą; wyjął szybko swój bilet wizytowy, skreślił na nim kilka słów, włożył w kopertę i zerwał się z krzesła energicznym ruchem.

Ks. Oczko osłupiałym wzrokiem patrzył na niego, jak wychodził z sali, zostawiając go na miejscu samego.

Miał minę zmieszaną i nieszczęśliwą człowieka, który w bezradności swojej zatrzymał cały proces myślenia i zdał się na łaskę losu.

Nie ocucił go nawet głos dzwonka, wzywający do uciszenia się na sali i słowa przewodniczącego:

— Pan Bernard Sandstein ma głos.

Zapowiedź nowego mówcy skupiła uwagę ogólną na nawiązany wątek rozpraw, które po oratorskim tryumfie Klappermanna przerwały się na chwilę.

Bernard, który dotychczas prawie niezauważony siedział pod jednym z filarów sali, wystąpił nieco na środek, oparł się o koniec stołu prezydyjalnego

i rozłożywszy przed sobą notatki, splótł palce u obu rąk w postawie wyczekującej.

Blady był i jakby cierpiący; głosem cichym, powolnym, smutnym zaczął nieśmiało, jak gdyby z pewnym przymusem przemawiać do zgromadzenia.

— Prosimy głośniej! — odezwało się z dalszych szeregów krzesel.

Drgnął nerwowo i wyprostował się, podniósł głowę, i w tej chwili po twarzy jego przemknęła jakby błyskawica światła, która zmieniła nagle jej wyraz; na galeryi z przeciwnej strony ujrzał siedzącą jedyną słuchaczkę, a w słuchaczce tej poznał — Tolę.

Widok jej zelektryzował go, ożywił nagle, podniecił; powodzenie Klappermanna, oklaski, którymi przyjmowano jego słowa, uwagi zasłyszane dokoła zestroiły trochę ów animusz, z jakim miał wystąpić do walki i zachwiały jego dobrą wiarę w możliwość kampanii, do której się prawie sam jeden teraz w tej pełnej sali gotował.

Była chwila, w której pytał sam siebie, czy nie lepiejby było milczeć i nie narażać się na przegraną; jakieś zniechęcenie go opadło, jakaś apatya chwilowa wprawdzie, ale niebezpieczna, bo rozstrajała jego nerwy, jego energię, jego sprężystość.

Obawiał się, czy potrafi mówić dobrze, argumentować przekonująco, trzymać na wodzy wszystkie myśli i zapanować nad większością tego zebrania, w którym zręczne frazesy Klappermanna po-

ruszyły już echa i usposobiły nawet uprzedzonych lepiej dla niego.

Wiedział, że wystąpienie jego musi wywołać wrzawę, że odkrycia, które ma w pogotowiu, podziałają jak mina wysadzona w powietrze i że tu wszystko postawić trzeba na ostrzu noża, jeżeli cel ma być osiągnięty; ale w tej minie wydał mu się nagle proch zwilgotniały, a to ostrze stępione, nie dowierzał sam sobie, ani swoim argumentom, ani logice i rozsądkowi ludzi, do których miał przemawiać, ani pożyteczności sprawy, której był tak gorącym rzecznikiem z początku.

Stało mu się coś; czego sam nie pojmował.

Ale nagle wszystko to pierzchnęło, zmieniło się, zniknęło się bez śladu z tą chwilą, w której ujrzał na galerii siedzącą Tołę.

Siedziała, cofnięta umyślnie trochę w głąb, aby jej z dołu nie można było obserwować tak dokładnie; wychyliła się jednak mimowoli, gdy mąż jej do głosu wezwanym został, i wtedy to spojrzenia ich się spotkały.

Zauważyła wrażenie, jakie niespodziany jej widok na nim sprawił i zarumieniła się, ale serce jej uderzyło silniej i jakby radośniej czegoś.

Z obecnych na sali nie domyślał się nawet nikt powodu owej zmiany, jaka zaszła nagle w fizjonomii i całym usposobieniu mówcy, którego na samym początku musiano wezwać, aby mówił głośniej, jeżeli chce być słyszany i rozumiany.

— Panowie — rozpoczął powtórnie głosem pełnym i donośnym, — poprzednik mój wyręczył mnie, uprzedzając zarzuty, które każdemu z nas cisnęły

się na usta, a które powiedzieć należało koniecznie w tem miejscu publicznie, aby sam fakt napiętnowany został, jak na to zasługuje. Mogę przeto przejść nad tem do porządku dziennego i czynię to z pewną przyjemnością, panowie, chociaż poprzedni mówca nie wyczerpał całkowicie tematu, a zwłaszcza traktował go trochę inaczej, niżeli ja go traktować zamierzałem. Mniejsza o to; w każdym razie pozostawiam panu prezesowi Klappermannowi tryumf zręczności w ujęciu tej kwestyi i przeprowadzeniu jej przez dyskusję. Nie będę, niestety! mógł równie zająć panów stylową stroną mojego przemówienia, gdyż z konieczności będę zmuszony posługiwać się więcej rachunkiem i suchemi cyframi, aniżeli pięknym frazesem. Pozwólcie mi panowie tylko logicznie nawiązać moje słowa do słów mojego poprzednika, który oświadczył się w ostatecznej konkluzyi, jako zwolennik dokonanych faktów. W istocie, trudno na lepszym gruncie oprzeć politykę oportunistul... Ale jeżeli fakta są złe, jeżeli skutki ich są szkodliwe, a sytuacya przez nie wytworzona jest niebezpieczną, czy i wtedy pan prezes Klappermann gotów jest gościć się z nimi i postępować tylko oportunistycznie?... Jeżeli tak, to mu wieszuję tej wyrozumiałości, ale przyznaję, że podzielałbym jej nie potrafił... Usłyszeliśmy tu przed chwilą, że dwaj członkowie Rady zarządzającej sprzedali prawie wszystkie swoje akcje panom kapitalistom berlińskim, złakomiwszy się na wysoki kurs, który im w danej chwili znaczne zyski zapewniał. To się, panowie, pospolicie nazywa spekulacyą finansową. Nad e-

tyczną stroną tego faktu zastanawiać się nie chcą; giełda nie jest świątynią moralności. Sprzedali swoje papiery, bo one były ich własnością, a sprzedawali tam, gdzie najkorzystniej mogli. Chodzi mi tylko o to, czy nowi nabywcy zrobili naprawdę tak świetny interes z jednej strony, a z drugiej, czy ów kurs naszych akcji jest na prawdę usprawiedliwiony tak świetnym stanem „Postępu,” jak o nim głoszone w ostatnich czasach i czy przypadkiem to złoto robione z naszego żelaza, nie jest w połowie przynajmniej jakimś sztucznym aliażem. Otóż w tym względzie będę zmuszony sprawić panom kilka rozczarowań, a panom Berlińczykom zepsuć trochę apetytu do tych złotych gruszek, które spodziewają się zrywać z naszych wierzb nadwiślańskich!...

Słowa Bernarda podziały, jak zapach dymu w teatrze; w zgromadzeniu akcyonaryuszów dało się zauważyć silne zaniepokojenie.

Powstały szmery, przygłuszane sykaniem.

— Cicho, nie przeszkadzać!... niech mówi dalej... słuchamy, słuchamy.

Klappermann poczerwieniał, uniósł się z krzesła i zaczął coś przekładać przewodniczącemu, tłumacząc mu, że mówca odstępuje od porządku dziennego.

Książę zaskoczony tym niespodzianym zwrotem nie umiał się na razie zorientować.

— Zdaje mi się, panie Sandstein — zaczął, odchrząknąwszy z godnością, — że pan odstępuje od przedmiotu naszych obrad...

— To nie, panie prezesie, to nie! — dały się słyszeć z kilku stron głosy bardziej tym wstępem zainteresowanych akcyonaryuszów; — przeciwnie, to ma związek ze sprawozdaniem, to ważne!

— Nie przerywać mówcy!...

— Słuchamy, słuchamy!...

W atmosferze zbierał się materiał palny; przy stole sprawozdawców szeptać zaczęto i dawać sobie znaki.

— A co?... mówiłem wam, że coś wyleci w powietrze, — prawie głośno odezwał się jeden z dziennikarzy.

Niemcy, nie rozumiejąc ani słowa, z tem większem zaniepokojeniem spoglądali ku Bernardowi, dopytując się swojego tłumacza:

— *Was sagt er?... wer ist das?... wie heisst er? was will er?...*

Zanosiło się na burzę.

Bernard wziął w jedną rękę drukowane sprawozdanie, w drugą swój notatnik i zaczął w dalszym ciągu:

— Służyć prawdzie to rola zaszczytna, ale ciężka i niebezpieczna, moi panowie; podejmując się jej, wiedziałem dobrze, na co się narażam, ale to mnie nie odstraszało, i dlatego stanąłem przed wami w poczuciu obowiązku, jaki ma człowiek, który dostrzeżga pierwsze iskry na dachu; uderza na alarm i pierwszy śpieszy gasić wszczęty pożar, nie dbając o to, że pobudzi swoim hałasem spokojnie, w miłych snach spoczywających mieszkańców domu. Podjąłem się przekonać panów, iż stan „Postępu,” jakkolwiek jeszcze wcale dobry, nie jest



jednak tak bardzo świetny, jak to Sprawozdanie Zarządu pragnie w nas wmówić; zyski zaś spodziewane są problematyczne wobec ewentualności, które te Sprawozdanie dyskretnie przemilcza, a kurs dzisiejszy jest sztucznie wyśrubowaną wielkością, która prędzej czy później zredukować się musi do swego normalnego stanu. Wygłaszam tu twierdzenia, zapewne dość przykro brzmiące w uszach szanownych panów, ale mam nadzieję, że wysłuchacie zechcecie dalszych motywów ze spokojem wytrawnym ludzi, którzy wolą najgorszą prawdę od najmilszych złudzeń i nie zawahają się spojrzeć jej w oczy. Otóż panowie, oświadczam, iż krytykować będę działalność Zarządu nie tylko w roku sprawozdawczym, ale i z lat poprzednich, aby wykazać wam naocznie, jak to powodzenie nadzwyczajne naszego przedsięwzięcia rozzuchwalało jego kierowników bezpośrednich do coraz ryzykowniejszych i śmielszych eksperymentów i zamiarów.

Z jednego końca sali odezwało się niedowierzające: „ho, ho!...”

Bernard mimowoli rzucił okiem w tę stronę i spostrzegł Kocia Nahalskiego, który wśród akcyonaryuszów rozpierał się z miną tak pewną siebie, jak gdyby nie był podstawionym sztromanem i brał na seryo tytuły owych akcji, które pożyczone przez Klappermanna dały mu prawo wejścia na salę i głosowania za nim przy wyborach.

Śmiałość, z jaką Bernard wystąpił i zapowiedział swą krytykę, podziałała na ogół słuchaczy imponująco; był teraz bohaterem chwili.

Czując odpowiedzialność, która na nim ciążyła, skupił całą uwagę i całą swą inteligencję w wywodach, które rozwijać zaczął. Z zestawienia cyfr wykazywał, jak forsownie rozwój „Postępu“ prowadzono nad rzeczywistą możność zadosyćuczynienia jego właściwym celom środkami, które przedsiębiorstwo posiadało; jak często nie obliczano się z sytuacją, byle tylko skoczyć naprzód z rozmachem wielkim, który mógł być narazić całe Towarzystwo na rozbitcie.

Głębokie wrażenie sprawił odkryciem, iż w chwili niby najświetniejszego rozwoju, „Postęp“ był blizkim bankructwa, od którego niespodziewanie uchronił go tylko upadek jednej z konkurujących fabryk, która spłonęła do szczytu i nie mogła dopełnić przyjętych zobowiązań względem swoich klientów.

Rozbierając po kolei wszystkie większe pozycje rozchodów i dochodów, pomieszczone w bilansie, przy każdej niemal robił pewne sprostowania i domagał się wyjaśnień.

Klappermann bladł i czerwieniał na przemiany, uśmiechał się jednak, nie spuszczać prawie z oka Bernarda, który z bezwzględnością anatoma zapuszczał skalpel swojej krytyki wszędzie, gdzie było coś do wydobywania na jaw.

Ale w źrenicach pana prezesa migały jakby łyskania gniewu tłumionego i nienawiści, pomimo owych dobrodusznych uśmiechów lekceważenia lub politowania, z jakimi słuchał wywodów i zarzutów przedstawiciela opozycji.

Pamiętał o tem, że patrzy na niego cała sala i że

mu się zdradzić ze swojemi uczuciami nie wolno; miał zatem taką minę, jak gdyby mówił:

— Pozwól pan sobie jeszcze, panie Sandstein — co to szkodzi?... ja wysłucham, a kiedy przyjdzie kolej na mnie, to rozdmuchnę to wszystko, jak plewę.

Ale zadanie to nie było łatwe, wszystkie zarzuty stawiane przez Bernarda popierane były argumentami, cyframi i wyciągami z ksiąg i protokółów, z którymi miał czas obeznać się, jako członek Rady zarządzającej; przygotowany był dobrze i pewny swego.

— Jeżeli rozwijam przed panami swoje poglądy — mówił, — i maluję we właściwych kolorach ten obraz, na oko świetnie się przedstawiający, czynię to z dwóch powodów; po pierwsze pragnę panom odsłonić historię rzeczywistą owej cieplarnianej kultury, w której „Postęp“ zakwitał, i wytłómaczyć ową gwałtowną zwyżkę kursu naszych akcji na giełdzie, a powtóre, uważam sobie za obowiązek, dopóki pora po temu, przestrzedz przed niebezpieczeństwem, na jakie nas ten system narazić może. Jak jednemu zaradzić na przyszłość, a drugiemu zapobiedz, pozwolę sobie w danej chwili szeregim wniosków odpowiedzieć.

W trakcie tego przemówienia zapisało się kilku nowych mówców do głosu; gdy skończył, zapanowała w pierwszej chwili głęboka cisza, słuchacze czuli się zaskoczeni niespodzianką, jaką im sprawiły jego odkrycia, nie mogli ochłonąć na razie, ale gdy w dalszych rzędach kilka rąk złożyło się

do oklasku, wybuchł istny chaos głosów, szmerów, objawów uznania, krzyków ale i sykań.

Ksiązę przewodniczący nie umiał sobie dać rady z tem wszystkim, rozglądał się na prawo i na lewo, czekał aż trochę przebrzmi ta wrzawa i spokoj powróci, a widząc, że się na to nie zanoszi, zaczął dzwonić zawzięcie, wzywając zgromadzenie do porządku.

Rój pszczoł podkurzony dymem kręci się tak, uwija, brzęczy, wylatując z ula, jak rozbrzmiewała cała sala zmieszanyimi głosami; około Bernarda utworzyło się grono najgorliwszych i najzapaleńszych, którzy zbliżali się, by mu powinszować śmiałości, z jaką prawdę wyjął z pod korca, nie zważając na żadne względy i względziki.

Korczański był również między tymi, którzy mu rękę ściskali, ale odszedłszy na bok kilka kroków, przystanął przy Łubskim i nachylając się mu do ucha, rzekł:

— Wszystko to dobrze, ale trochę za ostro, trochę za ostro!... zawsze to niebezpieczna rzecz mówić głośno takie rzeczy. A nuż się pokaże, że to nie tak, tylko inaczej?... co?... przecież i Klappermann ma język.

— To niech się w niego ugryzie! — odburknął Łubski i odwrócił się niechętnie.

Jakieś rozdrażnienie nerwowe objawiało się u wszystkich.

— Panowie, pan Haslinger z Berlina ma głos! — wołał przewodniczący, siłąc się zapanować nad chaosem, ale potrzeba było kilku minut, nim zwróceno na to uwagę.

Zapowiedź wszelako mówcy ze stronnictwa najeźdźców zrobiła swoje; ciekawość przemogła i w części przytłumiła wrażenie, wywołane wystąpieniem Bernarda.

Haslinger z miną butną, z uśmiechem lekceważenia stał i czekał, aż mu mówić pozwoli.

Gdy się nieco uciszyło, głosem stentorowym, donośnym, wyrobionym wśród giełdowych wrzasków, zaczął po niemiecku przemawiać w te słowa:

— Panowie, z tego, co mój poprzednik tak długo tu wykładał, nie zrozumieliśmy nic, ale ze streszczenia jego mowy nabrałem przekonania, że ta cała historia, dotycząca przeszłości naszego „Postępu“ — (położył jakby umyślnie nacisk na zaimek) — nic a nic nas przynajmniej obchodzić nie może. My przyszliśmy tu z naszymi akcjami i przyjmujemy stan taki, jaki w danej chwili istnieje. Obchodzi nas ostatecznie Sprawozdanie i wyniki bilansu; to nam wystarcza!... na tem się opierając, formujemy nasze wnioski i mamy nadzieję, że panowie je w dobrze zrozumianym interesie wspólnym poprzeć i przyjąć zechcecie. Każde przedsiębiorstwo, każdy handel, każdy przemysł istnieje na to, aby jak najwięcej dawał dochodu; spodziewam się, że tego nikt mi nie zaprzeczy. Otóż nie rozumiem, jak można robić komuś z tego zarzuty, że o ten największy dochód i największy zysk się starał; jakimi to dało osiągnąć się środkami, to jego rzecz. Mojem zdaniem, panu prezesowi Klappermannowi i całemu poprzedniemu Zarządowi należałoby się wyrazić z naszej strony podziękowanie raczej i pełne votum zaufania za rezultaty, jakie uwieńczyły

jego działalność. Co było i co będzie, to do dyskusji nie należy; naszą rzeczą zająć się tem, co jest. Cyfry i fakta decydują o wszystkim. Przedsiębiorstwo prosperuje, dochody ma, kapitałów mu nie brak, a więc cieszymy się panowie, że tak dobrze idzie i używajmy z tej łaskawości Fortuny a dbajmy o to, abyśmy od naszych wkładów jak największy procent uzyskać mogli. Że to jest rzeczą możliwą, dowodzi wykaz finansowy naszego przedsiębiorstwa i dlatego to moi panowie, rozjeżdżawszy się bliżej w niektórych pozycjach, ośmieliliśmy się postawić wnioski o podwyższenie dywidendy, zmniejszenie zbyt wysokiego kapitału rezerwowego, zaprowadzenie pewnych oszczędności zarówno w fabrykacji, jak i administracji, o których szczegółowo będę mówił później.

— Ho, ho!... jeszcze czego!...— odezwało się jednocześnie z kilku stron.

— Patrzejcie!...

— Niema sensu!...

— Cicho, pozwólcież mu skończyć; niech motywuje.

— Nie przerywać mówcy, to nieparlamentarnie. Haslinger nie dał się zbić z tropu.

— Panowie możecie się sprzeciwiać na razie, ale w końcu musicie uznać słuszność naszych argumentacji—zakończył,— bo przecież nie zechcecie wypowiedzieć wojny zdrowemu rozsądkowi i własnym interesom. Jesteśmy tu przecież ludzie interesu i trzeźwej rachuby, inaczej niegodnibyśmy byli tytułu akcyonaryuszów.

— Brawo! — wyrwało się z ust Korczalskiemu, któremu rozumowanie Haslingera przypadło do przekonania, ale w tej samej chwili spuścił głowę i schował się za siedzącego przed nim jakiegoś grubasa, zauważywszy, że się spisał, jak Filip z Konopi.

Haslinger z jowialną miną spojrzął po sali, jak gdyby nie wątpił, że wszyscy muszą podzielić jego zdanie, jeżeli nie chcą okazać się obskurentami, zacofańcami i waryatami.

Z kolei przemawiało jeszcze kilku mówców, stawiając argumenta słabe i nie wytrzymujące krytyki; byli tacy, którzy widocznie popisywać się chcieli swą elokwencyą i sadzili się na dowcip; byli inni, którzy odbiegali od przedmiotu, byli i tacy, których przedłużająca się dyskusya nużyć zaczynała, więc przemawiali za jej zamknięciem.

Do tych ostatnich należał Kocio Nachalski; był on jednym z czynnych agitatorów Klappermanna i urabiał na sali opinię dla swego adherenta.

Przysiadł się to tu, to tam, od niechęcienia niby rzucał znaczące słówka, podsłuchiwał co mówią i w sposobnej chwili podchodził do prezydyalnego stołu, rozmawiając po francusku ze swoim kuzynem Strusiem—Wydzzewskim, po niemiecku z Haslingerem, z którym już zdążył zabrać znajomość, po polsku z Klappermannem, od którego zasięgał zdania, i jak posłuszny kurjer krążył po sali, spełniając polecenia, roznosząc hasła, mieszając się do wszystkiego z dyplomatyczną zręcznością „męża zaufania.“

Byli i tacy, którym się przemówienie Haslingera podobało.

— Ten Niemiec dobrze gada; dalibóg, ma rację,—odzywali się tu i ówdzie,—co tu bawić się w jakieś romansel... Sandstein szuka dziury na całym, dyskredytuje nam „Postęp.“

— Wywleka jakieś stare historye, dyabeł wie w jakim celu!

— Żydowska arogancya; myśli, że go wybierze-  
my prezesem na miejsce Klappermanna.

— Kiedy przecież nikt jego kandydatury nie stawia.

— To i cóż?... on ją sam nam podsuwa.

— Mojsze, mach dich grojs!... nie znacie to żydowskiej zarozumiałości?

— Przecież i Klappermann z Żydów.

— A właśnie, i dlatego powinniśmy znaleźć sobie swojego kandydata.

— Dajcie pokój, dajcie pokój, Sandstein ma rację; ten cały nasz Zarząd to Augiaszowa stajnia. Dobrze zrobił, że raz porządnie w ul dmuchnął.

Zdania się ścierały, opinia wahała się to w jedną, to w drugą stronę.

Czekano odpowiedzi Klappermanna, wyjaśnień i odparcia zarzutów.

Ale prezes jakoś zwlekał i choć zapisany do głosu, nie zabierał go; wiedział, że może sprawę przegrać, jeżeli zręcznością nie uratuje sytuacji.

Jeden z akcyonaryuszów partii opozycyjnej wezwał go wreszcie wprost, żeby nie pozostawiał zgromadzenia w niepewności i jeżeli ma co do nad-



mienienia w kwestyi postawionej przez pana Sandsteina, to niech powie.

— Słuchamy z wielką uwagą i mamy nadzieję, że prawdzie i słuszności zadość się stanie, — zakończył mówca swą interpelację.

Klappermann powstał z doskonale ułożoną miną człowieka, który nie pojmuje, jak można nawet brać na seryo stawiane mu zarzuty.

— Jestem doprawdy przysypany istną lawiną samych kamieni potępienia, zrzuconych na mnie, na nas wszystkich członków Zarządu, ręką byłego do niedawna współtowarzysza, którego dobrej wiary i szlachetnych intencji nie śmiałbym podejrzewać...

W ten sposób zaczął swoją replikę, przybierając względem Bernarda ton jakiejś ojcowskiej dobroduszości i pobłażliwości.

— Nie tu miejsce i nie pora teraz odpiesać punkt za punktem sensacyjne z pozoru zarzuty pana Bernarda Sandsteina; powołać się muszę tylko na protokoły i orzeczenia komisji rewizyjnej—mówił,—którą panowie zaszczyliciliście swoim zaufaniem, i gdyby opinie pana Sandsteina posiadały jakąkolwiek faktyczną podstawę, komisja ta nie milczałaby z pewnością, tylko zabrała przed nim głos, obciążający naszą działalność. Ale komisja milczy mimo to, że pan Sandstein tak długo, tak płynnie i tak sensacyjnie przemawiał!... Prawda musi być po jednej, albo po drugiej stronie; po jednej odzywa się głos odosobniony pana Sandsteina, który przez przeciąg kilku miesięcy zdołał jak utrzymuje przeniknąć wszystkie arkana naszej ad-

ministracyi i obeznać się z długoletnią historią „Postępu.“ Z drugiej strony wszelako pięć głosów komisji rewizyjnej milczy nieustannie, a to milczenie szanowni panowie jest chyba tak wymownem, że Zarząd lepszej obrony nie potrzebuje. Zresztą, od panów samych zależy sprawdzenie stawianych nam zarzutów przed udzieleniem Zarządowi całkowitego absolutoryum.

Powołanie się na milczącą komisję rewizyjną było zręcznym wybiegiem, który jakkolwiek nie wszystkich przekonał, ale wielu zawahał w pozjętem podejrzeniu.

Panowie z Komisji kiwali z godnością głowami i milczeli dalej w poczuciu swej powagi.

W dalszym ciągu repliki, Klappermann potrącił z lekka o owe obawy wyrażone przez Bernarda co do przyszłości „Postępu“ i mówił:

— Trudno być prorokiem w swoim kraju, jednak najlepszem świadectwem, że obawy te co do dalszego prosperowania naszego przedsiębiorstwa są, jak na teraz płonne, jest owo zaufanie do nas kapitałów zagranicznych, jest udział nawet naszych nowych akcyonaryuszów niemieckich, którzy uważają stan finansowy interesów „Postępu“ za tak świetny po rozejrzeniu się w bilansie, że jak panowie słyszeliście przed chwilą, chcą domagać się podwyższenia dywidendy. Możemy się na żądania tych panów nie zgodzić, ale sam fakt, że uważali za możliwe na początek z takimi żądaniami wystąpić, jest wielce charakterystyczny i uważgi godny, bo przecież występują z niemi ludzie doświadczeni, praktyczni, specjaliści...

— Do obdzierania cudzej skóry, — odezwał się głos jakiś, wywołując wybuch śmiechu w audytorium, z czego Klappermann był nawet zadowolony, bo śmiech obniżał trochę ów naprężony nastrój, który nie sprzyjał łatwemu zakończeniu sprawy.

Najgroźniejszy przeciwnik staje się do połowy rozbrojony, gdy się go rozśmieszyć uda; pan prezes umiał tę psychologiczną fintę dobrze ocenić.

— Nic łatwiejszego — dodał w zakończeniu, z pewną złośliwą intencją, — jak w sprawach finansowych sprowadzać zaburzenia, których skutki bywają nieobliczone i nieprzewidziane w dalszych następstwach. Śmiały krytycyzm pana Sandsteina może Towarzystwu naszemu niedźwiedzią oddać przysługę, jeżeli echa jego rozniosą się poza mury tej sali, a wówczas może go spotkać podobny zarzut, jakim rozpoczął swą filipikę przeciwko nam, że tak, jak jego zdaniem my zbyt forsownie w podejrzanych celach dążyliśmy do zwyżki, jego taktyka dąży tak samo w przeciwnym kierunku do zniżki gwałtownej, na której równie może komu zależeć przy odpowiednich spekulacjach giełdowych!... Skończyłem, moi panowie.

W słowach tych umyślnie wypuścił zatrutą strzałę ku przeciwnikowi, przewidując skutek, jaki ta insynuacja wywołać musi.

Bernard, który przemówienia jego słuchał z uwagą, machinalnie kierując przytem wzrok ku galerii, na której widział Tolę, wpatrującą się w niego nieustannie, porwał się nagle jakby dotknięty rozpalonem żelazem i zawołał:

— Proszę o głos!...

A nie czekając, aż mu przewodniczący formalnie mówić pozwoli, zaczął sam w dalszym ciągu z zapalem i siłą odpierać niegodne przypuszczenia, aby w jakichś niskich celach agitacyjnych czy spekulacyjnych wytaczał sprawę tak drażliwą, ale według niego nader żywotną.

Kierowało nim tylko poczucie prawdy i dobra publicznego, oraz troska o byt i przyszłość instytucji, którą uważał za jeden z potężnych motorów przemysłu na gruncie społecznym; obliczał się z niebezpieczeństwem, próbował na innej drodze złemu zaradzić, w Zarządzie przemawiał, przestrzegał, dążył do reform, ale natrafiał zawsze na opór lub wybiegi; różnica zdań naprężyła jego stosunek z całą Radą zarządzającą; musiał złożyć swój mandat i nie natrafiwszy na dobrą wolę i wyrozumienie, odwołać się do opinii walnego zgromadzenia.

Była to konieczność smutna, ale nieodzowna.

Przeszedł do opozycji, wytworzył ją, bo uważał że jest potrzebną, a w danej chwili nawet zbawienią. Społeczeństwa i instytucje wszelkie tylko prawdą i słusnością, tylko jawnością czynów i dążeń rozumnych ostać się mogą; z tego przekonania, z tej zasady zdecydował się wystąpić, bo tak mu nakazywało sumienie, tak mu nakazywała godność jednostki społecznej, dbałej o pożytek i dobrą sławę Towarzystwa.

Zapalał się, przejmował własnymi słowami i w świetnej improwizacji dał się porywać uczuciom i ideom, szerszym aniżeli zakres samych interesów i celów „Postępu.“

A kiedy mówił tak, jak gdyby bronił czegoś więcej, niż sprawy akcyonaryuszów i przyszłości instytucji wspólnej, spoglądał w górę raz po raz ku siedzącej na galerii żonie i zdawał się do niej jednej przemawiać głównie, w tem mieszanem zgromadzeniu filistrów, finansistów, spekulantów, ludzi trzeźwych i praktycznych, mniej lub więcej zajętych tylko sprawą własnej kieszeni, własnego pożytku, mniejszych lub większych celów swego egoizmu; mówił i patrzył ku Toli, jakby ją pytał:

— Rozumiesz mnie teraz, pojmujesz, o co mi chodzi, do czego dążę?... wiesz, jaki jestem, com zacz, co noszę w duszy mojej, co w myślach moich?... Słuchaj i sądz, i wyrokuj, czyś nie mogła ze mną czuć jednakowo, myśleć jednakowo, iść ze mną ręką w rękę, czym nie był godny ciebie i twojej sfery, i twojej rodowej dumy, twojego szacunku i zaufania, skoro nie mogłaś mi dać swej miłości?... Oto ja, człowiek nowy, dorobkowiec, mech, intruz w twojej sferze, tak czuję, tak pojmuję moje zadanie, takie mam zasady, takie idee — osądz, czy one są gorsze od twoich i czyś tak bardzo inna ode mnie!...

Kilka razy przerwano mu oklaskami, których zdawał się nie słyszeć wcale; nie przemawiał już ani do Klappermanna, ani do członków Zarządu, ani do akcyonaryuszów na sali, tylko do niej jednej, do tej tam samotnej i ukrytej za filarem słuchaczki, która reprezentowała dla niego cały areopag.

Przy każdej kwestyi nawiązywał szereg uwag ogólniejszego znaczenia i bardzo zręcznie robił

zwroty do praktycznych szczegółów sprawy; wspominał obszerniej o doli pracowników fabrycznych i ofycjalistów „Postępu,” dowodząc jaką niesprawiedliwością byłoby przeciążać ich jeszcze bardziej i kosztem biedaków powiększać własne zyski.

Napomknął dyskretnie o wypadku z Fleischem, polecając rodzinę jego względom i sprawiedliwości walnego zgromadzenia, zwracając się zaś w końcu do Haslingera, jako głównego przedstawiciela berlińskiej grupy akcyonaryuszów, po niemiecku prowadził rzecz swoją dalej, aby mógł być lepiej przez nich rozumianym.

— Jeżeli przybywacie panowie, jako wspólnicy nasi i zechcecie solidarnie z nami postępować — rzekł, — witamy was, jako sprzymierzeńców; jeżeli wszelako myślicie tylko eksploatować bezwzględnie nowy grunt, na który dostaliście się nieszczęśliwym przypadkiem, będziemy was uważali za wrogów i bronić się przeciwko wam i waszemu egoizmowi spekulacyjnemu.

Niemcy pogrózkę tę przyjęli z uśmiechem.

Haslinger zwrócił się do swoich z ironiczną miną i rzekł:

— *Kriegserklärung!... Passt auf!...*

Zamienił potem spojrzenie z Klappermannem i ramionami wzruszył. Bernard mówił dalej:

— Przedewszystkiem co do wniosków i reform, jakie panowie nam narzucić chcecie, illuzye wasze rozwieje najbliższa przyszłość; mogę panów upewnić, że rachuby wasze są płonne i nie oparte na rzeczywistości. Dziś rano otrzymałem telegram

z Petersbùrga z doniesieniem, iż kwestya podwyższenia taryfy kolejowej została rozstrzygniętą i cło dla surowca podniesione, skutkiem czego rozchody „Postępu“ będą już w roku bieżącym powiększone, a zyski zmniejszyć się muszą; nie widzę zatem możliwości podwyższenia dywidendy, i tak za wysoko mojem zdaniem oznaczonej. Mam nadzieję, że wiadomość ta, którą pierwszy panom komunikuję, ostudzi trochę zapał, z jakim przybyliście do nas po spodziewane złote runo.

Po sali poszedł szmer.

— Zatwierdzono zmianę taryfy?... podniesiono cła?... czy było co w telegramach dzisiejszych?...

Ten i ów, siedzący bliżej dziennikarskiego stołu zwrócił się po potwierdzenie do przedstawicieli prasy, którzy nadrabiali miną, nie chcąc się zdradzić, że prywatne informacye uprzedziły „najlepiej powiadamiane“ z samego źródła dzienniki.

— Urzędownie nic jeszcze nie mamy — tłómaczyli się, — może w południe przyszło co do redakcyi; trudno nam wiedzieć, siedzimy tu od kilku godzin.

Wysłali wszakże jednego z pomiędzy siebie, aby zasięgnął wiadomości.

Oznajmienie Bernarda sprawiło głębsze wrażenie w grupie Berlińczyków; znać było, że są zaniepokojeni, skupili się bliżej około Haslingera i żywo radzili między sobą.

— *Er will uns Furcht einjagen!* — szeptali, — chce nas nastraszyć. To przecież widoczne, że trzyma się tej taktyki, ale jakoś nie ma poparcia. Nikt tak, jak on, nie przemawia; demoralizuje całe

walne zgromadzenie. Należało się z nim porozumieć wcześniej. Dlaczego nas nikt o tem nie uprzedził?... Gdzie jest Blatt, gdzie jest Seliger?... pochowali się w mysie dziury. *Das ist doch schändlich!*

Głosy potępienia odzywać się zaczęły teraz już i ze strony Niemców przeciw obu nieobecnym członkom Zarządu.

Ks. Oczko siedział na swoim miejscu od chwili, gdy towarzysz jego niedoli, br. Lipa de Lipecki, wyszedł z kartką, aby ją wysłać do chorego teścia, i wyglądał podobniejszy raczej do śledzia marynowanego, niż do człowieka.

Czuł się tak przygnębionym, że migreny dostał, i raz po raz przykładął dłoń do wyłysiałej skroni, złorzeczając w duchu chwili, w której się zdecydował zostać zięciem pana Blatta.

Potrzebne mu to było?... *oh, mon Dieu!*...

Na cały ten poruszony rój patrzyła z wielkiem zajęciem Tola z góry, słuchając głosów, które ją dochodziły z sali, a każde przemówienie Bernarda oblewało ją nowym rumieńcem, wzruszało do głębi i budziło jakąś dziwną mieszaninę uczuć podziwu i zawstydzienia; przysła tu z ciekawości zobaczenia go, jako „człowieka publicznego,“ chciała usłyszeć go, jako mówcę, chciała poznać sprawę, której broni, i znalazła dla siebie niespodziankę większą, niż przypuszczać mogła.

Słuchając jego wywodów, czuła, że ulega jego argumentacyom i od razu daje się wciągnąć na ten sam grunt rozumowania, który on zajmuje; po raz pierwszy mając sposobność przyglądać się mężowi na takim stanowisku i w roli rzecznika prawych



zasad i sprawiedliwych pojęć, broniącego ich tak żarliwie, z takim zapałem i przejęciem się, miała wrażenie, jak gdyby jakiś drugi, inny Bernard, którego nie znała dotąd, stał przed jej oczyma.

Ten drugi zaczynał jej imponować, stał się zajmującym od pierwszych słów wypowiedzianych głośno, przyciągał ją na swoją stronę i zdobywał jej uznanie coraz większe z każdą chwilą, tak, że gdyby się nie była kilka razy przemocą powstrzymała, byłaby pierwsza dała hasło do oklasków dla mówcy, z takim przekonaniem i śmiałością broniącego prawdy i rzeczywistych interesów instytucji zagrożonej.

W całym tem zgromadzeniu ona jedna dzieliła teraz najgłębiej jego poglądy, wierzyła mu bezwzględnie i stawała się najgorliwszą jego zwolniczką.

Nie uszło jej uwagi z samego początku, że sprawiła na nim widokiem swoim wrażenie elektryzujące, które go podnieciło, ośmieliło i wyrwało nagle z rozstroju i apatii, w jakiej zabierał głos po raz pierwszy.

Oklaski dawane mu napawały ją jakąś żywą radością i ukrytą dumą, a naodwrot, ilekroć odezwał się objaw niezadowolenia, czuła się tak podrażnioną tem, że własną ręką byłaby zatykała usta uprzedzonym sykaczom.

— Przecież ci ludzie go nie rozumieją, albo rozumieć nie chcą! — mówiła sobie w duchu z oburzeniem, ale w tej samej chwili gorętszym rumieńcem oblała się sama i przez głowę przemknęła jej myśl:

— A tyś go zrozumiała?... a tyś go zrozumieć próbowała kiedykolwiek?...

Brwi czarne ściągnęły się nad jej zmrużonemi oczyma i odwróciła głowę po raz pierwszy od męża, kierując swe spojrzenia mimowoli naprzeciw siebie; po drugiej stronie na galerji zwróciła nagle uwagę jej postać kobieca, ukryta tak samo, jak ona, za filarem i przypatrująca się przez lornetkę Bernardowi na sali.

Za nią siedział niedbale przygarbiony, z głową krótko strzyżoną i szpakowatą, w okularach na garbatym nosie, chuderlawy mężczyzna, podrzucający nerwowo jednym ramieniem kiedy niekiedy, i przysłuchujący się widocznie z wielkiem zajęciem rozprawom na sali.

Przy lewem uchu trzymał rękę, jak gdyby łowił każdy szmer, dochodzący z dołu.

Za nim kilkanaście osób zajmowało miejsca na galerji.

Kobieta, wpatrująca się nieustannie w Bernarda, nie odejmowała prawie od oczu lornetki, którą miała twarz zasłonioną; usta jej tylko drgały nerwowo, o ile nie zagryzała ich co czas jakiś.

Zdawało się niekiedy, że niemym głosem powtarza machinalnie słowa mówcy, tak bardzo jest nimi przejęta.

Wyglądała, jakby była wzrokiem zatopioną całą w Bernardzie i nie widziała nikogo więcej, oprócz niego jednego na całej sali; ilekroć cofnął się w głąb tak, że jej z oczu schodził, wychylała się przez żelazną balustradę galerji, szukając go spojrzeniami.

Zauważyła, że w lustrze na przeciwległej ścianie może go jeszcze lepiej obserwować, więc skierowała w tę stronę swoją lornetkę i przy tej sposobności odsłoniła twarz.

W owej chwili mogła się jej Tola lepiej przypatrzeć.

— Kto to taki? — pomyślała; — znam ją przecież z widzenia.

I usiłując przypomnieć sobie te rysy, trudziła swą pamięć długi czas nadaremnie, ale coraz częściej oczy jej biegły w kierunku swojego vis-à-vis.

Nagle zdawało jej się, że trafiła na ślad, że poznaje tę młodą osobę czarno ubraną, w opiętym staniku, o bujnych kruczonych włosach, którą przed kilku laty widziała parę razy zaledwie i przypominała sobie, co jej mówiono o niej.

— Ależ tak, to ona!... to ta Żydówka, która się z nim chowała od dziecka i jest w nim podobno szalenie zakochaną...

Poznała wreszcie Malcię Sammetównę i nie mogła zaprzeczyć tego przed samą sobą, że obecność jej tutaj i to zajęcie się Bernardem sprawiło jej jakby przykrość, drażniło ją.

Dlaczego?... nie byłaby umiała odpowiedzieć sobie, ale odtąd instynktownie dzieliła swą uwagę i swoje spojrzenia między męża i tę drugą, która najwidoczniej pożerała go oczyma.

I od tej chwili posmutniała czegoś, zmieniła się, była jakby roztargniona; widok Sammetówny przeszkadzał jej słuchać z tem samem przejęciem się, co dotąd, odkąd wiedziała, że słuchają i podziwiają go — obie.

Stary Sammet siedział za córką i krzywił się; kiedy niekiedy drapał się za uchem w głowę szybkim, krótkim ruchem ręki, nerwowo łypał powiekami i mruzczał z niezadowoleniem.

— Po co on to wszystko gada!... — powtarzał półgłosem, niby do siebie, niby do Malci, nie zważającej wcale na ojca; — po co on to gada!... czy to potrzebne?... kto takie rzeczy wyciąga na stół!... to nie ma zdrowego sensu.

Podrzucał coraz częściej ramieniem i głową kręcił.

— On gada, jak ksiądz, jak adwokat, jak profesor, ale nie jak człowiek do interesu... Jemu powinni głos odebrać, on jest prosty wariat. Czy jego się kto o to wszystko pyta?... jego się nikt nie pyta, to po co tyle rzeczy mówić?... Oj, oj!... co on tu kaszy nagotuje, a kto to będzie musiał zjeść? to będą musieli zjeść akcyonaryusze.

Zbliżył się do córki tak, że prawie brodę oparł na jej plecach i szeptał:

— Widzisz ty Malcia, że ja miałem dobry nos, co ja sprzedałem swoje akcje zawczasu; jak one zaczną na łeb na szyję spadać, to jabym ładnie z nimi wyglądał, co?... prawda?...

Córka odpychała go plecami, nie odwracając się; zła była, że jej przeszkadzał.

Co ją obchodziły akcje, co ją obchodziły interesa, kursa, spekulacje w tej chwili!... ona widziała tylko jego samego, słuchała głosu, który ją zawsze dreszczem jakimś rozkosznym przejmował, wpatrywała się w te usta, których namiętny, gorący pocałunek był jej marzeniem i zmorą, dręczącą ją

od lat tyłu, ale nie zważała na treść jego przemówienia, nie rozumiała nawet słów, jakie do jej uszu dochodziły.

Dość jej było patrzeć i słuchać.

Ojciec, niezrażony jej milczeniem i opryskliwym odpychaniem, zrzedził dalej:

— Tobie się to podoba wszystko, co on gada?... to tak potrzebne w tej chwili, jak mnie... albo ja wiem co?... choroba, tyfus, czkawka. Ty widzisz, Malcia, że tu starego Sandsteina niema wcale?... a ty wiesz, dlaczego jego tu niema?... bo on ma głowę, on także już dawno posprzedawał swoje akcje i nie jest więcej członkiem „Postępu.“ On mi mówił, że ten jego syn zepsuje cały interes, jak się do niego weźmie, to on nie chciał tracić, cha, cha, cha!... mądrze zrobił, co?... on zna swojego Bernarda!... Ty myślisz, że to się dziś jeszcze nie odbije na kursach?... ojoj, i jak się odbije!... Te Niemcy to na czysto stracą przez niego, czy ja wiem... pięćdziesiąt, sześćdziesiąt tysięcy marek; może tylko dwadzieścia, to i tak bardzo dużo. Całą ich dywidendę dyabli wezmą przez niego.

Odwracał się, ze słodko-kwaśnym uśmiechem i ze swymi małpiemi grymasami, upatrując kogo, któryby go z większą uwagą od córki słuchać zechciał, ale nie spostrzegał w pobliżu żadnego znajomego.

O kilka miejsc dalej stał Psański w rozpiętym paltocie, z głową rozczochraną, z jedną nogą postawioną na ławce; pod pachą trzymał laskę, a na niej zawieszony kapelusz wypłowiały i wymięty, i na kolanie przez cały czas pisał notatki do sprawozdania.

Czoło miał pomarszczone, ale na ustach sardoniczny uśmiech zadowolenia.

Zażarty antisemita zbierał materyał do swego studyum o gospodarce Żydów na polu wielkiego przemysłu.

Heleńko odezwał się Klappermann na sali, on jeden głośzył oklaski dawane panu prezesowi głośnym sykaniem.

Sammet spoglądał na niego podejrzliwie i z urazą; wietrzył w nim coś niedobrego. Raz nawet odważył się zwrócić ku niemu z zapytaniem:

— Czego pan tak syka?— ale Psański, nie przerywając sobie pisania i nie zaszczywszy go nawet spojrzeniem, odburknął jak brytan podrażniony:

— Cicho, Żydy!...

Na sali tymczasem obrady toczyły się nieprzerwanie nad wnioskami grupy berlińskiej i kwestjami przez przedstawiciela opozycyi postawionemi, nie doprowadzając do żadnego rezultatu.

Odkrycia i oświadczenia Bernarda zmąciły równowagę głosów; brakowało mu wszelako silniejszego poparcia i wpływowej pomocy, której rozbite przez ustąpienie Płonickiego i usunięcie się księcia stronnictwo „sanacyjne“ dać nie mogło.

Szala zwycięstwa wahała się nieustannie.

Klappermann swoimi manewrami i dyalektyką odpieszał groźniejsze natarcia, niby to zastrzegał się od podejrzeń solidarności z grupą Haslingera, ale czując w niej sprzymierzeńców, zręcznie ciągnął wodę na ich młyn.

— Nie zapominajcie, panowie — odezwał się, — że po tem wszystkiem, co się dziś tutaj może za nieopatrzenie mówiło i słyszało w tej sali, a co już zapewne po drutach telegraficznych popędziło narobić popłochu na giełdach zagranicznych, uchwały wasze zadecydują ostatecznie o rezultacie i wrażeniu odgłosów, które się poza te mury wydostaną; możecie nimi zaprzeczyć lub potwierdzić opinię, jaką skrajna opozycya zgotować pragnie naszemu „Postępowi,“ a od której zależeć może *plus* lub *minus* waszych własnych interesów.

Za plecami swemi usłyszał Bernard czyjeś słowa:

— A to nas urządził ten Sandstein!...

— Cóż pan chcesz — wtrącił drugi głos, — żydowska *picha* w nim się odezwała; chciał nam pokazać swój wielki rozum i narobił rejwachu, a teraz Bóg wie, co z tem począć!...

— Ja powiadam, że te Żydy to skaranie Boże!...

Głowa mu opadła na piersi; nawet odwrócić się nie chciał, aby zobaczyć, kto w ten sposób wygłaszał o nim podobne zdanie, — wiedział dość.

Podejrzewano jego najlepsze zamiary, nie dowierzano jego słowom, lekceważono jego najlepsze chęci, — nie ufano mu, choć tak niedawno cała sala brzmiała od oklasków dla niego.

Stary, odwieczny, zakorzeniony przesąd i uprzedzenia odzywały się, mimo wszystko.

Między Sandsteinem, Klappermannem, Seligerem, Blattem i tysiącem innych nie robiono różnicy żadnej, bo wszyscy pochodzili z jednej i tej samej rasy, która w świecie całym ani wiary, ani miłości zdobyć sobie nie umiała.

Ból dotkliwy zatargał mu piersi i ścisnął głowę, jak stalową obręczą.

Przy stole prezydyalnym książkę odczytywać zaczęła wniosek o odroczenie najważniejszych uchwał do drugiego walnego zgromadzenia, któreby się odbyć miało za trzy tygodnie, w celu dokładniejszego zbadania sytuacji i wyjaśnienia pewnych ewentualności, które do tego czasu rozstrzygnąć się powinny.

— Kto z panów jest za tym wnioskiem, zechce rękę podnieść,— uroczyście wygłosił książkę.

W powietrzu powyrastały sprężynowym ruchem podniesione prawice.

Przewodniczący zawyrokował, że wniosek przeszedł, i zgromadzenie walne odroczone do nowego terminu.

Niemcy byli oburzeni, że się po raz wtóry będą musieli fatygować z Berlina.

---



## J.

Jak żołnierz wyczerpany i znużony nierozstrzygniętą walką, wracający z placówki swej po zawieszeniu broni, tak wracał Bernard do domu.

W głowie miał chaos jakichś myśli zimnych, nieprzyjemnie wirujących mu, jak chłodny, wilgotny wiatr po wnętrzu czaszki.

Czuł potrzebę wypoczynku; przypomniał sobie, że od herbaty rano nie miał nic w ustach jeszcze, i że należałoby zjeść cokolwiek dla wzmocnienia.

Jednak organizm nerwowo rozstrojony nie upominał się o swoje prawa; pragnął jedynie spokoju, samotności, odosobnienia od wszelkiego zgiełku, od ludzi i od świata.

— Ach! gdybym mógł zasnąć!—mówił sobie tylko, wchodząc powoli, ciężko, krok za krokiem na wschody.

Otworzył kluczykiem od zatrzasku drzwi i nie rozbierając się, w kapeluszu na głowie, przeszedł przedpokój i udał się do swego gabinetu.

Z drugiego pokoju odezwał się głos Sewerka:

— Czy to ty, mamó?...

— Nie, to ja,— odpowiedział dziecku.

— To tatuś?... a gdzieś ty chodził od samego rana?... nawet nie byłeś dziś u mnie na dzień dobry, ani ty, ani mama, ani nikt, tylko pan doktor był i powiedział, że jestem wielki zuch i że za tydzień będę już zupełnie, zdrów. Aha!... pozwolił mi zjeść dziś kureczątko i kompocik, i dwa biszkopiki do bawarki. A Madame Kraut, jak poszła tę jakąś bawarkę robić, tak przepadła, a mnie się nudzi tu samemu wciąż leżeć i leżeć...

Dzieciak ożywiony był i podniecony nadzieją rychłego wyzdrowienia; szczebiotał wesoło i opowiadać zaczął ojcu, z którym przez czas choroby znowu się bardziej oswoił, że mu tęskno było bez mamusi i tatusia od wczoraj, że mu pani Kraut pokazywała jakieś obrazki w dużej książce, ale ma już tego dosyć.

— Same Żydy i Żydy, i anioły. wyobraź sobie, tatusiu! — mówił, rozkładając rączki i wskazując spory foliak, leżący przy nim na łóżku.

Bernard spojrział na okładkę i poznał po niej illustrowane „Pismo Święte,“ które bona dla zabawienia dziecka wydobyła widocznie z jego biblioteki.

Naiwne słowa Sewerka przypomniały mu ów wykrzyknik, zasłyszany na sali za plecami pod<sup>3</sup>koniec obrad, jako ostatnią konkluzję wszystkiego:

— A ja powiadam, że te Żydy to skaranie Boże!...

Przez asocycację myśli tamta chwila uprzytomniła mu się wyraźniej znowu i poczuł ten sam przykry ból, którego raz już doświadczył w piersiach i w głowie.

Nie odpowiedział dziecku swemu ani słowa, objął je tylko ramieniem, przyciągnął ku sobie i na główce jego oparł swą skołataną głowę; w tej chwili czuł jedynie potrzebę przytulić się do kogoś, coby go nie odepchnął, coby na uścisk jego choć machinalnie odpowiedział uściskiem, a dziecko, jak gdyby instynktownie odczuwało usposobienie ojca, którego nie było w stanie jeszcze zrozumieć, otoczyło swemi chudemi rączynami jego szyję i mówiło z pieszczotą:

— Ty powinienes pójść także do łóżeczka, bo masz taką główkę gorącą, jak ja miałem, kiedy mi się odra zaczynała. Ale czy taki duży może także dostać odry?... co?... czemu ty nic nie mówisz do mnie, tatusiu?...

Bernard przyciskał go tylko silniej ku sobie i milczał, jakby wcale słów dziecka nie dosłyszał; dobrze mu było w tem objęciu, znajdował w niem ulgę chwilową i ukojenie.

Wejście bony z bawarką na tacy i dwoma biszkopcikami dla Sewerka ocuciło go znowu.

Niemka z uśmiechem zbliżała się do malca.

— *Ach, das ist schön!* — wołała, — to ładna widok!... ojciec i syn w taka poza. Sewerek był grzeczna, to Sewerek dostać bawarka.

Dziecku oczy zabłysnęły na widok pełnej filiżanki słodkiego posiłku; zapomniał o ojeu i wyciągnął rączki do Madame Kraut.

— Czy doktor znalazł go rzeczywiście lepiej? — spytał Bernard bony.

— O i jak!... za tydzień pozwolił wstać, a nawet i wyjechać, jeżeli będzie pogoda.

Ta ewentualność zmarszczyła czoło ojcu; zapomniał był o tem, co przecież nastąpić musiało.

Machinalnie wziął do rąk ciężki tom „Pisma Świętego,“ aby nie zawadzało Sewerkowi i skierował się z nim do swego gabinetu.

Przyszły mu na myśl słowa dziecka:

— Same Żydy i anioły!...

Przymknął drzwi i położył się na swej szerokiej otomanie dywanem krytej: chciał wypocząć.

Foliał Biblii, oprawny w złożony safian, leżał przed nim na niskim stoliku tuż pod ręką.

Mimowoli rzucił okiem w otwartą księgę i przeczytał:

„I rzekł Pan do Abrama: Wynijdź z ziemi twej i od rodziny twojej, i z domu ojca twego, do ziemi, którąć pokażę.

„A uczynię cię w naród wielki i będę błogosławił, i uwielbię imię twoje, i będziesz błogosławieństwem...“

Słowa te uderzyły go; podniósł się, oparł na łokciu i czytał dalej:

„I będę błogosławił błogosławiącym tobie, a przeklinające cię przeklinać będę, i będą błogosławione w tobie wszystkie narody ziemi...“

Oczy jego wpatrzyły się w czarne czcionki i zaduma powlokła je, jakby mgłą; nie czytał więcej, — w myślach odzywały mu się słowa, które okropnym kontrastem brzmiały mu teraz w uszach z ustępem przeczytanym przed chwilą:

— A ja powiadam, że te Żydy to skaranie Boże!...

Głos ludzi różnił się tak bardzo z głosem Boga.

Opuścił głowę na ręce i zamyślił się pochylony nad „Pięcioksięgiem“ Mojżesza; sen, który mu się przed chwilą wydawał konieczną potrzebą, pierzchał od jego powiek.

Przysunął ku sobie bliżej olbrzymi foliał, na którego okładce widać było w złotym medalionie wyciśniętego Mojżesza z dwiema tablicami Dekalogu, i zaczął przerzucać karty Starego Testamentu.

Ciągnęło go coś do tej księgi, która była księgą świętą narodu, z którego sam pochodził, i podstawą wiary jego przodków, ich przykazaniem, ich prawem, ich mądrością.

Na każdej karcie Jehowa, „Bóg wielki i straszny,“ prowadził rozmowy z wybranym ludem swoim i dawał mu nauki i przestrogi, błogosławił lub przeklinał, rozkazywał lub upominał, przemawiał z ognistych obłoków i z płomieni buchających, siejąc dreszcze trwogi i przerażenia na nieposłusznych słowom Jego.

Bóg wielki i straszny a zapalczywy w gniewie swoim, przypominający nieustannie ludowi Izraela: „Jam Pan, jam Bóg twój, którym cię wywiódł z ziemi egipskiej, z domu niewoli, mnie jednego masz słuchać, tylko mnie i proroków, przez których usta przemawiam,“—Bóg ten w twardem jarzmie prowadził swój naród wybrany, miłował go a wiódł drogą ciągłych doświadczeń, zsyłał mu ciągłe próby i prześladowania, błogosławił i rozmnażał przyrzekał, jak piasek w morzu, jak gwiazdy na niebie, a pozwalał nieprzyjaciołom tępić go i zgładzać z oblicza ziemi przez całe szeregi

stuleci zbrojną dłońią Asyryjczyków i Babilończyków, Egipcyan i Syryjczyków, Rzymian i innych narodów.

I szedł tą drogą Izrael, jak lew smagany biczem nieustannie na łańcuchu straszego boga, którego mu się tylko obawiać i słuchać, wielbić i trzymać za nagrodę świetnych obietnic kazano, ale nie żądano od niego miłości, nie kazano mu kochać tego Pana, przed którym truchleć musiał i zakrywać oblicze swoje w bojaźni wielkiej.

— Wielki, ale straszny ten Bóg moich ojców! — pomyślał Bernard — zawiera przymierza z Izraelem, jak traktaty wojenne, i trzyma mu stopę swoją na karku, żeby się z pod niej ruszyć nie poważył.

Odwrocił kartę i natrafił w księdze Genesis na rozmowę Abrahama z Panem na równinie Mambre w upalny dzień, kiedy mu Jehowa przepowiada, iż rozmnożony będzie w lud wielki i możny, i ubłogostawione w nim będą wszystkie narody, a dalej mówi o zatraceniu grzesznej Sodomy i Gomorry.

— Jeśli będzie pięćdziesiąt sprawiedliwych w mieście, zginąż społem z niebożnymi? — pyta Abraham, — a jeśli tylko czterdziestu pięciu?... jeśli czterdziestu, trzydziestu, dwudziestu, a gdyby tylko dziesięciu?... nie zatracisz ich dla dziesięciu?

— I ten się już targuje nawet z samym Bogiem, — szepnął Bernard, a jakiś ironiczny uśmiech skrzywił mu usta.

Przerzucił znowu kart kilka i odczytał ustęp o handlu między Jakóblem i Ezawem przy sprzedaży pierworodztwa za miskę soczewicy i o podstęp-

nem wyłudzeniu błogosławieństwa od ślepego ojca Izaaka.

— Ale Bóg Abrahama przepuszcza mu tę drobnostkę — pomyślał, — i we śnie ze szczytu drabiny, po której wchodzi i schodzą aniołowie, przyrzeka mu jeszcze, że będzie „nasienie jego, jako proch ziemi, i rozszerzy się na zachód i na wschód, na północ i na południe i będą błogosławione w nim, i nasieniu jego, wszystkie pokolenia ziemi.“ A jednak brata oszukał!... — dodał znowu jego zbudzony krytycyzm.

Otworzył następną księgę Exodus i zaczął czytać z niej wyjątki, w których Pan ludowi swemu zapewnia swą potężną pomoc i opiekę i mówi: „Będę nieprzyjacielem nieprzyjaciół twych i trapić będę tych, którzy cię trapiłi.“

„Okło za oko, zęb za zęb, rękę za rękę, nogę za nogę, sparzelinę za sparzelinę, siność za siność!...“

Paznogciem zakreślił to miejsce i czytał dalej:

„Strach mój puszcze na uprzedzenie twoje i pobije wszystek lud, do którego wnikniesz i wszystkich nieprzyjaciół twoich przed tobą tył obróce...“

„Nie wyrzucę ich przed obliczem twojem za jeden rok, aby się ziemia w pustynię nie obróciła i nie namnożyło na niej bestyi;“

„Pomału je wypędzę z oczu twych, aż się rozmnożysz i posiędziesz ziemię...“

— Spiskuje ten Bóg z ludem swoim na zgubę innych narodów! — przeszło Bernardowi przez głowę i odsunąć chciał księgę, która mu zasepiła czoło, jednak rozmyślił się inaczej, otworzył ją na chybi-trafi i rzucił okiem na ustęp:

„Gdy cię wwidzie Pan, Bóg twój, do ziemi, do której wchodzisz, abys ją posiadał, a wygładzi wiele narodów przed tobą, Hetejczyka, Gergezyjczyka i Amorrejczyka, Hewejczyka i Jebużejczyka i siedem narodów daleko większej liczby, niż ty jesteś, i możniejszych nad cię;

„I gdy je Pan Bóg twój poda tobie, wybijesz je do szczętu. Nie weźmiesz z nimi przymierza, ani się zlitujesz nad nimi, ani się małżeństwa z nimi złączać będziesz.

„Córki twojej nie dasz synowi jego, ani córki jego weźmiesz synowi twemu,

„Bo zwiedzie syna twego, że nie pójdzie za mną, ale raczej aby służył cudzym bogom. I rozgniewa się zapalczywość Pańska i wygładzi cię prędko.

„Ale owszem to im uczynicie: ołtarze ich wywrócicie i bałwany pokruszycie i gaje wyrąbajcie, i ryciny popalcie.

„Pożresz wszystkie narody, które Pan Bóg da tobie. Nie sfolguje im oko twoje, ani będziesz służył bogom ich, aby nie byli ku upadku twemu...

A kilka kart dalej znalazł ustęp znów taki:

„Gdy wytraci Pan Bóg twój przed obliczem twojem narody, do których wnijdiesz posiąść je, a posiadziesz je i mieszkać będziesz w ziemi ich,

„Strzeż, abys ich nie naśladował, gdy na twoje wejście będą wygładzeni, i nie pytał się o czynnościach ich, mówiąc: Jako chwalili ci narodowie bogi swoje, tak i ja chwalić będę...”

Zwiesił głowę i westchnął:

— A więc bądźcie wiecznie obcą narosłą w ciałach innych narodów, nie zrastajcie się, nie mie-



szajecie z nimi, bo Pan, Bóg wasz, oddał wam je tylko dla waszego pożytku?... bierzcie ziemie, którychście nie uprawiali, domy, których nie stawialiście, winnice i oliwnice, których nie sadziliście, a w zamian nie dawajcie nic, bo to wasze na mocy przymierza, jakie Bóg z wami uczynił?... I dlatego nie pożyczajcie bratu swemu na lichwę pieniędzy ani zboża, ani żadnej innej rzeczy, ale obcemu pożyczajcie na lichwę, jakoście pożyczali Egipcyanom za łaską Bożą i jakoście złupili Egipcyan?... I to wszystko z tej, z tej księgi płynie na wasze mózgi, zamknięte w ciasnocie odwiecznych pojęć, odwiecznych praw, odwiecznych przykazań, a od lat tysięcy niemasz nowego Mojżesza, któryby anachronizmy z niej usunął, oczyścił, przewietrzył co zatęchło, uzupełnił, czego zabrakło?... Teraz wiem, dlaczegoś ty ludu wybrany rozproszony po ziemi całej, czemu jak pleśń narastasz tylko miejscami, czemuś jest wiecznym tułaczem narodów i czemu krzywo się patrzą na ciebie, i czemu nikt ciebie nie pragnie i nie ufa, i nie kocha!... teraz wiem, skąd wady twoje pochodzą i próżność twoja, i pycha, i sobkowstwo, i materyalizm, i wszystko, co cię gubiło i na prześladowania narażało! Masz Boga swego tylko dla siebie, masz przykazania tylko dla siebie, masz cnoty tylko dla swoich, a reszta świata to Chananejczycy, to Hetejczycy i Amorejczycy jacyś w nowych odmianach, których ci Pan twój oddał na pastwę i na żer!...

Zakrył twarz swoją rękoma i leżał tak nieruchomo czas jakiś, potem odsłonił oczy i patrzył w pustą przestrzeń, rozmyślając spokojnie:

— Unoszę się, rozumiuję jak Psański, jak najzartszy anti-semita; widocznie nie wygasła we mnie rasowa namiętność, choć pracowałem tak długo nad jej poskromieniem i opanowaniem siebie. Zdawało mi się, że już ten cel osiągnąłem...

Oparł skroń na rękę i puścił dalej wodze myślom.

Przed oczyma stał mu ciągle ów Bóg grozy i potęgi wielkiej, rozdający ludowi swemu cudze ziemie i cudze dziedzictwa, nawołujący go nieustannie do posłuszeństwa i do ograniczania się tylko w swoim rodzie, tylko w swoich pokoleniach, wbijający go w dumę i pychę zapewnieniami, że jeden jest umiłowany, wybrany, przeznaczony na podbicie świata całego, uczący go, jak zwyciężać nieprzyjaciół, jak strzedz się zetknięcia z nimi.

Nieprzyjaciół tych wszędzie moc, a gdzie przyjaciel jaki?... gdzie sprzymierzeniec?... nie wspomina o nim Jehowa, nie ma go Izrael, obywać się uczy bez niego.

Nienawiść i wstręt, i obrzydliwość budzi w jego sercu dla wszystkiego, co obce, co innej wiary, innego wyznania, innego pochodzenia, ale nie mówi nie o miłości, o przebaczeniu, o poświęceniu; a kto-by wystąpił z inną nauką, zapożyczoną od innego Boga, choćby ten Bóg był Bogiem dobroci, światła i prawdy, choćby uczył kochać wszystkich, ten zginąć powinien ukamienowany ręką własnego ojca lub brata.

„Nie pozwolisz mu, ani go usłuchać, ani mu folgować będzie oko twoje, ani się zmiłujesz nad nim, ani go utaisz — mówi Pan, — ale koniecznie zabijesz go!...“

Im dłużej rozmyślał nad tem wszystkim, tem bardziej pochmurniała twarz jego; zdawało mu się, że po raz pierwszy odkrywa rzeczy nowe dla siebie i wyciąga z nich wnioski, które go smutkiem i goryczą przejmują.

— Naród bez idei—szepnął półgłosem,—a gdzie ten Mesyasz, co go odrodzi duchowo?...

Podniósł głowę nagle, jakby nasłuchiwał; zdawało mu się, że usłyszał szelest jakiś w przedpokoju.

Rozmyślenia jego przerwały się na chwilę; przypomniała mu się Tola i oczy jej wpatrzone w niego z galeryi.

— Może to ona? — przeszło mu przez głowę, ale szelest się nie powtórzył i drzwi żadne nie skrzypnęły.

— To jednak dziwne, że nie przychodzi do tej pory — pomyślał, — dzień cały nie widziała dziś Sewerka.

Ułożył się znowu na otomanie. bo mu głowa ciążyła nieznośnie, jak gdyby dźwigał na niej jakieś niewidzialne brzemie, które ją przygniatało coraz bardziej.

Przymknął powieki, bo go raziło światło lampy i odwrócił się ku ścianie, a jednocześnie ów przerywany chwilowo wir myśli począł na nowo szumieć w jego mózgu i krążyć chaotycznie, mieszając z sobą, jak w jaskrawej grze kolorów, rozmaite naraz tematy i obrazy.

Przypominały mu się pojedyncze momenta z dzisiejszego zebrania „Postępu,” odgłosy mów, całe ustępy z jego własnych przemówień i odpowiedzi

Klappermanna, i szmery na sali, i uwagi za jego plecami, to znowu czytane przed chwilą wyjątki Pięcioksięgu Mojżesza i refleksye, jakie nad nimi czynił.

Jedna myśl goniła drugą, zaczepiała się o nią, jak haczykiem i zbaczała w innym kierunku, aby uderzyć się o nową na swojej drodze.

Plekroć otwierał oczy, zdawało mu się, że ten chaos się zmniejszał, przycichał, ustawał, ale ociężałe powieki zamykały się powoli same i senność go morzyła, a wtedy owa piekielna jazda myśli rozbudzała go na nowo.

Czuł się coraz więcej znużonym i zapadał w drzemkę coraz dłuższą; aż wreszcie zasnął na dobre i stracił świadomość samego siebie.

Jak długo spał, nie wiedział; obudził się nagle, choć dokoła zalegała cisza.

Drzwi od pokoju Sewerka były zamknięte, czyjaś troskliwa ręka przeniosła lampę ze stoliczka na biurko, aby śpiącemu w oczy nie świeciła; na lampie wisiał duży niebieski motyl, skierowany tak, by cień jego padał w stronę otomany.

Uniósłszy się do połowy, Bernard spojrzął na zegarek i ze zdziwieniem wielkiem zobaczył, że było już po jedenastej.

— Spałem, jak kamień, — szepnął; — tu jednak ktoś był...

Przeciagnął się, przetarł oczy i czoło, podszedł do biurka i zobaczył o lampę oparty bilet wizytowy Toli.

Widok tej kartki białej otrzeźwił go ze snu do reszty.

— A więc ona tu była?—pomyślał; wziął kartkę do ręki i przeczytał skreślone na niej wyrazy:

„Ponieważ Sewerkowi jest znacznie lepiej, zostawiam go pod ojcowską opieką Pana i odjeżdżam spokojniejsza. Szczerze życzliwa.“

Sięgnął szybko ręką do dzwonka elektrycznego i nacisnął guzik; za chwilę wszedł do gabinetu słuchający z paczką gazet wieczornych i listów w rękę.

— Dlaczegoście mnie nie zbudzili, kiedy tu pani była?—spytał lokaja prawie szorstko.

— Bo pan zasnął tak twardo... zresztą, jasnie pani wchodziła tu sama, ale pan nie słyszał.

— Dawno pani wyszła?

— O, będzie przeszło dwie godziny.

— Nic nie kazała powiedzieć?

— Nie, przynajmniej mnie; może mówiła co sobie.

— A długo tu była?

— Nie bardzo, śpieszyło się jej na kolej; podobno dziś miała wrócić do siebie na wieś.

Bernard machinalnie sięgnął po zegarek; pociąg, którym Tola mogła wyjechać, od godziny już był w drodze.

— Możesz odejść, — rzekł do służącego i wziął powtórnie bilet żony do ręki.

— Trudno jej było zdobyć się choć na jedno cieplejsze słowo, — pomyślał, przypatrując się piśmu Toli; — zawsze ta sama! — i zniechęcony, z przykrym wyrazem zawodu na ustach, rzucił bilet jej na biurko.

Spodziewał się czego innego na pożegnanie.

Nie miał już nawet ochoty wypytywać pani Kraut o szczegóły ostatnich odwiedzin żony w jego domu. Cóż mu mogła takiego powiedzieć?... Ten suchy, krótki, lakoniczny przypisek na wizytowej karcie mówił i tak wszystko, nie potrzebował żadnych objaśnień.

A jednak pozory omyliły tym razem Bernarda; jej przyspieszony wyjazd, jej ostatnie słowa, w których nie było żadnej wzmianki, żadnej nawet alluzji do jego publicznej roli, którą w jej oczach odegrał, nie miały znaczyć, iż pozostała tak samo zimną i obojętną, jak była dawniej dla niego.

Z walnego zebrania „Postępu“ wyszła poruszona, przejęta do głębi, ale zmieszana jakąś zarazem; na schodach, wiodących z galeryi, spotkała się oko w oko z Sammetówną, która obrzuciła ją takim spojrzeniem, jak gdyby twarz jej zmieniła się nagle w oblicze Gorgony, zabijającej wzrokiem.

Ciekawość z nienawiścią zaświeciły w tych dużych czarnych, ognistych oczach, które zdawały się syczeć, jak żmije.

Poznała żonę Bernarda, spostrzegła ją dopiero przy wyjściu, bo ukrytej za filarem na galeryi nie zauważyła przez cały czas posiedzenia; zajęta była zresztą tylko nim i nikim więcej.

Ten obcesowy sposób, z jakim się przyglądała Toli, miał w sobie coś dzikiego; wyprzedzała ją, to przystawała, zaglądała jej w oczy, to lustrowała każdy szczegół jej skromnej, ale wytwornej toalety, a brwi jej wyginały się, jak dwie czarne gąsienice, wbite na szpilki, i usta wykrzywiały się niby uśmiechem, a niby grymasem bolesnym.

— Po coś ty tu przyszła, ty? — zdawały się pytać jej spojrzenia, — przecież go nie kochasz, przecież nim wzgardziłaś, przecież ci obojętnym był dotychczas?... czego tu chcesz, czego zachodzisz mu znowu drogę?...

Nie wiedziała nic o przybyciu Toli do Warszawy i o właściwych powodach, które ją ze wsi sprowadziły.

Jakieś zaniepokojenie ją ogarnęło, jakby w przecuciu niebezpieczeństwa, którego sobie jednak dobrze określić nie mogła.

Zachowanie się Malci było tak rażące, że musiało zwrócić na siebie uwagę Toli; udała jednak, że nie spostrzega tego, i szła z tą wyniosłą godnością wielkiej damy, obojętnej na spojrzenia gawiedzi.

Na rogu ulicy wsiadła do dorozki i kazała się zawieźć do hotelu.

Instynktem kobiecym odgadła jednak uczucia, jakie widokiem swoim wzbudziła w Sammetównie.

— Ta dziewczyna go kocha i jest o mnie zazdrosną, — pomyślała.

Od tej chwili wszelako coraz trudniej przychodziło jej zachować równowagę w sobie, coraz więcej czuła się nieswojsko, coraz bardziej była oniesmieloną i coraz częściej pragnęła ukryć sama przed sobą to zainteresowanie, jakie w niej Bernard wzbudził.

Siedziała w hotelu nie zdecydowana i zastanawiała się, co ma zrobić: czy pojechać, jak zawsze, z odwiedzinami do dziecka, czy pozostać dziś w domu?...

Im więcej czuła się ogarnioną urokiem, jaki mąż wywierał na nią zaczynając, tem bardziej powstrzymywała ją jakaś niewidzialna siła od bliższego zetknięcia się z nim; ta duma nieugiętej i odpornej natury nie pozwalała jej przyznawać się do tego, że ulega jego wrażeniu, że byłaby zmuszona zaprzeczyć sobie i tej kilkuletniej przeszłości, że musiałaby uznać krzywdzącą swą pomyłkę względem mężczyzny, od którego odeszła, nie mogąc go pokochać.

A teraz... a dziś, działo się z nią coś dziwnego, niepojętego, coś tajemniczego, co w jej sercu i nerwach sprawiało przewrót niespodziewany i niezrozumiały.

Zdawało się jej jednak, że to coś ją upokarza, krępuje, owiesmiela i że nie potrafiłaby Bernardowi spojrzeć w oczy tak samo jak dotąd, bo zamiast chłodnej obojętności, mógłby w nich dostrzedz...

Nie, tego nie chciała mu właśnie pokazać, aby nie tryumfował nad nią.

Warunki, w jakich się rozeszli, stawiały pomiędzy nimi zapórę, która wydawała się jej nie do przebycia, przynajmniej dla niej samej, dla niej pierwszej.

— Odjadę, — pomyślała z nagłym postanowieniem, nie przyznając się, że ten wyjazd zakrawał na ucieczkę przed jakąś siłą wyższą, której obawiała się i wstydziła uleść bez walki.

Kazała podać sobie rachunek, spakować rzeczy i poszła pożegnać się z dzieckiem; przez drogę myślała tylko o tem, jakby mogła uniknąć spotkania z Bernardem.



Czuła, że nie potrafi z nim rozmawiać swobodnie, że się ukrywać nie potrafi, a zdradzić nie chciała się za nic w świecie; była pierwszy raz w życiu tak bezradną i tak zaskoczoną niespodzianie własnymi uczuciami, które od dzieciństwa przywykła była tać w sobie, nie mając ich z kim, jako sierota, dzielić.

Serce biło jej o wiele silniej w zacieśnionej piersi, gdy stanęła u drzwi męża, niż podczas pierwszego wejścia w te same progi.

— Pan w domu? — spytała nieśmiałym szeptem służącego.

— W domu, ale zasnął w swoim gabinecie.

Odetchnęła swobodniej i na palcach po cichu przemknęła się do pokoju Sewerka.

Chłopak instynktownie wyciągnął do matki ręce w pierwszej chwili, ale nagle jakby sobie przypomniał swoją urazę, cofnął je i schował pod kołdrę, a kiedy zbliżyła się do niego z powitaniem, zadasał się i z wyrzutem spoglądając na nią, rzekł:

— Toś ty taka dobra mama?... cały dzień u mnie nie byłaś. Wstydź się!

Tulił się do niej, ale udawał, że główkę odwraca i że jest zagniewany.

— Ja tu byłem taki grzeczny, jak nigdy—chwalił się przed matką, — niech powie Madame. Aż pan doktor to poznał i pozwolił mi wstać; a widzisz!... będę już całkiem, całkiem zdrow.

— I pojedziesz do Grzędów, — wtrąciła matka, głaszcząc go po głowie i skroniach.

— To ja tu już nie zostanę? — spytał jej.

— A chciałbyś tu zostać?

— No, sam nie, ale z tobą, z Madame...

— Dobrze ci tu?

— Teraz dobrze, z początku to mi było jakoś tak... jakoś nie bardzo, ale teraz, to co innego. Tatus mnie kocha, pieści mnie, zabawek mi tyle nakupował, a ta stara babcia, wiesz ta Sandsteinowa, tatusia mama, to mi przysyła codziennie coś nowego... ona teraz tu nie przychodzi. Dlaczego ona ani razu teraz nie była przy tobie?... czy ona także słaba?... bo ten dziadzio, co mówi takim grubym głosem, to był u mnie któregoś dnia, jakieś ty wyszła.

Przypomnienie teścia i teściowej sprawiło na Toli nieprzyjemne wrażenie; w naiwnych słowach dziecka był ukryty cierń, który ją ukłuł.

Starzy Sandsteinowie unikali jej widocznie, nie chcieli się z nią spotkać.

Gdy o nich pomyślała, powiał na nią jakby chłodny wiatr, który ostudził jej serce z owych cieplejszych uczuć, jakie się w niem dla Bernarda zbudziły; odżyły w niej wszystkie wspomnienia z tej dusznej, nużącej atmosfery rodzinnej, w której po zamążpójściu istne męczarnie znosić musiała.

— Mam wrócić do nich kiedykolwiek dobrowolnie? — pomyślała i wzdrygnęła się — nie, nie potrafiłabym tego mimo wszystko.

Przygarnęła bliżej do siebie Sewerka i rzekła:

— Nie mów tak głośno, bo możesz obudzić tatusia.

— Albo tatus śpi?

— A śpi.

Chłopaczek rączkę położył sobie na ouzi i szepnął:

— A to trzeba być cicho, niech śpi; miał taką gorącą główkę, kiedy wrócił.

Podniósł usteczka do samego ucha matki i dodał:

— Powiadam ci, że on jest bardzo dobry, ten tatuś; czy ty go także kochasz?...

Zarumieniła się i nie odpowiedziała dziecku na to drażliwe pytanie, którego nikt jej w życiu tak wyraźnie nie zadał, nawet on sam, mąż jej; on najmniej ze wszystkich miał do tego odwagi, bo go nigdy do takiego pytania nie ośmieliła przez cały czas swojego pożycia z nim.

Wzrok jej przez niedomknięte drzwi padł do drugiego pokoju, w którym widać było leżącego na otomanie Bernarda, zmorzonego snem głębokim i nieprzerwanym.

Czas jakiś przypatrywała mu się w zamysleniu, wahając się i walcząc z postanowieniem, które powzięła; wreszcie wstała, po chwili podeszła do drzwi i wsunęła się bez szelestu do jego gabinetu, aby usunąć lampę, stojącą na stoliczku.

Przez kilka chwil stała i wpatrywała się w śpiącego męża, jakby z jego spokojnej, ale pochmurnej twarzy chciała odgadnąć sny, które zapełniały jego zwieszoną głowę.

Postawiła lampę na biurku i osłoniła klosz motylem z niebieskiej bibułki; czyniła to wszystko ostrożnie, powoli, aby nie zbudzić śpiącego.

Wyjęła potem z kieszeni mały karnecik z biletami wizytowymi, wzięła ołówek i pisać zaczęła.

Bernard spał ciągle, spał tak cicho, że nawet oddechu jego słyszeć nie było.

Bilet wizytowy zapełnił się cały po jednej stronie piśmem Toli; zatrzymała się nagle, podniosła go i odczytywać zaczęła swoje słowa.

To, co napisała, wydało się jej jednak niestosownem, mówiło za wiele i za mało, miało jakiś ton mimo jej woli osobliwy, dziwny, niewłaściwy w stosunku, jaki między nią a nim dotąd zachodził.

— Nie, tak nie można — pomyślała, — mógłby to źle zrozumieć, trzeba być konsekwentną.

I schowała zapisaną kartę do kieszeni, a na drugiej skreśliła owych obojętnych, zimnych kilka słów pożegnania, przy których jednak serce jej się tłuło niespokojnie i coraz silniej.

Oparła bilet o lampę w miejscu widocznem i jakby uciec chciała najszybciej, z głową pochyloną, z zapartym oddechem przemknęła się cicho, jak cień ku drzwiom, które ostrożnie przymknęła za sobą.

Sewerek z opartą na obu piąstkach brodą przypatrywał się jej, gdy szeptała coś z boną w drugim końcu pokoju, a gdy go przyszła pocałować na pożegnanie, dziecięcym przecuciem tknięty, spytał:

— Czy ty tu już nie przyjdiesz więcej?

— Pewnie nie.

— Chcesz odjechać i mnie tu zostawić? — pytał dalej zaniepokojony.

— Za kilka dni pojedziesz i ty, moje dziecko; bądź tylko grzecznym i posłusznym, to cię pani Kraut przywiezie do mamy...

— Ja tak nie chcę, ja wolę...

Przybrał minę smutną i zadąsaną znowu, a w oczach zaświeciły mu łzy.

Tola położyła mu zlekka dłoń na ustach wydętych i rzekła:

— Cicho, cicho Sewerku, bo obudzisz tatusia!...

Dziecku na płacz się zbierało.

— To mnie od razu z sobą zabierz!...

— Proszę cię, bądź grzecznym.

— Co mi z tego, że będę grzecznym, kiedy znowu sam zostanę? — skarżył się malec i obruszał to jednym, to drugim ramieniem, — nie chcę, nie potrzebuję...

Uścisnęła i ucałowała go kilka razy z jakąś rzewną czułością, zanim oderwała się od niego ostatecznie.

To rozstanie przyszło jej ciężko, ale nie chciała przedłużać go zanadto.

— Cicho, cicho moje dziecko, bo ojca zbudzisz! — powtarzała Sewerkowi, tłumiącemu płacz, który jej samej łzy do oczu sprowadzał.

Dzieciak rzucił się nagle, nakrył się cały z głową atłasową kołdrą i twarzyczkę wcisnął w poduszki.

Leżał tak czas jakiś i nie ruszał się, czekając, czy go matka nie podniesie i nie utuli, zmięczona jego łzami, ale nie doczekawszy się tego, wysunął główkę z pod kołdry i rozglądając się po pokoju, spytał bony, która wracała właśnie, odprowadzwszy Tolę do drzwi:

— I na prawdę już poszła?...

W głosie dziecka brzmiało smutne niedowierzanie i żal serdeczny.

Zamyślił się, usiadł na pościeli i dłonią rozgniatł grube łzy, które mu cicho spadały na kołderkę, ale milczał, bo mu bona powtórzyła słowa matki:

— Trzeba być cicho, bo obudzisz tatusia!...

A on go nie chciał obudzić, pamiętając, że tatuś miał główkę gorącą, kiedy go tulił w swoje objęcia po powrocie do domu...

Przyjazd Toli i bytność jej kilkakrotna w domu Bernarda zaalarmowała starych Sandsteinów bardzo w pierwszej chwili, ale utrzymując z synem stosunki dość oziębione od czasu jego rozejścia się z żoną, nie chcieli nawet zagadnąć go w tej sprawie i wybadywać, czy ten przypadek nie pociągnie za sobą jakich poważniejszych następstw.

Wiedzieli zresztą, że w tym samym czasie zajęty był interesami „Postępu“ i że go ta publiczna rola pochłonęła całego.

Sandsteinowa, żywiąca zawsze w sercu matki głęboką urazę do synowej, nie chciała się z nią spotkać osobiście, ale ciekawość kobieca nie dawała jej spokoju; chciała wiedzieć o wszystkim, co się działo podczas odwiedzin Toli u dziecka, i raz po raz wysyłała na zwiady swoją pannę służącą lub lokaja, aby przez nich zasięgnąć wiadomości.

Przez cały ten czas czuła się wzburzoną i zdenerwowaną, miała bicie serca i płakiwała po cichu.

— Ona mu znowu jakie nieszczęście przyniesie! — powtarzała do męża, nie wymawiając nigdy imienia Toli.

— Większego mu już nie przyniesie, jak przyniosła, — odpowiadał stary Sandstein, ale mimo to, gdy się dowiedział, że synowa jego powróciła do

Grzędów, nie pożegnawszy się nawet osobiście z Bernardem, skrzywił się i doznał czegoś w rodzaju zawodu.

On sobie niby nie życzył tego, aby się pogodzili, jednak miał jakąś nadzieję, jakieś lekkie przecucie, że to może nastąpić.

— Co to warte takie małżeństwo, co to ni to, ni owol— mawiał z kwaśnym grymasem na ustach,— to jak areszt położony na czyjej pensyi; to jest marnowanie życia. Ten Bernard to ma głowę całkiem przewróconą. Jemu się zdaje, że on jest jakiś rycerz średniowieczny i zachciewa mu się być szlachetnym bohaterem. Ciekawy jestem, co mu z tego przyszło do tej pory!..

Rola syna przyjęta w „Postępie“ psuła mu do reszty humor.

— To jest skończony waryat! — zaopiniował krótko po walnem zgromadzeniu, z którego szczegółowo zdał mu sprawę wieczorem Sammet w kantorze.— On się tak ludziom narazi, że uciekać będą od niego, jak od dżumy.

Mimo to na drugi dzień przeczytał uważnie wszystkie dzienniki, w których pomieszczone były artykuły o zebraniu akcyonaryuszów „Postępu“ i streszczenia rozpraw. Kilka pism z uznaniem wyrażało się o Bernardzie, podnosząc jego odwagę osobistą i dobre intencye.

Sandstein, trzymając w jednej ręce gazetę pod światło, w drugiej binokle swoje w rogowej oprawie, ważył każdy wyraz i poruszał ustami, czytając sprawozdania, ale głowę kręcił pomimo pochwał, oddawanych publicznie synowi.

— No, co to znaczy, co to znaczy! — mówił, odkładając jedno pismo za drugim, — tu go chwala, a tu go rżną, że się porywa z motyką na słońce i robi awantury. Ten, co go nazwał Hamletem przemysłowym, ma największą rację.

— Dlaczego Hamletem? — zagadnął wspólnika swego Sammet, który na punkcie Szekspira nie był tak bardzo pewnym siebie; — dlatego, że chce zadusić „Postęp“?...

Pomieszał mu się Otello z królewiczem duńskim, którego nigdy nie widział na scenie, bo od czasu, jak raz zasnął na tragedyi w łoży za plecami Malci, zarzekł się chodzić do teatru na „smutne kawałki,“ uważając, że szkoda pieniędzy na sztuki, które zamiast człowieka zabawić, zmęczą go tak, że aż głowa potem boli.

W jakiś tydzień po walnem zgromadzeniu, wróciwszy pewnego dnia do siebie, zastał Bernard bilet wizytowy starego Majenfelda.

Ze zdziwieniem przypatrywał się zagiętej karcie znanego bogacza i gubił się w domysłach, co mu tę wizytę niespodzianą sprowadzić mogło.

— Majenfeld u mnie? — myślał — no, no!... co to może znaczyć?...

Drugiego dnia wybrał się do starego finansisty, który go przyjął w swoim gabinecie prywatnym, urządzonym bardzo skromnie, jak na mieszkanie milionera.

W pokoju nieobszernym, wązkim a długim, przy oknie szerokim, zasłanionem od dołu malowanym witrażem z kolorowego papieru, stało biurko mahoniowe z galeryjką, a na niem mnóstwo papierów,



książek, notatników, ceduł giełdowych, listów rozpieczętowanych i gazet zagranicznych.

Przed biurkiem w ogromnym, starym, wypłowiałym fotelu, wysłanym safianową skórą, siedział zawiedły, z bladą jak opłatek twarzą o chorobliwej cerze mężczyzna, mający około lat sześćdziesięciu.

Krótko przystrzyżona broda i wąsy, jak szczotka obcięte równo nad górną wargą, były dobrze siwizną przyprószone, zarówno jak włosy bujne niegdyś i kędzierzawe, ale na skroniach i na cieniu przeredzone przegładającą łysiną.

Jedynie gęste brwi nad małemi z pozoru oczyma, zachowały jeszcze barwę ciemniejszą i odbijały od pergaminowej bladości skóry, pokrywającej szerokie czoło i policzki; oczy te zdawały się cofać w głąb swoich dołów i stamtąd spoglądać, jak zaczone — na wszystko, ale chwilami ożywiały się dziwnie i łyskały nagle spojrzeniem tak bystrem, jakby z nich wyskakiwały fosforyczne ogniki.

Przygarbiony, pałakowaty grzbiet i pochylone ramiona nadawały postaci starego Majenfelda pozor zgrzybiałości; ręce białe, delikatne, pokryte pomarszczoną skórą, z pod której cała sieć żył nabrzmiałych, błękitnawych, wypukliła się jak na anatomicznym preparacie, drżały przy każdym poruszeniu jakimś nerwowym, chorobliwym dreszczem.

Po wejściu Bernarda, stary bankier podniósł głowę i zmrużając oczy, przypatrywał się gościowi, nie wstając ze swego fotelu.

— A to pan, panie Sandstein? — zaczął z żywieniem, — bardzo mi miło powitać pana. Pan daruje, że jestem w takim negliżu, — rzekł, wskazując swój bajowy szlafrok z niebieskimi wyłogami, — ale musiałam się wczoraj znowu przeziębić i czuję się jakiś niedysponowany. Ja ośm dni w tygodniu choruję, to już u mnie stan normalny. Proszę, niech pan siada, panie Sandstein.

Wskazał mu ręką krzesło o wysokiej poręczy, stojące nieopodal biurka.

— Co pan pozwoli, cygaro czy papierosa? — spytał z uprzejmą gościnnością; — ja nie palę, ale dym znoszę.

Bernard podziękował skinieniem głowy i odsunął podane sobie pudełko z papierosami.

— Pan także nie pali?... to wyjątek w naszych czasach — zauważył z uśmiechem Majenfeld, — teraz już i kobiety kopcą, jak Turki. Ja dawniej dużo paliłem, nałogowo, ale mi lekarze zabronili. Oni mi wszystkiego powoli zabronią, nawet żyć, — dodał, uśmiechając się dobrodusznie.

— Jakże zdrowie szanownego pana? — spytał Bernard.

Bankier głową pokiwał melancholijnie.

— Chce pan powiedzieć, jaki jest stan mojej choroby — rzekł, — o zdrowiu niema już u mnie mowy, a choroba jak wahadło posuwa się to w jedną, to w drugą stronę. Siedziałem kilka miesięcy za granicą i wróciłem taki sam, jak wyjechałem. Szkoda tylko czasu straconego.

Westchnął zlekka i drżącą ręką machnął w powietrzu.

— Ja wczoraj byłem u pana, panie Sandstein,— zaczął z innego tonu. — Pan się pewnie nie domyśla nawet w jakim celu, co?... ja do nikogo z wizytami nie chodzę, ale do pana się zawlokłem.

Przysunął się bliżej ze swoim fotelem i łokieć oparłszy na kolanach, wpatrywał się z zajęciem w Bernarda.

— Pan mi także jakos mizernie wygląda; masz pan fizyognomię zmęczoną. Trzeba zdrowie szanować, panie Sandstein, bo to kapitał na bardzo kruchej hipotece. Z nim to tak bywa, jak z kursem „Postępu;“ kiedy zacznie spadać, to nie można przewidzieć, kiedy się zatrzyma. Cóż, widziałeś pan dzisiejszą cedułę?... znowu różnica o 2<sup>o</sup>%. Narobiłeś pan popłochu na giełdzie. Ja właśnie w tej sprawie chciałem z panem pomówić.

Przerwał sobie i skrzywił się nagle, jakby go coś zabolało dotkliwie; przycisnął rękę do prawego boku w okolicy wątroby i zamilkł na chwilę, potem odetchnął głębiej i rzekł:

— O, widzisz pan, tak mnie czasem zniemacka chwyci to tu, to tam, jakby mnie kto obcęgami wnętrzości szczypał. No, Bogu dzięki, już mi przeszło... Co to ja panu mówiłem?... aha!... wiem już. Chciałem panu powinszować tak efektownego występu na arenie publicznej. Pan podobno bardzo ładnie i bardzo śmiało przemawiałeś na ostatniem walnem zgromadzeniu „Postępu.“ Żałuję, że tego nie słyszałem. Nam potrzeba ludzi energicznych i śmiałych; byle nie za śmiałych, panie Sandstein, byle nie za śmiałych! — powtórzył z widocznym naciskiem, jakby przestrożę, skiero-

waną ku swemu gościowi. — Pan podjąłeś zadanie trudne i ryzykowne — ciągnął dalej, akcentując każdy wyraz, co jego dykcji nadawało cechę profesorskiego wykładu z katedry, — jaki pan miałeś plan, jeżeli wolno spytać?

— Plan bardzo prosty — odparł Bernard, — chciałem przez zorganizowaną silnie opozycję wyprzeć obcy żywioł z Towarzystwa i uratować je od wyzysku Niemców, przez wprowadzenie zaś koniecznych reform ugruntować je na trwalszych i pewniejszych podstawach.

Majenfeld nie spuszczał oczu z niego.

— Tak, tak, rozumiem — mówił, namyślając się, — ale organizacya pana zawiodła?

— Niestety!

— Próbowaleś pan z Płonickim?

— Z tym najgorzej mi się udało.

— Chcieliście w kombinacyę wciągnąć księcia?

— Dla firmy.

— Stary ślimak cofnął rogi?... prawda?... reszta zaś rozlazła się, co?...

— Jak zwykle u nas.

— Hm, hm... tak, tak... i zostałeś pan sam jeden w całym obozie?... to jednak nie powstrzymało pana od rozpoczęcia akcyi. Bardzo ładnie, bardzo ładnie; zdaje mi się, że odgaduję pański manewr.

— Jaki manewr?...

— Przypuszczam, iż chciałeś pan zaszachować akcyonaryuszów zagranicznych i liczyłeś na to, że ewentualna niżka ich zastraszy?... jeżeli tak, dopiąłeś pan celu. Kursa spadły i spadać będą jeszcze, póki się ostatecznie położenie nie wyjaśni na

przyszłem walnem zebraniu. Berlińczycy trzymają się, ale dostali już gęsią skórkę, — cóż będzie dalej?... czy masz pan jakie plany dalszego działania?...

— Miałbym, gdyby się znaleźli ludzie dobrej woli i poświęcenia.

Majenfeld cofnął się w tył i zagłębił w swój staroświecki fotel tak, że prawie w nim utonął.

— Otóż to! — zawołał ze śmiechem — stawiasz pan warunki zbyt idealne do osiągnięcia celów praktycznych. Po co tu dobrej woli i koniecznie poświęcenia?... poświęcenie w sprawach finansowych nie istnieje, drogi panie, i nie powinno istnieć. Interes jest realistą praktycznym i oblicza się z kredką w ręku, ile może zarobić, a poświęcenie jest idealistą, który tem bardziej bywa zadowolony, im więcej stracić może. Wybacz pan, że jako starszy i doświadczeńszy, zrobię panu kilka uwag co do pańskiego postępowania. Pan mi się wydaje trochę za gorąco kąpany; pan za dużo wymagaśz i za daleko dążysz w swoich bardzo pięknych zamiarach, ale — znowu pana przepraszam — pan, panie Sandstein, nie obliczasz się dość ściśle z rzeczywistością. Widzi pan, mojem zdaniem, ta cała rzecz była od początku wadliwie poprowadzona. Zamiast od pięknego frazesu o dobrej woli, poświęceniu, obywatelskich obowiązkach i t. p., trzeba było rozpocząć od prostego rachunku. Czy pan wie, jakby to był zrobił Klappermann na pańskim miejscu?... on byłby do Płoniczkiego, do księcia i do tych wszystkich panów powiedział mniej więcej w ten sposób: „Moi panowie, jest do zrobienia

dobry interes, przy którym będziemy mogli pozbyć się Niemców z naszego towarzystwa; trzeba postarać się o niżkę gwałtowną naszych akcji na pewien przeciąg czasu, odkupić w danej chwili po niżonym kursie nasze papiery na giełdach zagranicznych, zaryzykować taki a taki kapitał, a ja panom gwarantuję, że w ciągu pół roku przy dobrej administracyi kursa znowu się podniosą, i że nie tylko nie stracie na swoich dawniejszych udziałach, ale jeszcze grubo zarobicie na nowo nabytych.“ Widzi pan, to byłoby z pewnością łatwiej przemówiło do przekonania opozycyi, bo argumentacya na cyfrach oparta budzi zaufanie. Dlaczego pan tej kwestyi tak jasno nie postawił?... no?... dlaczego panu koniecznie chodziło o dobrą wolę i o poświęcenie?...

Bernard spojrział na niego, jakby zdziwiony, że mu takie pytanie zadać może.

— Jak to? — rzekł — pan nie domyślił się moich intencji?... chciałem tę sprawę traktować z punktu szlachetniejszych poglądów i postawić ją na gruncie nie samego interesu, ale i poczucia obowiązków publicznych. A zresztą — dodał, zaważawszy się przez chwilę — unikałem może z umysłu takich argumentów, aby...

— Aby?...

— Aby nie zanadto przypominać tym naciskiem na finansową spekulację, że rozumiem tylko, jak Sandstein z krwi i kości, który...

— Przepraszam pana — wtrącił Majenfeld, — który z Żydów pochodzi; jeżeli się nie mylę, to pan chciał zapewne powiedzieć, tylko nie tak pro-

stemi słowami, prawda?... Niech pana to nie uraża, bo i ja przecież nie wywodzę się od żadnych hidalgów hiszpańskich, ale jestem tak dobry Majenfeld, jak pan Sandstein; tylko ja nie przywykłem słów owijać w bawełnę. Na tym punkcie nie mam żadnych drażliwości i nie staram się ukrywać mego pochodzenia, o którym wie cały świat. Ja nawet nie dobieram oględniejszych wyrazów, ilekroć mam powiedzieć, że pochodzę z Żydów; śmieszni są ci, którzy myślą, że kiedy ich nazwą Semitami, to ich będą uważali za Żydów pół-krwi, za jakąś delikatniejszą rasę. Co im przyjdzie z tego?... To zresztą tak samo z naszym semityzmem, jak z cygarami na granicy; niejeden ukrywa je na samem dnie w walizce i myśli, że mu się uda przekraść bez odcienia, tymczasem prawie zawsze musi potem płacić kontrabandę, a ten, który sam wystawia je na wierzchu, nie naraża się na żadne nieprzyjemności. Pan wie, co robią garbaci?... żartują z własnego garbu, aby im go drudzy nie wytykali. Ja z mego garbatego nosa sam się śmieję, i nie zdarzyło mi się, aby mi go kto inny przypominał. Ja go mam, no i cóż?... przecież go sobie amputować nie każe. Jednak odeszliśmy od przedmiotu... przepraszam pana; wracajmy do „Postępu.“ Mówiłeś pan, że chciałeś tę sprawę traktować z punktu szlachetniejszych poglądów?... i okazało się, że ten punkt nie był do tego stopnia przekonującym, aby panu pomógł do zorganizowania silnego stronnictwa; a cyfry, kto wie, możeby były przekonały.

Dalsze wywody przerwał mu wejście służącego, który na tacy wniósł biały dzbanek porcelanowy i szklankę.

Bankier zwrócił się niechętnie ku drzwiom i zmarszczył brwi.

— Co tam? — spytał niezadowolony, że mu przerwano rozmowę z gościem, ale w tej samej chwili twarz mu się znowu rozpuodziła.

— Ach, moje mleko! — rzekł objaśniająco, — zapomniałem, że to godzina mojego karmienia. Pan wybaczy — dodał uprzejmie, uśmiechając się znowu melaucholijnie do Bernarda, — ale od kilku tygodni wzięli mnie lekarze na mleczną dyetę i żywią, jak nowo-narodzone dziecko, albo raczej jak cielę, które pozwala z sobą robić wszystko, co im tylko do głowy przyjdzie. Ha, trudno!... każą pić mleko, trzeba słuchać.

Wziął w rękę dzbanek i nalał sobie pełną szklankę.

— Pana nie śmiem nawet poczęstować — odezwał się dobrodusznie, — ale może herbaty?..

Bernard podziękował skinieniem głowy.

— Może kieliszek wina?... może wody sodowej z koniakiem? — proponował dalej gościnnie gospodarz, — pan nie pali, nie pije, — czemuż ja pana uraczę w moim domu!..

— Dziękuję za wszystko.

— Ha, w takim razie za zdrowie pańskie i za pomyślność pańskich zamiarów! — rzekł, wznosząc nieco w górę pełną szklankę świeżego mleka i przytknąwszy je z widoczną lubością do ust, popijać zaczął małymi haustami i łykał powoli, z uwa-



gą i ostrożnością ludzi chorych, którzy badają się sami przy każdej czynności fizyologicznej.

Zdawało się, że go posiłek ten orzeźwia i wzmacnia; upił do połowy i nie odstawiając szklanki, trzymał ją w obu rękach na kolanach, z miną zadowoloną smakosza, który zaczął rozkoszować się pierwszymi kąskami zastawionej potrawy.

— Nie pamiętam, czy mi co w życiu tak smakowało za moich zdrowych czasów, jak teraz proste mleko od krowy — zaczął; — przyznam się panu, że przez mój chory żołądek zaczynam filozofować od pewnego czasu i myślałem już nieraz nad tem, po co ludzie jadają jakieś pasztety, frykasy, trufle, homary, rujnują się na kuchnię i piwnicę, skoro mogliby doskonale poprzestawać, jak ja, na kilku szklankach takiego mleka dziennie!... Ale znowu odchodzimy od przedmiotu — przerwał sobie, — przeproszam pana po raz ostatni za to zбочenie. Wziąłem dziś na gadanię widocznie i czas panu zajmuję niepotrzebnie. Czy się pan śpieszy może?

— Bynajmniej.

— To tem lepiej; przystąpimy tedy od razu do właściwego celu mojej wczorajszej wizyty u pana.

Spuścił na chwilę głowę, jakby się jeszcze namyślał nad tem, co miał powiedzieć, i spoglądając z pod oka, zawsze z tą samą jakąś badawczą uwagą na Bernarda, z jaką obserwował go od początku rozmowy, rzekł:

— Spodziewam się, że mogę mówić z panem otwarcie i że mogę liczyć na pańską dyskrecyę.

— Najzupełniej, skoro panu na tem zależy.

— To jest zależy do czasu, nie tylko w moim własnym interesie, jak się pan o tem za chwilę przekonasz.

Pociągnął ze szklanki znowu kilka łyków i mówił dalej:

— Pośredni czy bezpośredni cel pański został osiągnięty, akcje „Postępu“ spadają i Berlińczycy są zaniepokojeni. Nadeszła tedy chwila wyzyskania sytuacji; czy tak?

— Rozumie się.

— Pomyślałeś pan o tem, aby ją wyzyskać?

— Ja sam? ..

— Sam, czy w spółce z kimkolwiek?

— To właśnie zajmuje mnie od tygodnia i sprawia kłopot niemały; o zebranie znaczniejszych kapitałów w takiej chwili niełatwo.

— Wiem o tem i o ryzyko trudno; za mało zresztą czasu teraz dopiero rozpoczynać agitację i namawiać ludzi do zrobienia dobrego interesu. Należało o tem wcześniej pomyśleć, panie Sandstein.

Powiedział to, jakby z lekkim napomnieniem, kładąc swą białą, żylastą, pergaminową rękę na kolanie Bernarda.

— Otóż ja, widzi pan, namyśliłem się i postanowiłem uprzedzić pana; ja zacząłem nabywać akcje „Postępu“ na giełdzie berlińskiej, pomimo zniżki.

Bernardowi oczy się rozjaśniły, poruszył się na krześle i z nietajoną radością zawołał:

— Ależ to świetnie, to doskonale!..

Majenfeld powstrzymał go na miejscu.

— Proszę, posłuchaj pan dalej; jak powiedziałem, nabyłem już trochę „Postępu“ i nabędę jeszcze przez moich agentów, o ile będą do sprzedania. O odkupieniu wszystkich własności niemieckich mowy być nie może; sprzedają tylko lękliwi i ci, którym spadek chwilowy kursu różnicę czyni w obrotach natychmiastowych. Reszta zna się na tem i przeczeka kryzys. W każdym razie pewien udział, może nawet stosunkowo znaczny, będzie do odzyskania — i ten udział postanowiłem nabyć.

Bernard z zapamiętaniem pochwycił rękę starego finansisty i uściśnął ją gorąco w dowód uznania, z głębokim przejęciem.

— To szlachetnie, panie Majenfeld!... spełniasz pan uczynek obywatelski! — zawołał.

Majenfeld pochylił się w tył i oparł o poręcz fotelu.

— Bynajmniej, panie Sandstein — przerwał mu tonem spokojnym, ale stanowczym, — ja tylko robię dobrą transakcyę i mam na celu dobry interes. W sprawach pieniężnych trzeba dbać o to przede wszystkim, jeżeli się nie chce kapitału marnować. W danej chwili „Postęp“ jest dla mnie dobrym interesem — ja reflektuję na niego. Niech pan jednego z drugim nie miesza, panie Sandstein, i nie przypisuje mi zasługi, której na polu giełdowej spekulacyi nie szukam.

— Tak, to prawda — zauważył Bernard, zбитy nieco z toru spokojnym racjonalizmem Majenfelda, — ale w tym wyjątkowym wypadku dobry interes łączy się jednak z zasługą, bo pośrednio pomaga do wyrzucenia Niemców z „Postępu.“

Bankier przechylił głowę i podniósł ramiona, jakby się nad tem zastanawiał.

— Pośrednio... może — rzekł, — ale w tej chwili nie o to mi chodzi. Ja wiem, co robię, i rozmawiam z panem teraz, jak kapitalista, który szuka dobrej lokacyi dla swoich kapitałów. „Postęp“ może być dobrą lokacją; nie trzeba tylko dążyć do tego, jak pp. Seliger, Blatt et consortes, ażeby był... za dobrą lokacją, bo to zawsze demoralizuje każdy interes i każde przedsiębiorstwo, a prędzej czy później musi komuś na złe wyjść. Ja tej zasady trzymałem się zawsze i może jej właśnie zawdzięczam i powodzenie moje, i opinię, jaką sobie wyrobiłem. Kto chce więcej wyciągnąć z jakiegoś interesu, aniżeli on dawać może i powinien, ten musi wyzyskiwać, i widzi pan, w tym braku miary, w tej krańcowości leży największa część winy spekulacyi... żydowskich. Z tego urodziła się lichwa, eksploatacja, fuszerka, szacherka i tyle innych rozmaitych rzeczy, dla których Żydów pijawkami nazywają; oni pragną zawsze za dobrych interesów, kiedy im się dobre nastreczają. Co prawda, nie tylko oni jedni...

Dopił reszty mleka ze szklanki, otarł usta i po chwili zaczął na nowo:

— Widzi pan, panie Sandstein, ja mam na pana pewne plany; pan jest człowiek młody, energiczny, ruchliwy, pan ma charakter i grunt bardzo uczciwy, poglądy bardzo postępowe, pan jest zdolny... o ile wnioskować mogę, bardzo nawet zdolny, — to wszystko należałoby zużytkować.

Przerwał sobie i zmrúżywszy oczy, popatrzał na Bernarda.

— Niech się pan nie pogniewa na starego nudziarza za to, co teraz powiem; pan ma także i wady, jak na człowieka do zawodu praktycznego. Pan z jednego kierunku przerzucił się zanadto w drugi, z krańca w kraniec.

Bernard z uwagą podniósł głowę, którą spuścił zawstydzony pochwałami Majenfelda.

— Jak to?... nie wiem, o czym pan chce mówić...

— Ja to panu zaraz wytłómaczę, — pan musi mieć naturę bardzo wrażliwą, otóż pan się przejął zanadto marzycielstwem i entuzjazmem przy zetknięciu z nową rasą, i z pana się zrobił trochę ideolog, w którym trudno odszukać rysów... semickiego pochodzenia. Ja wiem, że to się stało w najszlachetniejszym celu, bo ja od dłuższego czasu obserwuję pana, choć zdaleka, ale nie mniej to musi przeszkadzać panu chodzić po ziemi, po tym realnym gruncie, po którym zwykli śmiertelnicy chodzą. To jest tylko moje przypuszczenie — dodał, śmiejąc się dobrodusznie — i ja pana jeszcze raz najmocniej przepraszam, że tak otwarcie o tem mówię z panem, panie Sandstein, ale ja mam dla pana dużo szacunku i sympatii, więc proszę mi tego za złe nie brać, tem bardziej, że jak pan zobaczy, moja opinia o panu nie przeszkadza mi wcale zrobić panu następującej praktycznej propozycji.

Nalał sobie drugą szklankę mleka i mówił:

— Wobec dzisiejszych warunków, „Postęp“ znajduje się w fazie przejściowej; jako jedna z najpoważniejszych i najpożyteczniejszych instytucji

przemysłowych, czego panu tłumaczyć nie potrzebuję, odgrywa rolę niepospolitą. Po chwilowych zbożeniach, należałoby ją wprowadzić znowu na właściwe tory, a to nie będzie zadaniem tak trudnym przy pomocy odpowiednich reform i odpowiednich ludzi. Sądzę, że po usunięciu w znacznej części niebezpieczeństwa krańcowej eksploatacji ze strony obcego żywiołu, po usunięciu spekulantów, którzy tylko swoje interesa mieli na widoku w „Postępie,” po zastąpieniu synekurzystów w Radzie zarządzającej ludźmi pracy i niezależnego zdania, będzie można instytucję poprowadzić dalej po drodze rozwoju z pożytkiem dla akcyonaryuszów i przemysłu naszego. Czy podzielasz pan moje przekonanie w tym względzie?

— Najzupełniej.

— Spodziewałem się tego; zatem rzecz prosta, kochany panie Sandstein,—zróbmy to.

Ostatnie dwa wyrazy rzucił tonem spokojnym, nieco przyciszonym, ale z tą pewnością dobrego gracza, który na zakończenie party odsłania ostatnie dwa atuty.

Bernardowi zaświeciły oczy; w Majenfeldzie zyskiwał niespodzianie sprzymierzeńca, który jego zachwianym planom i zamiarom dawał nagle poparcie, jakiego szukał dotąd nadaremnie.

— Ależ panie Majenfeld—zawołał znowu z tym samym błyskiem zapału, który mu raz już twarz opromienił na wiadomość o skupowaniu akcji przez starego finansistę, — propozycja pańska dogadza moim najgorętszym życzeniom. Zróbmy to!.. takie wezwanie jest dla mnie równie miłym, jak

zaszczytnem; niczego innego nie pragnę, tylko mojej słabe siły zużytkować w podobny sposób. Ależ zrobimy, zrobimy to!... tylko jak?... Klappermanna trudnoby było zastąpić; ma zawsze jeszcze silną partyę i nie da się.

— Ja też nie myślę wcale o jego usunięciu — przerwał mu Majenfeld, — to pomimo wszystkiego tęga głowa i człowiek jedyny do wielkich interesów.

Bernard spojrział na niego pytająco.

— W takim razie, cóż ja...

— Klappermann może zostać na swoim stanowisku, a pan wejdiesz powtórnie do Rady zarządzającej wraz z kandydatami, których wspólnie dobierzemy dla pana. Po wystąpieniu Blatta jest opróżnione miejsce dyrektora Administracji; potrzeba na nie człowieka uczciwego i sprężystego, jakim pan jesteś. Liczyłem właśnie pod tym względem na pana.

— Ależ Klappermann nie zgodzi się nigdy na to, ażeby pracował razem ze mną!... nie zapominaj pan, w jakiej roli występowałem przeciw niemu.

Majenfeld uśmiechnął się i głową skinął.

— Zgodzi się, bądź pan spokojny, skoro zobaczy, że inaczej być nie może. Nie znasz go pan w takim razie, jeżeli przypuszczasz, że zechce opowiadać. To przezorny oportunist. Naciera tylko na słabszych i na tych, którzy mu ustępują; przed silniejszymi się cofa i wchodzi w kompromis. Za imponowałeś mu pan swoim wystąpieniem, wie teraz, że będzie musiał liczyć się z panem i spokojnie.

— Czyżby tak było? — spytał Bernard z niedowierzaniem.

— Zobaczysz pan, że tak jest.

— W takim razie nieuniknione będą między nami starcia z powodu różnicy zdań i poglądów naszych.

— I to nie; zorientuje się szybko, gdy zobaczy, że nie będzie mógł więcej opierać się na manekinach i na takich spółnikach, jak Blatt et Seliger. A zresztą, pańska rzecz będzie bronić swojego stanowiska i słusznej sprawy w każdym ważniejszym wypadku. Wierzaj mi pan, że taki Klappermann wzięty w kluby i pod dobrą kontrolą da się ujeździć; to człowiek, który umie przystosować się do sytuacji i rozumie przedewszystkiem własny interes. Czyś pan tego nie zauważył dotychczas?...

— Ha, chcę polegać na zdaniu pańskim.

— Inaczej, szczerze przyznam się panu, nie mieszałyby się wcale do tej sprawy, gdybym nie mógł liczyć na pana; pan mnie głównie zachęciłeś do tej akcyi i tylko z panem gotów byłbym prowadzić ją dalej.

Bernard skłonił się na podziękowanie za pochlebne słowa dla siebie i rzekł:

— Przypuszczam, że i poczucie spełnienia w takiej chwili uczynku wielkiej wagi i następstw...

Majenfeld znowu mu przerwał i nie pozwolił dokończyć.

— Panie Sandstein, pan przeceniasz moje intencje; ja powtarzam panu, że robię tylko dobry interes, za który nie należy mi się żadne uznanie. Nie zapominaj pan, że ja jestem kapitalistą, a że



mam Bogu dzięki tych kapitałów trochę więcej od innych, więc obracać nimi muszę nieustannie, aby mi w rękach nie zmartwiały. Cała rzecz w tem, iż doбирам sobie interesa i nie wszędzie zasiewam moje pieniądze, gdzie tylko duży procent zbieraćby się z nich dało, ale to samo robi każdy uczeiwy interesant, i z tego żadnej zasługi sobie nie przyznaję. Tak być powinno, mojem zdaniem. Niechno pan jeszcze siada,—ja panu o sobie coś opowiem. Czy pan wie, że ja się wychowywałem... w nienajlepszych warunkach i że nie odebrałem wcale żadnego wykształcenia w domu moich rodziców. No, trudno, człowiek za to nie jest odpowiedzialny. Z tego powodu, ja dorobiwszy się szczęśliwie jakichś pierwszych kilkudziesięciu tysięcy, nie umiałem nawet dobrze mówić i dobrze pisać bez błędów ortograficznych. Ja się nie wstydzę do tego przyznawać dzisiaj. Ze mnie się śmiali i mieli słusność. Czy wie pan, co ja zrobiłem?... ja sobie przyjąłem nauczyciela i jak prosty sztubak zacząłem się uczyć gramatyki, języków i innych przedmiotów, a przy tem wszystkiem robiłem moje interesa i zbierałem majątek. To jedno drugiemu nie przeszkadzało, a jak pan widzi, dzisiaj nie bardzo poznać po mnie, że kiedyś tam umiałem pisać tylko od prawej ręki ku lewej tyle, ile mnie w dzieciństwie jakiś prosty belfer nauczył. Panby znowu powiedział, że to zasługa, bo pan jest entuzyasta, a ja utrzymuję, że to był tylko mój interes i moja ambicya w danej chwili. Ja nie chciałem, aby ludzie mówili: „Głupi Majenfeld, on zrobił majątek, a nie umie ani mówić, ani pisać poprawnie; z niego

prosty Żyd, pomimo całych milionów!...“ mnie zależało na tem, aby moim dzieciom kiedyś nie wspomniano, że ich ojciec był sobie *a gur gemeiner Jid*. Ot, i widzi pan, to leżało w moim osobistym interesie i ja to zrobiłem dla mojego własnego pożytku, ale to nie była żadna zasługa...

Śmiał się dobrodusznie z własnych słów i kiwał głową ku Bernardowi, który spoglądał na niego z uwagą i zdziwieniem, nie umiejąc dobrze zdać sobie sprawy z wrażenia, jakie na nim rozmowa z Majenfeldem robiła.

— Pod każdym względem należysz pan do wyjątków, i to bardzo rzadkich,— odezwał się, gdy stary milioner sięgnął drżącą ręką po swoją szklankę z mlekiem.

— Chcesz pan zrobić ze mnie koniecznie oryginała? — spytał go tenże,— jak się panu podobał... boję się tylko, że sobie wyrobię u pana opinię nieznośnego nudziarza, który tyle gada i gada, że przegadać go trudno. Ale to wyjątkowo dzisiaj, niech mi pan wierzy. Zatem — zwrócił się, nie przerywając sobie, do Bernarda — jakże będzie z nami?... godzi się pan na mój projekt?...

— Ależ najzupełniej, — pośpieszył z odpowiedzią przyszyły dyrektor Administracji „Postępu.“

— Więc mogę dalej nabywać akcje?

— Tak sądzę.

— Zatem liczę na pana, panie Sandstein.

Mówiąc to, wyciągnął rękę i uściśnął dłoń Bernarda po dwakroć.

— Nie spodziewaj się, pan wszelako, aby mi się udało wszystkich Niemców wykupić — rzekł,— ta-

ki Haslinger np. nie da się złapać, i kilku innych również, ale w każdym razie osłabimy ich znacznie. To nie tak łatwo wyplenić chwasty, jak je zasiewać. Dziś już pana nie zatrzymuję dłużej, ale od jutra musimy zacząć nasze konferencye i ułożyć szczegółowy plan działania.

— Będę na pańskie usługi; kiedy pan każe się stawić? — spytał go Bernard na odchodnem.

— Najlepiej po południu, mam wtedy głowę wolniejszą i nikt nam nie przeszkodzi.

— A więc do jutra.

— Czekam pana, panie Sandstein.

Chciał wstać, aby swojego gościa odprowadzić do drzwi, ale go Bernard zwolnił od tej ceremonialnej grzeczności i wyszedł z głową pełną dobrych myśli.

Majenfeld z uśmiechem zabrał się do drugiej szklanki mleka i wsunąwszy się w fotel, zamknął oczy, jakby go drzemka napadała.

---

## K.

Jezeli papa Seliger udawał chorobę, aby upozorować swoją nieobecność na walnem zgromadzeniu „Postępu,” przewidując burzę, która miała się wyładować nad jego głową, to Klappermann wręcz przeciwnie udawał zdrowego w doskonałym humorze i nadrabiał właśnie w tym samym czasie miną, jak nigdy.

Uśmiech prawie nie schodził z jego ust, ale coraz bardziej uśmiech ten podobnym się stawał do grymasu człowieka, którego bolą zęby albo który przy stole ma ochotę zakrzusić się czemś, co mu w gardle stanęło, a pokrywa to dla przyzwoitości wszelkimi sposobami.

Kiedy go bliżsi znajomi pytali:

— Jakoś prezes źle nam wygląda, czy dolega co może?...— odpowiadał:

— Broń Boże, czuję się doskonale, jestem zdrowszy, jak dwa rydze, nie jak tylko jeden, ale mam w tych czasach przykry zawód...

— No, cóż takiego?... ach, prawda—reflektowali się niektórzy jak najniezręczniejszy w świecie, — ta historia z „Postępem“...

Klappermann robił minę zdziwioną i jakby urażoną samem przypuszczeniem, że ktoś podobny powód przypuszczać może.

— Z „Postępem?...“ ależ to mi ani w głowie. Burza w szklance wody!... Nie, to wcale co innego; to prawie sprawa czysto osobista. Natrafiłem na poważne przeszkody co do założenia mojego „Dому wychowawczego...“ wiesz pan przecie?... to projekt mój oddawna przygotowywany, ale jak widzę, nie uda mi się w tym roku przyprowadzić go do skutku. Takbym chciał raz z nim skończyć, a nie udaje mi się z miejsca ruszyć...

Rozpoczął teraz odwrót ze swymi pięknymi zamiarami, odwrót z honorem, aby uratować pozory i przedstawić się, jako człowieka najlepszych chęci, które się rozbijają o przeszkody losu, a zarazem odwrócić uwagę od siebie w innym kierunku.

Faktycznie zaś historia z „Postępem“ ciążyła mu na wątrobie, chociaż polityka urodzonego aferyzisty nie pozwalała mu się do tego przyznawać, podobnie jak ambicya pewnych ludzi nie pozwala im się przyznawać, że są chorzy i że się leczą.

Julia Helena urządziła już drugi wieczór u siebie, poprzedzony wspaniałym obiadem, na który rozesłała mnóstwo zaproszeń, jak gdyby „mobilizowała“ swoje towarzystwo i ogłaszała dla próby „pospolite ruszenie“ w swoich salonach.

Był to zręczny manewr wybadania opinii i przekonania się, o ile historia z „Postępem“ oddziaływała na ich stosunki prywatne i publiczne.

Wezwanie poskutkowało; kuchnia i piwnica prezesowstwa miały za dobrą tradycyę, aby się można

było pozbawiać obiadu przy takim stole, ale baczne oko takiego strategika, jak Klappermann, zauważyło od razu niedostrzegalne może dla innych luki w szeregach.

Ta nieobecność dezertarów popsła mu humor do reszty, chociaż nie dawał tego poznać po sobie, a Julia Helena była nawet wyjątkowo uprzejmą dla przybyłych gości i starała się być popularną, co jej się w normalnych warunkach rzadko zdarzało.

Oboje jednak spostrzegli, że pomiędzy jednym ważnym zgromadzeniem a drugim, sytuacja niewyjaśniona całkowicie powstrzymała bardziej przeczornych czy drażliwych od przyjęcia zaproszenia.

Gospodarstwo, robiąc przegląd swych gości na salonach, porozumiewało się spojrzzeniami i jakby wzajem mówiło sobie:

— Uważałeś, tego niema?...

— A uważasz, że ci nie przyszli?...

Co najbardziej zadziwiło, a nawet zirytowało Klappermanna, to nieobecność Strusia Wydżzewskiego; zdawało mu się, że na tego grubasa i żarłoka mógł zawsze liczyć i że go zapachem trufli czy kapłona z kasztanami zwabić potrafi tyle razy, ilekroć będzie mu potrzeba utytułowanego gościa przy swoim stole.

Kocio Nahalski zapytany mimochodem:

— Co się dzieje z hrabią?...— odpowiedział wymijająco:

— Niedysponowany; podobno przejadł się, czy przeziębił...

— Tak?... Kazałbym mu być podać kleiku i zrobić potrawkę,— z jakimś ironicznym naciskiem dorzucił Klappermann, spojrzawszy z pod oka na swego totumfackiego, który udał, że nie zauważył tej przymówki.

Prezes wziął go potem delikatnie pod ramię i prowadząc do lokaja, który na srebrnej tacy roznosił pełne kieliszki szampana, rzekł:

— Spróbuj-no ty tej nowej marki,— a przy sposobności dowiedz mi się, na co naprawdę choruje nasz kochany hipopotam.

Kocio z uśmiechem pieczenia mlasnął językiem i na cały głos wybuchnął:

— *Superbe!*

Nie wiadomo tylko, co mu w tej chwili tak zasmakowało: nowa marka szampana, czy złośliwy epitet, dany jego kuzynowi.

Klappermann, założywszy ręce pod poły fraka, przystanął na uboczu i wodził po salonie oczyma, spoglądając po swoich gościach, jakby robił po raz dwudziesty ich uważny przegląd i zamyslił się z tym sztucznym, zwietrzałym uśmiechem skrzywionej maski na ustach, który dla baczniejszego obserwatora musiałby się być wydać dziwną sprzecznością ze spojrzeniami, jakimi gospodarz domu obrzucał całe towarzystwo; było coś lekceważącego, niemal pogardliwego w tych zmrużonych oczach pana prezesa, co zdawało się mówić:

— Przyszliście, bo was pociąga blask mego miliona, bo możecie w nim błyszczeć samil...

A przechodząc z kolei po rozmaitych osobach, oczy te z jakąś złośliwością zdały się szeptać:

— Ty jesteś tu, aby pokazać swą nową toaletę brylanty, głupia dziełatko!... A ty przyszedłeś, aby się jutro pochwalić, żeś był u mnie i żeś mi dwa razy dziś rękę uściśnął!... A ty masz ze mną interes o pożyczkę w Banku!... Tobie smakuje moje wino i cygara, prawda?... Ty znów myślisz, że ci to kredyt poprawi, gdy żyjesz z Klappermannem, a pani szukasz synekury dla swojego męża darmo-zjadał!... Znam i was, pozłacane dudki, którzy skaczącie około mojej Kamci, w nadziei, że wybiorę którego na zięcia!... pachnie wam chleb bez pracy i podoba się posąg panny prezesówny?... Znam was wszystkich i ciebie, panie radco, który przychodzisz wygrywać ode mnie w winta, nie uważając, że się umyślnie myślę w kartach, abym miał twój głos przy wyborach, i ciebie, panie redaktorze, który mi napiszesz jutro reklamę za dzisiejszy wieczór, i ciebie... i ciebie... i ciebie panie hrabio, który chcesz pożyczyć ode mnie sześćdziesiąt tysięcy na zaszarganą hypotekę!... Znam was wszystkich i nie myślę się co do żadnego.

W tej samej chwili schylił się szybko, aby z uprzejmą galanterią gospodarza podnieść upuszczony wachlarz jednej z dam, siedzącej nieopodal i podać go jej z wyszukany komplementem; na wachlarzu z brylancików ułożony połyskiwał monogram z hrabiowską koroną.

— Ach, pan prezes się sam trudził... *mille grâces, monsieur Klappermann!* — dziękowała mu z afektacją młoda dama, której mąż przypomniał sobie o swoim tytule dopiero z chwilą, gdy go z nią oze-



miono i pozwolono jej pieniędzmi pospłacać długi kawalerskie.

Pani hrabina, obiema rękoma uczepiona u „ogona arystokracji,“ należała do stałych gości we wszystkich salonach, w których mogła tylko odgrywać rolę damy wielkiego świata i ocierać się o wyższe sfery.

Do nieobecnych w zebraniu u państwa Klappermannów należały tym razem i rodziny Blattów i Seligerów; naprężone stosunki pomiędzy mężami oddziaływały również na żony.

Zerwanie towarzyskiej zażyłości musiało być koniecznym następstwem filipiki, z jaką przeciw dawnym współnikom i kolegom z Rady zarządzającej wystąpił Klappermann na walnem zgromadzeniu.

Po raz pierwszy po latach kilkunastu nie posłano im zaproszenia na wieczór, co było aż nadto wyraźnem i zrozumiałem.

Najgłębiej odczuła to linia żeńska, a zwłaszcza młodszego pokolenia.

Księżna i baronowa traciły jeden ze świetnych salonów, w których błyszczały dotąd, jak gwiazdy, otoczone zawsze rojem satelitów, i pławiły się w blaskach słońca, za jakie uważały zawsze Julię Helenę.

Traciły wzór, który starały się niewolniczo małpować u siebie w domu i w swoim kółku.

Baronowa Lipa de Lipecka posuwała do tego stopnia manię naśladowczą, że każdy niemal szczegół w przyjęciu gości, w urządzeniu stołu, w umeblowaniu salonu i gabinetu Klappermannowej próbowała natychmiast zaprowadzić u siebie.

Na uwagi, jakie jej robił niekiedy mąż lub ojciec, odpowiadała argumentem, który w jej przekonaniu rozstrzygał wszelkie kwestye:

— Nie widziałeś tego u Klappermannów?...

Wszystko szło stamtąd, jak ze szczytów niedoścignionych: smak, elegancya, moda, zwyczaj, krój liberyi dla służby, rodzaj kwiatów w żardinierkach, opinie zarówno, jak kolor sukień, upodobania, jak i maść koni do karety.

A teraz zabraknąć miało nagle tej wyroczni i tego wzoru.

Księżna Iza dostała prawie czarnej melancholii, dowiedziawszy się, iż bywać więcej u prezesostwa nie mają, a baronowa powróciła z Nizy z nerwalgia, gdy jej mąż opisał wszystkie „awantury,“ które się wydarzyły od jej wyjazdu z Warszawy.

— Ależ to nonsens, to szaleństwo — wołała, — zrywać dla jakichś tam interesów stosunki z takim domem!... Co mnie obchodzi wasz głupi „Postęp?“

Tego samego dnia jeszcze, którego wróciła z za granicy, pobiegła do ojca zrobić mu scenę.

— Co to, papa poróżnił się z Klappermannem? — napadła na niego od razu z góry; — przyznam się, że to było bardzo nierozsądne.

Seliger zrobił minę urażoną.

— Proszę cię, nie wspominaj mi o panu Klappermannie! — przerwał jej z godnością, — to prosty szubrawiec! Czyś ty słyszała, jak on nam wszystkim nawymyślał publicznie!... pu-blicz-nie! — powtórzył kilkakrotnie, jak gdyby na ten wzgląd najważniejszy kładł nacisk. — On się obszedł z nami, jak ostatniego rzędu...

Baronowa nie pozwoliła ojeu dokończyć.

— Jak się obszedł, tak się obszedł, to mnie nie obchodzi, ja wiem tylko, że przestajemy bywać w tak dystyngowanym domu. Zresztą papa jest sobie sam winien...

— Ja?... ja?... zastanów się!

— A tak, nie trzeba było udawać chorego i z gardenią przy szlafroku wylegiwać się w swoim pokoju, tylko ubrać się i pójść osobiście na to ważne zgromadzenie. W oczy nie byłby papie śmiać nie takiego powiedzieć. A tak *les absents ont toujours tort*.

Seliger czuł się podrażnionym.

— Moja droga, nie rozumiesz się na tem! — z dystynkcyą, ale stanowczo, przemówił do córki; — po co ja miałem iść, kiedy Blatta nie było.

— Co papę Blatt obchodzi?... — zakrzyczyła go, — Blatt siedział ze mną w Nizzy i o niczem nie wiedział.

— Nie wiedział?... dobra sobiel...

— A nie wiedział; a zresztą, to wszystko jedno. Kiedy papa był na miejscu, to mógł papa pilnować naszych interesów i nie dopuszczać aż do zerwania wszystkiego.

Seligerowi gorąco się zrobiło; piskliwy głos córki i jej kobiece rozumowanie działały mu na nerwy.

— Prosiłbym cię, abyś mi się nie wtrącała w to, co ja robię; — zaczął, usiłując zachować dystyngowaną równowagę, jak na ojca galanthomme'a przystało, — pilnuj lepiej siebie i staraj się, aby...

— Aby co?...

Ojciec się zawahał.

— No, cóż dalej?... czemuż papa wykrztusić tego nie może?...

— Aby nie rozpowiadano po świecie — wybuchnął nareszcie gwałtownie, ale głos zniżając do szeptu, — że romansujesz ze starym Blattem i że za tobą jeździ za granicę. To wstydl..

— Co?... co?... co?...

— A tak; skoro chcesz wiedzieć, to dowiedz się, że mówią o tem.

— Kto mówi?...

— Ludzie.

Baronowa zmierzyła ojca spojrzeniem, jakby go rozpruć chciała oczyma, otworzyła usta i miała już na języku coś bardzo niedystygowanego, ale się powstrzymała, odetchnęła tylko głęboko i spytała:

— A papa co na to?...

— Ja?... a cóż ja?... to rzecz twojego męża. Uważaj, aby to nie doszło do uszu Wilhelma, bo może być dopiero skandal.

— Ha!...

Szarpnęła swój dolman, że aż guziczek jeden prysnął i pod samym nosem Seligera przeleciał w powietrzu, nastraszywszy go tak, iż się cofnął o krok, jakby kontuzyowany.

— No, co ty znów robisz?! — wyrwało mu się szybko z ust; spojrzał niemal zalekniony na córkę z takim wyrazem, jak gdyby próbowała zrobić owym niefortunnym guzikiem zamach na jego życie.

Baronowa zaciskała pięści z oburzenia, wołając po francusku:

— O, co to za plotkarskie miasto ta wasza Warszawa!...

Mówiła to z taką pogardą i irytacją, jakby przemawiała w imieniu całej obrażonej w jej osobie Europy.

— Nie trzeba dopuszczać do plotek,— upomniał ją sentencyonalnie ojciec, przybierając wielką powagę, z którą mu wcale nie było do twarzy; spojrzała też na niego jednym okiem zmrużonem szyderczo i spytała:

— Od kiedyż to papa wziął na moralność?... także!...

Wzruszyła ramionami i odwróciła się zadąsana, mruknąwszy pod nosem:

— Komu to mówić o takich rzeczach!... — i wyszła z gabinetu zła, jak osa.

Pojechała wprost do swojej przyjaciółki i rozwiesniczki, księżny Izy Oczkowej, aby sobie ulżyć i wyzalić się na ojca, na tę plotkarską Warszawę, na cały świat.

Księżna przymierzała właśnie nową toaletę i stała przed dużym zwierciadłem, w negliżu, a szwaczka jak na krawieckiej lalce upinała na niej z wielką uwagą fałdy szpilekami.

Zajęcie to zajmowało jej całe dni niemal do samego obiadu.

Ambicyą jedyną młodej mężatki, wątłej latorośli ze szczepu Blattów, było posiadanie najmodniejszych i najkosztowniejszych strojów, które zdawały się być jedynym celem jej życia; szczupła, blada, anemiczna, z twarzą martwą i apatyczną alabastrowej kamei, sprawiała wrażenie owych figurek

z żurnalu, przybierających tylko takie pozy, w których najkorzystniej mogłyby się wydać na nich wszelkiego kroju suknie i garnitury.

Poza jej garderobą nic innego nie istniało na świecie, coby było godniejszym uwagi dla księżny; nowy kolor materyi czy nowy fason kapelusza miał dla niej stokroć więcej interesu, niż najważniejsze kwestye publiczne, czy prywatne.

Najszczęśliwszą się czuła, mogąc przebierać się kilka razy dziennie i odbywać konferencye ze swoją modystką i panną do szycia, która miała zawsze pełne ręce roboty i ze świętą cierpliwością znosić musiała pedantyczne wymówki „jaśnie pani,” wymierzającej niemal z cyrklem w rękę odległość każdego fałdu, szerokość każdej wypustki, symetryczność garnirunku i t. p. drobiazgów.

Żadna chińska czy japońska elegantka nie zadawała sobie więcej umartwień dobrowolnych, od księżny, wybierającej się na operę do teatru, na koncert lub na bal.

O niczem innym myśleć, mówić, śnić nie potrafiła, i gdyby można było sypiać stojąco lub siedząco w nowej toalecie, z głową uczesaną podług ostatniej mody, byłaby z pewnością pierwszą z dam, któreby tego próbowały.

Baronowa trafiła też w nienajlepszą chwilę do swojej przyjaciółki; wpadła niemeldowana do buduaru księżny, w którym, jak w magazynie nowości, na wszystkich meblach leżały porozkładane sztuczki materyi, staniki, sznurówki, spódnice, koronki, okrycia i kapelusze, cmoknęła ją zdaleka

w powietrzu i po angielsku z fatalnym wprawdzie akcentem zaczęła rozmowę od utyskiwania na ojca.

— I cóż ty na to? — zagadnęła wreszcie księżną—straciliśmy salon Klappermannów; to straszne, co?... nie będzie się nawet gdzie pokazać!

Woskowa twarz księżny przybrała wyraz bolesny.

— To okropnie! — westchnęła — ja już omal nie płakałam, moja droga. Czy uwierzysz, że mi się nawet ubierać nie chce!. Jedyny dom, w którym warto było bywać.

— Ale to tak być nie może!..

— Ja to samo powiedziałam już memu mężowi.

— A ja ojcu zrobiłam dziś scenę, no!.. omal sobie do oczu nie skakaliśmy. Ale, ale... czy wiesz, o czem zaczynają gadać?

— Wiem, że Koniczyna obstalowała dwanaście nowych toalet u „Matyldy,” ale to nieprawda; byłam tam umyślnie się pytać...

Baronowa głową zaprzeczyła.

— Nie, co innego; zaczynają obmawiać mnie i twojego ojca.

— A?!.. nie słyszałam.

— Powiadają, że z sobą romansujemy!... cóż ty na to?...

Księżna przekręciła właśnie swą ptasią głowę przez ramię i przypatrywała się pilnie fałdom od tyłu, które jej się wydawały za grube i za pospolite.

— To niech mówią, cóż ci to szkodzi!..

Powiedziała to tonem tak obojętnym, jak gdyby

chodziło o rzecz najzwyczajszą w świecie, aż Li-  
pecka na nią spojrzała z zadziwieniem.

— Moja droga, zdaje mi się, że tu na biodrach  
jest okropnie wązko, prawda? — spytała nagle ba-  
ronowej — tu trzeba koniecznie coś podłożyć, bo  
będę wyglądała, jak zmoczona kura.

Rozmowa przeszła na temat żywotniejszy i bar-  
dziej zajmujący o kwestyi, czy podwatować trochę  
za wązkie biodra w nowej sukni, czy też zostawić  
im ich naturalną szczupłość.

— To byłoby więcej *à l'anglaise*, — utrzymywała  
baronowa, kładąc ręce na chudych kłębach księż-  
ny i przypatrując się, jakby z politowaniem jej  
niewydatnym kształtom, wyzieraającym z pod ne-  
gliżu.

We drzwiach niedomkniętych stanął na chwilę  
książe, ale z dyskretnem: *oh, pardon!*... cofnął się  
natychmiast, bardzo zadowolony, że może się wy-  
mknąć bez pożegnania z żoną.

Od pewnego czasu bowiem, coraz częściej w ten  
sposób ulatniał się z domu i coraz dłużej za nim  
przebywał.

Zacząto o nim mówić w klubie i w sferach tea-  
tralnych, że sobie znalazł jakąś „małą“, która tań-  
czyła w drugim kadrylu i na którą nie wielu do-  
tychczas zwracało uwagę.

Papa Seliger pokazał mu ją raz w łóźnie dla ba-  
letniczek i posłał jej od ust pocałunki nieznacznie,  
jako dobrej znajomej, uśmiechając się poufale.

Znudzony ks. Oczko kazał się jej potem przed-  
stawić pod teatrem po skończonej operze i odpro-  
wadził ją do domu.



Od tego czasu miał stałe krzesło na balecie.

Zaczął się nawet znać na choreografii i odróżniał co to jest „dobra szkoła,“ a co nie, które nóżki są rasowe, które koryfejki mają przyszłość, a które przeszłość za sobą; nauczył się na pamięć wszystkich nazwisk i imion całego niemal corps de balletu i nawiązał stosunki w bractwie Terpsycho-ry, stanowiącem jakby tajemny związek wielbicieli rozmaitych powiewnych Ziutek, Tolek, Maniek, Janinek i t. p.

Obeznał się powoli ze wszystkim, co dotyczyło kulis i baletu wyłącznie, wciągnął się w to, zajął do tego stopnia, że ani się spostrzegł w końcu, iż ten przedmiot stanowić dla niego zaczyna specjalność, która mu wypełnia długie godziny dnia i całe niemal wieczory.

Bez teatru nie wiedziałby był teraz, co począć z sobą; miał zajęcie, miał o czym myśleć i czem się troszczyć w tem pustem życiu, które prowadził do tej pory, przestawał się nudzić śmiertelnie w domu, w towarzystwie żony zajętej wiecznie swoimi strojami, w salonach, które mu się teraz banalnymi wydawały.

Można było zauważyć bardzo często na jego twarzy jakiś rodzaj słodkiej zadumy, i pod rzadkimi wąsikami uśmieszek fluterny a błogi, z jakim nucił wyjątki z „Lizetty, córki źle strzeżonej“ lub „Pana Twardowskiego“ i odbiegał myślami gdzieś daleko z wytwornie urządzonej sali jadalnej, w której dwa razy dziennie jedyne sam-na-sam spędzał z żoną podczas śniadania i obiadu.

— *A quci penses-tu, mon cher?* — zapytywała go wtedy znienacka żona, która nie należała do rozmownych, ale jedząc bardzo mało, z obawy, aby nie utyc przypadkiem i nie stracić figury, nie wiedziała co robić z sobą przy stole.

Książę budził się wtedy ze swoich marzeń, rumienił się, jak studencik przyłapany na schadzce z pensyonarką, i zmieszany powtarzał szybko:

— *A rien mon bijou, je t'assure — à rien!...*

Ocierał jedwabnym fularem swoją łysinę, jakby się chciał przekonać, czy nie ma głowy szklanej i czy nie widać przez nią jego myśli.

— *Toujours correct!* — było hasłem księcia w małżeństwie.

Pani Iza z Blattów byłaby czerwonych plam dostała na nosku i na policzkach, które jej występowały w chwilach szczególniejszej irytacji (a czego się obawiała bardziej, niż wszystkich grzechów śmiertelnych), gdyby była mogła czytać niekiedy w myślach swojego męża.

Byłaby prawdopodobnie ogromnie zgorzowaną, dowiedziawszy się, iż książę robił porównania i to bardzo śmiałe, bardzo daleko idące, przy których dochodził do wniosku, że jego dom, świetnie urządzone za pieniądze kochanego teścia, jest najnudniejszym na świecie magazynem wytwornych mebli i cacek, w którym osobliwością jest lalka naturalnej wielkości, przebrana za księżnę w jedwabie i atłasy, z maszyneryą sztuczną zamiast duszy i serca, która po nakręceniu chodzi, porusza się, nawet mówi ludzkim głosem, a zawsze po francusku:

— *A quoi penses-tu, mon cher?*...—albo coś podobnego w tym rodzaju.

I przy takim zestawieniu, owe dwa pokoiki na trzecim piętrze, z kuchenką, do której się wchodziło od przedpokoju, wyklejone różową tapetą w drobny rzucik, owe skromne mebelki kretonem kryte, jesionowe łóżko, osłonięte baldachinem z firanki na łokcie, nawet dywanik z gałganków ręcznej roboty i parawan malowanymi i rycinami z tygodników ilustrowanych oblepiony, wydawały mu się o wiele przyjemniejszym apartamentem, w którym jego „mała,“ wesółła jak wiewiórka, a naiwna, jak młoda gąska, robiła honory domu i przyjmowała go *tout court*, bez wielkich ceremonii:

— Jak się masz, moje Oczko?...

Nazywała go „swojem Oczkiem,“ co mu się wydawało bardzo dowcipnem.

Nie wiedział czemu, ale czuł się u tej „bladej Juli,“ która nie miała w sobie nic arystokratycznego, o wiele swobodniejszym gościem, niż we własnym domu, i bawił się w jej towarzystwie stokroć lepiej, niż w salonach wszystkich Klappermannów, Seligerów i Blattów.

Urok natury, młodości i prostoty, zmieszany z zawsze pogodnym humorem tego konika polnego z baletu, pociągał go i nęcił wrażeniami, których mu jego własna sfera nie dostarczała.

Tutaj umiał się śmiać, aż się pokładał, kiedy mu ta mała z udanym dąsem mówiła:

— Moje ty Oczko, proszę mnie nie nazywać żadną Żulietą, bo ja nie jestem zupą, tylko Julą, Julą, Julką!... rozumie pan książę, co? Żulietę to się

przecież jada do obiadu, prawda?... No, teraz kiedym ci powiedziała, to wiesz.

Pozwalał jej nawet, żeby sobie żartowała niekiedy z niego i rysowała mu na łysinie oczy, nos, usta i wąsy osmolonym korkiem, bo widziała to gdzieś w jakimś cyrku i taki figiel bawił ją doskonale.

Potem mu to sama gąbką mokrą ścierała i całowała go po głowie na przeproszenie za swoje błazeństwa, jak rozpieszczony a swawolny dzieciak.

Nawet wyjątkowo ładną nie była, ale miała w sobie coś, co się podobać mogło; całemi godzinami opowiadała mu o teatrze, o sobie, o swoich koleżankach, o ich protektorach i przyjaciółkach; to go bawiło, zajmowało, i czas mu ulatywał tak miło, jak nigdy.

Nabierał przekonania, że te „małe“ mają o wiele więcej humoru, i temperamentu, i dowcipu, i jakiegoś ciepła, od pięknych dam salonowych.

— *Ma foi*, — mówił sobie — tamto wszystko sztywne, jak z papendeklu, a zimne, jak z blachy.

I zaczynał coraz bardziej rozgrzewać się w tem ciepłe pozadomowem, rozmarzał się pod owym kaflowym piecem w skromnych pokojach „bladej Juli,” przy którym wygodniej mu było, niż przy marmurowym kominku w buduarze swojej „lalki.”

Odkrywać zaczął w sobie zalety, których sam nie przypuszczał; umiał być wesołym, rozmownym, nawet czułym i przywiązanym, — raz się nawet rozrzewnił na seryo, i było mu z tem tak dobrze, że się aż zadziwił.

— *Tiens!* ja mam naprawdę miękkie serce! — powiedział sobie, jak gdyby zrobił nagle niespodziane odkrycie.

A było to w chwili, gdy swojej „małej“ sprowadzić kazał pianino do mieszkania i przyrzekł, że ją każe uczyć muzyki; dziewczyna z radości aż na podłodze siadła przed nowym instrumentem i pocałowała swoje Oczko w kolano.

Nigdy mu w życiu nikt za nic tak gorąco nie dziękował; to go wzruszyło.

— Żulieta, czy tybyś nie chciała uczyć się i po francusku? — spytał jej.

Pytanie to ją trochę zakłopotало; włożyła palec wskazujący między drobne ząbki i z pod oka spoglądając na księcia, rzekła po chwili:

— A czy to trzeba i pisać przy tem?

— Niekoniecznie.

— To można tak tylko na pamięć?

— A można.

— Z pewnością?...

— Będę cię uczył po słówku.

— Oczko samo chce mnie uczyć?...

— Rozumie się!...

— O moje ty Oczko brylantowe!

Zarzuciła mu ramiona na szyję i wykręcać się z nim zaczęła po pokoju, jak waryatka.

Nigdy się nie czuł tak zadowolonym z siebie, jak tego dnia; zdawało mu się, że spełnia misję i że wobec tego dobrowolnego mandatu gubernera całe radeowstwo w „Postępie“ jest głupstwem, o którym wspominać nawet nie warto.

Stosunek swój z Julą uważać zaczął od tego czasu za coś szlachetniejszego, czuł się naprawdę jej opiekunem, protektorem, mecenasem; zdawało mu się nawet, że od czasu, jak ta mała uczy się u niego po francusku, nabrała gracyi w tańcu i nogi podnosi na scenie z większą dystynkcyą.

Zabronił jej tylko przechwalać się z tego przed kimkolwiek.

Pewnego dnia spotkał się na schodach z jakimś przystojnym brunetem, który razem z nim wszedł aż na trzecie piętro i zatrzymał się przy drzwiach sąsiednich.

Jednocześnie otworzono obu; spojrzeli na siebie badawczo i każdy zniknął za innemi drzwiami.

— Moja droga, kto tu mieszka obok ciebie? — spytał księżę na samym wstępie Juli.

— To Tunia Płaszczyk; dlaczego?

— Ach, ta blondynka wysoka?...

— Tak; ale dlaczego?...

— Chodzi do niej jakiś brunet.

— A chodzi; Oczko go już dostrzegło?...

— Któż to taki?

Dziewczyna zrobiła minę poważną.

— A, to bardzo porządny pan; on się nazywa Majenfeld.

— Syn bankiera?...

— Pewnie; mówią, że jego stary ma więcej milionów, niż włosów na głowie. On się z Tuńką chce żenić, tylko czeka, aż się stary wyniesie.

— Żenić się chce?...

— A jakże, ona mi to sama mówiła.

Księżę zrobił minę niedowierzającą.

— No, no, tylko nie trzeba się tak wykrzywiać, — z urazą upomniała go mała; — z baletu już za hrabiów wychodziły, a nie dopiero za jakichś tam z Żydów. Cóż z tego, że jego stary ma miliony?... to przecież nie żadne szlachectwo. I tak powinienby być kontent, żeby która porządna dziewczyna za niego wyszła.

— A to dlaczego?

— Bo wychrzta.

Książę odchrząknął, jakby się kurzu nałykał; nie przypuszczał, żeby w tej naiwnej uwadze była jaka przymówka do jego własnego małżeństwa, ale się zarumienił i zwrócił rozmowę na inny temat.

Przy wyjściu spotkał się znowu z tym samym brunetem, który miał teraz gardenię wpiętą w dziurkę od surduta i na twarzy resztki wesołego uśmiechu, z jakim się przed chwilą rozstał z sąsiadką — księżęcej uczenicy.

Obaj grzecznie ustąpili sobie pierwszeństwa przy zejściu ze schodów; książę uchylił uprzejmie kapełusza, podczas gdy zamieniali z sobą spojrzenia, które mówiły:

— Aha, to ty tu bywasz?...

— I ty także?... sąsiadujemy zatem.

— Ty do Juli Klimczykówny.

— A ty do Tuni Płaszczyk.

— No, no!...

— Hm, hml...

Wyszędłszy z bramy, rozeszli się w przeciwne strony, jakby chcieli uniknąć nawet pozorów, że

się spotkali na jednych schodach, przy drzwiach dwóch koleżanek.

Ale mimo to nawiązało się i między nimi coś w rodzaju cichego koleżeństwa; wieczorem tego dnia w teatrze spoglądali na siebie już, jak dobrzy znajomi, z jednego cechu.

Stary Majenfeld wiedział o tym stosunku syna w sferach baletniczych, ale udawał, że się niczego nie domyśla; za drażliwy był to temat między ojcem a synem.

Uważał to za naturalną konieczność, na którą patrzył przez palce.

Niekiedy próbował tylko wyciągać go na słówka i rozpoczynał z nim rozmowę w tym sensie:

— Mój Józiu, dlaczego ty nigdzie nie bywasz?...

— Gdzież mam bywać?...

— Jak to gdzie?... młody człowiek powinien sobie znaleźć towarzystwo. Masz lat dwadzieścia ośm, czasby było pomyśleć o małżeństwie. Przecież nie zechcesz zostać starym kawalerem?

— Zdaje mi się, proszę ojca, że Leon powinien pierwszy dać przykład, jako starszy.

— Leon jest zajęty interesami.

— Ja także.

— W każdym razie mniej od niego; on ma na głowie cały kantor i jest moją prawą ręką.

— A ja lewą,— z żartobliwym uśmiechem odpowiadał młodszy Majenfeld.

— W każdym razie to nie powinno przeszkadzać, abyście obaj pomyśleli o żonie. Lata biegną, a kiedy czas przejdzie, możecie się nawet nie spo-



strzedz, jak będzie za późno. Ja w waszym wieku byłem już ojcem.

Napomnienia te jednak niewiele skutkowały; obaj Majenfeldowie pozostawali w bezzennym stanie i nie śpieszno im jakoś było do ołtarza.

Młodzi, przystojni, wykształceni w uniwersytetach zagranicznych, przyszli spadkobiercy ogromnej fortuny, uważani mogli być za bardzo dobre partye dla panien na wydaniu; — chodziło tylko o to, z jakiej sfery mieliby wybrać sobie żony?...

Starszy syn Majenfelda był naturą spokojną, poważną, trochę nawet ciężką, jak na swój wiek; nie odznaczał się tak wielką rzutkością umysłu, jak ojciec, ale odziedziczył po nim wielką prawosć charakteru i poczucie solidności w interesach.

Sam, jako szef firmy, postawiony na jej czele, nie byłby potrafił podnieść jej jeszcze wyżej pomysłowością swoją i energią; brakło mu do tego sprytu ojca, jego przenikliwości i tego bystrogo zmysłu do ogarniania od razu wielkich projektów finansowych.

Gdyby mu przyszło było dorabiać się, jak staremu Majenfeldowi prawie z niczego, nie byłby potrafił zebrać nawet pół miliona na przedsiębiorstwach i spekulacjach; ale jako pomocnik ojca, pod jego kierunkiem, do spełniania dyspozycji wydawanych z góry, do wykonywania w szczegółach powierzanych sobie planów, był jedynym.

Pomagał też ojcu robić pieniądze z tą sumienną gorliwością dobrego i pewnego robotnika w młynie, który zsypuje zboże, nastawia kamienie, pilnu-

je całej maszyneryi, aby funkcyonowała należycie, ładuje worki mąką i odstawia je do składu, poprzestając na swoim bochenku chleba i nie pragnąc go więcej dla siebie.

W tem robieniu milionów była jakaś mechaniczna czynność ze strony Leona Majenfelda, było coś rzemieślniczego tylko, bez owego geniuszu prawdziwych finansistów, który zdobywa się w swoim rodzaju jakby na artystyczną pomysłowość i natchnienie.

Poza kantorem ojca i sferą codziennych zajęć, reszta świata niewiele miała dla niego uroku; do bry i uległy syn szczególniejsze przywiązanie okazywał matce, u której często spędzał wieczory, aby grać z nią duety na cztery ręce, lub układać pasyansy całemi niemal godzinami.

Młodszy brat różnił się ze starszym w wielu względach; przedewszystkiem był żywego usposobienia i żywszej inteligencyi, nie miał wcale warunków na sensata, — przeciwnie, odzywał się w nim młodzieńczy temperament i ten zdrowy apetyt do życia, który świadczy o zapasie nieużytych sił świeżego organizmu.

Ojciec powiadał o nim:

— Józio ma złote serce, srebrną głowę, ale żelazny upór; nie łatwo z nim trafić do ładu.

Z tego powodu przychodziło dość często do nieporozumień między ojcem a synem, które starszy brat powagą swoją usuwać musiał.

— Polegać na nim trudno — skarżył się stary Majenfeld, — bo się do wszystkiego zapali i zerwie

z miejsca, jak jeleń, a potem gdy go zapał ominie, to skoczy w bok, jak lis, i popędzi w innym kierunku; żadnej wytrwałości, to bieda!

Na usprawiedliwienie swoich wad miał on jednak zawsze gotowe argumenta i umiał je wytlómaczyć.

Ojciec, który miał do niego słabość, kończył każdą dysputę z nim na ten temat słowami:

— No, już dobrze, dobrze; ja wiem, że ty się ze wszystkiego wykręcisz, bo w tobie siedzi zmarnowany adwokat.

Z tem wszystkim jednak, bardzo często na czołe starego finansisty osiadały ciężkie chmury, gdy się pogrążył w myślach: co będzie po jego śmierci, i co się stanie z pracą całego żywota, której nie będzie komu dalej prowadzić, gdy raz jego samego zabraknie?...

Los dał mu fortunę, dał synów, dał spadkobierców — ale nie dał godnych siebie następców.

W tem upatrywał jakby rodzaj tragicznej fatalności rodów, które zbyt szybko się wzniosły na wyżyny, nie mając czasu przejść spokojnej i prawidłowej ewolucyi, zaprawić się, zahartować, dojrzeć całkowicie w pojedynczych pokoleniach.

Natura nie znosi gwałtownych przeskoków i zawsze prawie mści się za nie mniej lub więcej dotkliwie...

Brak zaufania i wiary we własnych synów spowodował, iż Majenfeld w sprawie „Postępu“ zwrócił się do obcego człowieka, mogąc bezpieczniej polegać na Bernardzie, aniżeli na swoich najbliższych pomocnikach.

Nie zdradził się z tem przed nikim, nie uskarżał, ale czuł to w głębi duszy i bolał, jako ojciec niezaślepiiony, którego doświadczone oko umiało do-  
brze oceniać ludzi, ich wartość i kwalifikacje.

Przypuszczał, że zawiązanie stosunków z młodym Sandsteinem, i zbliżenie się z nim obu jego synów może nawet korzystny wpływ wywrzeć na nich pod wielu względami; liczył na to, że kombinacja taka młodych sił będzie miała i dla przyszłości pewne znaczenie, że gdyby mu się udało człowieka, jak Bernard, wciągnąć w sferę swych interesów, znalazłby może jakieś moralne podparcie dla swego Leona i Józefa, którzy ewentualnie mieliby w towarzystwie swym i prawie rówieśniku dopełnienie tych braków, jakie stanowiły przyczynę jego ojcowskiej troski.

Obaj Majenfeldowie sympatycznie usposobieni byli dla przyszłego socyusza; starszy czuł do niego więcej nawet skłonności przez pewne powinowactwo poważniejszego usposobienia, młodszy miał mu tylko żartobliwie do zarzucenia, że żyje odosobniony i zamknięty, nikomu się nie udziela i nie bywa nawet... na balecie.

— Mógłbyś ty także być rzadszym gościem w teatrze,— zrobił mu uwagę brat w poufnej rozmowie, którą raz prowadzili na ten temat.

— A to dlaczego?...

— Dlatego, że cię za często tam widują i że przecież istnieją jeszcze inne kobiety na świecie oprócz baletniczek, z którymi masz dziwną przyjemność rozmawiać.

Józef popatrzał na niego z uśmiechem pobłażliwym.

— Powiedz mi, czyś ty rozmawiał kiedy z jaką baletniczką? — zagadnął go po chwili.

Leon wzruszył ramionami i zaprzeczył poważnym ruchem głowy.

— Nigdy w życiu, i przyznam ci się, że nie jestem ciekawy.

— A to szkoda, bo to zabawniejsze od pasyanśów u pani Majenfeldowej; ja cię kiedy przedstawię której z tych pań.

— Dziękuję.

— Nie dziękuj przed czasem i nie przejmuj się zaudadno morałami ojca, bo ja ci udowodnię, że to jeszcze jedyny rodzaj kobiet, z którymi bez niebezpieczeństwa ludzie, jak my, przestawać mogą.

Leon spojrział na brata zdziwionemi oczyma.

— Nie wierzysz?...

— Nie rozumiem.

— Ty i na operetce nie bywasz, więc nie znasz bardzo ładnego kupletu: „Życie bez kobiet, to ciało jest bez duszy“ — prawda?... otóż z kobietami żyć trzeba z konieczności.

— No, nie przeczę, ale...

— Żadne ale; słuchaj tylko. Powiedz ty mi, gdzie ja właściwie mam tych kobiet szukać dla siebie?... w towarzystwach?... w jakich?... Gdybym był buchalterem, albo praktykantem choćby w naszym kantorze, miałbym sto domów dla siebie otwartych i odpowiednich; ale widzisz, na nieszczęście, ja jestem Majenfeldem, synem milionera Majenfelda, skutkiem czego nie wypada mi bywać ra-

zem z naszymi praktykantami i buchhalterami w jednych i tych samych towarzystwach, gdzie się pewnie bardzo dobrze bawią, a nie chce mi się nudzić w naszej sferze, gdzie po pierwszym wieczorze zaraz mnie swatać zaczną i podstawić mi panny na wydaniu, które albo mnie nie zechcą, albo których ja nie zechcę.

— Dlaczego cię nie mają zechcieć?...

— Naprzód dlatego, że jestem tylko Majenfeld, i że mam ojca, który zrobił miliony, ale za to nawet sobie baronowstwa żadnego nie kupił; a potem znowu dlatego, że jestem Majenfeld, który ma to na nosie napisane, że w prostej linii z Palestyny pochodzi. Zresztą, co tu długo rozprawić!... Powiedz mi, dlaczego ty nie bywasz w towarzystwach, choć cię ciągną i dlaczego się dotychczas sam nie ożeniłeś?...

Leon głowę odwrócił i odparł na pół apatycznie:

— Bo ja nie mam do tego usposobienia.

— Nieprawda; bo nie mogłeś znaleźć odpowiedniej dziś żony dla siebie. Zbankrutowanej szlachcianki — nie wzięłbyś, arystokratka za nas nie wyjdzie, z Żydówką żenić się nie możesz, a przechrzcianki szukają hrabiów, no—i nie potoczemy wyszli z tej sfery, aby do niej powracać. Z biedną się nie ożenisz, bo to mezalians majątkowy i miliony nasze zresztą warte, aby za nie dostać coś odpowiedniego; między bogatemi—trudny wybór w naszych warunkach. Nie zapominaj historii Sandsteina; to nauka warta zapamiętania. Widzisz zatem, że to nie łatwe dla nas zadanie ożenić

się tak, aby pod każdym względem dobrze trafić. W tem społeczeństwie nazwiska mają jeszcze swoją wartość, a pieniądze swoją; jeśli się jedno z drugim dopasuje—niema kłopotu, ale jeśli się nie dopasuje, to co?...

Zapalił papierosa i zaciągnąwszy się dymem, kończył w ten sposób:

— Nie dziw-że mi się, że nie chcę bywać tam, gdzie mnie tylko znoszą dla samych milionów, ani tam, gdzie się z naszymi milionami wmieścić trudno, ani tam, gdzieby je capnąć chcieli, jak najprędzej, ani tam wreszcie, gdzie ich wcale nie potrzebują. Wiesz ty, jakie jest nasze nieszczęście?...

— No?...

— Naszem nieszczęściem jest to, że nam majątek głowy nie pozawracał do tej pory; mielibyśmy mniej skrupułów, a więcej wyższych zachcianek, i ty byłbyś już mężem jakiej przeniecowanej hrabianki, a ja jakiej spłowiełej księżniczki może, albo pożenilibyśmy się obaj gdzie za granicą z bogatymi bankierównami. Kto to wie!... Ponieważ tak nie jest, ja sobie znalazłem w balecie moją Tunię Płaszczyk, która mnie bawi i jest nadzwyczaj uszczęśliwioną, kiedy jej poszlę pudełko czekoladek do łóżki albo ofiaruję bukiet za *Pas de deux*, a którą w każdej chwili mogę pożegnać krótko: „Moje dziecko, bywaj zdrowa, bo ja mam bardzo ważny interes za granicą i wyjeżdżam na cały miesiąc.“ To wystarcza. Co najwięcej będę jej musiał posłać z Berlina lub Wiednia tuzin jedwabnych trykotów dla ocierania łoż, i sprawa skończona.

Starszy brat zamyślił się poważnie i nie odpowiadał.

Rozmowa się przerwała, bo woźny z kantoru przyniósł Leonowi listy i papiery do podpisywania, zapowiadając zarazem przybycie „pana mecenasa Pińczowskiego;“ młody adwokat, który był od niedawna radcą prawnym firmy Majenfelda, przybywał właśnie z Berlina, dokąd wyjeżdżał przed tygodniem z polecenia swego klienta.

Był on jednym z owych wybranych ludzi zaufania, którzy przy starym Majenfeldzie dorabiali się karyery; zdolny, ruchliwy, bardzo sumienny w wykonywaniu swych obowiązków, szybko potrafił pozyskać sobie względy bogacza, który umiał oceniać nader trafnie zalety i wartość moralną osób, potrzebnych mu do interesów.

— Otwarta głowa! — powiedział o nim po pierwszej konferencji i dał mu na próbę kilka spraw do załatwienia, które jeszcze bardziej poprawiły opinię młodego prawnika; odbierając je, wydawał się wszelako Majenfeldowi trochę zakłopotany, jakby się ociągał z ich przyjęciem, nie chcąc wyjawic otwarcie powodu.

— Czy zależy panu koniecznie na tem, abym to wszystko załatwił w ciągu tygodnia? — spytał, przeglądając papiery z miną trochę dziwną, jak na początkującego adwokata, który nawiązuje pierwszy raz stosunki z tak wyjątkowym klientem.

— Jeżeli to panu ma jaką trudność sprawić — odrzekł mu wówczas bankier, — to mogę powierzyć sprawę komu innemu; dla pana znajdzie się później coś wygodniejszego...



— O nie, nie, — zaprzeczył żywo Pińczowski i zgarnął papiery do swojej teki.

Po tygodniu, gdy stawił się znowu w gabinecie bankiera, miał już wyraz twarzy swobodniejszy.

Majenfeld od pierwszego rzutu oka zauważył w młodym człowieku zaszłą zmianę w ciągu tych dni kilku, a na palcu jego dostrzegł błyszczącą, nowiutką obrączkę ślubną.

— Co to?... zdążyłeś się pan ożenić w tym krótkim czasie? — spytał go z niedowierzaniem.

— A tak, — odparł z uśmiechem zadowolenia „pan mecenas“ — wzięłem ślub przed trzema dniami...

— Ach, to dlatego moje sprawy wypadły panu nie w porę i miałeś ochotę je odroczyć?...

— Prawdę powiedziawszy — tak.

— I czemuż mi pan otwarcie tego nie wyznałeś? — z wyrzutem zwrócił się do niego Majenfeld.

— Dlatego, że doktor, ksiądz i adwokat nie mają prawa dla osobistych względów ociągać się na wezwanie — odpowiedział, — obowiązki ich powołania stoją przed wszystkimi innymi. Zresztą, rzecz załatwiona i okazało się, że można być punktualnym zarówno przed kratkami, jak i przed ołtarzem. Bogu dzięki, nie spóźniłem się ani tu, ani tam, — dodał żartobliwie.

Majenfeld popatrzał na niego z zadowoleniem i podał mu rękę, mówiąc:

— Życzę panu zatem szczęścia w nowym stanie, — a po chwili namysłu potarł ręką czoło i dodał:

— Ale jako przyszedłemu ojcu rodziny przybędą panu teraz i wydatki?

Pińczowski ramiona podniósł i westchnął:

— Ha, cóż robić!... przysłowie powiada: „Daje Pan Bóg dzieci, daje i na dzieci;“ tymczasem dopiero mam tylko żonę i dobrego klienta. Zobaczmy, co będzie za rok.

Majenfeld uśmiechnął się dobrotliwie, pociągnięty jakąś nagłą sympatią do swego adwokata i rzekł:

— Ażeby ten dobry klient zasługiwał rzeczywiście na pańskie uznanie, to możebyś pan zechciał swój układ zmienić od razu pod względem wynagrodzenia i pozostał moim doradcą na stałej pensyi?... co?... sądzę, że ta propozycja zastąpi panu podarek ślubny z mej strony.

Pińczowski zarumienił się i oczy mu zabłysnęły radością.

— Jeżeli pan uważa, że moje usługi mogą być panu pożyteczne,— zaczął i skłonił się na podziękowanie.

— Ja sądzę, że obaj będziemy sobie pożyteczni po tak obiecującym początku,— odpowiedział Majenfeld i czerwonym ołówkiem na bloku alabastrowym zanotował sobie pierwsze litery Pińczowskiego, przy których postawił jakąś okrągłą cyfrę.

Przy pożegnaniu zatrzymał jeszcze chwilę swe go nowo mianowanego adwokata i odezwał się:

— Przepraszam pana, jeszcze jedno drażliwe zapytanie: podobno ojciec pański miał jakieś krótsze nazwisko?...

Młody adwokat nie zmieszany tem wcale, odrzekł bez namysłu z całą naturalnością:

— Krótsze niekoniecznie, ale trochę odmienne; nazywał się po prostu Pińczower.

— A więc...

— Nazywał się Pińczower — powtórzył z pewnym naciskiem na Pińczowera, — po co do tego więcej objaśnień?... to przecież mówi samo za siebie. Czyżby jednak ten wzgląd...

Majenfeld przerwał mu podaniem ręki i ośmielającym uściskiem.

— Broń Boże!... to niema nic do rzeczy. Nazywaj się pan, jak się panu podoba; chciałem się tylko upewnić, czy zmieniłeś pan swoje nazwisko dla...

Pińczowski uprzedzając jego zapytanie, pośpieszył z dopełnieniem:

— Prawdę mówiąc, zmieniłem je tylko dla mojej narzeczonej, która jest Żalińska z domu, i trochę dla mojej siostry, która znowu wychodzi za mąż za jednego z moich kolegów gimnazyalnych, doktora Pasiewicza. Chciałem, żeby się te zakończenia nasze lepiej jakoś rymowały ze sobą.

Majenfeld roześmiał się wesoło.

— No, co prawda ten Pińczower nie brzmiał bardzo właściwie, jak dla pana mecenasa,— rzekł i powtórnie uściskał dłoń młodego człwieka, którego blond włosy zlekka kędzierzawe, niebieskie oczy, regularne rysy i wąs ze szwedzka w górę podczesany nie przypominały niczem rasy, z której pochodził.

Przy innej sposobności dowiedział się Majenfeld więcej szczegółów z życia Pińczowskiego i nabrał jeszcze większej dla niego życzliwości; wyciągał go sam nieraz na słówka i słuchał z zajęciem opowiadań o jego biedzie, którą przechodzić musiał w szkołach, o romansie z panną Żalińską, którą poznał jeszcze na pensyi, jako ubogą dziewczynę, utrzymującą potem siebie i matkę z lekcyi, o trudnościach, które zwalczać musiał, nim się mógł ożenić.

Spryt, inteligencya, szczerłość i humor młodego adwokata ujmowały go i usposabiały bardzo przychylnie.

Kiedy się nadarzyła przeto sprawa z „Postępem,” Majenfeld, oprócz Sandsteina, wtajemniczył w swoje zamiary jednego tylko Pińczowskiego i wysłał go do Berlina, aby tam na miejscu pozatlatwiał niektóre interesa i wybadał sytuację.

Ufał mu zupełnie.

Wyczekiwał też z pewną niecierpliwością jego powrotu, a gdy mu służący oznajmił przybycie pana mecenasa, kazał go natychmiast wprowadzić do siebie i zamknął się z nim na godzinną przeszło naradę, po której z rozjaśnioną miną zeszedł do kantoru dla przejrzenia codziennej korespondencyi, i nie wchodząc w szczegóły, krótko, bez bliższych wyjaśnień, powiedział tylko starszemu synowi, zatrzymując się przy jego biurku:

— No, Leoś, nasze interesa w Berlinie lepiej idą, aniżeli przypuszczałem...

Syn popatrzał na niego i nie przerywając sobie w pisaniu, rzekł prawie obojętnie:

— Tak?... to dobrze.

Ani rozpromieniona fizygnomia ojca, ani wiadomość usłyszana nie zdawały się sprawiać na nim szczególniejszego wrażenia; uważał to za rzecz zwyczajną.

Odrabiał dalej ze spokojem i obowiązkowością płatnego urzędnika swoje rachunki, nie przejmując się głębiej kwestyami, które poza swą stroną finansową nie miały dla niego wyjątkowego znaczenia.

Majenfeld rzucił okiem na niego i poszedł dalej do swego gabinetu; ogryzał z jednej strony swój szpakowaty wąs i uśmiechał się do siebie, potem usiadł przy biurku i z zamachem, stawiając duże, okrągłe, niezbyt równe litery ręką drżącą, napisał bilet do Bernarda Sandsteina tej treści:

„Kochany panie, zwycięstwo!... moje interesa idą doskonale, więc i Pańskie zamiary są bliskie urzeczywistnienia. Zdaje się, że przepędzimy Szwabów. Dziś wrócił Pińczowski z Berlina i przywiózł mi bardzo dobre wiadomości; jeżeliś Pan ciekawy, proszę do mnie na herbatę dziś wieczorem.

„Do miłego widzenia.“

Dzień ten stanowczo był wyjątkowo szczęśliwym dla Bernarda; na pół godziny przed otrzymaniem zawiadomienia od Majenfelda, odebrał także drugi list, który był dla niego niespodzianką jeszcze większą.

Z Grzędów pisała do niego Tola, po raz pierwszy odzywając się sama; donosiła mu o Sewerku i dziękowała za tak troskliwą opiekę nad dzieckiem, które wróciło do zdrowia zupełnie i od tygodnia przebywało znowu przy niej na wsi.

„Wszystko zatem Bogu dzięki skończyło się pomyślnie, z tem tylko bieda, że Sewerek zepstuty Pańską dobrocią — pisała — przykrzy sobie teraz w Grzędach i utrzymuje, iż u Tatusia ładniejsze apartamenta i zabawki, i smaczniejszą dawano mu bawarkę, i większe biszkopeciki, i ciekawsze dawano mu książki do oglądania.

„Nic mu się teraz tak nie podoba, jak dawniej, bo u Tatusia wszystko było inne.

„Odgraża mi się ciągle, że pojedzie do Warszawy i dopytuje tylko, czy nie było dla niego listu od Ojca; bo że ja nie piszę do niego — mówił mi wczoraj z bardzo urażoną minką, — to przecież nie dziwnego, skoro jeszcze pisać się nie nauczyłem, ale że on nie pisuje do mnie chociaż codziennie, to mnie bardzo dziwi, bo przecież taki duży i ciągle siedzi przy swoim biurku!

„Z panią Kraut prowadzą całymi wieczorami rozmowy o Panu i przypominają sobie wzajemnie najdrobniejsze szczegóły swego pobytu w Warszawie.

„Donoszę o tem dlatego tak szczegółowo, wiedząc, iż Pana wszystko, co Sewerka dotyczy, żywo obchodzić będzie, aby Go przekonać, iż pamięć o Ojcu zachowuje w swem dziecięcym serduszkku i z coraz dojrzałszym rozumem nabędzie zarazem poczucia obowiązku kochania i szanowania Ojca tak, jak na to zasługuje.“

W zakończeniu listu znalazł się jeszcze ustęp, który przypadkowo czy z umysłu przez stylizacyę swoją mógł być dwójako tłómaczony.

„Upewniłam Séwerka, — pisała Tola — że skoro Tatus do niego bardzo zatęskni, nie omieszka skorzystać z najbliższej sposobności, aby go znowu zobaczyć. Rzucił mi się z radością na szyję i zawołał: To mu napisz, że jestem bardzo grzeczny i że będę póty, dopóki nie przyjedzie!...“

Słowa te sprawiły na nim takie wrażenie, jakby mu słońce zaświeciło w same oczy i olśniło go swoim gorącym blaskiem.

— Byłaby to z jej strony próba do naszego zbliżenia się? — zapytał siebie. — Nie, to niepodobna! Odjechała przecież zimna i obojętna, jak zawsze, zostawiając mi zaledwie kilka słów na konwencyonalne pożegnanie...

Mimo te myśli, które mu uparcie, jak natrętne choć odpędzane muchy, zlatywały ciągle do głowy, brał list Toli do ręki i odczytywał go ponownie, zastanawiając się niemal nad każdym wyrazem; przypatrywał się jej pismu z uwagą grafologa i uprzytomniać sobie próbował ją samą w chwili, gdy stawiała te równe, okrągłe, jakby toczone i nanizane na nitkę głoski.

Zajęcie to sprawiało mu jakąś nieznaną dotąd przyjemność.

List pisany był widocznie z rozwagą, po namyśle, powoli i w usposobieniu normalnym, spokojnym, nie pod wpływem chwilowego porywu.

Nie znać w nim było śladów kobiecego roztrągnięcia i pośpiechu.

— Nie brak ani jednej kropki nad i — mówił sobie — są nawet wszystkie przecinki i punkta na swoim miejscu.

W połowie jednego zdania musiała prawdopodobnie odłożyć pióro i przerwać pisanie, bo znać było różnicę w kolorze atramentu i w grubości kresek, które wypoczęta, więc i lżejsza ręka cienie i delikatniej stawiać zaczęła.

Wchodził w tak drobne subtelnosci i wyszukiwał je umyślnie.

W innym miejscu zrobił odkrycie, które go szczególnie zajęło; oto do jakiegoś wyrazu uczeptiony, jakby przyschły do świeżego atramentu, znalazł mały, kruczy włos, który mu się w pierwszej chwili wydał zwyczajnym zakrętasem przy literze.

Przyglądał mu się pod światło i pomyślał:

— To wygląda, jakby jej rzęsa... Ona ma przecież takie same włosy czarne. Z pewnością rzęsa! — wmawiał w siebie i ta malutenieczka cząstka jej samej, przypadkowo dołączona do listu, zajęła teraz jego uwagę najwięcej, działała na niego jakby zmysłowym czarem i pociągała jego wzrok niestannie ku sobie.

Odkrycie to sprawiło mu zadowolenie większe, niż gdyby znalazł niespodzianie najcenniejszą pamiątkę po żonie.

Oparł głowę na rękę i rozmyślał.

Po długiej chwili takiej zadumy, machinalnie prawie sięgnął po kluczyki do kieszeni, otworzył powoli boczną szufladę swego biurka i ze skrytki w niej umieszczonej wyjął fotografię dużego formatu; położył ją obok listu Toli i przypatrywał się jej z tym samym jakimś badawczym wyrazem, z jakim poprzednio przyglądał się jej pismu.



Duża, wyrazista głowa wypukliła się na białem tle kartonu i patrzała na niego parą oczu czarnych, melancholijnych, z wyrazem jakiegoś smutku i wyniosłości zarazem.

Oczy te zdawały się ożywać, powiększać, nabierać naturalnej wielkości i zbliżać ku niemu...

— To szczególne — mówił sobie, — dopiero teraz widzę, jak ona jest tu podobną; jak żywa!... prawie zupełnie się nie zmieniła od czasu, jakżeśmy się rozeszli.

Fotografia Toli zdejmowaną była na miesiąc za ledwie przed ich rozstaniem się.

Kilka tygodni temu nie byłby jeszcze mógł przyglądać się jej z takim spokojem i bez przykrego uczucia wszystkich wspomnień, jakie w nim zawsze budziła; trzymał ją dlatego w zamknięciu pod kluczem, nie wyjmując prawie nigdy, nie chcąc rozdrażniać się niepotrzebnie jej widokiem.

Na biurku jego stała tylko kolorowana miniatura Sewerka w rozpiętej koszulce z grzechotką w chudych rączkach.

Pierwszy raz samowolnie sięgnął teraz po wizerunek matki swego dziecka i wpatrywał się w nią z zajęciem człowieka, który w dawno niewidzianej twarzy odszukuje z lubością wszystkie znajome sobie rysy.

Pod wrażeniem listu Toli czuł się jakby rozmazonym.

W ten sposób nie przemawiała do niego nigdy żywym słowem; nie wyobrażał nawet sobie, jakby brzmiał jej głos, gdyby zamiast pisać, chciała się

zdobyć na wypowiedzenie mu tego, co w jej liście przeczytał.

— A jednak... jednak zaszała w niej jakaś niepojęta zmiana! — powtarzał w myślach i nachylony nad fotografią, z sercem bijącym coraz silniej, wyszeptał w końcu z westchnieniem niemal żalosem:

— I czemuś ty mnie pokochać nie mogła?!...

W tej chwili u drzwi przedpokoju zadźwięczał dzwonek i odezwały się kroki służącego.

Jakby ocknięty ze snu na jawie, do którego nie byłby się przyznał przed nikim, instynktowym ruchem schwycił fotografię Toli i wrzucił ją szybko napowrót do szuflady, aby go nie przydybano w tych rozmyślaniach nad nią.

List z przyczepioną rzęsą złożył ostrożnie i wsunął do teki z papierami. Po chwili wszedł służący i na tacy podał mu bilecik Majenfelda z wiadomością o dokonywanych w Berlinie tranzakcjach.

Przeczytał go szybko i rzekł do lokaja:

— Powiedz, że przyjdę po ósmej.

Po wyjściu służącego zasiadł ponownie do biurka i chciał się zabrać do pisania; na list Toli wypadało dać odpowiedź.

Pilno mu było skorzystać ze sposobności i nawiązać korespondencję z żoną, która go niejako pierwsza do tego ośmielała; tłumaczył się przed sobą, że grzeczność tego wymaga, aby jej nie pozwolił zbyt długo czekać na podziękowanie za udzielone o dziecku wiadomości, ale to nie był jedyny powód, który go skłaniał do takiego pośpiechu.

Uczuwał jakąś potrzebę do nawiązania z nią tej pisemnej rozmowy z cichą, ukrytą nadzieją, że otrzyma znowu odpowiedź, która go upoważni do dalszej korespondencji.

Wziął pióro i nie namyślając się, zaczął pisać:

„Nie przypuszczałem, że będziesz Pani tyle dobrą i uprzejmą, aby osobiście trudzić się pisaniem listu do mnie, pod którego wrażeniem śpieszę przede wszystkim złożyć Pani z całego serca podziękowanie zarówno za wszystkie szczegóły w nim zawarte, jak i za prawdziwą niespodziankę, którą mi sprawił.

„Po tak długim, upartem,— powiedziałbym za cięciem milczeniu, raczyłaś odezwać się sama, i to w chwili, w której najmniej tego oczekiwałem po wyjeździe Twoim z Warszawy.

„Tem goręcej i tem serdeczniej dziękuję za to.

„Dom mój opustoszał jeszcze bardziej, odkąd w nim opróżniło się miejsce po Sewerku, którego choroba pozwalała mi korzystać dłużej niż zwykle z moich ojcowskich praw i spełniać ojcowskie obowiązki, do których tak mało nadarza mi się sposobności w ciągu całego roku.

„Nie mam dosyć wyrazów na okazanie mojej wdzięczności za ową szlachetną dbałość ze strony Pani w pozyskaniu jedynego serca, które mi pozostaje na ziemi,— serca mojego syna...“

Zatrzymał się nagle i pomyślał:

— Czy nie zanadto jestem szczerym w tym pierwszym liście, jaki do niej po naszym rozstaniu piszę?... nie chciałbym wydać się jej sentymentalnym.

Przez tę jakąś wstydlivość serca, które raz upokorzone straciło swoją śmiałość, wahał się, czy może przyznawać się do swoich uczuć przed kobietą, która ich dotąd należycie ocenić nie umiała w stosunku z nim.

— Możeby właściwiej było poprzestać tylko na samem podziękowaniu? — zapytywał się w duchu.

Oparł głowę nad rozpoczętym listem i rozważał.

Wtem z tej chwilowej zadumy ocknął go szelest sukien kobiecych i nim się obejrzał, dwie rączki obcisnięte duńską rękawiczką spoczęły na jego ramionach, a ładna główka dziewczęca w strojnym kapelusiku pochylała się nad nim tuż przy jego skroni i świeży dźwięczny głosik zabrzmiał mu nad uchem:

— Bardzo jesteś zajęty?...

Obejrzał się i zawołał z radosnem zdziwieniem:

— Resia?!... jak się masz?... przecieżeś mnie sobie przypomniiała!...

Ujął obie jej ręce i uścisnął z braterskiem uczuciem, wstając na powitanie siostry.

Dziewczyna zatrzymała go i sadzając znowu na fotelu, mówiła:

— Nie sobie nie przeszkadzaj, proszę cię!... masz co ważnego do pisania, to skończ wpierw, ja zaczekam. Weszłam umyślnie tak cichutko, aby zobaczyć, co robisz. Ja wiem, żeś ty zawsze zajęty. No kończ, kończ!...

Pochyliła się nad biurkiem i zmrużając swoje ciemne oczy, spojrzała na rozpoczęty list brata.

— Co piszesz?... pewnie coś ważnego?...

Ciekawość siostry zmieszała go, sięgnął szybko ręką po papier i chciał go wsunąć do teki, ale bystre oko Resi pochwyciło kilka początkowych wyrazów.

— „Nie przypuszczałem, że będziesz pani tyle dobrą...” — zaczęła, — tak?... pokaż-no, to musi być zajmujące!... Korespondujesz z paniami?... bravo, Berciul... a ja myślałam, że ciebie kobiety już nie a nie nie obchodzą.

Zaczęła się śmiać wesoło, próbując odebrać mu list, który ją zaintrygował.

— No, nie bądź tak bardzo dyskretnym, ja cię przecież nie zdradzę!...

— Kiedy bo to nie to, co ty myślisz, — tłumaczył się i opierał natarczywej pustocie siostry.

— Nie to, to co innego — wołała, śmiejąc się ciągle, — zresztą, nie chcesz? mniejsza o to, nie nalegam; ale w każdym razie skończ pierwej, bo ta dama zapewne czeka z niecierpliwością, a my wszystkie nie lubimy czekać na nic.

Pocałowała go w czoło i wykręciła się zgrabnie na pięcie z figlarną minką pensyonarki.

— Ja się tu nie znudzę tymczasem — upewniała go, — będę przeglądała twoje albumy. Nie masz jakich aktorek?... pasyami lubię przyglądać się tym paniom z teatru.

— Kiedy to nic pilnego, dokończę później.

— Boisz się, abym nie była ciekawą?... Jak chcesz. No, to siadaj, pogawędzimy trochę; ja ci dużo czasu nie zajmę.

Usiadła na otomanie, rozpięła swój paltocik i

mówiła dalej szybko z błyskami uśmiezków ciągłych na ustach i w oczach:

— Ty już zupełnie o nas zapomniałeś!... ani się pokażesz w domu, ani się dowiesz, co u nas słychać. Ja mogłabym wyjść za mąż, albo zostać starą panną, nimby pan Bernard zatroszczył się o siostrę. Mama ma żal do ciebie, że nas tak zaniedbujesz, a ojciec o tobie nawet nigdy już nie wspomina, tylko ramionami podrzuca i krzywi się, gdy go o ciebie pytamy. Ty wiesz, jak stary pan Sandstein się krzywi, to wygląda tak, jakby miał boleści; musisz mu leżeć na wątrobie. Ale to twoja rzecz, ja tam w wasze interesa nie wchodzę.

Zwróciła się do niego i poprawiając mu krawat na szyi, zaczęła z innego tonu:

— Mógłbyś też kupić sobie coś modniejszego, niż taki fular; opuściłeś się, nie dbasz o siebie. Młody człowiek powinien być szyk!... a jak ty teraz włosy nosisz, okropność!... zapomniałeś, że istnieją fryzyerzy na świecie. Każ-że się ostrzydz, to nie modne takie kudły na głowie. Zaraz widać, że nigdzie nie bywasz. Ach, żebyś wiedział, jakie u nas teraz nudy!... piramidalne!... Wiesz co, dobrze robisz, że nie przychodzisz na nasze soboty; można się zaziewać.

— To po cóż je urządzać?

— Jak to po co?... przecież musimy mieć jakiś *jour-fix*. Nie zapominaj, że mamy w domu pannę na wydaniu i to niestety już od lat kilku! — dodała z komicznem westchnieniem; — ja jestem pewną, że mama choruje tylko z tego powodu, iż mnie nie może za mąż wydać. Ale à propos mamy, — Cie-

szczyński każe jej wyjechać na pół roku przynajmniej za granicę; powiada, że to konieczne dla jej zdrowia. Wybierzemy się wkrótce, tylko nie wiem jeszcze napewno dokąd. Mnie to wszystko jedno; ja lubię zagranicę. Inny świat, inni ludzie, nowe znajomości. Tutaj już mi się wszystko przejadło. Ciągłe jedno i to samo.

Zrobiła minkę znudzoną i westchnęła tym razem szczerze.

Bernard spoglądał na nią z zajęciem i słuchał z uwagą każdego słowa; niewiele miewał sposobności do takich poufnych sam-na-sam z siostrą. W domu u rodziców bywał rzadko, a odwiedzin swoich nigdy zbyt nie przedłużał; czuł się tam obcym i to coraz bardziej od lat kilku.

— Czy mama jest cierpiącą? — spytał Resi po chwili.

— Jest i nie jest, — odpowiedziała, — znasz mamę, nigdy się od niej tego dowiedzieć na pewno nie można. Kiedy bywa zdrowa, uskarża się na migrenę, na serce, na nerwy, a kiedy jej rzeczywiście coś dolega, zapiera się i boi przyznać do tego, że jest chorą. W każdym razie musi tam coś być, skoro Cieszyński nagli do wyjazdu.

— I pojedziecie?...

— A pojedziemy; cóż robić?... Mama chce zwlekać, bo wyobraź sobie, że czeka, aby się jeden z trzech zdeklarował.

— Z jakich trzech?

— No, z trzech moich konkurentów.

— To jest ich aż trzech?...

— O, byłoby ich więcej, ale nie wszystkie kandydaty są dopuszczalne. Reflektujemy tylko na najsolidniejsze firmy.

— Jakto?

— Widzisz, jak to źle, że u nas częściej nie bywasz, wiedziałbyś lepiej o tem, że ci grozi ewentualność dostania szwagra. U nas teraz grasuje sama młodzież obywatelska, ziemiaństwo jest na porządku dziennym. Co sobota roi się od większej własności.

— No, no?... nie słyszałem o tem.

— Twoja wina.

— Któż bywa taki?

Resia główkę przechyliła i udając, że sobie dopiero przypominać musi po kolei ów liczny zastęp, zaczęła:

— Poczekaj, przejdźmy całą listę w alfabetycznym porządku. Zatem najpierw na A: Arcinowski, blondyn, łysawy, kark jak u wołu, rumieńce jak z ćwikły, wasy jak miotły, lat około trzydziestu, syn obywatelski ale bez własnego majątku, tymczasem żyje z łaski papy tylko i radby jak najrychlej dojść do własnej wioski z posagu żony. Dostał już z pół tuzina koszów od rozmaitych szlachcianek, teraz próbuje szczęścia w plutokracji. Numer zero, bo mi się nie podoba; okropnie sapie w walcu i za dużo mówi o swoich wysokich kolligacjach; zresztą, ojciec się dowiedział, że ma długi i to mu kredyt u nas zepsuło, pomimo pięknego nazwiska.

— Przejdźmy do B.



— Nie możemy; najbliższy z brzegu jest dopiero pan Seweryn Łopuski,—ciągnęła dalej—wielka dystrykcyja, lat dwadzieścia pięć, stan cywilny—żaden, ale szlachcic herbowy. Szkoda, że trochę za za chudy i trochę piegowaty, ale podobno ma plecy i mógłby przez swoje rodzinne stosunki być papie pożytecznym. W sperandzie majątek po jakiejś ciotki hrabinie. Był w Paryżu i mówi po francusku, jak anioł, ale także mi się nie podoba, bo... bo mi się nie podoba i koniec. Jest o wiele głupszy, niż się wydaje, a ja do głupich mam idyosynkrazyę.

Wydeła z lekceważeniem swoje świeże, grube nieco wargi i w uśmiechu po chwili pokazała szereg zdrowych, białych, równych zębów.

— Z głupimi nie mam nawet przyjemności walcować,—rzekła—to się odczuwa nawet w tańcu.

— No, a któż jest tym trzecim? — zagadnął ją Bernard, wprowadzony w dobry humor opowiadaniem siostry,—zostawiłaś go na sam ostatek, musi być najpoważniejszym kandydatem.

— Ten trzeci?...—odparła, kręcąc swą główką z bardzo ważną miną, — ten trzeci najniebezpieczniejszy, bo dałby się z niego zrobić prawdziwy hrabia, gdyby mu oczyścić hipotekę. Nie znasz pana Artura Słonieckiego?... de Słonieckil.. Ciotka Voss omdlałaby z rozkoszy, gdyby nas mogła wyswatać. Mama popiera najbardziej jego kandydaturę, ale ojciec się krzywi; powiada, że...

· Zacięła się i spojrzała w oczy bratu, jakby się wahała, czy może dokończyć.

— Że co?...

— Kiedy może ci nieprzyjemnem będzie, — zaczęła, ociągając się niezdecydowana.

— Powiedz śmiało.

— A więc, że miał już dość kłopotów z hrabia-  
mi przez twoją żonę, dlatego nie chciałby z zię-  
ciem hrabią próbować po raz drugi.

Bernard brwi schmurzył; słowa siostry sprawiły  
mu przykrość.

Spostrzegła to i zarumieniła się.

— No widzisz, Berku, niepotrzebniem cię urazi-  
ła, ale bądź spokojnym, i tak nie zostałabym hra-  
biną, choć mi się Słoniecki podoba. Nie poszła-  
bym za mąż dla samego tytułu i nie wchodziła  
w rodzinę, w którejby się na mnie przez ramię pa-  
trziali. Wiesz, co ci powiem?... mnie się zdaje, że  
ja tu u nas nigdy za mąż nie wyjdę. Za trzeźwo  
patrzę na wszystko i podejrzewam każdego, który  
się do mnie zbliża. Lubię się bawić, śmiać, roz-  
mawiać, dowcipkować, powiadają, że jestem ciętą  
panną i boją się mnie trochę w salonie, bo mam  
ostry języczek i nie wiem sama, skąd mi się czasem  
taka zgryźliwość bierze. Nieraz mam ochotę wstać  
i zacząć na cały głos szydzić z tych wszystkich  
paniczów, którzy koło mnie skaczą, jak pieski na  
dwóch łapkach; taka mnie jakaś pasya porywa, że  
sobie rady dać nie mogę. Uciekam do mego po-  
koju i płaczę, płaczę sama nie wiem czego; ale po-  
tem ocieram oczy, przemyję powieki zimną wodą  
i wracam do salonu flirtować znowu.

Roześmiała się nieszczerze, jakby z umyślnem/  
lekceważeniem dla własnych słów.

— Ty się patrzysz na mnie, jakbyś mnie po raz pierwszy w życiu widział,—odezwała się nagle — dziwisz się, prawda?...

— Prawda,—odparł poważnie—myślałem, że...

— Że ta Resia jest sobie zwyczajnem cielątkiem salonowem,—dokończyła za niego;—no, nie zapieraj się. W domu mają mnie za cielątko i dziwią się tak samo, kiedy się rozsądnie odezwę, ale ja nie lubię w domu odzywać się,—nie mam do kogo. Wolę się uczyć, czytać, myśleć, a kiedy rozmawiam, to tylko o takich rzeczach najbanalniejszych, które mnie nic nie obchodzą, ale o które z nikim spierać się nie potrzebuję.

Wstała i zaczęła się przechadzać po pokoju.

— Ty także nie rozmawiałeś nigdy w domu ani z mamą, ani z ojcem, ani ze mną, prawda?—dodała—złeś robił, żeś ze mną nie rozmawiał częściej. Ale to nic straconego, to się da powetować. Zobaczysz, we mnie są dwie istoty, jedna — to panna Resia na wydaniu, czyli cielątko na targu, dla którego poszukuje się kupca, — druga, to Resia człowiek, który rozumuje, myśli, krytykuje, ma głowę trochę przewróconą i szuka, szuka, szuka czegoś, czego w swoim otoczeniu znaleźć nie może. Dziwadło!...

Staneła przed nim i splótłszy ręce, wpatrywała mu się przez chwilę w oczy, a potem spytała:

— Czy tobie nigdy nie przychodziło na myśl, że ty nie jesteś synem swoich rodziców?...

Spojrzał na nią ze zdziwieniem, skąd się jej takie przypuszczenia biorą.

— Dlaczego miały mi takie myśli przychodzić do głowy?

— Bo my oboje wyrodziliśmy się zupełnie, nie uważasz tego?... ja nie mam nic w sobie podobnego do mamy a ty do ojca, i dlatego mama mnie nie może zrozumieć a ojciec ciebie. Wiesz ty, że to smutne i zabawne zarazem; ja albo płaczę po kątach albo się im w oczy śmieję. Ojciec powiada mi wprost, że jestem głupia, a mama, że jestem okropne dziecko. A ty co na to?...

Wziął ją za obie ręce i przyciągnął do siebie ze współczuciem.

— A ja ciebie dopiero poznawać zaczynam.

Przyklęła jednym kolaniem obok niego na otomanie i oparła się na jego ramieniu.

— To staraj-że się poznać szybko — rzekła, wdzięcząc się do brata, — bo kiedy wyjedziemy na sześć miesięcy za granicę, to znowu stanę się dla ciebie całkiem obcą. Czy ty wiesz, skąd ja teraz wracam?... Anibyś się domyślił!... byłam u Rózi Klugermann, wiesz?... ta Różia, córka wujaszka Płockiego, co to wyszła za mąż przed kilku laty?... To przecież nasza siostra cioteczna czy wujeczna, tylko że nie żyjemy z nimi bliżej, bo—nie wypada, odkąd zmieniliśmy... Stary Testament na Nowy. Jej mąż jest chirurgiem, ma teraz jakąś dobrą posadę w szpitalu i nieźle się im powodzi. Zeszłego tygodnia spotkałyśmy się w księgarni; podeszła do mnie pierwsza i przypomniała sama, naopowiadała mi tyle o swoim szczęściu, o swoich dzieciach, o swoim Maxie, że mnie zaciekawiała. Chciałam to

zblizka zobaczyć i poszłam ją dzisiaj odwiedzić, ale poszłam w tajemnicy przed mamą.

— Dlaczegoż w tajemnicy?...

— Jak to dlaczego?... cóż to nie pamiętasz, że nam zabroniono pójść nawet na jej ślub dlatego, że się odbywał w synagodze? mama wtedy zachorowała, a ojciec wyjechał w bardzo ważnym interesie do Petersburga i wujaszek Płocki omal się nie rozplakał, że nikogo nie miało być na weselu Rózi. Jakoś sobie poradzili bez nas i są szczęśliwi. Wyobraź sobie, mają już troje dzieci, a jakie ładne, jakie miłe!... chłopczyk skończył dopiero cztery lata, a już zaczyna litery poznawać i rozmawia bardziej zajmująco od pana Łopuskiego. Pokazał mi wszystkie swoje zabawki, wszystkie figurki powyciągał, które mu matka zawiesiła na choince zeszłorocznej i chciał mi darować koniecznie wielkanocnego baranka z cukru, na pamiątkę naszej nowej znajomości.

— A skąd-że się u nich wzięła choinka i baranek? — zagadnął siostrę Bernard, — czyżby się ochrzcieli?...

Resia w rączki plasnęła.

— Wyobraź sobie, że ani im to do głowy przyszło!... ale obchodzą wszystkie święta, Boże Narodzenie, Wielkanoc, dzieciom sprawiają gwiazdkę, sługa u nich posty zachowuje, a oni sami w piątki nie jadają z mięsem i co najzabawniejsze, że wszyscy biorą ich za chrześcijan. Opowiadała mi Różia o jakiejś doktorowej, która u nich bywa dość często i za każdym razem wymyśla przed nią najokro-

pniej na Żydów, a ta się dusi od śmiechu i przytakuje jej, jak najgorętsza antisemitka. Cóż ty na to?

— Czemuż nie zmienią wyznania faktycznie, skoro tak mało im już do tego brakuje?..

— Mówiliśmy i o tem; Rózia powiada, że nie zrobiłaby tego ze względu na ojca. Wujaszek Płocki ma być bardzo religijny i nie dopuściłby do tego. Póki on żyje, pozostaną na pozór Żydami, ale kiedyś tam z pewnością przvjną chrzest, a dzieci już dzisiaj przygotowują do nowej wiary.

Zwiesiła główkę na ramię brata i umilkła.

— Dobrze mi tam było u nich przez te dwie godziny — odezwała się znowu po chwili, — jakiś inny świat, inna atmosfera, inni ludzie, a przede-wszystkiem szczęście i zadowolenie, którego się u nas nie spotyka.

Westchnęła ze smutkiem prawie i zrywając się z miejsca, zmienionym tonem zawołała nagle:

— Ale ja powinnam już uciekać stąd; co sobie w domu pomyśla?... ty musisz mi pomódz; powiem, że siedziałam u ciebie tak długo, bo do wizyty u Klugermannów nie mogę się przyznać przed mamą; dostałabym dopiero bureł... No, bywaj zdrów i pamiętaj kłamać razem ze mną, gdy się sprawa wytoczy. Możebyś mnie odprowadził nawet do domu?... jak uważasz?... przez drogę pogadamy jeszcze z sobą.

Ujęła go pod ramię i pociągnęła ku drzwiom.

— Jakoś mi dziwnie dobrze, że się przed tobą trochę nazwierała — mówiła do niego, — w domu chyba do ściany albo do poduszki musiałabym tak mówić.

Ujął ją z czułością wpół i ucałował zamiast wszelkiej odpowiedzi, a ona odgadując usposobienie brata dla siebie w tej chwili, przytuliła się do niego z wdzięcznością dziecka, szukającego pieszczoty, i rzekła:

— Ja ci powiadam, żałuj, żeś ze mną częściej nie rozmawiał dotychczas. Ta Resia, to nie takie proste cielátko, jak o niej myśla!..

I śmiać się zaczęła sama z siebie.

Kiedy wyszli na ulicę, ujęła go pod ramię i rzekła:

— Pójdziemy tak, jak młode małżeństwo, albo para narzeczonych; ja lubię chodzić z mężczyznami pod rękę, to bardzo przyjemnie, tylko mało mam do tego sposobności. Nachyl się trochę do mnie czulej, będą myśleli, że jesteśmy zakochanil..

Bernard słuchał tego szczebiotania siostry z zajęciem, ale znać było, że nie wszystko mu się w jej słowach podobało.

— Cóż ci na tem zależy, aby nas wzięto za zakochanych, nie za rodzeństwo? — zapytał.

Podniosła do niego zalotnie główkę i uśmiechnęła się złośliwie.

— Jak to zaraz widać, że się nie wiele zajmowałeś płcią piękną!.. — odrzekła; — widzisz, kobieta nie zakochana i taka, w której się nie kochają, nie jest wcale interesującą. Każda powinna się starać przynajmniej o pozory tego. *Ça pose bien.*

— Czy to jest twoje przekonanie?..

— A dlaczegołby niem miało?... to nie chodzi o to, aby się zaraz kochać rzeczywiście; bo zresztą ja ci się przyznam, że z tą miłością jest

trochę przesady w tem, co o niej piszą i mówią. Ho, hol... ja się nie dam wziąć tak łatwo na miłość.

— Taką masz trzeźwą głowę?...

— Niestety!... ale to nie moja wina... tak mnie wychowano. Wiesz co, jabym ci jeszcze coś powiedziała, ale boję się, że mi to za złe weźmiesz.

— Czy to co tak bardzo złego?...

— Jak dla kogo; ty masz trochę odmienne ode mnie pojęcia i jesteś... jesteś bardziej ode mnie zacofany.

— Zacofany?... proszę!... to ciekawe.

Zawahała się przez chwilę, czy ma dalej mówić w tym tonie, i spojrzała na brata, jakby badała wyraz jego twarzy.

— Powiedz mi, czy ty wierzysz w cokolwiek?— zagadnęła go nagle i nie czekając odpowiedzi, mówiła dalej:

— Bo ja ci się przyznam, że chciałabym koniecznie w coś wierzyć i jakoś... jakoś to mi nie idzie; ja tak, jak Faust, mogłabym o sobie powiedzieć: *Mir fehlt der Glaube!*... Chodzimy przecież z mamą co niedziela na mszę do Wizytek, bo to przynajmniej najbardziej dystyngowany kościół, i jest się tam w swoim towarzystwie, bierzemy z sobą książki do modlenia, żegnamy się, kłękamy, robimy wszystko, co drudzy, a jednak to nie to, to nie nabożeństwo, to nie religia, to sama forma tylko!... Wiesz, ja jestem z tobą szczerą i mówię ci otwarcie, co myślę, choć się na mnie patrzysz, jak na raroga. Dziwadło, prawda?... Czegoś mi brak, ja to wiem,— czegoś, czego nigdy nie miałem od dziecka, a czego nikt we mnie wpoić nie



potrafił. Może to wina wychowania, może mojej natury, czy ja wiem!... Powiadają, że kobieta powinna mieć jakąś religię i to może być prawdą, ale mi się zdaje, że...

Urwała, onieśmielona milczeniem brata i wyrazem jego oczu, w których dostrzegła jakby smutny zawód i rozczarowanie, z jakim słuchał jej wyznań.

— Nie podoba ci się to, co mówię? — spytała z grymasem przykrym na ustach, które się uśmiechać przestały.

— Myślę nad tem, skąd ci do głowy to wszystko przychodzi?...

— Jak to skąd? — podchwyciła, — samo z siebie. Coś się w tym rodzaju usłyszało, coś przeczytało, a reszty dopełnia sam rozum, sama logika.

— To ty czytasz wszystko?...

Zrobiła minkę urażoną.

— Jeszczeby też!... dużobym wiedziała, gdybym tylko czytała książki, które pannom w moim wieku wolno czytać!... Ja nawet Zolę czytam i Bourgeta i wszystkie nowe romanse francuskie,— dodała, jakby się przechwalając z tego.

— I mama wie o tem?

— Po co ma wiedzieć?... ją to zresztą mało obchodzi. Takie rzeczy się czyta ukradkiem do czasu, póki się za mąż nie wyjdzie. Nie myśl, że to ja jedna tak robię; tylko że inne nie przyznałyby się do tego, bo to należy do panięskich tajemnic i nie wypada się z tem zdradzać. To zaraz psuje opinię. Panna powinna uchodzić za niewiniątkol... tego wymaga nasza towarzyska obłudal...

W głosie jej drżało jakby oburzenie i ironia.

Brat szedł obok niej zamysłony i spochmurniały; miał wrażenie człowieka, który zerwał wprost z drzewa świeży, piękny, ponętny owoc, zaledwie dojrzewający na oko, a rozłupawszy go, znalazł w nim brzydkiego robaka, który go wstrętem przejął.

Pierwszy raz miał sposobność porozmawiać z siostrą tak otwarcie o kwestyach, których nie dotykali z sobą, lecz zaglądnąwszy w ten młody umysł, w tę duszę przypadkowo dla niego otwartą, doznał uczucia nad wyraz bolesnej niespodzianki, tem boleśniejszej, że mu ją sprawiła rodzona siostra, którą uważał zawsze jeszcze za dziecko naiwne, nie zepsute, z sercem pełnem illuzyi, z tą niezwiertzałą krasą dziewczęcej młodości.

A zamiast tego znalazł już różterkę pojęć i tę przedwczesną przejrzałość duszy, nad którą nikt troskliwej nie roztaczał opieki i której pozwalano rozwijać się i rosnąć z zarodkiem próchna ukrytego we wnętrzu.

Wychowywano ją na pannę salonową, dbano o wewnętrzną ogładę, o powierzchowność, o dobre maniery, kazano kształcić, uczyć, nadawano formy — nie dbając o treść, o ducha, o tę moralną istotę, której poznać, wyrozumieć, ocenić nie próbował nawet nikt w rodzinie: ani matka, widząca w niej tylko córkę na wydaniu, ani ojciec, zajęty robieniem milionów na posag dla jedynaczki, ani płatni nauczyciele i guwernantki bez doboru, którzy w swojej elewce widzieli tylko pannę bankierównę, przeznaczoną na jedną więcej przedstawicielkę wyzłoconej i wybrylantowanej plutokracji,

nie pamiętając o tem, że i w tej sferze potrzebne są kobiety... z głową i sercem.

A tak mu się zawsze zdawało, o ile mógł wnioskować ze wspomnień i wrażeń wspólnego dzieciństwa, że w tej Resi jest materyał na dobrą, rozumną i zacną kobietę, która w tej sferze konwensansu, próżności i pozorów, odbijać będzie kiedyś i nie tak łatwo przesiąknie wpływami swego otoczenia...

— Jakże mnie ciebie żal, dziewczyno! — odezwał się nareszcie głosem poważnym i zgnębionym, jak gdyby tylko własnemu sercu chciał ulżyć temi słowami. — Przecież to wszystko, co pół żartem mówisz, jest stokroć smutniejsze, niż sama przypuszczasz. Czy ciebie samej nie przeraża ów chłód, jaki już dziś uczuwasz, owa trzeźwość, która nie dopuszcza żadnych złudzeń, owa pustka, której wypełnić niczem nie umiesz?... I co to będzie dalej, moja Resiu?...

Szła obok niego z głową spuszczoną, jakby ją własne wyznania w zadumę nad sobą pograżyły i straciła nagle swój swobodny humor.

— Cóż chcesz — odezwała się wreszcie, otrząsając się z jakąś rezygnacją z przykrych refleksyi, — *fin de siècle!*... jestem dzieckiem swojego wieku. Trzeba brać fakta tak, jak są. Czy myślisz, że mi z tem dobrze?... wcale nie, ale coż na to poradzić!... widocznie tak być musi, trzeba się z tem pogodzić, — dodała z westchnieniem. — Możebym wychowana w innych warunkach, w innej sferze, ot — jak taka Rózia Klugermann, wyrosła na coś podobniejszego do ludzi, nie na dziwadło!... Mnie się zda-

je, że my oboje jesteśmy dziwadła, każde w swoim rodzaju, tylko ty jako mężczyzna możesz być innym, a ja muszę być inną, jako kobieta. Pytasz się: co ze mną będzie?... co ma być!... wyjdę za mąż, bo na starą pannę nie mam wcale usposobienia, i nie zapieram się tego, że im prędzej to się stanie, tem większą mi sprawi przyjemność, ale czy będę w małżeństwie szczęśliwą i czy uszczęśliwię kogo— to duża kwestya!... Daję ci słowo, że pod tym względem wcale się nie łudzę. Trzeba będzie w końcu wziąć męża, jaki się zdarzy z tych, wśród których mi jedynie wybierać pozwolą, a wierzaj mi, to nie najlepszy rodzaj na dozgonnych towarzyszów życia. Ja się już i na tem poznałam, nie mam i co do tego żadnych illuzji. To już takie nieszczęście, że my *de la haute finance* musimy sobie najczęściej mężów kupować, a kupiony mąż zawsze niewiele wart, więc się wybiera nie najlepszego za swoje pieniądze, ale tylko najmniej złego, aby mieć z kim bywać w świecie i jeździć powozem.

Mówiła to wszystko w tonie na pół seryo, pół żartem, ale z odcieniem owej szczerości, która zakrawała na ironię z samej siebie.

Wechodzili już do bramy, kiedy zatrzymując brata przy schodach, rzekła:

— Ale mój drogi, to wszystko zostaje między nami, pamiętaj!... myśl sobie co chcesz o mnie, tylko język trzymaj za zębami, bo inaczej—nie przemówiłabym więcej ani słowa do ciebie. Dyskrecya jest najpiękniejszą cnotą mężczyzny...

Roześmiała się i uściśnawszy rękę Roberta, dała:

— Teraz staję się znowu cielątkiem, którego się same głupstwa trzymają.

I wbiegła na schody, pociągając brata za sobą.

Nie miał czasu nic więcej odpowiedzieć jej na to; szepnął tylko:

— Rozmowa nasza nie skończona, — i z wyrazem zaszępienia spojrzął na siostrę.

Radość, jaką mu sprawił list Toli i Majenfelda, zagłuszyło wrażenie rozmowy z Resią.

---

## L.

Wytwornie urządzony i przebudowany przez starego Sandsteina dwór w Grzędach nie zmienił się od czasu, gdy przeszedł wraz z majątkiem ziemskim na własność jego synowej, po rozejściu się młodych małżonków; odświeżone mury przybrały tylko szarawą barwę z zewnątrz, a wewnątrz jaszkrawe nieco tony obicia i umeblowania przygasły i nabrały bardziej dystygowanych odcieni.

Dogadzając swemu poczuciu smaku, Tola postarała się o to, usunąwszy niepotrzebny zbytek, którym jej przyszły teść pragnął się popisać, urządzając tę wiejską siedzibę dla urodzonej hrabianki, wyswatanej za jego syna.

Wyglądało tu teraz skromniej, ale poważniej; nie rzucały się w oczy plusze, atłasy i złocenia na meblach kosztownych i ścianach, nie raziła widoczna chęć imponowania bogactwem i komfortem, niebardzo stosownym dla dworu wiejskiego.

Jedynym zbytkiem odznaczał się może ogród i ciepłarnia, na którą Tola nie szczydziła kosztów; z każdą wiosną przybywało tu kwiatów, krzewów,

drzew, nowych klombów, miękkich i puszystych, jak strzyżony aksamit trawników, zacienionych szpalerów i rzadkich roślin, które sama pielęgnowała ze szczególniejszym zamięowaniem, przy pomocy zdolnego ogrodnika.

Wiosny każdej wyczekiwała też z utęsknieniem, odżywała razem z naturą i czuła jakby nowe siły, które ją wzmacniały i dodawały świeżej energii.

Przybywało jej przytem upragnionego zajęcia coraz więcej i skracał się czas, który starała się zapełniać wszelkimi sposobami; zimowe dni dłużyły się dla niej nieznośnie, godziny wlokły się jak owe tumany mgieł po polach w jesienne wieczory, na które zwykle patrzała z werendy przy salonie z jakimś głębokim smutkiem i lękiem niemal.

Jesienią i zimą odczuwała bardziej swoje osamotnienie w tem wiejskiem ustroniu, z którego wszelako nie chciała się ruszyć do miasta na czas dłuższy, unikając zetknięcia ze światem, który raz porzuciła.

Kiedy po ostatnich mrozach śniegi w polach tajać zaczynały i jakieś jaśniejsze smugi występowały na niebo, wypogadzała się dziwnie twarz Toli; czuła, jakby i na niej pękały jakieś zimne, lodowe więzy i jakby w tej zamkniętej, samotnej duszy nowe życie kiełkować zaczynało.

Codziennie po południu, jeśli tylko słońce nie stawała na przeszkodzie, kazała zaprzęgać parę ulubionych swoich kasztanków do zgrabnego karykła i wyjeżdżała na dalekie spacer, powożąc sama.

Okrażała zazwyczaj w rozmaitych kierunkach obszerne Grzędy i wśród pól pustych, czarnych, nakrapianych resztkami śniegu, wyglądających, jak ciemny, gruby razowiec posypany białą solą, jeździła nieraz do zmroku, w towarzystwie tylko swoich myśli.

Stosunków sąsiedzkich nie utrzymywała prawie żadnych, ograniczając się jedynie do koniecznych znajomości, od których niepodobna było się wymówić.

Z początku brano jej to za złe, ale z czasem przyzwyczajono się do tego.

— Dumna! — mówili jedni.

— Dziwaczka! — wyrokowali drudzy i zostawiali ją na szczęście w spokoju, pozwalając jej żyć swoim trybem i nie narzucając się wiele.

Dwór w Grzędach przestał się liczyć w okolicy do domów odwiedzanych.

W takim dobrowolnem zamknięciu i odosobnieniu spędziła Tola owych lat kilka rozłąki z mężem, czując się w swym niezdecydowanym charakterze ni rozwódki, ni mężatki — bardziej skrupowaną, niż każda inna kobieta bez męskiej opieki i rodziny.

Wujowstwo Łanieccy, u których w tych samych Grzędach od dziecka się chowała, po rozbiciu jej małżeństwa, tak niefortunnie przez nich skojarzonego, odsunęli się od niej prawie zupełnie, zaraz po śmierci dziadka, którego pozostała fortuna postawiła ich znowu trochę na nogi.

Zabrali swoją część i wynieśli się do Galicyi, pozostawiając wychowankę jej własnemu losowi.



Od czasu do czasu ciotka napisała list pełen udanych czułości, z dołączeniem rad i uwag, które uważała sama za groch rzucany na ścianę.

— Tola jest uparta, jak kozioł — mówiła Łaniecka do swego ukochanego Jasia, — nie można z nią do ładu trafić. Niechże się rządzi sama, prawda?...

— Tola jest niewdzięczna! — dodawał Jaś z odcieniem głębokiej urazy, z którą mu bardzo wygodnie było, bo czuł się zwolniony ze wszelkich obowiązków opiekuna względem wychowanki, mającej jego zdaniem głowę kompletnie przewróconą.

Nie potrzebował jej zresztą teraz do żadnych swoich kombinacji...

Cicho i jednostajnie płynęły zatem dni w Grzędach młodej separacie, dla której książki, dzienniki, nuty i nieliczna korespondencya, były jedynym łącznikiem ze światem poza granicami jej samotni.

Codziennie chłopak stajenny konno jeździł do pobliskiego miasteczka na pocztę i przywoził w torbie gazety i listy.

Powrót jego stanowił jedną z ważniejszych chwil ożywienia w szarej monotonii całego dnia.

Rozwijało się pisma, rozpakowywało posyłki, i jakiś świeższy powiew ze świata przynosił trochę urozmaicenia.

Na trzeci dzień po wysłaniu listu do Bernarda z wiadomościami o dziecku, powracającą ze zwyczajnej przejażdżki przed dwór matkę powitał radosnymi krzykami Sewerek:

— A chodź-że, chodź prędzej!... już się doczekać ciebie nie mogę!... patrzaj, list!... list od niego!

Oczki mu się świeciły, twarzyczka blada zwykle i zmizerowana teraz jeszcze bardziej, gorzała rumieńcem.

— List od niego! — powtarzał, potrząsając zapieczętowaną kopertą w powietrzu, — od niego, wiesz?... napisał przeciel Chodź prędzej, bo ja sam przecież przeczytać tego nie mogę!...

Podał list matce i czepiając się sukni, nie pozwolił jej rozebrać się w przedsiönku, ani zdjąć rękawiczek z angielskiej skóry.

Przejęty był do głębi wiadomością, którą powtarzał nieustannie, nagląc matkę do rozpieczętowania listu — od niego.

Na chwilę tylko przemogła w nim natura dziecięca małego kolekcyonisty, w którym nie wiadomo skąd wzięła się mania zbierania rozmaitych drobiazgów; sięgnął rączką po list i zawołał:

— Tylko mi markę wpierw odlepl!...

Chyba jakaś kropla krwi dziadzi Sandsteina odzwała się we wnuku.

Matka ujęła jego główkę w obie dłonie i ze słowami:

— Ależ dobrze, dobrze, sama o tem pamiętam! — ucałowała ją na powitanie, kryjąc zarazem rumieniec, jaki oblał jej twarz na widok listu męża.

Podeszła do okna i rozerwawszy kopertę, oddała ją Sewerkowi, a sama zaczęła czytać pismo Bernarda; ręce jej przytem lekko drżały może z wzruszenia, a może z większego niż zwykle wysiłku nad ściąganiem lejców podczas przejażdżki, bo konie podniecone rwały się ciągle dzisiaj niespokojne do szybkiego biegu.

Sewerek, przyglądając się kopercie, zawołał nagle:

— Patrz, jaki on dobry!... patrz-no, mamusiu, on musi wiedzieć, że ja zbieram marki, bo nalepił aż dwie na jednym liściel...

Uważał to ze strony ojca za umyślną niespodziankę dla siebie.

— No, co on tam pisze? — zaczął nalegać na matkę, — wszystko sobie sama wyczytasz, a ja się niczego nie dowiem!... czy on pisze, że przyjedzie?... mamusiu, przyjedzie?... co?...

Była tak zajęta czytaniem, że nie uważała prawie na natarczywe zapytania dziecka i nie mogła się zdobyć na odpowiedź.

Sewerek, nie mogąc z niej wydobyć ani słowa, usiadł zadąsany na podnóżku i paluszkami śliniąc kopertę, zajął się odlepianiem ulubionych swych marek, ale minkę miał pochmurną i z urazą spoglądał na matkę z pod oka.

— Czy to jest sumienie — mruczał, jakby się skarżąc sam przed sobą, że go tak pokrzywdzają — zabrać cały list i kazać tak długo komu czekać!...

Oparta jednym ramieniem o futrynę okna, Tola czytała z uwagą, skupioną tylko na ów welinowy arkusik papieru, który jej oczy przebiegały szybko, jak gdyby chciały zgarnąć od razu wszystkie litery z każdej strony; przy niektórych okresach musiała wracać do początku zdania, bo w pośpiechu urywał się jej i gubił sens przeczytanych wyrazów.

„Po raz pierwszy — pisał Bernard — czułem prawdziwą rozkosz ojcostwa w tem jedynem bliż-

szem zetknięciu z Sewerkiem, który bywał tylko ceremonialnym gościem w moim domu podczas dawnych swoich odwiedzin.

Choroba jego zbliżyła nas, o ile teraz sądzić mogę; rozplakał się na wyjeździe i swoje chude rączki zarzucił mi na szyję w uścisku, którego nigdy nie zapomnę. Nie mogę odżałować, że pobyt jego u mnie przypadł właśnie na chwilę wyjątkowej rozterki i zwiększonych zajęć moich poza domem; trudno, człowiek nigdy nie może widocznie posiadać całego szczęścia!

Proszę mi wierzyć, że nie byłbym w innych warunkach odstąpił ani na chwilę od łóżka chorego dziecka, gdyby mnie ważne obowiązki nie były odwoływały od niego. Byłaś Pani świadkiem ciężkiej kampanii, którą podjąłem, i dla zasady, dla dobra samego celu, przeprowadzić musiałem, niestety, z tak małym poparciem. Ale nader fortunny zwrot w tej sprawie pozwala mi mieć dzisiaj niepłonną nadzieję, że jednak zwycięstwo przechyli się na naszą stronę, dzięki pomocy jednostki wprawdzie, nie siły zbiorowej, którą daremnie próbowałem wytworzyć. Mniejsza o to już, kto zrobi dobrze i kto źle naprawi, byle się to tylko stało.

Przepraszam bardzo, że wplątam ten nawias, który do mego listu nie należy, ale jestem jeszcze przejęty tak nawskróś sprawą „Postępu,” że prawie o niczem innem teraz myśleć nie mogę.

Za kilka dni ma się ostatecznie rozstrzygnąć walka dwóch stronnictw, a chociaż wynik jej już dzisiaj jest przewidywany, jednak gorączka oczekiwania zamiast ustępować, wzmaga się tylko.

Doprawdy, nie uwierzyłbym nigdy komuś drugiemu, jak pakowną skrzynią jest głowa ludzka i ile się w niej najrozmaitszych rzeczy jednocześnie pomieścić może, gdybym się o tem z własnego doświadczenia nie przekonywał teraz.

W sercu mem zaś dwa uczucia górują obecnie: wdzięczność dla Pani za dowód dobroci, jaki odebrałem w Twoim liście, i miłość dla Sewerka, którego słowa i pamięć o ojcu rozrzewniają mnie głęboko.

Czułem się coraz bardziej obcy i coraz bardziej osamotniony w życiu, w którym się wszystko tak dziwnie składało i składa, aby zmrozić i zniechęcić człowieka do wszystkiego, przekonywując go, że najtrudniej jest zdobyć dwa skarby: miłość i wiarę w ludzi.“

Zatrzymała się i westchnęła; w tych słowach słyszała jakby echo cichej skargi i wyrzutu dla siebie.

Smutek jakiś ogarnął ją, litery zaczęły jej się dwoić w oczach.

Wstrzymała oddech i przez chwilę zamknęła powieki, aby opanowawszy wzruszenie, czytać dalej:

„Nie mam jednak urazy do nikogo, choć wiem, że wisi nade mną jakaś fatalność, którą wieki dopiero zniszczą, jak wieki ją całe tworzyły. Pozostało we mnie tylko poczucie jednostki, zmuszonej walczyć z fatalnością i sam za siebie odpowiadam dzisiaj, a jeśli ręk nie opuszczam, to jedynie przez tę nakazaną sobie wiarę w moce nadziemskie, które w Goethowskim „Fauście“ wołają: Wer immer strebend sich bemüht, den können wir erlösen!...“

Czy ja tam kiedy wybawionym na prawdę będę, nie pytam teraz i żadnego szczęścia dla siebie tak rychło się nie spodziewam.

Jedną mam prośbę tylko do Pani: bądź dobrą tak dalej dla mnie, jako dla ojca swego dziecka jedy- nego, i zachowaj mi w niem cząstkę serca, które mi się przecież koniecznie należy za to wszystko, czego w życiu nie miałem.

Sewerkowi mów często,—jak najczęściej,—że go kocham; proszę o to z głębi duszy i z głębi duszy wdzięcznym Ci za to będę. Do swoich pocałunków dodawaj zawsze na końcu jeszcze jeden więcej mów przy nim: „To od tatusia.“ Spełnij tem nie tylko obowiązek matki, ale i dobry uczynek, nauczywszy nasze dziecko — mnie kochać...

Wszystko, co robię dzisiaj i do czego dążę, robię w tej myśli, aby mój syn kiedyś znalazł dla siebie drogę lżejszą i szczęśliwszą w życiu, a za to dał mi tylko nagrodę w swej miłości i w swoim szacunku.

Wiem także, że jako ojciec jego, mam trudniej- sze podwójnie w tym kierunku zadanie.“

Zmrok pozwolił jej ledwie z wytężeniem przeczytać do końca słów listu, ale przerywać sobie nie chciała; z twarzą prawie do szyby przytuloną, przebiegała wilgotnemi oczyma pismo Bernarda, a doszedłszy do ostatnich pozdrowień dla siebie i Sewerka, opu- ściła ręce, głowę zwiesiła i stała tak w głębokiej, milczącej, smutnej zadumie, jakgdyby wszystkie jej myśli spadały zwolna, niby głuche krople łez w bezdenną jakąś przepaść, zabierając z sobą świadomość tego, co się dokoła niej działo.

Mysłała tylko o nim jednym i o tej jego smutnej, pisanej spowiedzi, w której każde zdanie rozwijało się w coraz szersze okresy i dopowiadało stokroć więcej od słów, jego piórem kreślonych.

Nie uważała nawet, że od kilku chwil Sewerek stał znowu przed nią z rączkami na tył splecionymi i patrzył zdziwiony na zmianę, jaką w jej twarzy spostrzegł od czasu przeczytania listu, i niecierpliwie przestępował z nogi na nogę, aż nie mogąc doczekać się tego, by zwróciła na niego uwagę, szarpnął ją wreszcie za rękaw i wybuchnął prawie ze łzami oburzenia i dziecięcego gniewu w głosie:

— No i ty mi nic nie powiesz, co on pisze?!...

Ocknęła się, zbudziła, wyrwała przemocą z tej bezdni własnych myśli i podniósłszy swe dziecko z ziemi, zaczęła je gwałtownie z wybuchem gorącej czułości okrywać pocałunkami, powtarzając raz po raz:

— To od tatusial... to od tatusial... to od tatusial...

Było w tym wybuchu wszystko, co się tłumilo dotąd w dumnym i zamkniętym jej sercu, czego nie byłaby umiała w słowach wyrazić, a co jej rozpie-rało piersi od dawna już i rosło, wzbierało, prze-walało się w duszy, jak nawałnica.

To uczucie, z jakim tak nagle wyjechała z Warszawy, obawiając się zdradzić z niem, podobne do żarzewia rzuconego we wnętrze domu, nie zgasło;— przeciwnie, tliło się dalej, rozpalało coraz więcej i zajmowało dokoła siebie wszystko w jej sercu,

podniecanem w samotności refleksją i wspomnieniem całej przeszłości.

Zdawało jej się, że to przejdzie, że minie i że równowaga znowu powróci, że z jej oczu zejdzie postać Bernarda, który stawał przed nią zaczarowany, jak duch, i prześladował ją swoim widokiem.

Widziała go w rozmaitych momentach życia od pierwszego poznania się z nim, od owej nocy poślubnej, w której zażądała od niego poświęcenia nad siły i nie pozwoliła mu zbliżyć się do siebie, dopóki nie pozyska jej serca; przypomniały jej się w tych samych Grzędach ich miesiące wspólnego pożycia, długie, jednostajne, nużące przymusem a ciężące jarzmem, które niebacznie pozwoliła włożyć na siebie.

Walczyła z sobą, jak ofiara, która za późno spostrzegła się, że na nią nie była stworzona.

Teraz na każdym miejscu spotykało ją jakieś wspomnienie z owych czasów, które mówiło do niej z wyrzutem:

— Tu siadywał on zamyślony i milczący całymi godzinami w twym towarzystwie, nim raczyłaś przemówić do niego... Tutaj chodziliście obok siebie sam-na-sam, nie zamieniwszy ani jednego słowa z sobą. Tam był jego pokój, w którym zamykał się całymi wieczorami z książką w rękę, aby ci nie przeszkadzać i nie narzucać ci swojej obecności...

Wszędzie widziała go smutnego, cichego, trawionego jedną myślą, która musiała go gnębić i upokarzać w tem wyczekiwaniu daremnym, że jej



dumne, uporne, niepodległe serce zdobędzie się na reszcie na jałmużnę uczucia.

Wówczas nie zastanawiała się nad tem tak głęboko i nie miała dla niego tego zrozumienia, jakie dzisiaj po latach przyszło samo, spóźnione, w jego obronie.

Wszystkie uczucia, które pod naciskiem w jej sercu zaprawiły się goryczą i jadem trawiły je nieustannie, teraz—odkąd odzyskała swobodę z jego ręki, odkąd się poczuła znowu panią samej siebie, odkąd nie ciążył na niej żaden obowiązek dobrowolnej ofiary w wyswatanem „małżeństwie z rozsądku i interesu,“ zmieniały się, łagodniały, zatracali swój drażniący charakter.

Rodowe przesady, społeczne uprzedzenia, ta jakaś instynktowa odraza, którą odczuwała tak często w towarzyskiej i rodzinnej sferze starych Sandsteinów, zaczynały odzywać się coraz słabiej, ale tylko względnie do samego Bernarda.

Rozmyślając coraz więcej o nim samym, zapomniała o tem, co ją dawniej dokoła niego raziło i przejmowało tak często nieznośnem uczuciem znuzenia, powstałego z przymusu..

Przychodziły jej na pamięć jego słowa z ostatniej ich rozmowy przed rozstaniem:

— Czekałem na to cierpliwy i uległy, jak niewolnik twój, nie jak mąż, że zechcesz zbliżyć się do mnie nareszcie, przełamiesz uprzedzenia i odragę, otworzysz oczy i spróbujesz rozróżnić, spojrzysz głębiej, ocenisz—i czekałem pokornie na próżno!...

Lata nie minęły jednak napróżno, nie przeszły bez śladu...

Teraz poznała, co mogła była zyskać w mężu, gdyby go była kochała, gdyby poza wszystkim, co ją od niego odstręczało, zechciała była dojrzeć człowieka i zbadać go do gruntu.

Nie uczyniła tego.

Dopiero zdala przypatrując mu się, jak komuś obcemu, kiedy stanął przed nią na innem tle, na innej widowni, w odmiennej roli, pociągnął ją i zajął tak, że oczu od niego oderwać nie mogła.

Zbliżenie ich powtórne przy chorem dziecku zadzierzgnęło nagle nie sympaty i współczucia, które spotęgowało wrażenie, odniesione na walnem zebraniu „Postępu,” wrażenie podziwu i uznania dla tego śmiałego bojownika zasad, który rozwijał swoje Credo publicznie, z gorącą wiarą i przejęciem się do głębi duszy swojemi przekonaniami.

A nadto... i owo spotkanie z tą drugą, która go od lat tylu kochała bez wzajemności, z tą zapatrzoną w niego, jak w bóstwo swoje, jak w zjawiskol... Widok pożerającej go oczyma Sammetówny nie przeszedł bez wpływu na kobiecą naturę Toli.

— Dlaczego ona ma go kochać tak bardzo, ona a nie ty?—odzywało się odtąd w jej duszy, i to, co w silnem, namiętmem, gorącym uczuciu jednej kobiety dla wybranego mężczyzny zaczyna w drugiej budzić jakby zazdrość o samo prawo miłości, i chęć do skorzystania z niego także, ta jakaś zaraźliwość głębokich uczuć, na którą kobiece serca szczególnie bywają wrażliwe, nie zaszczerpiła do-

piero, ale pogłębiła w Toli ów wzrastający pociąg ku Bernardowi.

Wtedy jednak, jak iskra pryskająca z ogniska, sparzyła ją po raz pierwszy wątpliwość:

— A jeśli on mnie więcej nie kocha?... jeśli w tem sercu gnębionem tak długo zabiła wszelkie dla mnie uczucia, jeśli się wszystkie stopiły tylko w samym żalu do mnie?... wtedy co?...

I ta niepewność zaczęła mieszać się do każdej myśli o mężu i dręczyć ją, jakby za karę, że dopiero teraz zastanawiać się nad tem umiała.

Wówczas to napisała do niego, trzymając cały list w tonie relacyi o Sewerku, ale pisała go z ukrytą zarazem intencją przekonania się, czy jej wątpliwości się sprawdzą.

Posyłała gołębia na wywiady...

Miała nadzieję, że w odpowiedzi Bernarda znajdzie to, czego szukała nadarmo we własnych rozmyślaniach i rozumowaniach; że się jej uda dopatrzeć, co pozostało na dnie jego serca dla niej samej, a potem... potem miała dopiero coś postanowić o własnych swoich uczuciach.

Dlatego to list męża sprawił na niej tak głębokie i przejmujące wrażenie w pierwszej chwili.

Rozpętane serce i rozpętane myśli nie dały się tak łatwo uspokoić; była wzburzoną, drżały w niej wszystkie fibry, potrzebowała dłuższego czasu, aby się znowu opanować.

Zarzuciła szal na ramiona, otuliła się nim i wyszła do ogrodu.

Raziła ją nawet obecność dziecka w tej chwili i ciekawe spojrzenia bony, której uwagi nie uszła

zmiana pani po odczytaniu listu „vom gnädigen Herrn.“

Zmrok zalegał już ziemię, na zachodzie waziutkie pasmo wieczornej poświaty ciemniało coraz bardziej, w powietrzu była senna cisza wieczoru.

Nieruchome, czarne, drzemiące jeszcze resztkami zimowego snu, drzewa i krzaki ogołocone z liści stały w ogrodzie, a sylwetki ich majaczyły w zmroku, jak nagie szkielety, wysuwające fantastycznie swoje piszczele ponad ścieżką, którą chodziła Tola sama jedna w pustym ogrodzie.

Skrzypienie jej bucików na piasku wilgotnym męciło tylko głęboką ciszę, zalegającą dokoła.

Chodziła w oddalonej części parku tam i napowrót, rozmyślając nad listem męża, a przed nią snuł się niewidzialny duch zwątpienia i zabiegał jej drogę i szeptał:

— Nie masz się z czego cieszyć; cóż z tego, że ci odpisał natychmiast?... Chodziło mu o dziecko. Czytałaś przecie, że w nim tylko o Sewerku jedynie wspomina z miłością, a dla ciebie nie ma ani jednego czulszego słowa. Sam smutek i sama gorycz w tem, co się dziecka nie tycze. Nie łudź się, nie kocha cię więcej!... bo i za cóż miałyby cię kochać?... Jesteś pewną, że kochał cię kiedykolwiek?... starałaś się o tem przekonać?... zależało ci na tem, aby w nim tę miłość podtrzymać?... Nie bądź śmieszna!... Chcesz, aby cię kochał człowiek, którego przygniotłaś dumnie swoją stopą, kiedy u kolan twych klęczał i od któregoś odeszła tak obojętnie, jak gdyby był martwą rzeczą... Nie kocha cię, bądź pewną, i niech ci ta spóźniona preten-

sya wywietrzeje z głowy jak najprędzej. Dzisiaj mógłby tylko dla odwetu upokorzyć cię tak samo, jak ty go upokorzyłaś...

Odpędzała od siebie te myśli natrętne, które jej dziwną przykrość sprawiały; chciała się ich pozbyć tem bardziej, im bardziej się do jej głowy cisnęły.

— Zależy ci dzisiaj na tem uczuciu, które lekceważyłaś dawniej? — mówił ten sam głos znowu, — zdaje ci się tylko. Czy potrafiłabyś zrobić dla niego jakie ustępstwo, jaką ofiarę?... zastanów się, rozważ dobrze!... małżeństwa dwa razy się nie rozchodzą. Wróćcie do siebie?... przypuśćmy, że wróćcie; cóż potem będzie?... Zapewne, gdybyś go mogła odzyskać samego, tylko samego dla siebie samej, bez tych wszystkich, których unikałaś, z którymi się zgodzić, zżyć, złączyć nigdy nie mogłaś, którzy cię razili swojemi pojęciami, śmiesznościami, wadami i brakami!... ba, gdyby to być mógł!...

Pod nogą jej złamała się z trzaskiem sucha gałązka; przystanęła nagle, i to jej myślom dało na chwilę inny kierunek.

— Można przecież wyłączyć się z tych wszystkich więzów, można oderwać się od tego świata, można odrzucić cały konwenans i żyć tu, w Grzędach, tylko dla siebie, — mówiła sobie na pocieszenie, jak gdyby chciała przekonać się sama własnymi argumentami.

— Zapewne, że możnaby, ale czemuś tego dawniej nie próbowała!...

I znowu chodziła w ciągłej rozterce, nie mogąc dojść do żadnego rezultatu z własnymi rozmyślaniami.

Kiedy po godzinie prawie takiej przechadzki samotnej z ciemnego ogrodu weszła napowrót do swego saloniku, zziębnięta była i blada ze zmęczenia.

Przy stoliku pod lampą wiszącą Sewerek klęczał na dużym fotelu i pochylony nad całym arkuszem białego papieru rysował drukowane litery z wzorku, który leżał przed nim.

Ta praca widocznie pochłaniała go całego.

Madame Kraut z robótką siedziała naprzeciw niego i drutem pokazywała mu pojedyncze głoski, które starał się kopiować z wielkim nakładem uwagi i pilności.

— Co ty robisz? — spytała go matka.

Chłopak się usunął w bok i zawołał:

— Nie przeszkadzaj, proszę cię, mamusiu, nie przeszkadzaj!...

— Co ty tak rysujesz pilnego?

— Ja nie rysuję, ja piszę list do niego! — odparł z ważną miną, — o, patrz!... możesz przeczytać! — i z dumą podsunął matce pod oczy arkusz papieru, na którym niewprawnie, krzywo, ale jednak dość wyraźnie dziecięcą ręką stały skreślone chwiejące się litery.

Tola rzuciła okiem i odcyfrowała ten pierwszy list, jaki w życiu Sewerek pisał „do niego:“

— Przyjedź do nas prędko, mój drogi ta...

Reszta wymagała jeszcze dokończenia.

— Poczekaj, poczekaj — wołał z ożywieniem, — aż skończę „tatusiu.“ No, gdy dalej, proszę pani? — zwrócił się do dyktującej mu literę po literze bony i począł zawzięcie ślinić spisany ołówek, przekrzywił główkę, zmarszczył czółko, wysunął sam koniuszek języka i kaligrafował na nowo swoje hieroglify alfabetyczne, przejęty głęboko taką mozolną pracą.

Tola stała za fotelem pochylona nad dzieckiem i przypatrywała się temu pisaniu z ustami zaciętymi, z sercem bijącym, jakby zaskoczona wypadkiem, którym los zdawał się rozporządzać sam w sprawie, uważanej przez nią za nierozwiązalną.

Pomysł Sewerka stawiał ją w drażliwym położeniu; rozmyślała nad tem, co pocznie z tym listem, wyszle go, czy nie wyszle, sprowadzi takim wezwaniem Bernarda do Grzędów, czy też zniweczy sposobność, mogącą zbliżyć ją w tak wyjątkowych warunkach z mężem?...

I znowu te dwa uczucia przeciwne sobie, z których jedno powtarzało: „tak,“ a drugie: „nie,“ zaczęły spierać się z sobą w jej sercu.

— Ależ Sewerku — zaczęła głosem niepewnym, — tego nie można posłać do tatusia...

Chłopak się porwał, jakby w obronie swoich najgorętszych pragnień i podnosząc główkę ku matce, wypatrzył się na nią zdziwiony swemi dżemi oczyma.

— Dlaczego nie można?

— Bo to brzydko napisane — odparła, czepiając się tego wybiegu, — tatuś tego nie potrafi przeczytać.

— Już on to przeczyta, zobaczysz!... on z pewnością przeczyta, gdy będzie wiedział, że to ode mnie,— uspokajał ją z wewnętrznym przekonaniem, które było tylko chęcią sprowadzenia jak najprędzej ojca do siebie;—dlaczego niema przeczytać?... on przecież wie, że ja się jeszcze pisać nie uczę, więc ja tylko tak nieucząco piszę do niego. A zresztą, jeśli powiadasz, że to brzydko napisane, to ja poprawię, ja napiszę drugi raz. Żebyś ty chciała, mamusieczko, tobyśmy napisali razem,— zaczął, przymilając się do niej.

— Jakże to można razem?

— A tak, widzisz, ja będę trzymał ołówek, a ty będziesz mnie trzymała za rękę i prowadziła, jak madame robi ze mną, kiedy rysujemy konia. No, jakże?... chcesz?... moja ty droga, ja cię tak proszę!... bo widzisz, onby zaraz przyjechał, żeby to przeczytał, a jabym go tak koniecznie chciał zobaczyć i uściskać!...

Coraz trudniej przychodziło jej wymawiać się i zaprzeczać wobec tej serdecznej natarczywości malca; musiała udać, że nie zważa na jego szczerbiotanie i przyrzekłszy mu, że o tem jutro jeszcze z nim pomówi za dnia, wyszła do swego pokoju, ale list zabrała z sobą.

Trzymając ów duży arkusz papieru, wpatrywała się w niego z uczuciem smutnego niezdecydowania i nie wiedziała, co począć; zasłoniła dłonią oczy i rozmyślała, stojąc przy biurku, na którym mała lampa porcelanowa z różowym abażurem jedwabnym rozlewała łagodny blask po sypialni.



— Boże mój, jakim ja biednal — szepnęła i łzy zakręciły się jej o oczach.

Spuściła głowę i cicho a żałośnie płakać zaczęła...

Nie uważała, że kilka łez spadło na list Sewerka i błysnęło na nim dużemi plamami; dopiero spostrzegłszy się, że ich przecie zostawić nie podobna, starła je batystową chusteczką z papieru, potem duży arkusz złożyła we czworo i z westchnieniem ciężkiem, jak kamień spadający po skałach, schowała pismo do szuflady, razem z listem męża...

Minał dzień jeden, drugi i trzeci, a odpowiedź spodziewana z Grzędów nie nadchodziła.

— Nie odpisze zapewne tak rychło — mówił sobie Bernard, — nie chce widocznie ośmielać mnie do zbyt częstej korespondencji; może nawet żałuje tego pierwszego kroku, który uczyniła nierozważnie.

I wszystkie refleksye, jakie wywołuje każda przedłużająca się chwila wyczekiwania napróżno, przychodziły mu do głowy i burzyły w nim również błogą nadzieję, którą list Toli obudził.

Jedno słowo, choćby obojętne, odpisane natychmiast, byłoby ją podtrzymało i na spragnione serce spadło, jak kropla ożywczej rosy.

Ale tego słowa zabrakło, odpowiedź nie nadchodziła, a zawód doznany coraz grubszym mrokiem wypełniał duszę Bernarda; zaczynał żałować swojej szczerości, z jaką wypowiadał się przed żoną.

Szlachetne serca miewają swoją dumę, która umie się ukorzyć cała i zaprzec sama siebie dobro-

wolnie, ale zadraśnięta z umysłu czy niebacznie, urasta coraz wyżej i coraz drażliwszą się staje i niekiedy najsilniejszą miłość przygnębia...

Majenfeld, który miał bystre oko, zauważył, że w Bernardzie tkwiło coś ukrytego, co go chwilami czyniło roztargnionym i odwracało jego myśli od głównych celów ich wspólnej teraz akcji.

— Czy pan nie masz jakiego zmartwienia w tych czasach? — zagadnął go któregoś dnia znienacka, podczas konferencji w sprawie zabezpieczenia sobie największej ilości głosów na zbliżającym się zebraniu „Postępowców.“

Pytanie to zmieszało trochę Bernarda.

— Dlaczego pan o to pyta? — odparł wymijająco.

— Bo mi pan jakos wyglądasz nieszczególnie, a potem—przepraszam, że to mówię otwarcie, ale mi się kilka razy wydało, jakby panu coś przeszkadzało myśleć swobodnie. To może jest tylko chwilowe zmęczenie; ja to znam z doświadczenia.

— W istocie, czuję się trochę przepracowanym.

— Nie dziwię się wcale; ale to minie. Mózg ludzki nie jest piłką, aby zachowywał ciągle jedynakową sprężystość i elastyczność. Odpoczniesz pan jaki tydzień, skoro się wszystko ureguluje, i będzie dobrze.

— Tak, to może tylko chwilowa niedyspozycya, którejby sam nawet nie zauważył.

— Zapewne, zapewne; pan za mało ruchu używasz, prawda?... powinieneś pan codziennie przy najmniej godzinkę spacerować na świeżem powietrzu. Dałbym wiele za to, gdyby mnie moje nogi

nosiły jeszcze tak dobrze, abym mógł na nich chodzić do Łazienek tam i z powrotem.

Westchnął z uśmiechem i pogłaskał się po wychudłych kolanach, dodając:

— Ale one wypowiadają mi służbę nawet za miliony, za które nie mogę kupić ani pół łuta muskułów. A takby mi się przydały!... Wyobraź pan sobie, mój doktor przepisał mi teraz tran; cóż pan na to?... każą mi tran pić, jak małemu dziecku. Tran i mleko, miłe przysmaki, co?...

Skrzywił się z obrzydzeniem na samo wspomnienie niesmacznego lekarstwa i zrobił minę zafrasowaną.

— A czuje pan jakie polepszenie? — spytał go Bernard.

— Albo ja wiem!... ja przecież leczę się tylko dla mojego doktora; kiedy on po zbadaniu mnie powie, że jest lepiej, no to jest lepiej, i ja temu wierzyć muszę, choć mi się zdaje, że jest gorzej. Ot, głupstwo!... co tam mamy mówić o mojem zdrowiu; to marna rzecz.

Machnął ręką i poprawił się w fotelu.

— Jakże się panu podobał wczoraj hrabia Zmojski? — spytał, zmieniając temat rozmowy, — to człowiek bardzo dobrych chęci. Pan z panów. My się znamy przynajmniej ze trzydzieści lat, jeżeli nie więcej. Ja z nim robiłem pierwsze moje interesy i kupiłem od niego ten dom, w którym dziś mieszkam. Czy wiesz pan, że jabym mu oddał cały majątek na słowo?... Bo jakkolwiek to nie jest żadna wielka głowa, ale za to honor i uczciwość w najlepszym gatunku. Brylant!...

— Tak i ja sędzę po wczorajszej rozmowie — wtrącił Bernard, — wydał mi się wyjątkowym okazem ze swojej sfery.

Majenfeld popatrzał na niego z namysłem przez chwilę, potem rzekł:

— Pan się uprzedziłeś trochę przez takich Wydzewskich, Płonickich, Gołońskich i tych innych, co się ich trzymają; pan to wszystko poznałeś z jednej tylko strony, ale nie sędź, że już innych wcale niema. Upewniam pana, że są; jest ich nie wielu, jak Zmojski, ale jednak są. Widzisz pan, tamtych trzeba wciągać, zapraszać, namawiać, żeby coś robili, a taki Zmojski sam się zgłasza, gdzie może być potrzebnym, tylko, że nie wszędzie się pcha i jeśli przyłoży rękę do czego, to musi być wpierw pewnym, że jej sobie nie powala. Czy wiesz pan, po co on do mnie wczoraj przyszedł?...

— Domyślam się, chciał kupić akcyje „Postępu.“

— Nie, on przyszedł dowiedzieć się wpierw, co ja o „Postępie“ myślę, bo mu już powiedziano, że Majenfeld zabiera się do wykurzenia Niemców z „Postępu,“ a kiedy mu się otwarcie przyznałem, że kupuję w Berlinie nasze papiery, bo teraz nie mam już czego ukrywać, to wiesz pan, co mi powiedział?... powiedział mi: „Jeżeli to rzecz godziwa, rozporządzaj pan i moim kapitałem.“ Ja mam u siebie ze sto kilkadziesiąt tysięcy jego na każde zawołanie. On nie pójdzie do Klappermanna z tą propozycją, bo on ma do mnie zaufanie i wie, że ja w mętnej wodzie nigdy ryb nie łowiłem. On tego nie zrobi dla rozgłosu, ani dla ambicyi, ani dlatego, aby wejść do Rady zarządzającej, tylko dla-

tego, że to rzecz godziwa i że ją trzeba zrobić; ale on i to wie także, że na tem nie straci, skoro ja się w tę transakcyę mieszam.

— Jednak uważałem, że szczególniej protegował tego Trockiego, podstawiając nam jego kandydaturę.

— A pan wie, kto jest Trocki?

— Znam tylko nazwisko.

— To niewiele; Trocki jest najrzadszym u nas okazem „selfhelpu;“ dwa razy dorabiał się majątku tylko swoimi dziesięciu palcami, i dzisiaj na oko wygląda, jakby nie miał dziesięciu rubli razem w kieszeni, a jabym z zamkniętymi oczyma dał za niego z dwakroć pięćdziesiąt tysięcy. Czy uwierzy pan, że on w Anglii pracował jak prosty robotnik w fabryce i uczył się garbarstwa, dźwigając skóry na plecach, dopóki nie wykwalifikował się na majstra?... On ma dziś jeszcze ręce namulone i grube, jak parobek, chociaż oddawna jest swoim własnym panem. Zmojski nie potrzebuje go protegować; on się sam proteguje, i jeśli tylko przyjmie mandat, to go na rękach wniesiemy do Zarządu. Niech pan mnie wierzy, ja się na ludziach znam trochę i umiem ludzi do interesu dobierać.

— Nie śmiem nawet wątpić,— odezwał się Bernard—słowo pańskie mi wystarcza.

Majenfeld uśmiechnął się i rzekł:

— To mnie cieszy, że mam taki duży kredyt u pana.

Spojrzał na zegarek i sięgnął ręką do dzwonka; za chwilę służący stanął we drzwiach.

— Czy kąpiel dla mnie gotowa? — spytał.

— Będzie za dziesięć minut.

— Dlaczego się spaźniacie?... drugi raz już w tym tygodniu powtarza się to samo. Mówiłem, żeby była gotową na punkt piątą, i tak być powinno według zegarka!... ruszaj!...

Służący chciał się usprawiedliwić, ale stary bankier schmurzył brwi i przerwał mu szorstko:

— Wynos się, nic nie masz do gadania!... piąta bije, sitzbad powinien być gotów. Słyszałeś, co pan doktor powiedział, i tego masz się trzymać. Żeby mi się to więcej nigdy nie powtórzyło, bo odciągnę ci rubla z pensji za każde opóźnienie!...

Wyraz pogodnej dobroduszości, jaki miał przed chwilą na twarzy, zniknął nagle bez śladu; niepunktualność w wykonywaniu jego rozkazów rozgniewała go.

W schorzałym, wątkiem ciele odezwał się porywczy temperament sangwinika z dawnych czasów.

— Przepraszam pana — zwrócił się do Bernarda — za tę scenę, ale z naszą służbą trudno wytrzymać. Ja się dwadzieścia razy na dzień przez nich muszę irytować, a lekarz mi zaleca życie regularne i jak największy spokój. Gdzie tu można być spokojnym z takim bydłem!...

Westchnął zafrasowany i ręką przycisnął lewy bok, w którym go strzykać zaczęło.

— Mnie to zaraz szkodzi, ale cóż zrobię, kiedy powstrzymać się trudno?... Oniby świętego wyprowadzili z cierpliwości. Widzi pan, to niby drobiazg—zaczął się tłumaczyć swemu gościowi,— ale kiedy się ma cały dzień tak zajęty, jak ja, różnica dziesięciu minut psuje mi zaraz cały porzą-

dek dzienny. O piątej mam sitzbad, o wpół do szóstej zaraz obiad, z którym mnie żona zwykle czeka, po szóstej przychodzi poczta, a o siódmej mam konferencję z adwokatem. Muszę żyć z zegarkiem w ręku, bo dzień się nie da rozciągać, jak gumelastyka. A potem, ja ich chcę nauczyć porządku w moim domu; porządek to grunt!... On jest w każdej rzeczy, małej czy dużej, koniecznie potrzebny. Nieprawdaz?...

Odetchnął ciężko kilka razy i podał rękę Bernardowi, mówiąc:

— Niech pan nie myśli, że ja zawsze taki pasyonat i że się unoszę o lada co; dzisiaj tylko zmęczyłem się trochę więcej, niż zwykle, bo w południe musiałem być przy otwarciu ochronki, którą założyła moja żona dla dzieci robotników; tam było gorąco i stać musiałem trochę, i chodzić trochę, a to mnie zawsze denerwuje. Kąpiel zrobi mi dobrze.

— Nie będę panu zatem dłużej zabierał czasu,— odezwał się Bernard, biorąc kapelusz.

Majenfeld przytrzymał go za ramię.

— No, czego się pan znowu tak śpieszy?... pan widzi, że ja jestem z panem bez wszelkiej ceremonii, jak gdybyśmy się sto lat znali. Pan mi przecież nie przeszkadza.

Chciał go posadzić jeszcze na krzesło obok siebie, gdy we drzwiach ukazał się służący z dwoma biletami wizytowymi na tacy.

— Co tam? — spytał niecierpliwie bankier.

— Dwóch panów.

— Z wizytą?

Mechesy. II.

— Nie, po interesie.

— Któż taki?... pokaż!

Skrzywił się niechętnie, wyciągając rękę po bilety.

— Pan prezes Klappermann i jakiś hrabia Struś, czy coś takiego; wymówić go trudno...

— Co?!...

Twarz Majenfelda ożywiła się uśmiechem; podał bilety Bernardowi i spojrział na niego znacząco.

— Co pan na to? — szepnął, — poczuli skąd wiatr wieje... hm?

— To ciekawe! — z wyrazem zdziwienia i zajęcia zauważył Bernard; — cóż pan robi teraz?... ta kąpiel dziś się panu nie udaje.

— Powiedz, że przeproszam, ale nie mogę przyjąć, — zwrócił się Majenfeld szybko do służącego, a spostrzegłszy ruch Sandsteina, rzekł:

— Bądź pan spokojny, przyjdą po raz drugi.

— Jednak możeby wypadało ze względu na...

Służący stał jeszcze przy drzwiach, widząc, że pan jego namyśla się niezdecydowany.

— Tak, masz pan słuszność, odprawić jakoś nie wypada — zaczął po chwili bankier, uśmiechając się ciągle, — to ważna wizyta, ale i mój sitzbad jest ważny. Możebyś pan chciał z nimi pogadać, zanim... Moja łazienka jest tuż obok, za temi drzwiami. Ja za kwadrans będę gotów.

Spostrzegłszy jednak wyraz niechęci na twarzy Bernarda, zmienił propozycję natychmiast.

— Widzę, że nie masz pan wielkiej ochoty spotykać się tu z Klappermannem. W takim razie może pan wyjdzie przez salon, a ty — dodał do słu-



żącego,— poprosź tych panów tutaj i powiedz, że siedzę w kąpeli, ale za chwilę służyć będę.

Uściskał rękę Sandsteinowi i jakby orzeźwiony powstał z fotelu, mówiąc:

— Przychodzą parlamentować... a przepowiadałem panu, że Klappermann to praktyczna głowa. Szybko się zorientował. No, do widzenia!... zobaczymy się jutro.

I wskazawszy Bernardowi wejście do salonu, sam otworzył ukryte za swoim biurkiem drzwi—ki tapetowane do łazienki, pozostawiając je umyślnie niedomknięte.

Po chwili ciężkie kroki i sapanie Strusia-Wydzewskiego dały się słyszeć w gabinecie, do którego wszedł z Klappermannem, wprowadzony przez słuźącego.

— Przyszliśmy nie w porę — odezwał się swym grubym, huczącym głosem, — ale już wolę zaczekać, niż włożyć tu po raz drugi. Nie cierpię żelaznych schodów, a prezes?...

— Przyznam się hrabiemu, że nie zauważyłem nawet, czy są żelazne,— odparł Klappermann.

— A żelazne, żelazne!... także pomysł, co?...

— To ładny dom; zdaje mi się, że go sobie hr. Zmojski stawiał...

— Który Zmojski?... pan Xawery?...

— Tak.

— No, to widać; zawsze musi mieć jakiegoś oryginalnego bzika.

Z za ściany dał się słyszeć plusk wody.

Hrabia spojrział na Klappermanna z miną zadziwionej foki i wskazał palcem niedomknięte

drzwiczki. Obaj zamilkli i nasłuchywali przez chwilę.

— Ależ tak, kąpie się — zniżonym głosem wysapał hrabia, a dla większego upewnienia się spytał:

— Czy to pan, panie Majenfeld?...

— Witam szanownych panów — zabrzmiał głos milionera z łazienki,— tak, to ja. Panowie wybaczą, że ich w taki sposób zmuszony jestem przyjąć, ale to właśnie godzina mojego sitzbadu. Za chwilę będę służył...

— Nie nie szkodzi, nie przeszkadzaj pan sobie! — zahuczał Struś, ale twarz mu się przeciągnęła i widać było, że czuje się urażonym; zrobił nawet ruch, jak gdyby zamierzał cofnąć się i wyjść z powrotem.

— Bylibyśmy wybrali inną porę—wtrącił Klappermann, zbliżając się ku drzwiom, aby być lepiej słyszany, — ale skorzystaliśmy już z tej sposobności, aby nie zwlekać sprawy.

— Bardzo słusznie. Interesa można załatwiać wszędzie.

Klappermann usiadł na poręczy fotelu, który stał przy biurku i udawał, że się śmieje, ale czynił to widocznie z przymusem; tak go zaskoczyła ta niespodziewana sytuacja, w której miał traktować z Majenfeldem.

Hrabia był odęty i niezadowolony; interesa interesami, ale wizyta w podobnych warunkach dziwnie mu do smaku nie przypadła,— patrzył jakby z urazą na Klappermanna, który go tutaj sprowadził i mruczał pod nosem.

Zrobił to poświęcenie, że dał się namówić i przyszedł, jako przedstawiciel Rady zarządzającej, porozumieć się przed ważnem zgromadzeniem z najpoważniejszym teraz akcyonaryuszem „Postępu,” który miał w ręku decydującą większość, ale nie spodziewał się, że go tak bez wszelkiej ceremonii przyjmie i że będzie musiał asystować przy kąpieli tego samego Majenfelda, do którego przed trzydziestu kilku laty mówił jeszcze protekcyjonalnie: „mój kochany Majenfeld.“

Ba, gdyby nie miliony, które posiadał, i kredyt, który dawał, byłby dalej nazywany po prostu „kochanym Majenfeldem;“ nie śmiałby był w wannie przyjmować pana hrabiego.

Wydźzewski uczuwał wielką ochotę do zaprotestowania przeciw takiej herezyi; im dłużej rozważał, tem bardziej uznawał niestosowność swojego położenia i dwa razy nawet próbował dźwignąć się z szerokiego fotelu, by wstać i bez pożegnania wyjść z gabinetu.

Klappermann na migi mitygował go i nakłaniał do zrobienia tej ofiary ze swej godności dla dobra celu; chodziło bowiem nie tylko o uregulowanie stosunku z wpływowym przedstawicielem większości, ale i o własne interesa hrabiego, który zaangażowany był finansowo w nowych operacjach, jakiego Klappermann ostatnimi czasy rozpoczął.

W dobrach Strusia-Wydźzewskiego natrafiono podobno na ślady węgla kamiennego, którego eksploatacyę chciał Klappermann na wyjątkowo korzystnych warunkach zapewnić „Postępowi,” a do zrobienia układu z właścicielem, potrzebującym

chwilowo znaczniejszych kapitałów, należało pozyskać opinię przyszłej Rady zarządzającej, której skład zależał teraz ewentualnie od głosów Majenfelda i jego stronników.

— Interes jest złoty, mój hrabio—powtarzał mu przedsiębiorczy Klappermann, obliczywszy z góry, ile będzie mógł sam zarobić przy doprowadzeniu owego układu do skutku,— jeżeli Towarzystwo da swoje poparcie, rozpoczniemy eksploatacyę na wielką skalę, nie ryzykując prawie nic z własnej kieszeni.

I na cyfrach wskazywał przybliżone zyski, jakieby wyciągnąć się dały z nowego przedsiębiorstwa, w którym zastrzegł sobie część udziału.

Cyfry te były najbardziej przekonującym argumentem dla Wydzzewskiego; dla nich zgodził się na zrobienie pierwszych kroków do Majenfelda, który był teraz panem sytuacji, zajmwszy miejsce Niemców w „Postępie.“

Jakgdyby domyślając się właściwego celu wizyty obu swych gości, Majenfeld ani o jedną minutę nie skrócił swojej kąpieli; nie chciał wydawać się uprzedzająco grzecznym ani dla Klappermanna, ani dla hrabiego, którego nadętą pyszałkowatość znał od dawna, a moralną wartość oceniał dosyć nisko.

— Na stoliku stoją cygara i papierosy — odezwał się z za ściany, — może panowie pozwolą?... bardzo proszę, ja będę za chwilę gotów.

Hrabia wydał dolną wargę i odsunął pudełko, które mu Klappermann podawał w zastępstwie gospodarza, ale natura sybaryty i smakosza odezwa-

ła się w nim, gdy spostrzegł ponętą dla palacza firmę: „Henri Clay.“

Ciężkim ruchem podniósł swą tłustą, kosmatą łapę i po namyśle mruknął:

— Pokaż-nol...

Wziął jedno z dużych, okazałych cygar i przypatrywał mu się okiem znawcy, potem podsunął je pod nos, powąchał i podrażniony aromatem hawańskiego liścia, zdecydował się zapalić.

— Dobrze!... bardzo dobrze! — pochwalił z uznaniem, stękając przy zaciąganiu się wonnym dymem, jak gdyby go to dużo pracy i wysiłku kosztowało.

— I cóż, panie Majenfeld? — zaczął po chwili Klappermann,— pojedziemy na jednym wózku?...

Z łazienki dał się słyszeć plusk dolewanej wody.

— A tak; przysiadłem się do panów.

— Podobno wykupiłeś pan cały Berlin?...

— No, niezupełnie.

— Powinszować!... powinszować!...

— Dziękuję panu.

— Właśnieśmy przyszli z hrabią upewnić się co do tego i porozumieć w niektórych kwestiach. „Postęp“ takiego akcyonariusza z dumą i całym zaufaniem powita. To dla nas niespodzianka, ale niespodzianka bardzo przyjemna. Pańska firma przywróci znów równowagę, trochę zachwianą w ostatnich czasach. Zrobiło się za dużo krzyku przez nierozważną opozycję, ale cóż zrobić?... Niema jednak złego, coby na dobre nie wyszło.

— Doskonale! — odsapnął hrabia, zajęty ciągle

jeszcze badaniem zalet hawańskiego cygara z namaszczeniem rzeczoznawcy.

Majenfeld siedział w kąpielni z rękoma złożonemi na piersiach, oczy miał przymknięte, głową kiwał i uśmiechał się.

— Pochlebiasz mi pan, panie Klappermann — odparł, — moje pieniądze są tak dobre, jak czyjekolwiek; cała różnica w tem, że są moje, nie obce.

— Właśnie też o to chodziło, aby nie były obce! — podchwycił z gorliwością Klappermann, — będziemy teraz przynajmniej sami między sobą.

Machinalnie wziął z biurka ćwiartkę papieru i rzucił na nią okiem od niechcenia; pierwsze jednak nazwisko, które odczytał na tej liście, pozwoliło mu się domyśleć, że miał w ręku spis kandydatów do przyszłej Rady zarządzającej.

— Sandstein, hr. Zmojski, Trocki, Klappermann...

Przypadek uprzedził go co do zamiarów Majenfelda.

Na liście nie było Strusia-Wydzzewskiego, ani nikogo z dotychczasowych członków Zarządu.

Odkrycie to było dla niego pożądaną nad wyraz wskazówką; wiedział, czego może się spodziewać od przyszłych wyborów.

— Czy pan pomyślałeś już o składzie nowej Rady? — spytał po chwili.

Przez jakiś czas nie było żadnej odpowiedzi, ale kiedy zamierzał zapytanie swoje powtórzyć, we drzwiach od łazienki ujrzał Majenfelda w długim, bajowym szlafroku, który zmrużonemi złośliwie oczyma patrzył na niego i dostrzegłszy papier w jego rękach, odpowiedział z uśmiechem:

— Trzymasz ją pan właśnie całą w swoich rękach.

Klappermann zmieszał się, przydybany na niedyskrecyi mimowolnej, ale nadrabiając miną, odpowiedział dowcipnym zwrotem:

— To nie ja ją trzymam, panie Majenfeld, tylko pan w takim składzie; jabym tej Radzie nie poradził.

— Czy uważasz pan, że jest za ciężką do utrzymania? — zagadnął go dwuznacznym tonem stary milioner, — wolałbyś pan coś lżejszego, coby się dało jednym palcem podnieść?...

Zwracając się jednak w tej samej chwili do hrabiego, jakby nie przykładał wagi do żartu, w którym tkwiła wyraźna przymówka, zaczął się usprawiedliwiać, że go przyjmuje w takim negliżu.

— Panowie mi wybaczą — mówił, — ale ja jestem stary cherlak, ciągle w kuracyi i chodzę po domu, jak po szpitalu; przepraszam panów za mój szlafrok... Zatem panowie przychodźcie w sprawie „Postępu“ pomówić ze mną?... no, mój Boże, co tu jest do mówienia?... akcyje spadły, teraz trzeba się postarać, aby poszły znów w górę powoli, tylko nie za wysoko. Ja mam nadzieję, że się to zrobi. Niemców nie będziemy mieli na karku, coby nas forsowali, a „Postęp“, o ile wiem, ma wszelkie widoki powodzenia, zwłaszcza teraz, gdy otrzyma obstalunki kolejowe. Czy ma pan już jaką odpowiedź w tej sprawie, panie Klappermann?... Pana to dziwi, skąd ja wiem o tych obstalunkach?... ja wiem zawsze wszystko, co chcę wiedzieć. Ja wiem i to, że pan hrabia dokopał się podobno czarnych

dyamentów w swej Olszance. Winszuję!... to może być doskonały interes, tylko trzeba wpieryw do brze poświdrować, aby się przekonać, że ten węgiel jest rzeczywiście na gruncie. Niech pan jeszcze świdruje, panie hrabio.

Klappermann bystre spojrzenie rzucił na Majenfelda, jakby go chciał sam nawskrós prześwidrować i wybadać, czy wie coś więcej, czy tylko próbuje wyciągnąć ich na słówka.

— Tak — rzekł, — to byłaby kopalnia milionów, gdyby się sprawdziły zapowiedzi. „Postęp“ mógłby wejść tutaj w pewną kombinację i właśnie wspominałem o tem hrabiemu, że... ale to dalekie jeszcze projekta!

Majenfeld błysnął okiem w stronę hrabiego i Klappermanna.

— Pan chciałby i „Postęp“ zaangażować w to? — spytał, — ha, czemu nie?... przydałaby się nam własna kopalnia, a teraz zwłaszcza, kiedy hrabia wychodzi z Rady...

Powiedział to bez nacisku, jako rzecz całkiem naturalną, nie zwracając niby nawet uwagi na wrażenie, jakie te słowa wywarły na Wydżzewskim.

— Jak to?... ja wychodzę z Rady? — zahuczał po chwili hrabia, wytrzeszczając swe okrągłe oczy z wyrazem zadziwienia; — ja wcale nie myślę wychodzić z Rady.

Majenfeld powstrzymał uśmiech, który mu się na usta cisnął.

— Nowe wybory są na porządku dziennym, — rzekł, jakby dając mu do zrozumienia, że na tę ewentualność powinien być przygotowany, — sy-



tuacya się zmieniła, więc i Zarząd będzie musiał być odnowiony.

Hrabia zamilkł, spochmurniał i z pod oka spoglądał na Klappermanna, jakby go pytał:

— Co to ma znaczyć?... co on gada?... co mnie obchodzi nowe wybory!... powiedz-że mu, że ja chcę być wybrany i muszę być wybrany. Cóż to za jakieś nowe porządki?... Strusia-Wydzzewskiego by nie wybrali?... takżel...

Klappermann unikał spojrzeń hrabiego, który zasepiony i urażony siedział odtąd zirytowany widocznie i przestał się mieszać do rozmowy, obracającej się przeważnie około spraw specjalnych „Postępu;“ mało go to już obchodziło, odkąd wyrozumiał ze słów Majenfelda, że przy nowych wyborach może przepaść.

Miał minę zadąsanego niedźwiedzia, i zły był na siebie, że się dał tutaj przyprowadzić—licho wie po co.

Przestał w końcu zupełnie słuchać tego, co przy nim mówiono, podniósł się z miejsca, niedopalone cygaro wypuścił niedbale na podłogę i zaczął szukać swojego kapelusza.

— Czekaj hrabia, pójdziemy razem, — odezwał się Klappermann do niego, — i tak nie załatwilibysmy dzisiaj wszystkiego. Ja tu jutro w południe będę jeszcze u pana, panie Majenfeld, jeżeli pan pozwoli, aby pomówić o ważniejszych kwestyach porządku dziennego na przyszłej sesyi. Pańskie dezyderata są przecież teraz decydujące, — dodał, przybierając swoją układną minę wobec potrójnie większego od siebie bogacza, który przeważał go

nie tylko ciężarem złota, ale i wpływem, jaki posiadał obecnie w „Postępie.“

Nie chciał mieć w nim groźnego przeciwnika od samego początku, wiedząc, że taka walka mogłaby się niebezpiecznie dla niego zakończyć.

— Jeżeli się pan zechce jeszcze do mnie pofatygować jutro, — uprzejmie, ale dość chłodno odpowiedział mu Majenfeld—bardzo proszę, chociaż najważniejsze punkta na teraz są panu już znane. Walne zgromadzenie o nich samo zadecyduje. Co zaś do nowej Rady, to wierzaj mi pan, że nie zaszkodzi wcale, jeśli będzie trochę cięższą; to doda wagi i samemu „Postępowi.“ Pan to zresztą sam także dobrze rozumie, bo pan ma niepospolitą głowę, panie Klappermann.

Hrabia niecierpliwie potoczył się ku drzwiom, zadudniwszy głucho na pożegnanie:

— Bądź pan zdrow, panie Majenfeld!...

Wychodził zły i nie starał się ukrywać wcale swego złego humoru.

Za drzwiami, sapiąc jak lokomotywa, puścił się przodem po schodach, a zatrzymawszy się dopiero na samym dole, odezwał się do zdążającego za nim Klappermanna:

— Przez ciebie, mój prezesie, wystrychnąłem się na dudka!... Kazałbym się położyć tu na tym progu i wyspać sobie czterdzieści bizunów za to, żem do tego szmajgełesa dał się namówić. On mi będzie mandaty rozdawał?... jeszcze czego!...

Klappermann brwi podniósł do góry i spojrzał jakby z ubolewaniem na byłego członka Rady zarządzającej.

— Cóż robić, kochany hrabio, kiedy dzisiaj on je na prawdę rozdawać będzie!.. Trzeba umieć być oportunistą na wszelki wypadek; to moja zasada.

Wydzzewski nie słuchał tego, tak był dotknięty przyjęciem u Majenfelda; duma jego ucierpiała bardzo, próżność była upokorzona, żółć się w nim poruszyła.

— Ja się osobiście fatyguję do niego, a on mi fimfy w nos puszczał... — powtarzał, tocząc się po chodniku z rękoma na tył splecionymi dla lepszego utrzymania równowagi,— no?... jak się to komu podobał... co?... słyszane rzeczy?... ja osobiście przychodzę, a ten mi wyjeżdża z Radą zarządzającą! Zobaczymy, kto kogo przegłosuje... Topy mi się podobał!...

Nie dał się Klappermannowi umitygować, tylko sapnął i zaczął raz po raz:

— Ja osobiście, a ten...

Wspomniał coś o arendarzach i kramarzach, o zajętych skórkach, ale mówił to pod nosem, jakby do siebie, a turkot dorożek na bruku głużył jego słowa. Doszli pieszo aż do placu Saskiego.

— Hrabia do klubu? — spytał Klappermann, który sam był jakiś markotny, pomimo swojego oportunisty, po rozmowie z Majenfeldem.

— A do klubu; muszę się czego napić, bom zirytowany, jak sto dyabłów.

Podał prezesowi swą grubą rękę i puścił się przez ulicę; po kilku krokach jednak przystanął, odwrócił się, namyślił chwilę i wrócił do Klappermanna.

— A jak ty uważasz, prezesie?... — zaczął nagle, — mogę ja gotów na prawdę przepaść, co?...

— Gdzie?... przy wyborach?...

— Uhml... to możeby się nie kompromitować? jak myślisz?...

Klappermann udawał, że rozważa dopiero wszystkie dane.

— Z tej listy, jak widzę, trudno będzie kogo usunąć dla hrabiego — rzekł wymijająco, — zresztą, ona jest już tak, jakby uchwaloną.

— A widział?... — wybuchnął hrabia, — no, to ja się podaję do dymisji... Ja nie chcę być wybrany w takim składzie z łaski jakiegoś Majenfelda!...

Chrząknął, zakaszał się, splunął na środek ulicy i bez pożegnania opuścił swego towarzysza, śpiesząc do klubu, bo go paliło pragnienie.

Klappermann poszedł ku domowi krokiem powolnym, z głową spuszczoną i namyślał się nad jedyną alternatywą, która mu pozostawała.

Musiał jak Mac-Mahon powiedzieć sobie w chwili stanowczej wobec nowo-wytworzonej sytuacji:

— *Il faut se soumettre ou se demettre!*

Poddać się lub ustąpić, — innego wyjścia na razie nie było; ale ustępować nie chciało mu się ze stanowiska, na którym zbyt dobre mógł robić interesy.

— Damy sobie radę i z taką kombinacją — powiedział sobie w ostatecznej konkluzji, wchodząc do bramy swego domu z gotowym planem działania na przyszłość i zachowania pozorów niezależności wobec opinii publicznej.

— Od jutra muszą w mieście uwierzyć, że nie Majenfeld mnie się narzucił, tylko że ja go wciągnąłem dla dobra „Postępu,” aby wyrugować Niemców i przeprowadzić sanację Towarzystwa. Niema złego, coby na dobre nie wyszło; nawet i dzisiaj wizyta u Majenfelda przydać się może.

Doszedłszy do takich wniosków, podniósł głowę znowu wysoko i z dobrą miną powitał żonę, która czekała na niego z obiadem w towarzystwie Kamci i dwóch gości zaproszonych do „małego stołu” u państwa prezesowstwa.

— Zgadnij duszko, od kogo wracam — rzekł z uśmiechem na rozpogodzonej twarzy, jak gdyby Julii Helenie zwiastować miał nader ważną i pomyslną wiadomość; — od Majenfelda!

Klappermannowa spojrzała na męża zdziwiona; nowina ta była dla niej niespodzianką, a ton, w jakim jej to umyślnie na cały głos obwieszczano, zbijał ją do reszty z tropu.

— Od Majenfelda? — powtórzyła z niedowierzaniem, nie mogąc się na razie zorientować w sytuacji.

— A tak, — prawił dalej prezes z dyplomatyczną niedyskrecją wobec swoich gości, z których jeden był redaktorem wpływowego dziennika, a drugi radcą jednej z poważniejszych instytucji, — musieliśmy ułożyć listę przyszłej Rady zarządzającej i załatwić kilka ważniejszych kwestyi przed walnem zgromadzeniem. Stary nasz Krezus ledwie łązi, ale swoje robi. Przeważyliśmy cały Berlin!... teraz mogę już odetchnąć swobodniej. „Postęp” jest znowu w naszych rękach!... Aż mi apetytu przybyło.

Roześmiał się wesoło, jakby cel upragnionych marzeń osiągnął i uwieńczył swoje trudy nareszcie pomyslnym rezultatem.

Redaktor spojrzął na niego dużemi oczyma, a radca z żywym zajęciem zbliżył się, by zapytać:

— Więc to istotnie prawda, co mówią o kombinacyi Majenfelda z „Postępem?...“

Klappermann przymknął oczy filuternie i wytrzymawszy przez chwilę interpellanta, odparł:

— Radco, proszę mnie nie wyciągać na słówka. Zresztą, ponieważ ta sprawa przestanie być wkrótce tajemnicą, w zaufaniu mogę wam powiedzieć, że tak. Majenfelda udało nam się pozyskać i przyciągnąć na naszą stronę.

— Czy być może?... więc to fakt?...

— Najbardziej autentyczny, kochany redaktorze, skoro ja o tem już mówię.

— Domyślam się, że prezes musiałeś w tej sprawie...

— Kochany redaktorze, proszę się niczego nie domyślać i o nic nie pytać przed obiadem — przerwał mu zręcznie Klappermann;— chodźmy do stołu, do stołu, do stołu!...

Ujął poufale pod ramię kochanego redaktora z jednej, pana radcę z drugiej strony i śmiejąc się z zadowoleniem, doskonale udanem, poprowadził ich ku drzwiom do stołowego pokoju.

— Tyle wam tylko mogę powiedzieć, że nasz „Postęp“ jest uratowany — dodał, jakby od niechcienia,— ale o nic więcej mnie jeszcze nie pytajcie. *The reste is silence!*...



## Ł.

Kiedy chłopak z poczty przypędził konno w ponury, słotny dzień i przywiózł zmoczoną torbę z gazetami przed pałac w Grzędach, Tola chodziła po nieoświetlonym saloniku z werandą i niecierpliwie liczyła każdą chwilę; nigdy jeszcze ten kawał zadrukowanej bibuły gazeciarskiej nie wydawał się jej tak ciekawą i upragnioną rzeczą, jak właśnie dzisiaj.

Spodziewała się znaleźć w dziennikach sprawozdanie z walnego zgromadzenia „Postępu,” a w nim wzmiankę o Bernardzie i wiadomość o wyniku kampanii, przez niego rozpoczętej.

Pałiła ją ciekawość i nie dawała spokoju od dwóch dni.

Cuciąca wiedzieć, co o nim napiszą, jak ocenią jego działalność, jak się zapatrywać będą na rolę, którą odegrał w tej sprawie; chciała zobaczyć choćby nazwisko jego wydrukowane i czuła, że na samą myśl o tem, serce jej żywiej znowu bić zaczęło.

— Ach, nareszcie! — zawołała, gdy jej służący dał znać, że poczta nadeszła; — czegoż on dzisiaj tak długo siedział?...

— Taka słota, proszę jaśnie pani — tłumaczył posłańca lokaj, — żalby było psa z domu wygnąć na dwór.

Weszła śpiesznie do stołowego pokoju i chwyciwszy paczkę gazet ze stołu, poszła z niemi do swego gabinetu.

Porozrywane opaski rzuciła w pośpiechu prodroże, rozwinęła największy dziennik i zaczęła przebiegać oczyma wszystkie rubryki, szukając sprawozdania z walnego zgromadzenia „Postępu;“ znalazła je w artykule, który nosił bombastyczny tytuł: „Pogrom Teutonów.“

Bezimienny autor pisał:

„Kiedyśmy ostatni raz wychodzili z tłumnej sali obrad akcyonaryuszów naszej, najpoważniejszej rzec można, instytucji przemysłowej, za jaką niewątpliwie uważać możemy „Postęp,“ kierowany ręką równie wprawną, jak sprężystą, wynosiliśmy z niej wrażenie placu boju, na którym zacięta walka zdawała się rozpoczynać z całą namiętnością dwóch wrogich sobie obozów.

„Silna kanonada, jaką zainaugurowano tę batalię walną, w której pękały bomby lane ze złota, a efektowne szmermele pięknych frazesów przelatywały powietrze, zapowiadała z pozoru okrutną rzeź w owej finansowo-przemysłowej kampanii, wytoczonej początkowo przeciw najazdowi teutońskiemu w „Postępie.“



„Szlismy też wczoraj na dalszy ciąg tej wojennej wyprawy z przekonaniem, że w oczach naszych rozegra się straszna tragedia, w której popłyną jeżeli nie zdroje krwi, to strugi atramentu i znoju ciętych szermierzy językowych, że będziemy znowu świadkami zapasów, które wstrząsną całą salą i całą opinią publiczną.

„Tymczasem, jakże odmienny czekał nas widok!... sala Resursy przypominała wprawdzie jeszcze pobojuwisko, ale pobojuwisko, na którym „walka ustała, bo walczących zabrakło.“

„Nadarmo czekaliśmy ataku wrzającego Achillesa i rzucenia nowych pocisków zaczepnych w szanice prezydyalne; obyło się bez wszelkich podjazdowych nawet utarczek, a nad wszystkimi obozami powiewała biała chorągiew pokoju, czy też tylko dłuższego zawieszenia broni.

„Na opuszczonym bastyonie dawnej Rady zarządzającej, która jak jeden mąż podała się do dymisji, pozostał tylko wytrwały i odważny, a doświadczony jej prezes w osobie p. Klappermanna, nad którego głowę wyładowała się przed kilku tygodniami istna burza... teatralna z „Króla Leara.“

„Trzeba mieć dużo pewności siebie i dużo dobrej woli, a jeszcze więcej wyrozumiałości dla swoich przeciwników, aby tak, jak on, wytrwać na swoim stanowisku, nie upaść na duchu i przeczekać chwilowy chaos, wierząc, iż samą naturą rzeczy, równowaga niebacznie zwichnięta, przywrócić się musi w instytucyi, na tak trwałych i pewnych opartej podstawach.

„Szanowny prezes „Postępu“ miał wczoraj chwile rzeczywistego tryumfu i moralnego zadowolenia, jakkolwiek z właściwą sobie godnością ani jednym wyrazem nie zaakcentował tego, przejęty do głębi jedynem uczuciem, które go napełniało: uczuciem radości, że instytucya, której tyle lat przewodniczy, której rozwój i rozkwit nieustanny jest prawie wyłącznie jego zasługą, narażona chwilowo przez napływ obcego żywiołu, wpuszczonego zdradzieckim podkopem do „Postępu,“ szczęśliwym zwrotem okoliczności uratowaną została.

„Niema więcej Teutonów!... niema ówych butnych i zuchwałych rycerzy złotego cielca z miną berlińskich giełdowców a arogancją żydowskich kantorowiczów; zaledwie drobny ślad po nich pozostał w osobach kilku nad wyraz spokorniałych niedobitków.

„Rozbrojono ich w zręczny sposób złotą maczugą w rękę jednego z najpoważniejszych naszych potentatów finansowych, którego w imię dobrej sprawy udało się zwerbować na stronę „Postępu.“

„Udział znanego u nas i za granicą milionera, p. L. S. Majenfelda, reprezentanta znanej firmy bankierskiej, nadaje odtąd instytucji nową rękojmię, że interesa jej moralne i materyalne zyskają nader poważne i pożądane oparcie.

„Jakkolwiek nie wypada nam wtrącać się w osobiste stosunki dotychczasowego kierownika „Postępu,“ sprawiedliwość każe jednak zaznaczyć, że jego wpływom i rozumnej taktyce zawdzięczać należy podobno tak szczęśliwe uregulowanie całej sprawy i ułatwienie reform, które na pożytek To-

warzystwa zaproponowane i uchwalone prawie bez dyskusji zostały; nowo-wybrany Zarząd, którego skład podajemy poniżej, stanowią same firmy doświadczone prawdziwych mężów zaufania, przedstawicieli rodowej arystokracji, zrywającej z tradycją „nieobecnych,” sfer przemysłowych i mieszczańskich w najlepszym wyborze, oraz jednego reprezentanta młodej opozycji, którego żywy temperament potrzebujący jeszcze okiełznania, znajdzie w tem otoczeniu odpowiedni hamulec—a wówczas, (nie przesądzamy przyszłości), stanie się może również pożytecznym czynnikiem Zarządu, który dotychczasowemu prezesowi będzie ze wszelką pewnością większą i właściwszą pomocą i podporą, niż nią poprzednia Rada była.

„Wczorajsze walne zgromadzenie, odbyło się tedy pod wszelkiego uznania godnem hasłem: „Nie ma Teutonów! — precz ze sztromanami!”

Doczytawszy do tego miejsca, Tola, jakkolwiek nieświadoma dokładnie stosunków zakulisowych dziennikarstwa, instynktownie poczuła w całym tonie i sposobie przedstawienia rzeczy coś niesprawiedliwego, tendencyjnego, co zatrącało maskowaną niezręcznie reklamą dla Klappermanna, a widoczną niechęcią i uprzedzeniem dla jego przeciwnika Bernarda Sandsteina.

Nie mogła zrozumieć ani odgadnąć prawdziwych przyczyn zmiany tego tonu, która była wynikiem zręcznych machinacji pana prezesa; nie mogła wiedzieć i znać się na tem, jakimi to sztuczkami daje się urabiać opinia publiczna, ale uderzył ją cały nastrój i charakter tego artykułu.

— To oburzające— mówiła sobie,— nie wymieniają nigdzie nawet jego nazwiska, nie przyznają mu żadnej zasługi, chwalą tylko tego Klappermana, którego przed kilku tygodniami potępiali publicznie. Co to ma znaczyć?... co to się stało?..

Rozwinęła drugie pismo i znalazła w niem suche sprawozdanie z prowadzonych obrad z krótką uwagą na końcu:

„Po stwierdzeniu przez przewodniczącego najważniejszego faktu, iż w łonie Towarzystwa zaszła pożądana zmiana, skutkiem ubytku grupy akcyonaryuszów niemieckich, dyskusye nie przedstawiały większego interesu i były tylko formalnym załatwianiem kwestyi z porządku dziennego.

„Odważny speaker opozycji p. Bernard Sandstein nie zabierał tym razem wcale głosu wobec nowej konfiguracji stronnictw, która wytworzyła większość decydującą w duchu proponowanych poprzednio zmian.

„Wstrzymujemy się na razie od obszerniejszych uwag, jakie nam wczorajsze zgromadzenie nasuwało, przestając na zaznaczeniu pomyślniejszego zwrotu w sytuacji, który przedewszystkiem wyraził się w wyborach do nowej Rady zarządzającej, złożonej obecnie z ludzi używających publicznego szacunku i wziętości.

„Ciekawi będziemy tej nowej gospodarki „Postępu.“

Przeczytawszy oba sprawozdania, doznała Tola jakby uczucia zawodu; spodziewała się zupełnie czego innego, a znalazła w jednym piśmie tylko ukryte docinki dla Bernarda obok przyznawania

zasług nie jemu, ale Klappermannowi, w drugim ostrożne wymijanie prawdy pod pozorem przedmiotowego jedynie traktowania sprawy.

Zadawała sobie pytanie: jakie wrażenie musiały na nim zrobić tego rodzaju artykuły?...

Siedziała z głową podpartą nad gazeciarską bibułą i rozmyślała czas jakiś, potem powtórnie zabrała się do odczytywania „Pogromu Teutonów,” ważąc każdy wyraz z osobna i zastanawiając się nad intencją sprawozdawcy, która z pomiędzy wierszy wyzierała ukryta.

— Ani słowa pochwały, ani słowa uznania, — i dlaczego? — pytała się w duchu.

O szyby dzwonił zlekka deszcz, a ściekające krople monotonny wydawały odgłos za oknem.

Chwile wlokły się powoli i ociężałe, w pokoju była cisza senna wieczoru, tylko stołowy zegar na biurku tykotał przy każdym poruszeniu wahadła w kształcie misternie rzeźbionej tarczy herbowej z inicjałami Toli.

Ona zaś siedziała nieporuszona, zatopiona w rozmyślanii, i nie uważała nawet, że od kilku chwil we drzwiach stał Sewerek pomiędzy portyerami i przypatrywał się jej, nie śmiać przerwać zadumy matki.

Wreszcie na paluszkach, po miękkim dywanie, który wyscierał cały gabinet, podszedł do niej z tyłu, przytulił się cichutko do fotelu, na którym siedziała, i wysunawszy z poza poręczy jego swą główkę, spytał ją szeptem:

— O czem ty tak myślisz, mamusiu?...

Głos dziecka ocucił ją, odwróciła się szybko i uczuła jakby ulgę dla serca w tej niespodzianej obecności Sewerka; wyciągnęła do niego rękę i przytuliła go do siebie.

— To ty tu jesteś, przy mamusi?... a skąd ty się tu wzięłeś?... — spytała.

Chłopak przygarnął się do jej kolan, splótł obie rączki i niby przypatrywał się guzikom jej stanika.

— Wiesz co? — zaczął nieśmiało.

— No, co takiego?

— Mnie czegoś smutno.

— Smutno ci?... dlaczego?... może ci się nudzi?...

— Nie, mnie smutno; kiedy mi się nudzi, to mi nie jest smutno, tylko mi się chce ziewać, ale mi jakoś tak... czy ja wiem jak!...

— To chodź do mamusi na kolana.

— Wolę tak.

I oparł swą bródkę na dłoni, łokieć położył na kolanach matki i zapatrzył się przed siebie; ona przytuliła swą twarz do jego głowy i także milczała. Smutek dziecka dostrajał się do stanu jej duszy.

Po chwili Sewerek znów się odezwał:

— Mamo...

— Czego chcesz, kochanku?

— Czy tam w Warszawie także taki deszcz?

— Zapewne.

— To po co on tam siedzi?...

— Kto taki?

— No on, tatuś mój.

Westchnął głęboko jakoś i żałośnie, mówiąc:

— Proszę cię, dlaczego on nie przyjeżdża?...

przecież i pisałem do niego, i deszcz taki, i wszystko, a on ani odpisuje, ani przyjeżdża, ani nie!...

Podniosła głowę i wyprostowała się; przypomniała sobie list Sewerka, który przed tygodniem schowała do swego biurka, nie wiedząc co z nim począć.

Słowa dziecka zabrzmiały jej w duszy, jakby wyrzutem; wstydziła się przed nim przyznać, że listu nie wysłała wcale, nie byłaby umiała skłamać.

I jakimś instynktownym ruchem sięgnęła ręką do szufladki, odsunawszy zlekka od kolan swoich Sewerka.

Przyszło jej na myśl, że jeśli kiedy, to teraz, w tej chwili, kiedy tam smutny i zgorzkniały zapewne nie ma nikogo przy sobie, coby jednym uściskiem ręki, jednym cieplejszym słowem dodał mu otuchy, coby odezwał się do niego w tej samotni życia i stanął przy nim blisko, tuż przy jego sercu, — to odezwanie się dziecka mogłoby dla opuszczonego być głosem anioła pokoju, pocieszenia i — przejednania.

Tak, nie powinna się wahać dłużej i ociągać, nie powinna poskąpić mu tej radości, — ona, która tyłu smutków jego była przyczyną.

Niech się stanie tedy, co stać się może, niech ten list pójdzie i niech go sprowadzi do Grzędów, niechaj się dzieje wola Boska, która ręką ich dziecka kierowała...

Przecież to jedno jedyne ogniwo pozostało pomiędzy nimi, którego rozerwać żadnaby moc ludzka nie zdołała.

— Dziecko, dziecko moje drogie, nie bądź smutne; zobaczysz teraz, tatuś już przyjedzie, przyjedzie z pewnością! — mówiła, okrywając pocałunkami głowę Sewerka; głos jej drżał, policzki pałały, w oczach łzy miała.

I w kwadrans później, pomimo deszczu i słoty, konny posłaniec pędził na pocztę ze dworu z dużym listem, formatu arkusza złożonego we czworo, na którym ręką Sewerka stały drukowane litery:

— „Przyjedź do nas prędko, mój drogi tatusiu!...“

Trudno było w istocie wybrać stosowniejszą drogę do wysłania tych kilku krótkich, ale tak wymownych wyrazów, które jak ciepłe promienie słońca padły na serce Bernarda; gdyby nie kilka tendencyjnych głosów, nastrojonych na ton reklamy dla Klappermanna, mającego stosunki we wszystkich sferach, które mu mogły być w danej chwili użyteczne, nie byłby może zauważył tego obojętnego pominięcia jego osoby w sprawozdaniach dziennikarskich i nie przywiązywał do nich szczególniejszej wagi.

Miał to przekonanie, że zrobił swoje, że wystąpił z inicjatywą, która wprawdzie sparaliżowaną została, ale że wpływ jego nie pozostał bez skutku, bo pobudził do współdziałania ludzi, nie wciąganych przez niego początkowo w rachubę, że zatem pośrednio stał się pożytecznym, a co najważniejsza, że tą czy inną drogą osiągnięty został cel, do którego dążył.

Czytając „Porażkę Teutonów,“ doznał jednak bardzo przykrego uczucia; przycinki osobiste podrażniły go więcej, niż się spodziewał po sobie,



uważał się już ostrzelanym trochę tego rodzaju pułkawkami, a jednak w pierwszej chwili instynktownie wziął numer dziennika i rzucił go, jak brudną szmatę na ziemię.

Oburzyła go przewrotność, z jaką postępowano z nim na korzyść Klappermanna; domyślił się, że nie bez jego wiedzy artykuł ten w takim tonie napisany został a to znów dawało mu do poznania, iż pomimo zmiany sytuacji, Klappermann nie wyrzekał się swoich półśrodków, którymi bronił własnych interesów i ambicyjek, i że przewidywana przez Majenfelda harmonia będzie tylko słomianą zgodą, nie dającą rękojmi dłuższej trwałości.

W pierwszej chwili chciał odpowiedzieć autorowi „Porażki,“ wyjął arkusik papieru, umoczył pióro i napisał nagłówek sprostowania:

— „Szanowna Redakcyo!“ — ale nie wiedział, jak zacząć dalej.

Nie umiał wystąpić we własnej obronie; siedział, gryząc koniec rogowej obsadki, i rozmyślał:

— I co mi z tego przyjdzie?... będę polemizował, będę się upominał — o co?... o słuszność?... a kiedy tej słuszności z góry mi odmówiono. Co zyskam na tem, że nie przekonam nikogo, a podrażnię tylko na siebie uprzedzonych i niechętnych?... Mam rozpoczynać publicznie osobiste swary teraz z samego początku, kiedy niby ułożyły się stosunki i „Postęp“ wraca na lepsze tory?... Zrobią ze mnie narwańca, nie mogącego usiedzieć spokojnie, zarozumiałca, któremu chodzi tylko o własną ambicyję i rozgłos. Nie chcę tego, niech sobie to zachowa Klappermann!...

Odrzucił pióro, pochylił czoło i rozważał, jak mu dalej postępować wypadnie.

Przychodziły mu jakieś dziwne myśli do głowy, same zapytania, na które nie umiał dać sobie odpowiedzi; zdawało mu się, że wszystko, czego się dotknie, usuwa mu się z pod ręki, że wbrew prawom ogólnego ciężenia oderwał się od ziemi i pozostał w miejscu, a świat cały odwraca się od niego i oddala coraz bardziej, pozostawiając go samotnym i zabierając mu możność oparcia się na czemkolwiek.

Widział się zawieszonym moralnie w bezgranicznej przestrzeni, jak punkt, jak atom oderwany, który nie wie, co z sobą począć, do czego się przyłączyć, z czym się złąć, i przerażała go ta pustka dokoła niego otwarta, w której czuł się odosobnionym coraz więcej.

Z żoną się musiał rozstać, dziecka musiał się wyrzec, wśród rodziny własnej uważany był niemal za obcego; w ostatnich dniach stosunek z ojcem naprężony od dawna, pogorszył się znacznie, skutkiem pretensyi, jaką stary Sandsteim miał do syna o to, że pominął go zupełnie w sprawach „Postępu“, zwłaszcza przy nowej kombinacyi z Majenfeldem.

Dotąd politykował z Bernardem, ale teraz za dużo mu już było; nie mógł się dłużej powściągnąć i wybuchnął z namiętnością.

— Myślałem, że będę miał w tobie syna — powiedział mu w oczy, trzęsąc się z irytacyi, — a ja mam wroga, przeciwnika, nieprzyjaciela!... ty jesteś przychylny dla całego świata, tylko nie dla

własnego ojca. Dobrze to wiedzieć, to się przydał... Dbaj ty tylko tak 'dalej o swoją popularność, o opinię, o idee, o zasady, zobaczymy jeszcze, jak na tem wyjdiesz; nie tacy już karki łamali na tej drodze, złamiesz i ty!

Patrzył na niego prawie z nienawiścią, zapieniony i rozgniewany.

— Ty nie udawaj, że nie wiesz o co mi idzie, ty wiesz dobrze; obcy ludzie się na tem poznali i śmieją się z ciebie. Ja na ciebie pracowałem ciężko całe życie, ja tobie dałem twoją część, ja się nie wtrącałem w to, co ty robisz, prawda?... ja ci pozwalałem bawić się w twoje głupstwa, kiedy ci się zachciało być wielkim człowiekiem, prawda?... a ty jak mi się pięknie za to odwdzięczyłeś, no, jak?... porachuj tylko, ile ja straciłem na ciebie, co mnie kosztowało twoje głupie małżeństwo; to za to wszystko ja nie byłem nawet wart, abyś ty, mój syn, moja krew, przyszedł do mnie i powiedział: „Niech ojciec korzysta z okazji, bo jest do zrobienia teraz dobry interes...“ Nie, ty poszedłeś do Majenfelda i do innych, tobie się znowu zachciało hrabiów i książąt, ty się wstydziłeś starego Sandsteina, a jak przyszło do wybierania członków na Zarząd do „Postępu“, to ty się umyślnie nie pokazałeś nawet u mnie, abym ja ci przypadkiem mojej kandydatury nie zaproponował. To własny syn tak robi?... Nie, Bernard, ty nie jesteś już moim synem więcej, ty nie moja krew, tyś się wyrodził od nas wszystkich!... ty należysz do obcych!... popamiętaj ty sobie, co ja mówię, ty

źle skończysz i będziesz żałował po niewczasie, — ja tobie to przepowiadam.

Nie pozwolił mu nawet dojść do słowa i usprawiedliwiać się.

— Daj pokój—przerywał synowi za każdym razem,— ja już to słyszałem; ty chcesz być wielkim człowiekiem, no, to bądź sobie wielkim człowiekiem!... ty się boisz, aby nie powiedzieli, że młody Sandstein spekuluje ze starym Sandsteinem, a co by w tem złego było, żebyś ty ze mną spekulował, zamiast z obcymi?... czy to taki kryminał?... Nie podobają się to ludziom, no to co?... czy to wszystko musi się ludziom podobać?... Seliger i Blatt mieli rozum, posprzedawali swoje akcje, zrobili złoty interes, zagarnęli pieniądze i teraz śmieją się z całego świata. Wielka rzecz, że krzyczą na nich; pokrzyczą i przestaną, ale nikt się do nich tyłem nie odwróci, nie bój się, będą im ręce podawali i kłaniali im się jeszcze niżej, bo oni mają pełne kieszenie, a na pełnych kieszeniach cały świat stoi. Jakby oni byli kapcanami, toby im nikt ręki nie podał; możesz mnie wierzyć, ja dłużej od ciebie żyję na świecie!... Nie, Bernard, nie, to nie było z twojej strony uczciwie!... Tak żaden dobry syn nie byłby zrobił, ale to trudno, ty chcesz się obejść bez ojca, próbuj — ja się bez ciebie i bez waszego „Postępu“ i bez waszej Rady obejdem. Ojoj!... ja mam także głowę na karku!

Powiedział mu w końcu, że go niczem nie krępuje i znać go nawet nie chce.

— Tobie i tak nasz dom obrzydł, ty przychodzisz do nas tylko z musu, jak na pańszczyznę,

możesz wcale nie bywać; bądź spokojny, moja noga u ciebie nie postanie, ja ci się narzucać nie myślę, aby twoja opinia na tem nie ucierpiała!...

Mówiąc to, biegał po całym gabinecie wzburzony, unosił się własnymi słowami, zapinał i rozpinął tużurek, ręce wkładał do kieszeni i pobrzękiwał kluczykami, rozsuwał meble, które mu po drodze zawadzały i uderzając o nie kolanami, wpadał w jeszcze większą irytację.

Bernard słuchał go w milczeniu i czekał, ale nie mogąc się doczekać, aż się stary wysapie, wziął za kapelusz i z westchnieniem głębokim rzekł poważnie:

— Mój ojcze, z przykrością widzę, że się już nigdy nie zrozumiemy z sobą, dlatego odchodzę.

— A idź na złamanie karku! — wybuchnął w ostatniej pasyi stary Sandstein, zapomniawszy o wszelkiej przyzwoitości, której pozory starał się przynajmniej zachowywać w normalnych warunkach.

Nie widział więcej przed sobą syna, tylko niezyczliwego przeciwnika, który go odsuwał dla swoich widzimisie od dobrych interesów, — uczuwał zatem do niego głęboką urazę aferzysty z powodu „straconych korzyści.“

Pod drzwiami gabinetu, przytykającego do kantoru, z uchem nachylonem ku dziurce od klucza, stał podczas całej rozmowy ojca z synem, skrzywiony Sammet i słuchał z wyrazem zajęcia i jakiegoś przestachu zarazem tych krzyków swego współnika.

— Po co on mu tak bardzo wymyśla? — mówił sobie w duchu i kilka razy sięgał już ręką ku klam-

ce, chcąc wejść do gabinetu i przerwać tę niemiłą scenę rodzinną, ale się wahał i cofał zawsze oniesmielony.

Zakończenia rozmowy nie mógł się już dosłuchać, bo do pokoju wszedł wprowadzony przez woźnego młody człowiek w rozpiętym paltocie piaskowego koloru, z melonikiem w jednej, a laską o malachitowej główce w drugiej ręce; mógł mieć lat około trzydziestu i wyglądał na commis-voyageur'a bogatego domu, który robi w „jedwabiacz i pasmanteryi.“

Kędzierzawe włosy, z grzywką uciętą nad czołem, okrągła, wygolona twarz z czarnymi bączkami, gruba brew, szyldkretowe binokle na złotym, cienkim sznureczku, krawat aksamitowy biały z dużą perłową szpilką, kołnierzyk bardzo gorsowany, z którego wyzierała szyja atlety, gruby łańcuch od zegarka z mnóstwem świecących i brzęczących breloków, angielskie pantalone w kratki i kamasze na bardzo śpiczastych, jak łyżwy, bucikach,—nosiły cechę wystawowej elegancyi, która rzucała się w oczy i zdawała się mówić:

— Patrzcie, to wszystko w najlepszym gatunku, po cenach fabrycznych z odstępniem 15% rabatu... czem mogę służyć?... obejrzenie gratis!... obstalunki przyjmuje się na miejscu!

Elegancki przybysz, w uśmiechu wesołym odsłonił dwa szeregi białych, równych, zdrowych zębów, jak gdyby je także woził z sobą na pokaz wraz z reprezentacją firmy, wyrabiającej najlepszą na kontynencie „Eau dentifrice,“ i zatrzymując się na progu, zawołał po niemiecku;

— Zatem panie Sammet?... jedziemy?... panna Malwina jest w powozie i przysłała po pana. Czas to pieniać!... Czekamy!...

— W tej chwili, panie Rheinlaender, w tej chwili!...

Schwycił kapelusz, zarzucił na siebie okrywkę, nie zważając, że mu się kołnierz odwinął i w grzecznych podrygach, ożywiony, śmiejący się, zaczął zamykać szuflady swego biurka, szurać nogami, śpieszyć się, ze szczególniejszem wyróżnieniem traktując swego gościa, na którym mu widocznie dużo zależeć musiało.

— W tej chwili pojedziemy! — powtarzał, — w tej minucie!... pokażemy panu całą Warszawę; zobaczysz pan, że my tu także mamy swoje ładne rzeczy!... nie to wprawdzie, co pański Wiedeń, ale warte widzenia. Podoba się panu, zobaczysz pan! W tej chwili jestem gotów, tylko jeszcze te papiery schowam.

Wyguzdrał się wreszcie i wyszedł, a przechodząc przez kantor, prowadził swego gościa pod ramię i mówił w dalszym ciągu, nadskakując mu przy każdych drzwiach i ceremoniując się z nim przy każdym przejściu.

W ostatnim pokoju, jak gdyby sobie coś przypomniał, zawrócił na chwilę do kantoru i stając na progu, zawołał głośno do jednego z młodych ludzi przy biurku.

— Panie Knopf, powiedz pan panu Sandsteinowi, że ja dzisiaj nie przyjdę więcej, bo mam gościa z Wiednia, pana Leona Rheinlaendera—wiesz pan?... Rheinlaender i Spółka?... Powiedz pan, że

ja teraz pojechałem z panem Rheinlaenderem i z moją córką w Aleje i do Łazienek trochę, a potem pojedę z nim na obiad i do teatru na operę. Rozumiesz pan?...

Zdawało się, jak gdyby przed wszystkimi przechwalał się, że ma takiego gościa i że chce zwrócić uwagę na przedstawiciela firmy Rheinlaender et Comp., która pod względem swoich wyrobów jedwabnych i pół-jedwabnych była bez konkurencji.

Kiedy Bernard schodził ze schodów, natrafił właśnie na chwilę, w której powóz z Sammetem, Malcią i wiedeńskim ich gościem ruszał z pod bramy.

Piaskowe palto i białe zęby pana Rheinlaendera mignęły mu przed oczyma.

W usposobieniu, w jakim wracał od ojca, wołał unikać ludzi i wymijać znajomych, aby nie potrzebował rozmawiać z nimi, ale los doświadczał go dnia tego; w pobliżu swojego domu spotkał nagle Psańskiego, który w swoim pomiętym kapeluszu bez wstążki, w popielatym szaliku na szyi, z laską w ręce i wyładowanemi jak zawsze kieszeniami, stał na rogu ulicy i kłócił się o coś z Żydówką, sprzedającą pomarańcze pod murem.

— A, jak się macie? — zagadnął pierwszy Bernarda, — jak się macie?... dobrze, że was widzę!...

Przyłączył się do niego i mówił w dalszym ciągu:

— No, zerznąłem was porządnie w „Strażnicy”; przeczytacie w przyszłym numerze. Nie gniewajcie się, ale musiałem to zrobić; zerznąłem i was,



i „Postęp“, i Klappermanna, i całe walne zgromadzenie, wszystko razem porozbijałem w puch, zobaczyciel...

Nie mając wiele ochoty do rozmowy, zwłaszcza po takim wstępie, Bernard poprzestał tylko na krótkim:

— Tak?...

— A tak; sprawiłem wam wszystkim porządne lanie, ale tak po mojemu, bo ja kiedy już różę, to bez pardonu. Wam się jeszcze najmniej dostało...

— A mnie za cóż?...

— Naprzód za to, żeście siedzieli z zamkniętą głową i ani pary z ust nie puścili.

— A cóż miałem mówić?...

— Jak to co?... trzeba było tę kanalię Klappermanna dalej masakrować, jak za pierwszym razem; a potem, ten cały wasz „Postęp“ to Palestyna teraz. Zażydowaliście go znowu, że aż śmierdził... pfeł... z początku myślałem, że się to tałałajstwo wyniesie ze wszystkim; nawet wam sam bravo biłem na pierwszym zgromadzeniu, ale cóż z tego!... Niemcóweście wykurzyli, a na ich miejsce włożyli Żydy!... bo co tu gadać, taki Majenfeld Żyd, choć podobno pokropiony święconą wodą. Meches!... Klappermann Żyd czy także meches, wy — no, z was niby porządny człowiek, ale także... no, nie gniewajcie się, ale mnie znacie; mówię, co myślę i co mam na wątrobie. Nie cierpię tej kanalii całej i koniecl... Ot, przed chwilą omal nie wytłukłem tej starej Sury za to, że włoży ludziom w drogę. Co to jest, żeby te parszywe Żydy wszędzie się tak cisnęły!... trotuarem już nie można przejść spokoj-

nie. Was to, jak widzę, gniewa trochę, że ja sobie tak bez ceremonii Żydom wymyślam, ale z was przeciw rozsądny człowiek, więc choć sami pochodzicie z tej podłej rasy, to musicie czuć dla niej pogardę i nienawiść. Nie czujecie?... co?...

Bernard zaciął usta i wcale nie odpowiadał; Psański się roześmiał i mówił dalej sam:

— Każdy Żyd musi zostać antisemitą, gdy ma rozum i zmieni wyznanie, — bo skoro przejrzy, to niepodobna, aby trzymał dalej z tą kupą. Wiecie, co wam powiem?... mojem zdaniem, najgorsi są tacy, jak wy, bo bałamucają tylko opinię i zaciemniają kwestyę antisemicką. Ludzie nie mogą się potem połapać, kiedy patrzą na was i myślą sobie: cóż u stu dyabłów, ten Sandstein to przecież z Żydów, a zupełnie porządny człowiek!... no i cóż z tego, że porządny, ale to jeden taki na dziesięć tysięcy. Et, gdzie tam nawet na dziesięć, załodwie na pięćdziesiąt!... Wy to przecież sami dobrze czujecie, chociaż wam nie wypada o tem mówić, prawda?... nie zapierajcie się. Żal mi was osobiście, ale cóż robić, dla zasady muszę i was rżnąć, bo zasada przedewszystkiem!

Uderzył laską o bruk, że aż iskry się posypały.

Nie tylko same poglądy Psańskiego, ale i forma, w jakiej je wygłaszał tonem namiętym, ostrym, podniesionym, jak gdyby z góry chciał zagłuszyć wszelką możliwą opozycyę, miały w sobie coś bardzo drażniącego dla nerwów Bernarda; nie próbował odpowiadać, aby się nie wikłać w bezcelową dyskusyę, w której nie byłby nigdy przegadał i przekonał zawziętego antisemity. Powstrzymy-

wał się więc wszelkimi siłami, upatrując pierwszej lepszej sposobności pożegnania byłego kolegi, z którym dzisiaj dzieliła go jeszcze większa różnica pojęć i zasad, aniżeli przed laty na ławie szkolnej.

Gwałtowny gest, który Psański uczynił laską, aby więcej nacisku dać swoim słowom, do reszty zniecierpliwiał Bernarda; byli na szczęście już blisko domu, więc zatrzymawszy się przy bramie, spytał go:

— Wasza laska musi być także żydowskiego pochodzenia?

Nie domyślając się, do czego zapytanie to zmierzало, Psański przyjrzał się swemu kijowi z buczyny i odparł:

— A dyabli wiedzą, może ją i Żyd jaki sfabrykował; ale z czego o tem wnosicie?

— Z tego, że ją także chcecie połamać na drzazgi.

— A bo mnie pasya bierze, gdy o żydach tylko pomyślę!... zresztą, czyż wam się zdaje, że gdybym wiedział, iż to żydowska laska, nie połamałbym bestyi na kawałki?... daję wam słowo honoru, połamałbym i wyrzucił, albo w piec cisnął!...

— Zamiast się nią podpierać? — zagadnął go Bernard.

— A tak!...

— Tabyście zrobili sobie szkodę tylko, nie komu, i jedno głupstwo więcej w dodatku.

Odrzucił się i ucinając nagle dalszą rozmowę, wszedł do bramy bez pożegnania, zostawiając na ulicy Psańskiego, który z początku stracił swój

rezon i nie mógł się zdobyć na odpowiedź, ale po chwili poczerwieniał, jak rozgniewany jedor, stuknął kijem o flizy chodnika i pogroził nim za plecami Bernarda.

— Poczekaj, ja ci nasolę!... będziesz ty miał jedno głupstwo więcej, aż ci w pięty pójdziesz! Patrzajcie go, arrogant!...

Nie ruszał się z przed bramy, stał na rozkraczonych nogach i patrzył w sień, w której dawno już zniknął Bernard; zdawał się namyślać, co ma zrobić, albo czekał, żeby mu żółć znowu się uspokoiła.

W rezultacie tych rozmyślań, splunął z pogardą w powietrze, i machnąwszy laską, powiedział do siebie tak głośno, że aż się za nim dwóch przechodniów obejrzało, jak za waryatem:

— Smaruj Żyda fijołkami, a jego i tak czuć będzie cebulą; zawsze Żyd na wierzch wylezie!...

Nacisnął kapelusz na oczy, puścił się nagle szybkim krokiem z głęboką urazą do Bernarda, którego w myślach nazywał impertementem, obskurnym szajgecem i obiecywał go sobie zmasakrować.

— Kiedy tak, to tak!... nie można z nimi po dobremul...

Na skrócie ulicy potracił umyślnie starą Żydówkę, że omal jej całego kosza z pomarańczami nie wysypał, i pobiegł prosto do redakcji „Strażnicy“, aby artykuł swój jeszcze lepiej „posolić.“

Bernard, wróciwszy do siebie, rozmyślał jeszcze czas jakiś nad swoją rozmową z Psańskim, przewidując jej następstwa, ale w końcu wzruszył ramionami i powiedział sobie:

— Trudno, będę miał jednego wroga więcej; może to lepsze, niż taka połowiczna zgoda.

Zamknął się w swoim gabinecie i chodził z dobrą godzinę z kąta w kąt, nie mogąc dojść do ładu sam z sobą; trudno mu było odzyskać równowagę i spokój.

U drzwi poruszyła się klamka, i głos służącego dał się słyszeć z zewnątrz:

— Są listy, proszę pana.

— Skąd?

— Z poczty i z miasta.

Otworzył mu z niechęcią, wziął korespondencję, i nie przeglądając, rzucił na biurko; nie czuł się usposobionym do załatwiania interesów, głowę miał czem innem zajętą.

Drażniło go wszystko i sprawiało mu nieznośne uczucie zawady jakiejś, która wciskała się w jego myśli.

Mimowoli jednak rzucił okiem na dużą kopertę, wyróżniającą się swoim kształtem i rozmiarami wśród całej paczki listów, i zadrzał; na kopercie poznał pismo Toli.

Za chwilę fala krwi uderzyła mu do skroni i serce zakołatało w piersiach, jak na alarm; padł na fotel, rękoma zasłonił sobie oczy i dyszał tak ciężko, jak gdyby w tej jednej chwili przeleciał całą przestrzeń między ziemią a niebem.

W gardle zacieśnionem czuł łyż, powietrza mu zabrakło, w oczach pociemniało, ale wielka, błoga, niespodziana radość napełniła mu duszę.

Przed nim leżał duży arkusz papieru, a na nim ręką Sewerka skreślone wezwanie:

— „Przyjedź do nas prędko, mój drogi Tatusiu.“  
Pod spodem zaś widniał podpis: „Synaczek,“  
a obok ręką Toli już dodane dwa wyrazy: „i matka.“

Dopisała je Tola w ostatniej chwili przed samem wysłaniem listu, aby mu nadać więcej wagi i usunąć wszelkie wątpliwości, jakieby to zaproszenie samo, bez jej udziału, nastęrczyć mogło Bernardowi.

— Synaczek i matka... i matka... i matka!... —  
powtarzał, jakby własnym głosem upewnić się chciał o rzeczywistości tego podpisu; nagle spadł mu z serca cały ciężar trosk i smutków, i goryczy, i zawodów, i tej rozterki z życiem i otoczeniem swoim.

Czuł, że mu znowu pod nogi ziemia wróciła, że nie błądzi dłużej, zawieszony w pustej przestrzeni bez końca, że i on, samotny, bez oparcia, oderwany atom ludzkości, skazany na zagubę i zmarnowanie, odzyskuje znowu swoje prawa, jest człowiekiem, jak miliony innych; ma jednak jakieś serce, które po nim tęskni, które do niego należy, które go sprzęga z terażniejszością i przyszłością.

I ponad tą wrzawą zwichrzonych myśli, ponad głosy zwątpienia, jakie przed chwilą w nim się odzywały, ponad chaos uczuć najsprzeczniejszych, ten cichy, pieśczośliwy, ukochany głos stęsknionego za nim dziecka, wzbijał się, jak skowronek, zwiastujący mu świtanie pogodniejszego dnia w życiu, wołając z dala:

— „Przyjedź do nas prędko, mój drogi Tatusiu!“



## M.

Po zerwaniu towarzyskich stosunków z gościnnym domem prezesowstwa, obie rodziny Seligerów i Blattów czuły się przez pewien czas „dépaysé,” jak to głośno wyznawała Lipecka, nie mogąc ojcowi wybaczyć, że ją pozbawił zaprosin na salony Julii Heleny; księżna zaś z westchnieniem przytakiwała tylko przyjaciółce:

— *Oh, oui!*... — i robiła minę męczennicy, skazanej na śmiertelne nudy.

Ich własne kółka, ich znajomości i zebrania nie wystarczały im, a przynajmniej nie dawały tego zadowolenia; te panie nie bawiły się nigdy u siebie w domu tak dobrze, jak u drugich, a zwłaszcza u Klappermannów.

Księżna z całą naiwnością mówiła:

— Ja nie rozumiem tego, że u mnie zawsze rauty się nie udają i że się wszyscy tak okropnie nudzą; ja sama ledwie się powstrzymać mogę od ziewania. Urządziłam sobie five-oclocki z herbatą i tartynkami, ale nikt nie przychodził oprócz kilku

starych dziadów i papy, który po kątach swoim zwyczajem flirtował z Lipeczką. To prawdziwa rozpacz teraz!...

Z nudów, dla zabicia wieczorów, próbowali chodzić do teatru całą gromadą, ale — jak powiadała baronowa, — szkoda było sukni, bo w łóżach bywały pustki i nie było nawet kogo lornetować.

Puszczano się na „ekstrawagancje“, przyzwawszy Kocia Nahalskiego do pomocy, który rozpoczął od tego, że całe towarzystwo namówił do „zmiany paszy“, jak się wyrażał.

— Nie rozumiem, jak można jeszcze chodzić do teatru! — wołał z udanem oburzeniem, — przyznam się państwu, że mi się ta buda okropnie sprzykrzyła, że za ciężkie grzechy nie chciałbym teraz pokutować na komedyi u nas, a już na dramacie gotów jestem popełnić samobójstwo. Piramidalne nudyl... a grają niżej wszelkiej krytyki!... Człowiek szanujący się powinien dbać o dobry smak i nie psuć go sobie takim parodyowaniem sztuki. *Excusez le mot*, ale daję państwu słowo, że paskudzą każdą rzecz do tego stopnia, iż na dzisiejszych premierach wysiedzieć trudno. Jeszcze te nasze arcydzieła oryginalne, no!... winszuję temu, który na nich nie zasypia.

— Ach, to prawda! — potakiwały zaraz w zgodnym duecie księżna z baronową, — te sztuki oryginalne to okropność!... my już przestaliśmy chodzić na takie premiery. No, ale cóż robić?... *cher monsieur* Kocio, radź pan, bo umieramy z nudów!...

— A gdyby tak urządzić sobie teatr w domu?... he?...



— Cudowna myśl!... doskonale!... urządzimy teatr amatorski u siebie. Pan nam wybierz sztukę jaką, tylko francuską; wybornie!... komplet się zbierze, ja, Iza, no i kto jeszcze?...

— A kto będzie reżyserował?... *il nous faut un régisseur.*

— To bagatel! poprosi się kogo z teatru, Tarkiewicza albo Manowskiego, już ja to zrobię!...

— Jak to do domu? — wtrąciła zapytanie zdziwiona księżna, jak gdyby uważała to za coś gorszego; — do domu prosić aktora?...

Nie wydawało jej się to stosownem.

— No, a jakże pani chciała? — obruszył się Kocio, który miał bardzo liberalne w razie potrzeby poglądy.

— Ja nie wiem, czy to wypada... bo potem trzeba go zostawić i na wieczór?

— No to cóż?... to przecież artysta, a artyści za granicą mają wszędzie wstęp na salony, nawet królewskie.

— Ach, za granicą!... tam to co innego.

Baronowej się ta myśl podobała; obiecywała sobie, że poznanie aktora może być najzabawniejszym z tego całego projektu.

Uczenie ról, próby, kostium, nastreçały cały szereg nowych a przyjemnych wrażeń, których tak brakło znudzonym paniom.

Przełamano jakoś uprzedzenia księżny, przekonawszy ją, że wprowadzenie do domu artysty nie będzie do tego stopnia shocking, jak się to jej wydawało, i postanowiono zająć się wyborem

„sztuczki“ jak najprędzej, rozpisaniem ról i werbowaniem amatorów.

Tymczasem wszelako również za namową Kocia zaczęto przez kilka wieczorów z rzędu chodzić do Cyrku, co zaszczerpiło w panach i paniach tego kółka nagle gorącą hippomanię.

Baronowa utrzymywała, że nigdy w życiu nie śmiała się na żadnej komedyi tak wesoło, jak na popisach clowna Weldemana, o którym mówiła z zachwytem:

— Mój Didic jest cudowny!...

Książę z baronem i Seligerem w przerwach chodzili do stajni pod pozorem oglądania koni, a właściwie przypatrywania się zblizka baletniczkom występującym w pantominach i rozmawiania z hecarkami w obcisłych trykotach; wracali potem do łoży w doskonałych humorach, parszcząc śmiechem i powtarzając sobie zasłyszane dowcipy i znaczące słówka, o których wyjaśnienie dopominały się natarczywie panie u mężów, zwracając znów między sobą uwagę na kształty i muskulaturę gimnastyków i atletów, którym przyglądały się przez lornetki ze szczególniejszem zaciekawieniem.

Kocio znosił im wszystkie cyrkowe anegdotki i ploteczki, często bardzo trącające stajnią, których słuchały niby to jednym uchem tylko dla przyzwoitości, ale nie dawały mu opuścić ani jednego szczegółu i wypytywały o wszystko z uśmiechem na ustach, a z zaiskrzonemi oczyma.

Po cyrku „całą paczką“ jechali na kolację w towarzystwie spotkanych znajomych do Brühla lub innej renomowanej restauracyi, zajmowali osobny

gabinet i przy ostrygach skrapianych szampanem bawili się do późnej nocy.

Nazywało się to „knajpką“ i jako nowość posiadało świeży urok dla obu młodych mężatek.

Nahalski, jako *maitre de plaisir*, musiał teraz obmyślać na każdy wieczór osobny program i nie wahał się proponować w końcu wyprawy do mniej wytwornych lokalów pod pozorem posłuchania cygańskiej orkiestry lub szansonistek francuskich.

Panie, dusząc się od śmiechu, przemykały się bocznem wejściem do gabinetów restauracyjnych, zaglądały ciekawie przeze drzwi i okna osłonione do głównej sali i bawiły się doskonale, powtarzając:

— Boże, jak my się awanturujemy!...

Panowie poświęcali się dla żon, potrzebujących rozrywki i bawili się na swój sposób; po kolacy najczęściej jedna kareta odwoziła księżnę i baronową w towarzystwie „pocziwego Kuby“ do domu, a mężowie zachodzili jeszcze do Resursy lub Klubu zobaczyć: „co się tam dzieje“—i spróbować szczęścia przy zielonym stoliku.

Baron utrzymywał, że musi się tylko odegrać, a księżę udawał, że go partya nęci, bo zamiast do kart, wymykał się jeszcze do swojej Juli, która rozbudzana ze snu robiła mu grymasy i wymówki, iż się włóczy po nocach Bóg wie kędy i wyspać się jej nie daje, gdy wraca „spracowana“ z teatru po balecie.

Miała swoją ambicję i drażliwość; nie chciała, żeby tak późno ją odwiedzał, bo:

— Co sobie stróż pomyślił — mówiła ze zgrozą i wyrzutem do swego Oczka, który tak lekko-myślnie jej opinię po północy narażał.

Niekiedy papa Seliger, wtajemniczony we wszystkie stosunki baletowe, zabierał się z księciem do jego „małej;“ zanosił jej pudło cukierków albo poryłał nad wieczorem kwiaty i parę butelek wina z paczką delikatesów, zapraszając się sam na kawę, której mu doktor pić zabraniał; korzystał jednak z pretekstu, aby się wkręcić w towarzystwo, do którego czuł słabość i w którym odmładzał się, nabierał humoru, próbował się zalecać i wesoło czas spędzał.

One znów, te „małe“ uważały, że papa jest zabawny i bezinteresowny, chociaż stara się udawać Don Juana; lubiły go nawet i miewały z nim rozmaite konszachty, zwierając mu się ze swoich „zgryzot“ i „kawałów.“

Jula Klimezykówna, która od czasu, gdy się nią „książę zajmował,“ uważała się już za coś wyższego w hierarchii Terpsychory, zaprzyjaźniła się bliżej ze sąsiadką Tunią Płaszczyk, a że tylko ściana przedzielała ich mieszkania, więc się prawie teraz nie rozdzielały z sobą; wychodziły razem na próbę i wracały razem z teatru, odprowadzane zwykle do domu przez młodszego Majenfelda, który z cienia pod filarami wysuwał się na ich spotkanie i pomagał im wsiadać do swojej karetki.

Na wieczornych zebraniach jednak nie bywał nigdy, unikając zetknięcia z gośćmi Juli, z którymi ze względu na ojca nie chciał zawiązywać stosun-



warunkach, spoufalających męż-  
między sobą.

Przyzwyczajął się do coraz swobod-  
niania swej „małej“ wobec obcych;  
z bardziej z sytuacją, czuł się tu  
niżeli we własnym domu, wiedział,  
szki do wina i w której szufladzie  
sa z pewną dyskretną niedyskrecją  
odgrywał nawet rolę gospodarza w tych małych  
pokoikach na trzecim piętrze, w których od czasu  
do czasu „panna Julia“ przyjmowała zaproszonych  
przez niego gości.

Seliger, rozpierając się na kozetce krytej różo-  
wym kretonem, pod ogromnym parasolem chiń-  
skim, zawieszonym nakształt baldachinu u sufitu,  
przeglądając po raz dwudziesty albumy z fotogra-  
fiami koleżanek Juli lub szczerząc swoje wprawia-  
ne zęby do brzdąkającej na fortepianie Tuni, od-  
zywał się za każdej bytności swej po francusku do  
księcia:

— Przyznaj jednak, mój drogi, że tu jest o wie-  
le przyjemniej, niż było wczoraj u mojego zięcia!

A księżę, nie pomyślawszy nawet, że ta uwaga  
wychodzi z ust przyjaciela i współnika swego te-  
ścia, uśmiechał się tylko dystyngowanie i odpo-  
wiedział:

— Doprawdy, ile my wieczorów marnujemy na  
te nasze herbatki familijnel...

— Ach, to prawda!... święta prawda!... — po-  
twierdzał z przejęciem papa i otrząsał się na samo  
wspomnienie nowych nudów, które go jutro z ko-  
lei czekały na wieczornem zebraniu u Blattów.

Kocio, któremu przyjaźń i zaufanie żon nie przeszkadzały do asystowania mężom w ich poza domowych wyprawach, przychodził tutaj także, gdy nie miał nic lepszego do roboty, i mianowany „wujaszkiem,” korzystał w familiarny sposób z prawa całowania za uszko i w karczek swoje przybrane kuzynki.

Siadał do pianina i wygrywał wesołe tańce ze znanych baletów, albo z zacięciem operetkowym śpiewał kuplety francuskie, przyprawiał „bowlę” lub przepasany serwetą białą udawał kucharza i gotował na prędko jajecznicę własnoręcznie rozbijaną, po której wszyscy powinni byli „palce lizać;” błaznował, bawił anegdotkami, stroił żarciki i opowiadał ploteczki, z których dziewczęta pokładały się od śmiechu.

Któregoś dnia, kiedy jeden z tych miłych raucików odbywał się u Tuni Płaszczyk i całe towarzystwo siedziało przy loteryjce, dobrze już po północy zjawił się nieproszony Nahalski.

— Wujaszek!... wujaszek! — powitały go okrzyki i klaskania w ręce.

— *Tarde venientibus ossa!* — wołał Seliger w wyjątkowo dobrym humorze, bo siedział na kanapie między gospodynią a jedną z młodszych koryfejek, pozującą na bardzo dystygowaną dziewicę, — przychodzisz późno, my już po kolacyi, będziesz palce lizał, jak niedźwiedź!... Panno Tosiu, niech mu pani poda swoje paluszki, niech się pani nad biednym wujaszkiem zlituje, — mówił mizdrząc się do swojej sąsiadki.

Kocio zdawał się jednak dziś wcale do żartów nie usposobionym.

— Mój drogi, ja tu tylko dla ciebie przyszedłem — odezwał się,— szukam cię wszędzie.

— Mnie?

— A ciebie, ciebie; chodź-no na słówko.

— Kiedy mi tu bosko między temi paniami.

— No chodź-że — nalegał Nahalski, — kiedy ci mówię!

— Cóż to znowu takiego?...

— Dowiesz się.

Wyszli do przedpokoju, gdzie Kocio zadyszany jeszcze zaczął szeptać do ucha Seligerowi:

— Trzeba, żebyś pojechał natychmiast do klubu.

— Po co?... ani myślę!...

— Kiedy powtarzam ci, że trzeba. Lipecki się zagalopował, karta mu fatalnie poszła i wpadł grubo.

Tesciowi pana barona twarz się nagle przeciągnęła.

— Co ty mówisz!... przegrał?... dużo?...

— O, dużo.

— Tysiąc, dwa, pięć?...— dopytywał niespokojnie papa Seliger.

— Żeby!... więcej niż dwadzieścia.

— Co?!... to nie może być!...

Kocio się zachnął.

— Czyżbym biegał za tobą po całym mieście!... zostawiłem go na dwudziestu trzech tysiącach.

W przedpokoju dało się słyszeć syknięcie, jakby kto wodą bryznął na rozpalone węgle.

— Tak grubo grali?

— Zaczęli, jak zwyczajnie, ale baron się rozgniewał i zaczął hazardować. W ostatnich czasach był grubo przegrany, chciał się odbić, no i ugrzązał jeszcze bardziej.

Seligér już wdziewał palto na siebie.

— To chodź-że prędzej, bo oni tam jeszcze skórę z niego ściągną! — wyrzekął, nie mogąc w pośpiechu trafić w rękaw i obracając się w kółko po ciasnym przedpokoju, w którym wisały na szaragach paltoty i okrycia, a pod ścianą stały parasole i kalosze, płacząc się Seligerowi pod nogami.

Wyszli, nie żegnając się z nikim, nie opowiadając się nikomu, zostawili nawet przez roztargnienie drzwi niedomknięte. Po ciemnych schodach schodzili po omacku, prowadząc urywaną rozmowę na temat przegranej Lipeckiego.

— Ja tu jeszcze gdzie kark skręcę! — biadał papa Seliger — o, ściana!... nie masz zapalek?... Z kimże on tam tak hazarduje?... w co grają?... baką?... pewnie pokera?... a żeby cię!... uderzyłem się o jakąś poręcz, czy o col...

Potyając się, szukając po ciemku cylindra, który mu spadł z głowy, nawołując ciągle za sobą Kocia, doszedł wreszcie na sam dół i szarpał żelazną klamkę u bramy z niecierpliwością, wzmagając się z każdą chwilą.

— Stróż!... stróż!... — wołał po nocy w sieni, pragnąc wydostać się jak najprędzej na ulicę, aż go Nahalski mitygować musiał.

— Nie krzycz-że tak, bo pomyślą, że się palil!...

— A cóż ty sądzisz, że się nie palil — przerwał mu z irytacją, — palą się moje tysiące, które ten



gałgan tam przegrywał... gdzież ten stróż?... znalazłeś stróża?... ja chcę wyjść!...

Otworzono im nareszcie bramę; wyszli, zapomniawszy dać na piwo zaspanej stróżce, która bo-  
so, w męzowskim kozuchu, wylazła do nich z jakiejś nory pod schodami.

Za dziesięć minut byli już w klubie.

Przy jednym ze środkowych stolików siedziało i stało grono mężczyzn, zajętych grą, zbitych w zwartą grupę, z poza której nie można było nawet dojrzeć barona, tylko ostry, suchy, jakby zgrzytliwy pod wpływem nerwowego rozdrażnienia głos jego powtarzał:

— Tysiąc trzysta rubli do bicia!... no?... trzymasz pan?...

Seliger, typiąc oczyma, docisnął się z jakimś gorączkowym pośpiechem do krzesła swego zięcia i kładąc mu rękę na ramieniu, z naciskiem wyrzekł niespodzianie:

— Tym razem ja trzymam, jeśli nie masz nic przeciw temu.

Baron odwrócił głowę i zobaczywszy teścia za swojemi plecami, zrobił w pierwszej chwili minę nieprzyjemnie zdziwioną, ale potem zaraz nasrożył się, brwi ściągnął i odrzekł swoim szorstkim, urywanym głosem:

— Niech ojciec nie przeszkadzał!... musimy się rozegrać.

— Kończ! — syknął mu w ucho papa, starając się powściągnąć i wobec świadków nie chcąc robić sceny; — mam nadzieję, że skończysz natychmiast!

Baron był pomieszany i roztargniony; nie śmiał oczu podnieść od kart, aby nie zobaczyć dwuznacznych uśmiechów swojego otoczenia.

Partya szła dalej z jednakową fatalnością dla Lipeckiego, któremu szczęście dziś nie służyło tak, jak gdyby był najszczęśliwszym kochankiem własnej żony, zwłaszcza od chwili, gdy poczuł za sobą obecność teścia, świdrującego go wzrokiem, pełnym wyrzutu i tajonej wściekłości.

— Daj już pokój, baronie! — dogadywał mu Kocio, nachylając się do jego ucha, — na dziś basta. Wstań!... karta ci nie idzie. Weźmiesz rewanż kiedy indziej. Jak mnie kochasz, daj pokój!...

Ostatnie stawki także zawiodły.

Baron złożył wreszcie karty i gwizdząc z cicha pod nosem, usunął się od stolika — nadrabiając miną.

Różnica wynosiła po obliczeniu około dwudziestu pięciu tysięcy.

Pomiędzy grającymi znajdował się i Struś-Wydzewski; siedział nachmurzony, milczący, zły, odrzucał tylko karty i spluwał, żując w zębach zgasłe cygaro.

Kocio zbliżył się do niego, położył mu rękę na kolanie i spytał:

— Jakże ci idzie?

— Ee! — odburknął tylko i usunął się.

— Przegrywasz?...

Hrabia popatrzał na niego wzrokiem bazyliszka i odwrócił się, mruknawszy:

— Nie siadaj przy mnie,

— Dlaczego?...

— Bo ty masz pech.

Nahalski roześmiał się na cały głos.

— A mówię ci zawsze, daj pokój kartom; czemu nie słuchasz?

— Bo mi się tak podobał...

Nie był usposobiony dziś do rozmowy; siadał do stolika co wieczór, aby się tylko „odegrać,” a gdy się odegrał, żał mu było nie próbować dalej szczęścia; grał dalej i wpadał na nowo.

Chciał koniecznie z tego zielonego pola zejść, jak tryumfator, aby się z niego nie natrzęsano, a los robił sobie z niego igraszkę i drażnił go, jak torreador drażni bawoła czerwoną chorągiewką.

Jezeli gdzie na prawdę pracował, wyteżał umysł, pocił się i bezsenne noce spędzał umęczony, to tylko w klubie, w którym należał do stałych bywalców i pewnych partnerów, gotowych w każdej chwili trzymać bank i przegrywać.

— Ten Lipecki zaraził nas swoim pechem! — mówił do jednego z sąsiadów, bladego brunecika, który zagryzał tylko wargę z prawej strony, skubał kneblik i podnosił brwi nad lewym okiem, uśmiechając się kwaśno przy każdej poniterce.

— Spłukał się dziś porządnie — odrzekł apatycznie, — byłby utonął zupełnie, gdyby go teść w porę jeszcze nie schwytał za czuprynę.

Hrabia słuchał z roztargnieniem.

— Jaki teść? — spytał.

— Papa Seliger.

— Był tutaj?

— Stał przecież obok hrabiego.

— Gdzie?... czemuście mi nie powiedzieli?... byłbym się przy nim odegrał przynajmniej w wintę, bo on gra, jak mała w szachy.

Papa Seliger tego conceptu już nie słyszał; wioząc wtedy swego zięcia w karecie do domu i kłócił się z nim przez drogę, wymyślając mu od utracyszów i marnotrawców w cztery oczy; grożąc, że mu córkę odbierze, jeżeli się nie usatkuje i kart nie porzuci.

Baron siedział, jak osowiały, z okrutnym marszem na czole, z rękoma w kieszeniach paltota, którego podniesiony kołnierz zasłaniał mu całą brodę i połowę twarzy; ogłuszony był, przybity, zawstydzony.

Na drugi dzień po mieście krążyła już pogłoska, że zięć Seligera zgrał się do nitki, mówiono o pięćdziesięciu, o stu tysiącach, o skandalu, jaki mu teść wyprawiał, rozdymano plotkę, która jak kula śniegowa taczając się po ulicach, wzrastała z każdą godziną do coraz potworniejszych rozmiarów.

Wiedziano, iż przegrał i nie zapłacił, że się rozwodzi z żoną, że wyjechał, że się rozchorował, że się próbował otruć, że już się otruł, a tym krańcowym zapewnieniom sprzeciwiały się prawdopodobniejsze pogłoski, że nikomu nic winien nie został, bo w ciągu dwudziestu czterech godzin teść zapłacił wszystko i że w najlepszej zgodzie z klubem obaj pojechali do domu kareta, której im pożyczyl jeden z przyjaciół barona.

— No, wielka rzecz!... — mówił Kocio Nahalski, — raz mu się noga powinęła, to i cóż?... albo to nie ma bogatego teścia?... Seliger może płacić,

ma tylko jednego zięcia; to jeszcze nie tak drogo kosztuje. Są inni, co za czterech płacić muszą. Nie warto o tem gadać.

Urabiał opinię i „tuszował“ zbyt jaskrawe tony, w jakich malowano sprawę karcianą jego przyjaciela.

Seliger miał z córką scenę gwałtowną, w której wyrzucał jej, że ma męża do niczego, że się nim za mało zajmuje i patrzy przez palce na wszystko, co on robi.

— A cóż papa chciał, żebym go na pasku prowadziła? — ofuknęła ojca zniecierpliwiona, — samście mi go wybrali, to sobie z nim radźcie!...

— Wybrali czy nie wybrali, jest twoim mężem! — zakrzyczał ją, — marnuje twój posag, na dziady zejdzie, kiedy mu kredyt odbiorę. To wstyd, żeby żył tylko z mojej łaski; robić mu się nie chce, do niczego się nie bierze, nic nie umie, dużo mi z jego baronowstwa przyszło!... żeby on był udzielnym księciem, toby drożej nie kosztował!

Włożył wielki palec za kamizelkę i dreptał po dużym salonie z głową przechyloną na ramię, a córka chodziła za nim i co kilka chwil przystawała, zastępując mu drogę i pytając:

— To moja wina?... to moja wina?... weźcie go sobie, czy ja go trzymam?... ja się mogę obejść bez niego. Taki mąż!

— Co ty wygadujesz?... co ty sobie myślisz?... — wybuchał żałośliwym jakimś głosem Seliger, — tobie się zachciało skandalu, a ja na skandal nie pozwolę!... Kiedy jesteś raz jego żoną, to go pilnuj, to twój obowiązek.

Roześmiała się ojcu w oczy szyderczo i plasnęła rękoma.

— No, co dalej, co dalej?... podobają mi się te morały ze strony... papy Seligera!...

Widział, że nie będzie mógł z nią dojść do ładu, stanął na środku salonu, podniósł się na palcach i zadyszany, krztusząc się prawie własnymi słowami, przerwał jej:

— Żebyś wiedziała, że ostatni raz za niego zapłaciłem; teraz mogą go w klubie na czarnej tablicy wywiesić, mogą go pozywać, mogą go zlicytować, nie dam więcej ani grosza, rozumiesz?... zapamiętaj to sobie i powtórz mu ode mnie, żeby się nie spodziewał ani grosza, ani gro-sza!...

Zawrócił się szybko i wybiegł, nie czekając odpowiedzi córki.

Po drodze do swego gabinetu dostał czkawki i migreny ze zbytnej irytacji.

— Ja to wszystko odchoruję! — mówił do siebie głośno, oddychając głęboko i ciężko, — oni mi grób wykopią przed czasem!... ja tego barona oddam pod kuratelę, co on sobie myśli?!... ja na to zrobiłem majątek, aby on go w karty przegrywał?... co to jest?... to niesłychane rzeczy. Dwadzieścia pięć tysięcy, to przecież cała fortuna!... a taki gałgan w jedną noc puszcza takie grube pieniądze.

Rzucił się na fotel przed biurkiem, ręce opuścił, głowę zwiesił i z zamkniętymi oczyma siedział, jak męczennik z tortur zdjęty.

Czemże wobec hazardu zięcia były jego własne wydatki na niewinne słabostki?... co znaczyły te wszystkie kwiaty, czekoladki, a choćby półjedwa-

bne trykoty, składane w ofierze jego przyjaciółkom!... o tem nie warto było nawet wspominać. On przecież umiał ekonomicznie obchodzić się nawet z własnymi namiętnościami, a taki zięć!.. taki zięć kosztował go więcej, niż wszystkie „małe“ razem z całego baletu wzięte.

Dużo mu przyszło z tego, że z Blattem zrobił dobrą operacyę na „Postępie!“ długo się cieszył takim zyskiem!..

Wieczorem posłać musiał po doktora, bo mu się zdawało, że mu żółć pękła.

Skończyło się tylko na strachu i na leżeniu w łóżku przez dni kilka.

Siedział przy nim książę i pocieszał go, broniąc zlekka barona.

— Cóż robić — mówił, — Wilhelm musi też od czasu do czasu przegrywać; *il faut être et paraître, c'est comme ça dans le monde.*

Po tygodniu przestano zajmować się zupełnie sprawą barona, a po dwóch widziano go znowu w klubie, ale już tylko przypatrującego się innym „z galeryi“ przy zielonym stoliku.

Utrzymywano, że dał uroczyste słowo teściowi, iż kart do ręki więcej nie weźmie; mimo to, żona nie rozmawiała z nim do tej pory i dąsała się na niego w dalszym ciągu.

Stary Blatt korzystał z tego, aby odgrywać przy niej rolę pocieszyciela i przejmował się do tego stopnia swoją misyą, że baronowi podawał sztywnie dwa palce przy powitaniu, chcąc mu w ten sposób okazać zmianę swego życzliwego dawniej usposobienia.

Nazywał go pogardliwie szulerem wobec swej córki i zięcia i wzdychał, mówiąc o Lipeckiej:

— Nieszczęśliwa kobieta!..

Któregoś dnia zaszedłszy w interesie do Seligera, zastał go z głową zawiązaną, stękającego na szezlongu.

— Cóż tobie jest?—spytał go więcej dla formy, niż z prawdziwej troskliwości.

— Co mi ma być!... migrena i migrena. Człowiek ma tylko same zmartwienia i wydatki.

— Znowu co nowego?

— Jak to nowego?... albo starego nie dosyć?... zapłaciłem dziś ostatni weksel za mojego pana zięcia.

— To bądź kontent przynajmniej, że to ostatni.

— A czy ja mogę być kiedy tego pewny?!... czy ja wiem, gdzie on wszędzie napożyczał?... No, proszę cię, kto mógł przypuszczać, że on robi dług!... co?... wydawał się taki seryo-człowiek.

Blatt odwrócił głowę i skrzywił się z niesmakiem.

— Szkoda, żeś nie był wczoraj u mnie na obiedzie,—rzekł, zmieniając temat rozmowy — byłbyś poznał młodego Rheinlaendera.

— Cóż to za Rheinlaender?..

— Rheinlaenderów nie znasz?... Rheinlaender i Spółka!... pierwsza firma wiedeńska.

— No i co?

— A no nic; przyjechał do Warszawy rozejrzeć się w interesach.



— No i co?—pytał dalej apatycznie Seliger, zajęty wyłącznie tylko swojemi własnymi myślami i swoją migreną.

— Oni tu chcą założyć fabrykę welwetu, pluszu, aksamitu,—zaczął po chwili Blatt;—ten młody to bardzo dobra głowa. Siedzi dopiero parę tygodni a już poznał połowę Warszawy. Wiesz ty, kto go na lep bierze?...

— No?...

— Stary Sammet.

— Winszuję.

— I zdaje się, że go będzie miał—ciągnął Blatt dalej,—bo mu podsuwa swoją Malcię, a chłopakowi dziewczyna się podobała. Przez cały obiad gadał nam tylko o niej; ale ta Sammetówna robi faksy i grymasi. Co ona lepszego może dostać?... Taka partya to brylantowa partya. Solidna firma, porządny człowiek i zdaje się do interesu stworzony.

Seliger się podniósł i głową kiwał.

— Pewnie; wiesz ty Kuba, co ja ci powiem?... to lepsze od baronów i od książąt. Żebyś ja miał jeszcze jedną córkę, tobym ją wydał tylko za takiego Rheinflaendera; daję ci na to moje uroczyste słowo honoru. A ty nie?...

Blatt znów głowę odwrócił i znowu ten sam grymas niesmaku zjawiał się na jego ustach.

— Proszę cię, co my mamy prawdę owijać w bawełnę przed sobą? — zaczął znowu Seliger, który był w zgrzyźliwie melancholijnym humorze z powodu zapłaconego wekslu za Lipeckiego,—dużo nam przyszło z tych mężów dla naszych córek?... ty

bardzo jesteś zadowolony ze swego księcia?... bo ja ci mego barona daruję za darmo. To za kosztowny sprawunek i co mi z tego?... ani wielkiej pościechy, ani wielkiego honoru. Powiadam ci, Kuba, żeśmy głupstwo zrobili. Ty jeszcze za swojego niewiele zapłaciłeś, ale ja już na mego wydałem kilkadziesiąt tysięcy i Bóg wie, ile jeszcze będę musiał zapłacić. Taki Sammet, widzisz, ma lepszy nos od nas obu; on się nie bawi w żadne kolligacye, on nie szuka zaszczytów żadnych, on sobie znalazł takiego Rheinlaendera, wejdzie z nim do spółki, zrobi z nim dobry interes, ożeni go ze swoją córką i nie tylko na tem nie straci, ale jeszcze dobrze zyska. Będzie miał zięcia fabrykanta, który potrafi sam na siebie pracować i majątek robić, a my co?... myśmy Kuba kupili sobie dwie studnie, w które trzeba ciągle wody dolewać.

Westchnął z jakimś szczerym i prawdziwym smutkiem, biorąc się za głowę i stękając:

— Czy ja potrzebowałem, żeby mnie tak głowa bolała!

Blatt milczał i nie odpowiadał, ale znać było po jego twarzy, że refleksye przyjaciela trafiały mu do przekonania, choć nie chciał głośno przyznawać się do tego.

Siedzieli tak czas jakiś naprzeciw siebie, obaj zadumani i skrzywieni, jakby się wzajemnie octem poczęstowali, obliczając w myślach, co ich dotychczas małżeństwo córek kosztowało, a ile im korzyści przynosiło.

Blatt pierwszy otrząsnął się z tych frasobliwych myśli i wstając, rzekł:

— Co to warto teraz gadać o takich rzeczach!... Ja tobie powiem, że jeśli ta Sammetówna nie przyjdzie Rheinlaendera, to wartoby jednak reflektować na niego. Co ty myślisz?... córek już nie mamy więcej do wydania, ale spółkę z nim moglibyśmy zawiązać. Fabryka mogłaby się udać. Prawda?...

Seliger ramionami wzruszył.

— Co mi z tego! — westchnął z niechęcią — będę robił pieniądze na to, aby mój zięć miał co puszczać?... daj mi pokój, już mi się wszystkiego odechciało.

Kiedy jednak Blatt odchodził ku drzwiom, ocknęła się w nim przecież właściwa natura aferzysty, bo podniósł głowę i zawołał za nim:

— Gdybyś uważał, że z tym Rheinlaenderem jest na seryo co do zrobienia, to mi daj znać; ale ja wiem z góry, że z tego nic nie będzie, Sammet go nie wypuści. My już nie mamy szczęścia ani do zięciów, ani do dobrych interesów!...

Powiedział to z takim głębokim przekonaniem i takim zgnębionym tonem, jak gdyby nigdy w życiu nie spekulował i nie zarobił na akcyach „Postępu.“

Długi barona-zięcia zrobili go skrajnym pesymistą, przynajmniej do czasu odzyskania zdrowia i zwykłego humoru; nawet rozumować się nauczył trzeźwiej z migreną, niż w zupełnie normalnym stanie swojej wydłużonej i łysiejącej głowy.

---

## N.

Od trzech dni służący Majenfelda codziennie na próżno zapytywał w mieszkaniu Bernarda: czy już powrócił i kiedy go się ostatecznie spodziewać można?

Odpowiedź brzmiała jednakowo:

— Niema pana jeszcze; może dziś, może jutro przyjedzie.

— A dokąd wyjechał?

— Niewiadomo, bo nic nie mówił.

— Minał już cały tydzień od tego tajemniczego wyjazdu, który nastąpił tak nagle i niespodzianie, że oprócz Majenfelda, nikt o nim więcej nie był uwiadomiony.

„W ważnej sprawie osobistej — pisał do niego Bernard — muszę na kilka dni wyjechać; spodziewam się być pojutrze najdalej z powrotem.“

Ale czas upływał, a zapowiadziany powrót jego opóźniał się z dnia na dzień.

Pierwsze posiedzenie nowej Rady zarządzającej odbyło się bez niego, z czego Majenfeld zdawał się być bardzo niezadowolony.

— Wie pan, że to mnie mocno dziwi—mówił do Pińczowskiego,— a nawet niepokoi trochę. Człowiek tak solidny i sumienny nie zaniedbywałby swoich obowiązków z samego początku bez poważnego powodu. Posłałem dowiadywać się do starego Sandsteina, ale go także niema w Warszawie, bo wyjechał odprowadzić żonę i córkę za granicę.

— Może zatem pan Bernard przyłączył się do nich i odwiózł matkę i siostrę? — wtrącił Pińczowski.

— To niemożliwe, bo oni wyjechali przedwczoraj, a on przed tygodniem jeszcze... Nie przypuszczam przecież, żeby go zirytowały i ubodły tak niektóre docinki w naszych pismach po walnem zgromadzeniu; chyba jest za rozsądny na to, aby zwracać na nie uwagę. To przecież nie powinno człowieka zniechęcać do roboty. Pan czytałeś artykuły w „Strażnicy“ i inne?...

Pińczowski się uśmiechnął.

— Czytałem tak piąte przez dziesiąte.

— No i cóż pan na to?

— Dziękuję Bogu, że nie mam jeszcze pierwszych stu tysięcy.

— Jak to?

— Bo wtedy zauważonoby i moją obecność przez antisemickie lupy i zaczęto mi sprawiać lanie; ale dopóki jeszcze nie mam kroci, mogę sy-piać i trawić spokojnie.

Majenfeld spojrział na niego uważniej.

— Więc pan przypuszczasz, że...

— Ja przypuszczam, że kwestya antisemicka nie tylko u nas, ale wszędzie zresztą, jest właściwie kwestyą nie tyle rasową, ile pugilaresową,—mówił dalej adwokat, uśmiechając się przytem ciągle, — i że do niej pierwszy powód dali nie prości biedacy chałatowi, ale za prędko z bogaceni dorobkowicze. To dla mnie rzecz całkiem naturalna. Zjawisko każdej szybko rosnącej fortuny drażni ludzi, zwłaszcza tych, którzy się sami dorobić nie mogą lub nie umieją, a to tem bardziej, im więcej te fortuny zagarniają interesów cudzych przez nierówną konkurencję i przewagę kapitalizmu. Jestem pewny prawie, że gdyby ten żywiół semicki dbał więcej o rozwój innych sił w sobie, nie wyłączenie siły przyciągającej złoto, nie byłby uważany w społecznym organizmie za szkodnika, za obcą, chorobliwą narośl, która zbyt dużo soków dla siebie zagarnia. I niech pan tylko uważa, że Żyd, który pracuje w jakimkolwiek zawodzie, a nie puszcza się zarazem na pole spekulacji, wyzysku i robienia majątku, spotyka się i z sympatją, i uznaniem, i życzliwością swego prywatnego kółka, swojej sfery, swojego otoczenia, i dla takiego bezpośrednio kwestya semicka prawie nie istnieje, chyba, że ją sam wywołuje. Ja to panu mówię z własnego doświadczenia; jakkolwiek ojciec mój nazywał się Pińczower i był najbardziej dokumentnym Żydem, mimo to ja jakoś nie odczuwam w moich stosunkach rodzinnych i towarzyskich tej dziedzicznej kłątwy, która prześladowuje innych moich współwyznawców dawniejszych i dzisiejszych; ale też mój stary nie zostawił mi ani grosza majątku,

a ożeniłem się z biedną panienką, jak to panu wiadomo, i pracuję, myśląc więcej o interesach moich klientów, niż o swoich własnych. A takich, jak ja, jest więcej wśród moich kolegów adwokatów, doktorów, urzędników, nawet i tych samych redaktorów i dziennikarzy, którzy pisują i drukują antysemityczne artykuły dzisiaj, zapominając, że sami byli także niegdyś tam „ante-semitami.“

Majenfeld pozwolił mu mówić, nie przerywając ani jednym słowem jego długiej tyrady; poglądy, które z pewną siłą przekonania wygłaszał młody mecenas, nie krępując się tem, iż mogłyby one źle być przyjęte przez milionowego klienta, zajmowały go; słuchał z uwagą, i znać było, że nad nimi rozmyśla.

— Zatem, jeżeli dobrze pojmuję — odezwał się, gdy Pińczowski na chwilę przestał, — według pańskiego zdania, ten pieniądz, który się stał bożyszczem i ideałem semickiej rasy, jest zarazem jej największą fatalnością i mści się na niej tem bardziej, im więcej i im szybciej jest przez nią zdobywany?...

— Mniej więcej streszcza pan moje przekonania — przyznał otwarcie rezolutny radca prawny.

Majenfeld głowę zwiesił i młynkując palcami po swoim zakłętym brzuchu, z pod oka patrzył czas jakiś na Pińczowskiego, a potem po namyśle spytał:

— No, a skoro się raz doszło do milionów, cóż z nimi robić?... jak pan sądzi?...

Pińczowski zgarnął papiery swoje do teki i rzekł prosto, szczerze, bez cienia pochlebstwa:

— Robić to, co pan z nimi robisz; uważać je za wielki czynnik ekonomiczny i obracać je na wspólny pożytek, nie wyłącznie dla własnego interesu.

— I myślisz pan, że to środek skuteczny dla osłonięcia od pocisków i zarzutów? — spytał go stary finansista, ale nie czekając odpowiedzi, westchnął tylko i machnąwszy ręką, podniósł się z fotelu swego. — Dalekoby nas wprowadziła ta dyskusya — dodał, — dlatego zostawmy ją lepiej naszym wnukom, a tymczasem wróćmy do spraw pilniejszych. Cóż tam słychać z podaniem o założenie szkoły rzemiosł dla dzieci robotników fabrycznych?... przejrzałeś pan mój projekt?... zdaje się, że fundusz preliminowany przeze mnie nie będzie dostateczny...

Rozmowa przeniosła się na inny temat, który skupił całą uwagę Majenfelda na punkta prawne nowego projektu, kwestyonowane w kilku szczegółach przez Pińczowskiego.

Zasiedli obaj przy okrągłym stoliku i zaczęli przeglądać wspólnie rozłożone na nim akta.

Po godzinnej przeszło naradzie, żegnając się z Pińczowskim, stary Nabab ożywiony się zdawał niezwykle rozmową, którą prowadził na temat swoich planów.

— Pragnąłbym bardzo — rzekł, — żebyśmy się z tem jak najrychlej uporali i żeby ten Sandstein wrócił już, bo czeka nas kilka spraw wielkiej wagi; przedewszystkiem koncesya na kolej Bawolecką, któraby połączyła nam huty „Postępu“ z Jasienieckimi kopalniami węgla i otworzyła nową linię komunikacyjną na Wschód. Hr. Zmojski wy-



jeżdża w tym interesie za kilka dni do Petersburga; mam nadzieję, że się to zrobi. Rzucimy ludziom potrzebującym pracy ogromny kawał chleba, a nadto zobaczysz pan, jak wtedy „Postęp“ pójdzie w górę nie na fikcyjnych szczudłach, ale na własnych nogach. Wydźzewski tu już myszkował u mnie z Klappermannem, czy im się nie uda na swoją rękę zagarnąć tego interesu; myśleli, że Majenfeld już węż stracił i że nie wie o niczem. Zdaże mi się, że się pan hrabia pogniewał na mnie, bom go przyjął w sitzbadzie... No, to było trochę bez ceremonii, przyznaję, ale są ludzie, których ja sam za drzwi wyprowadzam i nawet gotów jestem im palto podać, a są znów tacy, których wolałbym wcale nie przyjmować u siebie, bo ani mi zaszczytu tem nie robią, ani mi przyjemności nie sprawiają.

Śmiał się i w najlepszym humorze rozstawał się ze swym radcą prawnym, mówiąc:

— Widzi pan, co to jest dla mnie agitacya!... jak ja się tylko trochę rozruszam, to mi się zdaje, że jestem zdrow zupełnie. Teraz naprzykład po konferencyi z panem zdaje mi się, że mam apetyt, ale gdybym tylko co zjadł, gniotłoby mnie tu przez całą noc. Wolę poprzestać na samym apetycie. Do widzenia z panem!... a przechodząc obok Sandsteina, spytaj pan jeszcze z łaski swojej, co się z nim dzieje?... może nareszcie już raz przyjechał?...

W tym samym wszelako czasie, w którym tak skwapliwie dowiadywano się o niego w Warszawie, on sam wyruszał zaledwie z Grzędów, a po pół godziny drogi w lekkim wolancie, wsiadał do wagonu kuryerskiego pociągu, który go miał po ty-

godniowym pobycie na wsi zawieźć nareszcie z powrotem.

W przedziale pierwszej klasy znalazł się sam jeden; zajmąwszy miejsce przy oknie, wtulił się w kącik wagonu, głowę oparł o poduszki, oczy zmrużył i rozmyślał.

Wszystko, co przeżył w tych siedmiu dniach, przesuwało mu się, jak tłum, który to rozpierchał się, to skupiał przed jego oczyma, a wśród którego dwie postacie jedynie stały nieporuszone: Toli i Sewerka.

One nie schodziły z jego pamięci i z jego myśli.

Widział je ciągle przed sobą i wpatrywał się w nie z wytężoną uwagą człowieka, który chce się przekonać, czy go wzrok nie łudzi, patrzy i bada, a uwierzyć nie może, że widzi dobrze, jasno, wyraźnie.

I pytał siebie z tem niedowiarstwem zrażonego serca, które raz na zawsze zrezygnowało ze swoich praw do szczęścia po doznanych zawodach:

— Więc to wszystko prawda?... to rzeczywistość?... to tak jest w istocie, na jawie, nie w przywidzeniu, nie we śnie tylko?...

Nie, to nie sen!... i ten gorący, namiętny, jakby kurezowy uścisk dziecka, które z krzykiem: „Tatusi!...” rzuciło mu się na szyję i zawisło na niej całym ciężarem wątłego, drżącego ze wzruszenia ciała, przy pierwszym powitaniu z ojcem na schodach grzędowskiego dworu, i owe ostatnie słowa przy pożegnaniu na samem wyjezdnie, szepnięte mu przez żonę z jakimś wyrazem zmieszania, zawstyżenia, nieśmiałości i prośby: „A więc nie

na długo?...“ i to wszystko, co przeżył przez cały tydzień pobytu swego pod tym samym dachem, pod którym przed laty tyle smutnych, ciężkich, ponurych wspomnień pozostawił,—to wszystko było prawdą i rzeczywistością, nie okłamywało go, nie zwodziło!

Jechał tam zgnębiony i skrępowany, pomimo chwilowej radości, jaką mu dziecięcy list Sewerka sprawił, ale z tem połowicznym uczuciem niepewności i nadziei, które nie pozwalało mu spodziewać się czegoś więcej od pieszczot dziecka stęsknionego po nim i milczącej aprobaty matki, dozwalającej mu gościny w swoim domu.

A wracał, jak człowiek, który w zgliszczach swojej dawnej siedziby znalazł fundamenta pod gmach nowego szczęścia w przyszłości.

Przez pierwsze dwa dni pobytu w Grzędach czuł się jeszcze bardziej rozdrażniony i rozstrojony; sytuacja ojca, który się zrzekł praw męża, nie była łatwą do zachowania w niej równowagi.

Na samym wstępie zdawało mu się, że Tola umyślnie położyła nacisk na charakter roli, w jakiej go jedynie u siebie przyjąć i traktować zamierzała, gdy wyszedłszy błada, oziębła na pozór, usiłująca się sztucznie uśmiechnąć chociaż na jego spotkanie, wyrzekła głosem, który się jej przy pierwszym słowie załamał:

— Witam pana w domu naszego dziecka!...

Skłonił się tylko i dotknął jej ręki zimnej, jak lodu kawał, ale drżącej, jak w febrze.

Powitanie to zmroziło od razu wątlą płonkę nadziei, która w jego sercu wzeszła.

Na szczęście, Sewerek jakby instynktownie wypełniał sobą nieustannie ten przedział, który między ojcem i matką istniał; zajmował się tatusiem i na chwilę jedną nie chciał odstąpić od niego.

— Musisz tu wszystko zobaczyć, mój drogi! — szczebiotał do niego z oczkami roziskrzonymi, z wypiekami na policzkach — ja ci sam wszystko pokażę, ja ci wszystkiuteńko pokażę, zobaczysz!...

Brał go za rękę i ciągnął to do okna, to do drugiego pokoju, to na werendę i do ogrodu, aby się dziwił altance, którą mama dla niego zasadzić kazała z leszczyny, Bumsowi, który aportował kamyki, figurkom z porcelany, które mu na gwiazdkę pani Kraut darowała.

Niekiedy wszelako w naiwności swojej rzucał jakąś uwagę lub zapytanie tak drażliwe, że ojciec i matka spuszczały oczy i odwracali głowy, nie śmiały spojrzeć na siebie w pomieszaniu, w jakie ich słowa jego wprawiały.

— Mój tatusiu — zagadnął go raz głośno wobec Toli, — dlaczego ty tu nigdy u nas nie byłeś?... ja do ciebie muszę jeździć co jakiś czas, a ty ani razu do mnie nie przyjechałeś. Wiesz, że to dziwne, prawda, mamó?...

Wymagał koniecznie, aby go oboje, ojciec z matką, prowadzili za rączki i rozmawiali z nim jednocześnie; nerwowy, żywy, jak iskra, wrażliwy, jak mimoza, a nad wiek swój intelligentny, potrzebował, zwłaszcza w tem podnieceniu, w jakim był od chwili przyjazdu Bernarda, aby się nim ciągle zajmowano i opiekowano nieustannie.

Trzeciego dnia po śniadaniu, kiedy go ojciec wzięła na kolana i bawiąc się z nim, pieścić zaczął, chłopak rączkami rozczesywał mu kručząc brodę i patrząc mu w oczy, odezwał się nagle:

— Wiesz co ci powiem?

— No, cóż?...

— Powiem ci, że ty nie jesteś dobry tatus.

— A to dlaczego?...

Dziecko spojrzało z ukosa na matkę i przez chwilę zawahało się z odpowiedzią.

— Bo nie.

Bernard całować go zaczął, śmiejąc się z jego minki, zabawnie zadąsanej.

— O widzisz, o widzisz!... — zawołał chłopak nagle — dlaczego ty mnie ciągle pieścisz i całujesz, a mamusi dotąd ani razu nie pocałowałaś jeszcze, nawet jakieście się przywitali?... czy ty się na nią gniewasz o co?...

Przy stole zapanowała chwila ciszy i wyczekiwania; nawet madame Kraut była zakłopotana i i nie wiedziała, co począć z sobą w tak drażliwej sytuacji, którą Sewerek jeszcze bardziej bezwiednie spotęgował, gdy zeskakując z kolan ojca, ujął go za rękę i z głębokiem przejęciem napierać się zaczął:

— No, mój kochany, pocałuj mamusię przy mnie, no, ja cię proszę!... jak mnie kochasz, mój tatusiu, mój jedyny, raz!... raz jeden!... no, ja cię tak proszę!...

Głaskał go pieścizotliwie po ręce i ciągnął na drugi koniec stołu, nie mogąc 'pojąć tego oporu, który w nim spotykał, ani znaków bony dawanych

mu na migi, żeby był grzecznym, ani zakłopotania matki, która zarumieniona po same białka, porwała się z krzesła i ze słowami: „Ależ Sewerku, nie męcz tak tatusia!...“ — wybiegła ze stołowego pokoju.

— No widzisz, widzisz, ona uciekła! — wołał żałośnie malec, — ona się obraziła na ciebie, chodź ją przeprosić...

Madame Kraut musiała go przemocą zabrać do drugiego pokoju i uwolnić ojca od natarczywych nalegań dziecka, które z uporem rozkapryszona napierało się tem bardziej spełnienia swych życzeń, im więcej go usłuchać nie chciano.

Rozpłakał się i rozmazał, wołając, że kiedy tak, to nie będzie kochał ani madame Kraut, ani tatusia, ani nikogo, tylko samą mamę, — bo mamusia biedna!...

Scena ta była jedną z tych nieprzewidzianych a całkiem naturalnych kolizyi, jakie w stosunku Bernarda do Toli nadarzać się musiały przy pierwszym ich spotkaniu w tak wyjątkowych warunkach.

Zaskoczony nią Bernard nie umiał w pierwszej chwili poradzić sobie; został w pokoju sam i czas jakiś rozmyślał, co począć?...

— Widzisz, ona się obraziła na ciebie, chodź ją przeprosić! — brzmiały mu w uszach naiwne słowa dziecka, które jednak na ironię zakrawały w tej sytuacji.

Mimowoli skierował kroki ku drzwiom, przez które przed chwilą wybiegła zmieszana Tola, i jakby posłuszny jakiejś tajemniczej sile, poszedł za nią przez szereg pokojów, powoli, rozglądając się,

czy jej gdzie nie zobaczy, i cichymi, głuszonymi dywanem krokami, doszedł aż pod próg jej buduaru, na samym krańcu dworu.

Przez uchylone drzwi i kotarę zwieszoną dojrzał ją siedzącą na fotelu z twarzą rękoma zasłonią, tłumiącą ciche łkania, które jej pierś podnosiły; zobaczył ją drżącą od serdecznego płaczu, jakim wybuchła, skrywszy się do swego odległego zakątka, widział, jak kurczowo zaciskały się jej palce splecione na oczach, jak drżały jej ramiona od tego silnego, zduszonego łkania,—i wówczas poczuł sam łzy pod powieką...

Przez chwilę wahał się jeszcze, czy ma się zdradzić ze swoją obecnością i czy mu wolno przestąpić ten próg, który rozdzielał dwie zbiedzone dusze i dwa samotne serca, sprzężone niebaczną ręką wpięrw, nim się zrozumieć wzajemnie i pokochać zdołały...

Posłuszny tylko własnemu instynktowi, zrobił krok naprzód i stanął w buduarze żony, wpatrując się w nią z wyrazem nieśmiałości, lecz głębokiego współczucia i bólu, który mu posępnym smutkiem twarz całą ocienił.

Odczuła go raczej, niż dostrzegła, bo odejmując nagle ręce od oczu, zapełnionych łzami, podniosła się szybko i szepnęła:

— Kto tu?...

I w tej chwili spojrzenia ich spotkały się z sobą, tak wymowne i wyraźne, tak przez łzy, jak przez pryzmat czarodziejski wnikające sobie wzajem do dusz, że nie potrzebowali już słowa jednego więcej, aby się wzajem zrozumieć, i kiedy on wycią-

gnął ku niej obie ręce, ona zasłoniła sobie dłonią znowu twarz zalaną łzami, ale w milczeniu podała mu drugą.

Z zapartym oddechem, z rękoma złączonemi po raz pierwszy w ich życiu uściskiem tak serdecznym i gorącym, stali naprzeciw siebie, nie odzywając się, jakby nie śmieli przerwać tego uroczystego milczenia, zapomniawszy o całym świecie i o wszystkim, co dokoła nich i poza nimi istniało kiedykolwiek.

Tylko ten uścisk dwóch dłoni, znowu złączonych z sobą, był całą ich wymową w tej chwili...

Kiedy sobie to wszystko przypominał teraz szczegółowo, siedząc sam jeden w przedziale wagonu, z oczyma przymkniętymi, z głową opartą o poduszki, uśmiechał się chwilami zlekka do swoich myśli, ale wyraz jakiejś smutnej powagi nie schodził z jego twarzy.

Niby zdaleka przemykające cienie, padały na ten pogodny obraz rzeczywistości dzisiejszej refleksyie z minionych lat, które pomimo wszystkich dodatkich wrażeń, jakich doznał tym razem w Grzędach, wciskały mu się do mózgu i szeptały cicho, cichutko, ale dość jeszcze głośno, by je uszczęśliwione serce usłyszeć mogło:

— A pamiętasz swą noc poślubną?... a pamiętasz waszą podróż we dwoje?... a zapomniałeś wasze długie, ciężkie, samotne wieczory na wsi, w tym samym dworze, który był gorszym od więzienia dla dwojga skazańców, skutych jednym łańcuchem, ale nie połączonych sercami?... a pamiętasz wasze rozstanie?...



Odpychał te natrętne oskarżycielki, które przybiegały psuć mu błogie chwile takiego sam-na-sam z jego szczęściem, ale potracony niemi umysł zwracał się w przeszłość i zestawiał z nią terażniejszość.

Mimo to jakąż wielką dostrzegał na korzyść tej ostatniej różnicę!...

— Nie znaleźmy się i nie zrozumieli dawniej — powtarzała mu Tola, — miałeś pan słuszność, żeśmy się nawet poznać wzajem nie chcieli.

To „pan“ przychodziło jej na usta mimowoli, samo, chociaż prosił, by je zarzuciła; musiała się po raz drugi, jak niegdyś w pierwszych tygodniach pożycia małżeńskiego, odzwyczajać znowu od niego.

Sewerek, który ich zastał zbliżonych do siebie i połączonych owym pierwszym uściskiem w buciarze matki, wyskoczył z radością na fotel, objął jedno i drugie za szyję swemi chudemi ramionami, przyciągnął do siebie i główkę swoją tuląc między ich głowami, wołał:

— O tak, o tak!... widzisz, to całkiem inaczej!... teraz będziemy się całowali wszystko troje, prawda?... ty ucałujesz mamę, mamusia ciebie, potem wy mnie, a ja was, i tak ciągle, ciągle, w kółko!...

Instykt dziecięcy rozwiązywał najdrażliwsze sytuacje i mieszał się, jak czynnik nieobliczony z góry, ale silny i despotyczny niemal, któremu trudno się było oprzeć, a jeszcze trudniej usunąć z pod jego wpływu.

A kiedy ta mała, mizerna twarzyczka z rozpalonymi policzkami tuliła się między głowy ojca

i matki, przyciskane rączkami ich jedynaka, oboje uczuli jednocześnie, że jest między nimi ogniwo, które ich sprzega w tej chwili i łączy już nierozdzielnie,— i wówczas dłonie ich zacisnęły się jeszcze bardziej, jeszcze silniej i jeszcze szczerzej, jakby po raz wtóry, przy ołtarzu rodzicielskich obowiązków i miłości.

Rzewność jakaś przejmowała drżeniem serec Bernarda i zwilżała mu oczy łzą, gdy sobie przypomniał ową chwilę pierwszego pocałunku, do którego naiwna natarczywość dziecka ich zmusiła i pieścizotliwe jego słowa:

— No, pocałujcie się!... no, proszę was, jeżeli mnie choć tycio, choć tyciunieczko kochacie!... no, co wam to szkodzi?...

Pociąg trząsł się i turkotał po szynach, za szybą okna grad iskier, jak z młóconych snopów jakiegoś piekielnego zboża sypane ziarna, spadał na czarne tło nocy, lokomotywa sapała zadyszana nieustannie, pasażerowie jacyś za ścianą śmiali się i prowadzili głośną rozmowę, ale Bernard nie widział i nie słyszał nic z tego wszystkiego, pogrążony w swem rozmyślanu.

W uszach i sereu brzmiały mu tylko słowa Toli i Sewerka.

One mu mówiły:

— Uwierz raz, że i dla ciebie rozpogodziło się życie, że przyszłość jest teraz w rękę was trojga, że możemy dla siebie utworzyć osobny, cały, wyłączny nasz światek, do którego nie dopuścimy nic, co by nam jego harmonię zmaćić mogłol...

Z dnia na dzień, skutkiem tych rozmów i układania planów wspólnej znowu przyszłości, odraczać musiał wyjazd swój do Warszawy.

— O jedno tylko proszę — powtarzała mu Tola,— nie każ mi porzucać Grzędów, zostaw tutaj i nie żądaj powrotu mego do miasta, do dawnych stosunków i dawnego towarzystwa. Zobaczysz, że nam tu teraz dobrze będzie.

Musiał przyznać jej słuszność i nie myślał sprzeciwiać się temu.

Był gotów nawet zerwać od razu wszystko, co go samego wiązało z miastem, ale mu na to powiedziała:

— Nie, to być nie może, masz obowiązki tam, masz swoją rolę, której nie powinienes porzucać dzisiaj, kiedy wstąpiłeś na tę drogę publicznych obowiązków. Wiesz, że możesz być pożytecznym, i trzeba, abyś nim był. Zresztą, zostawmy to jeszcze czasowi.

Wracał tedy na swoje stanowisko, ale czuł, że punkt ciężkości jego życia przeniósł się teraz do tej zacisznej, spokojnej wsi, w której czekało go wytehnienie po pracy, jedyne, prawdziwe zadowolenie i szczęście osobiste, nie kwestyonowane, nie nadszarpywane przez nikogo.

Majenfeld od pierwszego rzutu oka poznał, że zaszła w nim jakaś wielka i pomyślna zmiana.

— Pan wyglądasz, jakbyś wrócił z Kalifornii — rzekł do niego po powitaniu,— odkryłeś nową minę złota, czy co takiego?

Uśmiechnął się i odparł:

— Zgadłeś pan, odkryłem kopalnię brylantów.

— Aż tak?... i gdzie to, jeżeli wolno spytać?...  
byłeś pan w Indyach, czy w Brazylii?

— Nie, tylko w Grzędach.

— Co to za Grzędy?...

— To majątek mojej żony.

— Pańskiej żony?!...

Stary milioner oczy otworzył szeroko i wydał  
dolną wargę; zrozumiał, a raczej domyślił się  
wszystkiego.

— A zatem pogodziliście się państwo? — spytał  
po chwili.

— Porozumieli, powiedz pan raczej, — popra-  
wił Bernard.

— No, no, no!...

Pokręcił głową i podał rękę Bernardowi.

— Daj Boże szczęście w takim razie! — rzekł  
prosto, ale szczerze i z serdeczną życzliwością.

Nie śmiał pytać o bliższe szczegóły, w które mu  
wchodzić nie wypadało, więc zaczęli rozmawiać  
o interesach.

W ciągu tygodnia wiadomość o pojednaniu Ber-  
narda z żoną zaczęła krążyć, najpierw jako głucha  
pogłoska po mieście, następnie już jako stwierdzo-  
ny pewnik.

— Wiecie? słyszeliście? — mówiono sobie w ko-  
łach bliższych i dalszych jego znajomych:— Sand-  
steinowie pogodzili się!...

— Czy podobna?...

— Ależ tak.

— I od dawna?

— W zeszłym tygodniu.

— Któż to mówił?

— Przedewszystkiem on sam; jeździ teraz do Grzędów co parę dni i wygląda rozpromieniony, jakby się drugi raz na świat narodził.

Inni przyjmowali to z niedowierzaniem i uśmiechali się ironicznie.

— Bajkil...— powtarzali — to było niedobre małżeństwo od początku. Po co, na co, dlaczego mieliby się znowu schodzić?...

— Choćby dla dziecka.

— Eel...— machano ręką i dodawano:

— Coś to tam musi być innego; może jaka ciocia Voss znowu się w to wmieszała.

Jak zwykle w podobnych razach, świat wypowiedział sobie tysiące rozmaitych przyczyn do wytłómaczenia danego faktu, omijając najprostszą i najprawdopodobniejszą ze wszystkich.

Nie brakło i takich, którzy twierdzili, że tylko pospolity interes skłonił Bernarda do zbliżenia się z żoną.

— Nadszarpał sobie porządnie majątku przez straty poniesione w „Postępie“ — mówili tacy, — wywołał sam niżkę całą awanturą z Niemcami i Klappermannem, a kiedy się spostrzegł, że może z nim być krucho, wrócił do żony. Żydowski spryt i wyrachowanie, nic innego.

— Ale że ona dała się załapać? — występowali inni z uwagą całkiem trafną.

Na to znów odpowiadano:

— Cóż ona!... ona była zawsze trochę postrzelona, sama nie wiedziała dobrze, czego chce. Sprzykrzyło jej się zresztą być ni rozwódką, ni mężatką

zakopaną na wsi, więc rzecz jasna, że wolała jakiegobądź męża, niż żadnego.

— To jednak przyznać jej trzeba, że przez ten cały czas rozłąki z nim postępowała bez zarzutu — godzili się wszyscy, — zamknęła się, jak w klasztorze, nie było jej widać nigdzie, nawet nie przyjmowała nikogo u siebie.

— Bo dzika, — wtręcali mężczyźni.

— Bo dumna i zarozumiała — utrzymywały kobiety; — żeby się był jaki księżę trafił, kto wie, czyby nie była uległa...

Ciocia Łaniecka, uwiadomiona przez samą Tolę o połączeniu się jej z Bernardem, wysłała do niej długi list, pełen czułości, w którym wszelako z każdego wiersza wyzierały zdziwienie okrutne i niezadowolenie.

„*Chère Tola* — pisała ex-opiekunka do swojej wychowawicy — nie śmiem Ci robić żadnych uwag z tego powodu, jesteś dojrzałą kobietą i odpowiedzialną sama za siebie, ale dałabym była sobie rękę w ogień włożyć, że to nie prawda, gdyby mi te wiadomości przyniesiono skądinąd, nie wprost od Ciebie. Jak Jasia kocham, do tej pory uwierzyć mi trudno, abyscie się z panem Sandsteinem znowu zbliżyli, i to tak intymnie. Daj Boże, abys tego kroku nigdy nie potrzebowała żałować!... Czy nie uległaś tylko za pośpiesznie porywom swego szlachetnego serca i bez dostatecznej rozwagi zgodziłaś się na to połączenie?...

Nie dziw mi się, moja kochana, że robię takie refleksje i przypuszczenia, ale ta niespodzianka zastała mnie tak nieprzygotowaną i tak jej sobie

wytłómaczyć nie mogę, że od chwili odebrania Twojego drogiego listu mam ciągłą migrenę i nie wiem czemu łzy mi się w oczach kręca.

Obyś tylko była szczęśliwą w tem nowem pożyciu, *ma bien aimée et chérie Tola!*

Nie bierz mi za złe tych słów, ale wiesz, jak Cię zawsze kochałam i Kocham, niby matka prawdziwa, więc drzę o Twoje dobro, szczęście i spokój, zwłaszcza po tylu okropnych doświadczeniach.

Jaś utrzymuje ciągle, że to jakaś mistyfikacya z Twojej strony, i nie daje się przekonać, że przecież nie żartowałabyś w sprawie tak poważnej, prawda?... A może to rzeczywiście tylko żarty?... Uspokój nas, Kochana Toleczko, jeżeli tak nie jest, ale to pewnie jest tak, skoro piszesz sama. Ha, cóż robić!... jest to jeden więcej wyrzut dla nas, że musieliśmy z powodu przeniesienia się naszego do Galicyi, pozostawić Cię samą bez rady i opieki.

Ta Galicya zalazła nam tu już tak za skórę, że gdyby tylko znalazł się jaki dobry kupiec na nasze Paciorki, sprzedalibyśmy nawet ze stratą, uciegli poły i uciekali stąd co żywo. To barbarzya prawdziwa!... żyć niema z kim, a interesa w okropnym stanie. Wyobraź sobie, że siedzimy teraz na wsi, bo *franchement dit* musimy się coraz więcej oszczędzać i dlatego nie gniewaj się Kochanie, iż owych 5,000, którymiś nas w tak ciężkiej chwili poratowała przed dwoma laty, nie będziemy mogli zapewne i w tym roku zwrócić Ci jeszcze, pomimo najszczerzych chęci Jasia. On biedaczysko siwieje już z kłopotów. Doktorzy wysyłają go na lato koniecznie do Karlsbadu, ale nie wiem, czy z tego

co będzie, jeżeli nie wydostaniemy skąd jakiego ty-  
siąca guldenów. Wszystko to w tej chwili schodzi na  
drugi plan wobec Twojej małżeńskiej afery. Ach,  
mój Boże, mój Boże, czyś ty tylko dobrze zrobił!...

Poproszę naszego proboszcza, aby miał wotywę  
w przyszłą niedzielę na Twoją intencję, i codzien-  
nie westchnę do Stwórey Najwyższego.

Czy pisałaś też i do wujaszka Adasia w tej spr-  
awie?... nie śpiesz się bardzo, bo wiesz, jakie on ma  
swoje poglądy i jak mu przykro będzie dowiedzieć  
się, że znowu powracasz do sfery nie naszej, która  
może i ma jakie swoje zalety, ale z którą lepiejby  
było nam nigdy się nie stykać.

Donosił mi, że ostatni raz widział Cię przypad-  
kowo, kiedy u Tarłów był w sąsiedztwie na polo-  
waniu i wstąpił do naszych kochanych Grzędów;  
podobno jeszcze wyładniałaś, chociaż masz być  
szczupła i blada, jak zawsze.

Ale *à propos*, źle robisz, że nigdzie nie bywasz,  
i stosunków choć z lepszymi domami w okolicy nie  
pozawiazywałaś. Tarłowie, śliczna rodzina, dom  
prowadzą na prawdziwie pańskiej stopie; myśmy  
niegdyś za naszych lepszych czasów bardzo dużo  
żyli z nimi. No, teraz zapewne, tem bardziej nie  
będziesz szukała z nimi zetknięcia.

Niechże Cię Bóg najłaskawszy zachowa od wszel-  
kich zawodów i przykrości, życzę Ci tego z całego  
serca, które ma dla Ciebie miłość i przywiązanie  
macierzyńskie. A napisz do nas w wolnej chwili,  
bo przecie wiesz, że gdzież indziej znajdziesz tyle  
współczucia i zrozumienia, co u kochającego Cię  
z całej duszy wujowstwa Jasiów!..."



Z niesmakiem i uśmiechem politowania wrzuciła Tola podarty list ciotki w ogień na kominku, nie wspomniawszy o nim ani słowa Bernardowi; powiedzieli sobie przecież, że się wzajemnie nie będą krępowali żadnymi względami rodzinnymi, które im tyle zaciążyły w przeszłości, i że spróbują, o ile się da tylko, żyć poza ich sferą, aby uniknąć wszelkich drażniących wpływów i zachować zupełną swobodę.

Stary Sandstein, który odwiózłszy żonę chorą i córkę aż do Arco, zabawić musiał dla interesów w Wiedniu czas jakiś i z Lipska na Berlin powracał do Warszawy, dowiedział się prawie ostatni o pojednaniu syna z żoną.

Zaskoczyła go również ta wiadomość, ale przyjął ją z większą wyrozumiałością, niżby można było przypuszczać.

— Niech robi, co mu się podoba — powiedział tylko, — zgłupiał do reszty!... żebym nie był pewny, że to mój rodzony syn, tobym przypuszczał, że mi go mamka zamieniła. Co ja sobie mam psuć głowę takim waryatem!

Żal miał jednak do niego ukryty, że powrócił do żony, nie uprzedziwszy nikogo z rodziny i nie zapytawszy nawet, czy zechcą z taką synową nawiązać znowu zerwane raz stosunki.

Najsilniejsze jednak wrażenie wywarło połączenie się Bernarda z Tolą na Malci Sammetównie.

Stary Sammet przyniósł jej pierwszy tę nowinę i bez długiego wstępu przystąpił do rzeczy.

— No, cobyś ty powiedziała — zaczął, wróciwszy któregoś dnia w południe wcześniej do domu,

niż zwykle, jakby mu pilno było wygadać się przed córką, — gdybym ja ci powiedział, o czym całe miasto dziś gada?...

Patrzył przytem na nią z pod oka i łypał jedną powieką nerwowo, podnosząc oba ramiona do góry, jak puszczyk.

Nie spodziewała się nigdy bardzo ciekawych wiadomości z ust ojca, więc obojętnie rozczesywała dalej swoje bujne, gęste, skędzierzawione od natury włosy przed lustrem, które jej pokojówka wymyła przed chwilą; siedziała bez gorsetu, w zapiętym niedbale szlafroczku w szerokie czerwone i czarne pasy, leniwym ruchem ręki przeciągając duży grzebień szylkretowy przez pasma swoich kruczych włosów.

Puszczone rękawy odsłaniały jej krągłe, pełne, jakby z brązu ulane ramiona, porośłe delikatnym meshkiem, który nadawał im jeszcze ciemniejszy odcień.

— O czym-że znowu całe miasto dziś gada? — spytała, machinalnie powtarzając słowa ojca.

— Kiedy jak ci powiem, to skoczysz na dwa łokcie w górę.

— No to skoczę, wielka rzecz!...

— Bernard Sandstein pogodził się z żoną; cóż ty na to?...

Zaledwie dokończył tych słów, drgnął przerażony i zasłonił się ręką od strony toalety, na której stojące lustro rozprysło się w drobne kawałki, jakby skutkiem nagłej eksplozji.

— Czyś ty zwaryowała, Malcia! — krzyknął na nią ojciec ze strachu i oburzenia, — któż to widział

rozbijając grzebieniem lustro?... rozbiłaś takie drogie lustro!... narobiłaś tyle szkody!... co to jest?... Może mi co w oko wpadło?... ty jesteś waryatka, ja ciebie każę w kaftan wsadzić! Słyszane rzeczy, żeby grzebień w lustro rzucać zaraz!...

Spokojna przed chwilą jej twarz pałała teraz ogniem, oczy żarzyły się, jak główne, i ciskały pioruny na ojca, usta wykrzywiły się jakimś gwałtownym skurczem, a ściągnięte brwi drżały pod pofałdowaniem z gniewu czołem.

— Mógłby sobie ojciec schować takie głupie żarty! — wybuchnęła ze złością głosem ostrym, piskliwym, podniesionym i zerwała się z miejsca ruchem nadeptanej żmii; jej krągłe, duże piersi wschodniej odaliski falować zaczęły szybko pod fałdami rozpiętego szlafrocza; odtrąciła krzesło kolanami i wyprostowała się, jak karyatyda nad skulonym, małym, przestraszonym tą furią córki Sammetem.

— Jak ty gadasz do ojca, Malcia?... co to jest?... co ty sobie pozwalasz? — wołał na pół płaczkliwie, na pół gromiaco, cofając się na środek pokoju, — co to znaczy głupie żarty?... ty się nie zapominaj i nie myśl, że tobie już wszystko wolno, dlatego że nie masz matki. Czy kto widział taką głupią waryatkę?... ona musi zaraz na dwadzieścia rubli zrobić szkodę, że się Bernard Sandstein z żoną pogodził.

— To kłamstwo!... to nieprawda!... to nie może być! — przerwała mu, dysząc, jak podrażniona pantera.

— Dlaczego nie może być?—jęczał stary, jakby mu wszystkie kawałki rozbitego szkła powłaziły w całe ciało,—on się miał ciebie pytać o pozwolenie, czy co takiego?... On się nikogo nie pytał: zrobił, co mu się podobało, a ty nie bądź do reszty głupia i wybij sobie raz z głowy tego Bernarda, bo on sobie z ciebie tyle robi, co ja z tego krzesła przewróconego. Ty się powinnaś wstydzić tyle lat biegać za nim, kiedy on ciebie nie chce!...

Zaczął ostrożnie końcem buta zgartywać szczątki stłuczonego zwierciadła, rozsypane na podłodze, ale w tej samej chwili drgnął ponownie i poskoczył ku córce, która jak szalona podniosła nagle gwałtownym ruchem obie ręce, zanurzyła skurczone nakształt szponów palce w swoje bujne włosy, spadające jej jak lwia grzywa na ramiona, i z całej siły zatargała nimi tak, że pełne ich garście wyrwała sobie z głowy i z jakimś nieludzkim głosem rozpaczy, bólu, wściekłości rzuciła się na otomanę, wijąc się jakby w konwulsjach, wstrząsana spazmatycznymi dreszczami i płaczem, który miał w sobie coś z ryków zranionego zwierza.

— Malcia, Malcial... co ty wyprawiasz?... bój ty się Boga!... ty mi się rozchorujesz, ty sobie jeszcze co złego zrobisz!—biadał nad nią wystraszony ojciec, zabiegając niezręcznie to z jednej, to z drugiej strony i nie wiedząc, jak sobie poradzić.

— Nieszczęście, nieszczęście!—jęczał tylko żałośnie i drapał się w swą krótko strzyżoną, dobrze już szpakowaną głowę.

— Franusia! — wołał na służącą, która we drzwiach właśnie stanęła. — Franusia, zrób ty co z panną, widzisz przecie, że panna dostała spazmów!... może jej dać wody, albo ja wiem?...

Pokojówka stała zakłopotana, nie pojmując, co się tu dzieje, i osłupiałemi oczyma spoglądała na krztuszącą się Malcię.

— A tu pan Rheinlaender właśnie przyszedł i jest w salonie,—wybełkotała zmieszana.

Sammet za głowę się chwycił i padł na fotel zawodząc:

— Jeszcze i on w takiej chwili!... co ja zrobię, co ja zrobię!... Malcia, ty się upamiętaj, bo i mnie się co złego staniel...

---

## 0.

W trzy miesiące później, przeglądając rachunki szczegółowe rozmaitych wydatków, pomiędzy tak sumiennie notowanemi pozycjami, jak lando na trzy godziny wynajęte z remizy, łoża do teatru, posłaniec z listem do Rheinlaendera, dwa cygara kupione przed kolacją dla poczęstowania przyszłego zięcia i t. p., Sammet natrafił na 6 rubli 40 kop. „za wprawienie nowego lustra, rozbitego przez Malcię“ i na seryo zastanawiał się z dobrym kwadrans nad tem, kto właściwie powinien był ten koszt ponieść,— on, jako ojciec, czy córka, której porywczosć była przyczyną szkody wyrządzonej, czy też zięć przyszły, któremu przy spisywaniu interecyzy można było ten wydatek doliczyć do kosztów wyprawy i inwentarza?...

Przyzwyczajony do prowadzenia skrupulatnie rachunków z każdego dnia i układania potem bilansu miesięcznego i rocznego, wahał się w swoich kupiecko-buchhalteryjnych poglądach i zasadach co do pozycyi tak wyjątkowo zakwestyonowanej.

W końcu jednak znalazł najpraktyczniejsze a w swoim rozumieniu najsprawiedliwsze rozwiązanie; koszt wprawionego zwierciadła zapisał na własne conto, ale całą toaletkę oceniwszy na 28 rubli, wprowadził do spisu wyprawowego inwentarza razem z ceną szacunkową.

— Żeby ona była tego lustra nie rozbiła w tej wielkiej pasyi — opowiadał potem, — to mnieby była ta historia może dziesięć, może dwadzieścia, może sto razy więcej kosztowała. Co pan myśli, ona się mogła rozchorować, żeby w niej była ta cała złość i irytacja została; ją mogła, broń Boże, apopleksya uderzyć, albo co takiego!... Ona jest taka krwista i taka pasyonatka, to z nią trzeba ostrożnie. Ale jak się ona już wygniewała i wykrzyczała i na mnie, i na niego, i na wszystko, to ona potem była, jak baranek zaraz, i kiedy ja jej poszedłem powiedzieć: „Malcia, pan Rheinlaender przyszedł prosić o twoją rękę; no, co ty na to?...“ to ona się zerwała, mówię panu, w jednej chwili, jakby ją co ugryzło, i powiedziała: „Dobrze, niech będzie Rheinlaender, albo kto bądź, ale zaraz!...“ No, co to jest zaraz?... to się tak mówi: „zaraz,“ ale to musiało trwać parę miesięcy. Przecież to się tak ożenić nie można, jak wpaść do wagonu i pojechać do Wiednia. Myśmy to i tak bardzo prędko wszystko zrobili. Stary Rheinlaender ojciec chciał ślub odłożyć do jesieni, tylko ja mu wytłumaczyłem, że kiedy już po słowie, to po co mają państwo młodzi czekać?... A zresztą, oni wzięli po mnie lokal, bo na co mnie teraz takie duże mieszkanie, to ja już nie potrzebowałem od lipca moje-

go kontraktu odnawiać i od kwartału się zaraz wprowadziłem, a mój zięć przyszedł przepisał kontrakt na siebie. Czy ja nie miałem racji?..

W żadne bliższe i głębsze motywa nie wchodził ojciec Malci; wystarczyło mu to, że się córka zgodziła wyjść za mąż za konkurenta, który ze wszech miar według jego „referencji“ był doskonałą partią.

Wspólnie ze sprawą matrymonialną rozwijała się sprawa projektowanej fabryki, która dla teścia i zięcia bodaj czy nie stanowiła teraz najpoważniejszego interesu i nie zabierała im najwięcej czasu na ciągłe narady z przyszłymi współnikami.

Seliger i Blatt dali się namówić również do wzięcia udziału w przedsiębiorstwie, które według obliczeń miało przynosić znaczne zyski; od czasu zaś, gdy się usunęli z „Postępu,“ szukali nowej lokacyi dla swoich kapitałów, straciwszy nadzieję nawiązania powtórnie stosunków z Klappermannem.

Byli ich współnik zdawał się być zresztą zajętym teraz głównie swoimi prywatnymi interesami; nowe stosunki, nowa Rada zarządzająca, nowe projekty organizacyi Towarzystwa oddziaływały na niego osobliwie.

Hr. Zmojski, który miewał od czasu przyjęcia mandatu na członka Zarządu częstszą sposobność spotykania się z Klappermannem, mówił poufnie o nim do Majenfelda:

— Przyznam się panu, że nie mogę dobrze zrozumieć tego naszego prezesa. Sprawia on na mnie wrażenie człowieka, który się czai, ze swoim zdaniem ukrywa, w rezerwie się trzyma, wszelką od-



powiedzialność z siebie zrzuca. Nie wiem, jak to dalej będzie, ale dotychczas zdaje mi się, że ten pan Klappermann zamiast pomagać nam, zręcznie tylko przeszkadza i trudności gromadzi, zamiast je usuwać, jakby mówił: „Wleźliście tutaj przemocą, radźcież sobie sami; róbcie, co wam się podoba, zobaczę, co też potrafcie.“ Broń Boże, żebym go posądzał na podstawie danych już faktów, ale takie mam wrażenia z jego zachowania się.

Majenfeld głową kiwał i uśmiechał się dwuznacznie.

— Tak, tak, to bardzo możliwe; pan hrabia ma słuszność. A nie zauważył pan hrabia, od kiedy się to datuje?

— Od początku prawie naszych stosunków.

— Niezupełnie; ja panu hrabiemu dokładnie powiem od jakiego czasu. Oto od chwili, gdy mu odmówiłem udziału w konsorcyum naszym co do kolei Bawoleckiej.

Hrabia musiał mu przyznać rację.

— Tak, tak, bardzo trafna uwaga; od czasu, kiedy wróciłem z Petersburga, zastałem go już gładkiego, jak stal, ale i ostudzonego nadzwyczajnie.

Majenfeld oczy zmrużył i rozmyślał.

— Zdaje mi się, że to nie koniec; będziemy mieli jeszcze gorszą fazę, i to niebawem. Strawić nie może, że go do spółki nie dopuszczamy; pokrzyżowaliśmy mu projekta, które z Wydżzewskim sobie poukładali, więc stąd kwasy i niezadowolenie. No, ale to trudno!...

Jakkolwiek rozum i doświadczenie Majenfelda pozwoliły mu trafnie ocenić właściwą przyczynę zmiany w usposobieniu i postępowaniu Klappermanna, niezupełnie wszelako przewidziały wyniki tej cichej konkurencji, która od chwili wmieszania się jego w interesa „Postępu,” maskowana wprawdzie pozorami i dyplomacją pana prezesa, wzmagła się powoli, lecz nieustannie i wytwarzała pewno tarcie w trybach tej skomplikowanej maszyny.

Klappermann czuł to dobrze, że zmuszony okolicznościami do poddania się chwilowo wpływowi Majenfelda dla uratowania ogólnej sytuacji i swego stanowiska, będzie musiał czas jakiś udawać przynajmniej pogodzonego z losem, nim swoim sprytem nie odzyska znowu całkowitej swobody działania i „nie weźmie za łeb wszystkich.”

Ale to mu ani na chwilę nie przeszkadzało prowadzić podwójnej taktyki i pamiętać o własnych interesach i korzyściach.

Julia Helena w porozumieniu z mężem na swoją rękę prowadziła politykę zawierania sojuszków i zdobywania sprzymierzeńców, a plany jej i ambicje macierzyńskie miały być uwieńczone postanowieniem małżeństwem Kamci z młodym ale gołym hrabią Oktawiuszem Dembno-Dembeckim, kuzynem dalekim Wydźzewskiego. ◆

Rozumie się, że usłużny totumfacki Klappermannów, zawsze gotów do swatania i pośredniczenia we wszystkim Kocio Nahalski, pomagał usilnie w tej sprawie i poufnie opowiadał:

— Wiecie, żenię teraz Oktawcia Dembeckiego; wstyd mi doprawdy przyznać się, ale ja tego smar-kacza prawie wyniańczyłem na własnych rękach. Jego matka, śliczności kobiet!... była moją siostrą wujeczną. Co to bywały za przyjęcia, za ba-le, za polowania u nich!... palce lizać!... Ja w tej Jadzi Dembeckiej kochałem się nawet, jako stu-dent, i stąd mam dla Oktawka tyle życzliwości; zajmuje mnie, jak gdyby był moim własnym synem.

Struś Wydźzewski, nazywany przez Dembeckie-go „kochanym wujem,“ zapomniawszy o tem zu-pełnie, że swego czasu oburzał się na samą propo-zycję wejścia do domu Klappermannów i zawiąza-nia z nimi bliższych stosunków, dał się w ciągu lat kilku tak oswoić i zjednać, iż zapytywany, czy w istocie kuzynek jego żeni się z Kamcią Klapper-mannówną, odpowiadał z miejsca:

— A żeni się.

— I to już postanowione?

— A postanowione.

— No, to powinszować, — dodawali niektórzy.

— Jest czego; bierze pół miliona i książeczą wy-prawę, a teść mu kiedyś zostawi z pięć razy tyle po najdłuższym życiu. Ja Klappermanna już dzi-siaj cenię na...

Za każdym razem wymieniał inną cyfrę i wy-trzeszczając swoje duże, bawole oczy, pytał:

— Może nie?...

Huczał, jak pusta kufa z irytaeyi, kiedy mu któ-ry z poufalszych znajomych pozwolił sobie przy-



ciąć złośliwym dowcipem co do pochodzenia przyszej pani hrabiny.

— Idyotyzm!... głupstwo!... lepiej przecież, że ich fortuny przechodzą w nasze ręce, niżby miały pozostać w ich rękach. Zresztą, ściśle biorąc, to my tylko w ten sposób odbieramy od nich to, co nam pozabierali, i już!...

Zapędzał się w swoich argumentacjach nieraz tak daleko, że zaplątawszy się we własne rozumowania, nie umiał wybrnąć i kończył odwracaniem się plecami do swoich przeciwników, dudniąc zasapanym głosem:

— E, dajcie mi święty pokój!... przecież to nie ja się żenię, tylko ten dureń Tawcio.

Zły bywał wtedy na siebie, na kuzyna, na Kocia, na wszystkich.

Nahalski mu tłumaczył:

— Czego ty się rozjędyczasz?... przecie widzisz, że cię umyślnie biorą na fundusz. Wstałeś dopiero co od śniadania i już się irytujesz, a wiesz, że ci to szkodzi.

— A widzisz!.. szkodzi mi, to prawda; nie będę o tem więcej myślał, — przyrzekał sobie udobruchany, dbając więcej o swój żołądek i normalny proces trawienia, aniżeli o wszystkie kwestye sporne co do mezaliansów rodowo-finansowych.

Małżeństwo prezesówny stanowiło temat do rozmowy, w której, jak zwykle, krańcowe ścierały się zdania; przypomniano sobie przy tej sposobności najczęściej Bernarda Sandsteina i Tolę.

Na zebraniu u hr. Płonickiego, który po wycofaniu się raptownem ze sprawy „Postępu“ czas ja-

kiś bawił za granicą, a wróciwszy, dał się znowu wciągnąć w organizację jakichś kółek melioracyjnych dla podniesienia hodowli bydła, które uważał za czynnik ekonomiczny niepospolitej miary, rozprawiano także o tych „maryażach“ mieszanych i przytaczano jako przykład wypadek Sandsteina.

— Przyznam się panom — odezwał się nagle gospodarz po pewnym namyśle, — że o ile dziwiło mnie swego czasu dojście tego małżeństwa do skutku, bo przecież Zabiełłowscy to bardzo dobra krew, o tyle nie zgorszyłem się wcale wiadomością o ich pogodzeniu...

Z kilku stron spojrzano na niego ze zdziwieniem.

— Ja muszę się panom jaśniej wytłómaczyć — ciągnął hrabia dalej z oratorskim rezonem, — przede wszystkim wyznaję, iż z moich osobistych stosunków z panem Bernardem Sandsteinem wyniosłem przekonanie, że jest to człowiek w swoim rodzaju, a zwłaszcza w swojej sferze wyjątkowy, unikat, jeżeli panowie chcecie, pod każdym względem. Jego publiczna działalność, na którą patrzaliśmy w ostatnich czasach, dała nam go poznać z najlepszej strony, i że tak powiem, nobilitowała go prawie w naszych oczach. Pomimo tego, że mam zaszczyt należeć do stronnictwa konserwatywnego z rodowej tradycji i przekonań, panowie, nie mogę zaprzeczyć w pewnym stopniu nobilitacji takiej przez osobiste zasługi i działalność w naszych czasach, w których, panowie, dawnego zwyczaju pasowania na rycerzy zaniechano, niestety!... Ja nie wiem, ale mi się zdaje, że zdobywając sobie niejako ostrogi na polu właściwych

dla siebie zapasów, człowiek tych zalet i moralnej wartości, co pan Bernard Sandstein, panowie, zdobywał również prawo do uznania, zwłaszcza u własnej żony, i dlatego, przyjmując jego małżeństwo, że tak powiem w pierwszej instancji, jako fakt dokonany, muszę w danych warunkach pochwalić niejako, powtórne jego zatwierdzenie w instancji drugiej. Uważając zaś świętą instytucję małżeństwa za podstawę i rękojmię porządku społecznego, panowie, cieszyć się mogę ze stadła pogodzonego i powtórnie skojarzonego więcej, aniżeli z przybytku nowych związków, dobieranych dla interesów niezawsze usprawiedliwionych. Takie jest, panowie, moje zdanie.. Skończyłem.

Ani się spostrzegł, że palnął całą mówkę improwowaną, jak z katedry; sam nie wiedział, skąd mu się wzięło stawać w obronie Sandsteina, dla którego uczuwał co prawda rodzaj cichej sympatii.

W chwili jednak, kiedy z podniesioną głową, wodząc oczyma oratora po swoich słuchaczach, zmierzał ku drzwiom, by dać jakieś polecenie lokajowi, uczuł, że go ktoś za ramię zlekka ujął i przytrzymał.

Obejrzał się i zobaczył siwego jegomościa z miłą uśmiechniętą i bardzo dystyngowaną, który poufale ujął go w pól i obracając ku ścianie, rzekł:

— Ślicznie to wszystko powiedziałaś, mój Mieciu, ale mimo to z panem Bernardem Sandsteinem nie chciałeś jechać na jednym wozie; przypomnij sobie swoją rejteradę pół roku temu...

Hrabia zmieszał się i zaciął, ale po chwili odyskując swój rezon, odparł od razu:

— *Mais pardon, cher oncle*, to było co innego... to całkiem co innego!... *Vous savez*, opinia publiczna zawsze coś znaczy, z nią się liczyć należy w takich razach, a zresztą wtedy książę i... i rozmaite rzeczy tak się jakoś złożyły... jednym słowem, co innego iść z nim ręką w rękę, a co innego oddać mu sprawiedliwość! Daję stryjowi słowo, że chociaż to tylko Sandstein, ale ma w sobie coś...

Siwy jegomość poklepał dobrotliwie synowca po ramionach i przerwał mu:

— Ależ nie tłómacz się, znam cię przecież na wylot i nie mówię tego w formie zarzutu.

— Bo nie chciałbym znowu, aby stryj...

Nie pozwolił mu skończyć stary radca, chudy i wysoki, który już czyhał z boku, aby po francusku z układnością dworaka zrobić uwagę:

— Ale hrabia wróciłeś nam z zagranicy skończonym liberałem!...

— Jak to?

— No, ten sposób traktowania rzeczy, ta wyrozumiałość, te ustępstwa dla ducha wieku, to wszystko z zastrzeżeniem się jednak, że się trwa pod sztandarem konserwatyzmu...

Płoniccki dopiero się spostrzegł, iż niepotrzebnie może głos zabierać.

— Bo to kochany radco jest konserwatyzm z odcieniem liberalnym, który nie zapomina niczego a stara się wyrozumieć wszystko, — próbował się wykręcać, — za czem wcale nie idzie, aby wszystko uznawał i godził się ze wszystkim.

— A ja moim panom powiadam, panie łaskawy — rozległ się na szczęście donośny jakiś głos,

który odwrócił uwagę wszystkich ku mówiącemu olbrzymowi o tęgiej tuszy, rumianych policzkach i gładko uczesanych włosach słomianego koloru,— że co do tych modnych dziś, panie łaskawy, małżeństw z Żydówkami, czy Żydów z naszymi szlachciankami, mam jedną uwagę, panie łaskawy, jako gospodarz prosty i hodowca, panie łaskawy. Krzyżowanie ras, panie łaskawy, to w gruncie rzeczy nie byłoby nic złego, tylko powinien być właściwie dobór robiony; bo panie łaskawy, arabskiej klaczy nie miesza się z pachciarskim jakimś zdechlakiem, ani rasowego ogiera, panie łaskawy, z żydowską szkapą. Bójcie się Boga, panie łaskawy, co z tego wyrośnie za przychówekl... Owszem, panie łaskawy, niech się rasy mieszają, ale rozsądnie, stopniowo, nie tak łapu-capu, bez porządku, bo to panie łaskawy, do niczego dobrego nie prowadzi. Ja przepraszam, że biorę przykład z koni, ale panie łaskawy, to mi się jakoś tak nadarzyło, jako gospodarzowi i hodowcy, panie łaskawy, a jeśli broń Boże powiedziałem co niestosownego, to cofam moje porównanie, ale daję słowo, że mnie nieraz ostatnia pasya porywa, kiedy słyszę, panie łaskawy, że tam jakaś Sura czy Fajga, panie łaskawy, na której jeszcze woda święcona nie oschła, zostaje zaraz panią hrabiną, baronową albo Boże odpuść, panie łaskawy, nawet i księżną!... Czyż to nie może łączyć się z kim innym, tylko z samą arystokracją? zaraz musi się, panie łaskawy, piąć jak najwyżej?... I co panie łaskawy z tego?... Komedia tylko, jeśli nie obraza ludzka i Boska!



Jowialny mówca pobudził wszystkich do śmiechu.

— Brawo, panie Chodzyński, brawo! — odezwało się kilka głosów.

Żółtowołosy olbrzym skłonił się i uśmiechał do brodusznie.

— Ja przepraszam, panie łaskawy, raz jeszcze, że sobie tak prosto z mostu walę, co myślę, ale o mnie powiadają, że w weredyk, no to panie łaskawy, nie na to mam prawdę na języku, że bym ją ze śliną połykał.. Zresztą, — dodał—zebraliśmy się tutaj, aby radzić o środkach podniesienia hodowli bydła, to i panie łaskawy, kwestya rasowa należy do porządku dziennego.

Ostatnie słowa wywołały znowu wybuch śmiechu wśród audytoryum.

Bernard Sandstein, siedząc teraz całymi tygodniami w Grzędach, nie przeczuwał nawet, że z jego powodu toczyły się tego rodzaju dyskusye po rozmaitych salonach i zebraniach.

Na wsi upływał mu czas spokojnie i tak błogo, że ilekroć obowiązki i zajęcia wzywały go koniecznie do Warszawy, jechał tam z coraz większym przymusem.

— Ach, mój Boże — mawiał do Toli,— kiedy pomyślę, że przyjdzie zima i że trzeba będzie znowu w mieście więcej przesiadywać, to aż na mnie skóra Eierpnie!...

Sewerek, słysząc to, odezwał się do ojca:

— Ja ci coś poradzę, tatusiu; sprowadź ty się do nas całkiem, a Tomasza zostaw w Warszawie,

żeby za ciebie listy wszystkie odbierał i co niedziela będzie ci przywoził do Grzędów.

— Ach, moje dziecko, mnie się zdaje, że ja w końcu tak zrobię, — śmiejąc się, odpowiedział mu ojciec.

— Bo proszę cię, na co ci tyle tych papierów! — przekładał mu dzieciak, — albo ci tu nie dobrze z nami?...

Siadał mu na kolana i paluszkami rozczesywał mu brodę, co stanowiło jego ulubione zajęcie.

— Ja ci powiadam, Tomasz wszystko za ciebie robi, — zapewniał ojca i łąsił się przy nim, jak młody kociak. — Co ci po Warszawie, mój drogi?... tam niema ani mnie, ani mamusi, ani Bumsa.

— O Bumsów jest dużo, i to takich nawet, co kęsają! — przerwał mu ojciec.

Dziecko zrobiło duże oczy, biorąc dosłownie odpowiedź ojca, i spytało z zajęciem:

— Tak kęsają wszystkich na prawdę?... i robią hau, hau, hau na każdego?

— Na każdego nie, ale na niektórych.

— A tatusia ukąsił kiedy jaki Bums?

— O, próbował nieraz!...

— A tatuś co na to?

— Dawniej, to szedł do domu i zamykał się w swoim pokoju, a teraz będzie uciekał na wieś tutaj, do Grzędów, do ciebie. Prawda, że ty tatusiowi nie pozwolisz nic złego zrobić?...

— O, jaby zaraz wziął kija i odpędził! — zawołał chłopak z animuszem, nie rozumiejąc właściwej myśli, ukrytej w słowach ojca — nie się nie bój przy nas, tatusiu!

Tola siedziała przy stoliku nad książką, którą rozcinając nożykiem w kształcie starego puginału, przeglądała i uśmiechała się do Bernarda.

Ta rozmowa zajmowała ją jeszcze więcej, niż Sewerka, któremu taki temat nasuwał mnóstwo pytań w jego ciekawym umyśle.

— A proszę cię, powiedz mi, co się robi, kiedy na człowieka pies zaczyna szczeekać i chce ugryźć? trzeba wziąć kamień i rzucić na niego, prawda?...

— Nie, moje dziecko, trzeba iść dalej swoją drogą i nie zwracać na to uwagi, — odpowiedziała mu za ojca Tola, spojrzawszy przy tem Bernardo-wi w oczy tak jakoś znacząco i głęboko, że zrozumieć musiał aluzję i otuchę, jaką mu widocznie dać chciała w tych wyrazach.

— Spytaj się tatusia — dodała poważnie, — on zawsze tak robił i robić będzie dalej, nie prawdaż?

Ujął jej rękę i uściskał, jak dobremu przyjacielowi, który mu przypomniał jego obowiązek i utrzymał go we własnem przekonaniu.

W spojrzeniu jej, w akcencie, w słowach na pozor bez głębszego znaczenia, było coś, co zdawało się mówić do niego:

— Wytrwaj!... bądź dalej takim samym, jakim cię poznałam teraz i jakiemu uczucia moje i szacunek oddałam.

A jego oczy pobiegły ku niej z niemą odpowiedzią:

— Bądź spokojna!... teraz jestem silniejszy jeszcze, niż przedtem byłem, bo mam nagrodę i zachętę w szczęściu, które między tobą a tem dzieckiem znalazłem.

O zniechęceniu nie było już więcej mowy.

Całe lato minęło jakoś spokojnie i cicho, bez nadzwyczajnych wypadków; obojgu małżonkom wydawał się czas wspólnie teraz spędzany, jakby dopiero pierwszym miesiącem miodowym.

Zostawieni byli sami sobie, we troje, odcięci od reszty świata i odgradzeni od niego nieprzebytym murem, poza którym wybrali dla siebie jego cząstkę najlepszą.

Pozostawała dla nich tylko jedna jedyna kwestya, ciężąca jeszcze nad nimi, jak ostatnia chmura na wyjaśnionem niebie ich nowego pożycia,— uregulowanie dawnych stosunków rodzinnych.

Matka Bernarda z siostrą bawiły ciągle za granicą; z Arco i Abazyi przychodziły od czasu do czasu listy Resi, w których prawie stereotypowo powtarzała się wiadomość:

„Mama zawsze jednakowo; doktorzy radzą zimować i nie wracać do ostrzejszego klimatu. Zdaje się, że usłuchamy tej rady, bo mama stała się teraz dla swego zdrowia tak troskliwą, że żyje według zegarka i recepty. Wszystko się dla niej musi ważyć i mierzyć na gramy i stopnie, że aż do przesady ta ostrożność dochodzi, ale cóż robić?... dla jej spokoju godzę się na to, chociaż mi się nieraz śmiać i płakać chce z powodu tej pedanteryi, która bywa mojem umęczeniem.“

Pisała do brata otwarcie, co czuła i myślała, nie pozując na lepszą i delikatniejszą córkę, niż była; ale w jej szczerości odzywał się nieraz jakby zgrzyt noża po szkle, który Bernardowi psuł humor na cały dzień.

Zimny, suchy, obojętny racjonalizm w poglądach i zasadach siostry drażnił go, zasmucał i sprawiał mu przykrość.

Przypominał sobie wprawdzie jej słowa, wyrzeczone niegdyś przez nią, podczas ich pierwszej, szczerzej rozmowy u niego:

— Wyrodziliśmy się oboje; — ale coraz więcej utwierdzał się w tem przekonaniu, że wyrodzili się każde inaczej, odmiennie, i że między nimi żadnej wspólności duchowej nie było.

Odpisywał jej obszernie, nie tając wcale uczuć swoich i wrażeń, jakich doznawał przy czytaniu jej listów z za granicy; odpowiedziała mu w tonie na pół szyderycznym, na pół podrażnionym, że nie wymaga wcale, aby się zmuszał do korespondencji z nią, jeżeli mu to przykrość sprawia, że jakkolwiek są rodzeństwem, wyrosli niby dwie gałęzie z jednego pnia, ale w dwóch przeciwnych kierunkach, i że spostrzegła to odrazu, iż łatwiej jej będzie porozumieć się z kimś obcym, aniżeli z własnym bratem.

W końcu doniosła mu w krótkich słowach, że się znalazł nawet ktoś taki, który jej poglądy i zasady podziela, i że ten ktoś może zostanie jego szwagrem.

„Nie obawiaj się wszelako — pisała, — w danym wypadku nie będziesz potrzebował drażnić się naszymi przekonaniem, bo gdybym wyszła za męża za pana Ol-Hulsta, pożegnałabym się raz na zawsze z waszą kochaną Warszawką i zamieszkała do końca życia w Amsterdamie. Mój nowy adorator, bardzo bogaty w dodatku kawaler, jest Hollendrem

i chociaż ma skłonność do wyłysienia, bo wiosna jego już minęła i wszedł w okres dojrzałej czterdziestki, ale podoba mi się i jeśli się oświadczy — adieu, braciszku! — nie zobaczymy się już tak rychło.“

Po tym liście nadszedł jeszcze jeden, z początkiem już samej jesieni, w którym Resia donosiła bratu, że małżeństwo jej jest prawie postanowione.

„Śmieszne są Twoje skrupuły i uwagi co do wyboru męża dla mnie, — odzywała się w tonie ostrym i niedelikatnym; — nie przypuszczałam, że masz tak grubą skórę, abyś zapomniał cięgi, które brałeś we własnym małżeństwie. Ja, mój drogi, jestem praktyczniejszą od Ciebie i nie myślę się narażać, za przyjemność pozostania wśród Was, na szykany, aby mi przypomniano przy każdej sposobności, że mi jakiś panicz goły i zadłużony dał swoje szlacheckie nazwisko i „Żydówkę“ w świat wprowadził.

„Dlatego wolę zostać panią Ol-Hulstową i zamieszkać z mężem chociażby w Honolulu, nie tylko w Amsterdamie, gdzie sobie nie będą na mnie ząbków ostrzyli i nie zechcą do siódmego pokolenia przypominać moim dzieciom, że ich matka pochodziła z prostych Sandsteinów; bo żeby chociaż z krzywych, byłoby co wytykać!..

„Nie bądź też tyle nielogicznym, mój przyjacielu, abyś mnie namawiał do powrotu i do szukania dla siebie dalej odpowiedniej partyi w salonach mamy i papy, pośród wybrakowanej arystokracji i nadszarpanej złotej młodzieży, skoro mam tu obok siebie gotowiuteńskiego męża z majątkiem,

stanowiskiem i solidną firmą, a do tego coś całkiem oryginalnego, bo czystej krwi Hollendra.

„Bądź spokojny, pozostanie jeszcze dużo posażnych mechesek do wzięcia, na pocieszenie moich ex-konkurentów, szukających z obrzydliwością, ale z konieczności, służby u bogatych Labanów, dla miłości... Rachelowego wiana.

„Daję im moje błogosławieństwo i jestem gotowa z Amsterdamu przysłać każdemu beczułkę hollenderskich śledzi na podarunek ślubny.

„Nie spodziewaj się tak rychło nowego listu ode mnie, chyba aż faire-part o moim ślubie dostaniesz...”

Przeczytawszy do końca pismo Resi, zamyślił się głęboko, z głową opartą na obu dłoniach, wpatrzony w jej rozchwiane, nierówne litery, jak gdyby rzucone na papier końcem stalówki w pośpiechu wielkim, i zastanawiał się nad treścią tego listu, który mu zapowiadał zerwanie nie tylko korespondencji, ale i serdeczniejszych stosunków z siostrą — może na zawsze.

Ostatni węzeł z jego własną rodziną rozluźniał się całkowicie.

— Tracę siostrę — pomyślał i schmurzył czoło zasępiiony.

Nie łudził się więcej, żeby swoim wpływem potrafił ją odzyskać i zmienić jej poglądy.

---

## 0.

Sprawa koncesyi na budowę kolei Bawoleckiej, o którą starał się Majenfeld z hr. Zmojskim w imieniu konsorcyum, złożonego z ludzi znanych i używających jak najlepszej opinii, pomimo wszelkich starań i wpływów, utykała nieustannie.

Dzienniki podawały o niej krótkie wzmianki, nadmieniając zarazem, iż dla interesów „Postępu“ i rozwoju przedsiębiorstwa, ta nowa linia komunikacyjna oddałaby bardzo ważne usługi, ale że zachodzą pewne kwestye formalnej natury, które jak się zdaje, nie tak rychło pozwolą się usunąć.

W tych głuchych pogłoskach rozbrzmiewał jednak jakiś ton tendencyjności ukrytej, której celu na razie nie można było spostrzedz.

Dopiero z nowym rokiem w jednym z pism, dobrze informowanych zwykle w sprawach z udziałem Klappermanna, ukazała się nagle wiadomość, że hr. Strus-Wydzzewski, odkrywszy w dobrach swoich obfite pokłady węgla kamiennego, rozpoczął starania o uzyskanie koncesyi na odnogę kolei żelaznej, któraby na Rudę i Żelaziec skierowa-



na, otworzyła wprawdzie dalszą, ale dogodniejszą komunikację dla ruchu ekonomicznego i przemysłowego tych okolic, w których mieściły się główne fabryki „Postępu.“

Zagadka została rozwiązana odrazu.

Do współzawodnictwa z konsorcjum Majenfelda i hr. Zmojskiego stawała nowa spółka udziałowa, zakryta firmą Strusia-Wydzzewskiego.

Klappermann, zapytywany o nią, odpowiadał z uśmiechem złośliwym:

— Nic nie wiem jeszcze, wiem tylko o staraniach co do kolei Bawoleckiej, której ja budować nie będę.

Zapierał się, ale takim tonem, który więcej mówił dla domyślnych od wyraźnego przyznawania się do udziału w nowem konsorcjum.

Jakoż stary Majenfeld otrzymał niebawem potwierdzenie swoich podejrzeń co do machinacyi Klappermanna.

Hr. Zmojski powrócił z Petersburga z wiadomością, że konkurencya ma lepsze od nich widoki powodzenia.

— Podstawiono nam nogę — mówił, — nie otrzymamy koncesyi, jak się zdaje, bo Wydzzewski ma silniejsze poparcie.

— A pan hrabia wierzy w to, że poza nim nie ma kogo innego? — spytał Majenfeld.

— Chyba tylko Klappermann.

— Któżby inny?... ja przecież przewidywałem to od początku.

— Czemuż chyłkiem, czemuż z poza płotu?...

— Ha, to już jego taktyka; zresztą nie wypadło mu, jako prezesowi „Postępu,” występować otwarcie przeciwko nam do konkurencji, ale i na to przyjdzie odpowiednia chwila, jeżeli damy się przeważać. Teraz rozumie pan hrabia małżeństwo Dembeckiego z Klappermannówną?... to wszystko stoi w związku ze sprawą kolejową. Kuzynek weźmie córkę, a teść wujaszka już wziął. W ten sposób robią się spółki na dwie strony. Ale kiedy mamy iść na udry, to pójdziemy, panie Klappermann!... ja jeszcze Bogu dzięki nie jestem taki bezsilny, abym się dał jego palcem przewrócić.

Błysnęły mu oczy gniewnie i groźnie, napisał szybko kilka słów na blankiecie, zadzwonił żywo i oddając kartkę służącemu, zawołał:

— Zaraz z tem na telegraf!... — a zwracając się do hrabiego, rzekł:

— Zobaczysz pan hrabia, że się nie damy; ja mam także stosunki swoje i także mam nogi do podstawiania. Będziemy się próbowali, kto silniejszy!...

Usta mu pobladły i drżały, ale hamował się całą siłą, aby nie okazać wewnętrznego wzburzenia; rasowa namiętność, trzymana na wodzy siłą woli i rozumu, zapalała się w nim jednak coraz bardziej, podrażniona konkurencyjną walką.

W jednej chwili zarysował mu się cały plan działania, i jakby mu zdrowia i mocy przybyło w schorzałym ciele, z dziwną, nadspodziewaną energią zabrał się do niweczenia projektów swego współzawodnika.

Telegramy, listy, dyspozycje pędziły jeszcze tego samego dnia w rozmaite strony, a Klapper-

mann ani się spostrzegł, jak szybko został zasachowany na zdobytych cichaczem pozycjach.

Zaczęła wrzeć i nurtować ukryta walka o przewagę wpływów i finansów, podniecana z jednej strony samolubnym interesem i osobistą zawiścią, z drugiej ambicyą i uporem pokonania przeciwnika.

Stosunki naprężyły się z dniem każdym.

Stanowisko Bernarda między Majenfeldem a Klappermannem, z którym w sprawach „Postępu“ musiał mieć styczność bezpośrednią, stawało się coraz bardziej drażliwe; przewidywał dobrze, do czego ta rozterka doprowadzić musi w końcu i jakie skutki wywrzeć może na losy instytucyi i przedsiębiorstwa całego.

Nie wahał się powiedzieć o tem otwarciu Majenfeldowi, w którego prawość i najlepsze chęci wierzył zupełnie i dla którego powziął szczerą szacunek i sympatyę.

— Obawiam się — rzekł mu, — żeby ta walka konkurencyjna między panami dwoma nie odbiła się na „Postępie“ naszym, któryśmy sami ratowali tak gorliwie nie na to przecież, by go znowu samochcąc narazić na nowe wstrząśnienia i niebezpieczeństwa.

Majenfeld brwi ściągnął, oczy przymknął i dolną wargę zagryzł z wyrazem niezadowolenia; jakby z urazą spojrział przez chwilę na Bernarda, a potem kładąc mu rękę na ramieniu, odparł:

— Ja myślałem, że pan mnie dotychczas lepiej poznał, ocenił i zrozumiał, panie Sandstein. Czyż pan nie widzisz, że ja się dlatego uwziąłem na tę koncesyę, aby „Postępu“ nie oddać ewentu-

alnie w ręce wyzyskiwaczy, jak Klappermann i jego spółka?... czy pan nie rozumiesz tego, że kiedy oni będą mieli kolej w swoich rękach i eksploatacyę kopalni, to całe przedsiębiorstwo nasze będzie od nich zależne i że wówczas oni rządzić znowu zazną, dbając tylko o swoje interesa?... czy pan myślał, że stary Majenfeld jest sobie prostym groszobobem, który dba jedynie o własne zyski i gdzie może wydziera ludziom pieniądze, aby mieć jeszcze parę milionów więcej w swoim majątku?... Pan się pomylił, panie Sandstein, i to mi przykrość sprawia. Niech pan uważa, co ja panu teraz powiem!

Podniósł się z fotelu, wyprostował, głowę dumnie zadarł do góry i podniesionym głosem mówił:

— Oto ja postanowiłem za jakąkolwiek cenę wybudować sam kolej Bawolecką, chociażbym na niej ani grosza nie zarobił; ja postanowiłem ludziom pokazać, jak się ucziwie robi wielki interes, i dlatego nie chcę do niego dopuścić żadnych spekulantów; ja teraz muszę postawić na swoim, aby Klappermann nade mną nie tryumfował swoim podstępem i swoim sprytem!... Pan widziałeś, że ja na jego zgubę nie nastawałem, ja go zostawiłem na dawnym jego stanowisku wtedy, kiedy go można było obalić, bo ja myślałem, że on to zrozumie i ocenić potrafi; ale kiedy on chce być lisem i wężem dla mnie, to ja mu teraz nogę postawię na karku i nie dam się ugryźć, ani podkopać. My się z sobą spróbujemy!

Roześmiał się przytem sarkastycznie, ale palec groźnie podniósł do góry.

— Ze mną niedobrze jest zadzierać!...

Zniżył głos i podając rękę Bernardowi, dodał:

— A pan niech ma więcej zaufania do starego Majenfelda i niech pan pamięta, że on więcej wart przez swój kredyt u ludzi, niż przez swoją gotówkę, bo kredyt to wiaral... Pan będzie mógł wystąpić kiedy z wnioskiem o odkupienie ode mnie kolei Bawoleckiej na rzecz towarzystwa, jeśli akcyonaryusze zechcą, a ja się targować nie będę. My i tak z hr. Zmojskim mamy już gotowe projekta na wypadek, gdyby ta kolej przynosiła większe dochody; będziemy je kapitalizowali i używali dalej na cele przemysłowe, aby pieniądzom naszym nadać żywotną ciągłość ruchu publicznego, bo w tem tylko prawdziwy ich pożytek. No, teraz pan zna moje zamiary i rozumie mój cel, zatem na pańską pomoc mogę liczyć dalej bez zawodu?... prawda?...

— Zawsze, panie Majenfeld, gdzie tylko coś dobrego zrobić się zdarzy,—odpowiedział mu Bernard z przejęciem i uścisnął gorąco podaną sobie dłoń.

Stary finansista spojrział mu w oczy, pokiwał głową i z westchnieniem rzekł:

— Szkoda, panie Sandstein, że nas tylko dwóch do tego; przydałby się nam choć trzeci do collegium... Pan masz podobno syna?

— A mam.

— W jakim wieku?

— Ma dopiero szósty rok.

— Ach, to jeszcze ze dwadzieścia lat będziemy musieli czekać na niego, nim dorośnie do naszej spółki... ale do tego czasu moi lekarze podpiszą mi

już pasport do lepszego świata, — dodał ze śmiechem— a pan posiwiejesz zapewne, jak ja dziś; ale to nic, wychowaj go pan tylko na dzielnego i prawego człowieka, jakim sam jesteś!...

Bernardowi twarz się wypogodziła na wspomnienie jedynaka i z oczyma dumą i miłością ojcowską świecącemi, odrzekł z głębi duszy:

— Spróbuj!...

K O N I E C.







PG  
715  
.G3  
189  
v.2

Stanford University Libraries  
3 6105 015 035 632


[Blank yellow area]

